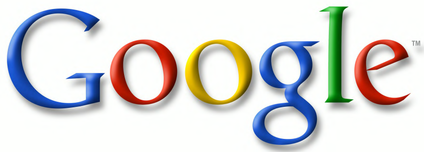
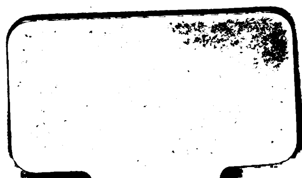



TAYLOR INSTITUTION
DOMI NUS ILLU
MINA TIO MEA





dnia 24/12 912 r.
Por. Boswellowi ofiaruję
B. Brzeski

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM PIERWSZY.

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

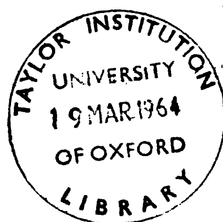
TOM PIERWSZY.

LWÓW.

NAKŁADEM AUTORA.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierzawcy Alex. Vogla.

1866.


TAYLOR INSTITUTION
UNIVERSITY
19 MAR 1964
OF OXFORD
LIBRARY

SPIS RZECZY

W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.

PRZEDMOWA.

Oddając do rąk publiczności tę książkę o Juliuszu Słowackim, uważam za potrzebne wytłómaczyć się, skąd mi przyszło na myśl pisać tak obszernie o człowieku, który w społeczeństwie zajmował tylko skromne stanowisko pisarza, a którego dziełom przy całéj ich genialności sam nieraz niedostatki wytykam. Że mnie z téj strony będzie zaczepiała krytyka, o tém wcale nie wątpię. Niechże przynajmniéj — jeżeli nie rozbroi, to bodaj złagodzi surowość jéj zarzutów szczére i otwarte opowiedzenie, jak ta praca moja powstała i w jakim celu była podjęta. Dała mi do niéj główny powód oddana do rąk moich w odpisie korespondencya Słowackiego, prowadzona z różnemi osobami, z Zygmuntem Krasińskim, z Teofilem Januszewskim, wujem poety, z Kornelim Stattlerem, znakomitym niegdyś profesorem malarstwa w Krakowie, a przedewszystkiém z matką. Do matki swojéj pisywał poeta nasz w stałych i częstych terminach i zwykł jéj był przez cały czas życia swego na emigracyi szczegółowo zdawać sprawę ze wszystkiego, z czego się tylko to życie jego splatało. Rozczytując

ten nader znaczny zbiór listów (jest ich tyle, że zapełniłyby dwa spore tomy), nie mogłem się oprzéć w pierwszéj chwili urokowi, jaki wywiera to rzeczywiście bezprzykładne bogactwo wyobraźni, strumieniami rozlanéj w owych potocznych i poufnych rozmowach nieznanego zupełnie dotychczas z téj strony wieszcza; i porwany myślą, że to prawdziwy pamiętnik wewnętrznego życia poety, że to istna fotografia najskrytszych poruszeń serca — zamierzyłem nakłonić koniecznie krewnych jego do bezzwłocznego ogłoszenia téj całéj korespondencyi. Dalsze czytanie jednakże dało mi uczuć niebawem niestósowność tego żądania. Nie tylko bowiem czas obecny zdaje się być cokolwiek jeszcze za rychłym, żeby wszystko, co się w niéj mieści, bezwarunkowo można było drukować; ale i tego nie mogę zataić, że kiedy się odczytuje zbiór listów cały w jednym ciągu jeden po drugim, doznawać się zaczyna z czasem przy tak wielkiéj ich obfitości — znużenia. Ostatecznie bowiem każdy list jest tylko listem, choćby go pisał i genialny poeta! Doniesienia o bieżących potocznościach życia, o zdrowiu, kłopotach, powodzeniu itp. zajmują tu zawsze miejsce sobie właściwe; a nawet i najpoetyczniejsze ustępy nie mogą się nie powtarzać w podobnym ciągle sposobie. W skutek czego czytający te wynurzenia poufne traci coraz bardziéj zmysł dla rzeczy prawdziwie niepospolitych, ginących w tym nawale powszednich konwencyjności.

Nie uważając zatém jak na teraz za pożądane, żeby korespondencya ta była drukowana w całości, a nie mogąc z drugiéj strony i tego z przekonaniem

swojém pogodzić, żeby pojedyncze z listów urywki, wyjęte na chybi trafi ze związku, było właściwém dawać do rąk publiczności w sposób, jak to uczyniono na przykład z listami Krasińskiego lat temu kilka: wziąłem sobie za zadanie zużytkować ten materyał inaczéj. Postanowiłem z osnowy listów rozwinąć wątek autentyczny życia Słowackiego tak mało komu znanego dotąd dokładniéj; a zapomocą lepiéj rozwidnionego poglądu na tegoż życia koleje, rzucić też nieco światła i na jego dzieła. I oto w taki to sposób powstała książka niniejsza, poświęcona zarazem i biografii poety i krytycznemu rozbiorowi pism jego, w odniesieniu do całego ogółu ówczesnych usiłowań w literaturze naszéj, stanowiących jakby tło dla wyłącznego uwag moich przedmiotu. Przyznaję otwarcie, że kiedym się zabierał do téj roboty, nie wystawiałem sobie, że się ona do téj objętości rozciągnie. Nie ręczę nawet za to, czybym się był zabrał do niéj, gdybym to naprzód był wiedział. Ale zabrnąwszy raz w rzecz i spostrzegłszy się, w co ja wszedłem, trochę zapóźno: nie chciałem się już cofać po czasie. Prowadziłem tedy coraz daléj naprzód pracę zaczętą, pocieszając się nadzieją, że cokolwiek się stąd wywiąże, nie będzie bez pewnego interesu a może i pożytku. Mianowicie zaś towarzyszyło mi w tém zajęciu to przekonanie, że warto jest przypatrzeć się choćby też raz jeden z bliska... życiu Poety! Warto poznać w tym autentycznym, z własnych świadectw utworzonym obrazie, z czego to u natur wyjątkowych, noszących to chlubne miano, zazwyczaj splata się ów wątek uczuć, szałów, rzadkich pociech, częstszych

boleści, niebiańskich natchnień i cierpień nieraz najdotkliwszych, który tłum ludzi, stojący u ich piedestala, nazywa późniéj sławném życiem genialnego człowieka... Tyle o tém już pisano w romansach! Każdy wystawia sobie stan duszy tych ludzi nadzwyczajnych — po swojemu. Prawdy bezwzględnéj nie może być nigdy w takich wymarzonych i tylko z własnéj głowy branych opisach. Otóż zdarzyła się sposobność, sposobność w literaturze naszéj do téj przynajmniéj pory jedyna, że przy pomocy takiego zapasu własnoręcznych zwierzeń, wyrzeczonych w chwilach zawsze stanowczych, pod wpływem uczuć zbyt świeżych, żeby. przypuszczać, że ten, co to pisał, fałdy swéj togi drapował sztucznie i stawał w postaci człowieka który pozuje... możemy krok w krok, jak cień za ciałem towarzyszyć jednemu z podobnych ludzi przez całe pasmo dni jego i mieć jak na dłoni przed sobą całą genezę i dziejów jego jako człowieka i natchnień jego jako artysty. Dlaczegoż nie mielibyśmy korzystać z téj sposobności? Nie miałżeby wizerunek taki mieć przynajmniéj tyle wartości, co obrazy charakterów i opisy przygód wymarzonych w fantazyi?

Ale odeprze niejeden na to: przecież Słowacki nie był największym naszym poetą! jeżeli więc o to chodziło: to należało sobie wybrać kogoś takiego, któryby sprawiedliwiéj mógł tu służyć za pomnikowy posąg wieszczego usposobienia. — Prawda! Autor Lilli Wenedy niewątpliwie miał coś w duchu swoim chorobliwego. Między dziełami, których ostatecznie dokonał, a tą potęgą jego poetyckiéj zdolności, która w pojedynczych tylko miejscach bije u niego całym blaskiem

świetności, gdzieindziéj zaś już tylko „dymi przez słowa“, nie ma należytego stósunku. Stémwszystkiém i ta anormalność, która nas w osobie jego uderza, nie byłto symptom oderwany i czysto osobisty. To było znamię typowe czasu, to było cierpienie właściwe mniéj więcéj całéj téj generacyi, do któréj Juliusz należał. Już przeto dla téj jednéj przyczyny uważam życie jego za przedmiot pod każdym względem godny głębszego rozpatrzenia.

A zresztą — należy zawsze korzystać ze sposobności, jaka się właśnie nadarza. Mickiewicz nie zostawił po sobie takiego materyału do odtworzenia wizerunku całego swego żywota; dlatego też niejedno z źródeł jego natchnienia na zawsze dla potomnych pozostanie zagadką.

— Obok Słowackiego, stawionego na pierwszym planie, umieściłem w obrazie moim cały chór osób różnych współczesnych, z którymi łączyły go bliższe lub dalsze stósunki i o których często mówi w swojéj korespondencyi. Zdawało mi się, że nie mogą być obojętne szczegóły dotyczące ich doli, wpływów na nich działających i okoliczności, śród których żyli. Ściąga się to głównie do tych pisarzów naszych, co życie spędzili na wygnaniu. Jeżeli wreszcie szczegóły podobne wydają się może dzisiaj jeszcze pomniejszéj wagi, nie będąc tak dalece nieznanemi rzeczami dla pokolenia dzisiejszego: to rozumiem, że nie będą bez interesu dla późniejszych, do których tradycye żyjące pomiędzy nami, dójdą tylko w drobnych okruchach. Cóżbyśmy dziś za to dali, gdybyśmy tyle wie-

dzieć mogli na przykład o znakomitościach naszych z zygmuntowskiéj epoki! Byłaby to nielogiczność, rozbijać się za najdrobniejszemi wiadomostkami, jeżeli takowe dotyczą od dawna zgasłych, a za nic ważyć sobie wspomnienia dotyczące osób, których mogiły jeszcze w ziemi nie zaklęsły i zaledwie darnią porosły. Przyjdzie czas, że i te grobowce znikną z przed oczu żyjących, a wtedy będzie tém droższą wiadomość o wszystkich, którzy w głębi ich spoczęli...

— Że stroną opisową i historyczną dzieła mojego połączyłem i część krytyczną. I wytłómaczyć się muszę, dlaczego rozwodzę się tak obszernie nawet nieraz nad takimi utworami Słowackiego, którym sam wielkiego znaczenia artystycznego odmawiam. Dzieła tego poety, niesłusznie przez ogół mało poszukiwane, zaczęły od lat kilku tu i owdzie prawie znowu nad zasługę i miarę entuzyazmować pewną liczbę czytelników, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, będzie się to z czasem jeszcze powiększać. Przy takiéj sprzeczności sądów i punktów widzenia — bardzo wiele zależy na tém, ażeby sobie zdać raz sprawę na usilniejszych studyach opartą, tak ze zalet jako i przywar właściwych Słowackiemu. Krótkie wyroki na nic się tu nie przydadzą. Doraźnie wypowiadane mniemania nikogo jeszcze o niczém nie przekonały. Zresztą wszelkie krytyczne rozbiory zdaniem mojém wtedy tylko mogą być prawdziwie pożyteczne, kiedy nie ograniczając się do tego, żeby czy to naganą czy pochwałą wpłynąć na dalsze roboty krytykowanego pisarza, po-

ruszają pytania sięgające donośnością swoją nieco po za zakres poruszonego właśnie przedmiotu. Niech mi się tu wolno będzie odwołać do wielkiéj w takich rzeczach powagi. Krytyki Lessynga w jego „Hamburskiéj Dramaturgii“ objęte, są ciągle jeszcze pouczające, chociaż mało która ze sztuk przez niego tam rozbieranych bywa jeszcze grywaną, a choćby tylko czytywaną przez kogo... Daleki jestem od chęci przypisywania moim krytycznym wywodom znaczenia, któreby je zbliżać mogło do mistrzowskich rozbiorów Lessynga; ale godzi się każdemu iść w ślady za człowiekiem, którego sposób się uznaje za godny naśladowania.

— Na zakończenie powiedzmy słówko, czy się godziło robić użytek, przeznaczony dla wiadomości całéj publiki, z listów prywatnych. Poruszył to pytanie co do Mickiewicza niedawnymi czasy znakomity nasz krytyk Julian Klaczko i bardzo się stanowczo wyraził za tém, że „ogłaszanie poufnych pism i listów znakomitych w narodzie ludzi nie jest rzeczą ani tak niechybnie godziwą, ani tak nad wszelką wątpliwość pożyteczną, jak się to niejednemu wydaje.“ Rozróżniając pomiędzy ludźmi czynu, do których policzył polityków, wojowników i dyplomatów, a mistrzami słowa i sztuki: uważa szanowny autor, że tylko pierwszych uważany być może i prywatny nawet żywot za godziwy przedmiot badań powszechnych; podczas gdy osobistość drugich radby on usunąć ile tylko być może z przed oczu ciekawych natrętów, a to dlatego że biografia artystów i poetów bywa prawie zawsze mikrografią ducha.

Przyznaję chętnie, że mogą niewątpliwie zdarzać się wielkie przesady w nieoględném traktowaniu prywatnych stósunków czyichkolwiek, czy tam kto walczył na świecie bronią, czy wreszcie piórem. Stémwszystkiém zdaje mi się, że jednak podnosić do reguły powszechnéj zaleconéj tu dyskrecyi nie można. Koniec końcem, trudnoby było zaprzeczyć temu, że pospolicie dzieła poetów wtedy dopiero zaczynają być należycie zrozumiałe i pożyteczne dla wszystkich, kiedy się wie dokładnie, wśród jakich okoliczności one powstały, to jest kiedy się dobrze zna przebieg życia ich autora. A już to samo upoważnia do tego, aby się starać zbogacić biografią jego szczegółami jaknajdokładniejszymi skądkolwiek bądź. Zresztą i najszczytniejsza poezya, ażeby nie była próżnym blichtrem i tumanem dla niedoświadczonych, powinna być popartą życiem poety. Mam to przekonanie, że narodowi służy wszelkie prawo do dochodzenia tego, co mu poeta daje: czy to szych, czy złoto szczere? czy przedewszystkiém wierzył on też w to wszystko, co słowami swemi wygłaszał, i czy sam żył podług tego? Gdzie bowiem rozdział nieprzeskoczny między pismem a czynami, tam zwykle i czyny liche i pisma wielce podejrzanéj wartości!... A nakoniec nie zapominajmy i o owém odwieczném zdaniu, że *natura horret vacuum* Jak w świecie fizycznym, tak też i w biografiach znakomitych ludzi aż nadto często się zdarza, że się niezapełnione niczém próżnie lubią zapełniać czémkolwiek bądź: w rzeczach fizycznych zapełniają się wiatrem, a w ludzkich — ploteczkami; a te nie zawsze wypadają na korzyść osób, do których się ściągają.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Byronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju.

„Wśród litewskiego grodu, w ciemnéj szkolnéj sali
Siedziało dwoje dzieci — niezmięszani w tłumie.
Oba we współzawodnéj wykarmieni dumie,
Oba wątłéj postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiém odetchnieniem —
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.—
Ludzie nieraz, „on umrze“ mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem. Lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia, i myśląc o synie
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...“

„Młodszy wiekiem“, o którym mowa w tym wierszu, to właśnie nasz poeta. Powyższemi słowy sam on siebie opisał w wierszu zatytułowanym „Godzina Myśli“, zamieszczonym na końcu III tomu Poezyi paryskiego wydania. Godzina Myśli poświęcona jest wspomnieniom lat szkolnych, wspomnieniom pierwszych marzeń, pierwszych rozczarowań, pierwszéj przyjaźni i pierwszéj miłości. Wiersz ten stanowi między materyałami, które mam przed sobą, najważniejsze źródło do skreślenia wewnętrznego wizerunku Juliuszu w téj życia jego epoce. Opowiadania osób, które pamiętają te czasy i patrzały na młodość jego, jakkolwiek ciekawe i zajmujące, nie potrafiłyby zastąpić tych zwierzeń z pierwszéj ręki podanych; dostarczają bowiem tylko szczegółów do zestawienia saméj zewnętrznéj strony tego obrazu.

Odbywał więc Juliusz szkoły „wśród litewskiego grodu“, w Wilnie. Tutaj także spędził najrychlejszy poranek życia, nim jeszcze został do szkół oddany. Jednakże właściwym jego krajem rodzinnym, krajem, który tyle razy w pismach swoich z wyłącznem przywiązaniem wspomina jako swoję krainę,

„Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem“—

nie byłato Litwa, lecz Wołyń. Urodził się w Krzemieńcu, dnia 23 sierpnia 1809 roku — z ojca Euzebiusza Słowackiego i matki Salomei z domu Januszewskiéj.

Ojciec jego zajmował wtedy jeszcze posadę profesora języka polskiego w liceum krzemienieckiém, którą z rąk założyciela tegoż zakładu, Tadeusza Czackiego, otrzymał był już w chwili téjże szkoły otwarcia. Nie długo potém zamienił ją na profesurę uniwersytecką. Właśnie bowiem w tymże roku 1809 ogłoszono w akademii wileńskiéj konkurs na katedrę historyi literatury, czyli, jak to naówczas tam nazywano, na katedrę wymowy i poezyi. W dowód stósownego uzdolnienia do objęcia téj profesury zażądano rozprawy „O sztuce dobrego w języku polskim pisania“. W skutek tego — po upływie dziesięciomiesięcznego przeciągu czasu, tyle go bowiem dozwolono do wykończenia żądanéj pracy — zostało do Wilna nadesłanych kilka rozpraw téj treści. Była pomiędzy niemi i praca profesora z Krzemieńca. Po

rozpoznaniu wad i zalet wszystkich pism nadesłanych, komisya rozpoznawcza, z profesorów akademii złożona, do któréj przedewszystkiém należeli sławny Godfried Grodek, profesor filologii, i rektor uniwersytetu Jan Śniadecki, przyznała stanowcze pierwszeństwo Euzebiuszowi Słowackiemu. W skutek tego nastąpiło w roku 1811 ostateczne powołanie jego na tę katedrę i przeniesienie się rodziców poety naszego do Wilna.

Zawód Słowackiego jako profesora wszechnicy był tém użyteczniejszy, że przypadł na czasy, gdzie konieczna potrzeba téj profesury coraz dotkliwiéj czuć się dawała. Przez cały ośmioletni ciąg trwania odrodzonego pod kuratoryą X. Adama Czartoryskiego uniwersytetu wileńskiego aż do owéj chwili, przez cały czas od r. 1803 do 1811, katedra poezyi i wymowy ciągle tam wakowała. Nauk tych nie wykładał tam aż potąd żaden nawet zastępca profesora. Wzywano wprawdzie ze strony uniwersytetu od czasu do czasu różne co sławniejsze w epoce owéj znakomitości literackie i naukowe do objęcia rzeczonéj posady: powoływano na nią najprzód Kopczyńskiego, późniéj Karpińskiego, a daléj Niemcewicza, nakoniec Fr. Xaw. Dmóchowskiego i Woronicza. Lecz wszystkie te kandydatury rozbijały się o jakieś już to polityczne, już osobiste i uboczne trudności, tak iż dopiero więc w r. 1811 zasiadł na téj katedrze po raz pierwszy Słowacki. Był to mąż wielce oczytany i światły. Wprawdzie więcéj on wykształcenie swoje zawdzięczał własnym swoim usiłowaniom, aniżeli mistrzom jakim i zakładom naukowym głośniejszéj sławy. Za granicą bowiem za młodu na żadnych akademiach nie bywał. Krajowe zaś szkoły, w których się kształcił, w tamtych jeszcze czasach zbyt wysoko nie stały. Pomimo tego wszelako, przy gorliwém pełnieniu obowiązków, przy rzetelném zamiłowaniu tak powierzonego sobie przedmiotu, jako i młodzieży, działał Słowacki w zakresie swoim z wielkim dla niéj pożytkiem. Co większa, starał się i posunąć daléj samę naukę, którą miał sobie poruczoną, jak o tém najlepiéj świadczą pozostałe jego pisma*). Jak wiadomo, próbował

*) Pisma Euzebiusza Słowackiego wyszły w 4 tomach, w kilkanaście lat po zgonie autora, w Wilnie r. 1824—26.

on sił swoich nawet i na polu poezyi. Mianowicie wiele tłómaczył, np. Henryadę Woltera i różne ustępy z dzieł kilku poetów łacińskich. Ułożył wreszcie dwie tragedye oryginalne niezgorszym wierszem, t. j. Mendoga i Wandę. Sztuki te pisane są wprawdzie zupełnie jeszcze na sposób dawny francuski, czyli jak to zwykle nazywamy, klasyczny; stémwszystkiém pamiętać tu należy, że takie to już wtedy były u nas w téj mierze powszechne wyobrażenia. Nikt w tym rodzaju literatury nie pisał inaczéj za Księstwa Warszawskiego. W każdym razie tedy działanie takiego profesora wśród grona dzielnéj litewskiéj młodzieży obiecywało Wilnu jeżeli nie takie plony, jakie się — dzięki innym okolicznościom — okazały w póżniejszych latach, kiedy to liczył się do uczniów uniwersytetu Zan i Mickiewicz: — to zawsze jednak zapowiadało ono rzetelne i ważne, chociaż skromniejsze korzyści. Do ziszczenia ich zupełnego atoli nie przyszło; we trzy już bowiem lata po przeniesieniu się swojém do Wilna t. j. w r. 1814 zakończył profesor życie. Umarł przedwcześnie w czterdziestym drugim roku wieku, na piersiową słabość, która o wiele rychléj wycieńczała już siły jego.

Tyleśmy mieli do powiedzenia o ojcu.

Co się tyczy matki, to opowiadania wszystkich, którzy ją znali, w tém się zgadzają, że jeżeli które z rodziców mogło usposobieniem swojém wpłynąć na ów wyższy i excentryczny nastrój ducha Juliusza, to rozumieć to należy właśnie o matce, która też w nim całe swoje szczęście widziała, dla któréj był on jedynym celem życia, jéj dumą, jéj nadzieją, jéj wszystkiém na ziemi. Ze strony syna także niemniejsze było przywiązanie do matki. Od pierwszego dziecięctwa swego aż do zgonu — przez wszystkie życia koleje, czy to pod jéj okiem wzrastając, czy trawiąc na wygnaniu długie lata samotne, zawsze on ją z głębi serca, rzewnie, wyłącznie i niemal bym rzekł religijnie czcił i miłował. Już same listy jego do niéj pisywane przekonywają, że nie miał on przed nią nigdy nic skrytego, nic coby zakrawało na tajemnicę. Z szczerą ufnością dziecięcia i ze swobodą przyjaciela zwierzał on jéj się zawsze z każdéj pociechy i nadziei, z każdéj boleści i troski, ze wszystkich uczuć, rojeń, a nawet czasem i szaleństw

drażliwego swego usposobienia. Ale bo była też to osoba rzadkiéj giętkości ducha. Łączyła w sobie własności, których harmonijne, miłe dla wszystkich otaczających połączenie w jednéj osobie tylko się rzadko kiedy i chyba wyjątkowo spotyka. Łatwa, potoczna, nadzwyczaj żywa, a jednak i czująca głęboko i z natury jakiegoś już teskniejszego nastroju—pociągała ona ku sobie każdą szlachetniejszą naturę. Zawsze potrzebując czegoś takiego koniecznie, coby jéj myśl żywszém napełniało zajęciem, brała udział we wszystkiém, co tylko ją otaczało, i znajdywała w sobie nawet dla rzeczy małych dość téj skrzętnéj drobnostkowości, która naturze niewieściéj dodaje tyle powabu, jeżeli się z nią kojarzy zmysł i głębsze wyrozumienie także i dla spraw wyższych, dla spraw wynikających z obowiązków matki, obywatelki, chrześcijanki... Matka Juliusza wszystko to w sobie godziła. Sercem i wykształceniem stawiona zupełnie na równi z duchowém stanowiskiem syna, odgadywała mimowiednie, a często i pojmowała świadomie tajne nieraz intencye jego poetyckich utworów. I nie tylko nie ukrywała przed nim swojego zdania o wszystkiém, cokolwiek jéj przełożył; ale niekiedy nie szczędziła mu i wyraźnéj nagany, jeżeli coś nie zupełnie smakowi jéj zadość czyniło. Nagany takie przyjmował Juliusz od niéj — może od niéj jednéj — z bezwarunkowém poddaniem... Słowem, była pomiędzy temi dwiema naturami jakaś tajemnicza a szczególnie ścisła sympatya. Wielu zaś dostrzegało nawet pewnego wręcz podobieństwa pomiędzy matką a synem, które im też tłómaczyło niejednę stronę skądinąd dziwnie uderzającą w charakterze poety. A jeśli w dalszych ustępach życia Juliusza rysy tego podobieństwa znacznie się zatarły, a wyszły natomiast na wierzch pod niejednym względem różnice:— to byłoto skutkiem dyametralnie odmiennych życia kolei, jakie każde z nich przechodziło. A daléj było to następstwem i téj jeszcze okoliczności, że poetyczne usposobienie matki było oczywiście więcéj bierném, a kierowało niém przedewszystkiém serce, swobodnie i miłościwie na świat zewnętrzny zwrócone; podczas gdy fantazya poetyczna syna, w sobie zamknięta, twórcza, lecz dumna, brała raczéj z siebie saméj pęd ku temu wszystkiemu,

w czém się miała objawić, nie wiele dbając o świat i ludzi i o całe otoczenie zewnętrzne.

Po zgonie Euz. Słowackiego osierociała wdowa opuściła Wilno i przeniosła się z jedyném dziecięciem swojém, pięcioletniém naówczas, napowrót w strony swoje rodzinne. Osiadła na nowo w Krzemieńcu, w domu rodziców swoich Januszewskich, którzy stale w témże mieście zamieszkiwali. Po upływie trzech lat jednakże poszła powtórnie za mąż. Oddała rękę doktorowi Becu, znowuż profesorowi uniwersytetu wileńskiego w wydziale lekarskim. Dr. Becu był także wdowcem i miał dwie córki niedorosłe, potrzebujące macierzyńskiéj opieki. Przybył tedy do Krzemieńca (r. 1817), umyślnie dla odnowienia znajomości, i połączył się związkiem małżeńskim z wdową po zmarłym swoim koledze. Tak nastąpiło tedy powtórne przeniesienie się onéj rodziny na Litwę. Juliusz znalazł teraz w pasierbicach swéj matki, Hersylii i Alexandrze, dwie przywiązane siostry, obsypujące go pieszczotami, jak rodzonego brata. Do nich to więc odnosi się owa wzmianka w przytoczonym wyżéj ustępie z Godziny Myśli, o dziewicach „gładkiemi dłońmi trefiących co dnia czarne włosów jego pierścienie.“ —

O szkolnych czasach i pierwszéj młodości Juliusza niewiele mam do powiedzenia. Tyle mi tylko wiadomo, że miało to być miłe dziecię, o pięknéj ale bladéj twarzyczce — nikłe ciałem i zawsze słabowite. W czwartym roku życia odbył ciężką, kilkomiesięczną, nader niebezpieczną słabość, z któréj go ledwie przywrócono do zdrowia. Tém rychléj się za to obudzać w nim zaczęły duchowe siły i niepospolite jak na wiek jego zdolności. Za życia jeszcze ojca zaczęto go uczyć czytać. Elementarzem jego, t. j. książką w dosłowném znaczeniu pierwszą, w któréj poznawał litery, była Iliada Homera przekładania Dmóchowskiego. Dziwili się wszyscy, że to czytanie sprawiało temu dziecku przyjemność i że wyobraźnia jego zdążała za tymi obrazami wieszcza starożytnego. W następnych latach, poduczony w początkowych przedmiotach prywatnie w domu, został — za powtórném przybyciem do Wilna — oddany do szkół publicznych. Tu znowu się objawiała we wszystkiém pewna przedwczesność całéj jego organizacyi

duchowéj. Objawiała się zaś nie tyle w postępach naukowych, chociaż i pod tym względem liczył się zawsze młody Słowacki do celujących uczniów. Ale daleko więcéj uderzała każdego jakaś dziwna skłonność do samotnych marzeń, jakaś tęskna fantastyczność chłopczyny...

Jak wiadomo, lata 1818—1824 w obrębie akademii wileńskiéj — stanowić będą na zawsze w dziejach umysłowości naszéj czasy opromienione urokiem najpiękniejszych wspomnień i nigdy niezapomnianych zdarzeń. Zdarzenia te sięgały daleko po za zakres urzędowéj że tak powiem instrukcyi naukowéj. Byłto brzask nowéj ery w myślach i pieśniach — świtanie nowego życia, życia rdzennie narodowego. Co tylko z młodzieży żyło duchowo, podzielało ten prąd powszechny. Promienie jego dosięgały i niższych szkół, z wysokości katedr akademickich. Poezya była jakby symbolem tych wszystkich uczuć, które młodzież łączyły. Świeża sława Mickiewicza i jego rówienników silnie działała i na najmłodszych wychowańców szkolnych zakładów litewskich. A jeżeli na kim wywierało to wszystko potężne, wstrząsające wrażenie, to na Juliuszu. Oddźwiękła w sercu jego ta struna poetyczna, która i bez tego już w duszy jego była napięta. Żądza wielkiéj autorskiéj sławy zaczęła go już nawiedzać w dzieciństwie. Niejednokrotnie on sam o tém wspomina w listach swoich do matki, pisanych już w późniejszym wieku na emigracyi.—„Droga moja — mówi do niéj np. w liście z d. 25 stycznia 1845 — ja ośm lat mając przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał — a za to za grobem o wszystko się upomnę.“ Albo w innym liście: — „W dzieciństwie, kiedy byłem exaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie poetyczne, choćby zresztą najnędzniejsze,— żebym był pogardzony przez cały wiek mój — i tylko żeby mi za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci“... A w owym poemacie, z którego ustęp daliśmy na czele obecnego rozdziału, wręcz wyznaje mówiąc o sobie, że

„Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmém niebie.

. . . .
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem,
Ma przed sobą krainę duchów do zdobycia“...

W ogóle tedy cały tryb spędzonego jego dzieciństwa, wszystkie jego zabawy, zajęcia, stósunki i zapędy okazują nam się w obrazie, który jak upoważniał do najpiękniejszych nadziei o tém dziecku, tak też mógł wzbudzać i pewne obawy o jego dalsze koleje... Jeżeli bowiem dumnie i poetycznie to brzmi, powiedzieć o kim, że cały jego życia poranek nie był taki, jak zwyczajnych ludzi: to z drugiéj strony wiele prawdy i w tém być mogło, co późniéj sam on wyrzekł o sobie z goryczą w jednym z listów do matki (Paryż r. 1832):—„Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“...

Teraz trzeba nam tu wspomnieć o dwóch okolicznościach nader ważnych w jego wieku młodzieńczym i bynajmniéj też nieprzepomnianych przez poetę w Godzinie Myśli. Jedną okolicznością taką była przyjaźń najściślejsza, idealna, dozgonna, jaką był zawarł od pierwszych ławek szkolnych z pewnym starszym od siebie kolegą. Pamięć jego często mu była przytomna w późniejszym nawet wieku, na emigracyi. Nieraz w listach o nim wspomina. Jego to też i wtedy właśnie miał na myśli, kiedy mówił o owém dwojgu dzieci, niezmięszanych w tłumie, w szkolnéj sali obok siebie siedzących. Jedném z tych dzieci był to, jak już wiemy, sam Juliusz. Drugiém zaś był ów jego przyjaciel. Imię mu było Ludwik.

„Włosy miał jasne, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziwnie palące czuł głody —
Trawił się. — Jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki, łzawym kryształem pokryte
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,

Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty"...

A zatém i usposobienie Ludwika nie było takie, jak reszty uczniów, których oni obydwaj nazywali też — tłumem. Miało ono wiele podobieństwa do natury Juliusza, tylko że tu sentymentalizm już wyraźnie był chorobliwy. Kiedy bowiem młodszy przyjaciel, Juliusz, jako poeta snuł sobie rojenia jakieś napowietrzne i tylko w sferze idealnéj: tymczasem „jego towarzysz większy nauką i laty," odnosił się w swoich nieokreślonych cierpieniach duszy bezpośrednio do otaczającego go świata rzeczywistego, czyli jak się wyraża nasz autor, „nigdy od krain myśli nie odłamał życia, sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy." Z czego atoli takie tylko wynikały następstwa, że

„Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała;
Więc nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
Budził — i rzeczywistość zimna roztrącała."

Byłto zatem najzupełniejszy Werteryzm, czyli owato sentymentalna schorzałość i wycieńczenie ducha, które szczególniéj Niemców za młodu nawiedza i które oni technicznym terminem zwykli nazywać Weltschmerz.—Młodzieńcem tym był Ludwik Spitznagel, podobno syn jednego z profesorów wileńskich. Rychły koniec jego życia był bardzo smutny, a nastąpił z przyczyn równie niedocieczonych, a przynajmniéj nieokreślonych, jak i posępność całego życia nie miała właściwie żadnego określonego powodu. Po ukończeniu szkół wileńskich Ludwik zapragnął słuchać „wieków tajemnicy, wymówionéj niepewną twarzą hieroglifów," to jest odbyć podróż na Wschód, zwłaszcza do Egiptu. To mu poddało myśl poświęcenia się służbie publicznéj w zakresie dyplomacyi. Udał się przeto do Petersburga dla dokończenia nauk i przykładał się tam przez trzy lata szczególnie do oryentalnych języków. Przygotowany wreszcie najzupełniéj do rozpoczęcia karyery, jaką sobie sam obrał, przydzielony już do poselstwa jadącego „w piramid krainy" w charakterze dragomana tegoż poselstwa — zajechał jeszcze na Litwę, ażeby się

pożegnać z rodziną i przyjaciołmi. Załatwiwszy już wszystkie sprawy, bawiąc na wsi, w pewnym domu zdawna sobie znajomym i całéj rodzinie jego życzliwym, kiedy po kilku dniach miłéj zabawy już był na samém wsiadaniu, kiedy powóz, który go miał uwieść daleko, właśnie co tylko się zatoczył przede dwór... oddalił się Ludwik niepostrzeżenie do jednego z oddaleńszych pokojów i — zastrzelił się. O rzetelnych powodach samobójstwa, jak już wspomniałem, ani najbliżsi nawet przyjaciele nigdy się nie dowiedzieli.

Ale bo też wnosząc z wszystkiego, zdaje się, że nie było do tego żadnéj rzeczywistéj pobudki. Ogólny niesmak życia, excentryczny rozstrój w umyśle, zwątpienie — a bezpośrednio może i brak odwagi do rozstania się na czas nieokreślony z tą miłą ziemią rodzinną, która go właśnie z takim urokiem w domu przyjacielskim żegnała — oto prawdopodobnie najwłaściwszy powód rozpaczliwego postanowienia, jakie Ludwik przywiódł do skutku, skoro tylko mu przyszło stawić pierwszy krok w zakresie rzeczywistego świata i praktycznego zawodu. Taki brak odwagi korzystnie wprawdzie świadczy o rzewności serca, o głębi uczuć, o idealności całéj natury tego nieszczęśliwego młodzieńca. Dowodzi zarazem jednak i tego, że mimo tych wszystkich zalet, właściwych wprawdzie głębszym tylko umysłom, odłogiem tam zalegała i zeru się musiała równać ta męska praktyczna zdolność, ta energia woli, ta chęć dokonania czegoś pożytecznego w świecie, coby go zbliżyć mogło do wymarzonego ideału, słowem ta cała druga siła umysłu, bez rozwinięcia któréj sentymentalizm najpoetyczniejszy, najczystszy — ani ludziom ani sobie na nic się przydać nie może.

Że ścisłe, codzienne, nierozdzielne pożycie z rówiennikiem tak excentrycznego usposobienia, i to jeszcze w latach, gdzie wszélkie wpływy najsilniéj się w umysł wrażają, nie mogło być bez następstw dla towarzysza młodszego laty i mniejsze, jak sam o sobie rozumiał, zapowiadającego nadzieje: to pojmie każdy. —

Trwalsze jeszcze ślady w nastrojeniu duchowém naszego poety mogło zostawić po sobie inne uczucie, uczucie donioślejszego

jeszcze znaczenia, aniżeli przyjaźń, a które zaznał także już w latach szkolnych — miłość.

Przez owe trzy lata, gdzie się Ludwik poświęcał w Petersburgu nauce języków wschodnich, „dziecko z czarnemi oczyma

„Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była —
I najsilniejsza z uczuć...."

Ale nim przywiodę dalsze wyrazy poświęcone temu wspomnieniu, nie od rzeczy będzie udzielić tu kilka szczegółów, bez wiadomości których dalsze opowiadanie nie byłoby zupełnie jasném. Otóż rzetelne fakta co do tego epizodu pierwszéj miłości były następujące.

Rodzina profesora Becu zostawała w najściślejszéj zażyłości z domem Jędrzeja Śniadeckiego także profesora akademii. Przyjaźń mianowicie między córkami jednéj rodziny a drugiéj była tego rodzaju, że czy to w mieście, czy na wsi (podczas wakacyi), było to jakby jedno grono prawie nigdy nierozdzielne. Juliusz, młodszy wiekiem od panien, do grona tego oczywiście należał i tém swobodniéj się w niém poruszał, że był niejako Beniaminkiem pomiędzy niemi wszystkiemi. Wiedzieć zaś trzeba, że jak w tylu innych względach okazywała się w chłopcu pewna przedwczesność, tak też i to jeszcze w nim uderzało, że piękne rysy twarzy kobiecéj sprawiały na nim już w owych latach czar jakiś niewysłowiony. Był on zdolny godzinami całemi siedzieć u stóp jakiej choćby też niekoniecznie młodéj osoby i wpatrywać jéj się w oczy, jeżeli te oczy miały dla niego urok. Widać wrodzony mu już był pewien idealny, artystyczny, platoniczny pociąg do niewieścich piękności, bez względu na wiek i tym podobne okoliczności uboczne. Otóż jedna z córek owego domu zaprzyjaźnionego z rodziną Juliusza, Ludwika, zaczęła sama może o tém nie wiedząc, obudzać w nim coraz żywsze zajęcie. Zajęcie to było oczywiście bez wzajemności; panna była bowiem podobno od niego starsza, więc uważała go w porównaniu ze sobą za dziecko, a jego zapały za dziecińatwo, za dziwactwo, za szał poetycznéj fantazyi, którym się w najlepszym razie czas jakiś pobawić można, ażeby go potém zimną przyjacielską perswazyą przywołać

do równowagi. Nie przeszkadzało to wszelako bynajmniéj zarodowi uczuć, raz w sercu chłopca zbudzonych, rozwijać się coraz więcéj, tak iż w 17 roku życia rozgorzał całą namiętnością rozkochanego po raz pierwszy młodzieńca.

Jeżeli się godzi polegać na opowiadaniach, podług których przedstawiam te stósunki: powierzchowność osoby, o któréj mowa, nie miała w sobie nic tak nadzwyczajnego. Była to twarz pełna wyrazu i życia — miła, świeża, o czarnych oczach przy płci białéj i delikatnéj — lecz z resztą, jak wiele innych. Ale duchowo łączyła w sobie panna Ludwika wiele własności, znamionujących głębszą naturę i zdolnych właśnie przeto sprawić na drugim żywsze wrażenie. Tkliwa, czuła, ruchliwéj wyobraźni, wykształcona starannie, trochę nawet sawantka, nie bez skłonności do poetycznych zachwytów i posuniętych czasami aż do excentryczności uniesień — nic dziwnego, że wywierała ona jakiś urok niepokonany na umyśle młodego poety naszego, którego pociągało ku niéj nie samo tylko to pokrewieństwo ich duchowego nastroju, ale jeszcze i ta okoliczność w dodatku, że był on wtedy dopiero właśnie dążącym ku temu ideałowi, na wysokości którego tamta, jako doskonałość skończona, już mu się być zdawała. I dalsze życie panny Ludwiki Ś. zawsze w niéj okazywało osobę mniéj zwyczajnego usposobienia. Lecz mówić o tém nie byłoby tu na miejscu.—Owoż właśnie to wszystko działało silnie na wyobraźnię Juliusza: pokochał, ubóstwił, i zdawało mu się, że kiedy on podniósł się sercem na wysokość uczuć Abelarda albo Romea, to też powinien być, równie jak tamci, i wzajemnie kochanym. Ale po drugiéj stronie nie podzielano bynajmniéj tego przekonania. Tam nie zapominano ani na chwilę, że odgrywać rolę Heloizy albo też Julii w obec chłopca, który ledwie dzieckiem być przestał, narażałoby tylko na śmieszność. Przy całéj tedy przyjaźni i życzliwéj wyrozumiałości dla romantycznych uniesień młodego entuzyasty, nie chciała go panna ani łudzić ani też w nadziejach, jakie powziął, utwierdzać; choć z drugiéj znowu strony nie zdawało jéj się stósowném doraźnie i wręcz niweczyć te nadzieje. Trwał tedy przez czas jakiś pomiędzy nimi ten szczególny stósunek, to

sprawiając w młodym marzycielu zachwyty szczęścia, to go przejmując boleścią; to mu z ust wyrywając wyrazy uwielbienia, to znowu gorzkie skargi i złorzeczenie. I w téj też chwiejności pomiędzy jedną ostatecznością a drugą widzimy go i w późniejszych jeszcze latach, czy to kiedy w listach do matki wspomina mimochodem o owych czasach i miejscach i stósunkach, czy kiedy je poetycznie maluje w Godzinie Myśli. W nader częstych wzmiankach listownych mówi zwykle o Ludwice tonem obrażonego, tonem niby obojętnym i chłodnym; ale widać ze wszystkiego, że tam zupełnie co innego kryło się na spodzie serca, jak sama tylko pamięć — minionéj przeszłości. W Godzinie Myśli zaś, pisanéj w sześć albo pięć lat po czasie, gdzie się to działo, wspomina o tém w następujących wyrazach:

„Dziecko z czarnemi oczyma
Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy-anioła: —
Czarnemi weń oczyma patrzała i bladła,
Myśląc o życiu dziecka, bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała.
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi
Przeciwko własnéj duszy i czczym chwilom ziemi.
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jéj tak były łagodne, tak drżące,
Że we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanéj wyrazu“...

Ale rzeczywiście — zeznanéj miłości pomiędzy nimi nie było. Skończyły się tedy te sny urocze młodości rozejściem się obójga, każdego w inną stronę. Juliusz poszedł w swoję z uczuciem zranionéj dumy, cały zgorzkniały, z bajronicznêm rozczarowaniem i zwątpieniem o wszystkiém. Rozczarowanie to nie mając żadnego rzetelnego powodu i przypadając na wiek bardzo rychły,

możeby jako prosty tylko objaw niedojrzałości moralnéj, nie zasługiwało wcale na wzmiankę w biografii autora Balladyny, gdybyśmy go i w kilką jeszcze lat późniéj, już na emigracyi, nie widzieli patrzącego na te rzeczy ciągle pod wpływem tychże samych ujemnych usposobień. Tak np. powiada, że po owéj rozmowie stanowczéj, która koniec położyła wszystkiemu pomiędzy nimi, „upadł bladą twarzą do ziemi, jak zabity słowami, dumnym wstydem drżący, gdyż miał już wtedy dumę wielkiego człowieka“...

.... „Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetną okrzykiem ludzi: — a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem...
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało —
I nie było w nim wiary w szczęście ani Boga;
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga!
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się, i gmach budował niedowiarstwem ciemny;
Ta budowa ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać...

— Gdyby teraz, obok téj tak posępnéj barwy wewnętrznych dziejów młodości Słowackiego, postawić obraz rzeczywistych stósunków, w jakich wzrastał i wśród których przebiegał szkoły wileńskie: okazał by się zaprawdę kontrast niemały pomiędzy wymarzonemi cierpieniami tego złamanego serca a istotną dolą, jakiéj zażywał!

Rzeczywiście bowiem zewnętrzne powodzenie młodego bajronisty było jedno z najszczęśliwszych. Nie zbywało mu na niczém. Wszystkie jego potrzeby opatrywała matka, odgadując najskrytsze życzenia jedynaka. Nie zaznał, co to sieroctwo, co to życie pośród obcych, co to samotność i tęsknota za domem rodzicielskim, co tó wreszcie niedostatek... Miał rodzeństwo przybrane,

które go kochało jak rodzonego brata, i żył sobie najszczęśliwiéj w otoczeniu swojém codzienném. Na łonie miłującéj, dobréj matki dano mu było przepędzić cały życia poranek. Co się tyczy wychowania — i tutaj czuwano opatrznie i troskliwie nad wszystkiém. Czego go nie uczono w szkołach publicznych, to mu było udzielane za pomocą lekcyi prywatnych. Środków na to wszystko było w tym domu dostatkiem. Uczył się muzyki; dawano mu lekcye języka angielskiego, rysunku, tańca; malował, — miał książek, ile tylko chciał i jakich tylko żądał. W szkołach otaczało go grono miłych towarzyszy, pomiędzy którymi był liczony do celujących. Wakacye spędzał rok rocznie na wsi, w rozkosznych Mickunach, położonych nad Wilejką niezbyt daleko od Wilna. Była to majętność krewnych jego ojczyma, czy też nawet własność samego doktora Becú. Z jakąż lubością, jakże tęsknie rozpamiętywał nieraz Słowacki w listach do matki pisanych w późniejszém życiu, o tych cudnych okolicach, o téj upajającéj woni lasów sosnowych, o kwiatach polnych i łąkach zielonych owéj ukochanéj wioski litewskiéj, w któréj mu lotem błyskawicy w takiéj swobodzie duszy ubiegały wakacye!... Gdyby, powtarzam, porównać więc młodość jego z dziejami młodości innych — gdyby ją porównać z losem na przykład Brodzińskiego... Kiedy Brodziński był jeszcze drobném dzieckiem, srodze poniewierała go macocha. Ojciec o niego nie dbał wcale, tak iż tylko chyba w czeladnicy pomiędzy służbą, albo na wsi pomiędzy dzieciakami wiejskiemi był dla niego jakiś przytułek. Kiedy się już chłopcem podniósł nieco od ziemi, bito go w szkółce parafialnéj rózgami, za to że sobie z owym nieszczęśliwym katechizmem niemieckim nie umiał nigdy dać rady. Kiedy chodził do gimnazyum, morzono go głodem, bo go niedbały i niezaradny ojciec na stancyi zawsze najniefortunniéj umieszczał. A w wyższych klasach morzono go znowu innym głodem — głodem duchowym! Boć zabraniano mu pod najsurowszą karą wszelkich książek nieobjętych w ciasnym ówczesnym regulaminie szkolnym; a to, czego dozwalano, takie było jałowe, tak dalekie od wszystkiego, czego serce pragnęło, że na przykład dzieła Kochanowskiego już były kontrabandą, za którą trzeba było odsiadywać kozę... Żył więc ciągle w niedostatku, biedzie, ponie-

wierce — w upokorzeniu i sieroctwie... Nie znał co to uścisk rodzicielski, co to kierunek życzliwéj ręki, co to pragnienie — najskromniejsze, najsłuszniejsze a zaspokojone! Wzrastał jak ta płonka polna, wystawiona bez opieki na wszelkie słoty i wiatry. Do wysokości tego wszystkiego, w co Słowacki codzień opływał, Brodziński się nie wznosił ani marzeniem! A przecież — miał i autor Wiesława dosyć téj tkliwości serca i téj żywéj wyobraźni, ażeby czuć boleśnie, w jakich żyje stosunkach!...

W r. 1824 nawiedziło dom rodziców Juliusza nieszczęście: ojczym jego, profesor Becu, wśród dziwnego zbiegu okoliczności uderzony piorunem zakończył życie. Smutny ten wypadek nie wywarł jednak zbyt niekorzystnych następstw na dalszą dolę 15letniego już natenczas jego pasierba, ani też na los żony i córek zmarłego. Pozostały bowiem majątek wystarczał dostatecznie na przyzwoite utrzymanie całéj rodziny; a opieka takiéj matki sprawiała, że brak głowy domu czuć się dotkliwie nie dawał. Szło więc i potém wszystko swoim trybem, prawie równie pomyślnie, jak przedtém. Po skończeniu gimnazyum przeszedł Juliusz do uniwersytetu. Jego siostry powychodziły za mąż. A pani Becu, chociaż jéj od czasu śmierci męża z wielu przyczyn bardzo posmutniało na Litwie, a wielce ją ciągnął ku sobie rodzicielski domek w Krzemieńcu, mieszkała jednak i nadal w Wilnie przez cały czas studyów syna uniwersyteckich, ażeby go tam nie pozostawiać samego. Jego ciągła słabowitość i ta niewprawa w radzeniu o samym sobie, która mu już była wrodzoną, wiązały ją do miejsca.

Zresztą w r. 1826 przerwał Słowacki na czas jakiś kursa uniwersyteckie i odbył kilkomiesięczną podróż nad morze Czarne, do Odessy. Odbył ją już to dla rozrywki i roztargnienia, już ażeby użyć kąpieli morskich, poleconych mu przez lekarzy z powodu jakichś dolegliwości piersiowych. Pokrzepiony na siłach, powrócił potém jeszcze do Wilna, ażeby dokończyć nauk, chociaż nie zdaje się, żeby był wtedy zamierzał poświęcić się jakiemu zawodowi, którýby wymagał studyów akademickich uwieńczonych examinami albo patentem doktorskim. Jeszcze i następnego roku pisał list do stryja Erazma Słowackiego, adwo-

kata w Żytomierzu i właściciela dóbr w okolicy, (ogłoszono list ten w Gazecie Codziennéj warszawskiéj 1860), w którym o dalszych planach swoich w niepewności przemawia, to skłaniając się myślą ku projektom kilkoletniéj podróży do Włoch, w którymto kraju możeby i na stałe zamieszkał, to znowu marząc o nabyciu jakiéj wsi na Wołyniu w okolicy Krzemieńca, z którego biblioteki licealnéj spodziewał się korzystać, jeżeliby miał jaki stały pobyt w pobliżu.

Dopiero wreszcie rok następny (1828) rozstrzygnął onę niepewność, jakby się pokierować daléj na świecie; rozstrzygnął ją zaś w taki sposób, jaki, ile się zdaje, nie wchodził wcale w dawniejsze plany. Stanęło bowiem na tém, że się Słowacki zdecydował oddać służbie rządowéj i to w zakresie administracyjnym. Z tego powodu i syn i matka pożegnali się teraz z Wilnem; pierwszy, ażeby się przenieść do Warszawy; matka zaś, ażeby odetchnąć tém ożywczém powietrzem, które dla niéj wiało już tylko od stron rodzinnego Wołynia. Żyli tam jeszcze — w Krzemieńcu samym — jéj sędziwi rodzice i tęsknie jedynaczkę swoję przyzywali do siebie. I bracia jéj obydwaj, Jan i Teofil Januszewscy, byli także w tamtych stronach osiedli. Co większa — żoną jednego z nich, Teofila, była od niejakiego czasu właśnie jedna z pasierbic matki Juliusza, Hersylia Becu. A zatem i część wileńskiéj niegdyś rodziny oczekiwała już teraz na nią w Krzemieńcu. To wszystko skłoniło tedy panią Becu do powzięcia postanowienia, że się ze synem po raz pierwszy w życiu na czas nieco dłuższy rozstanie, puści go do Warszawy samego, a sama obierze dom rodzicielski za miejsce tymczasowego pobytu, pókiby się Juliusz jako nie rozporządził i ostatecznie nie ustalił losu swojego na świecie.

Nastąpiło tedy w rzeczonym r. 1828 rozstanie się z stolicą Litwy. Podróż do Krzemieńca odbyli jeszcze oboje razem. Pragnęli bowiem dziadostwo osobiście pobłogosławić wnukowi przy tym pierwszym jego kroku w zakres praktycznego zawodu. Przy téjto więc sposobności odwiedził Juliusz raz jeszcze owo miasto, w którém się zrodził i przepędził pierwsze lata dziecięctwa. Kiedy po kilku tygodniach wesołego i pełnego rozrywek życia wśród

grona całéj rodziny, które mu jak sen słodki spłynęły, przyszło mu nareszcie w świat daleki z murów Krzemieńca wyjeżdżać, to się rozstawał z temi wzgórzami, które go znały chłopięciem, i z krewnymi i z ukochaną matką niewątpliwie ze łzą w oku i ciężkiém sercem; ale tego w téj rychłéj wiośnie życia swojego nie mógł on biedny przypuszczać, że to była ostatnia jego bytność w tych stronach... że z tych wszystkich drogich osób nie zobaczy jednych już nigdy, drugich zaś miał wprawdzie raz jedyny jeszcze w życiu swojém oglądać, ale w okolicznościach tak smutnych i na ziemiach tak odległych i przez ciąg chwili tak krótkiéj, że i z niemi to jego żegnanie się ówczesne było rzeczywiście jakby ostatniém pożegnaniem...

Za przybyciem do Warszawy, przedstawił się księciu Lubeckiemu, naówczas ministrowi skarbu, i wszedł w poczet bezpłatnych pracowników w będącym pod jego sterem wydziale rządu ówczesnego królestwa polskiego. Książę przyjął go dobrze i był już korzystnie uprzedzony o osobie młodego aplikanta. Przyobiecał mu swoję protekcyą, i w rzeczy saméj okazywał się zawsze dla Słowackiego dosyć życzliwym. Bezpośrednim naczelnikiem biura, do którego przydzielono Juliusza, był Dominik Lisiecki, pisarz znany w literaturze z nieźle dokonanych tłómaczeń niektórych autorów francuskich. Byłto zwolennik klasycyzmu, mianowicie wielbiciel Kornela i Woltera, którychto właśnie w latach młodszych przekładał. Ale miał on zmysł i dla nowszych pojawów literatury; zaczém poszło, że spolszczył i Lamartina utwory niektóre, a wreszcie i inne rzeczy, np. Nieszpory Sycylijskie Delavignego. Ta żyłka poetyczna dyrektora wydziału ułatwiła Juliuszowi serdeczniejsze zbliżenie się do niego. Zawiązały się tedy między nimi przyjacielskie stósunki, tyle pożądane dla niedoświadczonego młodzieńca, rzuconego w sam wir nieznanego mu świata i obcych zgoła żywiołów. Za jedną znajomością poszły i drugie. Odszukał Odyńca, z którym, lubo młodszy, miał zapewne jakąś znajomość już z Wilna. Odyniec bawił wtedy od lat już kilku w Warszawie; jako poeta zażywał już pewnéj wziętości, dawszy się poznać publiczności z rozmaitych wierszy i ballad, których zbiór we dwóch tomach był wydał jeszcze roku 1825.

W owym czasie, kiedy Słowacki do Warszawy przybył, był on zajęty właśnie drukiem swojéj Izory (1828). O ile wnosić można z listów, późniéj z emigracyi pisanych, musiało i ze Stefanem Witwickim zajść poznajomienie już w owych czasach warszawskich. Ale nie przypadli sobie jakoś do serca, przynajmniéj Słowacki zawsze o nim wspominał z lekceważeniem i w sposób, który przekonywa, że go nie lubił. Czy znalazł sposobność zbliżenia się do Brodzińskiego, tego powiedzieć nie umiem. Również niepewną jest rzeczą, czy się widywali z Lelewelem, choć go dobrze znać musiał z wileńskich jeszcze czasów. Najwięcéj wrażenia sprawił na nim Niemcewicz, sędziwy patryarcha pomiędzy całą ówczesną inteligencyą warszawską, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jeden z najzasłużeńszych i najpopularniejszych ludzi nie tylko w stolicy, ale i w całym narodzie. Złożył mu Słowacki pierwszą swoję wizytę w jego wiejskiém mieszkaniu w Ursynowie, małéj pod samą Warszawą wioseczce, która jak wiadomo, była aż do r. 1831 Niemcewicza własnością i jemu też zawdzięczała tę nową swoję nazwę. Zawiózł tam Juliusza do niego hr. Tomasz Potocki. Było to w miesiącu wrześniu 1830 r. Ponieważ to pierwsze zbliżenie swoje do czcigodnego starca sam on szczegółowo matce w dni kilka potém listownie opisał, i list ten — jedyny z przedemigracyjnych czasów — odszukany został pomiędzy ich papierami: miło więc pewnie będzie czytelnikom moim odczytać tu dosłownie z niego cały ustęp dotyczący rzeczonéj okoliczności.

...„W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin. Wymówiłem się z tém kiedyś dawniéj przed jednym z moich znajomych, i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach; przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przypijała do mnie szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła; zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona — kawony — melony Wołyń mi przypominały i jeszcze bardziéj dopomagały illuzyi.—W kilka dni potém, jednego poranka przyjechał do mnie Potocki, prosząc żebym z nim jechał do Ursynowa, maleńkiéj wioseczki Niemcewicza. Muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ur-

synów leży o maleńką milę od Warszawy za Mokotowem. Śliczny był ranek — trochę zimny — i mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśny.— Nareszcie stanęliśmy u celu podróży — pojazd nasz zatrzymał się w alei, w któréj z daleka widać już było dom poety — nie kazaliśmy jechać daléj, bo Niemcewicz stał przed gankiem — podobnie więc jak L. do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszoném. Przywitał nas dosyć obojętnie — zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał? Szczęściem że rozmowa ta prędko się skończyła. — „Panie Hrabio, rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach — ja się muszę tymczasem przebrać.“ To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie. — Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkiemi drzewami, bardziéj do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny — w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza. Z téj krowy, jak mi sam mówił — ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małéj altanki z kory, na któréj wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać każe przez skromność. Usiadłem w altanie — Potocki stał nademną, a widząc że jestem nadzwyczaj smutny i blady, zapytał mnie o przyczynę. Myślą odpowiedziałem mu, iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz — słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem! Szczęśliwy... odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie! — Wtém lokaj przysłany od Starego zaprosił nas na śniadanie. Właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń!... Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza, i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na saméj tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie maleńkie dziewczynki; są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: „Pan jesteś tak głupi jak ja“ — a stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. — Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, że-

bym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę — kazał się jednéj dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: kto jesteś? — odpowiedziała: żona Panowa. Potém kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedyi Mindowe. Na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiéj sceny, w któréj Mindowe zrywa z Krzyżakiem: obrócił się nagle— czoło jego pomarszczyło się — widać było znacznie natężoną uwagę — patrzał mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć, a oczy ma szare przenikliwe i wielkiemi najeżone brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiéj sceny wykrzyknął głośno: ach! czemuż téj tragedyi grać nie można! Ten wykrzyknik bardziéj mi pochlebił, niż wszystkie potém dawane pochwały. — Czytałem daléj — słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent i duch obywatelski utrzyma.“ Potem dodał: „przepisz Pan tę tragedyą na kilka rąk — warto, niech czeka szczęśliwszych czasów!... Chciałbym ją całą czytać“.... Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą — a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze:—„Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“—Prawda, jak to po staropolsku?“

Z powyższego listu wynika, że miał tedy Juliusz i w Warszawie przyjaciół, którzy mu dawali serdeczne dowody przywiązania, i że zdarzały mu się chwile, które go przenikały uczuciem szczęścia. Jednak w ogóle stolica nie podobała się naszemu poecie. Zrażała go do Warszawy szczególniéj ta okoliczność, iż przywykły do pięknych okolic Wilna i Krzemieńca, tutaj już nie znajdywał nic podobnego. Często o tém w późniejszych nawet listach wspominał. Dla zwyczajnego człowieka obojętną to jest rzeczą, jakie tam jest położenie miejsca, w którém się życie spędza; ale w oczach poety ma to ważność niemałą. Prócz tego nie mógł też Słowacki zasmakować w téj robocie suchéj biurowéj, która z obowiązku miała stanowić pierwszorzędne jego zajęcie; ile że go zaprzątano samemi prawie pracami mechanicznemi, to jest kazano po prostu przepisywać... Drażliwy umysł Juliusza przyjmował to jako umyślne upośledzanie, które miało być następstwem jego

nie dość dostojnego położenia towarzyskiego. Uważał zaś to sobie za tém dotkliwszą krzywdę, że wszakże pracował w biórze równie bezpłatnie, jak ci wszyscy, którzy byli protegowani... „Mój wielki niegdyś protektor — mówi uszczypliwie o księciu Lubeckim w jednym z późniejszych listów — zaraz mi chciał dać pensyą: nie przyjąłem jéj. Cóż to pomogło? byli tam hrabiowie — ja przepisywałem!... Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem"...

Tymczasem nadeszła jesień 1830, a z nią i koniec Listopada, i wypadki listopadowe. Wywarły one zaraz w najpiérwszéj chwili na Słowackim wstrząsające wrażenie. Dał się porwać tym entuzyazmem, który całą ówczesną ludność stolicy, a mianowicie młodzież ogarnął. Wyrazem tego usposobienia było kilka lirycznych jego utworów, na przykład Oda do Wolności, Hymn do Bogarodzicy, Kulik, wreszcie Pieśń Legionu litewskiego, które tak ściśle rymowały z powszechnym zapałem w chwilach owych pamiętnych. Obiegając w licznych odpisach, podawane z rąk do rąk — one to dopiero rozsławiły w najdalszych kołach imię nowego poety, którego talent znali przedtém najbliżsi tylko znajomi. Ogłaszane w pismach peryodycznych, a niektóre drukowane i w osobnych broszurach*) — pieśni te stawiały Słowackiego w obec całego kraju w szeregu idących przodem, powołujących cały naród do czynu...

Po upływie atoli pierwszych tygodni listopadowego powstania, zaczęły owe pełne ognia popędy u niego stygnąć i ustępować miejsca innym uczuciom. Nadzieje z razu tak jasne, zaczęły się ćmić i osłaniać chmurami—trudno wyrzéc stanowczo, czy chmurami

*) Tak na przykład wyszła osobna broszura pod tytułem „Oda do Wolności i Hymn przez Słowackiego. W Warszawie w drukarni stereotypowéj przy ulicy królewskiéj w pałacu Dembowskich Nro. 1065. r. 1830." Format ćwiartkowy, stron 8 i 2 niełiczbowane. Tę Odę do Wolności zamieściłem w III tomie Pism pośmiertnych. Hymn (do Bogarodzicy) jest w edycyi lipskiéj. — Również znany mi jest jako osobne pisemko: „Kulik Polaków przez Juliusza Słowackiego. Warszawa, 1831." 8o, stron 8 nieliczbowanych.— To więc były najpierwsze poety naszego publikacye.

trwogi o przyszłość kraju, czy tylko osobistego wstrętu do wszystkiego, co się tam działo. Zwątpienie, niesmak, niemożność jakaś dłuższego wytrwania wśród stósunków, w jakich się widział, brały odtąd coraz więcéj górę nad excentrycznem usposobieniem poety. Przyszło nareszcie do tęgo, że powziął już na początku marca zamiar porzucenia Warszawy — i zaopatrzywszy się w formalny pasport ze strony ówczesnego rządu polskiego, rzeczywiście wyjechał za granicę już dnia 8 marca 1831 roku.

Byłto krok, który jak się okazało późniéj, miał być w życiu jego stanowczym. Owato chwila, ów wyjazd tak rychły z kraju, rozstrzygnął nie tylko o całém dalszém życiu jego jako człowieka, ale i o powodzeniu jego w zawodzie, któremu całe szczęście osobiste poświęcił, w wzniosłym zawodzie poety... Gdyby Słowacki był pozostał w kraju, lutnia jego byłaby niezawodnie strojniejsza; niebo jego poezyi byłoby niewątpliwie mniéj chmurne. I cóż go to wyprowadziło z ojczyzny? Co go rzuciło na niepewne fale wygnania? Dlaczegoto przyszło jemu rozpoczynać już wtedy to bolesne życie bez celu, wśród żywiołów obcych, w okolicznościach które tak rychło zdarły z oczu jego wszelkie one illuzye, które luboułudne, przecież niezbędne są człowiekowi poniekąd, ażeby sobie nie obrzydzał tych znikomych kształtów istnienia? Czyż mu przewodniczyła, kiedy się na tułactwo sam wskazał, owa myśl podnosząca i wielka, która w kilka miesięcy późniéj tylu innych miała prowadzić na zachód? czy szła powtarzam przed nim ta gwiazda wiary, że to jeszcze jedyny, że to ze wszystkich, jakie były, ostatni sposób spełnienia w obec świata i Boga obowiązku, który jest najwznioślejszym na ziemi? — Nie! W téj myśli Słowacki z krajem się swoim nie żegnał. Byłaż to zatém tylko chimera poetycka, która go pchnęła w nieznane obszary świata, zaludnione ideałami nieokreślonych pragnień? Czy wreszcie kazało mu tak sobie postąpić życzenie matki, trwożnéj może o swego jedynaka wśród niebezpieczeństw otaczającéj go wojny?..

Na te pytania trudno jest odpowiedzieć stanowczo.

Pierwszy list Słowackiego, z zagranicy pisany, od takich się słów zaczyna:

„Kochana Mamo! zadziwisz się zapewne odbierając ode mnie list datowany z Wrocławia. Dopełniając woli kochanéj Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem za granicę“...

Z tych słów zdawałoby się wynikać, że zatém matka to kazała mu oddalić się z Warszawy. Ale dodatek, że się to życzenie matki i z jego chęcią zgadzało, nasuwa przekonanie, że mieć musiał Juliusz jednak i inne jeszcze, swoje własne powody do wyjazdu za granicę. Nakoniec i życzenie matki musiało być chyba kiedyś tam dawniéj i bez żadnéj naleglіwości, więc nawiasowo tylko wypowiedziane, kiedy tak daléj ciągnie Juliusz zdanie to na początku listu owego stawione:

„I teraz z wielkim strachem oczekuję listu od Mamy, czy Ci się mój wyjazd podoba, czy nie. (Z listu z d. 17 marca 1831, pisanego z Wrocławia).“

Daléj w tymże liście spotykamy znowu takie wyrazy:

„Wyjechałem w podróż 8 tego miesiąca — wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam: i teraz jeszcze często się kłócę z mojém sumieniem“....

W liście następnym (z dnia 12 kwietnia) powraca znowu do dziwnego wyjazdu swego z Warszawy i tak się tłómaczy:

„W biurze nie było żadnych widoków — nawet to biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane, z powodu.... Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci — Los jakiś rządzi moją karyerą i widzę, że zawsze będzie mi na przeszkodzie stawał“...

W innych miejscach korespondencyi jego z owych miesięcy spotykają się wyrażenia, które dowodzą, że mu żal, że go nawet wstyd było, że wśród takich okoliczności, jak ówczesne, wydalił się z Warszawy. Były chwile, gdzie się wahał, czyby nie wrócić... Zdaje się, że i rodzina w Krzemieńcu z frasunkiem i nieukontentowaniem przyjęła wiadomość o tém. Do matki pisał Juliusz (d. 6 lipca 1831):

„Dzięki Ci Matko, za wszystko, co robisz dla syna, który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. O Mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano. Może potém znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju...

Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte — ale przyjdzie chwila"...

Wujowi zaś swemu, który snać tę ucieczkę Juliusza czy żartem, czy seryo kładł na karb nieodwagi albo wstrętu do służby w wojsku, odpowiedział, jak następuje:

„Teofilu kochany, jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem — nie mogłem być użytecznym Ojczyźnie"...

Wszystkie te ustępy z listów Juliusza sprawiają w pierwszéj chwili wrażenie, jakby mu ciężyła na sumieniu jakaś wina upokarzająca. Wyjazd jego z Warszawy wygląda jak tajemnica, na dnie któréj ukrywa się coś, czego niemiło wyrazić po właściwém imieniu. Pozory wszystkie mówią przeciwko niemu. Jakakolwiek była to sprawa, która go spowodowała do porzucenia kraju w takiéj chwili, w jakiéj go rzucał, w każdym razie było to coś, z czém nie do twarzy autorowi Bogarodzicy i Kuliku...

Taką się ta rzecz wydaje, jeżelibyśmy sądzić o niéj mieli wedle pozorów. A jednak —

Ja nie mam bezpośredniego faktu, na mocy którego mógłbym tu stanąć w obronie Słowackiego. Rzetelny powód jego wyjazdu pozostał tajemnicą na zawsze. Zdaje mi się jednak, że przenikam tę tajemnicę. Byłato okoliczność, która przynosi raczéj zaszczyt sercu, aniżeli ujmę sile charakteru młodego poety. Pomimo tego, tak się wtedy rzeczy złożyły, że nie mogła ona żadną miarą być powiedziana ani matce, ani krewnym. Powody dostateczne nie dozwalają mi zagadki téj wytłómaczyć już na tém miejscu. Znajdzie ją czytelnik dopiero wyłuszczoną między zdarzeniami z r. 1832. Gdybym to, co tu mam w myśli, wypowiedział już teraz, wyglądałoby to tylko na luźną hipotezę i na nic więcéj. W tamtym rozdziale domysł mój się okaże podparty tylu przemawiającemi za trafnością jego okolicznościami, że zdaje mi się, iż nikt o istocie prawdy wątpić wtedy już nie potrafi.

Bądź jak bądź, tymto więc krokiem, tym wyjazdem wczesnym z Warszawy Słowacki w 22 roku życia zamknął nierozmyślnie pierwszą połowę zawodu swego na ziemi. Pierwsza ta ży-

cia jego epoka, spędzona na ojczystéj ziemi — upłynęła mu między swymi, pośród stósunków normalnych i godzi się dodać: pod wielu względami nader pomyślnych. Od owéj chwili poczęła się epoka druga: życie na wygnaniu, poniewierka między obcymi, wieczna tęsknota do ojczyzny, nieustająca świadomość czczości życia bez celu, gorzkie zawody przy każdym kroku, ciągła walka z przeciwnościami, niekiedy z niedostatkiem—i ten cały długi szereg tysiącznych cierpień, z jakich się splata smutna dola tułacza. Takieto życia koleje otwarły się teraz dla naszego poety — na zawsze, aż do samego zgonu! Czy exystencya wśród takich okoliczności wpłynęła na podniesienie czy na spaczenie téj potężnéj poetyckiéj zdolności, jaką go obdarzyła natura, to się okaże w dalszych rozdziałach.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832go. Przybycie do Wrocławia, a stąd do Drezna. Odyniec — okolice drezdeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — ementarz Père-la-Chaise — teatra — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacye i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Praniewicz — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie.

Od pierwszéj chwili wydalenia się Słowackiego z kraju rozpoczyna się jego korespondencya z matką. Korespondencya ta regularna, szczegółowa, prowadzona bez przerwy aż do ostatnich dni życia, leży w całéj zupełności przedemną. Od téj pory możemy tedy iść za poetą naszym krok w krok i nawet własnemi jego słowy opowiadać o niejedném zdarzeniu.

Wyjechał z Warszawy dnia 8 marca 1831 r. Wyjechał smutny i bez złudzeń co do sprawy publicznéj.

> „Nudną miałem drogę — pisał w pierwszym liście, z d. 17 marca datowanym z Wrocławia — czas dosyć brzydki; wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam; teraz jeszcze często się kłócę z mojém sumieniem. Mamo moja, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić“...

Jechał właściwie ku Dreznu, ale trzeba było przejeżdżać przez terytoryum pruskie. Kiedy się przez granicę przeprawił, odebrano mu pasport, który miał wystawiony od rządu warszaw-

skiego, i kazano zatrzymać się w Wrocławiu, obiecując dać nowy paszport, pruski. Czekając na ten dokument, przepędził Słowacki w Wrocławiu dwa tygodnie i dni kilka pod ścisłym policyjnym nadzorem. Stał w hotelu *Goldene Gans* i nudził się w tém mieście niemiłosiernie; do czego się w części i ta przyczyniała okoliczność, że prawie nie znał wcale języka niemieckiego.

„Nie lękajcie się jednak o mnie (pisał żartobliwie w jednym z listów ówczesnych); mówię już i ja trochę tym językiem i nie jestem przymuszony, chcąc jeść zaglądać do rozmówek, jak nasz poczciwy Kł. A propos rozmówek, książeczka, którąś mi kochana Mamo przy moim odjeździe z Krzemieńca do tłómoka włożyła, nieraz mi tu usługuje; ale uczę się pierwéj frazesu, a potém go recytuję w książeczkę nie patrząc. To jest bardziéj honorowo"....

Wreszcie dano mu paszport pruski, wystawiony do Francyi. Słowacki wyjechał jednak do Drezna, w zamiarze dłuższego tam atrzymania się. Przybył do Drezna w sam wielki Piątek. Stanął w hotelu pod złotą Koroną. Pierwszém miejscem, do którego się za przybyciem do miasta udał, był kościół.

„Zaraz wyszedłem na miasto — pisze w liście z dnia 12 kwietnia — albowiem mówiono mi, że w katolickim kościele ma być ładna muzyka. I słyszałem śpiewy. Trafiłem właśnie na psalm śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz słyszany głos tego rodzaju — wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednéj trójkąt obstawiony palącemi się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie... Po obiedzie znowu wyszedłem na miasto, w nadziei iż chodząc po ulicach, napotkam gdzie Odyńca*).

---

*) Odyniec przedtém mieszkał w Warszawie i tamto się z nim, jak już wyżéj nadmieniłem, bliżéj zapoznał Słowacki. W r. 1829 puścił się atoli autor Izory razem z Mickiewiczem w podróż do Włoch; a właściwie podążył do niego nasamprzód do Petersburga, gdzie (w miesiącu maju) wsiedli obydwaj na okręt i puścili się morzem bałtyckiém do Lubeki, stamtąd do Berlina (tu pierwsza znajomość z Garczyńskim), a z Berlina na Pragę, na Wejmar i przez Szwajcaryą — do Włoch. Zimę z 1829 na 1830 przepędzili razem w Rzymie. W maju (1830) zrobili wycieczkę do Neapolu, a stąd zwiedzili i Sycylią. W ciągu lata zwrócili się do Włoch północnych, a wreszcie nawiedzili powtórnie Szwajcaryą, tak iż w sierpniu już

Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek. Spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię — Baldiniego; nad drzwiami napisano: Café de l' Europe. Ha! myślę sobie, Odyniec musi być w Europie... Wchodzę na pewno, i za pierwszym rzutem oka postrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie To Czatyrdach? odpowiedział Aa!...*) I nie przez jedno tylko Aa!.. wyraził niepospolite zadziwienie. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania, i zaraz wziąwszy się za ręce poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancyą, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, że mi tu za darmo przychodzi. Za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o pięciu oknach (a przez każde okno, jak powiada Odyniec, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, tylko trochę zapyloną; słowem że mogę wieczorami lampę zapalać i bajronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, że oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność patrząc na ładną córkę mojéj gospodyni. Panienka mówi po francusku, i ładnie gra na fortepianie. Waryacye Czernego zawsze mi Wilno i was wszystkich przypominają"...

Cały ton tego listu przekonywa, że pierwszy czas pobytu w stolicy saskiéj nie był dla Juliusza zbyt przykry.

„Bardzo mi się to miasto podoba, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknych okolicach; tutaj zaś są prześliczne."—

Oprócz Odyńca znalazł w Dreźnie kilku innych jeszcze rodaków: Platera, Chwaliboga, Mikulicza; pannę Czacką, dobrą matki swojéj znajomą; Komara, jenerałową Dąbrowską, panią

stanęli w Genewie. (Tu pierwsza znajomość Mickiewicza ze Zygmuntem Krasińskim). W wrześniu dopiero czy październiku (1830) rozstali się ze sobą obydwaj towarzysze podróży. Mickiewicz powrócił znowu do Rzymu, któreto miasto dopiero w r. 1831 na wiosnę opuścił; a Odyniec prosto z Genewy udał się do Paryża. Po upływie kilku miesięcy spędzonych w Francyi przeniósł się do Niemiec i już od początku 1831 r. stale przemieszkiwał w Dreźnie.

*) Zakończenie jednego z najpiękniejszych Sonetów Krymskich Mickiewicza.

Szymanowską z domu Poniatowską i t. d. Niektórzy bawili w Dreźnie z całemi rodzinami i byli już znani Słowackiemu z Warszawy. Szczególniéj uprzejmie był przyjmowany w domu pani Dobrzyckiéj.

„Poczciwa ta staruszka Polka, są własne słowa Juliusza, ma córkę, która jest pierwszą damą dworu. Ta oddawna zachwycona hymnem Bogarodzica, przyjęła mnie z otwartemi rękoma; a nad moim Kulikiem, którego jeszcze nie znacie — płakała.“

W towarzystwie poufalszych znajomych robił wycieczki do saskiéj Szwajcaryi i przeglądał celniejsze ciekawości drezdeńskie. *Grünes Gewölbe* nie sprawiło na nim takiego wrażenia, jak mu to obiecywano.

„Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu; tak że mi nic nie zostaje w pamięci. Ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tylu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiéjś wielkości, jako szczególny w swoim rodzaju.... Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnych *(Rüstkammer)*; znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach, doskonale dających wyobrażenie o ówczesnych walkach. Widzieć to dla poety i dla malarza bardzo potrzebne.... Śliczne są okolice Drezna! Wczoraj panna Dobrzycka i pani Asthon Angielka zaprowadziły mnie do Brysnitz nad Elbą. Nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni podobnéj do chłodnika Tetydy w Zofijówce. Byliśmy zawieszeni nad Elbą. Z drugiéj strony rzeki śliczne równiny, z prawéj strony w odległości ładne Drezno, a okna domów przy zachodzącém słońcu paliły się jak tysiączne lampy. Kilka statków z rozpiętemi żaglami płynęło po wodzie, i kilka czółen rybackich. Oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas pomimo etykiety słowa do dam nie przemówiłem.... Najczęściéj chodzimy z Odyńcem do Wielkiego Ogrodu na spacer; dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą cały dzień przepędzać nad szklanką piwa, z cygarem w gębie. Gdzie się tylko zbliżyć do tłumu, wszędzie o nas gadają, i lubią nas. Gospodyni, u któréj mieszkam, i córka gospodyni także bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, iż chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domie — druga, iż jeżeli by chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem ideą doskonałości“....

Wśród takich tedy rozrywek i zajęć płynął mu czas w Dreźnie—na pozór niby dość przyjemnie. Wieczory przepędzał w towarzystwie, albo też na operze włoskiéj, w któréj bardzo smakował. Dni zapełniał pracą, jeżeli go nie odrywało od niéj zwiedzanie jakiéj pięknéj okolicy lub różnych miasta tego osobliwości. Praca jego ograniczała się w owych tygodniach do samego czytania, gdyż to było lato. Trzeba zaś wiedzieć, że była to już taka jego właściwość, iż dopiero z jesienią poczynała się dla niego pora zapału do pracy twórczéj. Przez wiosnę zaś i lato (podobnie jak niegdyś Kniaźnin) nie czuł w sobie zazwyczaj żadnéj chęci do pisania, i nie przymuszał się też do tego. Było mu to właściwe przez całe jego życie i często też o tém i sam późniéj wspominał. I wtedy także pisał te słowa do matki: „Przeczytałem wiele ważnych dzieł. Nic teraz nie piszę — to mój zwyczaj w lecie“...

W gruncie rzeczy wszelako było już i w owéj porze niejedno, co mu zamącało ten tryb życia pozornie tyle uprzyjemniony. Żal, że wyjechał z kraju, trapił go ciągle, i to z biegiem czasu w coraz wzrastającéj progresyi. W pierwszych dniach bytności swojéj w Dreźnie wyrażał się tylko:—„Źle jest trochę, żem wyjechał za granicę... Przez czas jakiś miałem zamiar do Was powrócić.“ Ale już w półtora miesiąca późniéj (dnia 6 lipca) znajdujemy natomiast owe wyżéj już przytoczone utyskiwania:

> „O mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano.... Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte — ale przyjdzie chwila!“

Drugie, co mu dokuczało, była to niespokojność o to, co się tam dzieje z matką i z resztą rodziny.

> „Gdyby nie ta niespokojność, która mnie dręczy o Was, kochani moi, byłoby mi bardzo dobrze w Dreźnie.“

Wyrozumiemy ten zabijający niepokój, jeżeli wystawimy sobie stósunki, w jakich oni tam wtedy żyli. Słowacki wyprawiał do nich list za listem, a nie odbierał od nich przez długie czasy ani litery. Przez całe cztery pierwsze miesiące, od chwili wyjazdu swego z Warszawy, nie otrzymał ani jednego słowa od matki! Tymczasem wiedział aż nadto dobrze o niebezpieczeństwach,

jakie im groziły i ze strony grasującéj właśnie na Wołyniu cholery i z powodu wojny, która z wszystkiemi swemi okropnościami zdawała się wisieć już po nad prowincyami owemi.

A trzecia troska była o siebie — o swoję własną przyszłość, o któréj nasz dobrowolny tułacz nie umiał sobie utworzyć ani nawet wyobrażenia... Natura jego, skądinąd tylu uposażona darami, ale nad wszelki wyraz niepraktyczna — cała przeszłość jego, przebyta pod kierunkiem życzliwéj bo macierzyńskiéj ręki, lecz zawsze ręki obcéj, więc biernie: wszystko to stawiało teraz biednego tego młodzieńca na rozdrożu, na którem radzić sobie nie umiał. Z otuchą podjąć walkę życia, ażeby przezwyciężyć trudności: — to było nad jego siły.—„Napiszcie mi, co ja mam robić? gdzie się obrócić? jaki jest stan naszych interesów?“ — oto takiemi słowami przemawiał do rodziny, w zupełnym braku wiadomości, co z sobą począć. Stan interesów, o który się dopytywał, byłby bardzo pomyślny, gdyby byli oboje z matką mogli żyć razem i tworzyć tylko dom jeden; a w razie rozłączenia, gdyby były choć widoki, że Juliusz zajmie z czasem pozycyą, któréj korzyści przyjdą w pomoc dochodom z prywatnego majątku. Ale widoków takich teraz nie było... Sława literacka—wprawdzie uśmiechała się do niego, choć w pewnéj jeszcze oddali; ale na materyalne korzyści z tego tytułu, w okolicznościach jak ówczesne, bynajmniéj liczyć nie było można. Otóż, co mu szczególniéj odbierało otuchę. Wprawdzie miał żyć z czego chwilowo, gdyż mu matka dostarczała, czego potrzebował na utrzymanie. Ale, myślał sobie, co będzie daléj?

Były tedy przyjemne, ale też były i gorzkie, a nawet bardzo gorzkie chwile w owém drezdeńskiém życiu młodego emigranta i pozostały też tego ślady w korespondencyi. Tak na przykład po pierwszym liście nareszcie odebranym od matki, pisał jéj między innemi, co następuje:

„W przytomności Odyńca czytałem list Twój, kochana Mamo. Nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając list o Twoim nagrobku. Ponieważ łzy te miały świadka, nie chcę ich zataić, tak jak wiele innych łez, wylewanych samotnie“...

Koniec końców, w lipcu (1831) układał sobie dalszy plan taki, iż chciał czas jakiś zabawić jeszcze w Dreźnie, a potém z dziwnymi projektami pojechać daléj.

„Wyjadę przez Szwajcaryą do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze, jak mi mówił H. za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszém obchodzić się będę starał. Przyjemność zaciszy wszystkie mi przyjemności zastąpi — czuję że mi jéj potrzeba.“

Rozpaczliwe postanowienie! pomyśli sobie czytelnik. I poeta nasz czuć musiał tosamo, skoro przerwał list na tych wyrazach, a nazajutrz, wśród dnia jasnego, tak pisał daléj:

„Niech Was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem; albowiem pisałem to wieczorem, a w wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzo by mi było dobrze w Dreźnie“...

Kiedy się zatém tak bił z myślami i układał sobie wyjazd na południe, nastąpić mający za kilka dopiero miesięcy: zaszła nagle okoliczność, która go rzuciła nie na południe, lecz na zachód i północ; i nie za kilka miesięcy, ale natychmiast. Całego więc pobytu Słowackiego w Dreźnie było tylko 4 miesiące niespełna.

„Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie, i zrana zapijałem niemiecką kawę. Wtém drzwi się otwierają, wchodzi nieznajomy Jegomość i powiada mi, że przywiózł listy z kraju, z którymi jak najprędzéj do Paryża i do Londynu mam jechać“. (Były to zatém listy dyplomatyczne, pisane w sprawie publicznéj do rządów francuskiego i angielskiego. Do listów dołączono i fundusz na podróż, co wszystko Słowacki opisywał matce w dalszéj osnowie listu figurycznie, ażeby jéj nie skompromitować. Ten ustęp pomijamy. Daléj pisał tak:) „Zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą, i tak w trzy godziny po odebraniu listów, extrapocztą ruszyłem do Paryża. Wszystko koło mnie mijało jak cienie latarni czarnoksięskiéj — podróżowałem dzień i noc, jak Gryzomir Krasickiego, i nie wiele więcéj od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem — płaciłem po królewsku! O godzinie 12 w południe wyjechałem z Drezna — nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26go byłem w Wejmarze— interesowało mnie to miasto, jako będące miejscem pobytu Göthego — bardzo ma ładną postać... Przez noc przeje-

chałem przez Erfurt — Saxgotha — a nad rankiem piłem kawę w Eisenach... śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego daléj prowadzi między ogromnemi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę, dla naprawy powozu — znalazłem tam w oberzy chłopca, co pisze historyą teraźniejszéj wojny — czyli biografią generałów — bardzo dobrze. Dnia 28 z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich wexlów. O południu byłem w Moguncyi — śliczny Ren — jaka szkoda, że na niego dłużéj popatrzeć nie mogę!... Potem przeleciałem śliczne prowincye reńskie — dnia zaś 29 wieczorem wjechałem do Metz. Co za przepyszny widok! Miasto uilluminowane, jako rocznica rewolucyi francuskiéj. Lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do Prefekta Departamentu — był na balu. Zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którém byłem przyjęty. Krótki interes, który miałem do Prefekta, odbywszy pojechałem daléj. Szkaradna Francya— miasteczka gorsze od naszych miasteczek—nędza!.. W południe minąłem Verdun — wieczorem w Chalon sur Marne złamał mi się powóz — zostawiłem go tam i kazałem przedać na rzecz składek zbieranych. 31 lipca o godzinie 12 w południe wjeżdżałem do Paryża. Postylion mój wiózł mnie najpiękniejszemi ulicami, i jemu winienem, żem widział Paryż. Zajechałem do pani L. P. Prosiła mnie, żebym poszedł spać. Usłuchałem jéj rady i przespawszy 4 godziny, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszym paryskim traktyerze. Prawda że z pożytkiem wojażuję?... O godzinie 5téj wieczorem już siedziałem w chaise de poste i leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uilluminowane miasta i miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety. Nic mi się szczególnego nie zdarzyło, oprócz (jak mówił świętéj pamięci S.) oprócz powtarzam, że tylko co się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał podemną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kołnierza od płaszcza. Wszystkiemu temu winne cygaro, odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę — ale nie tak z bojaźni, jak dla nadzwyczajnéj tego drogości w Londynie. Ale wróćmy do podróży. Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, to jest 1 sierpnia przejeżdżałem przez Boulogne sur mèr — widziałem morze — przyjemne przypomnienie Odessy. O 11 godzinie w nocy wjeżdżam do Calais — z Paryża mil 37. Śliczny ten widok latarni mor-

skich, bo każda inaczéj się pali dla rozróżnienia. Stanąłem w *hôtel de Bourbon*. Okropnego mi wypłatali figla! Paquetbot á vapeur odszedł bezemnie. Nająłem więc statek, co mnie niezmiernie kosztował, ale za to byłem panem okrętu, i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie nająć statek, bo czekać było niepodobno do jutra. Wjeżdżając do Dover, kazałem zatknąć francuski pawilłon — i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebranym na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali, kto i skąd jedzie. — Śliczna Anglia! murawa zieleńsza, a piasek czerwieńszéj farby, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona — śliczne miasteczka! Kanterbury jak mały Londynik wygląda. O godzinie 5téj z rana dnia 3go sierpnia stanąłem w Londynie"....

Kiedy po tylu trudach podróży i bezwłoczném oddaniu listów, gdzie należało, rzucił się Słowacki w hotelu na łóżko, nie przebudził się aż na trzeci dzień dopiero, tak był zmęczony! Przebudził się z fluxyą. Ale doznawał pocieszającego uczucia, że i on teraz był pożyteczny sprawie; a doznawał go tém bardziéj, że sprawa ta, jak mu się wtedy zdawało, w skutek interwencyi dworów, do wywołania któréj i on się w maleńkiéj części przyczynił, miała niebawem wziąć obrot wcale pomyślny. Nie dziw więc, że znajdujemy też w liście z Londynu wyrazy, jak na przykład te:

„Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiéj wagi — to co było w mojéj mocy... O moi mili, r o d z i n a n a s z a b ę d z i e z d r o w a!"

Będąc już w Londynie, nie chciał go porzucać, nie poznawszy miasta choć powierzchownie; najął sobie tedy na cały miesiąc mieszkanie prywatne wraz z umeblowaniem i wiktem. Płacił za to wszystko razem półtrzeciéj gwinei na tydzień, to jest polskich złotych 105. Przepędził w stolicy Anglii czas od 3 sierpnia do pierwszych dni września. Uczył się języka angielskiego, którego początki były mu już udzielane w Wilnie. Bywał też często na teatrze i zachwycał się grą sławnego naówczas artysty dramatycznego, niezrównanego w rolach zwłaszcza szekśpirowskich, nazwiskiem Kean. W ogóle podobał mu się bardzo sposób, w jaki Anglicy przedstawiają tragedye. O teatrach paryskich zdania tego później nie wyrzekł, kiedy je poznał. — Między innemi zna-

omościami zawiązał też z niektórymi literatami londyńskimi stósunki. Jeden z nich namówił go do napisania broszury o wypadkach warszawskich, które świat polityczny tyle naówczas zajmowały, a nie były dokładnie znane nikomu z cudzoziemców. Słowacki napisał ją po francusku, Anglik przetłómaczył na angielskie i wydał pod swojém imieniem. Tytuł broszury nie jest mi wiadomy, ani też nazwisko owego Anglika. Przyniosło to naszemu autorowi 50 dukatów dochodu, właśnie więc tyle, ile go pobyt w Londynie kosztował, zliczywszy wszystko. Miał tedy to pocieszające przeświadczenie, że to dłuższe zatrzymanie się jego w Londynie nie przymnożyło matce wydatku, jako i podróż do Anglii także nie zrobiła żadnego uszczerbku skromnym jego funduszom. — Londyn bardzo mu się podobał.

„Wiele miałem w nim — powiada w liście już po wyjeździe z Anglii pisanym (z d. 10 września 1831) — chwil zachwycających. Przyjemne miasto! Wszedłszy na samę kulę wieży św. Pawła, rzuciłem okiem w około i pomimo niezmiernéj wysokości wieży, z żadnéj strony końca miasta nie było widać. Domy aż za horyzont się rozciągały, i pyszna Tamiza z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy do obelisków podobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu — wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiedzałem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć kąta poetów, który mnie najwięcéj interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamieniami — i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się, czytając je pod nogami... Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliżéj sławnych ludzi spoczywać.“ —

Przy końcu pobytu Słowackiego w Londynie przyjechał tam i Niemcewicz (a zatém ku końcowi sierpnia).

„Widywałem się ze staruszkiem—mile od niego przyjmowany. Wyrzucał mi, że mojéj tragedyi litewskiéj (Mindowe) grać nie kazałem. Staruszek trochę chory — smutny—i niepewny przyszłości. Ale Bóg czuwa nad nami“...

Kiedy przyszła godzina wyjazdu i pożegnania się z gospodarstwem domu, jako też z innymi mieszkańcami jego, którzy

wszyscy pod tymiż co on warunkami zasiadali z nim razem do wspólnego stołu: miał Juliusz znowu miłą chwilę. Przekonał się bowiem, że i pod obcém niebem, że i w krajach okrzyczanych za materyalne, można znaleść serca poczciwe i niewątpliwe sympatye dla doli narodu, którego był członkiem.

„Nie możecie sobie wystawić, powiada, z jakiém wylaniem się, z jaką czułością żegnali mnie Anglicy. Ręka mnie bolała od ściskania się — wszyscy wstali od stołu, co u Anglików jest niesłychaną rzeczą, aby mnie odprowadzić do powozu.“

Podróż jego skierowana była do Paryża, ale nie odbyła się tym razem bez przygód.

„W nocy wyjechałem z Londynu. Nad rankiem stanąłem w Dower — tam cały dzień czekać musiałem na odejście statku parowego. O 4téj po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze. Im daléj płynęliśmy, tém było okropniéj. Calais choć mała cieśnina, ale niezmiernie burzliwa. O godzinie 10téj w nocy ciemność była okropna i fale tak wzburzone, że przelatywały przez pokład. Znużony i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do salonu. Dziwny widok, ze czterdzieści osób leżało na sofach i na podłodze — szczęściem miejsce maleńkie na sofie znalazłem — skurczyłem się i zasnąłem. A jednak pomyślałem sobie przed snem, iż się może gdzie indziéj przebudzę. O godzinie 12téj w nocy obudzono mnie rozmową. Dowiedziałem się z rozpaczą prawie, iż do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go. Znów więc kilka godzin morskiéj słabości. Wracamy do Dower, lecz nimeśmy wrócili, wiatr ustał, i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8méj z rana przybyliśmy. Śliczne było słońce wschodzące na morzu, miałem więc wyobrażenie burzy.“

Po tych przeprawach, bez żadnych już przeszkód dostał się do Paryża. Przybył tam w zamiarze stałego na czas jakiś zamieszkania—około 6go albo 7go września i zaraz urządził się w własnym kąciku, po swojemu. Miał, jak mówi w liście do matki, śliczny mały pokoik, z mahoniowymi meblami i marmurowym kominkiem, który mu wielkie przyjemności obiecywał na zimę. Dopytywał się zaraz o znajomych; ale okazało się, że nie zastał tych, których najwięcéj widzieć życzył sobie. Mickiewicz miano-

wicie i Górecki byli wprawdzie czas pewien przedtém w Paryżu; ale przed jego jeszcze przyjazdem opuścili Francyą i bawili natenczas w Dreźnie.

Paryż nie zrobił na Słowackim przyjemnego wrażenia; równie i Francuzi wcale nie odpowiedzieli jego oczekiwaniom. Porównanie z Londynem i z Anglikami, które się mimowolnie samo przez się nastręczało, wypadło już w pierwszéj chwili na niekorzyść Francuzów.

„Londyn jest zupełnie oryginalnym, Paryż podobny do innych miast, do Warszawy... W Paryżu piękne pałace i ogród Tuilleryjski z swemi drzewami bardzo piękny; ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James w Londynie, gdzie po obszernéj murawie rozrzucone olbrzymie drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody, i naokoło ogromne pałace z drzewami pokazują się wpół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim“...

Równie niekorzystnie sądził i o mieszkańcach Paryża.

„Wiele zbiegłem świata, pisał w jednym z późniejszych listów (20 października 1831) — żyłem z Anglikami, bo mi się podobali, z Francuzami nie żyję. Mam do nich jakąś nieprzezwyciężoną odrazę. Taka nieszczerość... i tak wiele gadają! Samotny prawie przepędzam dzień cały.“ ...„Jeden najmilszy z wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Père la Chaise*. Nic nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju. Za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można. Różne drogi krzyżują się w tym lesie — w cyprysach mnóstwo róż miesięcznych, bladych ale kwitnących wiecznie. Czasem ognistym kwiatem błyśnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie, najczęściéj małe kolumny z białego marmuru. We środku na górze jest mała kaplica. Stamtąd wzrok po murawie, z wierzchołków cyprysowych utworzonéj, spada na dół i z dala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swymi gmachami. Nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. — Czarne wozy ciągle tam przez główną ulicę przejeżdżają — ale pogrzeby tu bardzo ciche — u nas tak Żydów chowają. — Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wiankami z świeżych i z sztucznych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów. Każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoję boleść, a kiedy da kil-

kanaście, to kwiaty z płótna aż po roku dopiero trzeba będzie odmienić."

Takisam wyrok potępiający znajdujemy i o teatrach paryskich.

„Byłem na kilku teatrach — nie możecie sobie wystawić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedyą. Każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu, na piękne kawałki świszczą — nic nie lubią, tylko małe komedyjki. W każdéj musi być Dej algierski. Tego wiecznie dręczą, i zdaje im się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodewillu — zupełnie podobny do Siedem razy jeden. Francuzi rozpływali się."

Takie to były pierwsze wrażenia, które na naszym wędrowcu sprawiła stolica Francyi i stósunki tamtejsze. Z upływem jakiegoś czasu sądy jego o tém wszystkiém zmieniły się cokolwiek. Pobyt w Paryżu zaczynał być przyjemniejszym dla niego przynajmniéj o tyle, że nazbierało mu się wiele znajomości — tak między rodakami już dawniéj zamieszkałymi w Paryżu, jak przybywającymi coraz liczniéj dopiero za jego tam bytności — na emigracyą. Został też wprowadzony do domu XX. Czartoryskich i szczegółowo matce w listach swoich opisuje poniedziałkowe recepcye w hotelu Lambert, na których bywał przyjmowany gościnnie. Za jedną znajomością szły drugie. Do hr. Platerów (Ludwikostwa) był zamówiony raz na zawsze na wieczory czwartkowe; oprócz tego pełno w listach jego wzmianek o różnych Polakach, z którymi już w pierwszych miesiącach pobytu swego w Paryżu znajomości albo pozawięzywał albo poodnawiał. Leonard Chodźko, Antoni Górecki, Lelewel, Władysław i Cezary Platerowie, Michał Podczaszyński, Oleszczyński rytownik, Michał Skibicki, — oto kilka nazwisk więcéj znanych z pomiędzy większéj liczby rodaków, których znał, widywał i o których w listach swoich wspomina. —

Co się tyczy Lelewela, który przybył do Paryża zaraz po upadku powstania i spotykał się ze Słowackim przy różnych emigracyjnych uroczystościach, widzę się tu zmuszonym dodać, że go nasz poeta nie lubił. Wyrażał się w listach o nim zawsze z wielką goryczą. Oto na przykład, co o nim pisał z okazyi rocznicy 29 listopada obchodzonéj w Paryżu w r. 1831.

„Rej wodził na tym wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz, dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonemi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wąsy przybyły.“ (z listu z d. 10 grudnia 1831).

Przy innéj sposobności, z powodu polecenia, które mu przysłano z domu, ażeby się kłaniał Lelewelowi:

„Kłaniałem się, powiada, kutasom u bótów, które mile to przyjęły. Wy je uwielbiacie, szczęśliwi! Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi. Jestto *le prophète voilé de Korashan*, tak go nazywamy ze Skibickim.“ (d. 7 marca 1832).

Niesnaski podobne pomiędzy pierwszemi naszemi znakomitościami niewarteby były wspomnienia, i chętniebym je był pozostawił „w letejskich zapomnienia falach“, gdyby nie okoliczność, że mi się późniéj przyjdzie w rzeczy nader ważnéj do tego, co tu teraz powiedziałem, odwołać. W tymto celu — lubo ze wstrętem — wypisałem powyższe miejsca z korespondencyi Juliusza; i konstatuję niniejszém fakt stanowczéj niechęci, już w owym czasie mającéj miejsce, pomiędzy tymi dwoma pisarzami naszymi.

Stósunki te z emigracyą nie wystarczały jednak idealnym, a raczéj exaltowanym pragnieniom Słowackiego. Źródłem ostateczném takowych była tęsknota do kraju, choć może zupełnie świadomie sam sobie wtedy jeszcze nie zdawał z tego sprawy. Dlatego też usposobienie jego ówczesne bardzo było niejednostajne. Czasem znajdujemy go rozpływającego się w jakichś błogich uczuciach szczęścia i miłości ku ludziom; a bywały znowu chwile, gdzie go nudziło i ziębiło śmiertelnie całe owo otoczenie jego paryskie. Wtedy sądził o niém z lodowém szyderstwem, z odtrącającém, pogardliwém lekceważeniem! To też oczywiście pozostały i w listach ślady to jednych uczuć, to drugich. Są wprawdzie miejsca w korespondencyi (zresztą tak rzadkie, iż to śmiało do ustępów wyjątkowych zaliczyć można) gdzie pisał:

„Mamo! Nie śmiem Ci napisać, że mi teraz lepiéj na świecie, niż kiedykolwiek było; bo sobie wyrzucam, że ja mogę być bez ciebie, kochana matko, szczęśliwy! Ale widząc, jakto wielu ludzi teraz lubi mnie i kocha i mogę

powiedzieć uwielbia, nie wstydziłabyś się swego syna.“ (list z d. 7 marca 1832 r.).

Jednakże obok podobnych zwierzeń, daleko więcéj dałoby się przywieść ustępów, w których zupełnie innym tonem przemawia.

„Wiele mam teraz znajomych (pisał na przykład d. 10 grudnia 1831); ale żadnego miłego, żadnego z którymby mi było żyć przyjemnie. I chciałbym jak najprędzéj wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojéj wyobraźni; bo Paryż bardzo prozaiczny — szkaradny — ani tak świetny, jak był kiedyś dawniéj. Trzyma mię w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować. Ale już tyle moich nadziei na niczém spełzło.“ —

Albo weźmy inne miejsce (z listu z d. 24 stycznia 1832 r.):

„Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło. Wielu mam nawet szkolnych kolegów; ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył. Słowem, że nie mam prawie towarzystwa. Życie moje bardzo jednostajne, i gdybym go sobie literaturą nie urozmaicał, nudneby było. Najlepiéj jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer. Temu winienem, iż po angielsku już trzepię, a rozumiem wszystko doskonale. Jedną więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Walterscota pokaże.... Życie moje, jak mówiłem, jest więc bardzo jednostajne; zrana wstaję o godzinie 10téj — piję herbatę w domu — potém piszę — potém idę czytać gazety — o czwartéj idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków. Tam się zawsze widzę i gawędzę z godzinę z A. Góreckim, dawniéj pierwszym poetą (?). Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Drezna — i zrobił mi wielką przyjemność, przywożąc mi ukłony od ładnéj Saxonki, córki mojéj gospodyni...“

Dwa te wyjątki z korespondencyi wystarczą, ażeby zrozumiał to czytelnik, że Paryż Słowackiego niczém tedy w murach swoich nie więził; i że jeżeli w nim bawił, to tylko w nadziei, że może znajdzie tu dla dzieł swoich nakładcę, albo też jakim innym sposobem te dziecięta duszy swojéj, jak był zwykł płody swoje nazywać, potrafi wyprawić pomiędzy ludzi.

A było w owym czasie kilkoro już tych dzieciąt w samotnéj Słowackiego pracowni. Dotąd nie miałem jeszcze sposobności po-

wiedzenia choć słówka o autorskich jego zajęciach. I w tém miejscu także jeszcze nie pora rozgadania się o nich. Tyle jednakże nie zawadzi już tutaj mimochodem nadmienić, że zaczął poeta nasz sił doświadczać w tym zawodzie wymodlonym sobie od Boga, już w rychłym wieku. Z rzeczy napisanych na szkolnéj jeszcze ławie nie pozostało ani śladu, choć było to tam tego pewnie niemało. Co powstało po wyjściu ze szkół — w latach uniwersyteckich i za pobytu jego w Warszawie — z tego dopiero to i owo przechowywał u siebie w tece. Małą próbę téj najrychlejszéj Słowackiego poezyi zamieściłem na czele tomu Igo pism jego pośmiertnych, których wydanie staraniom moim udało się przywieść do skutku. Duma ukraińska była pisana w Wilnie w roku 1826. Na rok 1827 przypadają cztery Sonety, widocznie utworzone pod wpływem wydanych właśnie rokiem pierwéj sonetów Mickiewicza. Owocem roku 1828 był poemat pod napisem Szanfary — blada kopia owéj poezyi oryentalno-angielskiéj, która wtedy dostarczała natchnienia i starszym od Słowackiego pisarzom w kole mianowicie literatów litewskich (Al. Chodźko, Julian Korsak itp.). — Wszystkie te próby były dość słabe, jak na młodzieńca już kończącego uniwersytet i mającego zajaśnieć kiedyś takim blaskiem poetyckiéj potęgi. W Warszawie dopiero zaczął się ten olbrzymi talent raźniéj rozwijać. W roku 1829 napisał poemat Hugo i dramat Mindowe. W 1830 przybył do tego Mnich, Bielecki, Marya Stuart, jako też cztery owe wspomniane przezemnie już przy innéj sposobności liryczne jego utwory (Kulik — Oda do Wolności — Bogarodzica — Pieśń Legionu litewskiego), zaimprowizowane w skutek politycznych zdarzeń zaszłych na końcu owego roku i ogłoszone drukiem. Na początku roku 1831 powstała pieśń pierwsza Żmii...

To są wszystkie prace lat jego młodocianych, o których doszła do mnie wiadomość*). Wnosić jednak należy, że musiało ich

*) Właśnie kiedym miał te arkusze pisma mojego odesłać już do drukarni, przyniesiono mi numer 32 (z r. 1866) Kłosów warszawskich, w którym zamieszczona jest bezimiennego autora korespondencya z Brukselli, a w niéj szczegóły o odszukanym rękopisie

być i więcéj jeszcze: jeśli choć w części tylko jest prawdą to co pisał do matki swojéj żartobliwie Słowacki przybywszy do Wrocławia w roku 1831 zaraz po wyjeździe z Warszawy za granicę:

---

jakichś młodzieńczych poezyi Słowackiego, których między pośmiertnymi poety mego papierami ja nie znalazłem. — „Autor Lilli Wenedy — pisze autor rzeczonéj korespondencyi — zagubił przypadkowo w przejeździe przez Niemcy najpierwsze (?) poezye swoje, pisane w Warszawie 1829 roku. Późniéj przez cały ciąg życia napróżno szukał tego rękopisu. Dopiero po śmierci poety, przed niedawnym czasem dostała się ta książeczka w ręce, które zapewne będą umiały zrobić z niéj użytek. Szacowną tę puściznę stanowi niewielki zeszyt (stron 154, format 16kowy), oprawny w czerwony, złocony, safianowy papier, zapisany w całości własną ręką poety, z rysunkami, esami i floresami jego własnéj ręki.

„Na końcu téj książeczki znajduje się następująca notatka:

„„Warszawa 15 listopada 1830 r.

„„Oddałem do cenzury, a wkrótce oddam do druku moje wiersze: Maryą Stuart tragedyą, Jana Bieleckiego powieść, Hugona, Mnicha i Araba. Jakiż będzie mój zawód literacki?““

„Niezmiernie ciekawe (mówi daléj autor korespondencyi) są w téj książeczce notatki pod napisem: Wydatki i przychody z dzieł moich:

„„Za wydrukowanie Bogarodzicy zapłaciłem złp. 200. Wypłacili mi księgarze Gałęzowski, Zawadzki i Węcki, Merzbach, Hugues i Kerman, Brzezina i Kenkel, razem wszyscy złp. 144. Straciłem na Bogarodzicy złp. 56.

„„Za wydrukowanie Kulika zapłaciłem złp. 263. Wypłacili mi księgarze złp. 163. Straciłem na Kuliku złp. 100.““ —

Wreszcie donosi korespondent, że się w rzeczonéj książeczce mieścić mają elegie, melodye, dumania, sonety, urywki i rozmaite drobne wiersze; i udziela w Kłosach na próbę „Piosnkę dziewczyny“, która zdaje się być ustępem z jakiéjś dłuższéj całości.

Skoro tylko (dawniéj jeszcze) się dowiedziałem z pism peryodycznych o exystencyi tego zbiorku poezyi, udałem się listownie do osoby będącéj w ich posiadaniu, prosząc o pozwolenie wcielenia ich do powszechnego zbioru pism Słowackiego pozgonnych, których wydanie tu we Lwowie właśnie się wtedy przeprowadzało. Gdyby tego potrzeba była, ofiarowałem się złożyć i honoraryum, byleby tylko zapewnić tym rzeczom ocalenie, a wydaniu mojemu nadać zaletę istotnéj kompletności. Nie wiem, czy list mój nie doszedł owych „rąk, które (jak się autor brukselskiéj korespondencyi wyraża) będą umiały zrobić z odszukanego rękopisu użytek“; czy też raczéj tam osądzono, że ten użytek koniecznie musi być zrobiony viribus separatis: — dość

„Wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłomoczek, a w tłomoczku trochę bielizny i... mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze! wagę mego tłomoka do 46 funtów podniosły“...

Dajmyż na to, że w tych słowach było wiele przesady. Jakikolwiek jednakże mógł być stósunek między ową trochą bielizny a wierszami: zawsze przypuścić można, że było tam pewnie materyału zadosyć, ażeby czém zapełnić parę tomików. — Od owego czasu upłynęło znowu kilka miesięcy. Minęło lato — i jesień; nadeszła zima, na początku któréj, jak to wyżéj już powiedziałem, u Słowackiego zazwyczaj krynice poetyczne wzbierały. Dawne zasoby warszawskie zapewne pomnożone zostały znowu jakim świeżym przybytkiem. Było tedy co drukować, i gorąco tego pragnął młody poeta. Ale życzeniu temu stał na przeszkodzie brak funduszu potrzebnego na pokrycie kosztów z tego wynikających. Nadzieja znalezienia nakładcy pomiędzy wydawcami z rzemiosła rozbiła się bardzo rychło o nieprzezwyciężone trudności. Pomiędzy rodakami było wprawdzie niemało takich, którzy robili Słowackiemu wyrzuty, iż niczego nie drukuje; ale takiego, któryby się ofiarował z materyalną pomocą do ogłoszenia dzieł jego, takiego między nimi nie było! Szukać go i wyciągać rękę po datek, jakby po jałmużnę — tego Juliusz nie chciał. Wynikło tedy ze wszystkiego bardzo rychło to smutne przeświadczenie, że jeżeli te dzieła miały kiedy być ogłoszone, to chyba własnym nakładem. Ale skądże go było wziąć, kiedy autorowi zaledwie wystarczało na życie? Przez czas jakiś, zaraz za przybyciem do Paryża, nosił on się z myślą, że może na innéj drodze trafi do celu. Najdonośniejszą i najprędzéj wynagradzającą pracę autorską gałęzią w literaturze francuskiéj było już i w owych latach powieściarstwo. Słowacki władał nieźle językiem francuskim; ułożył sobie zatém napisać romans po francusku, pomyślany na tle stósunków

że starania moje pozostały bez skutku. Wcale nie raczyła osoba dotycząca odpowiedzieć na mój list. Skończy się pewnie na tém, że te rzeczy albo przepadną, albo kapaniną pojawiać się będą w pojedynczych numerach jakiego dziennika emigracyjnego, który tu w kraju — przy i tak już zbytecznéj masie najrozmaitszych pism peryodycznych — mało przez kogo będzie czytany.

polskich. Honoraryum, któreby za niego od Francuzów otrzymał, zamierzał włożyć w wydawnictwo swoich poezyi. Chociaż się zawsze wzdrygał przed myślą pisać coś, że tak powiem, na obstalunek, za pieniądze i dla pieniędzy: wtedy jednak przez wzgląd na to, że nieraz wiele robi miłość kochającego ojca dla swoich dzieciąt, potrzebujących sukienki, w któréjby się na świecie ukazać mogły, — wziął rzeczywiście pióro do ręki i zaczął pisać powieść francuską. Było to w styczniu 1832 roku. Znajdujemy o tém w jednym z listów z owego czasu następującą wzmiankę:

„Kręcą mi się po głowie teraz wszystkie anegdoty; bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku — z naszych oryginałów. Scena na Ukrainie — głównemi osobami są ś. p. szlachcic, co obchodził święta Cerery (podobno jakiś Marchocki), i drugi co podróż do Turcyi czy do Anglii odbywał (Rzewuski), a trzeci geometer Zszantyr, znajomy wam ze sztuki śpiewu i innych doskonałości. Wszystko sprzężone z wielu fikcyami i z długiemi rozmowami w guście Walterscota, i z długimi obiadami — w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków. Słowem będzie to chef d'oeuvre, za które mi powinni zapłacić jako za takie. Mam już 5 rozdziałów i tylko mi jeszcze 25 nie staje — to bardzo niewiele! Ale nie mówcie o tém nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z nimi spotkać. J' aurai cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce — pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde; stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu — uniknę tego, połowę osób wieszając"...

Z samego tonu baraszkującego, jakim tu sam autor o dziele swojém przemawia, wynika, że nie przywięzywał doń żadnego znaczenia i traktował je jako robotę rzemieślniczą. Jakoż zdaje się, że się na owych pięciu rozdziałach rzecz też podobno urwała; ani bowiem nic takiego nigdy z druku nie wyszło, ani też nie wspomniał już drugi raz o tém Słowacki w korespondencyi. Ziściło się zatém i przy téj sposobności, co był już dawniéj napisał: „za pieniądze pisać nie mogę zupełnie; ile razy o tém myślę, imaginacyą mam zupełnie skrzepłą," itd.

Skoro tedy znikąd nie było widoku otrzymania zasiłku na

owo przedsiębiorstwo, udał się po pomoc ostatecznie do matki. Zapytywał rodzinę, czyby nie można podnieść jakiego kapitału — i pisał w tym interesie jak następuje:

„Za kilka tysięcy wdzięczny wam będę. Widzicie sami, że dla mnie nie ma innego widoku, jak te nieszczęśliwe poezye. Czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w mojém życiu, zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem. Innéj nie spodziewałem się karyery. Kiedy z małego ułomku znany byłem wszystkim Polakom w Paryżu i Dreźnie; kiedy jeszcze dotąd każdy poznając się ze mną wykrzyka: a! to autor Bogarodzicy: czegoż spodziewać się mogę na przyszłość? Przynajmniéj nie zapomnienia! Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego, co mi najwięcéj w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii — a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym i Wenecyą, Tryest, Wiedeń wrócić kiedyś do Was, jeżeli będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały!“...

Powiedzmy jednak już w tém miejscu nawiasem, że ta myśl powrotu do ojczyzny nasuwała mu się wtedy tylko przelotnie. W istocie bowiem nie wchodziła ona wtedy w stałe jego projekta. W innych listach, pisanych, około tegosamego czasu, budował on sobie zupełnie inne plany.

„Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy. O powrocie ani myśleć, bo powiedzcie, cobym ja teraz tam robił? Różnica kosztów bardzo mała, czy tam, czy za granicą“...

I w innėm miejscu:

„Często sobie myślę, jeżeli mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli będę miał jakie przychody, co wynosić będą z 5000 franków na rok: wtenczas matko, przyjedziesz do Drezna — tam życie bardzo tanie — najmiemy sobie jaki wiejski domek pod miastem — i może będzie nam dobrze! Drezno bardzo lubię i radbym tam wrócić.“ —

Matka poczciwa zrozumiawszy żądanie syna, dotyczące owéj sumy na druk poezyi, uczyniła niezwłocznie, co tylko mogło, tak iż już list Juliusza z d. 7 marca 1832 r. zaczynał się od słów:

„Mamo kochana! nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy! I tobie to, Matko moja, winienem jedynie szczęście

jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi. Za dwa miesiące będziesz je Mama miała. To taksamo, jakbyś mnie zobaczyła — bo ja nie jestem niczém innèm, jak mojemi poezyami"...

Z dalszego toku listu dowiadujemy się o wszystkich niemal okolicznościach ubocznych, które towarzyszyły oddaniu pod prasę owych poezyi. A że wiąże się z tém i inny jèszcze szczegół, o którym w biografii Juliusza zupełnie przemilczećby nie można: — przytaczam tedy rzecz tę całą własnemi jego słowami:

„W poniedziałek, d. 22 lutego, siedzę rano u siebie; aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 franków. I natychmiast składa mi na stole całą sumę w biletach, razem z listem od Mamy. Od téj chwili inne zaczęło się dla mnie życie.... Zaraz nazajutrz rano poszedłem do drukarni Pinnard o druk się układać, i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinnard (najstarszą), któréj narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzeczny dla mnie. Ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztować nie tak wiele, jakem się spodziewał. (Kosztowały go 2000 franków, jak w innèm miejscu nadmienia). Potém zostałem z panną Pinnard i z tą długo gadaliśmy. Chodźko mówił mi, iż odemnie o trzecią część biorą taniéj, niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze to poznawać się z panienkami — dobrze się zostać przy kominku i o czém innèm niż o interesach pogadać"...

W pięć dni późniéj opisywał Słowacki matce bytność swoję na obiedzie u panien Pinnard, na który był proszony, i powiada co następuje:

„Znalazłem tam Chodźkę (Leonarda). Średnia z panien, których jest trzy, nazywa się Kora. Śliczna! zupełnie taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczęśliwy więcéj daleko podobałem się pannie Pinnard najstarszéj, która coś na sawantkę zakrawa. A ponieważ mam dobre uszy, podsłuchałem jéj rozmowy z Chodźką. Mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem. A on jéj na to odpowiedział: *mais, les Polonais ne sont pas bêtes!* Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, że zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupimi! — Po obiedzie zo-

stałem sam z pannami, i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypomniałem sobie ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem.“ —

W niespełna miesiąc potém, znowu pisał matce tyle jeszcze o tejże okoliczności.

„Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć. Dziwne prawdziwie moje lekcye! Starsza siostra bardzo z tego kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jéj mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny się kształcą. Chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała. Bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób; panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem. Dziwna dziewczyna! Mówiłem wam, że Hiszpanki ma zakrój. Wieczór razem ze Skibickim na włoskiéj operze pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków: a jednak — nudziłem się...

I jeszcze raz, w tymże liście — wraca do owéj dziewczynki z okazyi innego zdarzenia.

„W Paryżu cholera! Z rana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną. Chłopiec mały 15letni umarł na cholerę. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali w około bladzi i przerażeni, tak że nikt się tknąć chorego nie ważył — moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo. Gdy się o tém dowiedziałem, chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i ucałować— szczęściem że rozwaga przybyła mi w porę.“

W ciągu tego wszystkiego, druk poezyi postępował raźnie naprzód. Uwaga rodaków na emigracyi żyjących zwracała się coraz więcéj na młodego poetę i zdarzały się różne okoliczności, które go zachęcały w jego zawodzie, ośmielały w rozumieniu o sobie, a częstokroć też niestety bałamuciły i psuły. Podsycały bowiem tę próżność i dumę i miłość własną, którą mu wprawdzie wszyscy chętnie wybaczymy, był to bowiem bardzo młody człowiek natenczas, ale która ostatecznie nie należała bynajmniéj do warunków jego powodzenia autorskiego w przyszłości. Raczéj przeciwnie! Jednę okoliczność taką sam szeroce opisał. Byłto dzień

25 marca, przeznaczony na obchód uroczysty rocznicy litewskiego powstania.

„Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się podpis Julliena starego (wydawcy Revue Encyclopédique, znanego z życzliwości dla naszych), list zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackiém czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem odę, w któréj umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór — ogromne zgromadzenie — mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafeyette prezydował — wszyscy czytali po francusku — Lelewel także. Czytano wiersze francuskie — potém na końcu Wiceprezes obracając się do zgromadzenia rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich (?!), ażeby po polsku deklamował, a stąd wzywa Pana Słowackiego, aby zasiadł miejsce. Pan Słowacki nie zasiadł, lecz stojąc mówił — co? trudno opisać. Rzucałem całém zgromadzeniem — potém rozłamałem wiersz ody, i powiedziałem jednę śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, — znów wróciłem do ody — i zakończyłem myślą z Lambra wyjętą. Wypiszę ją tu:

„Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce....
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa —
Chociaż tém liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie.... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie;
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie“....

„Po skończeniu Prezes ściskał mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę — starzec interesujący! Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko rozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam — obaczyłem oczy jednéj ślicznéj tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić—i znów spojrzałem, i jeszcze tosamo spojrzenie. Żeby tak długo, tobym zwaryował. Potém słyszę głos jednéj damy po polsku pytającéj się wszystkich o mnie. Byłato pani B. którą w Dreźnie znałem. Ta skoro mnie spostrzegła, przyleciała z krzykiem: „Ach! serce Pana!“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jéj moje serce podoba. Potém wymawiała mi, że u niéj nie byłem. Potém pytała mię, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce

zapisać swój adres. Gdybym go był miał, to ręczę że w pugilaresie znalazłbym potém coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka! Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem te materyały nieromantyczne, co znacznie zapał jéj osłabiło, tak iż tylko o mieszkaniu samém dowiedziałem się. Potém w kilka dni byłem na wieczorze u Platerów, gdzie znów nowe obojéj płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewniał, że Odę zrozumiał"...

Podobnie odurzały go także dochodzące ze wszech stron wieści o recenzentach, o tłómaczach itd. już gotowych do rozsławienia imienia jego na wszystkie końce świata i tylko oczekujących z natężoną niecierpliwością wyjścia drukujących się poezyi.

„Dowiedziałem się — pisał z niezachwianą ufnością w ich powodzenie, w tymże samym liście — że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyi pisać.... Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Byrona — i będzie mnie oszukiwał... Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął do tłómaczenia mego Mnicha i Araba. Skibicki pisze do Revue Encyclopédique o moich poezyach, i tam będą umieszczone dwa Lemaitra tłómaczenia... Sienkiewicz (Karol) dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Bł. z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzéj poezye moje przysłał, bo je chce na angielski język tłómaczyć. Widzisz, kochano matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem że wszyscy moi tłómacze lepiéj niż ja wyjdą. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz tłómaczyć będzie — i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc że Sienkiewicz daleko większym odemnie był poetą, a przecież tego błahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykolę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłómaczone moje poezye." *)

---

*) Nie od rzeczy może będzie już w tém miejscu nadmienić, że oprócz przekładu na język francuski Bogarodzicy i Araba, dokonanego przez Lemaitra, żadno z tłómaczeń tu zapowiedzianych do skutku nie przyszło. Skończyło się to więc na niedoszłych projektach z jednéj strony — a na płonnych nadziejach z drugiéj. — Przekład Lemaitra wyszedł 1833 r. w Revue, i także w osobnéj odbitce.

Przytoczone ustępy wystarczą, ażeby czytelnik powziął wyobrażenie o stopniu błogiego upojenia, jakiém odurzały poetę — przed ogłoszeniem jeszcze poezyi — ryczałtowe pochwały ze strony osób bezpośrednio go otaczających, osobiście jemu życzliwych, zresztą olśnionych nowowschodzącą gwiazdą jego poetyckiéj sławy. Cieszył on się téj sławie swojéj, jak dziecko cacku, za którém dawno, za którém długo goniło, a teraz ma je już tak blisko przed sobą, że dość wyciągnąć rękę, ażeby je pochwycić. Było to jedyne pragnienie jego na ziemi, jedyna namiętność, powiedziałbym: jedyna sprawa, która go przywięzywała do świata. Dla téj marnéj sławy potomnéj wszystkiego się wyrzekał. Teraz zdawało mu się — po raz pierwszy w życiu, w życiu tak jeszcze młodém, że ją posiadł nareszcie. Przebaczmyż mu, że go tu zdybujemy na rojeniach, które tchną taką dozą miłości własnéj i dumy. Coby to było, gdyby się te rojenia były ziściły od razu!...

Były jednak chwile, gdzie się Juliusz w tém wysokiém rozumieniu o sobie i cokolwiek miarkował; gdzie mu na myśl przychodziło, że ani na uwielbieniach ludzkich, ani też na własnych o sobie samym mniemaniach tak bardzo nie należy polegać. Opowiada w tymże samym liście matce np. następujące zdarzenie.

„Byłem na mszy żałobnéj, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za duszę zmarłego ojca. Celebrował X. Praniewicz, Polak ze Żmudzi, który aż po Ameryce wałęsał się i od 5 lat w Paryżu usługę ołtarzową pełni, wielki oryginał! Potém ksiądz zaprosił nas na śniadanie. Ksiądz jest poetą — pisze — drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze — i te nam śpiewał przy fortepianie. Nic dziwniejszego, jak ta melodya! Najwięcéj mi się podobała strofa, w któréj książę Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski
Narodowi temu wierny,
Z mojemim szedł na kraj pruski
Przez Sasy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki otrzymaliśmy po exemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą. Pochwały nasze utwierdziły go w tém mniemaniu. Była to jednak scena dla mnie na-

uczająca, aby mniéj ufać miłości własnéj — mniéj pochwałom cudzym — scena bardzo potrzebna; bo czy uwierzycie, że dowiedziawszy się o śmierci Göthego, pomyślałem sobie, iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie wydającego poezye zrobił miejsce na świecie?... Matko moja, widzisz jak szczerze piszę ten dziennik — piszę nawet głupie moje marzenia"... itd.

Wreszcie nadeszła chwila (było to d. 12 kwietnia 1832 r.), gdzie leżały już przed nim gotowe obydwa tomy „Poezyi Juliusza Słowackiego" i gdzie matce przesyła radosne doniesienie:

„Mam poezye moje! I pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem niewysłowionych przyjemności. Matko moja, cóż Ty, cóż wy wszyscy o waszym Julku powiecie? Matko moja, zdaje mi się, że Ciebie te poezye nie zmartwią — chyba zasmucisz się tymi kilku błędami drukarskimi, których Twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwłaszcza pod koniec Żmii błyszczą te omyłki straszliwym blaskiem. — Dziś obaczyłem u Pinnard regestr ludzi sławnych, zawarty w biografii Contemporains, a pod literą S. taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej itd. Widzicie, że w dobrém jestem towarzystwie. Ucieszyło mnie to bardzo Jestto najsławniejsza biografia. Ciekawy jestem, co o mnie piszą — będę się starał dostać jéj. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd niewiem, z czego mnie tam sławnym zrobili?... Posyłam Wam exemplarze z podpisami. Nie wielu osobom posyłam [było takich exemplarzy 13], a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować, aby te osoby, które odemnie dzieło otrzymają, wiedziały, że ja je szczególniéj szanuję i kocham.... A Tobie, kochana Mamo, jakimże sposobem mógłbym dać poznać, że Ciebie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam? Czy Ty nie odgadniesz, Matko, co czułem podpisując dla Ciebie exemplarz?... Na drugi dzień po wyjściu dzieł, Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu portret mój zrobić pozwolił. Jak wyjdzie, przyślę go Wam. Wiesz, kochana mamo, że tyle tu mam uwielbienia od moich rodaków, że mię już krytyki nic nie obchodzą. Martwię się tylko błędami druku; ale spodziewam się, że będę mógł prędko drugą edycyą wydać i te błędy zginą"...

W tym sensie list ten nieco się jeszcze przedłuża; nakoniec kończy go Juliusz temi słowami:

„Bądźcie zdrowi i szczęśliwi — ja jestem szczęśliwy. I gdyby nawet 2000 franków, wydane na druk dzieła, nie wróciły się, to powiem, żem nie drogo szczęście kupił.“

To wydawanie dzieł, te różne zajęcia, jakie z tego wynikały w dalszych następstwach, wyczerpywały i czas i całą myśl młodego poety do tego stopnia, że wszelkie inne względy zupełnie im ustępywały miejsca na pierwszym planie. Znajomość z panną Korą, tyle zrazu obiecująca, zeszła z czasem do rzędu rzeczy ubocznych, obojętnych. Minął miesiąc cały i więcéj, odszedł list jeden i drugi, i ani słówkiem nie donosił w nich matce, co się dzieje z panną Korą. Ale matka była zaciekawiona — skłaniała się ku przypuszczeniu, że milczenie właśnie dowodzi, iż uczucie żyje i wzrasta... w końcu wzręcz zainterpellowała jedynaka swojego, jak ta rzecz jest? Na interpellacyą otrzymała odpowiedź taką (d. 4 lipca 1832):

„Milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał. Nie! Wszystko, jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się wam wydam. Przez grzeczność kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham. Ona mi się także przyznała, że mię kocha — a wtedy zapytałem ją, co zrobi, jak ja ją kochać przestanę? Odpowiedziała mi, że się otruje, albo że się utopi; a z téj odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jéj, że się ani zabije ani utopi, chociaż ją kochać przestanę. I zacząłem kaprysić i przyprowadzałem ją do gniewu; dawałem uczuć, że jeszcze dziecko — słowem mściłem się na niéj za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznic, jak mówi B. Zaleski, ucierpiałem. Nie wiem, z jakiéj przyczyny, ale wpadła w gorączkę — w gorączce miała deliryum, a z tego siostry musiały się tajemnicy jéj serca dobadać. Widząc, że nadto zły byłem w mojém postępowaniu, postanowiłem aby mnie zapomniała. Powiedziałem jéj to, i przez miesiąc nie poszedłem do nich. Pozaprzeszłéj niedzieli przechodząc przez aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wyelegantowanych dam ujrzałem znów pannę Korę z siostrami. Ukłoniłem się z daleka i przeszedłem. Ale pani Barateau, także jéj siostra, posłała swego kuzyna, żeby mię szukał i przyprowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedziały—z bardzo wesołą twarzą; siadłem przy nich na krześle—

gadałem przez godzinę — panna Kora czerwieniła się i bladła. Potém damy wstały — musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała, z którego to mostu la duchesse de Guiche rzuciła się w Sekwanę. Uczułem, że to zapytanie było delikatném przypomnieniem mojéj niestałości i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która kiedyś znała księżniczkę de Guiche, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie — siadam przy nich czasem na kwadrans... Ale dość o tém, już i tak czuję, że się Wy ze mnie śmiać będziecie.“

W dalszych listach nieraz jeszcze napotykają się dorywcze wzmianki o tym stósunku. Wynika z nich, że Słowacki bywał w tym domu potém znowu często, i siadywał pomiędzy panienkami nie kwadranse, ale nieraz długie godziny.

„Bawi mnie otwartość Kory — pisał krótko potém w jednym liście — wszystko mi gada jak pacierz.“

Albo w inném miejscu:

„Smutno mi — ale co robić? jutro pójdę do Kory. Może kiedy mi zacznie patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy; choć dalibóg, nie kocham jéj...“

I bez tego zapewnienia okazuje się jasno, że o miłości prawdziwéj nie mogło być mowy co do jego osoby. Być może, że gdyby mu Kora przy własnościach, jakie miała, była zaimponowała czémś wyższém, niepospolitém, a choćby wreszcie i samą tylko niewzajemnością: byłaby może wzięła znajomość ich inny obrot. Bo młody nasz autor zajmował się wprawdzie łatwo i bardzo lubił wiedzieć o tém, że sprawił na kim wrażenie; ale ażeby się u niego odezwało i serce, do tego potrzeba było silnego wzruszenia wyobraźni, a tę rozbudzały tylko twarde, uporczywe i niepokonane trudności, które bodły dumę. Takimto sposobem wzrosło u niego przywiązanie ku Ludwice, choć odpłacane niewzajemnością, do rozmiarów może nie takich, jak je wystawia w Godzinie Myśli, ale zawsze niepospolitych. Pod tymiż warunkami byłaby może trwalsze sprawiła wrażenie i ta 15letnia dziewczynka o hiszpańskich rysach twarzy przy naiwności francuskiéj. Ale Kora zbyt skwapliwie przyznała się do uczuć, jakie w niéj

wzbudził. A to wystarczyło, ażeby wspomnieniom pierwszéj miłości zapewnić i nadal wyłączne miejsce w wyobraźni Juliusza.

To też właśnie do tegoż listu, w którym w taki sposób mówił o Korze, dołączył Słowacki z powodu ogłoszenia dzieł swoich i bilet do Ludwiki Ś. Przerwał nim kilkoletnie milczenie, jakie trwało pomiędzy nimi jeszcze od czasu wyjazdu z Litwy. Matce zaś przesłał takie zlecenie:

> „Mamo moja, choćbyś miała dwa exemplarze,*) to jeden poślij Ludwisi — koniecznie! koniecznie!... List ten odeślij, ale tak, żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała... O gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się..."

Przez cały ciąg czasu, gdzie się to wszystko działo, Adama Mickiewicza nie było w Paryżu. Autor Walenroda bawił natenczas w Dreźnie, następnie przez tygodni kilka w Poznańskiém; a potém... po zajęciu przez Rosyan Warszawy, znowu wrócił do Drezna. Tu osładzał sobie owe chwile bolesne towarzystwem Odyńca i Stefana Garczyńskiego, do którego się szczególniéj przywiązał. W miesiącu czerwcu czy lipcu roku 1832 opuścił wreszcie stolicę saską i przyłączył się dobrowolnie do tego zastępu wygnańców, którzy w nieprzerwanym szeregu, różnemi drogami przez Niemcy ciągnęli coraz daléj na zachód. Z końcem lipca stanął w Paryżu.

W listach Słowackiego dawniejszych, datujących z pierwszych miesięcy jego pobytu we Francyi, znachodzą się nieraz wzmianki, że nie znalazł i że nie znajduje ciągle tych osób około siebie, którychby sobie najwięcéj życzył. Kogo mianowicie przez to rozumiał, tego nigdy nie powiada. Ale imię Mickiewicza prawie zawsze tam bezpośrednio potém następuje wspomniane, z dołączeniem doniesienia, gdzie właśnie wtedy przebywał. Godzi się tedy ze wszech miar wnosić, że z Adamem to głównie pragnął spotkać się gdzie na czas trwalszy Słowacki, i że zatém nie miał wtedy jeszcze żadnych uprzedzeń przeciwko jego osobie. Przytacza

*) Mówi o tych exemplarzach dzieł swoich, których był kilkanaście wyprawił dla rozdania pomiędzy znajomymi.

czasem wiersz, wyraz, myśl jaką, wyjętą z dzieł Adama, i to tonem, który dowodzi, że go za potęgę poetycką uznawał. Ale po upływie kilku miesięcy, już w stolicy Francyi spędzonych, urosła wziętość Juliusza. Nazwano go na publiczném rodaków i Francuzów zebraniu — największym poetą polskim. Pojawiły się dwa tomy jego Poezyi. Pierwsze wrażenie, jakie te poezye na emigracyjnéj czytelników masie sprawiły, było dla autora bardzo pochlebne. Nie dziw zatém, że po tém wszystkiém nie był to już zupełnie tensam Juliusz, który za przybyciem swém do Paryża skarżył się na to w listach, że nie zastał tam Mickiewicza. Owoż więc spełniły się teraz owe jego niezbyt dawne jeszcze życzenia: miał Adama wreszcie w Paryżu! Jakiż się zawięzuje pomiędzy nimi stósunek?

W liście z d. 30 lipca tyle tylko o tém matce sucho i nawiasowo donosił:

> „Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża. Ale nie pójdę pierwszy do niego. Jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze."

W tydzień potém zapisywał sobie w dzienniku, co następuje:

> „Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego kroku do poznania się; a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć. Starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie. Mickiewicz improwizował — ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie" [a zatém pierwszy krok zbliżenia zrobiony był według tego świadectwa przez Mickiewicza!] „i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... przypomniałem mu owę jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim.*) Śmiał się z przypo-

*) Zdarzenie, do którego się ta wzmianka odnosi, było następujące. Wiadomo, że w pierwszych czasach pojawienia się romantyzmu w naszéj poezyi, do najżarliwszych przeciwników tego kierunku należał Śniadecki, profesor astronomii i wysłużony rektor akademii wileńskiéj. W skutek rzetelnych i wielkich zasług położonych przez niego w poprzednich czasach, było znaczenie tego męża i naówczas jeszcze w akademii takie, jak żadnego drugiego profesora. Jego zdania nadawały niejako ton i kierunek zachowania się względem téj

mnienia. Potém przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał... Kiedyśmy zabrnęli w kom-

---

kwestyi i innym profesorom. Zaczém poszło, że jak młodzież uniwersytecka garnęła się bez wyjątku pod sztandary nowych pojęć w téj walce literackiéj: tak znowu profesorowie, a mianowicie starsi, stali uporczywie po stronie klasyków. Otóż wśród dość naprężonych stósunków między jedną stroną a drugą, pojawił się r. 1822 pierwszy tomik Poezyi Adama Mickiewicza. Zawierał głównie ballady, oprócz ballad także kilka poezyi ulotnych, a między niemi i wiersz zatytułowany Romantyczność, w którym poeta wręcz rzucił rękawicę kierunkowi reprezentowanemu przez Śniadeckiego, i nawet jego osobę dość wyraźnie pod figurą mędrca ze szkiełkiem w osnowę rzeczy wprowadził. Zdarzyło się, że właśnie po odczytaniu tego tomiku Śniadecki nieukontentowany i cały pod wrażeniem niesmaku rzeczy, których piękności nie pojmował, odwiedził kolegę swego Dra Becu, który jak wiadomo był ojczym Juliusza. I zastaje u niego przypadkowo liczniejsze towarzystwo, a między innymi także i Mickiewicza! Cóż robi? Udaje, że go nie spostrzegł; że nie wie wcale, iż on tutaj obecny. I zaczyna mówić o niedorzeczności i śmieszności ach poezyi, których tom właśnie rąk jego doszedł — w sposób nie tylko sarkastyczny, ale i w najwyższym stopniu upokarzający dla autora, a to tém bardziéj, że i gospodarz domu, rozochocony tém niby nieporozumieniem, dopomagał Śniadeckiemu w tym niewczesnym zapędzie, wyzywając go do coraz dalszych uszczypliwości. Mickiewicz milczał. Był on wtedy jeszcze w towarzystwie osób starszych nieśmiały, i znajdywał się nadto o tyle w położeniu arcyfałszywém, że miał przed sobą samę hierarchią w zawodzie nauczycielskim, do którego i sam wtedy jako profesor szkół kowieńskich należał. Oprócz tego był on z różnych przyczyn i osobiście zawisły od téj starszyzny; nie śmiał zatém wręcz wystąpić w własnéj obronie. Milczał więc: i tak skończyło się owym razem na jego tylko upokorzeniu. Ale im tego nie zapomniał! Wziął ten objaw literackiego antagonizmu ze strony Śniadeckiego i gospodarza domu za coś więcéj, bo za jeden z licznych dowodów usposobienia ich nieprzyjaźnie zwróconego przeciwko rozbudzeniu ducha w ogóle w gronie litewskiéj młodzieży. Że się w tém mylił, tego mógłby nam dowieść sam żywot Śniadeckiego w całości wzięty — żywot poważny i do samego zgonu bez skazy. Ale w sporach ówczesnych grały namiętności i rozdraźnienia. Życzliwego pobłażania ani wyrozumienia nie było ni z jednéj strony ni z drugiéj. — Takie więc wrażenie wyniósł ze sobą Adam z owego wieczoru. I zachował je długo w pamięci, i nie darował. W trzeciéj części Dziadów objawił sąd swój o ludziach owego obozu niemiło-

plementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę, jeden z Polaków stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny — i temi słowami pomięszał zupełnie naszę rozmowę... Podczas obiadu Cezary Pl. biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie. Byłto wieczór z męszczyzn samych złożony. Chopin sławny fortepianista grał nam... gadaliśmy różne poezye, słowem że dobrze nam zszedł wieczór... Wielu było Wołynianów — wiele wypiliśmy szampana. Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy. Na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek — wojażerowie opowiadają swoje podróże — uczeni swoje odkrycia, itd..... W kilka dni potém u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak też na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do 2 w nocy. Pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie..."

Przy podobnych sposobnościach widywali się zatém obydwaj poeci. Znajomość ich byłaby się może powoli zamieniła w zażyłość coraz ściślejszą, tém bardziéj, że nie było i bez literackich stósunków, które ich ze sobą utrzymywały w jakimkolwiek związku. Założone zostało w łonie emigracyi Towarzystwo Literackie. Prezesem tego towarzystwa był Mickiewicz. Miał sobie do pomocy przydanych kilku radców towarzystwa. Jednym z nich był Juliusz Słowacki w skutek wyboru kolegów. A więc były stałe pewne dni takie, gdzie się obydwaj schodzili i gdzieby się koniecznie byli powinni zrozumieć i zbliżyć do siebie. A przecież — pomimo tego wszystkiego — do zbliżenia między nimi nie przyszło! Nieprzebytą tamą pomiędzy nimi, na długie czasy, stanęła pogłoska przyniesiona przez niewiem kogo skwapliwie Słowackiemu o Mickiewiczu, jakoby on w gronie swoich przyjaciół miał był zganić poezye jego. Pisał Juliusz o tém do matki (pod datą d. 3 września 1832), jak następuje:

---

siernie, i przynajmniéj co do niektórych pomiędzy nimi niesprawiedliwie. Lecz to miało nastąpić dopiero późniéj. W czasie, kiedy rozmawiał z nim o tém Słowacki, téj części Dziadów jeszcze nie było.

„Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach... powiedział, że moja poezya jest śliczna.... że jest to gmach piękną architekturą stawiany — jak wzniosły kościoł... ale w kościele Boga nie ma!.. Prawda że śliczne i poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem Rezygnacya!“...

Od tego czasu już się Juliuszowi nic w Mickiewiczu nie podobało. Raziły go wszystkie właściwości jego indywidualizmu, tak te, które dotyczyły powierzchowności, jak i wewnętrzne. Z powodu pewnego wieczoru u XX. Czartoryskich, donosił na przykład takie szczegóły (w liście z d. 4 października):

„Na wieczorze był i Mickiewicz. Nie możecie sobie wystawić, jak po liderlichosku wygląda — z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym! Zbliżywszy się do mnie, powiedział: jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem. Na oku tém jest napis *Napoleon Empereur* — i to oko ciągle tkwi w mojéj pamięci. — Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego imaginacya tak tém okiem, zapewne udaném, a może szklaném, dla wyłudzenia pieniędzy wsadzoném, zapaliła. Wolałbym, żeby pisał o dziecku ze złotymi zębami... Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie...“

Niemniéj ciekawa jest wzmianka, rzucona w liście o miesiąc późniejszym (z d. 9 listopada):

„W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinnard tom czwarty Mickiewicza, zawierający trzecią część Dziadów. Jeszcze jéj nie znam. Ale Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religią na plac wyprowàdza — uniewinnia Papieża, nawet bullę! Słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba“...

Że zdanie o tém ostygnięciu Mickiewicza w poezyi nie ze wszystkiém było prawdziwe, a mówiąc wręcz i otwarcie, że było fałszywe nawet: o tém przekona czytelnika sama uwaga, że były to czasy, gdzie Adam pracował nad największém swém dziełem, nad Panem Tadeuszem! Ale pozornéj prawdy mogło jednak być nieco w owém spostrzeżeniu Juliusza. Weźmy na przykład list Mickiewicza do Odyńca z dnia 8 grudnia 1832 r. a zatém około tychże czasów pisany,*) a znajdziemy w nim nieje-

*) Listy te ogłoszono w warszawskiéj Gazecie Codziennéj 1860, i także w Czasie 1860, Nr. 165 i nast.

dno, co za komentarz posłużyćby mogło do powyższego sądu o jego naówczas niepoetyczności. Mówi w nim Adam o sobie na przykład jak następuje:

„Piszę teraz poema szlacheckie, w rodzaju Herman i Dorothea (Göthego); już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszéj. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot z wiadoméj tobie przyczyny, tyle kłopotów korrekty (około trzeciéj części Dziadów, i Ksiąg Narodu), i prócz tego tyle różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.“

A w miesiąc późniéj pisał jeszcze tak;

„Ja tu żyję niemile śród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą — doktrynery mają za waryata. Wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni... Paryż tak obrzydziłem, że ledwie już mogę wytrzymać“ itd. (Mick. do Odyńca – Paryż 28 stycznia 1833).

Był zatém Mickiewicz w owych czasach rzeczywiście na wskróś skwaszony i zgorzkniały. I jeżeli się to jego usposobienie — jak jest prawdopodobném — dawało czuć całemu jego otoczeniu, to szczególniéj raziło oczywiście naszego poetę. Ten bowiem ani sam już wtedy sympatycznie na Adama nie spoglądał, mając osobiste swoje żale do niego, ani też nie był i przez niego sympatycznie widziany. Kierunek bowiem ówczesnéj autorskiéj czynności Słowackiego nie podobał się Mickiewiczowi. Był tedy pomiędzy nimi mniéj więcéj tensam stósunek, co w pierwszych czasach między Schillerem a Göthem, kiedy ten ostatni powrócił z podróży włoskiéj i żył cały w przypomnieniach owéj harmonijnéj, niczém niezamąconéj, posągowo spokojnéj klasyczności starożytnych arcydzieł, jakich się tam napatrzył, — a tu mu przyniesiono z wielką wrzawą uwielbienia Ardinghello Heinsego, Zbójców Schillera i inne początkowe utwory tego poety właśnie co tylko wydane. Aż mrowie przeszło Göthego na ten zgrzyt bolesnych, żywotnych, genialnie wypowiedzianych — ale zawsze dyssonanc! Poznanie się jego z Schillerem odbyło się bardzo ozięble. I wiele czasu upłynęło, nim się ostatecznie zbliżyli do siebie i pojęli i polubili. Otóż mutatis mutandis — podobny

zachodził stósunek i teraz pomiędzy obydwoma poetami naszymi. Zrozumieć się oni nie mogli. Każdy z nich szedł inną drogą.

Ażeby się o tém przekonać, że w saméj rzeczy szedł już wtedy każdy z nich drogą odmienną, trzeba nam o tém nieco szczegółowiéj pomówić. O Mickiewiczu wszelako rozwodzić się tu nie będziem. Czego on żądał i pragnął, jak pojmował wtedy zadanie swoje, emigracyi i narodu naszego: to każdemu z czytelników moich byćby powinno wiadomém. A ktoby mniéj jasne miał o tém wyobrażenie, niechże weźmie do ręki jego Księgi Narodu i Pielgrzymstwa, a znajdzie w nich całe wyznanie wiary tak politycznéj jak społecznéj tego genialnego poety. Pismo to powstało właśnie w r. 1832, a zatém słusznie uważane być może za zwierciadło i że tak powiem, za manifest jego ówczesnych przekonań.— Juliusz Słowacki nie miał wtedy jeszcze, ile mi się zdaje, tak jasno wytkniętych kierunków przed sobą. I wiek jego nie był jeszcze po temu i cała natura jego więcéj była jakaś nierzeczywista, irracyonalna. Mickiewicz przy całéj swéj podniosłości nieskończenie przewyższał go realizmem. Mickiewicz szukał wszędzie żywiołów pozytywnych, dodatnich; szukał pewnika, dogmatu: — Słowacki marzył, poetyzował... Pierwszy wiedział zawsze, do czego dążył i co zamierzał: — drugi łatwiéj byłby podobno z tego zdał sprawę, czego nie chciał; sformułować zaś dobitnie żądań i pragnień swoich dodatnio: — tego w żadnéj porze życia swojego, a tém mniéj wtedy nie byłby pono potrafił. Stémwszystkiém instynktowo miał i on jednak swoje kierunki przed sobą. Szedł pewną drogą i w owym już czasie; i jakkolwiek nie łatwą jest rzeczą oznaczyć, w jaką stronę pęd jego natchnień się wtedy najprzeważniéj skłaniał, niepodobieństwem to jednak nie jest. Inaczéj tego wszelako dokonać nie zdołamy, jak jedynie przez szczegółowy rozbiór jego dwutomowéj ówczesnéj publikacyi. Sądzimy przeto, że nie nadużyjemy cierpliwości czytelnika, jeżeli w następnym rozdziale przystąpimy do tego krytyczno-estetycznego zajęcia i na czas jakiś przerwiemy opowiadanie o dalszych kolejach jego żywota.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jéj stósunek do literatur zachodnich — jéj główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacyi. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w r. 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart.

Podejmujemy trudne zadanie. Sądy o dziełach Słowackiego są do téj pory nieustalone. Są tacy, którzy się nad niemi entuzyazmują i radziby je położyli w literaturze na pierwszém miejscu. Ale też nie brak i na myślących inaczéj. Ci je odkładają po przeczytaniu bez szczególnego wrażenia, a często z pewnym niesmakiem. Tak jest dzisiaj, tak było od pierwszéj chwili ich ogłoszenia. Przytoczyliśmy powyżéj z listów autora kilka ustępów, z których widno, ile dowodów uznania odbierał on od podobnie myślących za to zbogacenie poezyi polskiéj swemi świeżo wydanemi dziełami. Zanosiło się zrazu, wedle własnych poety świadectw, na różne przekłady i krytyczne onych rozbiory. A przecież pomimo tego, w dalszém kole czytelników ani w emigracyi ani w kraju — nie sprawiły wielkiego wrażenia te pierwsze tomy Słowackiego Poezyi. W ogóle przeszły one pośród głębokiego milczenia. Nie wiemy o żadnéj takiéj w pismach tamtego czasu recenzyi, o któréj by warto było pamiętać i dzisiaj jeszcze. Utwierdza nas w tém i sam poeta, kiedy późniéj — na czele przedmowy do tomu III — gorzkiemi słowy skarżył się na tę obojętność ogółu: „Nie zachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam

tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze tomy połknęła.“ — Nieukontentowany z powodu, że do pierwszych tomów wkradło się kilka pomyłek druku, wspomniał był poeta w jednym z ówczesnych listów, że ma nadzieję poprawić takowe w drugiéj edycyi. Przypuszczał więc, że potrzeba téjże da się uczuć niezadługo. I to go także zawiodło. Do powtórnego dzieł tych wydania nie przyszło wcale za życia autora, pomimo że się sprzedawały późniéj nawet za cenę znacznie zniżoną...

Jestże to wszystko okolicznością, któraby bezwarunkowo świadczyła przeciw artystycznéj wartości pierwszych jego utworów? Mniemanie takie — zdaje mi się — byłoby mylném. Ale trudno jednak nie wyprowadzić stąd wniosku, że poezya Słowackiego snać nie odpowiedziała ówczesnéj czy potrzebie czy też smakowi narodu. Musiał być więc między jego poezyą a tém wszystkiém, co literatura nasza wydała poprzednio, jakiś rozstęp, jakiś brak związku a raczéj ciągu, dla którego się to nowe jéj zbogacenie nie wydawało zbyt ważném.

Dla wyjaśnienia téj rzeczy, uważam tu za potrzebne rzucić kilka uwag, które się będą może niejednemu wydawały zboczeniem od właściwego przedmiotu. Sądzę jednak, że mi czytelnik zboczenie takie wybaczy przez wzgląd na ważność rzeczy, o którą chodzi. Chodzi bowiem o poszukanie sobie w naszych sądach o Słowackim takiego punktu wyjścia, któryby był i sprawiedliwym względem niego i dalekim od téj znowu pobłażliwości, któraby uwłaczała innym naszym pisarzom.

Uważam za pożądane, ażebyśmy jak najdokładniéj uprzytomnili tu sobie, jakieto czasy pierwszy występ Słowackiego jako pisarza poprzedziły i jakichto zastał on na niwie swojéj rychlejszych pracowników.

Poprzedziło go owo dziesięciolecie (1820 do 1830), które tak świetnie rozpoczęło epokę naszéj nowéj, naszéj narodowéj poezyi. Epoka ta płynie jeszcze i za dni naszych, chociaż wnosząc ze wszelkich oznak zdaje się, że prawdziwa płodność i wielkość tego literatury okresu już przeminęła. Czasy jéj wypełniły się — o ile to poezyi, a nie prozy dotyczy, już z rokiem 1848. Boć późniejsi, młodsi pisarze—to już tylko Epigonowie starszych...

W ciągu rzeczonego dziesięciolecia przyłączył się do pozostałego z dawniejszych jeszcze czasów Niemcewicza nasamprzód— długo przedtém zapoznawany Kaźmierz z Królówki. Potém zajaśniał w całéj pełni blasku umiłowany od wszystkich Adam. A za nim odezwał się od stepów ukraińskich ów „słowiczek“ poezyi polskiéj, Bohdan Zaleski. A potem nadszedł smętny Malczeski; a niebawem w jego ślady ponury, groźny, ale pociągającéj energii — Goszczyński... Równocześnie z nimi zajęli pod przeważne panowanie swoje — na długo — dzielnicę poezyi przez tamtych wcale nietkniętą dwaj równie znakomici pisarze, Korzeniowski i Alexander Fredro. Ci siedmiu, zdaniem mojém, stali przez rzeczonych lat dziesięć na czele ruchu w zakresie poetyckiego działu literatury. Niektórzy z nich przeszli prędko i szli samotnie: był takim naprzykład niezapomniany po zgonie, choć mało znany za życia, autor Maryi. Inni działali otoczeni całą drużyną duchów pokrewnych, chociaż niższych talentem. Około Mickiewicza gromadzili się Odyniec i Zan i Chodźko Alexander i Korsak. Nieco opodal stał skłaniający się więcéj ku Brodzińskiemu Witwicki,—a jeszcze daléj Tymon Zaborowski, Gosławski, Górecki itd. itd.

Równocześnie niemal poczęte i bez przerwy daléj trwające działanie tylu naraz znakomitych talentów zbogaciło poezyą naszę niejednym takim utworem, że każdy z nich byłby na się przez długi czas ściągał uwagę wyłączną, gdyby się nie był musiał dzielić rozgłosem z tylu innymi utworami pierwszego rzędu, przybywającymi rok rocznie do skarbów literatury.

W roku 1820 pojawił się Wiesław. W 1821 odegrano w Warszawie pierwszą komedyą Fredry, Geldhaba. W 1822 wyszły Ballady Mickiewicza. Dumy Zaleskiego także przypadają na owe lata, choć w całym zbiorze pojawiły się znacznie późniéj. W 1823 ukazała się Grażyna i pierwsze części Dziadów. W 1825 Sonety Mickiewicza, Marya Malczeskiego, Odyńca zbiorek poezyi; wreszcie pierwszy nasz romans historyczny, Jan z Tęczyna przez Niemcewicza. W 1826 pierwsze dramatyczne utwory Korzeniowskiego; Pojata Bernatowicza; pierwsze dwa tomy Komedyi Fredry. W 1827 przybył

Zamek Kaniowski Goszczyńskiego. W 1828 Konrad Wallenrod. W 1830 Mnich Korzeniowskiego; trzeci tom komedyi Fredry; T. Zaborowskiego Dumy Podolskie; nakoniec wdzięczne Witwickiego Pieśni Sielskie i Biblijne.

Taki jest poczet dzieł pierwszéj dani w dziejach odrodzonéj naszéj poezyi. Te są imiona i czyny bezpośrednich Słowackiego poprzedników. Dalsza koléj obejmuje już prace i tych co tylko wspomnianych, i świeżych znowu sił poetyckich, które wystąpiły na scenę dopiero po wypadkach r. 1831. Pierwszym co do czasu był w szeregu tych nowoprzybyłych, tych młodszych, właśnie nasz poeta, Juliusz Słowacki. Inne znakomitości pierwszego rzędu, a téjże generacyi — to zwrócony tęskném okiem w przeszłość narodu Wincenty Pol (od r. 1833), wyjątkowo przedłużający trwanie tego okresu aż do dni naszych; a daléj zgasły przedwcześnie i dlatego mniejszéj sławy Stefan Garczyński (także od 1833); nakoniec proroczy, pod kolizejskim krzyżem natchnienia szukający wieszcz Irydyona i Komedyi Nieboskiéj (1834).

Szereg prawdziwych mistrzów słowa nie kończy się oczywiście z Krasińskim. Zajaśniała i po nim jeszcze niejedna gwiazda na niebie poezyi polskiéj. Lecz mówić o nich nie należy już do naszego przedmiotu. Nam chodzi o porównanie poezyi naszéj tak zwanéj romantycznéj przed rokiem 1831, ze stanowiskiem i artystycznym sposobem Słowackiego w owymże czasie. Powiedzmyż więc choć w kilku słowach, co stanowi owéj poezyi odrębne znamię i zasługę około sławy narodu.

Jedném z głównych następstw wystąpienia Mickiewicza i innych jemu współczesnych było podniesienie poetyckiéj literatury polskiéj na wysokość europejskiego znaczenia. Od tegoto dopiero czasu weszła poezya nasza znowu w bezpośrednie zatknięcie z tradycyami postronnych literatur, zajmujących odpowiednie wiekowi stanowisko. Pisarze nasi dawniejsi z małym wyjątkiem byli więcéj naśladowcami, i to wzorów, które i same słabo, nawet koszlawo już tylko odtwarzały starożytny klasycyzm. Świat starożytny zbyt się już był odsunął; studya nad nim w przeszłym wieku, mianowicie we Francyi, zeszły do nicości zapomnianéj pra-

wie nauki. Najzagorzalsi niby wielbiciele mistrzów rzymskich i greckich nie mieli trafnego wyobrażenia o istotnych warunkach wielkości tych niegdyś niedościgłych potęg artyzmu. Pomimo nieustającéj gadaniny o konieczności trzymania się we wszystkiém przekazanych przez starożytność przepisów — literatura francuska nigdy nie zbliżyła się do tych wzorów choćby tyle tylko, ile się u nas w XVI wieku zbliżyć do niéj potrafił Kochanowski. Śmiech wzbudza patrzeć na lękliwość i zarozumiałość tych dworaków wersalskich, kiedy na usprawiedliwienie swoich małodusznych nowostek odwołują się ciąglè to do Arystotelesa, to do Horacego lub Quintyliana, to wreszcie do tragików greckich, których dzieła znane im były chyba tylko z urywków, z przekładów lichych, a najczęściéj zaledwie pewnie z powieści. Literatura poetycka Francuzów była więc właściwie tylko karykaturą klasycyzmu; stanowiła począwszy mianowicie od połowy przeszłego wieku, w obszarze nowoczesnéj europejskiéj poezyi, jakiś zacofany, wyjątkowy zaścianek; i nie byłaby mogła ani na chwilę nosić nazwy wielkiéj literatury, gdyby nie była własnością narodu, który pod innym względem nadawał ton całemu społeczeństwu i imponował.

Mimo to wszystko — kierunek téjto właśnie literatury wytykał więc drogi naszym pisarzom z epoki księstwa warszawskiego i poprzedzających ją czasów stanisławowskich, którzy po większéj części na téj roli naśladowców i cudzego powodzenia admiratorów poprzestawali. Nie ściągam tego, có tu mówię, oczywiście do Krasickiego, który zatrzyma w piśmiennictwie na zawsze niepoślednie znaczenie; ale Krasicki góruje tylko albo dowcipem albo rozumem; nigdy uczuciem i wyobraźnią. Inni jego współcześni, lubo czasem nie bez znamion wyższéj poetyckiéj zdolności, wystarczali — że tak powiem, na miejscowe i tylko tymczasowe potrzeby. Naród własny nucił ich piosnki: dalszy świat i wtedy i potém mało kiedy co o nich słyszał. Nie miano bo też u nas wtedy jeszcze żadnych do szerszéj sławy uroszczeń i chętnie poprzestawano na chlubie, że się komu zdarzyło napisać coś takiego, co żywo przypominało jakiego zawołanego rymotwórcę z za Renu, albo w razie szczęśliwszym jaką tiradę z umianéj wtedy przez wszystkich literatów naszych na pamięć Eneidy...

Od roku 1820 począwszy, wszystko się to zmieniło. Poeci nasi młodsi, dostrajając — pod artystycznym względem — lutni swoich na wysokość tonu, jakim brzmiała wtedy prawdziwa poezya w krajach postronnych, zaczęli czerpać natchnień z własnéj krynicy narodu. Po raz pierwszy w mówie polskiéj odżyły wtedy postaci dawno minionych wieków, wskrzeszone z całą świeżością narodowéj prawdy i siły; pieśń gminna — ta skromna, ale wiekuiście zielona bluszczu gałązka, wiążąca dzień dzisiejszy z epoką pierwszych pokładów rodziméj cywilizacyi, rozwinęła się w poemat i wyśpiewała niejednę z tajemnic sztuki, o których się dawniéj nie marzyło poetom; wrące uczucia piersi własnéj teraz dopiero znalazły wyraz rymujący i z stanem duszy poety i z wyjątkowém położeniem narodu. Pękły skrzepłe skorupy bezdusznéj konwencyjności — natura wzięła górę nad sztuką — retoryzm ustąpił miejsca sile połączonéj z prostotą — sentymentalną czułość zastąpiła rzewność i łzy gorące: po raz pierwszy od czasu Kochanowskiego stała się pieśń polska znowu prawdziwém zwierciadłem doli społecznéj, i dyktowały ją idee w narodzie naszym wykołysane i będące dzisiaj pokarmem, wiarą, przyszłością naszą...

Właśnie z tego powodu zajęła poezya polska względem współczesnéj europejskiéj stanowisko nietylko równéj między równemi, ale co większa: okazała się jéj najistotniejszym dośpiewem i niejako uzupełnieniem. Jestto jakby ton w akordzie niezbędny dla dokonania jego harmonii — ton trzeci, ostatni...

Pierwszorzędne potęgi poetyckie w dawniejszych epokach pojawiały się prawie zawsze z osobna. Społeczeństwa całe, wieki całe składały się na wydanie mistrza, któryby uwagę więcéj niż swego tylko narodu zwrócił na siebie. W trzynastym wieku Dante, w czternastym Petrarka, na początku dopiero szesnastego Ariosto. O pół wieku późniéj słynęli trzej prawie równocześni mistrzowie, lecz każdy z innego był narodu: Kamoens Portugalczyk, Tasso Włoch, Kochanowski Polak. Zajaśniał w kilkadziesiąt lat po nich Szekspir — to był Anglik. Na przestrzeń siedmnastego wieku przypadają Calderon i Milton — każdy znowu z innego końca świata. Potém nastało w literaturze powszechnéj długie milczenie, pozornie tylko przerywane płonną gędźbą dwora-

czych, małodusznych, szkolnie udresowanych rymotwórcow. — Od połowy dopiero ośmnastego wieku daje się widzieć jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Poezya prawdziwa odżyła. Powstał cały zastęp poetów, rowieśnych i coraz młodszych, którzy się do jéj chóru jeden po drugim łączyli. Najprzód widzimy ich w Niemczech: Klopstok, Lessing, Herder, Wieland, Bürger, Göthe i Schiller. Ci siedmiu, otoczeni całą drużyną mniejszych talentów, zapełniają wiek ośmnasty i podnoszą w kraju swoim sztukę na coraz wyższe szczeble potęgi. A kiedy w r. 1805 zabrakło Niemcom Schillera, Göthe zaś już się więcéj niż poezyą, zajmować zaczął teoryami światła i metamorfozy roślin: odezwał się od gór szkockich głos nowy, powszechną na się zwracający uwagę, godny tamtych antecedencyi i z natchnienia i z całego kierunku. I tutaj znowu działało całe grono współczesnych, przodowali mu zaś ci trzej europejskiego rozgłosu, wielcy poeci: Walterscot (od roku 1805), Tomasz Moore (od 1806), Byron (od 1808). To był więc drugi ton w akordzie nowoczesnéj europejskiéj poezyi. Między 1824 (zgon Byrona) a 1830 (ostatnie prace Walterscota) dogasa i w angielskiéj literaturze głębsze natchnienie. Lecz płonie ono już świętym ogniem gdzie indziéj: — Brodziński, Mickiewicz i ci wszyscy, którzy ich otaczali, dzierżyli w rękach swoich już lutnie.

W chwilach, kiedy to piszę, zamiera zdaje mi się już i ten ton trzeci. A nie słychać niestety nigdzie w świecie, żeby się ten akord daléj rozwijał. Na wierszokletach i rymotwórcach nie zabraknie w żadnym języku. Będzie sobie rzempoliła muzyczka, bez któréj obejść się już ludkowie nie mogą. Ale co się tyczy prawdziwych poetów, to się zdaje, że na długie czasy w bieżącéj dziejów epoce zamknięta została złota ich księga. W rachubach zatopiły się dni obecne, społeczeństwa tegoczesne pozbyły się nawet biernéj zdolności rozumienia wielkich idei. Turkot fabryk przegłusza wszystko na świecie, a posunięta do cynizmu poziomość teraźniejszych instynktów wybornie rymuje z rytmem tego turkotu. Kto wie, czy ów zbiég tylu naraz pierwszorzędnych zdolności, w literaturach ostatniego stulecia, nie był oznaką jakiego przesilenia w duchu społeczeństw? Może się poezya rozstawała

z rzeczywistością życia na dłuższe czasy, i właśnie przeto, jak ta lampa zgasnąć mająca, chciała na pożegnanie zabłysnąć jaśniejszém światłem...

W skutek takiego właśnie, jakeśmy go w powyższém określili, stósunku między literaturą naszą a powszechną, poezya polska — mimo całéj swojéj skądinąd odrębności — okazuje się, zwłaszcza też w pierwszych czasach, w pewnéj zawisłości od tradycyi celniejszych mistrzów postronnych. Dla téj teżto właśnie przyczyny nazywała się ona wtedy romantyzmem. Sama nie wiedząc, jak przychodziła do téj nazwy, składała ona mimowolnie przez to jakby świadectwo swojéj solidarności z angielską i niemiecką poezyą, które u nas w owych czasach uważano za romantyczne. Okoliczność ta nie dowodzi jednak niczego przeciw oryginalności naszego piśmiennictwa. Oryginalność bezwarunkowa w ogóle może być tylko przymiotem albo literatur tak niepiśmiennych i że powiem samorodnych, jak naprzykład ludowe pieśniarstwo serbskie z czasu walk narodowych z Turkami, albo też takiéj wyjątkowéj literatury, jak starożytna grecka. Tamte nic jeszcze nie wiedzą o sztuce dalszego świata. Grecka zaś będąc w dziejach naszéj cywilizacyi pierwszą artystyczną literaturą, musiała się z konieczności i sama z siebie i samodzielnie rozwijać. Ale o żadném z późniejszych a większego znaczenia piśmiennictw europejskich tego już powiedzieć nie można; gdyż każde z nich mniéj lub więcéj posiłkowało się zasobami poprzednich. Podobnie też więc i nasi poeci brali z zewnątrz i popęd i pierwszy kierunek w swojém że się tak wyrażę uzdolnieniu techniczném; czerpali z studyów obcych wzorów świadomość artystycznych wymagań itp. Po za te zewnętrzne względy nie posuwa się jednak u nich to ich pokrewieństwo z obcymi pisarzami. Nie sięga ono prawie nigdy aż do istotnéj dzieł osnowy, która nie tylko brana jest zawsze z obrębu rzeczy ojczystych, ale nawet tonem, barwą i dążnością odpowiadała jak najwierniéj powszechnemu nastrojowi ducha narodowego, jakim ten nastrój był wtedy. Prace naszych poetów sąto prawie zawsze dzieła tchnące jakąś błogą, serdeczną i miłościwą pogodą ducha. Ton pieśni polskich wprawdzie jest przeważnie smętny i łzawy; mimo to jednak widać tu wszędzie

silną wiarę w opiekę Opatrzności nad światem — w grunt natury ludzkiéj ostatecznie szlachetny — w prędzéj czy późniéj zapewniony tryumf idei dodatnich nad potęgami fałszu i złego, przeczącemi im i czasowo tłumiącemi ich panowanie nad światem. To też zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwa odtrącające, te tak przeważne znamiona poezyi nowoczesnéj angielskiéj, równie wtedy były nam obce, jak metafizyczna mglistość, właściwa niejednemu z pisarzów niemieckich, i ta skłonność do gubienia się w nieznurtowanéj zadumie. Nasze ideały mają zawsze coś realnego — wydobywamy je z pod serca naszego, cierpimy za nie; a po nad wszystkiém unosi się religijna miłość Ojczyzny, głębiéj i czyściéj pojęta, niż w którejkolwiek innéj literaturze. —

Na takieto czasy, śród takiéj w literaturze dążności i po tych zdarzeniach stanowiących jéj odrodzenie — przypadło więc wystąpienie Słowackiego jako autora dwutomowéj jego publikacyi z r. 1832. Nim przystąpię do szczegółowego przeglądu rzeczy w tychże tomach zawartych, uważam za potrzebne rzucić najprzód i o nich kilka ogólnych spostrzeżeń. Określenie to stanowiska Słowackiego wobec innych pisarzów wyjaśni nam najdokładniéj, dlaczego te pierwsze dzieła jego nie zostały tak przez naród przyjęte, jak się tego autor spodziewał.

Zacznijmy mówić o tém, poczynając od dobréj strony. — Znamieniem znakomitéj jego i pierwszorzędnéj zdolności, choć nie rozwiniętéj jeszcze zupełnie, jest w tych dziełach przedewszystkiém zewnętrzna forma. Mimo tak młodego wieku poety — język, styl, wiersz, koloryt, obrazowanie i co tylko stanowi zewnętrzną szatę poezyi, dosięgło już tutaj takiego wydoskonalenia, że pod tym względem nie ustępował początkujący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów naszych. — Niemniéj świadczy o rzetelnych zaletach już tych młodocianych jego utworów ta okoliczność, że takowe na dłuższéj z nimi znajomości nie tracą. Roboty miernych talentów zwykle najwięcéj się podobają przy pierwszém czytaniu. Biorąc je po raz drugi do ręki, ogarnia czytelnika nuda — i niepodobna już wtedy pojąć, że się to mogło za pierwszym razem podobać. Z pismami Słowackiego ma się rzecz po większéj części

przeciwnie. Im się dłużéj nad niemi zastanawiasz, im je częściéj odczytujesz, tém więcéj w nich wykrywasz niezaprzeczonych zalet. Zalety te są w znacznéj mierze na pierwsze spojrzenie jakby niewidzialne dla czytelnika. Zdaje ci się, jakby one dopiero zwolna z dzieła występowały i odsłaniały ci się w miarę zajęcia, z jakiém na nie spoglądasz. Najwięcéj jednakże to w pracach Słowackiego podnieść należy, że je owiewa jakiś urok tonu, jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, który się zresztą usuwa z pod analizy. Nie jestto myśl głęboka, nie jestto owa wieszcza mądrość i intuicyjne znawstwo serca ludzkiego, nie jestto wreszcie ani też siła woli męskiéj, skłaniająca do podziwu w tworach mistrzów pierwszego rzędu. Z tego wszystkiego mało znajdziesz w dziełach, które mamy przed sobą. Ale uderza cię w nich natomiast jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok poetycznego na świat spojrzenia.*) Jestto zdaniem mojém, właśnie

*) Nie potrafię rzeczy téj lepiéj wyrazić, jak przez porównanie. Bawiąc w roku 1864 w Rzymie, często zachodziłem do bazyliki św. Pawła, podźwigniętéj z perzyny, w jaką ją obrócił pożar w r. 1823, a będącéj właśnie obecnie na dokończeniu. Pomijając zewnętrzną świątyni téj powierzchowność, która się stósować musiała do pierwotnéj struktury i z powodu wielkiéj prostoty oczekiwań dzisiejszych nie zaspakaja, całe jéj wnętrze — jestto najwspanialszy pomnik wszystkich sztuk pięknych w połączeniu, na jaki się tylko zdobyć mógł w najwyższym wysiłku swoim wiek obecny. Nie wiedzieć, co tam więcéj podziwiać, czy bogactwa materyału, czy olejne obrazy, mozaiki i freski pierwszych mistrzów tegoczesnych, czy rzeźby, czy las kolumn dźwigających ciężar sklepienia, czy zmyślność, z jaką ściany kościoła wyłożono płytami marmurowemi najrozmaitszych, a zawsze najwyszukańszych gatunków. Bazylika ta ma pięć naw. Nawa środkowa otrzymuje światło z góry z przepysznych okien o malowanych szybach. Nawy poboczne poprzestają jeszcze na szybach tymczasowych ze szkła białego. Otóż właśnie z tego powodu szczególny mię tam zawsze uderzał kontrast. Chociaż już i w pobocznych nawach bazyliki każdy szczegół, ile wykończony z całym wytworem, zmusza każdego do podziwiania tylu w jedném miejscu nagromadzonych arcydzieł: — to kiedy się jednak dojdzie aż do nawy środkowéj, wtedy piękność tak całości, jak pojedynczych przedmiotów przybiera rzeczywiście jakiś urok nieopisany! Światło lejące się tęczami z różnobarwnych okien téj nawy, idealizuje nieskończenie tę część kościoła. Wszystko zdaje się być owiane jakiémś tchnieniem błogiém dla oka i dla ducha.

strona talentu Słowackiego, która go najwybitniéj odróżnia od wszystkich innych naszych poetów, która stanowi najistotniejszą cechę jego oryginalności, która mu zapewnia nawet wobec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi rozlanéj po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jéj przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszedniego toku wydarzeń: Słowacki tam umie dopatrzeć i dosłuchać się jakby ostatnich westchnień tęsknych téj melodyi, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też za dotknięciem jego ręki przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny. Nie tyle jeszcze przekonywają o tém autorskie jego utwory, ile listy, tak zresztą od niechcenia pisane, że co tylko po imieniu nazwie, co tylko wedle sposobu swego opowie, na czém tylko spocznie okiem: wszystko to przyobleka się w barwy, w kształty, w tony, o jakich drugim, na tosamo codzień patrzącym ani się marzy. Owoż więc, co nazywam spojrzeniem na świat — nie z woli, nie przez sztukę, lecz z bezpośredniéj natury poetycznèm, w ściślejszém słowa tego znaczeniu. —

Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownych światłach poezyi przyprawił poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnych świata tego stósunków w ich warun-

---

Szczegóły spływając w téj toni kolorów w jakąś ogromną jedność, tworzą harmonią miękką, falistą, krągłą, która dziwnie odbija od naw pobocznych, jeżeli się pod wpływem właśnie tego wrażenia, rzuci teraz okiem w ich wnętrze. Podziwiane co tylko tychże piękności i najwyższe sztuki wysiłki zdają się być teraz jakby z innego świata; sprawiają wrażenie, jakby je mroziło jakieś zimno północy. Wszystko się zdaje surowém, ostrém, twardém, istniejącém z osobna i tylko dla siebie. Owoźto kontrast sposobów oświetlenia! W pobocznych nawach — to jeszcze koloryt zwyczajnéj, powszedniéj rzeczywistości; a tam — to koloryt poezyi, atmosfera nadziemska, stworzona sztuką. Do tegoto więc rodzaju oświetlenia w malarstwie ja przyrównywam to coś, co w poezyi tak często właściwém jest Słowackiemu.

kach rzeczywistych. Jest on na podobieństwo owych wieszczów mitycznéj starożytności, którym bogowie w zamian za lutnię do rąk podaną i za poetyckie jasnowidzenie, odjęli widzenie przyrodzone i zamknęli oczy na wszystko, co ich zewnątrz otaczało. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością. Zrażała go ona, bo mu nie była piękną; oburzała go, bo nie była mu zrozumiałą. Stanowisko jego względem warunków, w jakich żyć ludziom wypadło, ponieważ je sobie sami tak a nieinaczéj stósownie do natury swéj ustanowili, było najzupełniéj ujemném, wszystkiego odmawiającém, zaprzeczném. Nie przyznając im uprawnienia do bytu, uważając je za bezwarunkową negacyą tego, co być ma, w konsekwencyi też upatrywał we wszystkiém, co ten normalny porządek świata naszego wstrząsa, zakłóca i targa, eo ipso za piękność, za poezyą, słowem za przedmiot godny współczucia poety. Nie zdając sobie sprawy ani z pobudek ani też z godeł, w imieniu których jedynie wolno jest w danéj chwili wyzywać do walki ten ład normalny, na zbudowanie którego składały się pokolenia, narody, wieki całe trudu, cierpień i ofiar, poświęcał pióro swoje najczęściéj i najchętniéj takimto właśnie walkom rozpacznym, bez względu czy je wszczynają siły do tego upoważnione, czy też raczéj grzeszna, zbłąkana tylko niemoc duchowa, w złudne przyodziana pozory bohaterstwa i poświęcenia. I oto właśnie, w czém się pomylił, w czém się rozminął nie tylko z duchem poprzedniéj poezyi naszéj, ale i z instynktem lepszéj części społeczeństwa narodowego.

Nie tylko w téj młodzieńczéj życia jego epoce, ale i późniéj dążność ta, choć potém nieco złagodzona, nieraz się przebija w jego pismach. Nawet kiedy pracował nad Królem-Duchem, ostatniém swojém dziełem, widzimy go stojącego twardo przy takiém przekonaniu. Oto je w tym poemacie wręcz wypowiada w następujących wierszach, które tém chętniéj tu przytaczam, że nie mogły one znaleść pomieszczenia w drukowanym kontexcie tego utworu z powodu, iż były rzucone luźnie gdzieś na brzegu jednéj z kart manuskryptu.

„Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę,
Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,

Gdzie się trzaskają serca i przyłbice;
A z miejsc, gdzie ducha sen ma łoże swoje,
Uchodzą: dziwna w pośmiertnych różnica
Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje
I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy —
Piekielni, z których drwi anioł globowy!

„O! fałszu, ludziom z ciała niewiadomy,
Tęsknoto, królów spokojnych płacząca!
Wiédz, że ten lepszy, co na krew łakomy
Zda się jak orzeł, lud o lud roztrąca“... i t. d.

Nie podlega wątpliwości, że w tych strofach jest wiele prawdy. Spokój, sen ducha, nieczynność — to martwość; bój, ruch, prąd naprzód — to przyrodzone prawo duchowe. Ale gdyby to zdanie Słowackiego postawić w jego sposobie na czele wszelkich prawd innych i zrobić zeń regulatora postępków dla wszystkich ludzi: w coby się to wtedy zamieniła ta ziemia nasza i życie na niéj?

Ale to jeszcze nie wszystko. Na tém tle wyobrażeń, stanowiących u Słowackiego przez cały jego zawód to co nazywamy pospolicie filozofią poety, daje się widzieć w młodzieńczych jego latach jeszcze jedna doktryna, a dzieła jego z roku 1832 są prawie wszystkie właśnie wyrazem takowéj. Słowacki przypuszczał dwie niejako natury ludzkie. Zwyczajny ogół — mniejsza o to, czy z głów koronowanych, czy z nędzarzy złożony — to gawiedź, to „tłum“. Po za tym tłumem zdarzają się, wprawdzie rzadko i wyjątkowo, ludzie całém niebem różni od zwyczajnych kreatur ludzkich. Sąto wedle poety duchy wyższe, jakby przez przypadek tylko i nieporozumienie przysłane na ten nasz padoł. Czy to są istoty dobroczynne dla rodzaju ludzkiego? Czy oni wytykają tu bliźnim swoim lepsze drogi żywota? Czy zostawiają po sobie w czynach, w śladach lepiéj przepędzonego życia, wdzięczną pamięć po sobie? — Bynajmniéj! Nasz autor pojmuje tę ich wyższość, tę ich demoniczną wielkość w zupełnie przeciwny sposób. Są to duchy, z którymi on wprawdzie sympatyzuje całém sercem i aż za nadto, które jednakże mimo tego i same są najnieszczę-

śliwsze i dla drugich złowrogie. Między warunkami ich szczęścia, a tém co świat zwyczajny poczytuje sobie za szczęście, nie ma żadnéj wspólności. Co ludzi cieszy, dla nich jest niczém; co ludzi zaprząta i zaspakaja, ich nudzi; a czego oni pragną, to przy tych okolicznościach, jakie są, wcale nie może być osiągniętém na ziemi. Są to więc otchłanie uczuć gorejących, góry woli trawiącéj się w sobie, są to tytany: ale postawione po za wszelkim stósunkiem ze światem i z tém, co na nim jest. Wielkości takie nazwałaby matematyka nieobliczonemi, niewymiernemi wielkościami (irrationales, incommensurabiles). Ich życie między resztą rodu ludzkiego — jestto zdaniem autora, jedno pasmo cierpień, zawodów, jęków, krzywd, zbrodni, przekleństw i wszelkiego rodzaju rozdźwięków. Jest jakby jakiś wiszący nad ich głowami fatalizm, który wszelkiéj ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obrot, że oni sami celu swego nie osięgając, niweczą wszystkie warunki spokoju i szczęścia drugich. To też marzą oni ciągle o samobójstwie, narzekają na przesyt życia, celu żadnego przed oczyma nie mają, nic ich nie wiąże do świata, gardzą ludźmi, nienawidzą wszystkiego, na czém świat stoi: i narobiwszy zamętu i klęsk na całéj drodze swego żywota, przeklinani, przeklinając, kończą marnie, jako niby ofiary przewrotności świata i zwyczajnéj natury ludzkiéj. — Do tegoto typu odnieść należy i Araba i Mnicha i Mindowę i Bieleckiego i Żmiję i Botwela w Maryi Stuart. Tak rozmiłowany był nasz autor w ideałach tego rodzaju, że ciągle więc jednego człowieka w dziełach swoich wprowadza, pod zmienioném tylko zawsze nazwiskiem! Wielka musiała być w nim wtedy gorycz dla ludzi, kiedy ten temat mizantropii i zwątpienia nie ustępował mu z oczu!

Oczywista rzecz, że tego rodzaju doktryna, pozbawiona wszelkiéj podstawy, nie mogła trafić do przekonania powszechnego, kiedy się ukazały te piérwsze tomy Poezyi Słowackiego. Ogół nie mógł wcale rozumieć, o co autorowi chodzi? Dzieła poprzednich poetów były im zrozumiałe, bo tchnęły miłością ku ludziom. Społeczeństwo polskie jest z natury dobroduszne, optymistyczne. Nie raz ono aż zbyt daleko się posuwa, spodziewając się wszystkiego, co najlepsze; wierząc w dobrą wolę wszystkich; kochając

to co swoje, co ludzkie — nawet z błędami! W tém się więc aż do owego czasu dążność poezyi, która pragnęła podnieść ludzi, ale ich wzgardą nie odtrącała, z usposobieniem społeczności naszéj spotykała na jednéj drodze. Punkt wyjścia Słowackiego wcale nie był z takich przypuszczeń. Miłość ludzi, jakimi są stworzeni, nie należała wcale do jego przymiotów. Stawiał jako ideały, jako bohatery w swoich dziełach takie natury, które (choćby indirecte) dowodzić miały, jakie to życie jest nędzne, a my sami jacy maluczcy i podli! Choćby to była i prawda: — to i jakiż skutek być może takich dowodzeń? Uderzać na błędy, na głupstwa ludzkie... rozumiem. Ale cóż pomoże utyskiwać nad naturą człowieka? My tego nie zmienimy! Wyrzekać na to — jestto to samo, jak kiedyby kto wyrzekał, że w styczniu jest bardzo zimno, a w lecie znowu gorąco.— I społeczeństwo nasze wie o tém, że bywają pomiędzy ludźmi natury wyjątkowe, że się zdarżają czasem duchy potęgi i zdolności większéj, aniżeli zwyczajna. Ale wystawiamy sobie stósunek onych do reszty ludzi zupełnie inaczéj. Prawdziwie wielki człowiek—to chluba wieku, to największy dar boży, jakiego dostępują narody, to dobroczyńca społeczności, która go posiada.

Przejdźmy teraz do szczegółów i rozpatrzmy się bliżéj w tém wszystkiém, co w sobie mieściły tomy wydane roku 1832. Nasamprzód wypada oznaczyć koléj rzeczy w nich objętych, nie podług tego jak je autor uporządkował w wydaniu, gdyż to nie dowodzi niczego, ale podług czasu, w którym nad każdém dziełem pracował. Miałem przed sobą podręczny Słowackiego exemplarz obu tomów. Są w nim zapisane ołówkiem własną jego ręką notki dające o tém wiadomość, kiedy i gdzie co było pisane. Można zatém z autentyczną pewnością ustanowić porządek chronologiczny utworów, o których mowa; był on następujący:

Hugo był pisany w Warszawie, 1829 roku, w sierpniu.

Mindowe — także w Warszawie, tegoż roku, w listopadzie. Praca nad nim ukończona była w jednym miesiącu.

Mnich przypada na luty 1830 roku — w Warszawie.

Bielecki na lipiec tegoż roku — tamże.

Marya Stuart zajęła, równie jak Mindowe, jeden miesiąc

czasu. Była pisana w Warszawie w roku 1830, od 17 września do 18 października.

Arab powstał w listopadzie 1830, tamże.

Żmija był płodem różnych czasów. Pieśń pierwsza rzucona była także jeszcze w Warszawie, w miesiącu lutym 1831, a zatém krótko przed wyjazdem za granicę. Druga pieśń przybyła w Dreźnie, w lipcu 1831. Trzecia w Paryżu, w wrześniu. Czwarta tamże, w październiku. A zatém zapełnia poemat ten prawie cały rok 1831, przy pracy nad nim ciągle przerywanéj już to przez zdarzenia tego roku, odwodzące uwagę autora w inne strony, już przez same zmiany pobytu, niemniéj przyczyniające się do roztargnienia.

Do Skibickiego wiersz powstał dopiero w Paryżu w lutym 1832.

Nie mam zamiaru wchodzić z równą szczegółowością w rozbiór wszystkich tych poezyi. Niektóre z nich nie wytrzymują zgoła krytyki i nie ma się co nad niemi rozwodzić. Tak na przykład myślę, że i najzagorzalsi wielbiciele Słowackiego zgodzą się na to, że najrychlejsza między wyliczonemi powyżéj jego rzeczami wypadła nader słabo. Ani przez inwencyą, ani przez wykonanie poemat ten nie sprawia wrażenia na czytelniku. Charakter **Hugona**, główném osoby, tak dorywczo i ołówkowo tylko rzucony, że ani sądu o nim ani współczucia dla niego mieć niepodobna. Wszystko zaś psuje do reszty ten brak prawdopodobieństwa, rażący przy każdym kroku. Jestto zatém tylko próba młodzieńcza z rodzaju tych, któreśmy ogłosili na początku pierwszego tomu dzieł Słowackiego pozgonnych.

Przejdźmy do **Mindowy**. — Przedewszystkiém najwłaściwszą będzie powtórzyć, co o téj sztuce sam autor rozumiał wtedy, kiedy oddawał ją do druku. — „Niech mi wolno będzie wyznać, (mówi on w notach dodanych na końcu sztuki), że sam czuję najlepiéj wszystkie niedostateczności dramatu Mindowe, a części przynajmniéj błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć. Mamże jeszcze z szczerszą otwartością postąpić? mamże wyznać, że Mindowe jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych,

napisany przed trzema laty, kiedy autor miał lat —. Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona, i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych powiedziało, iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniéj w przypisach o przywileje małoletnich upominam się.*) I tak: Mindowe powinien był w tęce dziecinnéj pozostać. Wiecznieby w niéj pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu, i do całego aktu trzeciego"....

Że to, co tu mówi Słowacki, było jego przekonaniem rzetelném, a bynajmniéj nie pochodziło z jakiéjś udanéj skromności, którato skłania niekiedy autorów do spowiadania się przed czytelnikiem z tych lub owych uchybień częściowych, aby krytyka tém pewniéj pochwaliła całość ich dzieła: o tém świadczy i ta jeszcze okoliczność, że się w tymsamym sensie o téj sztuce wyraził i poufnie w liście do matki. Zdaje się, że musiała ona coś zganić w układzie tego dramatu. Na to jéj tedy odpowiedział poeta słowem krótkiém ale dobitném: — „Tragedya Mindowe wiem że bardzo słaba — oprócz kilku scen." (Z listu z d. 30 lipca 1832 r.)

Na tym wyroku i mybyśmy mogli najzupełniéj poprzestać. Miejsc pojedynczych wyższym nacechowanych talentem nie brak wprawdzie téj sztuce, wrażenia odpowiedniego jednakże całość nie sprawia. Co samo już świadczy albo o jakiémś niefortunném założeniu całego pomysłu, albo o jakiéjś wadliwości w jego przeprowadzeniu, albo o obojgu. Wadliwe przeprowadzenie rzeczy — jestto innemi słowy pewien niezwiązek pojedynczych części, choćby z osobna najpiękniejszych, pomiędzy sobą i w stósunku do całości. Że dzieło niniejsze zarzutom pod tym względem podlega, tego nie ma co dowodzić. Sam autor to już przyznał. Za to nie wiem, czyby się był zgodził — w owéj chwili przynajmniéj — na to, coby powiedzieć należało o głównym pomyśle tego dramatu.

Z nazwą tragedyi wiążą się zawsze wysokie wymagania.

---

*) Miał lat wtedy właśnie 20. A zatém prawie tyle, ile ich miał Schiller, kiedy pisał pierwszą swoję tragedyą, *die Räuber*. Zresztą wzmianka, że to był najmłodszy z płodów wtedy wydanych, o tyle jest niedokładna, że Hugo napisanie jego poprzedził.

Zapewne ażeby tego uniknąć, nazwał poeta obecny swój utwor skromniejszém mianem obrazu historycznego. Nie na wiele mu się to jednak przydało. Najprzód bowiem, jeżeli czém nie jest Mindowe, to właśnie obrazem wieku. Do tego musiałby był Słowacki podejmować zupełnie inne studya. A potém, jak nadanie nazwy tragedyi takiemu utworowi, który nią nie jest, nie czyni go jeszcze tragedyą: tak też odwrotnie zatytułowanie sztuki jakiéj poematem dramatycznym, obrazem historycznym itp. nie przeszkadza jéj bynajmniéj być tragiczną kreacyą, jeżeli tylko ma po temu wewnętrzne i prawdziwe warunki. Rzecz się ma podobnie i w tym razie. Mindowe nie może być inaczéj przedmiotem krytycznych uwag, jak tylko właśnie jako tragedya, do rodzaju któréj najwięcéj się zbliża.

Powiedzmyż, co jest, co ma być tragiczném w obecném dziele? — W ogólności otrzymuje każdy utwor znamię tragiczne albo przez odpowiedni tok zdarzeń, stanowiących to co pospolicie nazywają bajką dramatu, albo przez charakter działających w nim osób. Zazwyczaj jedno nie może być bez drugiego, bo gdzie jest pierwsze, tam się znajdzie samo z siebie i drugie; jednakże bywa zazwyczaj pewna po téj albo po owéj stronie przewaga. Stósując to do Mindowy, zdawać się wprawdzie może na pierwszy rzut oka, że poeta oparł się tu głównie na przedmiotowéj stronie osnowy; że wyrazem i przeprowadzeniem téj idei, która kierowała jego wyobraźnią kiedy obmyślał układ dzieła, chciał mieć mniéj więcéj następujący przebieg wydarzeń:

> Mindowe porzucił wiarę ojców. Z pobudek politycznych, dla zaspokojenia dumy swojéj, dla powiększenia granic państwa, wdał się w związki z Krzyżakami, przyjął koronę królewską, a z nią (wprawdzie obłudnie i tylko na pozór) i chrześcijaństwo. Naród oburzył się nad taką wzgardą bogów ojczystych. Stanął przeciw wiarołomcy. Własna matka rzuciła na głowę jego przekleństwo. Na nic się nie przydało, że potém Mindowe odrzucił maskę przybraną, do pogaństwa powrócił i Krzyżaków zdradził. Przekleństwo matki musiało się dopełnić. Zerwany węzeł wierności narodowéj nie mógł być powetowany. Mindowe ginie, a z nim i całe potomstwo jego. Na jego tronie zasiada Trojnat, wierny religii narodu.



Po głębszém zastanowieniu jednak upada przypuszczenie, żeby z tego punktu widzenia dała się wskazać główna waga téj sztuki.

Najprzód bowiem bezpośredni cios, spadający na głowę króla, nie pochodzi ze strony zbuntowanego ludu, ale od Dowmunta. Dowmunt mści się za krzywdę osobistą, a nie z religijnych powodów. Co większa — ów Trojnat, który ostatecznie obejmuje rządy nad Litwą po strąceniu Mindowy, nie ma co do głównéj rzeczy żadnéj nad tymże wyższości. Nie jest on typem dążeń przeciwstawionych roli, jaką stryj jego odegrał. Chociaż bowiem jest poganinem i być nim nie przestaje, to i on jednak osięga tron książęcy także nie inaczéj, jak tylko przy pomocy Krzyżaków: jest z nimi sprzymierzony, przyrzeka, „że się nie będzie nigdy wdzierał do pruskiéj dzielnicy“, że „usługę Krzyżaków w wiecznéj zachowa pamięci“. Nic się zatém przez jego na tron wstąpienie na Litwie nie zmieniło. Tak przed katastrofą, jak po katastrofie — białe habity z czarnym krzyżem na piersiach z równym wpływem występują na scenie przy każdéj sposobności.

A zatém okazuje się, że tragiczność téj sztuki nie może polegać na akcyi. Tok zdarzeń nie zawiera w sobie żadnéj idei tragicznéj. Szukajmyż przeto, czego nam trzeba, gdzieindziéj — w charakterach.

Charakterów w téj sztuce jest kilka z pewną siłą i konsekwencyą rzuconych. Plastyczna, marmurowa postać Rognedy jest jak z jednego odlewu. Posągowy to pomnik macierzyńskiéj miłości na tle szorstkiego wieku i nieogrzanéj uczuciem chrześcijańskiém dzikości. Lecz to osobistość stawiona w téj tragedyi na drugim planie. — Wybornym typem starolitewskiéj siły jest także Lutuwer. Mistrzowska scena jego skonania (w akcie czwartym) jestto jeden z najszczęśliwszych ustępów w całym dramacie i nie pozostawia nic do życzenia. Ale i z Lutuwerem tylko się mimochodem zapoznajemy i spotykamy go zaledwie trzy razy w całym przebiegu sztuki. — Z wielkim wdziękiem rozpoczęta rola nieszczęśliwéj Aldony zrazu obiecuje wiele; od połowy IIIgo aktu jednak i ta postać przestaje zajmować widza, spadłszy na poziom prostéj kopii szekspirowskiéj Ofelii. — Heidenrich, Wojsiełko, Mindowe — są to typy jednego stępla, ale

Mindowe przerasta ich wszystkich perfekcyą w swoim rodzaju i zarzuca cieniem cały obraz dramatu. W ręku Mindowy zbiegają się wszystkie nici rozbiegłych zdarzeń. On niemi kieruje, on je wszystkie porusza. Jego wola, jego czyny, jego cierpienia — oto punkt, około którego się wszystko gromadzi.

Rozbierzmyż teraz rolę, jaką autor dał odegrać bohaterowi sztuki. Przyznając z góry, że takowa ma w sobie wszelkie tragiczności pozory, starajmy się wyrozumieć, czy te pozory nie są złudne; czy w charakterze Mindowy daje się dostrzéc coś takiego, coby jego działanie w tym kierunku jak się ono rozwija, upoważniało i dawało mu prawo do walki, jaką jest całe człowieka tego życie?

Tragiczność roli Mindowy nie jest wynikiem jego położenia, jego stósunku do świata, śród którego żyje. Ona wynika z jego własnéj natury, ona jest w nim i tylko w nim samym. Jestto człowiek, jakby na to zrodzony, ażeby nie poszanować niczyjego prawa na świecie, ażeby zdeptać wszystko, co dla drugich miłe i drogie, ażeby uważać za igraszkę rąk swoich wszystko, co go tylko otacza — i piętrzyć zbrodnie na zbrodniach — i wiedzieć że to źle — i boleć nad tém i cierpieć, — a jednak nie móc czy też nie chcieć zejść z téj drogi fatalnéj.

Czy tacy ludzie zdarzają się na świecie? Bywają pono niekiedy — dzięki Bogu, że bardzo rzadko! W utworach poetyckich można się częściéj z nimi spotykać. Dzieła Byrona przedewszystkiém w nie obfitują. Byron też dopiero jest właściwie ojcem podobnych typów w poezyi jako natur upoważnionych do bytu.

Sąto niby półbogi w porównaniu z zwyczajną małością ludzką. Ale ta ich półboskość nie sięga po za własne rozumienie o sobie, a w najlepszym razie nie sięga po za pewną, błyszczącą jak szych, wspaniałość słów, uczuć i pragnień, których jedyném źródłem bezdenna egoistyczna duma. Sąto zatém olbrzymy w zachceniach, a w działaniu prawdziwe karły! Burzyciele szczęścia ludzkiego za życia, a w godzinie zgonu szatany. Zdaje im się, że cały ich zawód na ziemi byłato jedna nieustająca krzywda,

jakiéj doznawali od ludzi: podczas gdy w rzeczy saméj onito byli dręczycielami drugich.

Czy Słowacki widział swego Mindowę w takiém świetle przed sobą? Czy wiedział o tém, że jego bohater nie jest niczém więcéj, jak demonem upadłym? Otóż właśnie w tém cały obłęd poety, że tego nie wiedział; że owszem rozumiał, iż w nim przeciwstawia zwyczajnéj naturze ludzkiéj osobistość doskonalszéj organizacyi, właśnie przeto upoważnioną do zakłócania szczęściem wszystkich i każdego na ziemi...

Zresztą gdyby się można zgodzić na wprowadzenie postaci, jakem ją tutaj określił, w zakres dzieła osnutego na najdawniejszych dziejach Litwy pogańskiéj: — przyznać trzeba ku pochwale poety, że ją i z konsekwencyą przeprowadził i nieraz umiał uwydatnić tę abstrakcyjną wielkość, jaka niewątpliwie jest jednym z przymiotów podobnych demonicznych osobistości.

Dążność ta otrzymała w dziele obecném tyle nawet po nad wszelkim innym względem przewagi, że czytelnik nieraz — mimo woli i mimo wiedzy — sympatyzuje z jego bohaterem! Słysząc dumne, niekiedy prawdziwą potęgą tchnące odzywania się jego, skargi jego zaprawione dojmującą goryczą, rozkazy jego wydawane głosem, przed którym wszystko się korzy, — zapominamy niemal o czynach, na któreśmy własném okiem patrzeli, o czynach zadających kłam owéj wyniosłości, owej poezyi wyrazów.

Jeżeli naprzykład Mindowe (w akcie I) przemawia do Krzyżaków:

„Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.
I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę.
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniecie.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe?“

Albo kiedy się (w akcie II) skarży na posępne przeznaczenie swoje:

„Sam więc jestem, sam jestem! Walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekłe wargi,
Wędzidłem krwawém ściągać dzikie ludu hordy —
To moje życie... usta nie wydadzą skargi...
Nie wiedzą, że ja cierpię“...

Albo kiedy przewidując bliską zagładę, obsaczony zbuntowanym narodem (w akcie V) mówi do Rognedy:

„Matko, czujesz? — przez okna téj gotyckiéj sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie...
O Litwo moja, syn twój na ciebie się żali!
Zdradzasz go“...

Albo wreszcie, kiedy (w akcie IV) żegna się ze swoim zamkiem:

„O zamku, co przetrwałeś długie wieków burze,
Ciebie naprzód powita jutro słońce jasne,
Ja ciebie żegnam... Zamku! na wysokiéj górze,
Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wsławił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać
I nieraz cię krwią ofiar niewinnych zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?“

Któżby nie słuchał słów takich z pewném współczuciem i nie rozumiał, że ma głębszą naturę przed sobą? A tymczasem złóż, oblicz, oceń całe pasmo jego działania — rozważ, co ten bohater w jaśniejszych chwilach sam o sobie i to bez najmniejszéj mówi przesady, — naprzykład w pierwszéj scenie aktu IIIgo.

„I któż się odważy
Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpaczy
I zbrodni? . . . . .
Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał —
(pokazując sztylet)
Patrzaj, tą krwią wypisane
Wszystkie są moje czyny na téj rdzawéj stali...
Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza

Lud podły, ciemny, dziki czołga się pode mną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie
Uchyla korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny... Któż mi to przebaczy?"

Jeżelić tak: to jakże jemu mówić do ojczyzny z wyrzutem;

„O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali,
Zdradzasz go".

W innem miejscu (w akcie Vtym) powiada o sobie:

„Bezbożny — zbójca — tyran — obłudnik — morderca.
Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie:
Jam wszystkie spełnił — zimno! Znużony po zbrodniach
Głębiéj teraz spać będę i w grobowe cienie
Przejdę, przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
Ach matko, ciężkie, ciężkie było moje życie!
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
Nikt mnie nie kochał"!...

Ta skarga: nikt mnie nie kochał! nie jestże to istne szaleństwo w ustach takiego człowieka?

Owoż — przeprowadzenie zawodu takiéj demonicznéj natury, takiéj że powiem irracyonalnéj wielkości ducha, powołanéj do czynu w rozległym zakresie działania władcy narodu — zdaje mi się że było artystycznym zamiarem autora Mindowy. Zadanie wielkie, zadanie godne znakomitego poety. Ale trzeba sobie było zdać z tego sprawę, czy się kreśli wizerunek demona, czy ideału. — Nie chodzi wprawdzie o to, ażeby bohaterami dramatów były same idealne postaci. I ujemne żywioły mogą niekiedy nosić na sobie znamiona wielkości. Poezya złego nie wyklucza z swego obszaru. Bohaterem szekspirowéj tragedyi Ryszard IIIci jest niemal szatan wcielony. Ale Szekspir wiedział o tém, że to bicz boży, na to tylko tutaj przysłany, żeby wyprzątnąć plac z nieprzydatnych do niczego rumowisk. Nie wzbudzał w widzach dla niego ani współczucia ani uwielbienia. Nicość moralna nie jest tam zatém bynajmniéj osłoniona wszystkimi urokami poezyi, aż

do złudnego przybrania pozorów tego, czém nie jest, i przemienienia się w przedmiot zachwytu poety. U Słowackiego zaś w tém dziele ma się rzecz właśnie przeciwnie.

Pomiędzy utworzeniem Mindowy a dokonaniem **Maryi Stuart** upłynęło trzy kwartały czasu, zapełnionego innemi robotami poetyckiemi. Bierzemy jednakże pod rozbiór już w tém miejscu ten późniejszy utwor Juliusza, ponieważ je forma dramatyczna do siebie zbliża; a daléj ponieważ chcielibyśmy pod bezpośredniém wrażeniem uwag rzuconych co do Mindowy, ocenić — sprawdzić niejako te słowa poety w domówieniu do rzeczonego dzieła powiedziane: „Sam czuję najlepiéj wszystkie niedostateczności Mindowy, a części przynajmniéj błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć.“

W rzeczy saméj przyznać to poecie należy, że drugie jego dzieło sceniczne z wielu miar od tamtego jest wyższe. Już sam początek jego wzbudza wielkie oczekiwanie. Zawiązanie intrygi zręczne. Nakreślenie charakterów zdaje się być szczęśliwe, wykonane ręką pewną i wprawną. Wstępne sceny przemawiają doraźnie do wyobraźni i coraz więcéj obudzają zajęcia. Cały akt pierwszy, równie jak drugi, prowadzone są w sposób chlubnie świadczący, że się talent poety przez ten czas rozmógł, dojrzał, spotężniał. Uchybień, jakie wytknąć należało Mindowie, nie znajdujemy tu ani śladu. Co krok miejsca silne, porywające, prześlicznie pomyślane, wyrażone najcudniejszym wierszem, jakim kiedykolwiek pisano po polsku. Już pewność czytelnika ogarnia, że ma przed sobą utwor pierwszego rzędu, jednę z pereł dramatycznéj poezyi naszéj. Wtém — rozpoczyna się akt III., a w nim coś się akcya zaczyna wikłać — ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka — charaktery owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzeć aż w samo ich wnętrze— coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały — współczucie widza chwieje się... lecz nie uprzedzajmy sądu czytelnika naszego. Zacznijmy raczéj rozbiór, od czego go rozpo-

cząć należy, od wyjaśnienia główněj intencyi autora, od zdania sobie sprawy z roli pierwszorzędněj w dramacie, z charakteru Maryi.

Jestto młoda, żywych uczuć, luźnych zasad i wątłéj woli kobieta, stawiona ironią losu na tronie narodu, z którym oprócz prawa do dziedziczněj nad nim władzy, żadna ją wspólność nie łączy. Obyczajami zbliżona do Francyi, gdzie jéj upłynęły najrańsze lata młodości; sercem najściśléj złączona z Rzymem, którego religijną zwierzchność uznaje; gorących katolickich przekonań— objęła rządy nad krajem, który się od jedności kościoła oderwał, uporczywie obstaje przy nowych wyobrażeniach, w posępnym rygorze swego purytanizmu spoziera z oburzeniem i wzgardą na tę miękkość obyczajów zamorskich, co ton nadają na dworze Maryi Stuart. Pospólstwo stolicy w zapędzie fanatycznym nie tylko lży publicznie wyznanie swojéj monarchini, ale i czynnie znieważa przybytek „papistycznego“ jéj nabożeństwa. Jeden z sekciarzy, przywódca ludu, posuwa się i daléj jeszcze. Oto namawia już gawiedź do stanowczego wypowiedzenia jéj posłuszeństwa nawet jako panującéj, do otwartego buntu. „Zburzcie, zburzcie to gniazdo, woła wskazując na jéj pałac królewski, a odlecą kruki!“ — A wyższe stany? Wyższe stany patrzą na to wszystko obojętnie. Nie widać w nich żadnego współczucia dla znieważonéj. Czują mniéj więcéj tosamo, co pospólstwo; tylko że miarkują uczucia swoje rozsądkiem i jeszcze trzymają się w karbach uległości pozornéj.

Ale poeta nie poprzestał na odsłonieniu téj tylko jednéj trudności w zawodzie swéj bohatérki. Droga Maryi nie z téj tylko przyczyny prowadzi po nad krawędzią przepaści, że ją widzimy w przedmiotowéj kolizyi, gruntującéj się na okolicznościach politycznych, zewnętrznych, na okolicznościach, których ona nie wywołała. Jest jeszcze inny szkopuł, o który się rozbić może łódka jéj spokoju i bezpieczeństwa, a tym szkopułem jest jéj własna osobistość. Tamte trudności dotyczą jéj tylko jako królowéj; te jéj dotyczą jako kobiety.

Marya jest młodą, dobrą, a nadewszystko — ona jest piękną! Wywiera urok i pociąg jakiś nieopisany na wszystkich, któ-

łzy bliższy, którzy częstszy przystęp do niéj znajdują. W téj mierze jest jakaś jakby fatalność przywiązana do jéj osoby. Wprawdzie ogół narodu nie podlega téj siłe jéj niewieściego uroku. Przesądy, sekciarstwo, niechęci z jednéj, a brak ufności z drugiéj strony utrzymują zbyt wielki przedział między krajem a tronem. To téż mało ma przyjaciół królowa szkocka. Ale kto się liczy do jéj otoczenia, do jéj przyjaciół — rycerze jéj orszaku— dworzanie wierni, którym serce jéj lepiej jest znane, ci wszyscy pod wpływem jéj czarującéj osobistości muszą się żegnać z spokojem ducha! Marya zapala miłość, na kogo tylko z nich spojrzy.

Wszakżeż nawet najmłodszy w całém ich gronie, paź królowéj — niedorosłe pacholę i prawie dziécię jeszcze — rozmarzony tém słodkiém upojeniem, jakiego w jéj otoczeniu doznaje, z uniesieniem, w bezwarunkowém oddaniu całego swego jestestwa na usługi swéj pani, takiemi oto słowy maluje uczucia, jakie ona w nim rozbudziła:

„Czy ja kocham królowę? Jakież dam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jéj stopach, — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiędła z jéj czoła;
Nieraz jéj twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonéj kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!“...

Z takich samych uczuć, tylko w namiętniejszy sposób, mógłby się spowiadać i Rizzio, nadworny lutnista królowéj, i niejeden inny jeszcze, gdyby — byli tyle naiwni, co ów paź młody, i nie woleli tego, co czują, tego co sobie roją, do czasu zamykać w sercu.

Wprawdzie za urojenia drugich nikt odpowiadać nie może. Ale na Maryą spada jednakże część winy za te jaskrawe uwielbienia jéj powierników. Niekoniecznie to bowiem mimo jéj wiedzy i mimo jéj chęci zapalają się te płomienie. Marya jest już

z natury zalotna. Nienadaremnie też pierwszą życia wiosnę spędziła nad brzegami Sekwany.

„Niedawno w kraju Franków na królewskim dworze
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana.
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.“

Na kwiatach tedy, na skrzydłach motylka, jak sen ułudny, lekko uleciała jéj przeszłość. Za przybyciem do Szkocyi skończyły się te dni jasne. Widzi się tu przyjmowaną ozięble, samotną i opuszczoną przez naród; czuje, wie nawet o tém, że jest podejrzywaną i niemal znienawidzoną. Témci miléj, tém wdzięczniéj przyjmuje hołdy od téj szczupłéj liczby przyjaciół, jaka ją jeszcze otacza. A chociaż w tym lub owym odgaduje uczucia żywsze i śmielsze i gorętsze, niżby może należało: bawi się niemi, cieszy się niemi, bo to jéj próżności pochlebia, bo tkliwe jéj serce nie chciałoby odtrącającém słowem nikomu jego rozkosznych marzeń przerywać — a wreszcie, wszakże to już jest wszystko „co jéj rozjaśnia tę pustynię ciemną,“ do któréj przyrównywa smutny swój zawód na ziemi!

Z tego zachowania wynikają oczywiście następstwa, które szkodzą jéj sławie i bynajmniéj nie przyczyniają się do umocnienia jéj stanowiska na tronie. Świat wie o tém, że stósunek między królową a mężem jéj Henrykiem Darnley, jest od pewnego czasu bardzo jakoś oziębły. Powszechne mniemanie oskarża ją o miłostki z dorodnym Włochem, z poetycznym harfiarzem nadwornym, z Rizziem. Mniemanie to podziela także i tytularny król Szkocyi, małżonek Maryi Stuart. Co większa, i Rizzio nawet — sam rozmiłowany w królowéj nad miarę — bynajmniéj nie jest daleki od uwierzenia temu, że doprawdy osoba jego jest dla królowéj nieobojętną. Na karb tego, co sobie roi, poczyna też on sobie z panami i dostojnikami królestwa z takiém zuchwalstwem, w sposób jak dla przybylca i człowieka w jego podrzędném położeniu tak niestósowny, że tém bardziéj jeszcze samochcąc utrudnia pani swojéj wszelkie porozumienie z narodem. Marya Stuart je-

dnakżę i tego wszystkiego za nic sobie nie waży. Poczytując się za niewinną, nie poczuwając się do tego, o co ją posądzają, śmiało wyzywa opinią ludzką.

Wprawdzie przychodzi jéj na myśl, że mogą czasem szkodzić nawet i same pozory, że „czyste zwierciadło skazić może i lekkie tchnienie“. Ale duma monarsza co prędzéj ją napowrót sprowadza na tę pochyłość, po któréj idzie, gdyż —

„Ktoż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie!
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie“!

Co najwięcéj jednakże w całym tym stósunku jest niebezpieczném, to że serce Maryi nie jest zajęte żadném żywszém, trwalszem, rzetelniejszém uczuciem, a koniecznie zdaje się potrzebować głębszego zajęcia. Jéj mąż, Henryk Darnley, nie jest człowiekiem, któryby potrzebom tego serca wystarczał, któryby je osobą swoją zapełnił. Niedołężna to natura! Ograniczony, słaby, lękliwy — namyśla się w nieskończoność nad wszystkiém. Rozbiera po tysiąc razy swoje nędzne położenie, swój upokarzający stósunek względem kraju, względem żony, względem jéj zalotników. Szemrze pokątnie na jéj postępowanie, zazdrości jéj władzy królewskiéj, którą tylko tytularnie z nią dzieli. I w téjsaméj chwili drży na samę myśl, że się może królowa obraziła o co na niego! Przyjaciele jego chcieliby w nim rozbudzić jakieś poczucie godności. Nik, błazen jego nadworny i towarzysz nieodstępny (o którym powiedzmy tu choć nawiasowo, że jestto może najwdzięczniejsza rola w całym dramacie i najgłębsza natura ze wszystkich figur w nim działających), Nik smaga go nielitościwie dojmującemi szyderstwy. Popychają wszyscy nieboraka to w tę stronę, to w owę. Rozdmuchują w nim iskrę zemsty. On też nieraz zapala się okrutnie — przyznaje im wszelką słuszność — grozi wszystkim zapalczywie... ale czémże im grozi? — oto że się wreszcie już postanowił, nad położeniem końca temu wszystkiemu — namyśleć!

Taka chwiejna kreatura, taka bezwarunkowa nicość męszczyzny nie była oczywiście stworzona na męża Maryi Stuart. Jeżeli Henryk znaczył coś kiedy w jéj oczach, to te czasy dawno minęły. Zgoda i porozumienie małżeńskie spadły między nimi do

pustéj formy. Darnley rzadko się też pokazuje na pokojach królewskich. Trawi czas najwięcéj z błaznem swoim, w wiejskiém ustroniu. A w sercu Maryi — próżnia niczém nie zapełniona!

W tym stanie rzeczy potrafił zbliżyć się do boku królowéj człowiek, którego niepospolita, zagadkowa istota od razu zapala jéj wyobraźnię. Jest on obecnie także rycerzem w jéj orszaku; nazwisko jego Botwel. Postać zadumana — ponura — smutna, o bladéj twarzy. Trawią i dręczą go od dawna pragnienia jakiéjś nieokreślonéj wielkości, pragnienia przechodzące wszelki zakres rzeczy do osiągnienia podobnych. Jeden z tych typów bajrońskich, nigdy niezadowolonych z niczego, którym się przeto snuje ciągle myśl zabójstwa po głowie. — Oto jakiemi słowy sam Botwel zapoznaje nas z sobą:

„Na wybladłéj twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda: — nie patrz, co jest we mnie,
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jestto sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony, zimny — umrzeć muszę“ ...

Z tą tedy tajemniczą naturą, z tym duchem kolosalnych zapędów, ale jakby napiętnowanym cechą potępienia na czole, spotyka się na drodze życia swobodna, bezpieczna, zalotna żona Darnleja. I to spotkanie stawia ją znienacka, niebawem w położeniu, z którego się bezkarnie wycofać — graniczy niemal z niepodobieństwem. Aż dotąd postępowanie królowéj szkockiéj mogło być w wielu względach niebaczne, mogło upoważniać do krzywdzących podejrzeń, mogło w oczach rygoryzmu jéj purytańskich poddanych być i naganném: — w własném wszelako sumieniu nie miała ona sobie dotąd do zarzucenia żadnéj przewiny. Igrała wprawdzie z uczuciami, które być nie powinny igraszką; bawiła się miłością, którą tylko w drugich wzbudzała; szła po śliskiéj, stroméj ścieżce, lecz ani przypuszczała, że ta ścieżka może prowadzić i ku przepaści. Naraz spostrzega, że się zapędziła za daleko. Widzi się w pętach uczucia, które z uśmiechem na twarzy tylekroć wyzywała bezkarnie. Czuć zaczyna całą wagę, całą potęgę téj siły, któréj się nierozmyślnie poddała. Sumienie wła-

sne przemawia do niéj z goryczą, że to, co dotąd nazywała tylko swych nieprzyjaciół potwarzą, może niezadługo i sama o sobie za drugimi powtórzy.

Wrącym pędem toczy się odtąd ten prawdziwie tragiczny przebój pomiędzy wzrastającą coraz bujniéj w sercu Maryi miłością i demoniczną potęgą, którą na niéj posępny Botwel wywiera, a słabym oporem reflexyi i sumienia, jaki zdolna stawić obydwom. Do tragicznego obrotu rzeczy przyczyniają się i uboczne okoliczności, przypadkowe zdarzenia, następstwa nieprzewidzianych, obojętnych założeń dawniejszéj daty. Takto zwykle się objawia w zawikłanych sprawach ludzkich ironia losu. Pod wpływem tego wszystkiego wynikają z nawiązanego ogniwa pierwszéj przewiny coraz nowe, coraz fatalniejsze, coraz wręcz występniejsze wypadki, aż wreszcie przychodzi do świadomego i umyślnie zamierzonego morderstwa, wykonanego na własnym mężu, i do wystawienia się na ostatnią wzgardę i ohydę narodu. W objęciach zbrodniczego kochanka, przed którego tajemniczą istotą w końcu i sama się wzdryga, obarczona żalem i wyrzutami sumienia, w ostatniéj scenie widzi się Marya zmuszoną zstąpić z stopni tronu swojego, w rychłéj ucieczce szukać ocalenia przed sprawiedliwą pomstą własnych poddanych. Ustępuje tedy z granic ojczyzny. Razem z Botwelem — znienawidzonym, idzie powierzyć się niepewnym losom tułactwa między obcymi. A ostateczny kres jéj zawodu — smutna dola ofiary, na śmierć z ręki kata wskazanéj, wśród ciemnych murów angielskiego więzienia — odsłania jéj się jak wizya — w dalekiéj perspektywie, na tle obrazu, który przed oczyma jéj ducha niewidoma ręka roztacza. To katastrofa i rozwiązanie dramatu.

Tyle miałem do powiedzenia o głównym zamiarze, jaki autor dziełu swemu podłożył. Takem pojął charakter bohaterki tego dramatu.

Ramy obrazu Słowackiego są zatém jak widzimy, dość szczupłe. Nie zamierzał on, jak Schiller w swojéj tragedyi tegoż tytułu, wciągnąć w zakres dzieła swojego całego historyzmu danéj epoki. W głębi zdarzeń na pierwszym stawionych planie, nie odsłania żadnych przebojów dziejowych ogólniejszego znaczenia,

których związek z zabiegami ludzi dramatu podnosiłby bohaterkę i tych co ją otaczają, na wysokość prawdziwie historycznych postaci. Nie chciał korzystać nawet z owéj kolizyi polityczno-dziejowéj, ukazanéj w głębi sceny w sposób tyle obiecujący na samym początku sztuki, z kolizyi mówię między narodem a panującą z powodu sprzecznych religijnych przekonań. I zaniedbał zupełnie wyprowadzić z téj sceny następstw, któreby w jakiéjkolwiek mierze wpływały na tok dramatu w dalszéj jego osnowie. Zgromadził natomiast całe światło obrazu właściwie na jednéj tylko postaci. Spoczął wzrokiem swoim na niepospolitych rysach jéj indywidualnéj natury, na nadzwyczajnych kolejach jéj życia, uważanego z ogólnie ludzkiego stanowiska. I tak stawił przed sobą zadanie, które mimo że sprowadza koronowaną osobistość dziejową na poziom prywatnéj niemal niewiasty, tyle jednak ma stron w wysokim stopniu zająć jeszcze mogących wyobraźnię każdego, tyle warunków prawdziwéj dramatyczności, że krytyka patrząca, jak sprawiedliwie, tego tylko, co dać autor zamierzył, a nie czegoby sobie kto może życzył, nie ma pod tym względem nic do zarzucenia poecie.*)

Nawet więcéj jeszcze ośmieliłbym się powiedzieć na korzyść pomysłu służącego tu za główne założenie dramatu. Wspomniałem już wyżéj o tragedyi Schillera, osnutéj na tym samym ustępie dziejów szkocko-angielskich. Daleki wprawdzie jestem od rozumienia, żeby arcydzieło to niemieckiego tragika nie miało być jako skończony utwor sztuki, wzięty w całym swoim ogóle, nieporównanie wyższém od obecnéj sztuki Juliusza. Gdyby atoli chodziło o porównanie ze sobą samych tylko bohaterek w jednym utworze a drugim, to zdaje mi się, że porównanie takowe wypadłoby pod artystycznym względem ostatecznie na korzyść takiéj Maryi Stuart, jak ją poeta polski w dziele swojém wprowadza.

*) To jedno chyba możnaby tu nadmienić, że niewłaściwie nazwał autor dzieło swoje, pomimo tak ścieśnionego zakresu, historycznym dramatem. Historycznym nie jest on wcale, chociaż zna i historya ludzi, którzy w nim występują. On jest tylko psychologicznym obrazem serca ludzkiego i jego namiętności. Ale mniejsza o tytuł!

Heroina Schillera jest nierównie mniéj dramatyczna. Bardzo mało, właściwie nic wcale nie przyczynia się ona osobą swoją do téj gorzkiéj doli, jakiéj doznaje. Jéj cierpienia, jéj smutny koniec, nie sąto wyniki winy, którąby była zaciągnęła sama; sąto wszystko raczéj, jak wiadomo, następstwa okoliczności od niéj niezawisłych. O tyle zawód jéj tedy jest tylko bierny. Cierpi — jako słaba ofiara obcéj przemocy; upada — niewinnie.

Warunkiem prawdziwéj tragiczności w losach człowieka jest nieodzownie pewien własny i umyślny współudział jego w powodach, które na posępny obrot jego doli wpłynęły. W klasycznéj tragedyi greckiéj mogło odgrywać przeważną rolę przeznaczenie, fatalizm. Zgodne to było z ówczesnemi wyobrażeniami o warunkach szczęścia i nieszczęścia ziemskiego. Nam nowoczesnym wszelako pojęcia takie nie wystarczają. W nas wrażeń prawdziwie tragicznych nie wzbudza widok saméj tylko bierności cierpienia. Nam trzeba i czegoś więcéj — własnéj współwiny tego, który cierpienia te znosi.

Geniuszowi tak potężnemu jak Schiller, nie mogły oczywiście nie być wiadome i najgłębsze tajemnice sztuki, któréj był mistrzem. Znał on dokładnie warunki tragicznych założeń i rozporządzał samowładnie sposobami sprawiania za pomocą dzieł poetyckich, wrażeń, o jakie nam tutaj chodzi. To też bierność roli zbyt idealnéj Maryi Stuart w jego utworze, była tylko skutkiem nieuniknionym samego wyboru rzeczy, samego przedmiotu dzieła. Ograniczył się bowiem Schiller do samych ostatnich chwil zawodu swéj bohaterki. Kreśląc ujmujący jéj obraz na tle posępném angielskiego więzienia, czuł on i sam najdokładniéj pewien brak samodzielnego ruchu, brak, że tak powiem inicyatywy dramatycznéj w jéj roli, jaki z tego nieuchronnie wynikał. Lecz umiał go zakryć poniekąd, a nawet sowicie go wynagrodził innym sposobem. Wprowadził bowiem w dziele swojém Maryą nie tyle jako charakter przerastający zwyczajny poziom niewieści pod względem ogólnie ludzkim, ale jako postać historyczną, stawioną na piedestalu jéj dziejowego znaczenia, z wszystkiemi znamionami wieku i kraju, na tle których ją zapamiętała historya. Wprowadził ją jako typ pewnych uroszczeń dynastycznych, pewnych prze

konań religijnych, których samo pojawienie się w jéj osobie na ziemi angielskiéj, chociaż było przypadkowe i bez żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, już tu zostało poczytaném za wyzwanie do boju, i ściąga na się nieuchronnie odwet ze strony interesów miejscowych, tamtym ideom przeciwstawionych. Tak więc bohaterka Schillera, jako katoliczka, jako prawa dziedziczka tronu Tudorów, któréj się lękać osobiście musi Elżbieta, a z nią i każdy jéj poddany, jeżeli jest zwolennikiem panującego kościoła,— jako przedstawicielka pewnych godeł przywiązanych mimo jéj woli do jéj imienia, występuje w tragedyi przecie wyzywająco i niejako zaczepnie. I z tego punktu widzenia uważana, odzyskuje poniekąd to pełne znaczenie dramatyczne, na jakiém jéj zbywa jako osobistości indywidualnéj, jako kobiecie, która zakończyła już z światem i nie zamierza mięszać niczyjego spokoju.

Słowacki wybrał sobie inną chwilę życia Maryi Stuart. Rozwinął w ramach swego obrazu właśnie pierwszą połowę jéj pełnego przygód zawodu. Ukazał jéj wizerunek z całym urokiem niewieścim, jakim właśnie w owych czasach tyle jaśniała; z ową dumą monarszą, która późniéj dopiero miała doznać upokorzenia; z pędem temperamentu niezłamanego żadnymi jeszcze ciosami losu, pod wrącym skwarem namiętności, jakie się właśnie dopiero rozbudzały w jéj sercu. Rola tak pomyślana łączy w sobie wszelkie warunki świetnego powodzenia na scenie. Postępki i przeboje, uczucia i koleje, jakie bohaterka jego popełnia, stacza, przechodzi — są tu wypływem jéj własnéj inicyatywy. Odpowiedzialność za wszystko spada jedynie na nią. Źródło wszystkiego, co czyni, i wszystkiego, co cierpi, jest w niéj saméj.

Równocześnie z powyższém uznaniem artystycznych zalet wyboru, poczuwać się musi jednakże krytyka i do obowiązku postawienia zapytania: Czy z materyału takich czynów i takich cierpień daje się stworzyć dzieło, któreby równie zadość czyniło i etycznemu także zadaniu dramatu, ile jest pewném teatralnych efektów? Czy przygody indywidualne takiéj osobistości, jak Marya Stuart w owéj życia epoce, są zdolne przyjąć na się to znamię głębszéj intencyi, tę idealną barwę prawéj poezyi, do znajdywania któréj w dramatycznych kreacyach

już nas przyzwyczaili wielcy mistrzowie dawniejsi na tém polu literatury?—Nie śmiałbym żadną miarą rzeczy powyższém zapytaniem objętéj zaprzeczyć bezwarunkowo. Rozumiem raczéj, że co do tego względu zależało wszystko już tylko od talentu, a raczéj od zręczności poety w ciągu pracy nad szczegółowém wykonaniem utworu. Mianowicie stanowiła tu o rzeczy całéj owa czujna baczność artysty i psychologa, ku temu najusilniéj zwrócona, ażeby każdy krok na téj przepadzistéj pochyłości ku zbrodni był czy to odpowiedniemi zajściami poprzedniemi, czy wyjątkowym stanem duszy działającego należycie i dostatecznie uzasadniony. Częstokroć się i najjaskrawszy występek okaże jako tylko tragiczna, nieuchronna konieczność chwili, jeżeli go stawisz na tle okoliczności, które towarzyszyły jego spełnieniu. W ogóle przed trybunałem poezyi łatwiéj jest zdać rachunek z przewinień, jak przed wszelkimi sądami świata. Prawdziwe są słowa Byrona:

„Bywają zbrodnie, z których rdzę ohydy
Zdejmuje chwila — bywają pokusy
I nieuchronne i takie potężne,
Że z niemi boju naturze nie wszczynać.*)

Tymto sposobem może więc nie byłoby niepodobieństwem zrehabilitować w dramacie imię kobiety, nie najlepiéj zapisane w historyi. Wydatne, usilne, z przyciskiem dokonane odsłonienie w jéj charakterze gruntu, nie mającego w stanowczy sposób żadnéj spółki z poziomą i powszednią pospolitością kału ziemskiego i — co jeszcze ważniejsza — nieustanne a konsekwentne utrzymywanie w widzach przez cały przebieg dramatu wiary w onę lepszą cząstkę jéj serca — potrafiłoby zdaje mi się doprowadzić do tego, iżby słuchacze — nawet w obec jéj przestępstw stanowczego potępienia godnych skądinąd, byli raczéj przejęci współczuciem litościwém i tą czcią wielkiemu przynależną nieszczęściu, aniżeli zimnym wstrętem oburzenia i zgrozy.

Ale temu zadaniu poeta nasz, zdaniem mojém, nie sprostał. W ogóle uwaga jego nierównie mniéj była zwrócona na potrzebę pokonania trudności wynikających z etycznych wymagań dramatu,

*) Byrona Werner, Akt II, scena 2.

jak na osiąganie silnych poetyckich efektów. I ta to właśnie okoliczność odebrała utworowi jego ów wdzięk muzyki rzewnie przemawiającéj do serca, owę wspaniałość obrazu, pod którego barwami czujemy przytomność jakiejś wielkiéj idei, słowem ono znamię wyższéj kreacyi, jakiego brak podobnośmy wszyscy uczuli, kiedyśmy mieli przed niezbyt dawnym czasem sposobność widzenia Maryi Stuart odegranéj na scenie. *)

Czuję w wysokim stopniu i pociąg i potrzebę nawet poparcia tego, co tu powiedziałem ogólnie, dowodami opartymi na szczegółowych takich ustępach dzieła, gdzie pod wspomnianym względem kompozycya Maryi Stuart zdaje mi się być niedostateczna. Odsuwam jednak od siebie pokuszenie, jakiego w téj mierze doznaję, a to z przyczyny, że przewiduję, iż wywody podobne, jeżeliby być miały wyczerpujące, powiększyłyby za nadto objętość tego dzieła i — co gorsza, nadałyby mu mimowolnie jakąś cechę polemiczną, którą, ile tylko być może, chciałbym usunąć z uwag dotyczących pisarza, którego nie ma już pomiędzy nami. W własnym interesie poety niechaj mi tedy będzie wolno tę przynajmniéj dołączyć tu tylko jeszcze uwagę, że niedostatki, jakie upatruję w praktycznem przeprowadzeniu tak tego dramatu, jak i wielu innych młodzieńczych dzieł Słowackiego, nie tyle mi się widzą skutkiem jakiegoś niedopatrzenia, jakiéjś, jeślibym miał nazwać rzecz po własném imieniu, niezdolności technicznéj, ile raczéj wynikiem odrębnego sposobu artystycznego, i prawiebym powiedział — maniery, jaka mu w pierwszych latach jego zawodu była właściwa i stanowiła wtedy jedno z najwybitniejszych znamion jego oryginalności.

Jeżeli który z pisarzy naszych, to właśnie Juliusz uważany być może zdaniem mojém za szczególnego wyobraziciela romantyzmu w poezyi. Romantyzm — jestto jeden z owych wyrazów, o których znaczeniu można mówić bardzo długo i powiedzieć bardzo wiele, a jednak nie wyczerpnąć wszystkiego. Na to jednak zgodzi się każdy podobno, że przywiązane są do jego istoty i pewne odrębności co do ducha i pewne właściwości co do formy.

---

*) Była dana na scenie lwowskiéj dwa razy w ciągu roku 1862.

Pomijając zupełném milczeniem tamte, a mając w obecnéj chwili tylko te ostatnie na oku, przyznajmy sobie, że romantyzm formy—wprawdzie nie z istoty rzeczy, lecz bardzo często w skutku, de facto, wychodzi na tosamo, co genialny kaprys, co niezawisłość najzupełniejsza od wszystkiego, co pozytywne, co jakiemukolwiek rozważeniu podlegające, co przez techniczne wymagania kompozycyi warunkowane.

Poeta hołdujący przesadnie temu kierunkowi sztuki, w ciągu pracy około szczegółów dzieła rozpoczętego poczyna sobie wedle najswobodniejszego widzimi-się swojego; i rzucając jeden rys tak, drugi owak, ma zwykle swoje przyczyny, dlaczego w taki właśnie je sposób rzucił. Lecz to są tylko jego przyczyny. Zdarza się czasem, że nie ma i żadnych przyczyn; ale mu coś majaczy, jakby je miał; i to nieokreślone, jemu samemu niedościgłe poczucie wystarcza, aby kierowało już jego ręką. Jeżeli go wspomaga w pracy prawdziwe natchnienie i wielki talent, to poczucie owo go nie zawiedzie. W przeciwnym razie — zawiedzie go niezawodnie i to na bezdroża dziwactwa, na trzęsawiską marzycielstwa, na jakich tak często na początku tego stulecia widywano owych to poetów niemieckich kuszących się rywalizować z sławą Göthego i Schillera, których w literaturze téj znają pod imieniem romantyków i którzy — powiedzieć można — zdyskredytowali to godło.

Com tu powiedział w ogóle, nie zamierzam tego oczywiście stósować literalnie do poety, już w pierwszych latach czynności swojéj pisarskiéj tak znakomitego, jak nasz Słowacki. Miał wszelako i on pewne swoje nawyczki, którychbym się nie wahał kłaść głównie na karb źle zrozumianego romantyzmu. Jego odrębny sposób rozwijania osnowy poetyckiéj zależał — pod względem technicznego artyzmu — na tém, że więcéj on zawsze tylko natrącał i napomykał, nawięzywał i urywał, jedném więc słowem, szkicował i fragmentyzował, aniżeli żeby miał był wszystkie przejścia kreacyi swojéj wykonywać szczegółowo, w równéj mierze i w nieprzerwanym ciągu.

Cała sztuka jego (w dziełach przypadających na pierwsze lata zawodu, o tych bowiem tu jedynie mówię), polega na tém:

rzucać pełnemi garściami światła na stanowcze tylko momenta, a resztę zostawiać w cieniu, jeżeli nie zupełnie po za ramami obrazu. Sprawiać wielkie wrażenia sporadyczne — oto główny cel jego tworzenia. Czegoby zaś całości niedostawało, niech sobie tam tego czytelnik własnym przemysłem dopełni! —

Byli, trafiają się może jeszcze, wielcy i godni europejskiéj sławy artyści dramatyczni — tak aktorzy, jak i śpiewacy sceniczni, którzy początkowe sceny sztuk i w ogóle wszystkie obojętniejsze ustępy oddawali zazwyczaj z umyślném jakiémś zaniedbaniem i bezbarwnością, ażeby za to w chwilach rozstrzygających błysnąć niespodziewanie całą świetnością talentu i samym kontrastem wrażeń najpotężniéj olśnić publiczność. Owoż w podobny zupełnie sposób występują i w dziełach naszego poety szczegóły wykończone tém jaskrawiéj na widok, im mniéj są podniesione pośledniejsze partye utworu. Te świetne chwile w jego kreacyach sprawiają wrażenie jakoby grup rzeźbiarskich, plastyczném dłutem ciosanych; ale zato przestrzenie pomiędzy jedną taką grupą a drugą traktowane są od niechcenia, często lekkomyślnie, co się zowie, byle zbyć. Owoż – gdyby to zaniedbywanie się, gdyby to homeryczne w miejscach niektórych zasypianie odnosiło się do wiersza, do języka, do innych tym podobnych zewnętrzności poetyckich: — nie byłoby nic zgoła do powiedzenia przeciwko przyswojeniu sobie takowego sposobu. Ale najgorsza w tém, że się ono — nawet w rodzaju poezyi tak realizmem przesiąkłéj, jak dramat, u Juliusza właśnie do zupełnie czego innego ściąga. Albowiem wiersz autora Maryi Stuart jest owszem w każdéj części dzieła mistrzowski, język jego zawsze się iskrzy brylantami najczystszéj wody! Natomiast niedbałość epizodyczna, o jakiéj mowa, dotyczy u niego samejże rzeczy, obmyślenia osnowy, dotyczy saméj kompozycyi, wiązań budowy, częstokroć samychże fundamentów. I to jest właśnie fatalna strona téj maniery, wielce powabnéj skądinąd. Cóż bowiem z tego, że stanowcze chwile i wydatniejsze ustępy w większém dziele poetyckiém będą w s o b i e oddane z całą świetnością geniuszu? Jeżeli tych chwil walnych p o w o d y, jeżeli tych ustępów potężnych w i ą z a n i e polega na jakichś kruchych, wątłych i że tak powiem, uproszonych tylko premisach,

a krytycznéj próby nie wytrzymuje: w takim razie i to wszystko, co na tém oparte, zawisło jakby w powietrzu i nie może wywierać prawdziwie głębokiego wrażenia. Uderza i podoba się w pierwszéj chwili: po dłuższém zastanowieniu nie zaspakaja.

Tak na przykład piękną jest niezaprzeczenie scena VI aktu trzeciego w **Maryi Stuart**, scena, gdzie się **Rizzio** po raz ostatni żegna z królową i gdzie zostaje zamordowanym. Jeżeli jednak zważymy, że Rizzio miał wedle rozkazu Maryi wyjechać niezwłocznie i jeszcze téj nocy, i że były bardzo ważne powody, ażeby jak najrychléj odjechał, i że też już stanęło na tém (w ostatniej scenie aktu II), że się już więcéj nie pokaże na jéj pokojach: — to prawdziwie nie wiedzieć, jakiéj okoliczności przypisać to widzenie się jego jeszcze z królową? W pewnéj recenzyi uczyniono uwagę, że się Marya w Włochu kochała i że dlatego więc jako dawnego kochanka, przyjmuje go jeszcze u siebie, ażeby się z nim pożegnać. Ale przypuszczenie takie nie ma żadnéj podstawy. Świat wprawdzie posądzał królowę o te miłostki. W rzeczy saméj nie było ich jednak między nimi. Bo czyż w takim razie mogłaby ona mówić w monologu (w scenie VII aktu II):

„Wszak z dawna mnie obarcza czarne podejrzenie,
Myślą, że kocham Rizzia“...

Czyżby wreszcie, w takim razie, mogła się była ostatnia scena aktu II odbyć takim tonem pomiędzy nimi, jak jest skreślona w dramacie? A zatém niepodobna jest wymyśleć sobie żadnego dostatecznego powodu, dlaczego Rizzio po tém wszystkiém, co zaszło, otrzymuje to wezwanie do Maryi, zwłaszcza że tegoż samego czasu ma się przecież pojawić w jéj komnacie i Botwel, także przywołany tam przez nią. Cóż więc jest? Oto poeta **musiał** wprowadzić owego wieczora czy nocy Włocha do pokojów królowéj, gdyż u stóp to jéj miał być Rizzio koniecznie zamordowany. Lecz zupełnie zaniedbał uzasadnić téj jego niespodziewanéj bytności o téj porze w tém miejscu; i cierpi na tém budowa sztuki. —

Weźmy inny przykład. — Kiedy po zamordowaniu już Rizzia i po oddaleniu się jego zabójców, Marya omdlała odzyskuje przy-

tomność i spostrzega przybyłego tymczasem do jéj komnaty Botwela: wtedy rzuca się rozpaczliwie sama w jego objęcia —

„O niech teraz te światła, te pochodnie zgasną!
Żeby mój wstyd ukryły... Kocham cię Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona“!

To zwierzenie, które wśród takich okoliczności, tak bez ogródki czyni Marya Stuart kochankowi swojemu, zdaje się być oparte na głębokiéj znajomości serca ludzkiego. I gdyby tak się rzeczy miały, jak je sobie Botwel tłómaczy:

.... „W dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie“....

zwierzenie to byłoby rzeczywiście, jak tam ktoś o tém powiedział: „psychicznie uzasadnione!“ Byłaby to wielka exkuza dla bohaterki dramatu, że upada; i wielka zasługa poety, że téj sprawie taki dał obrot. Lecz to zwierzenie się królowéj, jako i samo przybycie Botwela o téj porze w to miejsce, nie jest bynajmniéj przypadkowe. Wszakże on już poprzednio przez pazia królowéj został tu zawezwany na tę godzinę, na jéj wyraźny rozkaz! (Obacz scenę II w akcie III.) Daléj Marya Stuart nie teraz dopiero rzuca się w tę przepaść, w jaką się miała dla niéj obrócić ta miłość ku Botwelowi, bo już w scenie poprzedniéj (w scenie VII aktu II.) widzieliśmy ją, co się zowie, przygotowaną i zdecydowaną do tego kroku.

„O teraz przybądź do mnie! przybądź tu Botwelu!
Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia —
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy,“ i t. d.

A zatém, nie jestto bynajmniéj następstwem okropnéj dopiero chwili owéj i „rozpaczy“ i „obłąkania,“ że się rzuca Marya sama w jego objęcia. Choćby bowiem te okropności wszystkie i nie były zaszły, choćby był Rizzio jeszcze przy życiu: to byłoby się stało i wtedy nawet tosamo. Bo i cóż byłaby powiedziała królowa Botwelowi przybywającemu do niéj w nocnéj porze i na jéj własny rozkaz? — Podobno mniéj więcéj tosamo, co i teraz z jéj ust usłyszał! —

Albo cały ten pomysł (w akcie V.) z ową lampą płonącą przed ołtarzem, któréj Botwel koniecznie uparł się użyć do podpalenia prochów pod Henrykiem Darnlejem, ażeby go wysadzić w powietrze —. Marya Stuart wzdryga się na taką myśl świętokradzką. Czyni, co tylko może, ażeby nie dopuścić do tego. Cała scena dotycząca téj chwili jest pełna wielkich wrażeń tragicznych. Jeżeli jednak rozważymy, że wszystek ten opór czyniony jest przez kobietę, która przed chwilą męża swego już własną ręką intencyjnie zamordowała, (boć wiedziała ona o tém, że truciznę zabójczą, a nie napój usypiający leje w czarę podaną mu do wypicia, skoro konwulsyjnie drżała jéj ręka w chwili, kiedy ją do niéj wlewała; skoro powiedziała wyrazy:

„Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnéj pościeli!
Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia“) i t. d.

jeżeli mówię rozważymy, że taki potwór kobiecy, jakim jest już Marya Stuart po owéj piekielnéj scenie w wiejskim domku mężowskim, wzbrania się teraz pozwolić lampy do podpalenia miny, gdyż to jest lampa święcona: — to wygląda to wszystko, jakby na puste tylko jakieś ceregiele! Tragiczność wrażeń na myśl taką ulatuje, a natomiast zostaje tylko niesmak i tém większy wstręt do osoby, któréj wyobrażenia okazują się tak anormalnie pomięszane....

Owoż w takich to niedokładnościach kompozycyi upatruję ostateczną i najgłówniejszą przyczynę, dlaczego Marya Stuart zaspakajając w tylu najświetniejszych ustępach w tak wysokim stopniu wymagania artystyczne, nie czyni jednak zadość etycznym dzieła poetyckiego warunkom. Jeżeli w którém dziele, to w téj właśnie tragedyi uderza to ogólne spostrzeżenie co do natury całego sposobu, właściwego Słowackiemu w początkowych latach jego poetyckiéj czynności, że bez porównania więcéj jego jest rzeczą porywać, zadziwiać i zapalać wyobraźnię swego czytelnika czy widza, aniżeli umieć zająć myśl jego i prowadzić ją krok za krokiem, jak służebnicę woli swojéj — do celu, o który chodzi.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętéj w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiéj jako nowéj formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Byronizm i jego ślady w poezyi polskiéj.

Reszta ówczesnych utworów Słowackiego, Jan Bielecki, Mnich, Arab, Żmija — wszystko to ujęte jest w formę tak zwanéj powieści poetyckiéj. Jestto ściśle biorąc, mięszany rodzaj poezyi, w tym kształcie prawie zupełnie nieznany przed wystąpieniem na początku tego wieku najcelniejszych poetów angielskich. Za głównego twórcę téj formy uważać można najwłaściwiéj Byrona, który w tymto sposobie wykonał najznakomitsze swoje i najwięcéj europejskiego rozgłosu sprawiające utwory. Za tym przykładem rozeszła się wziętość powieści poetyckiéj niebawem na wszystkie literatury postronne. Poeci polscy także ją przyswoili sobie niebawem. Obok Mickiewicza Grażyny, była Marya Malczeskiego pierwszym w literaturze naszéj stanowczym przykładem tego rodzaju poezyi i służyć może za jeden z najdoskonalszych wzorów kiedykolwiek wykonanych w tym kształcie. Przeważa w nim oczywiście pierwiastek opowiadawczy i opisowy; to też przynależy forma rzeczona głównie dziedzinie Epiki. W gruncie rzeczy atoli poemat, o jakim mówimy, mało ma wspólności z naturą owych plastycznych, szerokiém korytem zwolna a majestatycznie się toczących kreacyi, jakich przykłady najwydatniejsze znajdujemy w rozległych epopejach starożytności, a przedewszystkiém w Iliadzie i Odyssei. Powieść poetyczna kipi spadzistém łożyskiem, na spienionych falach, ujętych w wąskie ko-

ryto. Nie rozlewając się bynajmniéj, jak tamte, na cały obszar przedmiotowego życia danéj epoki, nie przywięzując żadnéj wagi do wydatnego w rzeźbiarski sposób postaciowania szczegółów: pędzi ona co prędzéj naprzód w ślady za jednym tylko punktem, a tym punktem — osoba samego bohatera.

Na pozór wiele w tém wszystkiém podobieństwa do toku, do rytmu dramatycznych kreacyi. Ale bo też jest w tém wszystkiém i coś więcéj, jak pozór. Jak się w dramacie przed oczyma naszemi zlewa zewnętrzność zdarzenia i wewnętrzność uczucia (namiętność) w genezę czynu, w akcyą:—tak i w skład téj nowéj, téj romantycznéj formy epizmu wchodzi już cały zasób artystycznych potęg liryki. Uczucia osobiste poety, jego smętność, żal, nienawiść, jego zwątpiałość i zrozpaczenie, jego zapał ożywczy, i miłość i ogień namiętny, słowem — co tylko wre na dnie własnego jego serca — wszystko to znajduje tu wyraz bezpośredni i wplata się jak idealny duchowy wątek w materyalną osnowę przedmiotu pieśni.

Utwor taki sprawia na słuchaczu wrażenie, jak kiedyby kto spoglądał na ruch przesuwających się widzeń wywołanych do życia czarodziejskim pędzlem malarza, przy odgłosie jakiéjś napowietrznéj muzyki, która ten świat kolorów owiewa tonami i uzupełnia.

To zespolenie dwóch odrębnych żywiołów poezyi tém więcéj jest wdzięczne i dla poety dogodne, że dozwala jego natchnieniu najzupełniejszéj swobody. Wolno mu tu, kiedy zechce, spocząć na pewnym ustępie z całém rozmiłowaniem w szczegółach flamandzkiego malarza; wolno mu znowu dawać się porwać pędowi, w którym całe partye obrazu zbywane być muszą kilku zaledwo ogólnymi rysami. Wolno mu snować wątek powieści, jak koléj rzeczy wymaga; wolno mu zwikłać go nagle, urwać, rzucić zasłonę zagadki na najciekawsze ustępy, i zwracając wyobraźnię słuchacza ku innym ogniwom tego łańcucha zdarzeń, wprowadzać inne widoki, ażeby—niezadługo i te znowu porzucić. Słowem: im więcéj rozmaitości, swobody i subjektywizmu autora w rzeczach tego rodzaju: tém też więcéj zwykle wrażenia.

Talentowi Juliusza z saméj natury rzeczy odpowiadał naj-

właściwiéj ten rodzaj pracy. Próby zastósowania téj metody do utworów dramatycznych nie zawsze były na miejscu. Natomiast w poematach, o których rzecz obecnie, znalazł on się że tak powiem, na własnym gruncie. To też bodaj które pomiędzy rychlejszemi jego dziełami tak od razu trafiło do powszechnego czytających smaku, jak **Jan Bielecki**, którego utworzenie przypada właśnie na tę przestrzeń czasu pośrednią, jaka była pomiędzy napisaniem Mindowy a Maryi Stuart.—Lesław Łukaszewicz, autor znanego Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego, jak wiadomo, nie był wielkim krytykiem; ale tém pewniéj zato znajdujemy w zdaniach jego o dziełach autorskich odgłos wyobrażeń, jakie powszechnie popłacały naówczas pomiędzy czytających ogółem. Owoż w edycyi dziełka swego ogłoszonéj we dwa lata po śmierci poety (w edycyi z r. 1851), mówi on o Bieleckim w takich wyrazach: „We wszystkiém, co muza Słowackiego wyśpiewała, znajdziesz ustępy piękne, a całość zawsze niesmaczną. Pospolicie dziwaczy. Tylko powieść Jan Bielecki udała mu się.“ — Tosamo niemal donosił o téj powieści matce i sam poeta, a to zaraz po pierwszém dzieł tych wyjściu z pod prasy.

> „Początek Jana Bieleckiego jest nie do rzeczy.*) Jednak Bielecki jest najwięcéj chwalony przez wielką liczbę, któréj takiéj cichéj poezyi potrzeba“....

Równocześnie zdaje się ze słów powyższych i to zatém jeszcze wynikać, jakoby autor sam tak wielkiéj wagi do tego swego utworu nie przywięzywał. Że przynajmniéj stawiał Żmiję i Maryą Stuart o wiele wyżéj: to nie podlega wątpliwości żadnéj.

Przedmiot poematu wzięty jest w części z kronik, w części

---

*) Rzeczywiście wstęp do Bieleckiego jest niestósowny i bez żadnego związku z całością. Ale bo też jestto ustęp późniéj dopiero doczepiony. Boć poemat sam pisany był jeszcze r. 1830 w Warszawie, a wstęp jest daty o rok cały późniejszéj. We wstępie są już zużytkowane wrażenia, jakich doznał autor 1831 r. w Londynie, kiedy zwiedzał Westminster, z czego też potém zdawał w takisam sposób sprawę matce listownie. Takie przystawki późniejszéj daty zazwyczaj się nie udają.

z ustnéj tradycyi, przywiązanéj do głównych miejsc zdarzenia, a mianowicie do Brzeżan (w Galicyi wschodniéj).

Współczesny zdarzeniu temu Bielski w Kronice Polskiéj tyle o Bieleckim zapisał, że kiedy w r. 1589 Tatarzy w wielkiéj liczbie na Podole i Ruś wtargnęli, plądrując z niezmierną szkodą dla okolicznych mieszkańców: zaszło z nimi kilka potyczek, między któremi bitwa pod Baworowem była jedną ze znaczniejszych. Bitwy téj wprawdzie pohańcy nie wygrali, owszem od téj dopiero chwili „jęli ustępować“. Ustępowali wszelako z niemałą ilością zabranego w niewolę ludu i szlachty. Z tych niektórzy złożywszy okup niemały, wyszli na wolność po niedługim czasie. „A Korycińskiego — są słowa dziejopisa — Bielecki mając z nim z dawna przyjaźń, darmo puścił. Był ten Bielecki Polak Lublinianin herbu Janina, jedno się poturczył i przyjechał z Turek do Polski za króla Stefana, i tu chciał mieszkać; jedno że przecie swéj wiary złéj odstąpić nie chciał. Król Stefan chcąc go najwięcéj do poselstwa zatrzymać, żeto umiał język tatarski i turecki, naznaczył mu był opatrzenie pewne na Podolu; ale król dał, a panowie wzięli. O co rozgniewawszy się Bielecki, zbiegł do Tatar i Tatary na ojczyznę swą nawiódł.“ —

Lakoniczne wyrażenie Bielskiego: król dał, a panowie wzięli, uzupełnia cokolwiek podanie brzeżańskie. Przechowała się w niém pamięć, że jeden z rodu, którego własnością niegdyś były Brzeżany, z rodu Sieniawskich, wioskę Bieleckiego gdzieś położoną w sąsiedztwie najechał, dworek szlachcica wraz z chatami włościan puścił w perzynę, a na ostatek całe to miejsce pługiem kazał zaorać i w puste pole zamienić.

Taki więc był surowy materyał poematu. Zdarzenie to przedstawiało różne strony, na których mogła była spocząć wyobraźnia poety. I tak, najbliższe może, co się tu nasuwało jako wdzięczny temat do obrobienia — byłato ta zagadkowa postać poturczonego Polaka na tle zygmuntowskiéj epoki! Widzieliśmy za dni naszych kilka przykładów podobnéj zamiany krzyża na księżyc, a poczciwéj nazwy polskiéj na jakiegoś beja lub paszę. Ale to były manewra polityczne — komedye, dowodzące nibyto wielkiéj dyplomacyi i miłości ojczyzny u tych, co się na owe awantury puścili.

Szczęść im tam Boże na téj drodze! Jeżeli jeszcze dziś myślą, że nie popełnili wielkiéj niedorzeczności, tém lepiéj dla nich. W wyjątkowém naszém położeniu dzisiejszém wszystko to jednak daje się, jeśli nie chwalić, to przynajmniéj rozumieć. Ale wtedy! W czasach tak normalnych, takiéj głębokiéj wiary, w czasach gdzie sobie z religii jeszcze żartów robić nie pozwalano — byłto wypadek dziwnie nierymujący ze wszystkiém, na czém tylko ta rzeczpospolita stała. Jakichże to chyba nadzwyczajnych potrzeba było kolei losu, żeby się była mogła wyrobić taka osobistość, jak owa przez historyka odmalowana! Szlachcic polski — poturczony — wrócił do kraju — otrzymał od króla opatrzenie, jest wolny i niezawisły — i mimo tego nie chce czy nie może „złéj wiary swojéj odstąpić.“ Ileż w tém wszystkiém zagadek! Ile domysłów się tu nastręcza względem przeszłości Bieleckiego, względem jego związków z drugą ojczyzną, względem jego własnéj indywidualności, czego wszystkiego historya wcale nie odsłoniła. Była wtedy w młodszém gronie poetów naszych w ogóle wielka skłonność do obrabiania przedmiotów oryentalnych. Sam Słowacki hołdował téj skłonności. Otóż nastręczała się tu jedyna w swoim rodzaju sposobność uczynienia zadość temu pochopowi przejętemu od Byrona i Moora, nie rozmijając się przeto z rzeczywistą tradycyą i narodową i nawet historyczną.

Albo rzućmy okiem na inną stronę téjże tradycyi. Autor, któryby był obdarzony pewnym zmysłem dziejowym, któryby dla natchnienia swego szukał podstaw więcéj przedmiotowych, byłby się tu uczepił tych słów kronikarza: K r ó l d a ł, a p a n o w i e w z i ę l i, i byłby podniósł głównie ów fałsz odwieczny w stósunku możnowładców dawnéj Polski do braci młodszéj, do szlachty, która choć z prawa we wszystkiém niby równa magnatom, była w rzeczy saméj jednak ciągle przez nich traktowana z odtrącającém lekceważeniem. Z tegoto fałszu wynikły u nas wszystkie klęski publiczne. Wszechwładność panów taka, jak była w dawnéj Polsce, nie byłaby mogła mieć miejsca, gdyby prawa im przynależne a prawa niższéj szlachty były rozgraniczone. Rozgraniczenia tego nie dopominali się możnowładcy, bo zagarniając przy każdéj sposobności dla siebie wszystko, co się zwało wolnością

szlachty, więcéj posiadali mocy, niżby im takowéj była dać mogła najdaléj choćby posunięta forma rządu oligarchiczna. Rozgraniczenia tego nie zażądała i szlachta, bo jéj miléj było znosić i nadużycia, a chlubić się dogmatem że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, aniżeli przyznać, że ta równość — to tylko urojenie, i poprzestać na czémś skromniejszém. Ani tedy od jednych, ani od drugich nie wychodziła inicyatywa do ustanowienia stósunku, któryby kładł wreszcie koniec temu systematycznemu przechytrzaniu się obu stanów. Zamęt pojęć, jaki w téj mierze panował, zakończył się dla całego państwa — jego upadkiem, a nim jeszcze do tego przyszło, sprowadzał na osoby pojedyncze w ciągu wieków bardzo często katastrofy równie jaskrawe, chociaż się takowe skrupiały tylko na nich samych i ich rodzinach. Przykładów takich dzieje dostarczają podostatkiem. Owoż i w tym razie z danego materyału dawała się wysnuć kreacya szerszych rozmiarów, rdzennie trafiająca w samo serce naszych instytucyi i obyczajów, w której żyłyby i kipiały namiętności, może najdaléj posunięte i najwięcéj też tradycyjne ze wszystkich, jakie tylko były znane dawnemu społeczeństwu naszemu.

Słowacki, wierny stanowisku, jakie zajął w poezyi, szukający wszędzie ideału wedle swego punktu widzenia, pochwycił rzecz z innéj zupełnie strony. Jego fantazya zajęła się tu tylko widokiem walki jednego ze wszystkimi, widokiem krzywdy, jakiéj doznaje od świata szlachetny, niewinny, słabszy... W całym szeregu ogniw, stanowiących łańcuch zdarzeń, jakie sobie wysnuć można z podania o Brzeżanach i o Bieleckim, poecie naszemu najpoetyczniejszym się zdawał — nie tyle jeszcze ów pęd namiętny, stromą drogą prowadzący człowieka do zbrodni, byleby tylko się zemścić: ile ów nadmiar cierpień, dojmujących po zemście, już dokonanéj a w taki sposób. Owoż to położenie tragiczne człowieka, który nawet po spłaceniu swéj krzywdy widzi się pod stopami tryumfującéj przemocy; ten żal do świata, że go tenże zmusił do czynów, których on sam nie może sobie przebaczyć; to osamotnienie na świecie istoty, dla któréj ani za życia nie ma nigdzie miejsca pomiędzy ludźmi, ani nawet po śmierci nie będzie kawałka ziemi na mogiłę — to były motiwa w całem oném wydarzeniu dziejo-

wém, dla których zwrócił Słowacki na przedmiot ten uwagę. One też jedynie wprowadza w ramy obrazu, wykluczając historyzm i wszystko inne, jako przybory obojętnéj treści.

„Co było w kraju? nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu“...

Oczywiście wypadło właśnie z tego powodu niejeden szczegół, ze strony surowego materyału podany, przekształcić inaczéj, aby początki i powody katastrofy odpowiadały założeniu. Rozstęp między opowieścią poety a podaniem polega głównie na tém, że podanie ukazuje w Bieleckim renegata już od pierwszéj chwili jego powrotu do kraju; w poemacie zaś był on wprawdzie kiedyś za młodu w niewoli tureckiéj, ale wrócił z niéj niesturczony. Dopiero późniéj krzywda, jakiéj od magnata doznaje, rzuca go na drogi zdrady kraju i wiary. — Wszystkie te premissa zresztą zbywa autor jak najkrócéj. Jestto dla niego tylko rusztowanie do budowy, któréj ostateczne odsłonienie przypada na drugą dopiero połowę poematu. Ze słów urywkowych dowiadujemy się tedy w początkowych pieśniach tyle jedynie o tém, że działo się to za panowania króla Stefana. W brzeżańskim zamku żył możny, dumny starosta — mieszkanie jego przepychem nie ustępowało w niczém grodowi królów. Ale na czole magnata od niejakiego czasu zawisła chmura jakaś posępna. Jakaś skryta troska dręczyła go tajemnie, pomimo skarbów i włości i tłumu sług i téj szaty złocistéj, w któréj jaśniał. Od tygodnia poczęły się do zamku jego nieustające zjazdy... W komnatach jego gościnność i uprzejmość i biesiady huczne. Znikła z groźnego możnowładcy oblicza zwyczajna duma. Otworzył na oścież serce dla okolicznéj szlachty i karmi ją i poi i schlebia chodopachołkom. Pozwala się rozlegać po domu swoim swobodnie hucznemu gości swoich gwarowi. Po tygodniu takowéj uprzejmości wypływa wreszcie oliwa na wierzch.

„Héj! szlachta znacie Bieleckiego Jana? —
Dawniéj w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanéj grzędzie...
A kiedy zamki walą się pod gromem:
On podparł domu walące się ściany

I tak spokojnie między niemi żyje
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije....

Z dalszéj mowy wynika, że ten więc szlachcic podły, jak się starosta o Bieleckim wyraża, miał z nim jakąś zwadę i wytoczył sprawę przed króla.

„I jam był winien, winien był Sieniawski!! —
I oko w oko przed króla obliczem
Widziałem wroga!.. Nie próżno przychodził:
Król go pochwalił, zachęcił, nagrodził;
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczém!...“

Przy łaskawéj pomocy życzliwéj braci, która właśnie spija wino starosty, znajdą się jeszcze jednak sposoby powetowania téj krzywdy...

„O! dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni!...
Bracia — noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Pan Bóg dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę“...

Temu wezwaniu okazuje się zgromadzona szlachta powolną:

„Miodem i winem i ucztą zagrzany
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem —
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni“. —

W drugiéj pieśni przenosi nas autor w wnętrze kościoła. Rzecz się dzieje w Brzeżanach. Dla dopełnienia obrzędu ślubnego, staje tu przed ołtarzem Bielecki, Anna i cały orszak weselny: tymczasem dom pana młodego — w niedalekiéj odległości od Brzeżan — prawie wyludniony z mieszkańców, nie ma nikogo, coby go bronił przed tą hałastrą, niosącą mu zniszczenie. Ta napaść nie wchodzi tu w ramy obrazu. Jesteśmy świadkami tylko sceny ślubnéj, która zresztą, równie jak poprzednie ustępy, zbyta jest ogólnymi tylko rysami. Tak młodożeniec, jak panna młoda — sąto jeszcze tylko typy powszechne. Do wnętrza ich serc nie zazieramy. Co tu o nich słyszymy, ściąga się więcéj do ich powierzchowności, do ich ubioru, do orszaku, który im towarzyszy. Nawet ich uczucia są tylko zwyczajnym w razach podobnych

nastrojem duszy. Gdyby nie te kilka szczegółów, które urywkowo w poprzedzającéj pieśni rzucił był o Bieleckim starosta, to bohater poematu byłby dla nas człowiekiem zupełnie nieznajomym, chociaż go w tym ustępie mamy tak blisko przed sobą.—Podobnie urywkowo opowiedziane jest i przybycie młodożeńców do domu Bieleckiego. Domu tego już nie znajdują. W miejscu, gdzie przed kilku jeszcze dniami był dwór i wioska, znajdują tylko rolę świeżą zaoraną i głuchość. Cała ta więc sytuacya znowuż naznaczona tylko kilku rysami. Zdaje się, jakby poeta słów żałował dla wszystkiego, co go dopiero prowadzi do właściwego tematu. Nawet burza uczuć, obudzonych w bohaterze poematu tą dojmującą krzywdą, zbyta jest cała w tych kilku wierszach:

„Patrzą, nie wierzą... Sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
— „Anno," rzekł, „Anno wracaj! nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami:
Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojém objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!..." Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia".

I oto już wszystko, co o tém mówi poeta.

Odtąd Bielecki zupełnie znika ze sceny. Przez niemały czasu przeciąg ani wieści, co się z nim dzieje. Żona po nim już przywdziała żałobę... Gdy wtém nagle zapowiada się znowu bliska jego w stronach owych obecność przez owo tajemnicze zlecenie przysłane Annie, ażeby się i ona także znalazła na balu maskowym, który wyprawia w zamku swoim starosta.

Na tymto balu — w przedostatniéj pieśni — przychodzi dopiero do takich zdarzeń, że ów aż dotąd dla nas prawie nieznajomy staje się naprawdę najwydatniejszą postacią poematu. Tu

dopiero odsłania się w nim typ tego demonizmu, téj dzielności pchniętéj na przepaściste szlaki zaguby, o któréj wizerunek jedynie chodziło autorowi. — Jakich przejść w usposobieniu duszy trzeba było, ażeby z normalnego człowieka przedzierzgnąć się w podobnego demona, tego poemat nie odsłania. Ani słowa nawet o tém, co się zewnętrznie działo z Bieleckim od chwili, gdzieśmy go stracili z oczu. Ale wynagradza nas za to poeta gotowym widokiem tego, czém on jest teraz, kiedy znowu staje przed nami. Cała postać Bieleckiego tak jest zmieniona, że za pierwszém spojrzeniem własna żona go nie poznaje. Podobne przeistoczenie zaszło i w zewnętrznych jego stósunkach. Pokazuje się bowiem, że aby wywrzéć zemstę na magnacie, który go skrzywdził, człowiek ten wyparł się wiary, ojczyzny i przeszedł na stronę najzaciętszych jéj nieprzyjaciół. Zbratawszy się z Tatarami,

„Czoła złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył.“

Po takim czynie, jako wódz ordy pohańców, naprowadził na Polskę zagon tatarski. Nie wahał się spławić we krwi tysiąca chat i dworków, których mieszkańcy nie zawinili mu w niczém, byleby tylko zawisł ten piorun zagłady i po nad zamkiem starosty. I owoż woli jego dzieje się zadość. Znienacka, kiedy się w grodzie brzeżańskim sproszeni goście bawią w najlepsze, zalały tłumy najezdców wszystkie sienie i komnaty zamkowe. Bielecki

„Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija!
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara
I wyjście mnogą wartą zabezpiecza....
Pan Brzeżan z mieczem stał w obec Tatara.
Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity. —

Zaśmiał się Tatar... śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo — był to jęk kobiety"...

Aż dotąd zdrada i mściwość wiodły Bieleckiego do celu jakby po drodze różami tylko usłanéj. Dosięgnął pragnień swoich nakoniec. Widzi dumę, która zniszczyła całe szczęście jego na ziemi, powaloną u stóp swoich i skarconą strasznie. Nię będzie już ten magnat nikogo krzywdził na świecie! I pierwszy haust z podanego do ust zemsty puharu zdawał się słodki. Ale słodycze takich upojeń prędko się przemieniają w truciznę. Na najwyższym zenicie swoim Bielecki słyszy jęk, jak echo złowieszcze czynu, którego się dopuścił. Ten jęk przyzywa go do świadomości— powiada mu, co uczynił. Ten jęk najdroższéj mu na ziemi istoty staje się dla niego hasłem cierpień stokroć dotkliwszych, aniżeli krzywdy, które aż dotąd od drugich znosił. Własne sumienie się w nim odzywa i mówi mu, że taka zemsta — to sromota, to dopiero ze wszystkich upokorzeń — największe! Teraz dopiero ów wróg jego, nibyto zwyciężony, rzucił go pod stopy swoje — na wieki! Dotąd miał on do czynienia z nim jednym tylko: od téj chwili obraca się przeciwko niemu cała ojczyzna, kościoł, rodzina własna. Komu tylko miła cześć prawa, komu tylko święte, co jest świętością, gardzi nim i odtrąca od siebie. Jest wymazanym z liczby synów ziemi, co go zrodziła. Ze społeczności kościoła wyrzuca go klątwa biskupia. Rozbudza się w winowajcy bolesna, niczém nie zagłuszona świadomość zbrodniarza, wywołańca. A mimo tego, nie przestał on jednak należeć sercem do tych wszystkich, którzy go odtrącają—gdyż żyć po za ich sferą nie może!

Cała ostatnia część poematu, zawierająca w sobie ten obraz cierpień człowieka odepchniętego bezlitośnie przez całe społeczeństwo, wykonana jest z taką siłą uczucia, z taką głęboką prawdą poezyi, że śmiało ją stawić można na równi z celniejszemi pięknościami naszéj literatury. Szczególnie zaś podnosi wartość rzeczonego ustępu idealna postać Anny, z dziwnym urokiem stawiona na samym przedzie obrazu w pieśni ostatniéj. Jestto niejako kontrast serca, przeciwstawionego bezduszności instytucyi, zdolnych tylko potępiać bezwarunkowo. W osobie Anny wcielił poeta całe współczucie i że tak powiem, solidarność swoję z tym posę-

bnym ideałem, jaki sobie w postaci Bieleckiego wymarzył. Anna bynajmniéj nie tai tego przed sobą, że czyny jéj męża są wobec ludzi i Boga występne wielce i grzeszne. Z jękiem rozpaczy, mdlejąca, ujrzała go idącego po téj drodze zbrodniczéj. Ale ta kobieta ma serce! Przyznając zbrodnię, umie ona wnijść i w pobudki takowéj. Odgaduje konieczność, która jéj męża skłoniła do powzięcia takiego postanowienia. Lituje się nad nim i w jego upadku, jako go miłowała za dni szczęśliwszych. Słowem: Anna rozumie Jana. To też porzuca bez wahania i dom rodzicielski i kraj ojczysty, byle tylko nie opuścić opuszczonego przez wszystkich. I towarzyszy mu wiernie przez całą jego wędrówkę aż do saméj godziny zgonu. A kiedy mu świat na ostatek i grobu nawet w nielitości swojéj odmawia, onato słabemi dłońmi swojemi grzebie dla niego mogiłę. I czując wśród téj ostatniéj posługi, siły coraz bardziéj mdlejące, nadaremnie do drzwi cerkiewnych powtarzając stukanie, ażeby Bóg się zmiłował, kiedy ludzie nie mają dla niéj litości: niknie biedna z wysilenia nad grobem — niedokopanym! Gaśnie w nieméj boleści zwolna, „jako w Bogu tonące modły — jako daleki śpiéw“, i usypia przy zwłokach męża — na wieki...

Najpiękniejszy ten ustęp na samym końcu powieści — miała to być ze strony poezyi niejako rehabilitacya człowieka, którego twardy porządek ziemski potępił nazwiskiem zdrajcy, a nad którym anioł boży w postaci kobiety owéj — zapłakał. I te łzy czyste miłości i zlitowania tak zaważyły na szali onego żywota, do połowy złożonego z przestępstw, a do drugiéj połowy z cierpień, że i my potomni sympatyzujemy ostatecznie z bohaterem téj staropolskiéj tradycyi.

Jeżeli jednak z nim sympatyzujemy, to tylko pod następującém zastrzeżeniem. Widzę się tu zmuszonym przypomnieć, co się już wyżéj powiedziało w ogóle o formie powieści poetyckiéj, że wielką w niéj odgrywa rolę owa urywkowość i epizodyczność, pozwalająca autorowi dobrą część swego zadania co krok pozostawiać własnemu domysłowi czytającego. Owoż i w tym razie od czytelnika to jedynie zależy, zapełnić sobie własną wyobraźnią tę przerwę, jaka przypada na środek poematu, kiedy to Bieleckiego

po zniszczeniu jego wioski z oczu tracimy, aż do powtórnego jego wystąpienia na scenę, w roli przywódcy Tatarów. Doznana ze strony starosty obelga i krzywda, a przy niéj i ogołocenie z całego mienia, jak są opowiedziane przez autora, mogły wprawdzie i musiały zrodzić w sercu szlachcica namiętne pragnienie zemsty. Jednakże dalekie to wszystko jeszcze jest od jaskrawości pobudek, jakieby zajść musiały, zanimby się człowiek w położeniu Bieleckiego ówczesném puścił na takie drogi zapamiętałéj żądzy odwetu! Wyprzéć się wiary ojców swoich i nie tylko zapómnieć o ojczyźnie, ale ją jeszcze spławić w powodzi krwi niewinnéj — to są rzeczy, o które się nie tak łatwo pokusić. Łatwiéj to wszystko pomyśleć i zamierzyć, aniżeli wykonać. Prędzéj się kto odważy na wszelką inną zbrodnię, choćby największą, choćby najprzeciwniejszą naturze ludzkiéj, niżeli na to. Doprowadzenie rzeczy takiéj do końca jest wynikiem długiego pasma planów i środków i obmyślonych sposobów, które potrzebują dla siebie i czasu długiego, zanim zrodzą ostateczny swój owoc. Otóż właśnie z tego powodu szał namiętny, któryby pchnął kogoś na razie ku stronie takiego postanowienia, sto razy tymczasem by się ulotnił i ostygł, zanimby dzieło doszło do skutku.

Jeżeli zatém patrzymy na Bieleckiego i w téj jeszcze chwili jego zawodu z pewną wiarą w prawdę poezyi: to chyba już jedynie dlatego, ponieważ wychodzim z przypuszczenia, iż nie zależało na tém autorowi, żeby przedeptać, że tak powiem, krok za krokiem tę całą przestrzeń, jaka człowieka dzieli od normalnego usposobienia aż do najwyższéj burzy wszelkich żywiołów w jego jestestwie. Wyobrażamy sobie na przykład, że się Bielecki poprzednio w inny sposób i niejednokrotnie kusił o dokonanie zemsty; że wszystkie jego usiłowania wywarcia jéj w granicach, że tak powiem, względnie godziwych, były wobec przemocy, wobec przezorności magnata nadaremne; przypuszczamy, że tymczasem mogła i niejedna nowa obraza zajść ze strony tryumfującego możnowładcy, która serce szlachcica już i bez tego zranione, tém zapamiętalszym bolem porwała... Słowem poddajemy się wrażeniu, jakbyśmy słyszeli z ust poety, że on tę całą skalę pośrednich pobudek, zażegających coraz silniéj, wiodących coraz nie-

uchronniéj człowieka do ostateczności, otwiera dla naszéj wyobraźni, ale zakrywa dla oczu naszych, i że im ukazuje wtedy dopiero znowu swego człowieka, kiedy ten stanął już na samym szczycie tego szału i opętania, które jak ogień piekący pozbawia go odpowiedzialności za wszystko, co przedsiębierze w tym stanie...

Rzecz o **Mnichu** i **Arabie** zbędziemy krótko. Są to utwory już z tego powodu mniéj znaczenia mające, że były tylko odbiciem wrażeń wzbudzonych obcém natchnieniem. Rozczytywanie dzieł poetów angielskich a mianowicie Moora i Byrona, których fantazya lubiła się zasilać zasobami wschodniego świata, poddało Słowackiemu myśl przeniesienia i swoich także ideałów na tło stósunków oryentalnych, chociaż ich wtedy nie znał jeszcze inaczéj, jak tylko z książek. Utworzenie obu poematów było przedzielone pracą nad innemi rzeczami. Mnich powstał przed Bieleckim, zaraz po ukończeniu Mindowy. A Arab należy do płodów najpóźniejszych w obu tych tomach, gdyż tylko Żmija jest jeszcze późniejszéj daty. Rzecz dziwna, że wartość tych dwóch oryentalnych powieści, nieskończenie nierówna, ma się w odwrotnym właśnie stósunku do czasów, w których jedno i drugie powstało. Arab, pomimo wybornego wiersza i wszystkiego, coby rzéc można na pochwałę o jego zewnętrznéj formie, jestto prawdziwy lapsus ingenii; podczas gdy Mnich, pominąwszy pewne nieprawdopodobieństwa w szczegółach, poniekąd wytrzymuje krytykę.

Głównym tematem jest i tutaj odstępstwo wiary i tradycyi ojczystéj. Szczególna rzecz, że ta właśnie materya tak często zaprzątała wtedy wyobraźnię młodego poety. Między siedmiu jego pracami objętemi w obu tych tomach, cztéry obracają się właśnie około tego motiwu. Mindowe zmienia religią z rachuby i nieszczerze. Bielecki z konieczności. Żmija udaje chrześcijanina z powodu przypadkowych okoliczności. Jeden tylko Mnich zostaje apostatą z całą wiarą, że dokonywa zmiany na lepsze, i czyni to z wolnéj woli. Są zatém, jak widzimy, pewne odcienie w szczegółowém przeprowadzeniu téj myśli; ale grunt rzeczy jest zawsze jeden i

następstwa czynu tesame. Prowadzi to zawsze do osamotnienia jednostki na tle całéj reszty sobie podobnych i do nieuchronnéj walki z ogółem, ani zdolnym zrozumieć pobudek téj apostazyi, ani też skłonnym do przebaczenia takowéj. Ta kolizya była tedy ciągłym przedmiotem rozmyślań Słowackiego przed rokiem 1831...

Poeta stawia przed nami zakonnika jakiegoś w klasztorze na górze Synai, zdającego spowiedź z całego życia, spowiedź ostatnią, gdyż wątek życia tego człowieka właśnie się kończy. Młodość jego, pełna świetności, nie taki zapowiadała mu koniec. Syn zwierzchnika jednego z najdzielniejszych pokoleń arabskich, przywodził i sam za młodu nieraz w napadach na karawany.

„Niegdyś na czele pokolenia ludu
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne".

Nie chodziło mu przy tém bynajmniéj o zdobycz, o pomnażanie skarbów dziedzicznych. Szukał niebezpieczeństw, bo gardził spokojem życia. Walki miały dla niego urok, bez względu na to, jaki ich skutek. Przygody, trudy, niewczasy były potrzebą jego ducha.

„Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzałem na nędzę"...

. . . .

„Marzyła dusza!... Ileż razy w spieki
Ścigałem w stepach znikome obrazy"...

Gdy więc tak często bez celu zapędzał się ten młody Arab w stepy bezludne, zdawało mu się razu jednego, jakby słyszał jakieś przeciągłe a melodyjne tony, które mu z daleka wiatr zachodni przynosił.

„Wypuszczam konia i gonię za śpiewem;
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła —
Coraz doganiam wyraźniejsze tony,
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony."

Prześliczne jest miejsce, gdzie dziki ten syn pustyni opisuje pierwsze wrażenie, jakiego doznał za wnijściem do chrześcijańskiéj świątnicy:

„Wchodzę — stanąłem przy ciemnym filarze,
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jéj czole złoty liść rozkwita,
A pod jéj stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potém w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła.
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
Widziałem tylko, że anioł nade mną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzał w duszę moją ciemną“....

Wrażenia te tak silnie wstrząsnęły duszą Araba, że porzucił wiarę ojców i został chrześcijaninem.

„Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty? —
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty:
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
Sam ojciec przeklął: — „Idź wyrodne dziecię!
Idź w świat! i zostań sam jeden na świecie““...

Ta klątwa ojca spełniła się dosłownie. Młody renegat, odepchnięty i nienawistnie prześladowany przez swoich, ziścił nawet sam owo straszne przekleństwo. Zaczepiony przez brata, zabił go, nie wiedząc w chwili czynu, komu śmiertelną ranę zadaje. Napadnięty potém przez ojca, uszedł wprawdzie przed jego gniewem i przywdziawszy habit zakonny, zagrzebał się w owym samotnym klasztorze. Lecz i tam dosięgła go fatalna siła przekleństwa. Przy odpieraniu napadu jakiéjś tłuszczy Arabów, którzy w nocy, znienacka, uderzyli na klasztor, żeby go złupić, jegoto oręż powalił trupem herszta owego tłumu. Klasztor został ocalony, ale się okazało, że tym hersztem — był jego ojciec...

Tak więc (nie przeczę, że wielkim kosztem podobieństwa do

prawdy!) jego własna ręka spełniła w całéj grozie owę klątwę ojcowską.

„I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczół matka, gdy w wymarłym ulu
Siedzi posępna nad córek grobami,
I sama szuka grobowego cienia.“

Mógłby teraz zażywać spokoju, kiedy wyginęli już wszyscy, którzy mu go zamącali, gdyby... nie własne jego serce! Onoto zaczyna się teraz domagać praw swoich, których zaspokoić nic nie potrafi na ziemi. Świat nowy, w który przeszedł, murem opasany klasztornym, nie odpowiada jego pragnieniom, nie czyni zadość jego ideałom, i nie może być jego światem! Takie życie, to śmierć przed zgonem, to martwość! Pod kapturem zakonnym

„Myśl moja wyschła, jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę“...

Nawet pacierze tych ludzi, których już widzi w myśli snujących się około trumny, w któréj go zamkną, gdy umrze: — martwe to modły, zimna to boleść!

. . . . . . „Niosą kir, kobierce
I światła w rękach i zakryte czoła;
Modlą się za mnie — lecz nawet pozoru
Nie ma boleści!... Zimne mnicha serce
I modły zimne jak mury klasztoru!“

Domierza tedy życia w chrześcijańskim klasztorze, ale widzi się w nim jakby wygnańcem z innego świata, jakby obcym pośród obcych. A tamten świat, do którego myślą powraca „chociaż łza jego, pamięć przodków plami:“ już się także odsunął od niego przepaścią nieprzebytą na wieki! Ani więc tu, ani tam — nigdzie — nie ma dla niego miejsca! Żył samotnie— umiera z uczuciem opuszczonego przez wszystkich, z wiedzą, że i za grobem nie znajdzie swojéj sfery. Żałuje przeszłości, którą zmarnował, rozpacza o przyszłości, któréj nie zasłużył. Ostatnia jego wola zaleca, aby mu wykopano gdzie na samotnych stepach grobowiec, wśród jakiéj kwietnéj oazy, gdzie może drzewa czulsze będą, niżeli serca ludzkie.

Drugi poemat, zatytułowany **Arab**, uważam za poroniony płód excentrycznéj... mizantropii raczéj, aniżeli fantazyi. Słowacki tak się wżył w ten świat ideałów ujemnych, iż mu się zdawało, że dość uderzyć w ten ton nieustającéj zwady z całym rodem człowieczym, żeby zagrać melodyą, żeby stworzyć poemat. Przesuwa tu przed oczyma naszemi wichrzącego, jak uragan stepowy, nie człowieka, ale demona jakiegoś, którego przeszłość zgoła niewiadoma, a témsamém i powody całéj jego wściekłości zwróconéj przeciwko ludziom. Nie znam żadnego dzieła, nietylko Słowackiego, ale w całéj literaturze, naszéj i postronnych, w którémby treść całéj owéj wtedy przez niego wyznawanéj doktryny była wypowiedziana tak wręcz i bez żadnéj ogródki, jak właśnie w tym poemacie. Jestto najlepsza satyra, jaką dla zdyskredytowania stanowiska takowego tylko było można napisać. Sądzi się sama i nie ma potrzeby dłużéj się nad tą rzeczą rozwodzić.

Przystępuję do ostatniego z utworów, które zamierzyłem rozebrać w tym rozdziale, do **Żmii**; i zdaje mi się że się nie rozminę z przekonaniem ludzi mających zdrowe zdanie o tego rodzaju rzeczach, jeżeli powiem, że ten oryentalno-ukraińsko-historyczno-fantastyczny poemat o sześciu pieśniach nie tylko z wyższego, to jest etycznego punktu widzenia, ale nawet i pod względem artystycznym uważać trzeba za pracę, która się zupełnie nie udała autorowi. Pozostawia ona przy czytaniu niesmak jakiś wielce niemiły, którego powody zdaje mi się, nie polegają jedynie na zbyt rażących nieprawdopodobieństwach, jakie się tu spotykają, ale jeszcze i na czémś więcéj. Autor sądził o tém wszyskiém inaczéj. Nazwał utwor ten romansem poetycznym z podań ukraińskich i zamieścił go na samém czele tomu pierwszego w przekonaniu, że to jest najdoskonalsze dzieło jego ze wszystkich, które wtedy ogłaszał. Oto, co w téj mierze pisał do matki, która jak się zdaje musiała była w ogóle zrobić jakąś mniéj korzystną uwagę o budowie niektórych jego utworów.

„Zdanie Mamy jest zupełnie słuszne; ale przeczuwam, że postrzegany przez Mamę brak w całościach jest skutkiem

rozpierzchłych pieśni Żmii. Muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że Żmija zdaniem mojém i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najsławniejszych naszych krytyków (?) powiedział o mnie przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni; że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat; widać więc, że postępuję i kształcę się". (dnia 30 lipca 1832 z Paryża).

Ta wzmianka o zdaniu owego „najsławniejszego z krytyków“ dostarcza tylko jednego przykładu więcéj na to, że jeżeli w innych literaturach krytyka jest wielką dźwignią i dla powodzenia pisarzów i do kierowania smakiem czytającego ogółu: — u nas rzecz się ma wcale przeciwnie. Tak zwani krytycy nasi — z małym wyjątkiem, począwszy od pierwszych czasów, gdzie się zjawili — uczynili wszystko, żeby kiedyś powiedziała o nich ta karta dziejów literatury, która tę sprawę podniesie, że gdyby autorowie i zdrowa część społeczeństwa byli poszli za nimi: byłoby się wreszcie skończyło na tém, że u nas czarne byłoby białém, rozumne niedorzeczném, chorobliwe szczytném, oklepane jedynie uprawnionémi i t. d. Dałaby się z tego textu napisać bardzo ciekawa monografia i warto, żeby się kiedy kto zajął tym przedmiotem. Bajka Krasickiego o Młynarzu, synu jego i ośle mogłaby tu służyć za illustracyą do każdéj karty; i wyszłyby na wierzch rezultaty zabawne i ciekawe, choć niekoniecznie pochlebne, a tém mniéj budujące... Co się tyczy autora Żmii, snać go łudziła albo ta okoliczność, że było to najmłodsze dziecię jego ducha, albo mu też może to pochlebiało, że cała osnowa tego poematu byłą jego własnéj inwencyi. W notach dodanych na końcu poematu wyraźnie zwraca też autor na to uwagę, że „romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacyi.“ Z dalszych słów wynika, że wszystko, co przejął gotowego z podań przeszłości do ułożenia sobie tak rozległego przedmiotu, ograniczało się do następujących bardzo mało ważnych punktów oparcia. Jest gdzieś na Ukrainie wał ogromny, nazywany przez lud wałem Żmii; ten zaś zdaniem niektórych miał być jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporoża... Wiadomą daléj

jest rzeczą, że Kozacy na łodziach swoich, które nazywali czajkami, podejmowali nieraz dalekie wyprawy morskie, i czasem zapędzali się aż pod mury samego Carogrodu. Oprócz tego jest znowu wzmianka w którymś pamiętniku polskim, że razu pewnego został jakiś Basza turecki wzięty w niewolę przez Kozaków i był trzymany na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet... Nakoniec opowiada Beauplan w znanym swoim opisie Ukrainy sposób, w jaki Kozacy i Tatarzy polować byli zwykli na sumaka. Tenże pisarz wspomina też o jakichś ruinach zamku, wzniesionego niegdyś wysoko po nad wodą na jednéj z wysp dnieprowych. I oto już wszystko, z czego samemu dopiero wypadło autorowi dosnuć sobie reszty osnowy dla zapełnienia poematu o sześciu pieśniach. Nie bywszy zresztą sam nigdy ani w okolicach nad Dnieprem, ani też w krajach tureckich, któreto światy obydwa służą tu na przemian za scenę zdarzeń, zmuszony był puścić wodze fantazyi i ledwie się tedy owędy wiadomościami z drugiéj ręki zasilał, jakich mu dostarczali Beauplan, Grądzki, Zaleski, Goszczyński, a głównie poeci angielscy, malujący oryentalne stósunki.

Powyższe okoliczności oczywiście nie mogły być po temu, żeby dzieło tak założone rozlegle, wypadło tak korzystnie, jak się tego można było spodziewać już po autorze Maryi Stuart i Bieleckiego. Z téjto głównie przyczyny koloryt Żmii jakoś zanadto jest mglisty, wątpliwy. Sfera tego poematu zanadto jest fantastyczna, jak na poemat tradycyjny w rodzaju na przykład Zamku Kaniowskiego; a zanadto ma znowu barwy historyczno-miejscowéj, jak na utwor czystéj fantazyi w sposobie Aryosta. Jest to tak dalece i jedno i drugie zarazem, że ostatecznie czyni wrażenie rzeczy, o któréj się mówi, że jest ni to, ni owo...

Ale te wszystkie niewłaściwości nie byłyby mogły Żmii — przy talencie poety — tak stanowczo zaszkodzić, gdyby nie inna pomyłka, na którą warto zwrócić uwagę. Żeby rzeczy nie przedłużać, pomijam milczeniem gwałtowne naciągnięcia i nieprawdopodobieństwa, na które dzieło to laboruje w wysokim stopniu, a które zbyt są rażące, żeby potrzeba było je wykazywać. Nie powiem ani słowa o chorobliwości figury odgrywającéj tu główną ro-

lę, bo musiałbym chyba tylko powtórzyć, com w ogóle o ludziach Słowackiego powiedział. Zato podnoszę uchybienie, którego się autor tylko w samym Żmii dopuścił, a które zdaniem mojém główną jest tego przyczyną, że utwor ten w czytaniu męczy i nuży. Uchybienie to upatruję w posuniętém po za wszelkie granice miary rozstrzeleniu pojedynczych ustępów Żmii. Niepodobieństwem jest dla czytelnika, aż do środka pieśni piątéj (a zatém przedostatniéj), ogarnąć tu okiem wiązania łączącego poszczególne zdarzenia i epizody w całość. — Skądinąd podnosi to wprawdzie artyzm dzieł poetyckich, jeżeli mięsza się do ich składu i cokolwiek nieprzeniknionéj na razie tajemniczości. Wyłożenie wszystkiego od razu jakby na dłoni — z rozmazującą najmniejsze drobnostki expozycyą, spospolitowałoby tylko osnowę poematu. Taka zupełna ewidencya może być tylko zaletą prozy, a nie poezyi. Ale autor nasz przesadził tu w dobrych chęciach, i posunął ubieganie się o tę kunsztowną nieprzeniknioność w budowie Żmii do tego stopnia, że zamiast czytelnika zaciekawić temi ciągłemi zagadkami, które mu poddaje, raczéj go czyni wreszcie obojętnym na wszystko.

W pierwszéj pieśni maluje w obszernych ramach łowy na sumaka. Ponieważ wcale się nie domyślamy, jaki te łowy związek mieć mogą z główném założeniem powieści, czytamy je z roztargnieniem, życząc sobie co prędzéj końca. Następuje pieśń druga, a w niéj wprowadzenie nowéj zupełnie postaci, Xeni. I tu znowu ani sposób dorozumieć się, co ta epizoda ma za związek z łowami, i co ona znaczy w całości poematu? Dociekamy, kto jest ta Xeni? Przypominamy sobie, żeśmy coś podobnego już i gdzieindziéj widzieli — w Zamku Kaniowskim. Natrętna kochanka Nebaby nawet imieniem się nie różni od zagadkowéj postaci w téj części „Żmii". Ale Słowacki daje domysłom naszym inny obrot, wkładając w sam środek tego epizodu długą „Powieść kozacką" o Rusałce w sposobie dumek Zaleskiego. Tym ustępem najmityczniejszéj osnowy najzupełniéj zbija nas z tropu, na któryśmy już już wpadąli. To też przeczytaliśmy całą część drugą dzieła i znowu nie rozumiemy nic! W nadziei, że nam zagadkę wyjaśnią dalsze karty, przystępujemy do pieśni trzeciéj. Ale tu zastępuje nam drogę znowu inny obraz, obraz zbrojnéj wyprawy

czajek kozackich na morze Czarne. Czujemy się tu wprawdzie już na gruncie głównych wypadków; ale się wychyla znowu inny przedmiot nadaremnych dociekań naszych, Zulema. Wprowadza ją póeta tak tajemniczo, że się osłonioną być zdaje całemi warstwami mgły nieprzejrzanéj. W pieśni czwartéj przychodzi na pełném morzu do boju między czajkami Żmii a jakimś okrętem tureckim. Selim, syn baszy i dowódcy tego okrętu, ginie w téj walce, sam basza pierzcha. Lecz kto ten Selim? kto ten basza? jakie znaczenie téj potyczki na morzu? czy było to tylko zajście przypadkowe, czy też ma bliższy związek z główną osnową? — I to wszystko — jeszcze zagadka! I w piątéj nawet pieśni cała pierwsza połowa ma znowuż wszelkie pozory ustępu nienależącego do rzeczy. Chodzi tu o wzięcie w niewolę jakiegoś baszy natolskiego, które też i przychodzi z wielkim trudem do skutku. Dopiero wreszcie od środka téj części Żmii, naraz zaczyna się wyjaśniać, że te wszystkie pasma rozpierzchłe, które w pojedynczych pieśniach nużyły i niecierpliwiły uwagę, tworzą całość jednolitą i dopełniają się wzajem. Łowy na sumaka — Xeni ze swojém dziecięciem — powód istotny wyprawy na miasta muzułmańskie — zapalczywa walka z Selimem — szalona nienawiść ku baszy, którego Żmija nareszcie pochwytuje w niewolę — zagadkowa osobistość Zulemy itd. wszystko to nagle staje się teraz zrozumiałém, usprawiedliwioném, dodałbym że się staje i pięknérn, gdyby było rzeczą ludzką, przeistoczyć naturę wrażeń — już odebranych. Ale wrażenia odebrane należą do przeszłości, a ta stęgła jest i nic działać wstecz na nią nie może. To też przez to zanadto późne odkrycie nader sztucznego węzła powieści mało się zmienia na lepsze ostateczny sąd czytelnika o dziele, które już jest przeczytaném i w ciągu czytania nie bardzo zajmowało.

Stanęliśmy u kresu. Znamy teraz już ducha tych pierwszych prac Słowackiego, na mocy szczegółowego tychże rozbioru, i pojmujemy wszyscy podobno, ileto prawdy było w owych słowach Mickiewicza, że poezya tego młodego wieszcza — to gmach, sta-

wiany piękną architekturą jak wzniosły kościoł, tylko że w kościele tym Boga nie ma. Zdanie to na razie oburzyło Juliusza. Bo też prawdopodobnie nie rozumiał on jeszcze wtedy, co mu właściwie Adam zarzucał. Słowa te na pierwszy rzut oka wyglądają na zarzut bezbożności. Do bezbożności Słowacki ani w życiu własném, ani w pismach swoich się nie poczuwał. Lecz Mickiewicz miał też zupełnie co innego na myśli i wyrzekł to, co rozumiał, w formie przenośni, a nie w dosłownym sensie. Nie wytykał on tu braku religii, ale brak rzeczy, która témsamém jest w poezyi, czém jest obecność bóstwa w kościele; wytykał brak tego, co stanowi cél wszelkiéj sztuki, a tém jest: wiara w lepszą cząstkę człowieka i w możność doskonalenia się jego tak jako jednostki, jako i w zbiorowości. Skeptycyzm społeczny zabija wszelkie popędy działania, a témsamém znosi i podstawę saméjże poezyi, téj najpotężniejszéj dźwigni z materyalizmu ku ideałom.

W kilka lat potém i samemu autorowi Żmii otworzyły się oczy na ten brak w początkowych jego kreacyach. Już w trzy lata po ogłoszeniu takowych, przyznał się matce, że „znienawidził swoje pierwsze utwory i że czuje potrzebę, aby coś jasnego napełniało jego karty, aby więcéj łez było w słowach“... A pod koniec życia jeszcze surowiéj o nich sądził. „Wstyd mi — mówił natenczas — wielu melancholii byrońskich. Strach, aby one nie zaraziły innych.“

W saméj rzeczy, byłato tylko jakaś naleciałość skądinąd, któréj się w młodszych latach wielki ten talent poddawał. Byronizm — pojmowany i przesadnie i jednostronnie — oto, co przyjął Słowacki nie tylko za regulatora w pracach swoich autorskich, ale poniekąd nawet i w życiu. I w życiu swojém, zwłaszcza za młodu, był on w wyobrażeniach i sądach, w nałogach i imaginacyjnych cierpieniach swoich, co się zowie bajronistą. Było w tém z razu coś sztucznego; lecz wzrósł młody nasz poeta i dojrzewał pod wpływem tego kierunku tak konsekwentnie i systematycznie, że mu się to bajronizowanie wreszcie przemieniło w drugą naturę.

Ale bo też młodość Juliusza przypadła właśnie na czasy najgłośniejszéj sławy i największéj w świecie umysłowym przewagi te-

go genialnégo człowieka. Wygórowanie przewagi téj poczyna się od roku 1824, roku śmierci Byrona. Wprawdzie był Byron już i za życia przedmiotem powszechnego podziwu. I wielbiciele jego i antagoniści (a było ich pomiędzy Anglikami niemało), w tém jednóm się między sobą zgadzali, że był to geniusz pierwszego rzędu. Stémwszystkiém aż do r. 1824 wyjątkowe, niezwyczajne, częstokroć gorszące okoliczności jego życia rzucały cień niekorzystny na wszystko, co tylko wychodziło z pod jego ręki. Oskarżano go o rzeczy, które popełnił i których nie popełnił. Do niekorzystnych o nim pogłosek, które miały po sobie słuszność, doczepiło się — nie powiem drugie tyle, ale nieobliczone mnóstwo baśni i potwarzy ohydnych, wylęgłych w bujnéj wyobraźni jego nieprzyjaciół lub też tych bezmyślnych plotkarzy, którzy choć go nie widzieli na oczy, umieli jednak rozpowiadać o nim, jakby go znali najlepiéj. Z tak mętnych źródeł wyrobiła się o nim z czasem opinia — w Anglii i po za Anglią — najbałamutniejsza w świecie. I na mocy téj opinii nie tylko ryczałtem potępiono życie jego prywatne, ale potępiano i cały zawód jego jako pisarza. Dzieła Byrona miały rzeczywiście więcéj związku z osobistością autora, aniżeli by to powiedzieć można o jakimkolwiek innym pisarzu. Rzadko tylko i wyjątkowo podejmował on przedmioty, któreby nie potrącały o zdarzenia rzeczywiste, których był świadkiem, uczestnikiem lub sprawcą. Dodajmy do tego, że wszystko co pisał, lubił otaczać umyślnie jakąś tajemniczością. Przy takich okolicznościach ani się było można spodziewać spokojnego i bezstronnego sądzenia jego utworów. Chcąc je rozumieć, trzeba było znać wewnętrzne dzieje poety, a te zaledwie najbliższym przyjaciołom Byrona były wiadome. Liczba takowych była bardzo mała, wreszcie nikt ich natenczas nie słuchał. To też nawet najżyczliwsi, pod wpływem obiegających po całéj Europie plotek, dziwnie sobie tłómaczyli jego kreacye. Przypomnijmy sobie tylko na przykład, co Göthe w szczególny sposób rozpowiada o znaczeniu Manfreda, w rozprawce pisanéj w kilka lat po ogłoszeniu tego dramatu, ale jeszcze za życia autora! Jeżelić więc tak niepodległy, tak bystry i życzliwie dla Byrona usposobiony umysł nie był zdolny ani przeniknąć prawdy, ani też w jéj czystém świetle spo-

glądać na jego twory: cóż dopiero za wyobrażenie mogła mieć o nich cała massa zwyczajnych czytelników?

Dopiero tedy po śmierci jego nastąpiło, czego się zresztą i sam Byron spodziewał. Znajdują się w pamiętniku jego te słowa: — „Sprawiedliwość będzie mi wymierzona wtedy dopiero, kiedy ta moja ręka, która to pisze, będzie tak zimna, jak serca, które życie moje zatruły.“ — Począł się teraz objawiać nagły a stanowczy zwrot wyobrażeń, w kierunku ku zupełnéj rehabilitacyi zmarłego, ku apoteozie nawet, choć do takowéj znowu nie było dostatecznych powodów. Zwykłe to zjawisko w kolejach sądów ludzkich, zawsze skłonnych do przeskoku z jednéj ostateczności w drugą... Zmiękły serca surowe na samę wieść o zgonie wieszcza. Zgon ten zbyt wczesny, w 37 roku życia, w porze najwyższéj siły jego geniuszu — zgon idealny i prawie bohaterski, na klasycznéj ziemi Hellady, w chwili jéj wybijania się z pod barbarzyńskiego jarzma na niepodległość, wśród usiłowań, które odepchnięty od własnéj ojczyzny Byron nie tylko majątkiem własnym sowicie wspierał, lecz i pieśnią natchnioną to wywoływał, to unieśmiertelniał — zgon ten mówię pod tylu względami chlubny i nadzwyczajny rozbroił zaciętość wszystkich. Teraz dopiero — odezwali się wielbiciele poety. Z dokumentami w ręku przemówili przyjaciele zmarłego. Pojawiły się równocześnie biografie, pamiętniki, wspomnienia, listy, rozmowy i tym podobne pisma dotyczące Byrona. Odparto fałsze, uchylono potwarze, odsłoniono zalety i piękną stronę zgasłego życia. Stanął rzetelny wizerunek poety — wizerunek poetyczny nad miarę, uwieńczony aureolą cierpień i krzywd, w znacznéj części niezasłużenie doznanych — w moralnym względzie daleki wprawdzie od ideału i ze wszystkiemi znamionami krewkości ludzkiéj, ale dlatego nie gorszy od tysiąca innych, którym pomimo tego przecie nikt nie zamącał pokoju. W miarę takiéj rehabilitacyi osoby autora, zaczęto odtąd w świetle rzetelnéj prawdy i o czynach jego poetyckich sądzić inaczéj, i to pod względem ich moralnego znaczenia; artystycznéj potęgi bowiem nie odmawiano dziełom jego i przedtém.

Gdy się to wszystko działo w ojczyźnie poety, wzięła i dalsza Europa z zajęciem żywszém na nowo dzieła Byrona do ręki.

Były one jéj już znane w pewnéj części i dawniéj z sporadycznych przekładów francuskich i niemieckich, z których najrychlejsze przypadają na czasy przed rokiem jeszcze 1820. Ale właściwie teraz dopiero zaczęto na wyścigi na najrozmaitsze języki tłómaczyć wszystko, co tylko pochodziło z pióra Byrona. Nie było w Europie literatury, na któréjby obliczu w latach owych nie pojawił się już mniéj, już więcéj wydatny odblask natchnień tego poety.

Temu powszechnemu prądowi nie mogła się oprzéć i nasza literatura. Wpływ Byronizmu w Polsce, przed rokiem 1830 i przez kilka jeszcze lat potém, był w saméj rzeczy większy może, niż się to dzisiaj niejednemu wydaje. Zestawienie przekładów dzieł Byrona na polskie nie daje wprawdzie ani o czasie, ani o stopniu tego wpływu dokładnego wyobrażenia. Gdybyśmy bowiem z nich o tém mieli brać miarę, to wypadłoby wnosić, że przewaga bajronizmu zaczęła panować u nas na dobre dopiero około r. 1833; albowiem najlepsi nasi tłómacze tego poety wtedy dopiero wystąpili.*) Tymczasem wniosek taki byłby zupełnie mylny.

*) Notuję tu najcelniejszych:

Julian Korsak (Więzień Czyllonu 1830, Lara 1833). Adam Mickiewicz (Giaur 1834). A. E. Odyniec (Korsarz 1834, Narzeczona z Abydos 1838, Niebo i Ziemia 1841, Mazepa 1843). Franciszek Morawski (Więzień Czyllonu 1841, Manfred, Mazepa, Oblężenie Koryntu, Paryzyna 1853). Józef Paszkowski (Manfred, Kaim 1842). Antoni Zawadzki (Werner, Żale Tassa, Narzeczona z Abydos, Wyspa 1846). Antoni Czajkowski (Beppo, około tegoż czasu; Don Juan, w rękopisie). W. hr. Baworowski (Childe Harold 1856, Don Juan 1863). Michał Budzyński (Childe Harold 1857, Proroctwo Dantego 1858). Adam Pajgert (Wyspa 1859). Michał Chodźko (Manfred 1860).

Pierwsi nasi przekładacze Byrona, Bruno hr. Kiciński (Korsarz, Oblężenie Koryntu 1820) i Władysław Ostrowski (Dziewica z Abydos 1821, Giaur 1830), nie mieli sił po temu, żeby dziś jeszcze można było kłaść jakiś przycisk na ich przekładach. Pierwszy, to jest Kiciński, tłómaczył zresztą tylko z francuskiego, a nie z oryginału.— Przed rokiem także jeszcze 1830 spolszczył niektóre pieśni Byrona przecudnym wierszem Mickiewicz (Pożegnanie Childe Harolda— Sen — Eutanazya). Lecz to są rzeczy krótszéj objętości.

Oprócz tych wszystkich co tylko wymienionych, było jeszcze po r. 1834 kilku innych mniéj zasłużonych tłómaczów polskich Byrona.

Od czasu bowiem pojawienia się Pieśni Janusza, Komedyi Nieboskiéj i Pana Tadeusza, a zatém właśnie od r. 1833 i 34 poezya nasza zaczęła brać taki obrot, że bajronizowanie, jeżeli się kiedy wynurzyło na nowo, to należało już w każdym razie do zjawisk wyjątkowych i mniéj też cenionych w piśmiennictwie. Tém bardziéj zato zajmował ten kierunek umysły między 1824 a 1833. O czém ażeby się przekonać, nie dość jest dopatrywać posępnych barw bajronowskich na tle takich kreacyi pierwszego rzędu, jak na przykład Zamek Kaniowski albo Marya; lecz trzeba spojrzeć na płody poetów i rymotworców pomniejszych. Naśladownictwo tych pisarzów przesadne, a wreszcie entuzyazm bezwarunkowy dla dzieł Byrona i dla wszystkiego, co tylko tchnęło tym duchem, musiał w gronie młodszéj mianowicie generacyi przechodzić wtedy wszelkie granice, skoro jeden z ludzi naszych najwytrawniejszych a zarazem najwyrozumialszych, Brodziński, widział się zmuszonym w tym przedmiocie głos zabierać po kilka razy, przestrzegając w cierpki sposób przed niebezpieczeństwem grożącém z téj strony literaturze. Brodziński zaprawdę nie należał do liczby przeciwników nowego zwrotu poezyi. Owszem, onto był, który się głównie przyczynił do nadania jéj takowego kierunku. Z saméj zasady byłto zatém w owéj kwestyi sędzia bezstronny. A jednak w rozprawach jego krytycznych z czasu przed r. 1830 znajdujemy częste wycieczki przeciw téj manii ogarniającéj umysły.

Oto, co na przykład pisał był o tém w rozprawie O Exaltacyi i Entuzyazmie:

„Byron pędzlem najwięcéj poetycznym zaciera wszelką poezyę tego i przyszłego świata. W nieśmiertelności i nieskończoności samę tylko nicość pokazuje i chciałby, żeby człowiek do niczego nie przywiązany, niczemu nie ufający, wkoło boleścią i ni-

---

Wyczerpującą o nich wszystkich wiadomość znaleść można w dobrym artykule bibliograficznym przez K. Estreichera zamieszczonym w Rozmaitościach Lwowskich r. 1859, Nr. 17 i 18.

Dzięki usiłowaniom wymienionych pisarzy, posiadamy obecnie całego już niemal Byrona przełożonego na polskie. Nie znalazły tłómacza dotąd tylko jeszcze następujące (większe) utwory: Marino Faliero, Dwaj Foskarowie i Sardanapal. —

cością zagrożony, sam w sobie piekło wzniecił i w niém się strawił. Nie Wirgiliusz, jak Dantemu, nie Muza, jak wszystkim poetom, ale zły duch otwiera mu, równie jak jego Kaimowi, i serca ludzkie i światy nadziemskie, kryjąc we wszystkiém rządzącego Boga. Nadto, umiał on słabościom ludzkim nadać nie tylko powab, ale i pewny pozor wyższości, któréj źródłem i celem jest tylko namiętność w sobie ograniczająca człowieka i kłócą go z sobą samym....

„Czuję, na jak wiele się ważę, mówi daléj Brodziński, czyniąc podobne uwagi o geniuszach tak słusznie wsławionych. Przecież zważając na pochop do naśladowania poetów, którzy tak oddzielném byli zjawiskiem, godzi się w sprawie prawdziwéj poezyi przemówić. Byron sam tylko mógł być takim, jakim był poetą. Próżno każdy usiłuje trafić jego drogą do celu. Od niego poczęli młodzi poeci gwałcić swoje pogodne uczucia, nosić w sercu sami nie wiedzą jakie tajemnice, i gorzko marzyć i szukać tego, co właśnie w pełności mają. Niknie w nich poetyczna naiwność; wiosnę życia szpecą nienaturalnie, liściem jesiennym od zarazy pożółkłym. Miasto tkliwego udziału ze światem, który ich nęci do siebie, kłócą się z nim; wyszukują starannie, ażeby tęsknić do czegoś, rozbierają swoje uczucia, jak bohaterowie sceny francuskiéj swe położenia i w sprzeciwieństwie z własną naturą chcą znaleść poezyę“...

Za te słowa o Byronie gromił późniéj Brodzińskiego Mickiewicz z katedry w Collège de France.*) I rzeczywiście zdaje się być na pozór wiele przesady w tych sądach Brodzińskiego o duchu lorda-poety. Wszelako krytyk nasz nie polemizował też z nim samym, ale z jego naśladowcami, o których śmiało powiedzieć można, że więcéj w utworach ich bajronizmu, aniżeli w samym Byronie. U tego bowiem zawsze jest takt artystyczny i pewna miara we wszystkiém. Są zawsze okoliczności, które demoniczność postaci jego albo łagodzą, albo przynajmniéj tłómaczą; które pozwalają jéj się pojawiać, lecz że tak powiem w formie koncesyi. Bajroniści przeciwnie przyjęli wszystkie desperacye

*) Obacz Kurs roku IIgo, lekcya 29.

bajrońskie za wątek uprawniony sam przez się, za materyał gotowy — za rudę czystego złota, którą tylko topić i przelewać w posągi. I dlatego też miał rozważny autor Wiesława zupełną słuszność, kiedy wypowiadał przekonanie, że naśladowanie tego poety może być dla nas daleko więcéj szkodliwém, niż wszelkie inne naśladownictwo. Jeżeli zaś co samym skutkiem usprawiedliwiło te Brodzińskiego obawy, to właśnie rola w jakiéj wystąpił na początku swego zawodu oto nasz młody poeta! Bajronizm jestto klucz jedyny, za pomocą którego zrozumieć można, jak człowiek genialny, tylu nadzwyczajnymi warunkami usposobiony na prawdziwego wieszcza narodu, mógł się przez czas tak długi zaprzątać ideałami, które były po za wszelką wspólnością z gruntem naszego poczucia narodowego. Czy zwrócimy uwagę naszę na ogólne idee podłożone dziełom, któreśmy co tylko przebiegli, jakó pomysły zasadnicze, czy też na ludzi w nich działających: w jednym i drugim razie wniosek nasz nie będzie inny, jak tylko że te wszystkie typy były odbiciem (dodajmy mocno skrzywionóm!) tradycyi byrońskich.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu Lambro. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. Dziady. Nagły wyjazd z Paryża. P. Lenormand i podróż do Genewy.

Ogłoszone poezye stanowiły przez kilka miesięcy po ich wydaniu główny przedmiot, na który była zwrócona uwaga autora. W listach swoich z owego czasu często do tego punktu powraca, jużto udzielając matce wiadomości o tém, co o dziełach jego emigracya sądziła, już odpowiadając na uwagi, jakie o nich przesyłała mu rodzina jego z Krzemieńca. Były bo też i szczególne przyczyny, dla których pragnął, aby to pierwsze jego wystąpienie dobrze było przyjęte. Miał on już wtedy w tece materyału nowego dosyć na zapełnienie trzeciego tomu. Poemat Lambro już był ukończony w r. 1832 (i to w pierwszych miesiącach). Chodziło więc znowu o fundusze na pokrycie dalszych kosztów nakładu, a miała ich dostarczyć dopiero sprzedaż dwóch tomów wydanych, z którą jednak nie wiodło się tak pomyślnie księgarzom, jak się z razu autor spodziewał. Dlatego też ogłoszenie trzeciego tomu wypadło odłożyć na czas późniejszy...

Pomiędzy listami, jakie z powodu dzieł ogłoszonych poeta nasz od różnych osób odbierał, doręczono mu i słów kilka z Wilna — od Ludwiki Ś. Przypominam, że posłał jéj był w lipcu jeszcze exemplarz dzieł swoich w darze, a przytém i list, z powodu którego równocześnie pisał do matki: „O! gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się“... Otóż nad spodziewanie jego, po trzech miesiącach — z początkiem października — podziękowanie za pamięć od Ludwiki nadeszło.

„Ile z listu sądzić mogę, Ludwisia nie gniewa się za pamięć moję; owszem gniewa się, że za mało pamięci o niéj w książkach. Otó są słowa z jéj listu: — „„Miło mi było w mojéj cichéj samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajoméj mi duszy. W tych tworach poetę tylko widać — chował się człowiek — nieraz się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam... Żadnéj już nie czytam książki; ale poezye Pana jak przyjaciela dawnego, nie jak książki przyjęłam, i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć będę na ziemi.““ (Z listu z d. 8 Grudnia 1832 r.).

Na to spostrzeżenie, że się w utworach jego poetyckich ukrywał człowiek, rzucił autor taką uwagę:

„Spodziewam się, że jak wydrukuję Lambro, to mnie nie będzie obwiniać, że się kryję z mojemi uczuciami. Myślę tylko nad tém, że trudno go będzie tam przesłać, bo Lambro straszny“...

Zresztą ówczesne życie Słowackiego w Paryżu nie nabierało wcale w oczach jego powabów. Znajomość z rodziną p. Pinnard była utrzymywana, ale jakoś od niechcenia. Z samą panną Korą to zrywał, to zawięzywał znowu; lecz stósunek ten nie obiecywał długiéj przyszłości — mimo jéj przywiązania do niego. To też wyobraźnia jego łatwo zajmowała się innemi wrażeniami, przy lada sposobności — zawsze przelotnie i zawsze w taki sposób, że serce jego w tém wszystkiém wcale nie brało udziału. Więcéj ono było przystępne dla uczuć przyjaźni, choć i w tym względzie nie było ono otwarte dla byle kogo. Z pomiędzy małéj liczby osób, które wtedy w bliższych zostawały stósunkach z poetą naszym, był może jeden tylko, o którym powiedzieć można, że go łączyła ze Słowackim prawdziwa przyjaźń. Byłto człowiek cierpiący, schorzały, nierokujący długiego życia; nazywał się Zienkowicz. Do niegoto ściąga się, co tu przytaczam z jednego z listów pisanych w owym roku do matki:

„Odebrałem znów list z Wersalu. Wspominam o nim dlatego, że słowa napisane na końcu, „twój do śmierci“, przez człowieka, który wie sam, że jest jéj tak bliskim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie. Skąd ten człowiek mógł zawrzéć w dwóch słowach tyle poezyi! ... O godzinie 11 z rana wyjechałem do Wersalu, który leży o dwie nasze mile od Paryża. Zienkowicz wyszedł na moje

spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną. Przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu, lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek, zarosły trochę dzikimi chwastami i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo właśnie pisząc moje pamiętniki dziecińktórstwa (Godzinę Myśli), tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w cichym wiejskim domu. Ogród pięknym mi się wydawał — było tam kilka winogradów rozpiętych na murze, — morel owocem okryty — kilka kwitnących róż — gruszki pachnące — i naokoło mur szary, a w kącie ławka z drzewa i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże blade i już osypujące się z liści. Na téj ławce usiedliśmy, i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się słuchając téj wiejskiéj ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą; nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko — blady — i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. — O piątéj godzinie siedliśmy z nim do domowego obiadu. Jak zwykle u chłopców, było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa zaczęła się weselsza. Do stołu posługiwała nam córka gospodyni 13letnia dziewczyna, bardzo do Hersylki (przyrodniéj siostry Juliusza) podobna. Stawałem w jéj obronie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle, cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popełnione, bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmięszaną wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachnący różowy groszek zatknięty w jéj pelerynce. Wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukiecie poznałem groszek, który zniknął z jéj pelerynki, bo wszystkie inne może umyślnie przez nią były zerwane ciemniejszego koloru. Udając, że tego nie spostrzegłem, powiedziałem do niéj: ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem. Uśmiechnęła się — zarumieniła i odpowiedziała, pokazując na bukiet: il est là, oh! vous le reconnaissez bien.—Bardzo mi się podobała ta delikatna scena, i bądź pewną moja Mamo, że żadném słowem nie zniszczyłem jéj uroku. Potém Zienkowicz sporządził litewski kaliszan, taki jakeśmy w Wilnie pijali. Było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem było wszystko, co tylko się mogło w wazie pomieścić... a tak był dobry, że się nawet mojéj dziewczynie podobał... Po obiedzie poszliśmy do kró-

lewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę — i patrzała długo: — odwróciłem się jeszcze z daleka — uśmiechnąłem się i lekko schyliłem głowę. Chodziliśmy długo po parku — i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak że nań patrzeć można było. O godzinie 9téj wsiadłem do dyliżansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem — jeżeli chce Mama wiedzieć o czém — to o dziewczynce. I wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie — potém elizejskie pola — a potém ogłuszył mnie huk miasta. O godzinie 11téj wysiadłem na oświeconéj gazem ulicy Rivoli. — Wracając do domu, ujrzałem w jednéj bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzeć nie można było. W obu rękach trzymał kapelusz, ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Wrzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzącéj się nędzy postać. Stał nieporuszony — milczał. Wstyd mi było myśli krzywdzącéj starca — wróciłem się i rzuciłem do kapelusza pieniądz srebrny: — milczał... To milczenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądz złoty przy sobie, wróciłbym.... i chciałbym był, żeby jeszcze raz milczał.... Kochana Mamo! nie czytaj nikomu tego listu, bo mnie wezmą za głupca, że będąc w Paryżu, piszę o dziewczynie, co mi dała groszek, i o żebraku, który milcząc przyjął jałmużnę“... (dnia 30 lipca 1832).

Oprócz Zienkowicza miał Słowacki w owych czasach w Paryżu drugiego jeszcze towarzysza, z którym się świadczył i codziennie widywał. Był nim wspomniany już wyżéj Michał Skibicki, tensam, któremu przypisane są Arab i Mnich wraz z wierszem umieszczonym na czele tych utworów. Oprócz tych dwóch, nie ma w listach śladu, żeby był wtedy w emigracyi kto inny jeszcze bliższy serca Juliusza. Jest wzmianka (w miesiącu lipcu r. 1832) o przybyciu do Paryża Bohdana Zaleskiego, ale obojętna.

„Spotkałem dziś rano Boh. Zaleskiego; zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przed tém.“

Jest zapisek o Stefanie Witwickim, że także przyłączył się do grona żyjących na wygnaniu, ale z dodatkiem bynaj-

mniéj nie świadczącym o wielkiéj życzliwości. Jest słów kilka o Lelewelu, lecz niekorzystnych:

„Człowiek z kutasami u bótów (tak Sł. zwykle Lelewela w téj korespondencyi nazywał) jak antreprener w kłopotach, traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygą zajmuje i w tutejszéj babilońskiéj wieży pomięszał języki. Smutno tu patrzeć na to, co się tu dzieje"... (list z dnia 9 listopada 1832).

Jest notatka o pani Hofmanowéj, ale także sucha, jeżeli nie uszczypliwa.

„Jest tu panna niegdyś Tańska i pisze, jak słychać, opisanie Paryża dla dzieci — może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda — literatura kobieca, garbata trochę — literatura kłótliwa trochę, paszkwilowa — a została się tylko u siebie literatura klasyczna czyli niema"...

To też w strony ojczyste, do grona rodziny, w przyszłość, która go kiedyś ze swymi miała połączyć, najbardziéj się lubił przenosić myślą Słowacki z tego gwaru i wiru krzyżujących się stósunków, jakie tworzyła ówczesna emigracya. Miłość matki i przywiązanie rodziny miały go wynagrodzić za wszystko.

„Gdyby ludzie o wszystkiém nie zapominali — pisał d. 9 listopada 1832 — ty matko i mój ojciec zostawilibyście mi na świecie wielu przyjaciół. Ja... nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleść nie mogę — cóżbym mu więc zostawił?" —

Nadzieja, że odzyska kiedyś miejsce stracone przy familijnym stole i że znajdzie wszystkich i wszystko na dawném miejscu — ta nadzieja najwięcéj w nim podtrzymywała otuchę. Nieraz i obojętny przedmiot w Paryżu nasuwał mu na myśl to jego ulubione marzenie. Oto na przykład pisał razu jednego coś matce o wybornych brzoskwiniach francuskich, i to mu przypomniało, że niegdyś o nich w Wilnie i Jan Śniadecki z pochwałami wspominał.

„Kiedyś i ja na starość z Wami zasiędę do stołu, jak Jan — z siwym włosem i z białemi najeżonemi brwiami. Wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach"...

Nadzieje jego atoli zamierały jedna po drugiéj — za dotknięciem o twardą rzeczywistość. Listy nadsyłane mu z kraju

często były zwiastunami bolesnych zdarzeń. Wyczytywał w nich to o tym, to o owym z pomiędzy dobrych znajomych, przyjaciół, nieraz i krewnych, że go skrzydła płynącego czasu zmiotły do grobu. Prawie równocześnie doniesiono mu właśnie w ciągu owych miesięcy o śmierci Alexandry, przyrodniéj jego siostry w Wilnie za mąż wydanéj, i o jego wuju Janie Januszewskim, że powodem długiego niepowrotu jego w r. 1831 z obozu powstańców podolskich nie była, jak zrazu przypuszczano, niewola, lecz zgon w jednéj z potyczek. Po rozstrzygnięciu w taki sposób długiéj niepewności o losie męża, wdowa po nim pozostała (Julia) z drobném dziecięciem (Stasiem) ściągnęła także do Krzemieńca z Wierzchówki, w któréj aż dotąd mieszkali. Cała tedy reszta rodziny zgarnęła się w jedno miejsce, obsiadła jedno ognisko.

„Jak Wam teraz dobrze być musi (pisał w liście z d. 3 września) tak wszystkim razem w waszym spokojnym Krzemieńcu! Wystawiam sobie Wasze koło domowe, i Melankę maleńką, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak Wam teraz dobrze być musi! Ale jak mi okropnie myśleć, że kiedyś, powróciwszy do was, nie zastanę tylu osób. A tak często marzyłem, jakto ja kiedyś będę w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podrosłe Julinki. Nie możecie sobie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset pomyśleć sobie, że to wszystko snem nie jest — Wilno bez Olesi! Wierzchówka bez Julki!...“

W miesiąc późniéj otrzymał doniesienie, że i téj Melanki, którą sobie wystawiał kręcącą się w familijném kółku w Krzemieńcu, nie ma już w domu rodziców! Była to jego siostra cioteczna, córka drugiego jego wuja, Teofila Januszewskiego; dziecina przez całą rodzinę, a szczególniéj przez naszego poetę bardzo umiłowana. W żadnym prawie liście on téj maleńkiéj nie pomijał milczeniem; lubił się przypominać jéj dziecinnéj pamięci i zawsze zapytywał, co tam porabia? Z Drezna jeszcze (1831) list jeden pisząc, żartobliwie jéj obiecywał, że jak powróci do Krzemieńca, będzie ją uczył po niemiecku, „bo ładny to w ustach dam język.“ A teraz mu doniesiono, że to dzieciątko zgasło...

Wyjmuję kilka ustępów z listu pisanego pod bezpośredniém wrażeniem chwili (d. 4 października 1832):

„Wczoraj rano o godzinie 9téj położyłem się, aby zasnąć. Zaledwo zamykałem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi — list od Was — senny siadłem do czytania — list ten spadł ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły... O! bo też nigdy nic podobnego nie czytałem, jak ten list Mamy. W nim taka ogromna poezya smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niéj się nawet nie zbliżył. Matko moja! tyle w liście twoim prawdziwéj boleści — tak wiernéj, że płakałem, czytałem — i znów płakałem. Potém na kawałku papieru leżącym na stoliku napisałem trzy nagrobki i posyłam je — nie przemienione.

Nagrobków, o których tu mowa, żądano od niego w liście. Jeden miał być dla Melanki, drugi dla Olesi, a trzeci dla Jana Januszewskiego.

„Gdybym ja był szczęśliwszym (pisze daléj, zwracając mowę do rodziców umarłéj), tobym Wam może przywiązanie dzieci zastąpił. Ale ja złym jestèm kaznodzieją szczęścia. Te dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami i czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią, poetyczną, exaltowaną rozkosz.... Darujcie mi — bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“...

.....„I znów na wasz list spojrzałem — i wiersz napisany przez kochanego Dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje, jak jakiś anioł-duch z tamtego już na wpół świata wyglądający, który wśród płaczących zawsze jedne i znane mi napisał słowa: „Ja ciebie mój kochany wnuku pozdrawiam i powodzenia życzę.“ Ta jednotonność słów robi te słowa tak uroczystemi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga... Więc Dziaduniu kochany, klękam przed Tobą i przyrzekam Ci, że wnuk twój będzie umiał kiedyś, jak twój syn starszy, dług wypłacić, którego Ty dla starości wypłacić nie mogłeś... I Ty, kochana Babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety, bo on oprócz wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie — a może Bóg mu pozwoli skonać, jak skonali — —

....„Mamo kochana, czuję jak Tobie teraz smutno! List Twój Mamo zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem. List ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poezyą w sercu, to ją od Ciebie wziąłem. Zwłaszcza to wyrażenie: „Mama powtarza,

niech się dzieje wola Boga; ja zaś wspomniawszy na ciebie, niezdolna do wyrzeczenia słów tych“ itd. jest ogromnym obrazem Matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa — i Bogu nawet, jeżeliby miał syna jéj zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania Twego do mnie, z duszy wyrwane, słowami mojemi zapłacone być nie mogą, lecz całém życiem“...

Ale przejdźmy od tych smutnych rzeczy do więcéj obojętnych, do potocznych szczegółów w Słowackiego korespondencyi.

„Żebyście Wy wiedzieli — pisał do krewnych dnia 9 listopada 1832 — jak ten świat nudny! Zupełnie inny, niż nam się wydaje. Zwłaszcza Paryż — jestto prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy. Bo w inném miasteczku, a nawet mieście, cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy. Trzeba mieć kabryolet własny, żeby się otworzyły. Zwłaszcza teraz noblesa wyniosła się prawie z Paryża — la bourgeoisie, ta brylantowa poczwara, która zajęła jéj miejsce, nie przypuszcza do siebie, tylko bogatych. Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gadać — udawać Anglika, bo widzą, że Polacy nie mają pieniędzy. Udawać zaś Anglika, jestto udawać głupca i oryginała, bo takimi są Anglicy. W jednym tylko względzie Paryż mi się lepszym wydał, niż o nim marzyłem. Gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma jakiś dziwny śpiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony, itd. W Paryżu zaś przeciwnie; nie widziałem tu elegantów tak jak u nas z połkniętym kijem—z nakrochmalonym halsztuchem. Wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba. Śmiałobym tu wyszedł na ulicę w dziadowskiéj lisiurce, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziadkowi zarwałem. Widziałem tu nieraz ludzi trochę podstarzałych na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w błękitnym jasno watowanym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. — Jeżeli chcecie sobie Julka wystawić, chodzi on w dni mniéj zimne w długim aż po kostki ciemno ceglastym surducie krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy; w dni zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowém futrem, które mam od kochanéj Mamy; a w dni ciepłe, w czarnym tużurku krótkim“...

Podobne wzmianki nawet o garderobie zdarza się nieraz czytać i przy innych sposobnościach w jego korespondencyi. Słowacki

nie był elegantem z profesyi i nie przywięzywał do odzieży zbyt wielkiego znaczenia. Ale była inna przyczyna, dla któréj nie tylko lubił uważać na swoję powierzchowność, ale i chwalić się przed matką, że o tych drobnostkach nie zapomina. Oto chodziło mu o pewną rehabilitacyą całego rodzaju poetów, oskarżanych zazwyczaj o zaniedbywanie się; a przyczyniało się może do tego i trochę opozycyi z powodu znanego antagonizmu...

„Zostawszy raz poetą — chcę ujść powszechnéj nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały — i nie chcę, aby mnie tak jak Mickiewicza, do domu gry (?) nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę..." (list z d. 30 lipca 1832).

Pomimo ciągłych wyrzekań na Paryż, na Francuzów i na Emigracyą, z którą rad nierad musiał się stykać — za nadejściem jesieni 1832 Słowacki z konieczności godził się i na dalszy pobyt w tém mieście. Żeby nie ziębnąć w pokoiku swoim przez zimę, kazał go urządzić zawczasu więcéj na sposób polski.

„Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna — pisał dnia 9 listop. 1832. Kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał, — a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moję uwagę."

Plany zajęć i rozrywek na całą zimę także już były zrobione. Przy pracach, które mu same płynęły z duszy, spróbował wtedy po raz drugi roboty, która mu miała dostarczyć środków do ogłoszenia IIIgo tomu Poezyi.

„W tym miesiącu byłem sześć razy na tragedyach francuskich... dla poznania się lepiéj z Francuzami teraźniejszymi i z grą aktórek; albowiem pod sekretem powiem Ci Mamo, że piszę tragedyą dla jednego z tutejszych teatrów; nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić"...*)

---

*) Między papierami po śmierci poety przez rodzinę jego przywiezionymi do kraju, rzeczywiście znaleziono dwa małe urywki z francuskiego dramatu pisanego jego ręką, a poprawianego gdzieniegdzie inném pismem, zapewne przez jakiego rodowitego Francuza. Urywki te są z końca sztuki: jeden z czwartego, drugi z piątego aktu. (Musiała ona zatém stanowić kiedyś całość skończoną). Była pisana prozą,

Ażeby się uzdolnić do jak najpomyślniejszego dokonania innych utworów, które obmyślał, żądał w tymże liście od matki niektórych książek polskich.

„Jeślibyś mogła, kochana Mamo, to mi przez jadącą siostrę Michała (Skibickiego) przyślij dzieła Jana Kochanowskiego, które masz w swojéj szafce; a jeżeli można, to dostańcie także przekładu Jerozolimy przez Piotra, bo mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne. Teraz albowiem nie mam, jak tylko Trembeckiego; i uważam, że mój styl twardnieje nieznacznie“...

Wreszcie donosił rodzinię i o zabawach, jakich sobie w ciągu téj zimy dla urozmaicenia czasu pozwalać postanowił: kiedy wtém nagle zaszło zdarzenie, które te wszystkie jego projekta pokrzyżowało stanowczo.

Niepomału zdziwić się matka musiała, kiedy wyczytała w liście Juliusza już w miesiąc późniéj doniesienie następujące.

„Kochana Mamo! pobyt mój w stolicy nachyla się już do końca. Za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy. Potrzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie przynajmniéj w poetyczniejsze krainy posyła. Wiele miałbym pisać o tym miesiącu, ale nie wiem, jakiemi słowy“... (Z listu z d. 8 grudnia 1832).

Jaka potrzeba zmuszała go do wyjazdu z Paryża, z tego się matce nie tłómaczył. Przytoczył natomiast wiele różnych powodów, mających niby usprawiedliwić to nagłe jego postanowienie.

„Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiedzał teatra, bo mi się zdaje, że do Paryża nie prędko, a może i nigdy nie powrócę. Bo tu przykro — drogo — niespokojnie. Między nami ciągłe zwady — a w tych zwadach wykrywają się tak puste głowy, że aż to obraża dumę narodową. A potém, będąc w Genewie, między Paryżem a Florencyą, któżby do Paryża wracał? Pisałem już, że interes zmusza mnie

---

miała za treść sprawę Beatryczy Cenci, którą późniéj opracował Słowacki wierszem po polsku. Ale osnowa polskiego dramatu zupełnie odstępuje od pomysłu, wedle którego, ile wnosić można, rzecz ta była przeprowadzona w sztuce francuskiéj.—Urywki rzeczone zbyt mi się zdały mało znaczące, żeby je zamieszczać w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych.

do wyjazdu. Ale zapewne z własnéj woli w Genewie zostanę na mieszkanie i wiele sobie obiecuję przyjemności, i listy moje może ciekawsze będą, jak Wam doniosę o mieszkaniu Russa, Woltera, a nadewszystko jak pielgrzymkę na Mamy intencyą odprawię i zwiedzę Coppet, gdzie pani Staël mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad jeziorem genewskiém w jakim wiejskim domku — i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowemi, bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego, i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność — ale nudną, przerywaną hukiem powozów, rozmową nudnych znajomych. Więc mnie nie obwiniaj Matko, że cichszéj samotności szukać będę"...

I w drugim liście potém pisanym, już datowanym z Genewy (z d. 30 grudnia 1832) nie wyspowiadał się Juliusz, co mu tak zaciężyło na sercu. Rzucił tylko nawiasem wzmiankę o ostatnich chwilach pobytu swego w Paryżu, która tém bardziéj mogła każdego zaciekawić:

„Powiem Ci jeszcze, moja Mamo, że mnie w jednêm zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażebym został. Ale już było zapóźno, przygotowania do podróży już były porobione"...

Dopiero po upływie całego niemal roku dowiedzieli się krewni rzetelnéj przyczyny, która Słowackiego wypędziła z Paryża. Świadczy ona może o zbyt daleko posuniętéj drażliwości u niego; rozważywszy jednak wszystko, przyznać należy, że w jego położeniu trudno było inaczéj sobie postąpić. Rzecz tak się miała.

Pod sam koniec roku 1832, w miesiącu listopadzie czy grudniu, wyszło w Paryżu dzieło, o którego mającém niebawem nastąpić ogłoszeniu donosił już poprzednio matce swojéj Słowacki. Pojawiła się Dziadów Część trzecia. W jednéj scenie tego utworu występuje, jak wiadomo, figura, któréj tam dano ogólną nazwę Doktora. Zajmuje ona jedno z przedniejszych miejsc na całym planie obrazu, ale jest wystawiona w takiém świetle, że odpowiedzialność za te wszystkie bezprawia, jakie się działy w Wilnie w latach 1823 i 1824, spada na nią w znacznéj części i to z tém większą sromotą, że jestto rodak i członek ciała uniwersyteckiego, którego więc obowiązkiem było zasłaniać od gwałtów

młodzież niewinnie prześladowaną; a on tymczasem działa w poemacie Mickiewicza jako intrygant podżegający jeszcze podejrzliwość Nowosilcowa tak przeciw młodzieży jak profesorom, i nie wstydzi się być jego nadskakującym pochlebcą, a nawet denuncyantem wręcz oskarżającym profesora historyi Lelewela i kuratora uniwersytetu księcia Czartoryskiego o spiski przeciw rządowi w gronie uczniów utrzymywane.

Mickiewicz wprawdzie nie nazwał w Dziadach po imieniu tego doktora. I stądto może też poszło, że stawiwszy go jako figurę typową, z wyobraźni wziętą, a nie z rzeczywistości, pozwolił sobie nie tylko intrygi z historycznemi zdarzeniami rzeczywiście związek mające na karb jego położyć, ale dodał do nich jeszcze i kilka rysów dokomponowanych, (na przykład owo zajście nieludzkie z X. Piotrem itp.) które same jedne wystarczałyby najzupełniéj na to, żeby każdego potępić na całą wieczność...

Wiedział oczywiście każdy, kto tylko z zajściami czasu owego jakokolwiek był obeznany (a któż ich w emigracyi nie znał natenczas?), że tą figurą bezimienną był profesor medycyny w uniwersytecie wileńskim Dr. Becu, rzeczywiście od piorunu w roku 1824 zabity, jak to i w Dziadach jest przedstawione.

Czy oskarżenie podobne ojczyma Słowackiego było uzasadnione i sprawiedliwe?

Nam późniejszym, oddalonym od czasu i miejsca zdarzeń, w obec takiéj powagi jak autor Dziadów — trudno zaiste zaprzeczyć temu dzisiaj stanowczo. Sądzę atoli, że był to w każdym razie jeden z tych smutnych przykładów, w jakie pierwsze lata po upadku powstania 1831 roku szczególniéj były obfite, przykładów mówię ryczałtowego piętnowania ludzi nieraz niewinnych znamieniem odstępstwa, zdrady i Bóg wie jakich przekroczeń. Chociażby nie żyli jeszcze ludzie, co pamiętają te czasy, a którzy, o ile mi się mówić z nimi zdarzyło, po większéj części zgadzają się na to, że się tym krokiem względem profesora Becu dopuścił Mickiewicz grubéj przesady: to już samo porównanie rzeczy, jak jest dana w Dziadach, ze znaném pisemkiem Lelewela „Nowosilcow w Wilnie,“ okazuje, że musiał być Mickiewicz, kiedy

układał tę scenę, w dziwném jakiémś rozdrażnieniu. Wychodząc z tego punktu widzenia, można i trzeba wprawdzie wierzyć, że wypowiadał autor Dziadów to co pisał, w najgłębszém przekonaniu i w najlepszych zamiarach, i że się czuł podniesionym na wysokość, z któréj giną przed okiem drobne względy na pojedyncze osoby, w obec zamiaru podniesienia pewnéj idei; pomimo tego wszystkiego zaprzeczyć tego jednak nie można, że przedstawienie jego scen wileńskich z r. 1823 więcéj było poetyczne, niż zgodne z prawdą, a sądy o osobach niektórych w wysokim stopniu polegały na uprzedzeniu.

Lelewel był naocznym świadkiem, a nawet jednym z głównych aktorów całego tego dramatu. Był on nadto osobistym przeciwnikiem stronnictwa w uniwersytecie wileńskim, po którego stronie stał Becu. Co większa, i Lelewel miał przekonanie, że profesor ten czynnie się i umyślnie przyczynił do oddalenia jego z katedry wraz z niektórymi innymi jeszcze profesorami. Nie było tedy powodu, ażeby winę profesora Becu Lelewel zmniejszał, i widać też po całym sposobie, jakim rzeczy te opisuje, że mu bynajmniéj na tém nie zależało, ażeby go od zarzutu oczyścić. Przeciwnie! sądzi on o nim z uprzedzeniem; o zachowaniu się jego opowiada namiętnie. I cóż mu więc takiego zarzuca? Jestże najmniejsze podobieństwo pomiędzy winą, jaką mu przypisuje historyk, a ową rolą, w jakiéj go wystawił w dziele swojém poeta? Bynajmniéj! podobieństwa, stósunku nawet między jedném przedstawieniem a drugiém nie ma żadnego...

Wprawdzie grube są i Lelewela zarzuty przeciw niektórym profesorom, a między nimi i przeciw Doktorowi Becu. Stémwszystkiém, kto tylko całe przedstawienie rzeczy w wspomnioném dziełku Lelewela przejdzie z uwagą i rozwagą bezstronną: niepodobna żeby nie widział, że grzeszyła niewątpliwie jedna strona, ale grzeszyła i druga. Tu podejrzliwość — tam zaciekłość, tu brak umiarkowania i taktu w postępowaniu, a tam przebieranie znowu miarki w sądach o dążności i postępkach przeciwnego obozu: — takieto były na nieszczęście w ówczesnéj inteligencyi litewskiéj przymioty, od których wymówić nie można ani ednych ni drugich.

Starsi nie pojmowali w ówczesnych okolicznościach innéj drogi ku lepszéj, ku upragnionéj przyszłości: jak drogę jawną, pewną, bezpieczną — drogę opartą na podwalinach danego stanu rzeczy — wśród pracy powolnéj wprawdzie i niejaskrawéj, ale trwałym skutkiem wynagradzającéj za trudy. W podziemne knowania żadnéj wzbudzić w sobie nie mogli wiary. Lękali się entuzyazmu, którego kierunek ginął w mistycznych jakichś sferach extazy, a doniosłość przekraczała wszelkie granice rzeczy prawdopodobnych, a nawet możliwych.

Dla młodszych profesorów i dla całéj uniwersyteckiéj młodzieży mało wtedy miało uroku, co nie nosiło piętna tajemniczości i nie wiało wonią zakazanego owocu. Niepokonana moc jakaś parła całą tę generacyą ku robotom, o których ostatecznych następstwach bodaj który z nich samych miał wtedy jasne wyobrażenie. Oda do młodości była ich pieśnią. Gorąca wiara w to, czego wszyscy pragnęli, przy wzgardliwém odrzucaniu na bok wszystkiego, co wyglądało na kalkuł — to była modła postępowania tego zastępu.

W owych czasach nazywano to wszystko romantyzmem. Ale wiedziano już wtedy dobrze, że się w téj nazwie ukrywało coś więcéj, jak same kwestye dotyczące poezyi lub estetyki...

Takie były dwa stronnictwa w łonie społeczeństwa naszego, których główném ogniskiem był w owym czasie uniwersytet wileński. — Stronnictwo gorętsze zwyciężyło. Jego hasła wzięły z czasem na całą rozległość kraju zupełną przewagę nad instynktami przeciwnéj partyi. Co tylko szczytnego posiadamy w literaturze — zawdzięczamy niewątpliwie popędowi i świetnéj inicyatywie, jaka była dana z téj strony. I po za literaturą nawet — wszystkie pierwszorzędne sprawy nasze publiczne od owego czasu począwszy, były prowadzone kierunkiem, jaki narodowi wytknęło i ciągle potém wytykało przekonanie tychto zwolenników peryodycznie obudzać się mającego w społeczeństwie naszém zapału i wiary w cudowność polityczną. Łatwo tedy było Mickiewiczowi — w uczuciu odniesionego tryumfu... wprawdzie tryumfu nie pod murami Warszawy, ale tylko w zakresie myśli i niedaléj jak

między swymi — łatwo mu było w roku 1832 na owych pokonanych, prześcigniętych, już w mgle zapomnienia ginących przeciwników niegdyś swego zastępu rzucać gromy wzgardy i potępienia! Ale dziś—kiedy dalszy przebieg romantyzmu owego w polityce leży już przed nami doprowadzony do ostatecznych kresów, i owoce jego dojrzałe jak na dłoni widne są wszystkim: — dziś zdaje mi się, ani sam nawet Mickiewicz ani Lelewel nie śmieliby już w podobny sposób jak dawniéj sądzić o ludziach owéj epoki...

Czas wreszcie powiedzieć to sobie, że może ci starzy i niby zacofani antagoniści Lelewelowskiéj partyi w uniwersytecie wileńskim nie byli wcale ani tacy obskuranci, ani tacy obojętni dla kraju, za jakich ich okrzyknięto wśród walki! Mieli oni rozum i kochali ojczyznę równie dobrze, jak drudzy! A że się nie mogli z młodszymi godzić na sposoby, jakimiby jéj służyć: — za to winować ich nie należy.

Za to winować by można tylko znękane, ciężkie i ciągle jeszcze chore społeczeństwo nasze, na którém się ci młodsi przerachowali potężnie, a które ludzie przeciwnego tamtym obozu snać dobrze znali. Wedle tego, jakiém je znali, miarkowali oni swoje postępowanie. Ich przekonaniem było: wprzód ogół narodowy odrodzić, a potém — przyszłości to pozostawić, co tamci czynić chcieli od razu, jakby wszystkie okoliczności już były przygotowane do tego.

Ale wróćmy do rzeczy. Samo się rozumie, że co tu mówię o profesorach wileńskich umiarkowańszych dążności, rozumiem o ogólnym kierunku tychże postępowania, a nie o pojedynczych krokach bez taktu, jakich się niejeden i między nimi pod uciskiem prześladowania dopuścił czasem. Zupełnie zaś tego, co powiedziałem, nie ściągam do takich zaprzańców i nikczemników, jak na przykład Pelikan, późniejszy rektor uniwersytetu, który zajmował zgoła odrębne stanowisko...

Co się tyczy doktora Becu, sam Lelewel w jednèm miejscu broszury swojéj, w nocie dodanéj niżéj textu na dole, a zatém, jak jest prawdopodobna, dopisanéj później, kiedy już był ochłonął z pierwszéj niechęci przeciwko niemu, sam Lelewel przyznaje, że byli

koledzy, którzy rzeczonego profesora dla osóbistych uraz „zamierzali złośliwie zgubić;“ że nie brakło nawet i na takich uczniach uniwersytetu, co dawniéj w domu jego bywali, a potém dostawszy się do kozy, „plątali wesoło i nieszkodliwie“ (?) profesora w sprawę, za którą zostali uwięzieni. A więc i jego stanowisko było zachwiane. I jemu groziło niebezpieczeństwo. Broniąc się z konieczności przeciw złośliwości jednych, a lekkomyślności drugich, może nie trafiał zawsze na sposoby najstósowniejsze; może powodując się zbytecznie osobistém rozdrażnieniem i żalem, postąpił sobie w czém niezupełnie, jak należało; lecz trzebaż było zaraz rzucić bezwarunkowego potępienia kamieniem na człowieka, który w pracowitym zawodzie swoim całe życie przeżył bez skazy, dopędzał późnego wieku wśród czci powszechnéj i miał, jak to sam Lelewel wzmiankuje, i przedtém i w ciągu owego śledztwa najściślejszą przyjaźń z Janem Śniadeckim?! Ta jedna okoliczność, ta jedna rękojmia, ta jedna data o przyjaźni ze Śniadeckim już zdaniem mojém wystarcza, żeby mu nie przypisywać winy, o jaką go może wtedy w Wilnie posądzano chwilowo. Charakter tak nieposzlakowany, wzrok tak bystry, znajomość pobudek ludzkich taka wytrawna, a nadewszystko owa surowość zasad, która Śniadeckiego przez cały ciąg życia jego jako osobistość tyle podnosi po nad innych ludzi tych generacyi, nie byłaby mu pewnie dozwoliła żyć w poufałym stósunku z kolegą, któryby stał na jednéj linii z intrygantami, jak Pelikan albo ta inna hołota, która się obławiała w zyski i rosła w honory przy owéj sposobności...

Wspominana tu Lelewela broszura, w sposobie pamiętnika traktująca o owych czasach i stósunkach wileńskich, obchodzi nas tu bliżéj z innéj jeszcze przyczyny. Została ona ogłoszona drukiem po raz pierwszy w Warszawie w ciągu listopadowego powstania, w pierwszych miesiącach roku 1831. Zważywszy, że w niéjto właśnie ojczym Juliusza w takiém świetle jest przedstawiony; daléj, że wyjazd Słowackiego z Warszawy już w marcu tegoż roku nastąpił nagle, tajemniczo, bez dostatecznych powodów takich, z którychby się było można wytłómaczyć przed matką; dodając do tego i to nareszcie, że we wszystkich listach

swoich Słowacki odtąd nie wspomina nigdy o Lelewelu inaczéj, jak tylko w wyrazach świadczących o namiętnéj niechęci i z gryzącém szyderstwem: — zdaje się być rzeczą więcéj niż prawdopodobną, że téj jego jakby ucieczki z Warszawy — bez planu, w świat obcy, byle daleko, w ciągu wojny z niejakiém jeszcze powodzeniem trwającéj — nie mogło być co innego powodem, jak właśnie owa broszura! Dla mnie przynajmniéj jest to wniosek, o którego trafności wcale nie wątpię. Niepodobieństwem było dla Słowackiego oddychać dłużéj atmosferą miasta, które zdawało mu się, że patrzało na bezkarną zniewagę imienia, które jego matka nosiła. Nie śmiał jéj wyznać, że dlatego wyjeżdża z kraju, ponieważ jeden z mężów składających rząd najwyższy w stolicy, człowiek w dniach owych może najpopularniejszy w narodzie, którego przeto trudno było niepokoić wtedy o rzeczy czysto prywatne... dopuścił się takiéj krzywdy względem dobréj sławy jéj męża. Dlatego to wtedy wolał osłonić milczeniem, co go właściwie wypędziło z Warszawy. Dlatego też i w późniejszych listach tak się o tém mimowolnie nieraz wyrażał, że tylko za pomocą takiego téj zagadki wytłómaczenia można i wyjazd i dziwne o jéj pobudkach napomknięcia i niechęć ku Lelewelowi w korespondencyi jego zrozumieć.*)

Jeżeli go zaś już ta publikacya Lelewela tak boleśnie wtedy dotknęła: témci bardziéj uczuć musiał teraz tę nową krzywdę, jaką rodzinie jego wyrządził w Dziadach Mickiewicz. Nie przeto tylko, że tu mniemana wina jego ojczyma dosięgała rozmiarów prawdziwie monstrualnych. Lecz wszakże to było dzieło, które czytane być miało i odczytywane przez wszystkich! To był poemat — to był Mickiewicza poemat!... Pamiętniczek Lelewela, szorstkim stylem pisany, mógł ugrzęznąć w rękach samych tylko uczonych, samych historyków z zawodu; ani z rzeczy ani z formy nie mógł sobie obiecywać nieśmiertelności. Dziady były dziełem poety, na którego zwrócone były oczy każdego, kto tylko język polski rozumiał. Broszury Lelewela nie znała matka Juliusza i nigdy

*) Obacz miejsca odnoszące się do całéj téj sprawy na stronie 24 i 25, 40 i 135 niniejszego dzieła.

się o jéj exystencyi nie dowiedziała, jak o tém wnosić można na pewne z milczenia o tém dziełku w listach do niéj pisanych. Lecz możnaż było przypuszczać, żeby i Dziady rąk jéj dojść nigdy nie miały? Lelewel wreszcie, w czasie kiedy drukował swoję książeczkę, był zupełnie obojętnym człowiekiem dla Słowackiego. Ani wiek, ani stósunki, ani zawód nie zbliżał ich obydwóch do siebie. Inaczéj rzecz się miała z Mickiewiczem. Jeżeli już nie dla innych powodów, to przez sam wzgląd na obecność Juliusza na emigracyi w Paryżu, przez wzgląd na to, że to brat jego młodszy po lutni, że z nim koleguje w przełożeństwie nad Towarzystwem Literackiém — już dla tych mówię przyczyn nie godziło się Mickiewiczowi obierać sobie właśnie jego ojczyma za ofiarnego kozła, któryby dźwigał cały ogrom wzgardy poety dla wszystkich samolubów i zaprzańców, jacy tylko byli i kiedykolwiek być mogli...

To też łatwo sobie wystawić, co się po przeczytaniu téj książki dziać musiało w duszy naszego poety tyle zawsze drażliwego, a tak serdecznie przywiązanego do Matki... Oto, co jéj pisał w rok dopiero po wyjeździe swoim z Paryża, kiedy ona wiedziała już skądinąd o wszystkiém:

„Więc wiecie o Adamie! Och! teraz dopiero powiem, ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy! Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała (Skibickiego) przyjaciela mego, aby mi pomocy swojéj użyczył. Przyszedł Michał wieczorem, i różnemi radami odwiódł mnię od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dlaczego do Genewy wyjechałem — i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie usłyszeć. Nienawidzę go!... Wyjątek z mojéj przedmowy*) on obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie — pozor jakiejś uszczypliwości. A przedmowa moja jest raczéj mojém usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił. Onto bowiem o dziełach literackich w pisemku pi-

---

*) Mówi o przedmowie do IIIgo tomu Poezyi, obejmującego Lambro. O utworze tym, który wyszedł w początku roku 1833, będziemy niżéj mówili osobno.

sał. — Nic mi nie pozostaje, jak okryć Ciebie Matko moja, promieniami takiéj sławy, aby Cię inne ludzi pociski dojść nie mogły. I muszę tego dokonać — Bóg mię sam natchnął — bo rozwinął w myśli mojéj wielkie dzieło.*) Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi Matko droga, że się nie zaślepiam, żem to dzieło osądził po napisaniu obcego człowieka rozwagą... i drukuję bezimiennie. Będzie to równiejsza walka z Adamem"... (Z listu rokiem późniéj pisanego z Genewy d. 30 listopada 1833).

— Kiedy już zapadło niecofnięte postanowienie przeniesienia się do Szwajcaryi, rozpoczęto przygotowania do bezzwłocznéj podróży. Wśród najrozmaitszych zajęć, jak to bywa na wyjezdném, przyszła do głowy myśl Słowackiemu odwiedzić jeszcze sławną naówczas wróżkę paryską, pannę Lenormand. Było to w samę wilią Bożego-Narodzenia.

„Dwoma dniami przed wyjazdem Michał rano wchodzi do mnie i pośród rozmowy wspomina coś o sławnéj pannie Lenormand. Musisz ją Mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś Cesarzowi wróżyła. — Ułożyliśmy natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała; dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: „Librairie de Mlle Lenormand." Wchodzimy do sieni, wita nas stara duguenna pytając, czy przyszliśmy na konsultacyą. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umeblowanego, w którym całe ściany okryte obrazami rozmaitych cudów przyrodzenia i śród tych malowideł wisi ogromny portret saméj wróżki, w aksamitnéj czarnéj sukni, ze złotą u dołu frenzlą i w zamyślonéj postaci odmalowany. Kilka osób przybyłych przed nami czekało na kabałę, słychać było w drugim pokoju ciągłe mruczenie czarownicy. Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę: Jestto baba stara, lat ma ze 60, otyła, niska, z garbem na plecach, ubrana w szaréj sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier aksamitny ogromny czarny beret, jak męska czapka; rysy twarzy ma zupełnie polskie, trochę ciocię P. przypomina. Siadła na krześle z poręczami,

*) Stósuje się to do Kordyana, który był napisany w rok po wyjściu Dziadów, w Genewie.

przy biurku z wytartém suknem, na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitéj wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. — Zapytana, odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite, od 6 aż do 60 franków. Prosiliśmy o sześciu-frankową przyszłość. A więc przyznacie sami, że ludziom, co po 6 franków płacą za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytanie: „w którym miesiącu rodziłem się?“ — „w Augście;“ „którego dnia?“ — „23;“ „Jaka pierwsza litera imienia?“ — “J.; “pierwsza litera kraju?“ — „P.“ „Jaki kolor najwięcéj lubię w ubiorze?“ — „czarny.“ „Jakie zwierzę najwięcéj lubię?“ — „psa.“ „Jakiego zwierzęcia najbardziéj niecierpię?“ — „pająka.“ „Jaki kwiat najbardziéj lubię?“ — „różę.“ Na tém zakończyła, i wziąwszy talią kart zwyczajnych, ułożyła z nich długi szereg, dwie zawsze karty odrzucając. Potém wzięła ogromne karty, z dziwnymi wizerunkami, i kazała mi z nich wybrać jedenaście lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potém z trzeciéj, równie ogromnéj talii kazała mi wybrać 23 karty; z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak excytarz jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróżby zupełnie pospolite; między innemi powiedziała, że będę się dwa razy kochać; że rozpoczynam podróż, któréj mi rozpoczynać nie radzi aż do odebrania pewnych wiadomości; że dopiero w dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie moim wiadomości; że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował; że między 27mym a 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele dla mnie zajdzie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie; ostatnia tylko dosyć interesująca. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż; a ponieważ jéj mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. — Tumani baba i niczém zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacyentów.*) — Po tak przepędzonéj godzinie wyszliśmy z Micha-

*) Ażeby zaspokoić czytelnika ciekawość i powiedzieć mu o wypadku tych przepowiedni, póki pamięta jeszcze o wróżbie; nadmieniam, że jednak w tym pojedynczym razie niekoniecznie „baba tumaniła!“ Niejedno się z jéj zapowiedzi spełniło rzeczywiście. I tak, co się tyczy dwukrotnego zakochania — okaże się niżéj, że w tém było wiele prawdy, chociaż nie trzeba brać rzeczy w zbyt ścisłym sensie. Obietnica szczęścia i czasu obfitego w wypadki między 27 a 28 rokiem życia, ściągnęła się wprawdzie do skromniejszych nieco rozmiarów, bo tylko do podróży do Włoch i na Wschód, odbytéj

łem do ogrodu Luxembourg. Gadaliśmy długo drwiąc z siebie nawzajem, a potém mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: „Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, może by nam co więcéj powiedziała." Odpowiedziałem śmiechem na te jego słowa, malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradzały go aż do głębi serca. Ale ja także wyznać muszę i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślenia na tę samę myśl wpadłem." (List z dnia 30go grudnia 1832 z Genewy).

W wilią wyjazdu pożegnało grono bliższych znajomych Słowackiego obiadem na cześć jego wyprawionym przez któregoś z przyjaciół. A nazajutrz, dnia 26 grudnia, w samo więc drugie święto Bożego Narodzenia, o godzinie 7méj wieczorem wsiadł do dyliżansu.

„Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali wokoło, gadając ze mną przez okna ka-

---

w. r. 1836—37. Stémwszystkiém, chociaż nie były to czasy bardzo szczęśliwe, to były one jednak jeszcze stósunkowo najszczęśliwsze w całém życiu poety od chwili wyjazdu jego na emigracyą, a nawet i najobfitsze w wypadki, a przynajmniéj w przygody. A co ze wszystkiego najdziwniejsza, to że trafiły właśnie na wiek jego oznaczony!

Byronowi, kiedy jeszcze był chłopcem, wróżyła także wieszczka jakaś, nazwiskiem Msr. Williams. Przepowiedziała mu, że rok wieku dwudziesty siódmy i trzydziesty siódmy będzie dla niego niebezpiecznym. „Jedno się rzeczywiście spełniło," pisał Byron w swoich pamiętnikach, stósując rzecz do swego ożenienia, które przypadło właśnie na rok jego 27my. „Nie zapomnę nigdy 2go stycznia 1815. Było mi, jak gdyby podpisywali mój wyrok śmierci. Lady Byron (młoda panna) była jedyną spokojną osobą w całém towarzystwie. Ksiądz wymówił nazwisko moje fałszywie; matka narzeczonéj wrzeszczała; ja drżałem jak osowy listek, dawałem odpowiedzi niedorzeczne i nazwałem żonę po ślubie Miss Millbank (nazwisko panieńskie)"... Tak tę rzecz opisywał Byron w kilka lat po owym ślubie złowieszczym, który zatruł mu całe życie goryczą. Nie upłynęło wiele czasu i okazało się, że i druga przepowiednia owéj wróżki miała się spełnić. Mając właśnie lat 36 i kilka miesięcy, poeta zakończył życie.

Więc wierzyć przepowiedniom? — Nie zawsze! Ale zdarzają się czasem rzeczy na ziemi i na niebie, o których się nie śniło naszym filozofom... Byron w nie wierzył, Walter Scott także, i Rousseau, i Göthe, i Napoleon — i wiele innych wielkich ludzi!

rety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika (Zienkowicza), który się wywlekł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu. Widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojéj, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dyliżans, to ogromne zwierzę, nadziane różno-narodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potém przez pont Neuf, a potém przez ulice, na których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu. I tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy nie mogąc rozerwać niczém mojéj uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tém mieście — i nic nie znalazłem przyjemnego — żadnego wspomnienia, prócz chwili, w któréj przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi."

A znajomość z panną Korą? — Nie ma o niéj wzmianki w tém rozmyślaniu poety o najbliższéj swojéj przeszłości. Pożegnanie się ich obojga było, zdaje się, z jego strony obojętne; dla niéj było bardzo bolesne.

„Powiem ci Mamo, że mnie kilka osób w Paryżu żałowało, mówi Juliusz w innéńm miejscu tegosamego listu. Kora płakała i z drugiego pokoju było słychać łkanie; a kiedy wyszła do salonu, czerwone miała tak oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przedemną, że ma mocny katar mózgowy, nad czém bardzo ubolewałem."

Ale wróćmy do przerwanego opisu podróży.

„Przejeżdżałem przez ładną Francyą — ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dyliżansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą. Zacząłem ich naśladować i często po całéj mili uchodziłem. Co dziwniejsza jeszcze, że w towarzystwie naszém znajdował się jeden sławny szybko-biegacz, który się w Paryżu popisywał i któremu dotrzymywałem kroku.— Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszemi wędrówkami i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jednę górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą; murawa była cała szronem obsuta, futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedziłem z daleka dyliżans i stanąłem sam jeden, a widząc naokoło skały, waszemi imionami próbowałem ich echa... Jechałem przez Tonnerre-Dole; wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie piątéj z rana, przyjechaliśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi

téj góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko cztérech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzecie spakowano rzeczy i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz — śnieg dawno niewidziany — tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami! — O 7méj zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tém ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna kortyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz.—W oberży samotnéj na górze Jura jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni, zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dosyć wam powiedzieć, że prędkim kłusem jechaliśmy z téj góry godzinę, i porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak że spojrzawszy na otaczający naokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, żeby o téj porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Ferney; widziałem z daleka zamek Woltera i kościołek, który Bogu postawił. — Ferney mniéj na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez 12 godzin widząc śniegi wokoło, o was marzyłem, marzyłem o dawném dzieciństwie, o dniach przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wystawić nie potrafię. — O półtoréj mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o 5téj wieczór wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w téj mieścinie przepędziłem."

Początek listu był taki:

„Nie masz smutniejszéj dla mnie chwili, jak ta, w któréj przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5téj wieczór przyjechałem do Genewy, wniosłem się do hotelu pod Wielkim Orłem i nie mogąc po nocy włóczyć się po nieznaném mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść herbaty i przy ogniu kominka marzę i piszę list ten do kochanéj Mamy." (Wszystko z listu datowanego z Genewy dnia 30 grudnia 1832).

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Rok 1833. — Pensyonat na przedmieściu genewskiém i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiéj recenzyi jego Poezyi. Teatr genewski.— Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Uwarow — Potopow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe do Genewy znalazł tam Słowacki kilku ze swoich dawnych znajomych, i ci mu dopomogli w wynalezieniu mieszkania. W ich towarzystwie i wśród stósunków genewskich wcale przyjemnych, po niewielu już dniach, owe przykre uczucia, jakich doznawał w pierwszéj chwili za przybyciem do tego miasta, ustąpiły miejsca usposobieniu nie tylko znośnemu, ale nawet bez porównania swobodniejszemu, aniżeli w Paryżu.

„Genewa jest niezmiernie drogą — pisał dnia 5 stycznia 1833, w dalszym ciągu listu, z któregośmy dali ustępów kilka w poprzedzającym rozdziale — i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy mieszkają w tak nazwanych pensyonatach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo piękny pensyon w wiejskim domu o kilkadziesiąt kroków od miasta położonym (aux Paquis Nr. 10 pod Genewą). Kosztuje mnie na miesiąc 130 franków, bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinią. Gospodyni pensyonu nazywa się Mme. Patteg. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego

lub Kosielskiego, powiédzcie im, że zaraz na wstępie zapytała mi się panna Patteg, czy ich znam; i odtąd ciągle mi o nich gada. Oni kiedyś mieszkali u téj saméj pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę: ale wtenczas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

„Muszę Wam opisać pensyon Genewski. A naprzód dom, w którym się mieści, potém gospodarstwa moich portrety skreślę — potém opiszę mój pokój — a potém moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiéj stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Kamieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest mała, kiedy pomimo największéj drogości mieszkań, liczy tylko 24,000 mieszkańców. Otoż dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie za miastem, wysoki na trzy piętra, szary z zielonemi okienicami. W ogrodzie najwięcéj jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro Genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać. — Pani Patteg — jestto stara kobieta, przyjemnéj twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuwam, że gdybym kiedy zachorował, w jéj domu nie byłbym jak obcy. Córka jéj, panna Eglantyna Patteg, wszystkiém w domu się trudni. Jest to panna mająca około lat 30 — ładną być dawniéj musiała — teraz pokazują się w niéj wady staréj panny. Stémwszystkiém bardzo przyjemna w konwersacyi, i dobrze gada o swoich znajomych. Czule wspomina Groch. i Kosiel., z uśmiechem mówi o Ilkiewiczu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakeśmy go widzieli, — bo wystawiła mi go panna Pattek jako nadzwyczaj wesołego i miłego w towarzystwie. — Przybywszy na pensyon, zastałem w nim familią francuską — starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali — jeden mi tylko więc został towarzysz — jestto Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przybywają Angielki — a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt — bawią się — wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. — Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski — z obiciem w kraty zielono karmazynowe — biurko czeczotkowe—ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siędę, to mnie nie widać — i krzesła i sto-

łek i piec okrągły — okna, jak zwyczajnie w Szwajcaryi, z małemi szybami—a przed oknami świerki — sosnę — dąb stary — wiele krzewów — murawę teraz nawet zieloną — i kląb z róż. Okna moje są obrócone na wschód, będę więc miał w lecie słońce — i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał zapach róż — zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz Mamo, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mnie w około otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakobym był za pieniądze, i to mi jest bardzo przyjemnie.

„W pensyonacie tym wstają wszyscy o 9téj rano — o 10téj schodzą się do wielkiéj sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie te dwa napitki przyprawiają tu doskole — ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potém rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściéj do miasta, do salonu lektury — odwiedzam moich znajomych — i znów o 4téj schodzimy się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany — dziękuję Bogu, żem się od paryskich traktyerów wyzwolił — i czuję, że mi to daleko lepiéj na zdrowiu. Po obiedzie często ktoś z dam genewskich do pani Patteg przychodzi z wizytą — i tak pozawczoraj wieczór przepędziłem na rozmowie z panną Liną, jest to ładna z czarnemi oczyma Szwajcarka — a we czwartek mam pójść do jéj rodziców na wieczór. O 9téj godzinie pijemy herbatę — i potém przy kominku ciągnie się rozmowa, po któréj każdy do swego pokoju odchodzi.“

W ciągu następnych tygodni i miesięcy przywykał Słowacki coraz więcéj do miejsca swego nowego zamieszkania, i do ludzi, którzy go otaczali. Ujrzał się tu bez wielkiego zachodu pośród nader ożywionych stósunków towarzyskich, na brak których często w Paryżu narzekał. Oto, co swoim Krzemieńczanom o tém wszystkiém opowiadał (w liście z dnia 10 lutego 1833 r.):

„Co do mojego teraźniejszego położenia, bardzo miłe życie prowadzę. Mieszkam u ludzi, którzy kazali mi Mamie napisać, że mnie bardzo kochają i starają się tosamo dla mnie uczynić, co chcą aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama, pani Patteg, ciągle mnie się pyta o moje chęci — gusta; wszystkiemu chce dogodzić — nad zdrowiem mojém czuwa — słowem, mogę Wam zaręczyć, że bardzo godna i uczciwa osoba. Jéj córką, panna Eglan-

tyna, bardzo mnie także lubi — stara się bawić — w kilku domach mnie zapoznała, a w domach tych przyjmują mnie ze znaczną atencyą i rozróżniają od innych. Winien jestem pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyno i bywam na niém często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki jak śnieg, mięszają się w kołach walca z zamyślonemi Angielkami, których tu jest najwięcéj. Tańcują tylko kontredanse, walce i galopady. Zaproszony byłem także na kilka balów przez nieznajome dawanych osoby — dziwny to wcale zwyczaj! Byłem na jednym z nich i z trudnością wyśledziłem przeczuciem prawie gospodynią, któréj się trzeba było ukłonić. Na takich balach tańcują mazura, i to mi największą sprawia przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi — z rana po śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj w lutym chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł — niebo błękitne — a na horyzoncie wysoko wznosi się Mont-blanc śnieżny — lekko jak chmura skreślony — czasem wiankiem białéj chmury okryty. Wyrysuję Wam kiedyś i przyślę widok domu, w którym mieszkam, wzięty z ogrodu. Chodząc tak z rana, często pannie Eglantynie opowiadam różne przypadki mojego życia i zbieramy fijołki, które się już pokazują. Kilka dni temu pani Patteg umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła — kilka było dam ładnych. Bawiłem towarzystwo jak mógłem, nauczyłem mazura — z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur — i bardzo były panny kontente. Potém ustawiłem wszystkie do angleza, i znów im różne nasze figle pokazywałem. Wkręciłem wszystkie w długiego gąsiora i tak się rozhasałem, żem im wszystkie tańce pokazał aż do kozaka. W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek, wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy i napełniały puste serce"...

„Miałem jeszcze jednę wielką przyjemność. Jednego wieczora przyszła do nas pani Morin. Jestto żona jednego z pierwszych doktorów — bywam u nich — ona sama Włoszka — trochę sawantka, ale w miarę — ma ładną córkę, która się nazywa Lina — i sama śpiewa prześlicznie metodą włoską. Otóż pani Morin przyszła do nas wieczorem i wśród konwersacyi powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochlebny artykuł o poezyach Juliusza Słowackiego. Czy Pan znasz tego poetę? Udałem, że mnie ten

artykuł mało obchodzi; ale nazajutrz z bijącém sercem pobiegłem do Société de lecture, gdzie znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezyi w Révue Européenne.*) Bardzo pochlebnie mówią: zaczynają od wyjścia na świat Bogarodzicy — dają tłómaczenie tego hymnu—potém mówią o Żmii z pochwałami—potém przytoczony jest w tłómaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego — rozbiór dość obszerny tragedyi, z cytacyami—pochwała śmierci błazna i charakteru jego w Maryi Stuart. Nakoniec tłómaczenie całego Araba wcale niezłe. Jest wszędzie trochę ocukrowanéj krytyki — ale jest i to, że mam lat 22 i że rzuciłem podstawy wielkiéj literackiéj sławy. — Widziałem potém w Société de lecture czytających artykuł o mnie — widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blisko niego stałem — a to mnie nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w gabinecie czytających samego poważnego pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbiorem moich poezyi siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać — i wiedzieć, co ja za jeden?"

„Właśnie rok temu, jak drukowałem w Paryżu poezye. Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu — zupełnie inne obrazy i bardzo odcieniami wydatne zostawił w mojéj pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie, i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy; bo dom, w którym mieszkam, latem napełnia się mnóstwem wojażerów. Bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wychodząc z domu, będę się w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mnie w salonie w dobrém świetle wystawia. Pomaga mi w tém rodzaj małéj sławy, która rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniéj ludzi dobrze o mnie uprzedza i często tłómaczy milczenie moje, które zgubiłoby w opinii innych. I sam nie czując się w potrzebie ciągłego gadania, gadam więcéj, bo nie doświadczam żadnego przymusu".

O samém mieście Genewie takich udzielał spostrzeżeń:

„Teatr tutejszy jest szkaradny, albowiem wiele jest metodystów w arystokracyi, którzy teatr za zakazaną i zgu-

*) Zdaje się, że tento artykuł wyszedł potém i w osobnéj broszurce, wydanéj r. 1833 w Paryżu p. t. *Notice sur les poésies de Jules Słowacki,* podpisanéj przez p. Lemaitre.

bną uważają zabawę. Obyczaje genewskie zadziwiają. Nigdzie nie ma mniéj intryg — ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małém mieście. Zwyczaj tu jest, że panny same chodzą po ulicach; zwyczaj także, że przed pobraniem się młodzi ludzie kochają się po lat 10. Słowem, wiek tu złoty trwa dotąd, i z tego względu miasto dziwną ma postać moralną. Arystokracya tutejsza złożona z kupców i zegarmistrzów — nudna bardzo i płaska. Oto macie w kilku słowach rys Genewy.“ (List z dnia 10 lutego 1833, z Genewy).

Lubo oddalony znaczną przestrzenią od miejsca dawniejszego swego pobytu, wiedział Juliusz jednak, co się dzieje w Paryżu, odbierając mnóstwo listów od znajomych tamtejszych; i porównywając stan rzeczy tam, a około siebie, powtarzał bardzo często: „lepiéj mi jest w Genewie, niż w Paryżu“....

W listach paryskich donoszono mu nieraz o osobach, które go szczególniéj interesowały, o Zienkowiczu, o pannie Korze, o Mickiewiczu i t. d. Wiadomości o Zienkowiczu były coraz smutniejsze, wreszcie przysłano mu doniesienie o jego zgonie.

„Pisałem wam o moim wyjeździe — o moim chorym przyjacielu.... Okropną odebrałem wiadomość — w kilka dni po moim wyjeździe mocno zasłabł — był bez nadziei — siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: „nie ma Julka“ — a wymawiając te słowa płakał. Kilku znajomych ciągle go pilnowało — kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list — a list był wesoły, szalony prawie, bo nie wiedziałem, że się tak źle miał. Czytano mu ten list — płakał. Dnia 18 w nocy o 10 godzinie wszyscy go opuścili i został tylko służący. W pół godziny potém chory otworzył oczy — westchnął trzy razy i skonał. Pochowano go na cmentarzu père la Chaise, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem.... Matko moja, pomódl się za tego, który kochał do śmierci twojego syna i któremu twój syn nic w zamian nie dał, tylko łzę po śmierci“. (z Genewy dnia 10 lutego 1833).

O pannie Korze pisano mu z Paryża, że go zawsze wspomina, — rumieniąc się, kiedy go kto inny wspomina. — „Druk mego Lambra — mówił z tego powodu Juliusz do matki w tym samym liście — przypomni jéj, jak niegdyś drukując poezye chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny.

Będzie jéj trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszéj cichéj miłości stanie jéj przed oczyma"....

To jest ostatnia wzmianka o pannie Pinnard w korespondencyi Juliusza.

Nie długo potém, w początkach marca (1833), zaczął się rzeczywiście druk tomu III Poezyi. Korektę mu arkuszami z Paryża przysyłano. W maju było już dzieło gotowe i w rękach publiczności. Są zamieszczone w tym tomie: poemat w dwóch pieśniach p. t. Lambro, i następujące krótsze utwory: Hymn do Bogarodzicy — Kulik — Pieśń legionu litewskiego (te trzy rzeczy ogłoszone już były podczas listopadowego powstania w Warszawie) — Duma o Wacławie Rzewuskim — Paryż — i Godzina Myśli.

Dla tego jednego poematu — pisał autor o Godzinie Myśli" do matki — chciałbym, abyście tom III czytali kiedyś. Jestto poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki! Śmiej się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzéć nie może"... (z listu z dnia 15 marca 1833).

Na czele tego tomu Poezyi położył autor Przedmowę, w któréj się skarży na obojętność, z jaką przyjęto dawniejsze jego publikacye. Między innemi rzeczami są w niéj i następujące ustępy:

„Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszéj, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, nadawała imię poecie. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest, znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dzienne zamglonymi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiéj — szczęśliwy, kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianéj wierzył. Dziś dziennikarze owi, tworzyciele literackich królów, milczą...

....„Szanuję szkołę religijną, owę wieczerzę pańską polskich poetów, do któréj zasiedli w Paryżu: — sądzę bowiem, że wypływą z przekonania; że nie jest sztucznie natchniętą słowami Fry-

deryka Schlegla, który w katolickiéj religii źródło jedyne poezyi upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku itd."

Z powodu onéj przedmowy pisał późniéj — po wyjściu już dzieła — do matki, jak następuje:

.... „Od dni 20 wyszedł na świat tom IIIci moich poezyi... Przedmowa krótka i gryząca trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednėm z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podoba się ten tom bardzo — ale nie wiem, jak u Was sądzić będą ludzie. O ten tom bardziéj jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeżeli o nim co usłyszycie. Jeżeli tak daléj płodną będzie moja imaginacya, jeżeli co roku zacznę tomy nowe drukować, to wkrótce w waszéj małéj szafce będziecie mi musieli poświęcić całą jednę policę — a po mojéj śmierci ten, co mię poznać zechce, będzie musiał miesiąc cały ze mną obcować. Takie są teraz sny moje"... (z listu pisanego w czerwcu 1833).

Cały zajęty planami coraz nowych utworów, czuł na wygnaniu swojém dotkliwie brak sposobności zasilania się ożywczém źródłem literatury ojczystéj, zwłaszcza dawniejszéj. Dzieła Kochanowskich, o które w Paryżu jeszcze prosił, nie nadchodziły. Nie ma prawie-listu, w którymby o nich nalegliwie nie przypominał. Oprócz tych dwóch Zygmuntowczyków, żądał jeszcze i Obrazu wieku panowania Zygmunta III przez Siarczyńskiego.

„To dzieło wielkim byłoby dla mnie skarbem! Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć, i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co Ci tylko Mamo wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem po rękach Żydów walają, to mi przyślij." (list z d. 15 marca 1833).

Wśród tych rozmyślań o swojéj przyszłéj sławie i o drogach, któreby go do niéj zawiodły, wśród pracy nad pierwszemi scenami nowego dzieła (Kordyana?), któréj zwykle ranki poświęcał, nie stronił w owych czasach Juliusz i od zabaw towarzyskich. A było do nich wiele sposobności w domu pani Patteg. Dawano amatorskie przedstawienia komedyi — tańczono na wieczorkach wiele.

„Czy wierzycie — pisał w tymże liście do krewnych — że ja tu pierwszy animuję towarzystwo? Kiedy tańczę, młodzież ściga mnie oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje. Na ostatnim wieczorze zdziwiłem ją walcem tańcowanym tak, jak u nas tańcuje wojsko, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura, ja prowadzę kotyliona i pokazuję nowe figury, jakoto: z szalem, z czterema królami kartowymi i t. p. Często gram do tańca na fortepianie — i potém panna Patteg opowiada mi, co o mnie damy gadają — i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czém Wy z trudnością wierzyć możecie. Widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudném, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to jednak odemnie, bo moje położenie oddalone od Was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny."

Kiedy nie było tańców, siadano do zielonego stolika i bawiono się grą w karty.

„Wiecie jak najczęściéj przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun podobna, z żywszą trochę imaginacyą. Otóż ta dama — pani Patteg — ja — i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona — i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo. Bo pamiętam, jak niegdyś jako dziecko leżąc na sofie w Mianowskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona — że do Słowackiego przyszli na bostona.*) Gra ta nie jest tak nudną, jak mi ją wystawiano — owszem, daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości."

Przy takiém zachowywaniu się, przy takiéj łatwości w potoczném towarzyskiém pożyciu—nie dziw, że Słowackiego w cichym domku owym na przedmieściu Genewy wszyscy lubili. A szczególniéj zdaje się, że go lubiła coraz więcéj panna Eglantyna Patteg.

„Dobrze z nią żyjemy (pisał w liście z dnia 15 marca) — zwierza mi się ze wszystkiego i mówi, że żadnéj ze swych przyjaciółek tegoby, co mnie, nie wyspowiadała."

W miesiąc późniéj uskarżał się gorzko poeta, że mu matka pozwoliła tak długo czekać na swój odpis.

---

*) Mianowski i Rustem byli koledzy starego Słowackiego, profesorowie wileńscy.

„Dwa miesiące, a raczéj cały miesiąc drugi tortury moralne wycierpiałem. Co dnia czekałem posłańca z poczty od godziny 11 do 2, a od drugiéj godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mnie porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znowu o godzinach nadchodzącéj poczty, i tak było przez cały miesiąc... Kochana Eglantyna cieszyła mię, jak mogła. Często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając pocztmistrza... Często widząc go mijającego dom, biegła za nim lękając się, aby nie zapomniał był wstąpić. Nie uwierzysz Mamo, jakito jest mój stróż anioł ta Eglantyna. Ale teraz nie ma jéj tutaj, wyjechała do staréj i choréj ciotki w Lionie i dopiero za dni czternaście wróci.“ (d. 24 kwietnia 1833).

Przez te dni czternaście starała się sama pani Patteg, matka Eglantyny, rozweselać rozmową smutnego swego lokatora. Ale jéj wysilenia, ażeby go rozerwać, nudziły Juliusza. Natomiast była inna osoba, która lepiéj znała tajemnicę, jak mu skrócić chwile przemijające zanadto zwolna. Było jéj imię Eliza. Oto, co o niéj pisał (d. 26 kwietnia):

„Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się tobie Mamo, dla widzenia jednéj miłéj osóbki, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności — gdybym sobie mógł każdéj chwili powiedzieć: jeżeli zechcę, to Mamę za dwa miesiące zobaczę, wtenczas obecne życie wydawałoby mi się bardzo przyjemne. Panny nie opuszczają mię. Dawniéj Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po ogrodzie — dziś, gdy jéj nie ma, stokroć ładniejsza od niéj panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczegoż nas odwiedza?.. zapewne nie dla widzenia staréj pani Patteg... A zresztą, sądź sobie Mamo, jak chcesz, — ale prawdziwie zdaje mi się, że glina, z któréj mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jestto osóbka mała, bardzo podobna do Kazimiry Niepokojczyckiéj — ma czarne oczy pełne iskier, wiele dowcipu i miłości w mówieniu, wiele prostoty i ma lat około 24, (więc właśnie tyle, co i nasz poeta liczył ich sobie natenczas. Eglantyna miała niestety lat wtedy już około 30). Dawniéj bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach, wtenczas podobała mi się bardzo — i ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła; a dlatego ją ubierałem, że podobał mi się jéj

kapelusz... Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych z czarnéj lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się calèche, kocze... i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, choć do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżéj róży rozkwitłéj na oknie gotyckiém; więc dlatego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jéj jest wdową i ma córkę przy sobie i syna ładnego w Paryżu. Życie jéj matki teraz jest bardzo piękne. Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią... dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściéj z córką przepędza wieczory — u starych — u chorych. Eliza musiała się nauczyć bostona—aby grywać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi; dlatego twarz jéj nosi wyraz dobroci i spokojności. Często chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margerytki. Raz gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jéj dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niéj: więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów, wróciwszy do domu, ułożyłem je naśladując Twój gust Mamo w układaniu bukietów, a potém w ogrodzie zerwałem dwie margerytki małe—i w środek ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie — ale od pani Patteg. Nie zawiodłem się, przypomnienie się było skuteczném — przyszła z Mamą wieczorem — i mówiła mi, że złą była na margerytki naszego ogrodu, które jéj nieprzychylny dały wyrok. Widzisz Mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niéj słów cichych, łagodnych, smutnych, z których tak widna miłość, że jéj nie chcę zapytać, czy mnie kocha; bo mówiła mi, że była smutną przez 4 dni, a ja nie pytałem, dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam. Jaką książkę? zapytałem.— Nowy Testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę... i mówiła daléj: dziś rano obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli, i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy. W tym dniu odebrała bukiet — i chodziliśmy po ogrodzie. Dobra dziewczynka! Nie wiem, czy Ciebie takie detale interesują; ale te detale są całą rozmaitością mego życia; bardziéj mnie zajmują, niż mój tom IIIci, który za 8 dni wyjdzie z druku."

Byłoto słowo, którego zaledwo się spodziewać było można z ust Słowackiego, tyle zawsze zajętego swojemi pracami poetyckiemi. To też matka to przeczytawszy, pewnie co więcéj tam sobie pomyślała o Elizie, jak tylko: „dobra dziewczynka!“

A trzeba właśnie było, że mu w dniach owych pisała, czyby nie było dobrze, gdyby sobie którą z tych panien, z któremi miał tyle sposobności przestawać, upatrzył na towarzyszkę życia i złagodził choć takim związkiem cierpkość samotności tułacza? Tak praktyczne widoki nie przypadały jednak do myśli poetyzującego młodzieńca.

„Ty mi Matko piszesz o ożenieniu?“—odrzekł jéj na to w tym samym liście, gdzie właśnie tyle o Elizie donosił. „Nie chciałbym niszczyć twoich marzeń — a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojéj żonie ciężarem być nie myślę. Dosyć, że nim jestem dla Ciebie...

„Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małym talentem utrzymują całe rodziny — zasłaniają je od niedostatku; a ja jestem jak niepotrzebne ziele! Jestem nawet ciężarem dla ciebie Mamo moja!... Przebacz mi, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę...

„Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, żeby Bóg Ciebie nie nagrodził za to, że Ci dał takiego syna! Jedna stara dama, przeczytawszy artykuł o mnie w Revue Européenne, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach nareszcie napisała: heureuse votre mère! Ona także jest matką. Więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sumienia, które mi powiada, że Ty jesteś nieszczęśliwą przezemnie.“

Wracając do projektów, jakie sobie matka układała, do projektów ożenienia Juliusza, te już dlatego były więcéj niż trudne do doprowadzenia do skutku, ponieważ uczucia jego, choćby obudzone w sposób wiele obiecujący, zbyt rychło zawsze urywały się jakoś.

O Elizie na przykład nie ma już ani jednéj wzmianki w dalszéj korespondencyi!

Byłoż rzeczywiście prawdą to, co pisał był niedawno przedtém o sobie:

„O kochani moi! smutno mi, smutno czasem — i często — bo się już przerabiam na obywatela świata! Już się ani do miejsc, ani do osób, z któremi żyję, nie przywięzuję tak silnie, jak w dzieciństwie — i to jest jedną z wad jakiéj nabywa serce tułacza“... (d. 30 grudnia 1832).

...„Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci — kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł!“ (z listu z d. 22 września 1833 r.)

Byłoż, powtarzam, w saméj rzeczy to tułacze jego życie przyczyną, że się serdecznie nie był zdolny do nikogo przywiązać? Czy też może przeszkadzał temu ów obraz w pamięci jego niezatarcie wyryty... obraz, który mimo wszelkiéj dumy i na przekorę najsilniejszym postanowieniom, ażeby zapomnieć o nim, ciągle mu się odnawiał przed oczyma?

„Kochana Mamo (pisał w czerwcu 1833), czy Ludwisia S. wyjeżdża do Odesy? Spytaj ją, czy o przyrzeczeniu swojém pamięta.*) Spodziewam się, że mój tom IIIci pogodzi ją trochę ze mną.“ —

Pośród zajęć, rozrywek i melancholijnych rozpamiętywań, któreśmy opisali powyżéj, minęła tedy poecie naszemu pierwsza zima w Szwajcaryi i nadeszły upragnione miesiące wiosny. Zakwitły wonne bzy w ogrodzie Eglantyny—w parę tygodni późniéj horyzont domku jéj matki zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż — nadeszło lato. Z początkiem każdego lata pensyonat pani Patteg zwykł był napełniać się mnóstwem różnych podróżnych. Przygotowany na to Słowacki, cieszył się już naprzód owéj rozmaitości, jaką to w dom wprowadzi. Posłuchajmyż opowiadań jego, rozrzuconych po całéj korespondencyi owego roku, o współmieszkańcach, których miał w ciągu lata 1833.

„W domie, w którym mieszkam, mijają się różne cienie, jak w czarnoksięskiéj latarni. Najprzód z jaskółkami przyleciał pewien Anglo-Szkot — niezmiernie cichy i nabożny — młody i dziecinny... Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowéj łące. Jak mi to boleśnie przypomniało moje dzieciństwo — Mickuny, Wilejkę — lasy sosnowe i jeszcze coś —. To dziwnie, że

*) Prosił ją z Paryża jeszcze Juliusz o przysłanie sobie portretu, który mu też ona nadesłać obiecała, lecz późniéj.

już teraz nie mogę łowić motylów! Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami wyjechał do Lozanny"...

„Dom po odjeździe Anglika został pustym przez czas niejaki — wtém jednego poranku zwaliła się, jak lawina, ogromna familia rosyjska, pani Uwaroff, córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia, — teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Uwaroff sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzycząca — córka najstarsza dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jéj imaginacyi — została nieociosaną statuą. Ma sztambuchy, w których włoscy artyści stósując się do jéj gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze 3 omyłki w aryi każdéj— nigdy mniéj, ani więcéj. W nótach ma mnóstwo polskich teraźniejszych śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójdą za powrotem.—Młodsza jéj siostra żywa i piękna, jeszcze dziecko. — Synek mały w czerwonéj huzarce haftowanéj złotem bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciel syna karzeł lat ma 40, łokieć i ćwierć wysokości, twarz pomarszczoną, ale głowę nie nazbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniéj gniewliwym.— Przy dzieciach guwerner — ze wszystkiego do Szantyra mierzącego pola w Jaszunach podobny. Przy pannach guwernatka, dwie panny służebne i służący. — Oto jest cała familia wojażerów — zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe 3 piętra domu rozlegają się od ich krzyku; mówią różnymi językami i nieraz mi się zdaje, że jestem w Babilońskiéj wieży.—Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karła. Doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną; przy herbacie — wyciągnął z kieszeni małą chusteczkę do nosa i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły. Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła. Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekcye na fortepianie daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za ręce. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia wstając z rana — i odchodząc wieczór, zawsze zbliża się do mnie i biorąc rękę moję w dwie swoje małe rączki, ściska z całéj siły" — (list z czerwca 1833 r.).

Familia ta rosyjska czas tylko krótki zabawiła w Genewie. Po ich odjeździe tyle jeszcze Słowacki donosił o nich matce:

... „Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowéj. Zdaje mi się nawet, że te osoby mnie dosyć polubiły; bo po odjeździe w listach, pisanych do pani Patteg, dały mi długie dowody pamięci. A panna Alexandra (starsza córka) odjeżdżając, zostawiła mi rysunek przez siebie zrobiony domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron.“

Kiedy jeszcze mieszkali ci Rosyanie w owym domku genewskim, urządzali różne wycieczki w okolice. W wyprawach tych towarzyszył im czasem i Słowacki.

„Jeden z tych spacerów najprzyjemniejszy był na góry otaczające jednę stronę Genewy — góry, z których mniejsza równa waszéj zamkowéj górze.... Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapkę i tak przyjechaliśmy aż do stóp Salève. Tam wszyscy wsiedliśmy na osły, — moje zwierzątko największe i najmocniejsze prowadziło cały orszak, orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas wiejskie śniadanie — na długim stole z desek — pod gruszami i jabłoniami. Potém oczy nasze rzuciliśmy na ogromną dolinę, po któréj płynie kręty Rodan — jezioro — w końcu jeziora najeżona dachami Genewa i kilkanaście innych miasteczek — łąki — drzewa — słowem widok ogromny — rozległy — prawdziwie prześliczny! Po górach snuło się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągwiami i muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w Niedzielę, jak przystoi na potomkow Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wąwozach, strzelali z pistoletów — podobni niegdyś do Julka Achillesa w zbroi.... Kilka razy pływaliśmy w czołnach na jeziorze. Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona, i dlatego często z nim wchodzę w rozmowę. Stary wioślarz dotąd o niczém nie gada, tylko o angielskim poecie — zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim została, przy długiém obcowaniu z lordem.... Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o lujdora, kto z nich prędzéj na drugi brzeg jeziora dopłynie. Nie dziw, że mię Lord wyprzedził, powiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czołno i służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało. Po-

wiada dalėj, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi lujdora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni. Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtka, — i patrzę na wielkich ludzi z téj samėj strony, z jakiéj się na nich lud zapatruje.

„Patrząc co dnia na szczyt góry Mont-Blanc, przychodzi mi często na myśl Malczeski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont-Blanc, znalazłem na ostatniéj karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia imię Malczeskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skądinąd o jego wędrówce na tę górę nie wiedział, tobym się był o tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem, dlaczego — ale myśl o Malczeskim została głęboko w moich dumaniach utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, — ale burza jeszcze mię nie złamała. Wiesz Matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzéć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długa — że przyjdzie na mnie nędza — że mię duma moja zabije: to prawdziwie, że mię okropność takiego losu przeraża.“ (z listu z dnia 15 lipca 1833).

W chwili kiedy to pisał, już familii Uwarow w domu pani Patteg nie było. Zmieniły się dekoracye w następujących miesiącach, a raczéj wystąpiły na scenę inne osoby, grające jak się wyraża poeta, razem z nim tragi-komedyą życia.

Najprzód przybyła po nich znowuż rodzina Rosyan i na długo w miejscu osiadła.

Była to, jak u nas nazywają, poczciwa szlachta.

„Wdowa Potopof, ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rosyi córkę dorosłą — bardzo dobrego serca, łagodna jak anioł i prosto-duszna. Kuzynka jéj, panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukulnikówny podobna — także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, pan Szaszin — brzydki z twarzy — ale szczery i otwarty — nie mówi po francusku, tylko po rosyjsku. Z temi osobami jestem, jak można najlepiéj. Kuzynowi gadam, co mi przez głowę przejdzie — z panią Potopof także często po rosyjsku rozprawiam.—Obok mego pokoju ma mieszkanie

la Comtesse Seidwitz, lat 65 — z wszelką grzecznością dla dam to piszę, — trochę uróżowana — co dnia w innéj sukni — wygorsowana — krzyż dworu wiedeńskiego zawieszony na ogromnéj kokardzie nosi przy boku, — za nią zawsze lokaj Niemiec z dwoma poduszkami, które kładzie gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Stémwszystkiém jestto bardzo dobra osoba — wesoła — przyuczona u dworu do grzeczności — każdemu ma coś powiedzieć; bardzo lubi kalambury — wozi ze sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy, — a oprócz służącego ma służącą Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wielkiemi pokusami — a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda — i cały dzień śpiewa nieuczonym lecz łagodnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda! Ta pani la Comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacyą, ciągle wyciąga szklankę, do któréj wina nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam — i jestem podobnym do Ganimeda. — Z drugiéj strony mego pokoju mieszka Anglik — oryginał — łysy, z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony i całą sławę swoję ufundował na dobrém graniu w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on jakby o wielkie sumy chodziło, łaje, jeżeli który z grających słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany.—Oto są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół jest zajęty salonami i pokojem jadalnym; na drugiém piętrze mieszkają gospodynie—dwie Angielki, matka z córką. Córka trochę do Julki Michalskiéj podobna — naiwna, żywa jak dziecko; matka ładna jeszcze, tak że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną karetą, z dwoma służącymi, widać że bogate — nazywają się Donnelan — jadą na zimę do Włoch. Nakoniec mieszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący z powagą i przymusem — oto jest nasze towarzystwo. (z listu z dnia 23 sierpnia 1833).

Nie było to jednak jeszcze całe towarzystwo Juliusza. Przybyła bowiem późniéj nieco jeszcze jedna para do domu pani Patteg — jakiś pan Wolf z żoną, duchowny anglikański, wysłany z Anglii, ażeby ludzi na metodystów nawracał. Ten dowiedziawszy się, że Słowacki jest autorem, przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbywał, a do niego się przyczepiał; posta-

nowił sobie bowiem wykierować koniecznie i jego także na metodystę protestanckiego.

„O gdybyście widzieli — pisał o nim w liście z d. 22 września 1833 — jego tłustą, okrągłą postać — przy chudéj żonie — jego uśmiech jezuicki.... Gdybyście widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy: śmialibyście się, jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą.“

Z tém późniéj głównie z Anglików złożoném towarzystwem odbywał Juliusz także niekiedy wspólne wycieczki w dalsze okolice Genewy. Jeden z nich szczegółowo opisał.

„Przepłynęliśmy jezioro i na drugiéj stronie widzieliśmy dom, w którym mieszkał niegdyś Byron bawiąc w Genewie. Dom ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony o 3 wiorsty od miasta — dom mały, murowany i wcale pospolity. Nie wchodziliśmy do środka — dziedziniec nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami — z drugiéj strony ogród na schodzącéj do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w któréj mieszkał, nazywa się Cologny.*) Wracaliśmy po jeziorze przy świetle księżyca. Nie możecie sobie wystawić, co za przepyszne jezioro przy księżycu... z jednéj i z drugiéj strony błękitniejące brzegi mgliste — a w końcu jeziora migające światła i rzędy oświeconych okien — to Genewa! Z czwartéj strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. — Taki spacer byłby zachwycającym z miłemi osobami. Ale wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki! Jest trzech Anglików w naszym domu — żaden z nich nawet jednéj myśli swojéj w głowie nie ma. Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem — wcale nie sentymentalne — i nigdy jeszcze z Anglikami nie było w naszym domu interesującéj rozmowy“....

Tak mówił o tém w liście z dnia 22 września. A w miesiąc późniéj, kiedy już wszystko w różne strony porozjeżdżało się z owego ustronnego zacisza na przedmieściu Genewy, znalazło się w jego doniesieniach jednak wspomnienie zupełnie innym to-

---

*) Pobyt Byrona w tych miejscach nie był długi. Mieszkał on tu tylko w ciągu lata 1816, porzuciwszy Anglię i co tylko rozwiódłszy się z żoną. Następnie, w końcu roku tego, przeniósł się do Włoch. W tymto domku powstał więc Sen — Więzień Chillonu — IIIcia pieśń Childe Harolda i pierwsze pomysły Manfreda.

nem wypowiedziane o jednéj z osób należących do narodu, który tak niekorzystnie wtedy osądzał.

„Pusty dom nasz — a dla mnie pustynią się zdaje od czasu wyjazdu młodéj Angielki, która tu mieszkała, przez drzwi tylko oddalona odemnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwnie, jak wiele dotąd we mnie dziecinnego, a czasem jak wiele splinu.“ (dnia 27 października 1833).

W ciągu jeszcze pełnego lata, w miesiącu sierpniu, kiedy całe towarzystwo owo ożywiało jeszcze dom pani Patteg, miał Słowacki przyjemną scenę, którą opowiadał matce ze wszystkimi szczegółami. Wizytator szkółek miejscowych uprosił gospodynią domu, ażeby mu pozwoliła ogrodu swego na wyprawienie dzieciom festynu.

„Porobiono więc w ogrodzie wielkie przygotowania; jakoto zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszone były cacka dla dzieci — pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki — pozastawiano stoły: i do tak urządzonego ogrodu o godzinie pierwszéj weszły dzieci ordynkiem z bębnami wojskowymi na czele i niosąc mnóstwo chorągiewek. Nie uwierzysz Mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci ładnie ubranych, ubogich, bogatych — z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potém znów około chorągiewek zasiedli. Pani Potopoff, która zostawiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając czy którego podobnego nie znajdzie — i łzy miała w oczach. Ja także — nie wiem dlaczego, oczy miałem łez pełne i coś mię dusiło w gardle. Prawdziwie że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzéj płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddzieliła... Podczas gier — cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego — przypomniałem sobie własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na examinach — i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12 letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojéj ojczyzny — zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój, prosząc ażeby sobie kiedyś będąc starszym, przypomniał tę

chwilę. Wiecie, że podczas téj sceny wielu przytomnych łzy miało w oczach. Mały chłopczyk ściskał mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potém mówiła, że chciałaby mię w téj chwili uściskać. — Droga Mamo, są czasem chwile, w których myślę, że Tybyś była ze mnie kontenta.... (z listu z d. 23 sierpnia 1833).

Podobnie rzewnych, ale i miłych zarazem uczuć doznał Słowacki w tymże samym miesiącu przy innéj jeszcze sposobności. Były to jego urodziny — dzień sierpnia 23ci: w dniu owym rozpoczynał 25 rok życia. W wilią dnia tego doręczono mu list z Krzemieńca, „który choć smutny, był mu najmilszém wiązaniem.“ Nazajutrz po odebraniu listu, w sam dzień urodzin, obudził się o godzinie 7méj i spostrzegł rękę, która naprzód odchyliwszy firanki, rzuciła na jego łóżko bukiet kwiatów. Zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny, pomyślał sobie.

„Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużéj, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania łóżko zalegam; ale pomyślałem sobie, że miléj mi będzie, pierwsze dwie godziny tego dnia Tobie Mamo poświęcić — i oto piszę do Ciebie.“

Kiedy tak pisał, bukiet dany mu na wiązanie stał przed nim — w głębi jednéj róży w bukiecie spał sobie spokojnie zielony żuk. „Zdaje mi się — są słowa Juliusza — że on ma teraz los podobny do mnie — który spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu“... Potém zszedł na śniadanie i zastał pannę Eglantynę samę, która go zniewoliła, aby przyjął od niéj złotą obrączkę.

„Obrączka ta otwiera się — i we środku napis: 23 Aout 1833. — To dziwnie, że tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem — a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę, z pierścionkiem niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu noszę.“

W dalszym opisie donosi o powinszowaniach ze strony niektórych Polaków w Genewie bawiących, o obiedzie, na którym pito jego i matki jego zdrowie, i o wieczorku, na którym tańcowano do 11 w nocy. —

Zwróćmy teraz uwagę naszę na autorską czynność poety — na tle towarzyskich stósunków, któreśmy właśnie poznali. Zajmo-

wały fantazyą jego przez ciąg całego tego roku pierwsze pomysły do dzieła, którém, ile wnosić można, był wydany późniéj poemat pod tytułem Kordyan. Już w marcu (1833) donosił matce, że ranki poświęca pracy nad jakimś nowym utworem. W lipcu wspomniał o nim w sposób, że wątpić nie można, iż miał na myśli to właśnie dzieło. Za nadejściem jednak lata, przesuwające się przez dom, w którym mieszkał, coraz nowe osoby sprawiały mu tyle roztargnienia, że w tym wirze i zamęcie niepodobna mu było przedłużać pracy. Rzucił tedy pióro, z uśmiechem nieco szyderczym zwrócił oczy badawcze na oryginalne te typy, z którymi pod jednym dachem się mieścił — i doznając już to przyjemności w towarzystwie z tylu żywiołów różnych złożoném, już moralnego znużenia, bawił się — nudził — marzył — wygrywał na fortepianie — czytał bardzo wiele; ale nie pisał nic. W ogóle nie czuł w sobie żadnego do poważnéj pracy przez całe te miesiące popędu.

„Napada mię czasami chęć czynniejszego życia,“ — takiemi słowy opisywał usposobienie swoje w korespondencyi z czerwca i lipca — „marzę o różnych projektach; ale wszystko to napróżno.... Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora — i myślę o Was. Czasem jestem tak odrętwiały, że potrzebowałbym, aby mię pszczoły Twojéj Mamo pasieki pokąsały. — Smutno mi, smutno!“...

Z nadchodzącą jesienią — i cisza w domu z powodu powoli rozjeżdżających się gości i wrodzona właściwość, że o téj porze właśnie zazwyczaj nawiedzała go jakaś konieczność poetyckiego tworzenia — wszystko to zaczęło składać się na to, że owe pierwsze zarysy dzieła, jeszcze na wiosnę rzucone, nabierały w jego wyobraźni coraz więcéj ciała i kształtów.

„Téj zimy zamyślam pisać i pisać — mówił o sobie w liście z d. 22 września: — jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami — przepełnia — wylewa — i znów jestem jak Turek (przez pół roku), po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny.“

W październiku donosił:

„Anglicy i Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napełniały — z przyjściem jesieni unio-

sły się jak jaskółki na południe. W towarzystwie samych tylko gospodyń domu możebym się nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniéj niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata. Piszę wielkie dzieło — napisałem już 1300 wierszy; ale to jest jeszcze niczém w porównaniu do całéj budowy"... (z listu z d. 27go października 1833).

W końcu listopada mógł już zdać sprawę z dalszego postępu pracy:

„Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 2,200 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra Ojczyzny mojéj. Przynajmniéj tak sobie powiadam i słodzę tém wszystko... Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki Ojca i Twoję kilka wyrazów, Mamo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemiany i znajduję, że Treny są niezrównanéj piękności. Uwagi Ojca mego po większéj części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczasowy klasyczny, a raczéj francuski trochę obłąkał. — W teraźniejszéj poezyi Brodziński się najwięcéj do Kochanowskiego zbliża — ale jest od niego niższy o trzy wieki. Oprócz tych dzieł nic więcéj teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się Kordyan. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem"... (z listu z dnia 30 listopada 1833).

Z saméj skwapliwości przepisywania widać, ile zależało autorowi na jak najrychlejszém w świat wyprawieniu téj książki. Temu życzeniu stawały znowu w drodze zwykłe trudności z powodu braku funduszów nakładowych. Za poprzednio wydane tomy koszta zwracały się z wolna, bardzo późno i jak to mówią, tylko kapaniną, a pewnéj części takowych nawet pozbawiała go nierzetelność osób do rozprzedaży użytych albo księgarzy, na których też często wyrzeka.

„Ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą — i długo zatajają. Słowem przekonywam się, że księgarze — jestto najgorsza klasa. Wszyscy do Zawadzkiego podobni"... (list z d. 23 sierpnia 1833).

Dało się jednak jakoś wszystko załatwić. W miesiącu styczniu czy lutym następnego roku pojawił się w Paryżu poemat, bez żadnéj przedmowy i bez wyrażenia imienia autora, pod ty-

tułem: Kordyan, Część pierwsza Trylogii — Spisek koronacyjny. Paryż 1834. 12° str. 159.

Autor dziełem tém zamierzał rzucić rękawicę Mickiewiczowi, pójść w zapasy ze sławą jego: dlatego też wydał je bezimiennie. „Będzie tak równiejsza walka z Adamem," wyrzekł przy wiadoméj nam już sposobności do matki. Stawiał Kordyana wyżéj nad wszystkie swoje aż potąd ogłoszone utwory. Obiecywał mu wielkie powodzenie: „Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką," — pisał mając przed sobą pierwsze arkusze druku do korekty sobie przysłane (d. 3go stycznia 1834). I miał przekonanie, że „osadził to dzieło swoje po napisaniu obcego człowieka rozwagą."

Nim się dalej zapuścim w rozpowiadaniu o kolejach życia poety, zatrzymajmy się na tém miejscu i pomówmy nieco o téj jego świeżo wydanéj publikacyi, jako też o utworach, które zapełniają wydany przed nią tom III. Przedsięwzięliśmy sobie bowiem iść w ślady nie tylko za ruchem zdarzeń w życiu jego zewnętrznych, ale i dopatrywać rozwoju wewnętrznéj w nim siły, któréj miarą były dzieła z kolei wydawane.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tém polega, ażeby obrabiać materye brane jedynie ze sfery własnéj? — Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie.

W wydanym w roku 1833 tomie trzecim Poezyi Słowackiego zajmuje główne miejsce „powieść poetyczna" w dwóch pieśniach nazwana Lambro. Rzecz wzięta jest z historyi nowogreckiéj, z drugiéj połowy zeszłego wieku. Lambro był dowódcą Greków, którzy namówieni przez jedno z wielkich mocarstw północnych do zrobienia powstania, zostali następnie pozostawieni sobie samym i niesumiennie zdradzeni w chwili stanowczéj. Powstanie naturalnie upadło. Przypłacili je strumieniami krwi wytoczonéj najdzielniejsi synowie tego ujarzmionego narodu.

Podjąwszy jako przedmiot do dzieła zdarzenie wzięte z dziejów postronnych, poeta rozminął się z praktyką przestrzeganą i wtedy i dziś jeszcze w literaturze naszéj. To też w przedmowie usprawiedliwia to zboczenie swoje z drogi utartéj. — „Myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków; wypadki są tylko szatą, ciałem, pod któróm trzeba szukać duszy narodowéj lub duszy świata... Lambro jestto człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jestto wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czém być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczém"...

Powyższe zdanie Słowackiego o warunkach narodowości w po-

ezyi nie przypadło do przekonania pisarzów zajmujących się w latach owych krytyką. Jeden z najdzielniejszych pomiędzy nimi, mający po sobie powagi tém więcéj jeszcze przez to, że był zarazem i sam znakomitym poetą—Goszczyński, zupełnie się inaczéj na rzecz tę zapatrywał. On żądał koniecznie, aby w poezyi polskiéj nawet przedmiot był swój i własny. To też mówiąc o Słowackim, pogardliwie prawie wyraził się o Lambrze: — „Nad dziełami obcéj osnowy, jak Lambro, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi.“ *)

Mnie się zdaje, że słuszność tak stanowczo jest po stronie Słowackiego, że nie ma nawet potrzeby tego dopiero dowodzić. Wprawdzie teorya Goszczyńskiego utrzymuje się dotychczas w praktyce. Zacieśniliśmy więcéj może, aniżeliby należało, horyzont poezyi naszéj. Przy obecnych stósunkach nie jestto wprawdzie bez pewnych ubocznych korzyści. Ale prędzéj czy późniéj przyjdzie chwila, gdzie się to jednak będzie musiało zmienić. W każdym razie godzi się być mniemania, że użyźniłoby to niwę pięknéj literatury naszéj, gdybyśmy czasem pomnażali jéj plony zasobami czerpanymi z przeszłości przynajmniéj innych rodów słowiańskich. Może nas dzisiaj odstrasza od podobnych zetknięć pusta mara panslawizmu. Byłaby to bardzo nieuzasadniona obawa! Jeżeli już nie co innego, to ostatnie sceny Kordyana, o którym niebawem przyjdzie nam mówić, mogłyby stanąć za dowód, że bez narażenia się na niebezpieczeństwo obłędów panslawistycznych, można w tych dalszych światach słowiańskich znajdywać nieraz przedmioty godne fantazyi Szekspira. Dzieje nasze są czyste, pod etycznym względem nieskończenie wyższe od przeszłości nie tylko innych słowiańskich plemion, ale i wielu dalszych europejskich społeczeństw; ale właśnie przeto ogólne ich znamię stanowi pewna że tak powiem, beznamiętność. To też rzadko kiedy udaje się na tém tle wznieść dzieło większych rozmiarów, któreby samą treścią doraźnie działało na wyobraźnię i tchnęło grą tych pasyi

*) Obacz bezimiennie ogłoszoną jego rozprawę „Nowa Epoka poezyi polskiéj“ w Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności krakowskim, r. 1835.

gwałtownych, bez których pewne rodzaje poezyi nie mogą się obejść.

Poddając to napomknięcie nawiasowe pod rozwagę szczególniéj naszych dramatycznych pisarzy, wracam do poematu, o którym mam zdanie moje powiedzieć. Podzielam najzupełniéj z Goszczyńskim wstręt, który go powstrzymywał od zapuszczania się w uwagi nad Lambrem. I ja nie mam zamiaru rozpoczynać szczegółowéj analizy tego utworu, któremu z mego stanowiska jednakże nie dlatego odmawiam wyższéj wartości, że to „dzieło obcéj osnowy“, lecz że wykonanie i całe przeprowadzenie obranego przedmiotu uważam za chybione pod każdym względem.

Czego chciał Słowacki, zabierając się do téj pracy? — Powiada on w przedmowie o swoim bohaterze, że „jestto człowiek będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań“. — Obaczmy, czy to prawda.

Rozebrawszy rzecz z pięknych rymów, wierszy, obrazów i tympodobnych przyborów poetyckich, którym nic zarzucić nie można, bo pod tym względem wykonał autor dzieło z całym przepychem: ściągnijmy osnowę poematu do jaknajściślejszego streszczenia i okażmy w suchych słowach, jakito człowiek dostarczył tu rysów na skreślenie obrazu naszego wieku...

Bohaterem poematu jest młody wódz w jedném z tych licznych powstań, jakie poprzedziły wydobycie się ostateczne Grecyi z pod tureckiego jarzma. Miał on był już w którymś z poprzednich ruchów czynny udział; ale wtedy, skoro tylko przyszło do walnéj bitwy, skończyło się wszystko dla téj sprawy jak najgorzéj. Cały zastęp Greków wyginął. Lambro sam jeden tylko potrafił opuścić pobojowisko przy życiu. Udał on się natenczas na emigracyą — „lecz nie samotny! znalazł się ktoś drugi, co przy nim giermka podjął się usługi“. (Byłato Ida, jego kochanka. Odpowiedzialność za ten pomysł niedorzeczny — musi rad nie rad przyjąć tym razem na siebie Byron, protoplasta całéj familii typów tego rodzaju). — W kilka lat późniéj zaczęło się w Grecyi zanosić na nowy wybuch. Wystąpił w narodzie natchniony poeta Ryga i budził pieśnią swoją ducha z letargu; któreś z mocarstw popierało pomysł powstania: więc przyszło wreszcie do

pierwszych objawów jawnéj walki między ludnością grecką a rządem. Na pierwszą wieść o tém wszystkiém Lambro emigrant zjawił się w kraju! Powrócił z daleka z gotowém postanowieniem, odegrania w tym ruchu zbrojnym, który się właśnie zaczął, roli naczelnego wodza. Ale zaczyna i to powstanie bardzo rychło doznawać niepowodzenia: pierwsze starcia Kleftów z Turkami wypadły nieszczęśliwie; co gorsza, ów wieszcz narodowy został ujęty w niewolę, i właśnie przygotowuje się scena straszna, gdzie go w skutek zapadłego wyroku mają stracić publicznie.

Właśnie w przededniu téj exekucyi, schodzi się Lambro w umówioném miejscu z kochanką. (Ida od niejakiego czasu nie dzieliła już z nim wygnania, ale spędzała czas w kraju. Teraz, po długiém niewidzeniu, witają się tedy z sobą na nowo). Przy téj sposobności zapoznajemy się nieco lepiéj z osobą bohatera powieści. Widzimy w nim rodzonego brata Mindowy, Botwela, Żmii itd. z różnicą chyba, bez jakiéj nie znaleść i dwóch listków na drzewie. Melancholia i skeptycyzm — oto znamiona choroby duszy tego człowieka. Na twarzy przyszłego zbawcy Grecyi „jakiś szatan mięsza“ r o z p a c z i ś m i e c h s z y d e r c z y i c i e r p i e n i e; a na dobitek, wyczytuje jeszcze na niéj kochanka „o s t a t n i s t o p i e ń w s z y s t k i c h n i e s z c z ę ś ć... n u d ę“! — Dalsza rozmowa odsłania, że Lambro został (już po oddaleniu się Idy od niego) korsarzem, nad czém oboje, i ona i on nawet także, ubolewają. Dawniéj — mówi Lambro o sobie — byłem innym człowiekiem; ale mię nieszczęście złamało! To też teraz szerzy on śmierć z obojętnością około siebie, jak daleko tylko działa okrętu jego sięgają, i z uśmiechem dziwnéj radości patrzy nawet na konanie własnych majtków, którzy wiernie dzielą z nim wszystkie koleje losu...

Po tym obrazie Lambra, który pomimo wszystkich starań, jakie podjął autor, żeby go otoczyć urokiem pewnéj wielkości, wzbudza jako człowiek odrazę, a jako przyszły zbawca narodu najwyższe niedowierzanie: — następuje epizod rzeczywiście oddany z niepospolitym talentem — jedyne miejsce w tym poemacie, które się może i które się musi każdemu kto je czyta podobać, opis wykonania wyroku na wskazanym na śmierć poecie. Postać giną-

céj na szubienicy ofiary oddana jest à bas-relief, niewielu tylko rysami; ale te kilka rysów staje za szczegółową opowieść o całém jego szlachetném życiu i daje wymowne, tryumfujące świadectwo tym ideałom, którym Ryga wszystko na ziemi poświęcił. —Nie podnosi za to bynajmniéj w oczach naszych osobistości głównego bohatera czyn, jakiego Lambro dokonywa właśnie przy téjże exekucyi, mszcząc się nibyto za tę krew niesprawiedliwie przelaną. Jestto brawura — może wyborna, żeby dowieść kwalifikacyi na korsarza, ale nie wiele dobrego rokująca o rozumie wodza narodowego! Poeta opisywał to wszystko na nieszczęście w inném przekonaniu.

Po spaleniu w taki awanturniczy sposób tureckiego okrętu, czeka Lambro, co powie na to naród, i gotuje się do dalszego działania. Ale nim przyszło do tego, żeby się choć był dowiedział, jakie jest usposobienie ludności: — przytrafiło się na jego korsarskim statku, téjże nocy co nastąpiła po owym akcie brawury, zdarzenie, które położyło koniec i karyerze jego jako naczelnika sił zbrojnych powstania narodowego, i... poematowi. Zdarzenie to bardzo naturalne, choć dla czytelnika wcale niespodziewane! Okazuje się bowiem — w drugiéj pieśni — że Lambro, oprócz innych przymiotów niekoniecznie potrzebnych wodzom naczelnym, posiadał jeszcze i ten najniepotrzebniejszy ze wszystkich, iż był nałogowym... amatorem opiatu. Poeta starał się tę smutną stronę swojego bohatera ubarwić i osłonić, ile to tylko być mogło. Zamiast powiedzieć otwarcie, że się Lambro lubił zapijać, wyraża się tedy w tych poetycznych słowach:

„Że Lambro co dnia bledszy o północy
Szaleje trucizn namiętném piciem
I życie mieni na sen gorączkowy.“

Tym razem — po tém co zaszło, tuż przed czynami, jakich się Ojczyzna ma prawo po nim spodziewać — czuje to Lambro, że mu jakoś nie wypada brać i téj nocy czary do ręki... Nadeszła północ: nasz człowiek trzyma się twardo! łamie się z nałogiem, jak tylko może. Ale ludzie tego rodzaju daleko pochopniejsi bywają do walki z całym światem, niżeli ze sobą samymi! Siebie zwyciężyć nasamprzód, a potém dopiero zapróbować i z drugimi

tego samego: — téj zasady Słowacki w młodocianych robotach swoich nie zastósował nigdzie! Tak też miała się rzecz i z Lambrem. Długo on dumał blady samotnie na pokładzie swego okrętu — patrzał w milczeniu na spokojną powierzchnię morza, oświeconą bladém światłem księżyca — bladł coraz bardziéj i chwiał się: nagle upadł bez przytomności. Po jakiéjś chwili wróciły siły — powstał: — ale teraz gromkim głosem zażądał swojéj zwyczajnéj czary! — Podano mu ją — wypił. Zbiég przypadkowy okoliczności sprawił tu nieco zamętu. Zamiast pazia, który obsługiwał w razach takich naszego kapitana okrętu, wcisnęła się tym razem była do niego przebrana za pazia Ida: ona mu tedy podać musiała fatalną czarę owę, któréj zażądał. Kiedy ją nalewała, drżała jéj ręka i kilka kropel trucizny wpadło do czary więcéj, niż należało. Więc nastąpiło, co musiało: otruł się bohater poematu. —

Powyższe streszczenie saméj osnowy Lambra uwalnia mię od potrzeby rozwijania uwag i nad artystyczną i nad moralną wartością poematu. Zdaje mi się, że byłby to utwor wyborny, gdyby był wykonany w formie satyry, parodyi, komedyi dowcipnéj i gryzącéj, słowem czegoś z dążnością szyderczą. Chodzi tu wprawdzie o rzeczy zbyt poważne i wzniosłe, żeby się który z poetów polskich był mógł ośmielić na to. W naszéj literaturze takie traktowanie podobnego przedmiotu byłoby niepodobieństwem. Ale gdyby taki Heine na przykład, dla którego nie było rzeczy, z którejby nie baraszkował, był się zabrał do tego: to jestem pewien, że nie potrzebowałby on w całéj téj powieści niczego zmienić ani też dodać ni ująć, a byłby wystawił farsę, któraby stanowiła kamień węgielny dla jego autorskiéj nieśmiertelności. Figura Lambra — to typ stworzony dla Heinego! Jako ideał — jestto zero, ladaco: — ale właśnie przeto, że będąc zerem, chce uchodzić za wielkiego człowieka, jestto niewyczerpany materyał dla komika i humorysty...

Na nieszczęście, podług założenia poety, miał to być człowiek, „będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań.“ Tak jest, niezawodnie! Usiłowania

naszego wieku są bezskuteczne, ale właśnie tylko dlatego, że tacy ludzie, jak Lambro, i w taki sam sposób, jak on, narzucają się społeczeństwu na przewodników, a ono daje im się prowadzić i wyzyskiwać! Nie przeczę tego zatém, że udało się tu Słowackiemu dać dość wierny wizerunek jednego z całéj legii tych mniemanych bohaterów, którzy są prawdziwą plagą bieżącego stulecia! Zaszła przy tém jedna tylko mała pomyłka. Poeta stworzył karykaturę, a rozumiał, że stawia ideał! W przekonaniu, że roztacza obraz poetycznéj wielkości, starał on się bohatera swego uposażyć w wszelkie warunki zapewniające dla postępków jego współczucie i podziw czytelnika: gdy tymczasem odsłania się z pod tych sztucznych osłon wyobraźni autorskiéj sama tylko nędza i zgniłość moralna jego człowieka, tém przykrzejsza dla oka, że występuje z olbrzymiemi uroszczeniami i z dumą, któréj nic zgoła nie usprawiedliwia.

Razem z poematem Lambro zostawiamy po za sobą okres Słowackiego bajroński (a raczéj pseudobajroński), i przechodzimy do naturalniejszych natchnień i do więcéj przynajmniéj samodzielnych kierunków w jego zawodzie. Bez symptomatów pewnéj chorobliwości nie obyło się i w tém drugiém stadyum u niego; ale przynajmniéj była to już chorobliwość, jakiéj w owym czasie podlegali tysiące. Zbliżył się więc poeta nasz więcéj do usposobienia ogółu. Pierwszym czynem na téj nowéj drodze był Kordyan. Pod każdym względem możnaby go nazwać słupem granicznym pomiędzy pierwszą dobą poety a drugą.

Dziełem tém więcéj Juliusz przekonał naród o swém niepospolitém uzdolnieniu poetyckiém, aniżeli tém wszystkiém razem, co wydał poprzednio. Kordyan wyszedł bezimiennie. Nie od razu zdołano się domyśleć, kto jego autorem. Byli tacy, którzy w pierwszéj chwili przypisywali go Mickiewiczowi.

„Mój śpiew ostatni — pisał autor Kordyana niebawem po jego ogłoszeniu do matki — jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jedném z pism po francusku wydawanych czyta-

łem o nim zdanie i rozbiór pochlebny—o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może; a ta przeciwna mi partya, są to nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam. Od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże w Paryżu przypisuje pieśń moję Adamowi. Oto wyjątek z listu do mnie pisanego: — „Byłem przytomny, jak Ogiński atakował Adama, i kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczém, Ogiński rzekł: to przynajmniéj wiemy, że Pan chce to mieć tajemnicą.“ — W drugim liście (mówi daléj Słowacki) pisze mi jeden ze znajomych: — „Z Memla (?), dokąd exemplarze posłałem, piszą mi o Kordyanie z wielkiém uniesieniem — i biorą to za pracę Adama.“ — Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moję pracę przypisują innemu. Znając uprzedzenia naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka“... (z listu z dnia 27 kwietnia 1834).

Do mniemania takiego przyczynić się mogło niejakie podobieństwo w zewnętrznéj formie pomiędzy Kordyanem a wydaną niedawno przedtém Częścią IIIcią Dziadów Mickiewicza. I jedno i drugie dzieło jest nieregularnym, niescenicznie ułożonym, lecz zato wielkiéj lirycznéj siły, dramatem. Jest nawet pewne pokrewieństwo i w całym pomyśle. Na okoliczność tę atoli zbyt wiele przycisku kłaść nie należy; pokrewieństwo to bowiem wynikło z intencyi, w jakiéj Słowacki zabrał się do napisania Kordyana. Chciał on, jak to już wyżéj okazałem, dziełem tém — rzuciwszy niejako rękawicę Mickiewiczowi, iść z nim o lepszą. Mickiewicz stworzył w postaci Konrada wizerunek najszlachetniejszych i zarazem do najwyższego stopnia siły i natchnienia podniesionych wysileń właściwych generacyi współczesnéj. Bohater jego, póki jeszcze nosił imię Gustawa, wplątany był we wszystkie potoczne stósunki świata i doznał najdotkliwszych bolów, jakie tylko mogą zranić serce zwyczajnéj jednostki w społeczeństwie. Przesiliwszy się w duchu, czyli jak to poeta wyraża: przetworzywszy się w Konrada, bohater Dziadów podniósł się po nad poziom tych wszystkich pragnień i zawodów osobistych i wyłącznie poświęcił życie ojczyźnie. Pragnie ją „dźwignąć i uszczęśliwić;“ lecz nim przystąpi do czynu, żąda od Boga... rządu dusz! Konrad czuje się nieśmiertelnym i jako Bóg sam wszechwładnym myślą własną, „któréj

ludzie mu nie dali", „tą myślą, co niebiosom pioruny wydarła." Czuje się w sobie równym Bogu uczuciem, „co się samo w sobie chowa—jak wulkan, i tylko dymi niekiedy przez słowa." Ale temi dwiema dźwigniami, dopóki one w nim samym tylko zawarte, nie spodziewa on się ani przemóc ani podnieść odrętwiałego ciężaru martwéj bryły, jaką mu się być wydaje w danych stósunkach cała massa narodu. I dlatego żąda od Boga potęgi, żąda bezpośredniéj, nieograniczonéj, choć niewidzialnéj władzy nad duchami ludzkimi...

„Ja chcę władzy! daj mi ją lub wskaż do niéj drogę!
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wywrzéć na ludzkie dusze!"

Konrad chce nad bliźnimi władzy doraźnéj, i to nie za pośrednictwem pieśni, ani wiedzy, ani siły zbrojnéj, ani nawet cudów:

„Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie,
Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie:
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tém się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!"

Ponieważ zaś téj potęgi nadludzkiéj nie otrzymuje Konrad od Boga, wpada w szał rozpaczy i zaczyna wątpić o dobréj woli stwórcy. Ośmiela się do bluźnierstwa:

„Kłamca, kto Ciebie nazwał miłością —
Ty jesteś tylko mądrością!"

To jest najwyższy zenit, do którego się wznosi bohater Dziadów, przynajmniéj w wydanéj części dzieła. Bóg nie zsyła na niego kary za tę pychę i za takie buntownicze wypowiedzenie posłuszeństwa niebiosom, albowiem płynie ona u niego z miłości kraju, z nieszczęścia... zresztą modlą się za nim anieli i dobrzy ludzie (matka zmarła Konrada, X. Piotr, Ewa). I pozwala Konradowi — po uznaniu korném obłędu — wyjść z tych walk ducha czystym, rozgrzeszonym i nawet przeznaczonym w przyszłości do wielkich rzeczy. Ale do spełnienia tych obietnic nie przychodzi w téj części dzieła, tak iż Adama ideał, jak tu jest

dany, ostatecznie nie wychodzi z po za sfery samych tylko zamiarów, pragnień i uczuć... I jeżeli walczy, to chyba z Bogiem walczy, a nie z temi potęgami ciemności, nie z temi monstrualnościami wieku, na powaleniu których właśnie zależy.

Otóż Słowacki podjął umyślnie w dziele swojém właśnie tę myśl w powyższy sposób wytoczoną przez Mickiewicza, ale zamierzył wykonać ją po swojemu i o tyle lepiéj, że wprowadził bohatera swojego właśnie w ten zakres, w jakim Konrada nie widzimy, ta jest w zakres czynów. Punkt wyjścia zatém jeden jest u obydwóch poetów; ale ludzie ich różni i zawody ich różne. Słowacki nie mógł spodziewać się osięgnąć wyższości nad swoim współzawodnikiem ani potęgą natchnienia, ani artyzmem, ani wykonaniem szczegółów; bo to wszystko było tak niezrównaném u niego, że wszelka chętka do walki z nim na tém polu byłaby chyba lekkomyślnością. Słabszą stroną Dziadów jest ich ogólny pomysł — niejasno i niecało rzucony! To też w tém tylko mógł upatrywać Słowacki możność jakichkolwiek korzyści swoich nad nim, że zamierzył bohatera swego daléj doprowadzić w zawodzie podjętych usiłowań, aniżeli się w Dziadach Konrad na drodze swojéj posunął. A zarzutu, że się przedmiotem zanadto zbliża do Mickiewicza, zarzutu tego się autor Kordyana nie mógł obawiać. Boć umyślnie i samochcąc i wręcz wyzywając Adama do walki, wytoczył ideę jego na nowo jakby przed sądy drugiéj instancyi.

Skorośmy już wpadli na ten trop uwag dotyczących genezy obecnego utworu, niech mi wolno jeszcze będzie zwrócić uwagę na inne dzieło, które równie, a może nawet i więcéj jeszcze wpłynęło na wyobraźnię poety w chwili, kiedy obmyślał układ Kordyana. Mówię o poemacie Stefana Garczyńskiego „Wacława Dzieje.“ Kto tylko dwa te dzieła zechce porównać ze sobą, to niepodobno ażeby go nie miało uderzyć dziwne podobieństwo pomiędzy niemi. Wartość artystyczna Kordyana wprawdzie nieskończenie jest wyższa. Ale założenie, główny pomysł i zamiar artystyczny w obydwóch tych utworach jest niewątpliwie i oczywiście — jeden tylko. Charaktery wprawdzie głównych figur zna-

cznie się różnią. Wacław — to filozof, myśliciel; wrodzoném usposobieniem swojém więcéj na Fausta albo na Hamleta zakrawa. Kordyan przeciwnie jest marzycielem namiętnym i entuzyastą, — w pierwszéj wiośnie życia podobny do Wertera, w dalszéj młodości przypomina Manfreda; w głównéj zaś akcyi, w sile wieku (w IIIcim akcie) — nie wiem do kogo bym go porównał... Snać jest on tu tylko Kordyanem, jest tém czém go mieć chciał poeta, typem samoistnym i własnym. Przy tak różnych charakterach atoli, zamiar i role obydwóch tych ludzi godzą w jedno i tosamo. Niemniéj szczegóły i postaci podrzędne tak się w obu poematach wzajemnie przypominają, że niepodobna, żeby się miały rzeczy te spotykać ze sobą zupełnie przypadkowo. Tak na przykład cała ta scena na czele Juliuszowego dramatu nazwana „Przygotowanie“ — to tylko bujne i fantastyczne rozwinięcie idei, która u Garczyńskiego wcielona jest w jednę osobę, w osobę „Nieznajomego.“ A ten spisek koronacyjny, służący i tu i tam za punkt centralny, za oś, około któréj toczy się wszystko! A ta piękna postać starca, jaśniejącego zapałem i srebrnym włosem tak wydatnie na tém tle ciemném tajemnych obrad... Wszystko to są szczegóły, które — trudno przypuścić żeby miały być bez wszelkiéj zawisłości wzajemnéj.

Gdyby poemat Garczyńskiego wyszedł był późniéj, aniżeli Kordyan, byłby to tylko plagiat, plagiat bardzo blady. Tak jednak nie było. Wacław jest dziełem rychlejszém. Czy go Słowacki znał, pracując nad swoim dramatem? — Mnie się zdaje, że go znać musiał.

Wacława Dzieje pisane były w Dreźnie, w ciągu roku 1832, a wyszły z druku w Paryżu r. 1833 w miesiącu czerwcu albo najpóźniéj w początkach lipca.*) Kordyan zatrudniał myśl Słowackiego już w ciągu wiosny tegoż roku (1833). W środku lipca już był plan jego gotowy. Rzecz ostatecznie jenak spisana została dopiero w miesiącach jesiennych. Nie było tedy niemożności fizycznéj, dla któréjby mu nie miał być znany utwor wielkopolskie-

*) Wyrozumieć to można z dat listów Mickiewicza do Garczyńskiego pisanych w sprawie drukujących się właśnie jego poezyi.

go poety, przed ostatecznêm dokonaniem Kordyana. Niemożność ta znika do reszty, jeżeli wspomnimy, że Stefan Garczyński przez ciąg tegosamego lata bawił w Szwajcaryi, a nawet spędził czas niejaki (miesiąc sierpień) w saméjże Genewie wraz z Mickiewiczem, który go tu (po raz ostatni przed jego śmiercią) widzieć przyjechał z Paryża. Czy się Juliusz przy téj sposobności zapoznał osobiście z Garczyńskim, tego nie wiem i wątpię, żeby było przyszło do tego. Bytność autora Dziadów w mieszkaniu Garczyńskiego nie mogła go do zabrania téj znajomości zachęcać. Zresztą Słowacki nie był pochopny do pierwszych wizyt, a Garczyński znowu był już natenczas bardzo cierpiący i zapewne także nowych znajomości nie szukał. Stémwszystkiém nie mogło być bez tego, żeby ta jego bytność w Genewie choćby za pośrednictwem trzecich osób nie była miała zwrócić uwagi Słowackiego na niego i na świeżo wydane jego poezye w Paryżu, których exemplarze musiały się rozejść wtedy i pomiędzy Polakami bawiącymi w têm mieście. W kilka miesięcy po zgonie już Stefana Garczyńskiego (w liście z d. 3 stycznia 1834) donosił Juliusz matce o nim w następujących wyrazach:

„Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny, Garczyński. Wydał dwa tomiki, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcéj jeszcze nadziei; ale nieszczęściem suchoty zniszczyły go — i umarł. Ciągle wzdychał do Neapolu i miał nadzieję, że tam dojechawszy uzdrowi się; ale nieborak w drodze w Awinionie życie zakończył." —

To wspomnienie pobieżne, pisane właśnie nad korektą drugiego arkusza Kordyana, którego mu w ciągu druku dosyłano dla kontroli z Paryża — są to, zdaje mi się, słowa człowieka, który nie znał się osobiście z autorem i co o nim wiedział, to od trzecich osób (inaczéj bowiem byłby ciekawych szczegółów niewątpliwie więcéj o nim udzielił); ale który niezawodnie czytał jego poezye. Jeżeli zaś znane mu były takowe w pierwszych dniach roku 1834: to dlaczegoż nie miałby ich był znać i jaki kwartał rychléj?

Nie przeto mówię o téj okoliczności, żebym chciał z tego punktu widzenia uwłaczać w czémkolwiek autorowi Kordyana.

Mimo to wszystko bowiem konkurencyi pod artystycznym względem z Wacławem to dzieło obawiać się żadną miarą nie potrzebuje. Lecz ciekawą zdaje mi się być rzeczą dochodzić, gdzie tylko na to pozwalają okoliczności, niewiadomych zazwyczaj wpływów, jakie towarzyszyły poczęciu dzieł poetyckich. Ileż światła rzucają na tę zagadkę geniuszu nieraz szczegóły wiadome o Szekspirze.

A krom tego jest jeszcze jedno, czego milczeniem tu pominąć nie można. Kiedy Mickiewicz, w Paryżu jeszcze, zajęty był właśnie drukiem poezyi Garczyńskiego, pisał on do niego z powodu Dziejów Wacława, co następuje:

„Niezawodnie pokazuje się, że więcéj przez twoję głowę przeszło myśli, niż przez moję, choć ja moje wiele lepiéj wyrobiłem. Ileż wierszy w Wacławie, nad którymi dumam jak nad drogami w Pompei, myśląc o kołach, które musiały w tył i w przód wyjechać, nim tę koleinę wygryzły! Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrości poetyckiéj; ale mnie się zdaje, że gdyby Wacław był nie twoim utworem, tobym może zazdrościł autorowi: Teraz kocham go, jak gdyby wspólne dziecko. Możesz być pewny, że to dzieło zupełnie leży w teraźniejszym czasie i dziwnie odbija stan duszy wielu ludzi“...*)

Że się nie pomylił Mickiewicz, iż myśl dzieła tego leżała rzeczywiście w usposobieniu czasu: tego najwymowniejszym dowodem okoliczność, na którą zwracam właśnie uwagę. Widzimy bowiem, że w tymsamym niemal czasie zajmował ten przedmiot wyobraźnię i naszego poety. W ciągu rozmyślań nad nim wpadła mu w ręce praca Garczyńskiego Kreacya ta ożywiła jego imaginacyą i dorzuciła żywiołów palnych w ognisko, które już i bez tego gorzało. Kilka zarodów gotowych wniosła w ramy jego obrazu. Ale zarody te przybrały tu dziwną bujność, pod wrącém czuciem genialniejszego ducha. Co u Garczyńskiego jest tylko napomknięte, niedonoszone w wyobraźni, mgliste, niekiedy chorobliwe: to się ukazuje w utworze Słowackiego przynajmniéj pod artystycznym względem rozwinięte do pełni i wykonane plastycznie.

---

*) List Mickiewicza do Garczyńskiego z Paryża dnia 12 stycznia 1833.

Nawet i po za obrębem względów na artyzm mała jest wartość Wacława w porównaniu z tém dziełem. Garczyński jeszcze w najlepsze bajronizuje, Słowacki właśnie się z pod wpływu tego otrząsa. Garczyńskiemu się bohater jego wydaje tytanem — ideałem skończonym... a kiedy nie wie, jak nieudolność jego usprawiedliwić, radzi sobie w taki sposób, że oto — urywa dzieło w pośrodku! Autor Kordyana podobny jest do niego w pierwszéj połowie swego dramatu. W trzecim akcie... spostrzegł się i osądził swego człowieka.

Te kilka myśli ogólnych niechaj zastąpi to wszystko, co w dalszym rozbiorze Kordyana zdawać się może będzie nie dość dokładném. Są okoliczności — łatwe do odgadnienia, które nie pozwalają na zupełnie swobodne traktowanie tego przedmiotu. Zresztą jest to tylko ułamek większéj całości, do utworzenia któréj nie przyszło. Autor zapowiadał trzy takie dzieła, pomiędzy sobą związane węzłem trylogii. Trylogia ta, jak z prologu czyli „Przygotowania“ na czele umieszczonego wnosić trzeba, miała obejmować wypadki z przed r. 1830, z czasu samegoż powstania, i zapewne z dalszych lat potém. Kordyan stanowi tylko część pierwszą trylogii. Dalszych części nie ma. Materyał części trzeciéj zdaje mi się, że wpłynął w głównych zarysach w utworzonego nieco późniéj Anhellego. Środkowy dramat pozostał niezapełnioną próżnią. Jego osnowy nawet się domyślić nie można, chociaż surowy materyał jest każdemu wiadomy.

Jeżeliby się jednak godziło, odgadującym sposobem rzucić zarys ogólnéj myśli, na tle któréj ta obszerna budowa miała się wznieść: to napomknienia tu i owdzie spotykane w części pierwszéj upoważniają przypuścić, co następuje:

Żyjemy w wieku materyalnym, karłowatym, upadłym, w wieku w którym się nic światodziejowego nie dokonywa w ludzkości. Jestto dzień wypoczynku stwórcy po pracy, dzień siódmy, szabat myśli bożéj w tworzeniu dziejów powszechnych.

„Bóg przez sześć dni dziejowych stwarzał ziemskie ludy.
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Judy:
To była ziemia — na niéj wyrosły narody. —

W drugim dniu — porozlewał wschodnich ludów wody;
W trzecim — jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
W piątym — wzleciały orłów rzymiańskich znamiona,
To były ptaki; — a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona —
W szóstym — człowieka zlepił Bóg: Napoleona!
Dziś dzień siódmy — Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył“...

Słowa te znajdujemy wyrzeczone w 6téj scenie aktu IIIgo, przez figurę fantastyczną, która tam ma nazwę „Doktora,“ a którą oczywiście jest Szatan. Przybywa on do szpitala, ażeby i kusić Kordyana i naigrawać się z niego. Zdawaćby się wprawdzie mogło, że ponieważ szatan to mówi i to jeszcze w takim zamiarze: nie jest to przeto nic więcéj, jak tylko prosty fałsz, sofizmat, przypuszczenie przewrotne, nie mające żadnéj spółki z rzeczywistym pomysłem autora. Tak jednak nie jest. Poeci zwykli — jak wiadomo, dawać nieraz i demonom mimowolnie wypowiadać ukrytą prawdę. Są to zazwyczaj prawdy gorzkie dla ludzi, ale zawsze prawdy. Przypomnijmy sobie tylko Mefistofela w Fauście. Ma się rzecz podobnie i w razie obecnym. Doktor Słowackiego rzuca wprawdzie w scenie téj wiele i zdań bałamutnych, bezwarunkowo obłędnych. Ta jednakże myśl jego spływa doskonale z całém założeniem poematu, i jeżeli się różni od innych miejsc podobnych w „Kordyanie,“ to chyba tylko tém, że rzecz jest tutaj wręcz wyrzeczona i nazwana po właściwém swojém imieniu. Taki wypadek wynika też ostatecznie z całego przeprowadzenia dzieła, do tego stopnia że bez tego klucza zrozumienie celu jego wcale byłoby niepodobném.

My na ostateczny sens tego dyktu piszemy się. Jest on niestety — de facto co się zowie prawdziwy! Ale zobaczmy, co idzie za tém.

Kiedy więc w myśl założenia poety ta siła twórcza, dodatnia, boża, która kieruje biegiem świata, obecnie wyjątkowo odpoczywa po pracy i nie tworzy nic: poczuwają się do tém większéj czynności w wieku obecnym demoniczne potęgi. Pragnienie i

zabiegi tych potęg zawsze ku temu zmierzają, ażeby się niweczyło w samym zarodzie to wszystko, czego ludzkość pragnie i za szczęście swoje uważa. W tym też celu i teraz przystępują one do dzieła. Pierwszy ustęp Kordyana, nazwany Przygotowanie, odsłania właśnie te ich roboty. W saméj chwili poczęcia się wieku obecnie bieżącego, w nocy z dnia 31 grudnia 1799 na 1 stycznia 1800, zgromadzają się na ustroniu, w chacie niegdyś Twardowskiego, najprzedniejsze mocy szatańskie i przygotowują zapas kierowników narodowych na cały wiek dziewiętnasty:

. . . . „Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każda rządu dziurę.“

Oczywiście wychodzą z tego kotła szatanów same osobistości zdaniem poety niedołężne, wsteczne, potrzeb wieku niepojmujące, jeżeli zgoła nie napiętnowane czém gorszém jeszcze. I tak nasamprzód otrzymuje tam sankcyą na wielkiego człowieka XIX wieku — Chłopicki. Na dalszych kierowników wydarzeń, które mają nastąpić, przeznaczeni zostają: Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel, nakoniec Krukowiecki. Obok nich jeszcze zostaje przygotowaną dla tém pewniejszéj zguby narodu cała zgraja świetnych bohaterów salonu i brukotłuków („wymuskani rycerze-ospalcy“); niemniéj i tłum niezliczony krzykaczy i intrygantów („co narodowéj chwycą się mównicy — dyplomatycznych mowców plemię“)...

O takich siłach ma się tedy snuć odtąd wątek spraw, dotyczących żywotnéj kwestyi jednego z głównie w stuleciu tém do działania powołanych narodów, aby się dokonało, co przepowiedziało piekło, że „wiek co przyjdzie, ucieszy szatany...“

W jaki sposób winy tych wszystkich ludzi, tak lekkomyślnie stawionych na jednéj linii ze sobą, zamierzał autor w dziele swojém rozwinąć i udowodnić? — na wyrozumienie tego braknie nam wszelkiego punktu oparcia. Ich role przypadają prawie bez wyjątku dopiero na czasy, które miały być pomieszczone w ramach dalszych obrazów, składających tę trylogią. W Kordyanie — wyją-

wszy jednego Niemcewicza — kończy się wszystko na téj ryczałtowéj kondemnacie rzuconéj na nich w prologu bez żadnego tejże poparcia. Gdyby autor był poprzestał na twierdzeniu, że tak usiłowania Chłopickiego, jak X. Czartoryskiego i wreszcie Lelewela w r. 1831 były nadaremne; że kroki ich były nieodpowiednie celowi itd. nie mielibyśmy nic przeciwko temu do powiedzenia. Ale wystawiać w nich istoty, z piekieł przysłane na zatratę narodu: to cokolwiek gruba przesada. Gdyby która z osób nazwanych była autorem powstania; gdyby się byli okazali chciwymi władzy; gdyby ją byli przemocą lub podstępem sobie przywłaszczyli, odtrącając od steru innych, zdolniejszych; a po tém wszystkiém okazali niezdolność, złą wolę albo złą wiarę: — wtedy możnaby składać na nich odpowiedzialność za wszystko i godziłoby się pocie wprowadzać ich w dziele swojém w taki sposób, jak to jest uczyniono w Kordyanie. Tak to jednakże nie było. Na tę genezę z kotła szatanów zasłużyli sobie zatém chyba zupełnie inni! Powziąć lekkomyślne postanowienie — wykonać je gorzéj, niż niedorzecznie — rozdmuchać pożar — potém niewiedzieć, co z nim począć—w braku lepszéj rady przyjść do ludzi, których ani wiek, ani stanowisko, ani wyobrażenia ani tradycye nie były potemu, żeby mogli uwierzyć w dzieło z którém nie mieli żadnéj wspólności, i powiedzieć im na klęczkach i upominając, z prośbą i groźbą: teraz ty prowadzić musisz, bo ty masz zaufanie w narodzie, a my go nie mamy! — nareszcie po wszystkiemu winić ich i przeklinać za to, że się ta z góry i w zarodzie samym zwichnięta robota nie udała: — to wszystko dziać się może tylko w społeczeństwie tak zupełnie pozbawioném zmysłu politycznego, jak nasze!... Na obronę Słowackiego wprawdzie powiedzieć można, że takie wtedy były wyobrażenia o tém powszechne. W takito sposób odbywały się sądy o rzeczach i o ludziach z r. 1831, przez kilka lat potém śród całéj emigracyi, a nawet po większéj części i w kraju. Łagodzi to niezawodnie zarzut zrobiony temu ustępowi Kordyana. Ale mylność założenia całego dzieła dlatego się nie naprawia.

Większéj jeszcze niesprawiedliwości dopuścił się autor Kordyana przeciwko Niemcewiczowi, o którym dlatego tu z osobna

mówię, ponieważ jego jednego tylko wina jest w zupełności niby odsłonięta i przeprowadzona w dramacie. — Mówi o nim Słowacki w prologu w takich wyrazach, że się wierzyć nie chce, żeby się to do Ursyna odnosić mogło:

. . . „Starzec, jak skowronek
Zastygły pod wspomnień bryłą
Na pół zastygłą, przegniłą —
Poeta — rycerz — starzec — nic,
Dziewięciu Feba sułtanic
Eunuch“ itd.

Że nie kto inny jednak, jak ten mąż, pod tylu względami dobrze ojczyźnie zasłużony, jest tu rozumiany, to się dowodnie okazuje w czwartéj scenie aktu IIIgo, gdzie mniemana jego zbrodnia jest skreślona śmiałym pędzlem i bez ogródki. Wystawiony tam jest Niemcewicz jako Prezes knowań (z r. 1829), które się odbywają w podziemiach kościoła św. Jana w Warszawie... Pomimo wyraźnego zamiaru poety, ażeby rola, jaką tam wypadło starcowi temu odegrać, wiekuiście go potępiała: postać Ursyna występuje tam po nad tłumem zebranych zapaleńców tak czysto, tak posągowo i z taką szlachetnością, że nie można mu było wystawić piękniejszego pomnika, jak ową właśnie sceną Kordyana.

Ale wrażenie takie sprawia ten ustęp tylko w umysłach głębszych. Czytelnik nierozmyślny, z rzeczami najświeższych dziejów kraju źle obeznany, rzuca czytając to miejsce, na siwe włosy starca tesame gromy, jakie na niego myślał że rzuca poeta, kiedy je pisał. I byłże jaki, choćby też najmniejszy powód do tego wszystkiego? To już polega na czystém urojeniu! Nie widzę potrzeby rozwodzić się nad samym spiskiem koronacyjnym, który tu stanowi główny przedmiot. Byłto... pierwszy w nieskalanych jeszcze wtedy dziejach naszych, szalony — na szczęście nie czyn, lecz tylko czynu zamiar. Co o nim nasz autor włożył w usta Prezesowi sprzysiężonych, co u Garczyńskiego mówi przeciw téj robocie „Nieznajomy“, uważany przez tamtego poetę w skutek dziwnego pomięszania pojęć równie za wroga dobréj sprawy, jak nim jest u Słowackiego Niemcewicz: — wystarcza to zupełnie

do ocenienia i moralnéj projektu tego wartości i nawet praktycznéj jego pożyteczności w bezpośrednich i dalszych skutkach. Tego jednego wszelako milczeniem tu pominąć nie można, że choćby tam sobie zresztą każdy rozumiał o tych zamysłach z r. 1829, co mu się żywnie podoba: to w każdym razie wmięszany tu w nie został Niemcewicz — co się zowie, jak Piłat w credo. Nie miał on z niemi nic zgoła do czynienia! Że plany te spełzły na niczém, temu Niemcewicz nie winien! — jedynym tego powodem był brak energii i odwagi, kiedy nadeszła chwila działania, u samych autorów tego projektu.*)

Śmiało zatém powiedzieć można, że cała ta część Kordyana wypadła jak najfatalniéj. Autor nie znał faktów, a pozwolił sobie, idąc za utartym przykładem drugich, rzucić (nibyto *pro bono publico!*) potępienie na starca, który całe życie poświęcił dobru narodu, a w mniemanéj owéj zbrodni żadnego nie miał udziału. Ironia losu zrządziła, że spotkało to właśnie człowieka, który z taką gościnnością przyjmował niegdyś w Ursynowie młodego autora Mindowy. Postąpił więc sobie z nim Słowacki gorzéj jeszcze, jak Mickiewicz w Dziadach z jego ojczymem. Mogli sobie obaj podać teraz ręce do zgody: krzywda nie powinna boleć takiego, który ją i sam drugim lekkomyślnie wyrządza. —

Rzuciliśmy ogólny zarys pomysłu, na którym zdaje się że miała stanąć cała budowa trylogii. Teraz powiedzmy zdanie nasze o części jéj wykonanéj, a mianowicie o samymże bohaterze utworu.

Na tle wieku, z góry potępionego za karłowatość i niejako wskazanego na to, żeby w dziejach minął bez wieści, stworzył poeta postać, która przerasta małość duchową ludzi tych generacyi, i czuje nędzę takiego życia, i pragnie je czém wznioślejszém zapełnić, i rzuca się z jednego kierunku w drugi... ale klątwa wieku położyła znamię swoje i na tym duchu. Jestto natura głębsza, ale chora na duszy; jestto entuzyasta, ale bez charakteru;

---

*) Bliższe szczegóły o tém wszystkiém podaje w dziele swojém Mochnacki.

jeszcze bohater, ale o słabych nerwach. Reszta tłumu — najszczęśliwsza z tego kału, w którym brnie — nie żąda i nie chce od nikogo poświęceń. Ani rozumie, ani też nie popiera wysileń podobnych ludzi. Tym—braknie znowu téj siły, przelania swego zapału w ogół. Gore tędy cały ogień w ich własném wnętrzu, gore płomieniem jaskrawym, ale racowym: to też nim jeszcze nadejdzie godzina — cała moc ducha i ciała u natur takich zwęgla się w popiół.

Kordyan Słowackiego łączy w sobie prawie wszystkie znamiona wielkości. Wzgarda życia, gotowość do ofiar, żądza sławy, dzielność i duma szlachetna — sąto niezawodnie warunki niezbędne człowiekowi mającemu pchnąć społeczeństwo nowymi tory. Pomimo tego wszystkiego, odsłonił w nim umyślnie i z całą świadomością poeta także i własności ujemne, niedostatki, dla których one zarody wyższości w duchu Kordyana nie dopełniają się do rozmiarów prawdziwéj wielkości charakteru, na jaki się niby zanosi. W ogóle jest coś spaczonego, jest i coś z sobą sprzecznego w tym duchu. Szuka on pola szerokich działań i nie wzdryga się przed żadnemi trudnościami: a w każdéj jednakże sprawie hamują go jakieś pęta, staje mu na przeszkodzie jakaś siła, któréj nie zwalczyć. Te pęta, ta siła jemu na przeszkodzie stojąca — one wynikają głównie z niego samego. I w tém też właśnie tragiczność jego zawodu.

Jedną z głównych takich ujemnych własności w charakterze Kordyana jest melancholia. Melancholia ma to wspólnego z reflexyą, że jak jedna tak druga, jeśli przemożnie i wyłącznie opanuje człowieka, zabija w nim wszelką zdolność do ostatecznego działania. Hamlet Szekspira przez ciąg całego dramatu morduje się ze skrupułami bezdennéj jakiéjś reflexyi, i przeto właśnie nie dochodzi wcale do powzięcia żadnego postanowienia. Podobnie ma się rzecz z melancholią. Komu się smutek wpije aż w samę rdzeń serca i zamieni w drugą u niego naturę: takiego człowieka dzielność duchowa jest jakby znurtowana. Każde silniejsze wstrząśnienie wystarczy, aby odsłonić niemoc na zewnątrz takiéj wiecznie w sobie tylko pracującéj natury.

—„Wierzcie mi, wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny“—

mówi Kordyan w chwili najwyższego zapału do sprzysiężonych, w scenie owych narad prowadzonych w podziemiach kościoła. Kładzie mu poeta wszelako w usta natychmiast takie słowa, które to zapewnienie potężnie ograniczają:

„Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczém —
R o b a k s m u t k u m n i e g r y z i e... tak, że mówiąc z wami,
C h c i a ł b y m p r z e s t a ć — i u s i ą ś ć i z a l a ć s i ę ł z a m i!..."

W ogóle zdaje się, że było zamiarem Słowackiego okazać jakąś sentymentalną m i ę k k o ś ć w naturze swojego bohatera. Kiedy na przykład już postanowił Kordyan wziąć na się wykonanie czynu, który zdaniem jego przyniesie dla ojczyzny zbawienie, ale dla niego śmierć:— widzimy go w owéj chwili w takiém oto usposobieniu:

PREZES.

„Na Boga, Kordyanie,
Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie —

KORDYAN.

To nic! starcze. To włos mi siwieje i boli —
Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa;
To nic. — Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I różę. — Potém spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?
Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —
Ona—jak w grobie.—Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym" itd.

Jestto prześliczne miejsce i niezawodnie jedno z lepszych w dramacie. Wątpliwości nie podlega, że takich rozpamiętywań zdolna być może tylko natura poetyczna, głęboko czująca, najidealniéj szlachetna. Ale jeżeli to jedno pewne, to równie będzie pewném i owo, że kto już tak fantazyuje przed czasem, kto tak ze łzami rozbiera swoje poświęcenie, samotność i ofiarę, zanim jeszcze dzieła dokonał, i z takiém usposobieniem przystępuje do rzeczy: ten jéj pewnie nie potrafi dopełnić! Entuzyazm, serce, w ogóle władze duchowe będą go parły do czynu; ale ciało samo, fizy-

czność, nerwy rozigrane temu się oprą. A natenczas opadną go dokoła wspomnienia, widma, strachy jakieś w wyobraźni rozkołysanéj wylęgłe... i taki zamęt powstanie w głowie takiego człowieka, że owo z taką niby pewnością siebie powzięte i zapowiedziane jego postanowienie niepodobna żeby się mogło skończyć inaczéj, jak tylko w sposób téj sceny, co potém następuje w dramacie, w sposób mówię sceny 5téj aktu III (w przedpokoju komnaty carskiéj).

Są i inne jeszcze strony w charakterze Kordyana, których nie podobna nazwać inaczéj, jak chorobami wieku, a które i sam już autor świadomie odsłonił jako braki i niedostatki. Patrząc na człowieka tego z pewnego oddalenia, biorąc duchowy jego wizerunek w całości: każdy powtórzyłby do niego to co mu mówi spowiednik jego w więzieniu:

„Synu! powstań z prochu
I leć do Boga, ale przebacz światu!
Bóg cię wyrywa z lwiéj paszczy i z lochu,
W którymbyś uwiądł nakształt mdłego kwiatu"...

Zważywszy jednak na ten brak miłości ludzkiéj, zdradzający się mimowolnie w wyznaniu Kordyana, które on składa spowiednikowi niby to w formie skargi, że nie ma nikogo na świecie, któremu by miał coś do przekazania.... że nikt z ludzi nie był dla niego przyjacielem; zważywszy na to, co mu Kordyan daléj oświadcza, iż słyszy jakiś głos tęskny w głębi ducha swojego, który

„Pamiątek woła i śladu na świecie:"

to w każdym razie niepodobna niewidzieć i tego, że wiele w téj naturze jest niekonsekwencyi i jak na bohatera narodowego, za jakiego on sam chciałby siebie uważać — nader drobniuchnych, acz zresztą wcale ludzkich i poetycznych nawet podnietek. Jeżeli bowiem tacy mu obojętni ci ludzie, że nie obdarzył ani jednéj duszy na świecie imieniem przyjaciela, to jakież tedy źródło zamierzonych jego poświęceń? Na cóż mu też w takim razie ów ślad na świecie, którego koniecznie pragnie? i dla kogoż te pamiątki, które by rad pozostawił po sobie? — A nadto: czy to też tylko świat jedynie temu winien, że Kordyan na nim nic

miłego dla siebie nie pozostawia? Czy się Kordyan usilnie starał zasłużyć sobie na to, na brak czego się teraz skarży? Czy Kordyan żył w świecie? czy w nim żył w taki sposób, że zasłużył na miłość ludzką? Czy ludzi poznał? Czy to potępienie, jakie na nich wszystkich ryczałtem rzuca, nie płynie też więcéj z jakiéjś dumnéj, choć bardzo może poetycznéj fantazyi, aniżeli z rzeczywistego doświadczenia?...

Wszakże słyszymy w téjże samej scenie i następujące oto jeszcze z ust własnych jego wyznanie:

„Gdybym był wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem: przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innemi oczyma —
Dłużéj, ciekawiéj, a może ze łzami; —
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje,
A jam nie słyszał! — Czegoś mi nie staje!“ itd.

Powyższa analiza natury, stawionéj jako główna postać tego dramatu, okazuje w niéj zatém z jednéj strony niezawodnie szczytny i wyjątkowy fenomen w dzisiejszém społeczeństwie; z drugiéj strony jednakże jest to i fenomen patologiczny, wizerunek choroby wieku. Że się czasy nasze zdobyć nie mogą na prosty, mniéj czuły i poetyczny, ale zato zdrowy w sobie a potężny organizm, ale wydają w najlepszym razie tylko takich Kordyanów: — w tém całe nieszczęście obecnego stulecia! Słowackiemu zaś poczytuję to za zasługę, że z pewną świadomością wprowadził w dziele swojém typ taki. Garczyńskiego Wacław jest chorobliwy w wyższym daleko stopniu, a poeta tego nie widzi.

Wszystko, co dotąd się powiedziało, stósuje się do Kordyana, jakim go widzimy w akcie IIIcim. Ta też właśnie tylko część dzieła i zasługuje na rozbior i wytrzymuje go. Ona sama jedna stanowi tutaj wszystko. Pierwszy i drugi akt — są to tylko przystawki, niezawodnie szczątki dawniejszych planów, na wiosnę (1833) powziętych, a jesienią odrzuconych. Powleka je

jeszcze w całéj sile ów koloryt źle pojętego bajronizmu, jaki znamionuje dawniejsze Słowackiego roboty. Z artystycznego punktu widzenia węzeł ich z właściwą sztuką jest zgoła luźny. Przy małéj zmianie jednéj i drugiéj sceny Aktu IIIgo, mogłaby się zupełnie obejść architektura tego dramatu bez tych skrzydeł psujących tylko proporcyą. Autor zdaje się, że dlatego tylko pozostawił je przy zrębie nowéj budowy, ponieważ chciał dać czytelnikowi spojrzeć na rychlejsze koleje życia swojego bohatera. Miało to wyjaśnić tę całą stronę patologiczną charakteru Kordyana. Powody niedostatków w jego charakterze upatrywał autor w jego przeszłości w nienaturalny sposób przebytéj; daje tedy klucz w rękę czytelnikowi do rozumienia tego wszystkiego.

W akcie więc pierwszym spotykamy się z Kordyanem w jego 15 roku życia. Widzimy go—przynajmniéj powiada on to o sobie — cierpiącego bardzo! Cierpienia jego jednak nie wzbudzają najmniejszego współczucia. Jestto dziecko w karykaturze, przeżyte, strawione czczością życia jak starzec, paniątko jakieś, zepsute widać próżnowaniem i otoczeniem. Leży sobie oto wygodnie pod wielką lipą na dziedzińcu swojego dworu i marzy... o czém? — o świata tego marnościach!! Już patrzy na rodzaj ludzki z piętra, jak geniusz; gardzi tłumem (wyraz w takich razach nieunikniony), i żali się, że nie widzi celu życia przed sobą.

„Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści!
Celem uczuć — zwiędnienie; głosem uczuć — szumy
Bez harmonii wyrazów. — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali“... itd.

— Nadaremnie mu stary sługa, dawny wiarus napoleoński, prawi o wielkich swojéj młodości wspomnieniach. Kordyan ciekawie go słucha, czasami wyznaje sobie:

„Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha.“

Ale ta iskra płomienia w nim nie wydaje, bo młodzieniaszek już zbyt jest mądry, żeby w co dodatniego wierzyć.

„Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.“

Główną zaś przyczyną téj całéj biedy jest, że się małoletnie paniątko kocha.

„Jam się w miłość nieszczęsną całém sercem wsączył"!...

Przedmiotem téj miłości, dlatego nieszczęsnéj, bo niewzajemnéj, jest Laura, osoba starsza nieco aniżeli kochanek, która go też za dziecko — zresztą wiele obiecujące uważa i jako takie traktuje. Ta Laura, jestto znana nam już z pierwszego rozdziału panna Ludwika, a Kordyanem w tym Akcie jest nie kto inny jak Julek Słowacki z czasów wileńskich. Rzeczywiście, cały ten akt, jakoby około jedynéj osi obracający się około miłosnego stósunku rzeczonéj pary, jest to tylko parafraza dramatyczna odpowiedniego ustępu owéj „Godziny Myśli," w któréj autor swoję własną młodość opisał. Wiersz ten łączy się tak bezpośrednio z aktem Iszym Kordyana, że początek tego ostatniego byłby nawet niezrozumiały, gdyby go nie był tamten utwor poprzedził. Godzina Myśli kończy się tym czterowierszem:

„Oto jest romans życia, niesklamany niczém —
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconém na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny! — Powieść nie skończona."—

Kordyana zaś początek taki:

„Zabił się młody. — Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu," itd.

Kto się zabił? — tego by się czytelnik wcale więc z Kordyana nie mógł domyślić, gdyby nie było wskazówki ze strony tamtego poematu, że mowa jest o przyjacielu owym poety, o Ludwiku Spitznaglu, który z melancholii sam sobie życie odebrał.

Wkładając w ten sposób autor w opowieść dziejów Kordyana ustęp z własnéj swojéj przeszłości, nie zamierzał przeto bynajmniéj pod przybraném imieniem przedstawić w dramacie siebie samego. Chciał on tu tylko dać wizerunek młodości spędzonéj nienaturalnie i tak niefortunnie, że z niéj jak z fałszywego punktu wyjścia snuć się już musiał i dalszy wątek życia bezładnie. Więc podłożył bohaterowi swemu żywcem historyą własnéj swojéj młodości, nad którą nie przypuszczał, żeby być mogło coś jeszcze jaskrawszego.

W akcie drugim Kordyan już jest dorosłym. Jak się zdaje, przebolał on już zawody, jakich w pierwszéj wiośnie wieku doznał w skutek owych melancholii miłosnych. Wyleczony zupełnie on jednak z tego wszystkiego nie jest. Szuka tedy zdrowia duszy pod różnemi niebami. Spotykamy go wędrowcem to w Londynie, to gdzieś na skalistém wybrzeżu morza, to na Watykanie, to na szczytach gór szwajcarskich. Raz go widzimy rzucającego się w sam wir zbytku i zmysłowéj rozkoszy — to znowu błądzącego samotnie z Szekspirem w ręku, albo oddającego korny pokłon głowie kościoła. Kordyan szuka wszędzie leków na swoję słabość, szuka trwałości i prawdy w uczuciach, szuka ducha w pozornych formach, imponujących jeszcze ludzkości. Pragnie znaleść choć w jednym świata zakątku ten kwiat piękności i prawdy, któryby odpowiedział jego złotym marzeniom, a zakrył smutną rzeczywistość z przed oczu. Nadaremnie! To co go miało uleczyć, staje się dla niego nową trucizną. Przekonywa się, że wszystko jest na ziemi przedajne, fałszywe, zewnątrz pozornym szychem poszyte, a wewnątrz puste i martwe...

„Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia — Ciężka praca!“

Owoż więc straciwszy siłę ducha do reszty w tych wędrówkach pomiędzy ludźmi w dalekim świecie, rzuca się wreszcie w objęcia natury, natury dziewiczéj, niepokalanéj, dzisiaj jeszcze takiéj saméj, jaką kiedyś wyszła z rąk stwórcy. To jeszcze piękność — jedyna, ostatnia dzisiaj piękność w stworzeniu! Wspina się na sam wierzch najwyższéj góry alpejskiéj, ze szczytu jéj ogarnia okiem cały widnokrąg. I w téj czystéj atmosferze owianéj wonią lepszych wieków, w atmosferze nie mającéj żadnéj wspólności z tym kałem tchnienia, jakiém oddychają zaludnione niziny ziemskie, zapala się w nim pragnienie zużytkowania tych ostatnich niestety szczątków już życia na pożytek czegoś dodatniego na świecie.

„Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem!

Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem
I czuję życie!“

. . . .

„O! gdyby tak się wedrzéć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie
I przebić czołem przesądów chmurę
I być najwyższą myślą wcieloną!
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie móc? w szmaty podrę łono!
Nie móc? to piekło!
Mogę — więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!“

W takiém usposobieniu — natchniony, porwany — ale tylko uczuciem i zapałem — nie wolą ani też konsekwencyą dawniejszego żywota, powraca Kordyan do kraju i rzuca się w wir czynów. Z winy własnéj i z winy okoliczności, wśród zawodu — upada...

Działania jego, od téj chwili począwszy, zamyka w sobie akt trzeci. Rozbierać go szczegółowo nie będę. Wystarczy tylko nadmienić, że jeżeli gdzie, to właśnie w tych kilku scenach, które odtąd następują po sobie, okazał Słowacki tyle świetności i potęgi prawdziwego talentu dramatycznego, że tylko dziwić się można, że nie zajął w późniejszych swoich pracach odpowiedniego takim początkom miejsca w tym rodzaju poezyi. Dramatyczne jego pisma późniéj wydane ani siłą, ani przedmiotowością, ani wreszcie samą artystyczną dzielnością nie dorównywają już tym kilku mistrzowskim scenom, tworzącym dzieła tego akt trzeci. W ogóle jestto część utworu, którą pod względem artyzmu zdaniem mojém liczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Rok 1834 i 1835.—Wiara w przeczucia. Śmierć babki.—Eglantyna. Przykrości wygnania dają się czuć pod każdym względem. Smutne usposobienie. Skromne życzenia, bez nadziei ich osiągnięcia. — Wieczorki genewskie. Prace i studya: Filozofia — Biblia — Georges Sand. Wallas — Mazepa — Balladyna — Horsztyński. — Lepsze chwile — Nowa znajomość — Marya W. — Podróż w miłém towarzystwie i dalsze z tego następstwa. — Rozczarowanie — trzy miesiące samotnego pobytu w górach. Przesilenie i nowe ideały. „W Szwajcaryi" — Anhelli.

Do liczby rzeczy, nad zbadaniem których tysiące już sobie głowy łamało, a które pomimo tego na zawsze pozostaną zagadką dla filozofów i niefilozofów, należy niewątpliwie i pytanie, czy człowiek zdolny jest samym instynktem odbierać czasem wrażenia z zdarzeń, które dopiero w przyszłości spełnić się mają? Psychologiczną tę wątpliwość rozstrzygnąć dlatego prawie jest niepodobno, że nader trudno jest zebrać rzetelne w téj mierze fakta. Przypadek odgrywa tu wielką rolę. Co zaś najgorsza, to że najczęściéj się zdarza, iż ci którzy podzielają wiarę w przeczucia i radziby zapewnić téj wierze jak najszersze między ludźmi rozpowszechnienie, sąto albo mistycy, którzy sobie roją że niestworzonych rzeczy doznają, albo oszuści, którzy wprost kłamią dziwy nadprzyrodzone. Bądź jak bądź — przeczyć temu jednak nie można, że zdarzają się niekiedy natury, natury za zwyczaj fizycznie wątłe i z zarodem pewnéj chorobliwości w sobie, a zato duchowo więcéj rozwinięte, niż ogół: którym wyjątkowo dany jest ten dar przeczuwania zdarzeń dopiero nadejść mających. Że zaś do nich należał i Juliusz Słowacki: tego możnaby na podstawie jego ko-

respondencyi dowieść najpozytywniéj. Prawie każde nadchodzące nieszczęście, czy to w familii czy dotyczące kraju, sprawiało w jego umyśle jakąś nieopisaną trwogę, z któréj sobie nie umiał zdać sprawy przed czasem. W listach jego pełno na to dowodów, że wysyłane do niego doniesienia o zgonie czyim w rodzinie zastawały go prawie zawsze, czy to przez sny szczególne, czy bezpośrednim instynktem przygotowanego na to, że się dowie o czémś bolesném. Słowacki sam zastanawiał się nieraz nad tém swojém usposobieniem. Nie umiał go sobie wytłómaczyć, ale wierzył w przeczucia i często też w dziełach swoich (zwłaszcza za życia niewydanych) zastósowywał artystycznie ten wypadek spostrzeżeń zrobionych na sobie samym.

„Prawdziwie, że to jest coś niepojętego — ta magnetyczna władza przeczucia (pisał był z Paryża jeszcze *) przypominając sobie, co się z nim, bawiącym wtedy w Londynie, działo w nocy przed dniem 15 sierpnia 1831, dniem tak posępnie zapisanym w dziejach listopadowego powstania). Gdy dnia tego zszedłem na śniadanie, Anglicy mnie dopytywali się o przyczynę pomięszania. Odpowiedziałem im, że musiało się stać coś smutnego w mojéj ojczyźnie, i Anglicy śmiali się ze mnie. A ja tryumfowałem, kiedy w dni 15 nadeszły gazety; i Anglicy patrzeli na mnie, jak na człowieka obdarzonego władzą drugiego widzenia Szkotów.“

W jesieni r. 1833 zakończyła życie po kilkodziennéj chorobie babka jego w Krzemieńcu. Juliusz nic nie wiedział o jéj słabości; a jednak przez cały ten czas dręczyło go i w tym razie jakby widmo jakieś ciągle mu zaglądające w oczy.

„Niespokojność jakaś dręczy mię ciągle... Często zatrudniony czytaniem albo jaką cichą pracą, wstaję nagle; jak waryat chodzę z myślami, od których odpędzić się nie mogę. Ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nieraz nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki.“ —

Stan ten duszy przypisywał on wtedy tylko melancholicznéj swojéj skłonności. Wyjątkowo nie przypuszczał tym razem wcale, żeby mu to zwiastowało jaką smutną wiadomość. A takowa już była w drodze do niego!

---

*) d. 4 października 1832 r.

„Niespokojność ta (pisał daléj w tymsamym liście) często jak jakaś gorycz odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć, jak z domowym wrogiem. Dziwnie to, że imaginacya moja jest jedyném źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi!.. Bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków. Szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę — każdego ranku, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowéj alei. Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień. Dotąd czas najpiękniejszy—słońce świecąc na wpółpożółkłych drzewach, zdaje się być bardziéj złociste i piękne. Murawy zachowały tu dotąd smaragdową barwę. Kilka dni temu o południu pływałem czołnem po jeziorze. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło... tak równe, że kiedy koło mnie przepłynął z daleka parowy statek, w kwadrans potém widziałem zbliżający się fałd czarnéj rozbitéj kołem parnego statku wody — fałd ten posuwał się zwolna — wspaniale, i czołnem mojém lekko zakołysał — przeszedł, popłynął daléj — a czołno znów stało nieruchome na zwierciedle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu topole pożółkłym liściem okryte, jak złote kolumny — wiele drzew zielonych — wiele białych domków i pałacyków, a za tym brzegiem Mont-Blanc biały — świeżym śniegiem z przyległemi mu górami okryty — podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiéj krainy. Wśród takiéj natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać!“ (z listu z d. 27 października 1833).

To też był poeta nasz smutny bardzo całéj owéj jesieni i przez ciąg zimy, która po niéj nadeszła. Do drugiéj zaś alternatywy, jaką postawił, do zakochania się w kim — nie przychodziło! Zdaje się wprawdzie, że był on przedmiotem tkliwszych uczuć dla osoby, która go widywała codziennie. Chociaż jednak może on był kochany, to jednak za to wzajemnością jéj nie odpłacał. Jeżeli zaś odpłacał, to tylko chyba przywiązaniem brata. Czasem wprawdzie zdawało się, jakby się już zanosiło i na coś więcéj. Na téj jednak tylko nadziei miłości kończyło się wszystko u niego!

„Fundusze moje uszczuplają się — pisał 3 stycznia 1834 r. — rzucę Genewę i pójdę gdzie żyć w wieśniaka szwajcarskiego domu. Byle piękną naturą otoczony — nie

dbam o zwierzęce wygody życia! Dziś nawet, Mamo moja, gdybyś mi szczerze napisała, że interesa nasze wymagają tego, dziś nawet uskuteczniłbym ten projekt cichego życia w górach. Albowiem nie widzę w tém ani upodlenia ani śmieszności. Mówiłem raz już o tym projekcie pannie Eglantynie — a ona ani się śmiała z niego ani go potępiała jak szaleństwo, i tylko mię prosiła, abym nie zapomniał, że ona mię uważa za brata, a matka jéj za syna.“

Zająwszy ten stósunek przywiązanéj do niego siostry, dzieliłą ona szczerze wszystkie jego cierpienia. Lubiła często mówić z nim o jego matce, przypisywała się w listach, które on pisał do niéj, i miewała też od niéj listy. Nieraz mu powtarzała, że matkę jego kocha bardzo, że do niéj pojedzie i będzie się jéj starała syna zastąpić, a przynajmniéj ulżyć jéj, mówiąc jéj o nim.

Owoż więc, co i Juliusza do niéj coraz bardziéj przywięzywało. W téj mierze ciekawém jest, co pisał o sobie w czerwcu 1834, z powodu jéj wyjazdu z domu na 5 tygodni.

„Panna Eglantyna wyjechała przed 5 dniami do Paryża, gdzie na nią jéj wuj czeka i dziwy paryskie jéj chce pokazać. Odjazd jéj bardzo mi smutny — bo ona szczerze do mnie przywiązana — jak siostra — i bardziéj może, niż siostra. Nie uwierzysz Mamo, jak smutny mi był ranek jéj wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4 z rana, przyrzekłem więc, że ją o trzeciéj obudzę; jakoż nie położyłem się spać i czytałem leżąc na kanapie do godziny 3ciéj. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu, przeszedłem przez pokoje i stukaniem do jéj drzwi obudziłem ją. Ty wiesz Mamo, jaką posępność ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się — wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród — wschód słońca blaskiem złocił się — ptaszki śpiewały po drzewach i zimno poranku napełniało jakiémś dziwném elektryczném drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórku, na którym staliśmy, czekając powozu. Z tego wzgórka widać było całe błękitne jezioro, za niém śnieżne góry, nad któremi wstawał ze snu biały Mont-Blanc. Eglantyna płakała jak dziecię — ja byłem takim, jakim mię często Mama widziałaś, z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia — każda taka chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którém całe moje smutne życie widzę w mięszanych kolorach. Zaszedł wreszcie powóz — wsiadła do niego — a ja zostałem sam je-

den — jak słup na zielonéj murawie — patrząc na ozłocone niebo. W kilka chwil potém weszło słońce — naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się — przelewały się — aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie 5ej wróciłem do siebie — pozamykałem okienice i dziwnie posępnego wrażenia doznałem, widząc na kanapie rozrzucone książki, które chwilą pierwéj czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić pannę Eglantynę. Zdaje mi się, Mamo kochana, że ty pojmiesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin. Po wywyjeździe Eglantyny smutno mi było bardzo. Ona miała nademną jakąś panującą władzę siostry. Kiedy mię list jaki zasmucił, jaka wiadomość zła zgryzła — ona umiała z twarzy mojéj wyczytać smutek i zawsze jéj się musiałem wyspowiadać — a po spowiedzi lżéj mi było.“

Po jéj odjeździe czuł Juliusz, więcéj jeszcze, niż kiedy, jednostajną samotność swego życia. Nic mu nie dolegało, było mu — jak się wyraża — dosyć znośnie na tym świecie; a jednak zdawało mu się, że żył przez ten miesiąc jak kwiat, na jedném miejscu — tąsamą rosą i témsamém słońcem — dziś jak wczoraj — jutro jak dzisiaj... Jedne tylko listy, które do niego Eglantyna podczas téj podróży swojéj pisywała, „listy długie i miłe,“ urozmaicały mu trochę tę jednostajność czasu.

„Przynajmniéj — powiada — w godzinę nadejścia poczty oczekiwałem czegoś; gniewałem się, kiedy pocztylion z pustemi rękoma przeszedł koło domu, i znów nadzieję obracałem na jutro. Nie myśl, kochana Mamo, żeby te listy przynosiły mi nadzwyczajne szczęście. Oczekiwałem każdego, jak małéj jakiéj nowości. Karmię się już tylko teraz ułamkami, czyli obłamkami uczuć i szczęścia.“ (dnia 13 lipca 1834).

Ta trudność, ta jakby niemoc wzbudzenia w sobie silniejszych uczuć, pomimo że się w owych latach tyle osób, godnych może aby wywołać takowe, przesunęło około niego, było nieraz przyczyną, że Słowacki był sam ze siebie niekontent.

„Na jednym wieczorze w domu jednego z panów włoskich tańcowaliśmy. Widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły, na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już nigdy kochać nie będę. W mojéj głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogro-

mnéj miłości, niepodobne do osiągnienia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami, jak wróble i bawią się. Czasem im zazdroszczę"... (d. 5 lutego 1835).

Podobnie niezapełnioną próżnię czuł w sobie Juliusz i ze strony innego jeszcze uczucia — przyjaźni. Miał on, w Paryżu jeszcze mieszkając, dwóch ukochanych przyjaciół. Jeden z nich atoli umarł, drugi późniejszém postępowaniem swojém okazał, że nie zasługiwał na zaufanie niczyje. Za przybyciem do Genewy, nie żył poeta ściśléj już z nikim.

„Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, (pisał dnia 18 grudnia 1834) nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie."

Wprawdzie bawiło wtedy w Genewie, w różnych czasach, nieraz po kilku młodych Polaków, z którymi niekiedy się widywał Słowacki. Warto tu na przykład wspomnieć o wiejskiéj uczcie, którą mu razu pewnego wyprawili jego rodacy, w sam dzień imienin jego matki, w r. jeszcze 1833.

„Imieniny twoje, Mamo, musiałem wczoraj obchodzić ze znajomymi. Chłopcy młode przyjechali po mnie o godzinie 10téj z rana i powieźli z sobą na obiad — na wieś, pod góry genewskie. Było nas kilkunastu. Kiedyśmy jechali — chmury czarne snuły się po niebie — sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca, jak posąg Sybiru. Potém dészcz lunął rzęsisty — ale po deszczu najśliczniejsza tęcza rozwinęła się nad nami. Wszystko to poruszyło aż do głębi serca nasze — w téj tęczy widzieliśmy jakąś wróżbę. Zasiedliśmy do stołu, jeść nie wiele znaleść mogliśmy w wiejskiéj oberży, ale szampan wszystko wynagrodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem, i domyślicie się, że ta tęcza była treścią mojéj ody. Koledzy klaskali w ręce, a potém ściskali mię ze łzami — a potém pili moje zdrowie; a kiedy im powiedziałem, iż Ty Mamo, nazywasz się Salomea — pili twoje zdrowie. Najbardziéj rozczulająca była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaintonowaliśmy wszyscy pieśń: Święty Boże! święty mocny — święty nieśmiertelny — zmiłuj się nad nami! Ten hymn kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał — a w téj chwili miał w sobie coś ogromnego... Młodzi, około stołu oparci na dłoniach, podobni byliśmy do dawnych ojców naszych. Wystawcie sobie tę garstkę na obcéj ziemi, a pewnie uczujecie wrażenie, ja-

kiém nas natchnęła ta pieśń pobożna. Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach, i kielichy są pełne goryczy, dopóki Bóg ich od nas nie odwróci.“ (z listu z d. 30 listopada 1833).

Takie poważne a miłe jednak chwile, w towarzystwie ziomków spędzone, były wszelako rzadkiemi zdarzeniami w posępném życiu wygnańca. Nie mogły mu one zastąpić tego, czego pragnął najwięcéj. Zresztą przy podobnych okolicznościach powiększało się tylko koło jego znajomych. Imieniem przyjaciela — przez cały ten czas przepędzony w Szwajcaryi, nie obdarzył Słowacki z nich żadnego.

„Nie mam teraz nikogo, coby mi najmniejszą chwilę życia skrócił przyjazną rozmową — nikogo, coby mi przyjaźnie rękę ścisnął. Wina to mego odludnego życia — wina miejsca, w którém żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego, i znaleść nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakim cichym klasztorze. Dlaczegoż nie dał mi téj mistycznéj pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności?“ (d. 5 lutego 1835).

„Ludzie mnie trzymają za żelazo — bardzo zimne! Wszak pamiętasz Matko, że jeszcze na Julka dziecko mówiono, że dumny. To wina mojéj twarzy — i Boga. Zdaje mi się, że Bóg miał włożyć kiedyś moję duszę w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wicher obrywa mu pióra; co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam — patrzy na słońce! Szkoda, że nie poszedł stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic! Takby mi dobrze było ze skrzydłami — i z jękiem ptaka w piersiach! Trzeba zniżyć lot“ ... itd. (d. 30 czerwca 1835).

Dawniéj — w pierwszych latach młodości i nawet jeszcze w Paryżu, kiedyto wydawał pierwsze tomy swoich poezyi — zapalała go nadewszystko myśl sławy. Nadzieje jego, na téj podstawie oparte, nie miały granic! Zdawało mu się, że warto wszystko, co człowiek nazywa szczęściem na ziemi, poświęcić temu jednemu ideałowi; albowiem sława wszystkie rodzaje szczęścia w sobie zamyka i jest już sama przez się szczęściem najwyższém. Zwolna, w latach dalszych, o których teraz mówimy, zaczęły

się przed oczyma poety rozpływać coraz bardziéj w nicość ułudy tego marzenia. W miarę im się więcéj zbliżał do sławy, tém się bardziéj przekonywał, że w niéj nie znaleść tego wszystkiego, czego się dawniéj od niéj spodziewał. Nęciła go ona wprawdzie i teraz jeszcze. Kiedy patrzał, jak w r. 1835, na małéj jednéj wysepce genewskiego jeziora, stawiano pomnik dla Russa, wobec całéj ludności miasta zalegającéj brzegi jeziora, przy nieustających wystrzałach z armat: wtedy w chwili, gdy wkładano złoty wieniec na głowę posągu tego wielkiego pisarza, łzy mu się polały z oczu. Właśnie tego samego dnia z rana był on otrzymał wiadomość z kraju, że jego Kordyan z powszechnym zapałem został przyjęty w Krakowie. Ta okoliczność tém bardziéj go nastrajała do rzewnego udziału w całéj owéj uroczystości ludowéj Nie mogła się nie zrodzić myśl w jego duszy, że kiedyś... i jemu może które z miast jego ojczyzny będzie oddawało w podobny sposób dowody czci przynależnéj... Uznania tego był Juliusz pewien. Wiedział jednak, że to nastąpi dopiero późno, kiedyś — kiedyś długo po jego śmierci! Wiedział, przeczuwał, że życie jego będzie już do końca takie smutne, jak dotąd, i że on pozostanie na zawsze taki samotny pomiędzy ludźmi.

„Tak się już teraz ograniczyłem w moich żądaniach, że żadne błyszczące marzenia nie śmieją kłócić mojéj spokojności. Inaczéj to było, kiedym był jeszcze dzieckiem! Pamiętam, że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia, bogactw i sławy obrazy. Niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojéj bujającéj myśli. Żal mi dziś nieraz, że ta władza marzeń zagasła we mnie. Jedyna myśl mię teraz pociesza w życiu — oto zdaje mi się, że jestem tém, czém być powinienem. Zdaje mi się, żem nie minął mojego powołania, że zapełniam sobą jednę małą kratkę na świecie.“ (d. 6 czerwca 1834).

„Czasem chodząc po alei ogrodu przy świetle księżyca, mam jakieś uczucie samotnéj dumy, które mię pociesza. Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie; a kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojéj ziemi. O takim teraz marzę powrocie“... (d. 5 lutego 1835).

Jakże odbijała od tego posępnego obrazu, w którym on sobie teraz swoję przyszłość malował, jasna, pogodna, prawdziwie sielska dola najmilszego jemu ze wszystkich poety zygmuntowskiego, a nawet obydwóch Kochanowskich!

„Prawdziwą rozkoszą dla mnie są oba Kochanowscy. Codzień odczytuję ich dzieła. Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swéj chacie — z żoną — z dziećmi! Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać — i do téj lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroszczę jego chaty — lipy — żony — dzieci — i czasów szczęśliwych, w których żył“.... (d. 27 kwietnia 1834).

I Juliusz marzył często o podobnym kąciku własnym, o ustronnéj chacie takiéj, w któréjby żył bez troski o jutro, nie pytając się o świat dalszy, — byle razem z matką, od któréj rozłączenie tém bardziéj coraz stawało mu się przykrzejsze, że w téj miłości synowskiéj, jak to sami widzimy, zamykały się wszystkie jego uczucia. Rzeczywiście matka zastępywała mu wszystko na świecie! Była to jedyna osoba na ziemi, którą gorąco kochał i w któréj miłość ku sobie wierzył. A Słowacki tak koniecznie potrzebował być choć przez kogoś kochanym! Gdyby nie ta matka, gdyby nie listy, które go do niéj idealnie przenosiły, gdyby nie ta niewidzialna opieka, pod któréj skrzydła myślą się tulił: toby mu życie na tém samotném wygnaniu było ciężarem nie do zniesienia, niepodobieństwem... Ileż on cierpiał, że do niéj wrócić nie może, że jéj — zamiast pociech spodziewanych — zaprawił resztki życia goryczą, sieroctwem, osamotnieniem.

„Mamo moja! tobie Bóg nagrodzi za miłość twoję dla syna jakiémś dziwném i niewymowném szczęściem — — Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami“... (d. 5 lutego 1835).

. . . „Syn twój z daleka ręce do ciebie wyciąga i prosi cię, Matko, abyś mu przebaczyła, że cię tak samą na świecie zostawił, bez żadnych przyjemności życia, pomiędzy pomnażającymi się codzień grobami rodziny. Mamo moja, czyśmy my starzy? czyśmy my przespali wieki lat, że tak nam wielu osób brakuje? Czy nas Bóg złączy kiedyś, dla tego abyśmy przed śmiercią mogli sobie powiedzieć, żeśmy żyli — abyśmy na zmienionych twarzach naszych wyczytać mogli tosamo słowo: Żyliśmy. ...Matko moja, uśmiechnij

się! Niech Ci przyjdą wesołe myśli — wesołe marzenia! Wrócę kiedyś — a jeżeli nie, to znajdę sobie za granicą ładną — dobrą — może nawet bogatą żonę... Będę miał synów — córki; wybiorę najpiękniejszego z synów i przyślę go na twoje kolana. Tylko Matko odpędzaj go od książek, niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsnąć! Daj mu zimną Eneidę, którój Julek częstém czytaniem nie podarł. — Niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci — niech nic nie zostawia po sobie, czego by mógł żałować"... (dnia 27 październi-ka 1833).

To były tylko myśli przelotne, wyrzeczone nie na seryo, — fantazye, któremi chciał tylko matkę rozerwać i rozweselić. Daleko też częściéj snuł on sobie marzenia, których celem ostatecznym był — nie powrót do Krzemieńca, ani też otoczenie się rodziną jako głowa familii, ale tylko maleńki domek własny i matka w nim. Nieraz w listach powtarzał, że teraz głównóm jego zatrudnieniem były marzenia, które się ograniczają do bardzo małéj rzeczy, to jest do własnego byle gdzie domku.

„Chciałbym mieć coś swojego na téj ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzéw i zieloności"...

Fantazya jego już mu go malowała w gotowych kształtach. Miała to być chatka biała jak śniég — z zielonemi okienicami, z czerwonym dachem — obsadzona różnofarbnemi malwami.

„Malwy są to moje ulubione kwiaty. Dziwnie, że je tak lubię, chociaż nie mają zapachu. Sądziliby z tego ludzie, że jestem zupełnie nieczuły."

Z tyłu, za domkiem, miało rość kilka jodeł i kilka brzóz drżących. Ścieżki byłyby wysypane żółtym piaskiem, i jaskółki gnieździłyby się nad gankiem. Wszystkoby w téj chatce było maleńkie, tylko salonik powinien być dosyć obszerny —

„abyśmy oboje mogli krążyć i mijać się łatwo; gdyż lubię kwiaty, tak jak Ty Mamo, i tak jak Ty powziąłem jeszcze i zwyczaj chodzenia długiego w kółku po pokoju. Śmieją się nieraz domowi, widząc mię krążącego jak gwiazda około marmurowego stołu po pokoju. Jedni myślą, że agitacyi używam dla zdrowia, inni, że wiersze składam i komponuję; a to jest tylko familijny mój nałóg. Tak chodząc, najczęściéj nie myślę o niczém, dogadzam tylko nie-

spokojności nerwów moich. — Kiedyż więc Mamo, obsadzimy mały nasz domek malwami? O! jakieby to szczęście było!“ (d. 13 lipca 1834).

Cel życzeń był tedy sformułowany, gotowy. Chodziło tylko o to, gdzieby osadzić na realnym gruncie ten obrazek w wyobraźni zrodzony? Chodziło o rozstrzygnienie pytania, w którym się kraju zjechać i osieść? Tu mu się na myśl nasuwały różne punkta. Lwów — Drezno — Kraków — którekolwiek z miast włoskich — wreszcie Genewa, w któréj już mieszkał... Każda z tych miejscowości trzymała uwagę jego czas jakiś wyłącznie zwróconą na się; po dojrzalszym jednak namyśle odsłaniały się trudności w praktyczném przeprowadzeniu projektu w życie, dla których niepodobno było łudzić się nadziejami. Klimat Krakowa wystawił mu ktoś jako niestósowny dla jego skołatanego zdrowia.

„Wielu mi mówiło, że tam choćbym największe ostrożności około mego zdrowia przedsiębrał, dłużéj nad miesiąc nie mógłbym wytrzymać.“ (d. 28 września 1834).

Zresztą tak do Krakowa, jak do Lwowa lub wreszcie do Drezna, okazywało się przeniesienie zbyt utrudnioném z powodu okoliczności politycznych, które nad wszelkie wyobrażenie były uciążliwe w tych latach. Wyprawa partyzancka do pewnych prowincyi polskich roku 1833, któréj intencye i szczegóły dotychczas mało komu w kraju są znane, nie pozwalała ani myśleć o wykonaniu projektów, jeżeli takowe dotyczyły powrotu emigranta w te strony. To też wyraźnie do téjto okoliczności odnosi się Słowacki, kiedy powiada:

„Nieszczęśliwe polityczne wypadki, do których się bynajmniéj nie mięszałem, nie pozwalają mi ani w prawo, ani w lewo. Miejsce, gdzie teraz jestem, mogę w pewnym względzie za rozległe uważać więzienie. Nie pojmiecie tego, jak nam źle, jak nigdzie przytułku nie ma“... (dnia 27 kwietnia 1834).

Co się nakoniec tyczyło zamieszkania wspólnego we Włoszech, albo też sprowadzenia matki do bardzo przyciśnionéj drożyzną życia Genewy: — i takowe okazywało się przy bliższém rozpatrzeniu także niepodobieństwem, a to dla braku dostatecznych funduszów. Majątek téj rodziny nie wystarczał na to, ażeby mieszkać mogli oboje w rzeczonych krajach.

Łudził się tedy biedny wygnaniec tylko przypuszczeniem jednego jeszcze projektu, który równie był niepraktyczny, jak wszystkie inne, chociaż miał więcéj pozorów.

Mówiono mi o jednym domku w Dauphiné we Francyi, o kilka mil od Genewy. Domek ładnie umeblowany, maleńki, wśród łąk, otoczony małą błękitną rzeczką, z ogrodem — słowem ładna mała pustelnia na pustyni. O półczwarty mili od niéj Lyon, miasto wielkie i największe po Paryżu we Francyi. Domek ten możnaby, jak powiadają, mieć za 10,000 franków, to jest za 18,000 złp. Prawda, że ziemia przyłączona do niego nic prawie nie przynosi, bo mały jest kawał téj ziemi; ale życie w tym domku byłoby wcale nie drogie. Jakby mi tam dobrze było z Mamą! Na zimę moglibyśmy jechać do Lyonu albo do Genewy, a skoro tylko słoneczko dogrzeje, uciekalibyśmy do naszéj chaty. W około najpiękniejsze okolice — śliczne góry — po górach zamki, dawne i odnowione. W tych zamkach na lato często przyjeżdżają i mieszkają panowie. — Powiédz mi, Mamo, czy Ci się nie podoba ten projekt. Czy może myślisz, że ja tak, jak Fortunat, zniechęciłbym się prędko cichém i samotném życiem? Tobie się może Mamo, wszystkie takie projekta wydają romansowe i niepodobne do uskutecznienia. Ale prawdziwie, że w tym wieku, gdzie tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnéj w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień, jak dawniéj szli do klasztorów. Gdybym wiedział, że jest jaki sposób zgromadzenia i zebrania naszych funduszów, to mówiłbym Ci o tym domku z jak najusilniejszém naleganiem. (d. 7 marca 1835).

Co matka na tę propozycyą odpowiedziała, nie wiem. Ale i ten projekt upadł.

Wśród takich niepowodzeń, można sobie wystawić, co się dziać musiało w duszy Juliusza, którego usposobienie skłonne było do melancholii już z urodzenia. Sposępniał, zgorzkniał, zobojętniał dla otaczającego go świata. Był w r. 1834 już zupełnie innym człowiekiem, jak w roku poprzednim. Wtedy, wszystko w Szwajcaryi było dla niego jeszcze nowością. Obudzało jego ciekawość, nasuwało nowe myśli, często nawet się podobało. Z jakąż niecierpliwością oczekiwał on był wtedy przy nadchodzącéj wiośnie przybycia owych wędrowców z najróżniejszych krajów do domu Pani Patteg, których mu zapowiedziano na lato! Z jakąż

dokładnością malował potém w listach ich wizerunki! Była to jakby jaka zajmująca galerya najrozmaitszéj szkoły obrazów, które nasz poeta studyował. W rok jeden późniéj nie miało to wszystko już żadnego interesu dla niego. Dom się zapełnił znowu nowemi figurami. Ale Słowacki zaledwie rzucił okiem na tych ludzi, którzy z nim żyli pod jednym dachem, i zasiadali do jednego stołu. Nic prawie o nich w tym roku nie miał już do doniesienia matce. Wszystko, co o nich pisał, zawiera się w tych oto niewielu rysach:

„Wiele zamorskich figur przemija teraz koło mnie. Jaskółki angielskie rozpoczęły swój przelot na południe — i teraz dwie damy i jeden Anglik mieszkają w domu naszym. Nie możęcie sobie wystawić, jak ci wszyscy wojażerowie są głupi, jak wszystkim czegoś nie dostaje! Jeszcze nie widziałem w domu naszym do rzeczy człowieka, ani przyjemnéj kobiety. Z żadnym nie można mieć rozmowy interesującéj. Wielu Anglików nie czytało Byrona! Inni o nim jak przez sen gadają. Cóż, dopiero zapytać się ich o europejskiéj literaturze! Damy dwie, które są w naszym domu, prześliczne z twarzy i z urody; ale już mię piękność ich gipsowa doskonale znudziła. Chciałbym, aby przez dzisiejszą noc zbrzydły, a nabrały dowcipu i przyjemności. Ale one zapewne nie chciałyby takiéj metamorfozy.“ (dnia 6 czerwca 1834).

Nie zajmował się tedy żywiéj niczém i nikim, nie bywał prawie u nikogo. Przez ciąg całéj zimy ostatniéj nie przyjął był żadnego zaproszenia na bale, bo go nudziły. Zaledwie dał się namówić pójść na kilka małych wieczorów, na których także nie szczególnie się bawił; główną bowiem zabawą, jak powiadał, było tam jadło i picie.

„O godzinie 7 zaczyna się kolacya — zasiadają damy i męszczyźni około stołu pełnego szynek, indyków zimnych z truflami i ciast cukrowych, któremi Szwajcarowie nad innymi narody celują, i przy takiéj kolacyi trzeba siedzieć aż do godziny 11 czasem.“—

Po takiéj heroicznéj próbie cierpliwości i — apetytu, zaczynały się tańce, a pomiędzy nimi czasem i mazur. Ależ jak też tańczono tego nieszczęśliwego mazura!

„Dwadzieścia już z górą osób płci obojéj uczyłem z różnym skutkiem tańcować mazura, ale żaden męszczyzna

nie umie ani w takt biegać, ani à propos uderzyć w podkówkę.“ (d. 20 lutego 1834).

Owoż pojmie to pewnie każdy, że tryb taki spędzania wieczorów także nie przyczyniał się bardzo do zachęcenia naszego poety, ażeby więcéj się oddawał towarzystwu, aniżeli samotności. A chociaż czuł, że takie wegetowanie, takie trawienie się w sobie samym nie może być dla nikogo korzystném, i chociaż go matka za to strofowała w swoich listach, że nie żyje z ludźmi: rzeczy to wszystko jednak nie zmieniało. Odpisywał jéj w takim razie:

„Czuję sam sprawiedliwość twoich Matko wyrzutów i co zimy staram się poprawić. Zaczynam wizyty — i znów odpadam w dawny grzech samotności. Widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie. Szczęściem to dla ludzi, że nie jestem niczém“... (d. 28 września 1834).

Teraz zwróćmy uwagę naszę na wewnętrzne życie poety—na jego zajęcia umysłowe, na to co czytał i co pisał w ciągu roku 1834.

Po napisaniu Kordyana oddał się przedewszystkiém studyom filozofii, i to głównie filozofii niemieckiéj. Wpływu jéj w pismach jego wprawdzie nie widać; że był jednak czas, gdzie się nią dosyć zajmował, o tém wspomina w kilku ówczesnych listach do matki.

„Pracuję teraz ciągle — czytam bardzo wiele — rzuciłem się cały w filozofią niemiecką. Pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moję imaginacyą.“ (d. 3 stycznia 1834).

Pomiędzy doręcznemi dziełami, które szczególniéj rozczytywał, stawiał na pierwszém miejscu i „niewyczerpaném dla siebie źródłem pociechy“ nazywał pisma obydwóch Kochanowskich, i Biblią. Wzięcie do rąk pisma św. zawdzięczał przypadkowi. Oto ów misyonarz angielski, nazwiskiem Wolf, któregoto w dość śmieszny sposób opisywał w przeszłorocznych listach swoich, jako sąsiada i prozelitę pracującego nad jego nawróceniem, zostawił mu na pamiątkę już na wyjezdném stary i nowy Testament, a

przytém i kilka innych dzieł teologicznéj treści. Tych Słowacki czytać nie myślał, ale za Biblią był mu bardzo wdzięczny.—„Ta księga, są jego słowa, każdemu człowiekowi w życiu towarzyszyć powinna." — Była ona oczywiście w języku angielskim. Słowacki postarał się niezwłocznie o pismo św. w polskim języku i już w lipcu (1834) donosił: „Do mojéj polskiéj biblioteki przybyła mi Biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam." — Z obcych poetów przenosił nadewszystko Szekspira i Danta. Od czasu, jak wyjechał z Paryża, zastąpili oni u niego miejsce dawniéj zajmowane prawie wyłącznie przez Byrona. Z francuskich nowoczesnych pisarzów najwięcéj uderzała go zaczynająca się właśnie w owych latach dopiero wsławiać Georges Sand.

„We Francyi jest teraz nowa autorka, która wkrótce panią Stael zaćmi. Jestto rodzaj Byrona w spódnicy, to jest Byrona w prozie. Nie wiadomo dotychczas z pewnością, jak się nazywa, bo się ukrywa pod męskiém imieniem Georges Sand. Ale pewnie jest kobietą. Niektóre dzienniki pisały, że się nazywa pani Dudevant. Napisała trzy romanse prześliczne, ostatni dziwny i bardziéj do poematu, niż do romansu podobny." (d. 24 marca 1834).

W tymże samym liście donosił także o własném dziele, które miał wtedy pod ręką, a które było więc pierwszą jego pracą większą od czasu ogłoszenia Kordyana. Wzmianka ta tém bardziéj jest ciekawa, że dzieło, o którém mowa, nie zostało wydaném i nawet w pozostałych papierach doszukać się po śmierci poety nie można było ani śladu tego utworu.

„Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donosić Ci zamierzyłem, otóż donoszę Ci Mamo, że teraz zajęty jestem pisaniem nowéj tragedyi o Wallasie, szkockim rycerzu. Wiesz, co mię do niéj przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą... Przypomniało mi się, że kiedyś w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz Wallasa życie". Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moję imaginacyą. Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy — która Wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potém czytałem romans: Les chefs Ecossais. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smu-

tnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomięszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedyi nie romansowo, ale w historycznéj prawdzie maluję tego człowieka; ale układając tragedyą — i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca — aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty. Tragedyą tę poświęcę pamięci Jasia.*) Zobaczycie, że będzie jeżeli nie dobra, to przynajmniéj niepospolita. Otóż widzisz Mama, że ja zawsze taki sam. Ciągle układam kamyki na własny grobowiec — a życie puszczam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mię — i obchodzą kołem — mówiąc: nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowéj marzy... O Mamo, ale ja jestem szczęśliwym — tak jak jestem; i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą! Zdaje mi się, że chléb, który spożywają, musi pachnąć nicością.“ (dnia 24 marca 1834).

Byłto zatém pierwszy płód zrodzony tego roku, owoc miesięcy wiosennych. Przez całe lato fantazya poety potém, jak zwykle, wypoczywała. Z jesienią — znalazło się znowu natchnienie i zrodziło w ciągu miesiąca października jeden z celniejszych utworów Słowackiego, znowu dramat — Mazepę. Okoliczności towarzyszące powstaniu téj sztuki są opisane w następujący sposób:

„Wytańcowawszy się na jednym wieczorze (u pani W., Polki bawiącéj wtedy z rodziną swoją w Genewie,—wieczór ten dany był w ostatnich dniach września), „wróciłem do domu, i jak na nieszczęście, ponieważ to zwykła pora roku, w któréj mię napada poetyczna kanikuła już od lat czterech bez wyjątku, gdyż w téj porze rodzę zwykle, nazajutrz po wieczorze przyszła mi myśl jakaś do głowy. Myśl ta galopowała tak przez cztery godziny, że stała się długą na pięć łokciowych aktów. I nie dziw, że galopowała, bo też myślałem o galopującym Mazepie. Jakoż we dni kilkanaście napisałem tragedyą, na któréj byś płakała Mamo, jeżeli nie po Mazepie, to po Julku. Mazepa ten jednak nie wygalopuje na świat tego roku, bo handel przecięty — i z książkami źle idzie. Więc będę cierpliwy — poczekam rok jeden, czy się spusty bibliotekarskie nie otworzą... Tym-

*) Jana Januszewskiego, wuja Słowackiego.

czasem niech Mazepa leży w tece; a jeżeliby mię wicher jaki zmiótł z tego świata, nim go wydam, to proszę was i zaklinam, abyście się o ten płód u pani Patteg dopomnieli i wydali kiedyś na świat — nie zapomnijcie!.. Ale co ja bzdurzę o wichrach zmiatających ludzi ze świata, kiedym zdrów jak ryba — kiedy nawet krew, co mi nieco do głowy biła po napisaniu gwałtowno-krwawéj tragedyi, Bóg łaskawy nie pijawkami, ale prosto krwotokiem z nosa sprowadził na dół — i nawet od lekkiego zapalenia takim prostym sposobem mię uchronił." (d. 7 listopada 1834).

Po napisaniu Mazepy, jednostajność i bezbarwność życia więcéj się Juliuszowi dawała w znaki, niż kiedykolwiek.

„Nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy — pisał w liście z d. 18 grudnia 1834. Nie wiem, dlaczego, ale głębsza niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie... Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami mojemi podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jedném miejscu — nakoniec znużony wywraca się i usypia pod kominem."

Na taką słabość nie było lepszego lekarstwa, jak rzucić się w nową pracę. Tak się też stało.

„Całe dnie (pisał daléj w tymże liście) przepędzam w domu przy moim kominku — ale długie wieczory przez te dwa miesiące (od 18 października do 18 grudnia) trawiłem na pisaniu. Od kilku dni dopiero skończyłem moje prace, i teraz czuję jakąś odrętwiałość. Zdaje się, że przez ten czas natężone władze myślenia rozkręcają się teraz jak struny jakiego instrumentu — i za kilka dni powrócę do zupełnéj ciszy zwyczajnego życia. To smutno! Już wieczorem żadne mary nie przyjdą mię nawiedzać — żadna idealna piękność nie uśmiechnie się do mnie! A tyle idealnych figur przeszło przez mój pokój, w ciągu tych dwóch miesięcy. Niektóre wyszły przez okna — inne spaliły się w żarze kominka — inne nareszcie zostały zasuszone w papierze, jak bratki, albo inne kwiatki niepełne"...

„W przeciągu miesiąca upłynionego napisałem nową sztukę teatralną — niby tragedyą, pod tytułem Balladyna. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny.

Zobaczysz kiedyś Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do staréj Ballady—ułożona tak, jakby ją gmin układał, — przeciwna zupełnie prawdzie historycznéj — czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak starałem się aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca... Nie mogę Ci tu dać kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności o mojéj tragedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stanęła kiedy przy królu Lirze! — Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami — i już tak jest od dwóch lat; im więcéj się w obydwóch wczytuję, tém więcéj widzę piękności. Mamo moja! jakże ja byłbym szczęśliwym, gdybym mógł z tymi dwoma umarłymi usiąść pod jaką lipą albo dębem, przed moją własną chatą — w mojéj rodzinnéj ziemi — i marzyć — i pisać marzenia — i gwarzyć z tobą, kochana Mamo — i opowiadać Ci z zapałem plany moje poetyczne, tak jak niegdyś bywało. Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w Richardzie II. Rycerz skazany na wygnanie ubolewa nad swoim losem i mówi: „Język mój będzie mi teraz niepotrzebnym, tak właśnie jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwięziłeś język w ustach moich. Zanadto już jestem stary, abym jak dziecię wziął znowu mamkę. Wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmowną i niemą śmierć.“ — Te słowa zawsze czytam z głębokim smutkiem“... (d. 18 grudnia 1834).

Z powodu że Mazepa i Balladyna powstały prawie w jednym ciągu i czasie, nastręczyło się autorowi mimowolnie porównanie tych dwóch utworów ze sobą. Wypadek porównania tak dalece był korzystny dla ostatniego dziecięcia, a niepomyślny dla rychlejszego dramatu, że nie wiele brakło, a byłby to życiem przypłacił ów płochy pazik Jana Kazimierza.

„Zakończyłem moje zimowe prace (pisał dnia 5 lutego 1835), i z dwóch tragedyi jedna mi tylko została, bo jednę spaliłem w moim kominku. Mazepę taki smutny los spotkał. Druga zaś, Balladyna, jest moją faworytką, i będzie czekała, aż będę miał czém posmarować prasy drukarskie. Zdaje mi się, że mnie moi księgarze haniebnie oszukują, bo mi przestali posyłać rachunki i milczą jak krety w norze, czekając zapewne mojéj osobistéj wizyty. Prawdziwie, że nikomu na świecie zaufać nie można, a

mniéj, niż innym, ufać trzeba ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tém położeniu jest jegomość, który się trudni mojemi książkami. Cóż więc robić? Trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumienie.“

Dla braku tedy funduszów nie drukował Słowacki nic zgoła od czasu ogłoszenia Kordyana (1834) aż do r. 1838. Balladyna wyszła dopiero 1839. Poeta się wykosztował na publikacye swoje poprzednie, a koszta się nie wracały.

W obec stanowczego doniesienia powyższego o spaleniu Mazepy, nie wiedzieć, jak sobie tłómaczyć, że utwor ten jednak późniéj wydany został. Albo go poeta w następnych czasach napisał powtórnie i lepiéj, niżeli pierwszą razą; albo też miał wtedy tylko zamiar zniweczenia tego dramatu i donosił o zamiarze, jakby o rzeczy dokonanéj, a późniéj jednak wstrzymał się z dopełnieniem już zapadłego wyroku. Które przypuszczenie w rzecz trafia, niepodobno dzisiaj rozstrzygnąć. Mnie się atoli zdaje, że więcéj ma za sobą prawdopodobieństwa drugie, niż pierwsze.

Obejmując teraz jedném spojrzeniem to wszystko, cośmy w powyższém opowiedzieli z osobna, widzimy, że przez cały ten czas spędzony w Genewie, skierowana była usilność Słowackiego głównie ku dramatycznéj niwie poezyi. Kordyan (1833) — Wallas — Mazepa — Balladyna (1834) — oto dzieła bez przerwy następujące jedno po drugiém, a same sceniczne. Rok 1834, smutny skądinąd w życiu Juliusza, nie był tedy pod każdym względem taki niewdzięczny. Owszem, w zawodzie autorskim — było to jedno z jego lat najświetniejszych; w każdym razie był to rok urodzaju, że tak powiem, był to rok trzech żniw...

W ciągu wiosny 1835 widzimy poetę zajętego jeszcze jedną nową, większych rozmiarów pracą, i znowu dramatyczną. Byłato to jedna ze sztuk nigdy za życia jego nie drukowanych i niewiadomo, jaki był tytuł tego utworu. Oto, co pisał o tém do matki d. 24 maja 1835:

„Piszę teraz więcéj, niż kiedykolwiek, a co dziwniejsza, że piszę prozą. Abym ci dowiódł Mamo, jak Ty jesteś zawsze przytomna moim myślom, jak chciałbym wspomnienie Twoje ze wszystkiemi marzeniami nawet poetycznemi połączyć, powiem Ci, że jedna z heroin mojéj nowéj

tragedyi nazywa się Salomeą. Zobaczysz kiedyś, że piękna jak lilia, i nieszczęśliwa prawie, jak Ty — tylko z innych przyczyn. Bóg wie, dla kogo ja to piszę i kiedy to wyjdzie? Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie — i stąd więcéj może będzie naturalności — i bardziéj rozwinięte zarysy. Kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat — może mały Staś, jak dorośnie"...

Sztuką, o któréj tu mowa, nie jest Sen srebrny Salomei, jak może niejeden z czytelników moich wnioskuje. Sen Salomei jest napisany wierszem, i powstał w czasach późniejszych, dopiero w okresie towianizmu. A ta sztuka była pisana prozą i w r. 1835.

Pomiędzy papierami, stanowiącymi cały zapas autorskiéj pozostałości po Juliuszu Słowackim do rąk moich oddanéj, odszukałem rzeczywiście rękopis zdefektowany, z wydartemi kilkunastu kartkami tak z końca jako też tu i owdzie ze środka, z początku zaś tylko uszkodzony o tyle, że mu tu braknie jednéj karty, na któréj być musiał tytuł dzieła zapewne i spis osób w niém działających. W tym rękopisie znalazł się dramat w 5 aktach, prozą pisany, o którym nie wątpię, że jest owém dziełem dokonaném roku 1835 w Genewie, zwłaszcza że jedna z pierwszorzędnych figur do niego wprowadzonych nazwana jest Salomeą. Wcieliłem go do zbioru pism Słowackiego pozgonnych i dałem mu na chybi trafi tytuł **„Horsztyński."** — Wprawdzie więcéj zdaje się być prawdopodobném, że główną rolą w téj tragedyi była rola Szczęsnego, tak iż imię to właściwiéj się nastręczało na tytuł sztuki, niżeli tamto. Nie śmiałem jednak dawać w taki sposób domysłowi temu niejako sankcyi; albowiem skądinąd powstają wielkie wątpliwości, żeby poeta był się miał oprzéć tutaj przedewszystkiém na téj naturze tak pod moralnym względem nijakiéj i tak też zresztą biernie tylko działającéj w całém tém zawikłaniu. Ale jestto zawsze jedna z postaci i najstaranniéj przeprowadzonych i z widoczną predylekcyą autora — prawdziwy typ człowieka ośmnastego wieku, obdarzonego wyższymi instynktami i przeznaczonego na coś zupełnie innego, gdyby duch czasu, otoczenie i jakiś fatalizm wiszący nad tą całą rodziną nie były w nim zwichnęły tych szlachetnych zarodów. — Rola Salomei



zajmuje także jedno z miejsc nieposlednich w dramacie. Wina téj kobiety, gdyby nam był znany koniec całéj intrygi, okazałaby się zapewne mniejszą, niż się to zdaje w obecnym stanie téj sztuki. Wnoszę zaś o tém ze słów Słowackiego, danych rozstrzelonym drukiem w przytoczonym wyżéj ustępie listu jego do matki. Pomimo tego, i Salomea jednak nie jest osobą, któréj imię mogłoby posłużyć za firmę dla całego utworu. Nawet w razie, gdyby się przypuściło, że w zaginionych scenach donośniejszém jeszcze być mogło wszystko, co ona czyni i cierpi: ograniczają tę rolę do czegoś tylko drugorzędnego owe słowa poety w korespondencyi: „jedna z heroin.“ — Z tych przyczyn wolałem tedy oświadczyć się za Horsztyńskim i zdaje mi się, że w tym szlachcicu lepszéj przeszłości, imponującym majestatycznie nawet w scenach, gdzie nie znajduje w sobie dość siły, żeby się oprzéć rozpaczy, zgromadził autor wszystkie promienie dodatnich świateł, kontrastujących z posępnością tego obrazu.

Ocalone sceny tragedyi, o któréj tu mówimy, są nierównéj wartości. Obok ustępów potężnéj siły i prawdziwie dramatycznéj werwy, znachodzą się i sytuacye przewlekłe, zapełnione tą ckliwą melancholią, od któréj poeta nasz w owych latach nie był jeszcze zupełnie wyleczony. Sądu jednak o tém wszystkiém dać stanowczego nie można; z powodu bowiem, że jak na złość przypadają na sceny zaginione właśnie najkrytyczniejsze chwile w toku całego działania: niepodobna wyrzéc na pewne, co tu stanowiło główny węzeł intrygi i jakie autor dał rozwiązanie jéj zawikłaniu. W skutek tego pozostaje więc niewiadomém, jak się części dramatu poszczególne miały do ogólnéj całości; i jaki był stósunek poety względem figur w nim działających, to jest w jakich miarach porozdzielał on swoję sympatyą między ludzi, których różne usposobienia maluje. —

Teraz przystępuję do opisania ustępu w życiu mego poety, który mocno kontrastuje z resztą dni jego. Sprawia on wrażenie podobne do owéj chwili, kiedy śród całodziennéj słoty błysną ukradkiem z za obłoków promienne wróżby lepszego jutra. Wła-

śnie w czasie, kiedy powstawał wspomniany powyżéj dramat, zaczęło się w podobny sposób rozpogadzać w sercu poety. Świat zaczął mu się zdawać piękniejszym. Były to dni trwającéj właśnie wiosny. Wiosna sprowadzała zwykle nowe życie do domu, w którym gościł Słowacki. Ale tym razem nie wiosna była przyczyną, że i on teraz godzić się na to zaczynał, że to życie jest piękne. Do niego zaczęło się wtedy uśmiechać jeszcze coś więcéj, jak samo tylko słońce na niebie...

Osoba, którą wtedy się zajął, — o ile z listów jego wnosić — nie bez pewnéj wzajemności i z drugiéj strony, była mu już znana od dość dawnego czasu. I dziwna rzecz! z początku ani cienia nie było jakiejkolwiek rodzącéj się pomiędzy nimi skłonności. Przeciwne, rychlejsze wzmianki Juliusza o pannie Maryi W. były tego rodzaju, że na pewne wnosićby można, że mu się ona w pierwszéj chwili raczéj nie podobała.

Rodzina ta polska bawiła w Genewie już od r. 1833. Znajomość Słowackiego z tym domem datowała od listopada, tegoż roku.

„W tym miesiącu — pisał był zaraz po pierwszém poznaniu, dnia 30 listopada 1833 — miałem kilka wieczorów. Wprowadzony byłem do domu pani W., która tu mieszka z synami i z dwoma córkami. Starsza — dorosła już panna, ale wcale nieładna, gra ślicznie na fortepianie. Field będąc tu, dawał jéj lekcye, i gra zupełnie Fielda metodą; więc jéj granie bardzo mi miłém było“...

Tak więc opisywał poeta swoję Maryą po pierwszém z nią się poznaniu. Taki nic zgoła nie obiecujący był téj znajomości początek.

Od owéj chwili bywał Słowacki w domu pani W., ale rzadko i tylko raczéj, że się tak wyrażę, z obowiązku towarzyskiego. W miesiącu sierpniu 1834, zdarzyła się sposobność zawiązania bliższéj znajomości. Pani W. zamierzyła odbyć z dziećmi podróż po najpiękniejszych okolicach Szwajcaryi i zaproponowała Juliuszowi, ażeby im towarzyszył.

„Nie mogłem oprzéć się pokusie“ — pisał za powrotem z téj wycieczki, d. 21 sierpnia. Wziąwszy więc mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem

na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojém nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez 20 dni przemijały przed mojemi oczyma... Ileż razy chciałbym był trzymać Cię Mamo za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągła miejsc sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnemi miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną. Różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjacioły... różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich — było mi smutno i miło“...

Ponieważ wiele obrazów i wiele wspomnień z téj podróży weszło późniéj, przepuszczone przez idealny pryzmat poezyi i oddalenia — w skład jednego z najpiękniejszych poematów, jakie tylko stworzył Słowacki, nie od rzeczy tedy będzie zamieścić tu kilka dokładniejszych szczegółów o owéj wędrówce szwajcarskiéj, ile że opis jéj dany w korespondencyi poety, zawiera w sobie ustępy, które, jak sądzę, i bez względu na tę uboczną ich ważność mile będą przez każdego czytane.

„Abyś mię sobie Mamo dobrze wystawić mogła, muszę Ci opisać mój fantastyczny ubior. Miałem płócienną bluzę haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką — pas czarny skórzany — białe szarawary — kapelusz ze słomy białéj i czarnéj pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką — do tego na grubéj podeszwie trzewiki — i kij wyższy odemnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób. Pani W., dwie jéj córki — panna Maryanna, młoda ale nie ładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernatka Francuzka, panna M., trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani W. i jeszcze jeden młody Żmudzin, i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał; ale też nie było nieznośne; owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonią. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, — nie zawsze jednak!

Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi — pożegnałem oczyma Paquis — i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppet, gdzie pani Stael mieszkała — potém Lausanne, Vevay, z drugiéj zaś strony skały Meilleries, sławne skały, skąd kochanek Heloloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon, i nakoniec wylądowaliśmy w Villeneuve.“

Tam czekał na nich najęty powóz i zawiózł ich do Bex, gdzie przenocowali i zwiedzili tamtejsze kopalnie soli. Trzeciego dnia podróży, powędrowali ku klasztorowi św. Bernarda.

„Wszyscy męszczyźni szliśmy pieszo dzień cały, drogą przez Napoleona wykutą. Z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami — chaty nędzne — ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb ubogiego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamo moja! jak mi się ludzie wydawali mrówkami! O godzinie 5 wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów — potém między skałami, w ciemném i mglistém powietrzu ukazał się klasztor... Ksiądz Gwardyan w czarnym habicie stał na ganku — pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty — za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno-ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten gdyby nie był przez mnichów zamieszkały, byłby prawdziwie zachwycający! Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz Gwardyan, świecki i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nieźle by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spaliśmy w celach zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące towarzystwo około kominka, śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok! w różnych pozycyach zmarli siedzą — leżą — jedni do szkieletów podobni — drudzy czarną skórą powleczeni... okropny to widok!“

Stamtąd weszli znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęli u stóp góry skalistéj, żółtego koloru, nazwiskiem Ghemi. Ta była tak stroma, że nie do góry, ale do sterczącego w niebo muru była podobna. Wnijście na nią zabrało im, na mułach jadącym, trzy godziny. Droga w gzygzak

wykuta, ciągle wisiała nad przepaścią. Po drugiéj stronie téj góry znaleźli przecudną okolicę. Była to dolina z najpiękniejszemi drzewami i kwiatami; na pochyłości stoku kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety.

„O matko, ileż razy w tych miejscach myślałem o Tobie! Ileż razy cisnął mi się do moich ust refrain Göthego:

„Czy znasz ten kraj? znasz go o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś Ty ze mną była“...

Następnie wsiedli do łódki i płynęli jeziorem Thoune-Brienz do sławnéj kaskady Giesbach.

„Patrząc na nią (powiada nasz wędrowiec), przychodziła mi na myśl Zofijówka, a potém łańcuch myśli rozciągał się daléj, aż do Wierzchówki... Byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu“...

„Po odwiedzeniu wodospadu Giesbach, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Luzern; my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanéj wolności, poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopiero wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami“...

Zwiedzili Lauterbrun i podziwiali kaskadę Staubach— „któréj spadająca woda nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiéj wysokości zamienia się na wstęgę mgły białéj i leci na dolinę.“ Widzieli w niedalekiéj oddali Jungfrau wiecznym śniegiem pokrytą, „co stoi jak olbrzym biały.“ Przebiegli nieopisanéj piękności dolinę Gründelwald. Tu dochodziły ich huki spadających z najwyższych szczytów lawin, do grzmotu dalekiego podobne. Weszli na górę Faulhorn i nocowali w oberży na jéj szczycie, ażeby mieć nazajutrz z rana sposobność przypatrzenia się wschodowi słońca. Patrząc na słońce wschodzące, kiedy ich mgły naokoło owiały, zdawało im się, przedzielonym temiż mgłami od reszty świata, że stoją na pokładzie okrętu płynącego do nieba. Podobny widok mieli i z góry Rhigi przez którą także wiodła ich droga. Idąc tak przez dolinę Oberhassli—Rosenlauen—Grimsel, a potém drogą św. Gotarda, przechodzili przez sławny most-dyabli na niéj, i nareszcie po 9 dniach takiéj wędrówki, jeziorem czterech kan-

tonów, najpiękniejszém ze wszystkich jezior szwajcarskich, przybyli do Luzern, gdzie na nich damy już od dni 7 czekały.

Zwiedzili potém jeszcze wszyscy razem kaplicę Wilhelma Tella i owę skałę, na którą Tell wyskoczył, odepchnąwszy Geslera na jezioro. Nareszcie przez Bern powrócili do domu. —

Powrót ten dał im się uczuć jakby przejście z poezyi w prozę.

„Zastałem dom pełny cudzoziemców, i może to z téj przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę; bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie — gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale on zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością“... (d. 21 sierpnia 1834). —

Czytając cały ten opis podróży w listach Juliusza, zachwycać się można nieprzebraném bogactwem najpoetyczniejszych obrazów, które co krok przeplatają opowiadanie. Ale nie ma tam jeszcze ani śladu tego wszystkiego, czém tchnie ów wspomniany już wyżéj poemat, choć w nim odnajdujemy niektóre sceny i daty, podane w korespondencyi że tak powiem, w materyale surowym. Była na przykład i w listach już wspominana kaplica Tella i lawiny i pokłady lodowe i wreszcie „owa w szwajcarskich górach cudowna kaskada, gdzie Aar wody błękitnemi spada.“ Ale dopiero poemat dodaje do tego wszystkiego:

„Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tam zakochały się w niéj moje oczy,
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niéj przez kaskadę lecieć“...

. . . .

„Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,

Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,
A ona tak mię prowadziła wszędzie" itd.

W ogóle tego kolorytu miłości, pozłacającéj te wszystkie w rzeczywistém świetle oglądane obrazy — nie ma jeszcze w korespondencyi, jako go nie było wtedy jeszcze i w uczuciach Juliusza. Miały się one tą barwą eterycznéj błogości rozpromienić dopiero późniéj. Fantazyi to więc poetyckiéj tylko dziełem jestże tego co nastąpiło potém, znajdujemy już odblask na tle wrażeń przeżytych wtedy.

W następnych miesiącach stósunek Słowackiego do domu pani W. nie zmienił się w niczém. Bywał on tam rzadko kiedy, tak iż mu nawet wymawiano, że tak zaniedbuje swoich towarzyszów podróży. Przyjął jednak zaproszenie na kilka tańcujących wieczorów, na których donosi że się bardzo dobrze bawił. Pomimo tego, jeszcze w listopadzie 1834 skarżył się, że mu nudno w Genewie; jeszcze w lutym 1835 wspominał o pannie Maryannie, że „ma wiele wdzięku dobrego serca, ale nieładna!" jeszcze w marcu donosił, że skoro tylko nadejdzie wiosna, będzie się starał „wyrwać z tego nudnego miasteczka, gdzie pleśnieje jak ostrzyga nad jeziorem." W tymże samym jednak już liście (z d. 7 marca 1835) możnaby schwytać poetę naszego jakby na słówku mimowolnie rzeczoném, które w nim zdradzało coś, do czego się jeszcze wtedy nie przyznawał przed sobą samym.

.... „Jestem dosyć sentymentalną figurą i mam czasem dziwne przeczucia. I tak panna W. zaatakowała mię niedawno, abym jéj w sztambuchu kartkę białą zabazgrał. Zaraz przy stole usiadłem — umoczyłem pióro i te płaczliwe wiersze napisałem méj towarzyszce po alpejskich górach:

„Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali...
Tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.
A po latach — wróconym ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta —
Jechali błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,

Wszyscy pod jeden ganek. Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół. Są wszyscy — są wszyscy. —
Przy jednym siedzą stole — przy czarach nalanych —
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy!
I nikogo nie braknie oprócz — zapomnianych...
Młoda Marya do tańca każe stroić lutnię
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: ach! kogoś braknie"…. Tu podkówka utnie
W takt mazurka. „On umarł" sąsiad odpowiada.
— „Cichoż na jego grobie?" — „Słowików gromada
Śpiewa na srebrnéj brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze" — —

W miesiąc, czy we dwa po wpisaniu do sztambucha tych wierszy, tak się okoliczności złożyły, że pani W. zamierzając w ciągu nadchodzącego lata wyjechać już z Genewy, a nie mając zamówionego mieszkania na te kilka miesięcy, które ją z dziećmi jeszcze zatrzymać miały w Szwajcaryi, zajęła kilka pokoi w „pensyonie" pani Patteg, a więc w tymsamym domu, w którym mieszkał Słowacki. Było to w pierwszych dniach maja. Mógł tedy teraz już autor powyższego wiersza w albumie, donosić matce więcéj zajmujące o sobie wieści.

„Ja teraz w liczném towarzystwie domowém wesoło dosyć czas przepędzam — przynajmniéj mam z kim pogadać, a czasem potańcować... Miałem bardzo przyjemną scenę. Oto damy tu miały u siebie dzieła mojego ojca, i położyły je na stoliku, otwarte na portret jego. Nie mogę Ci opisać Mamo, jakiego doznałem wrażenia, spostrzegłszy nagle jego wesołą, pogodną i uśmiechającą się twarz. Zdawało mi się, że przyszedł do mnie pytać się o moje życie i zostawić mi naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia"... (d. 24 maja 1835).

Wśród takich cichych, miłych, życzliwie nastrajających zdarzeń domowych, odbywała się zwolna i niepostrzeżenie jakaś przemiana w sercu poety. Widując się po kilka razy na dzień z paniami, przysłuchując się melodyom, które z dziwną rzewnością wygrywała uczennica ulubionego mu Fielda, uczestnicząc z ochotą we wszystkich zabawach i wycieczkach, jakie wspólnie

układali do pobliskich okolic miasta, grał Juliusz z dziećmi pani W. w zająca z pustotą dziecka, a w listach ciągle powtarzał: — „Jestem w domu pełnym dźwięku mojéj rodzinnéj mowy“... „dosyć mi dobrze teraz na świecie“!..

... „Koszono siano w naszym ogrodzie. Dziwna i interesująca nowina, że koszono siano! Ale wystaw sobie Mamo, jak to miło czuć woń przeszłości. Pamiętam, że raz w Mickunach stojąc na łące przy koszących ludziach, wyjąłem jakiś srebrny pieniążek, zdaje mi się, że złotówkę, i dałem ją chłopu, który wszystkich innych wyprzedzał. O laur, o nagroda! Nie byłże ze mnie mały Czacki? — Otóż kiedy skoszono siano, wyszliśmy wszyscy po śniadaniu i położyliśmy się na kopach rozrzuconych — panie i panny i chłopcy — i tak leżeliśmy całą niedzielę, święcąc dzień boży, nie myśląc o niczém, odurzeni zapachem umarłéj i i zabitéj trawy“...

„List ten noszący cechę mego teraźniejszego usposobienia, najlepiéj Ci Mamo przedstawi mnie w takim humorze, w jakim teraz żyję. Atmosfera imaginacyi — kraj przeszłości — wyspa ideału — przerznięta rzeką łez — o jakże to niemieckie! Ale dalibóg prawdziwe! Panna Marya W., która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczém nie marzy, jak o pustelniczym domku — nad rzeczką, o czarnéj sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja en personne — nie kto inny. Dowodzę jéj jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów — dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowém wspomnieniem zdobyć liliowéj duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszéj realności.“ (d. 30 czerwca 1835). —

Otóż taki był początek i taki przebieg dziejów téj szczególnéj w swoim rodzaju miłości. Przelotny to epizod w życiu poety jak krótki sen! Odbija od reszty życia, jak mała zielona oaza, rzucona na rozległe rozłogi spiekłego stepu. Miłość ta wzrosła tajemnie — żyła eterycznie, niewyznana, bez nadziei, choć może nie bez niejakiéj wzajemności — i rychło pogrzebana została. Z mogiły, w któréj zamknął jéj wspomnienia poeta, wytry-

snął kwiat — czysty jak lilia wodna, a smętny jak płacz. Tym kwiatem był poemat napisany niedługo potém: „W Szwajcaryi“...

Doskonałym komentarzem, dlaczego te uczucia pozostały, jak prawdopodobnie, nawet dla saméj Maryi wprawdzie może odgadywaną, ale nie wyznaną jéj tajemnicą — jest miejsce w jednym z rychlejszych jego listów (z d. 24 maja 1835), a które oto następuje:

„O! jak ja się zawiodłem, myśląc kiedyś, że pisząc zrobię sobie pewny dochód, niezależny od okoliczności; że kiedyś będę w stanie ofiarować Ci Mamo przynajmniéj na rok gościnny pokój za granicą; że kiedyś będę Ci służył do stołu — i całował ręce Twoje — i klękał przed Tobą i dziękował za wszystko, coś uczyniła dla mnie. Nie! Bóg mię zapisał w księdze przeznaczenia w wielkiéj rodzinie tych ludzi, o których po śmierci powiadają księgi, że... Nie chcę dokończyć, bo już Cię raz droga Mamo, nieuważne słowo w liście moim przeraziło. Ale nie jeden ja nie mogę wyłamać z głowy chleba! Oto Adam... ożenił się — co rok dwa wydał dzieła — i teraz musiał odprawić sługę, a żona jego sama trudni się kuchnią!... Czy tam u was kalendarze zajmują miejsce na policach bibliotek? Trzeba jednak nie upadać. Walka z obojętnością ludzi podobna jest do walki Tytanów... Rzuca mi na czoło wielkie światło piorunu — będę pięknym kiedyś“...

W ciągu lata zaczęli się państwo W. wreszcie coraz bardziéj sposobić do podróży; zbliżała się chwila ich odjazdu do kraju.

„Mąż pani W. przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi! wracają — wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia — usnuć sobie domowe szczęście — żenić synów — wydawać za mąż córki — zasadzać ogrody — siać zboże — budować i przybudowywać domy — patrzeć na zachód słońca — wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciołmi, z wiejskiém sąsiedztwem... Zazdroszczę! choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza — bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć, jak Luter patrząc na groby w Worms: Invideo, quia quiescunt. Zazdroszczę, bo cicho spoczywają! Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz Mamo te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijące się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleść

taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć! To bardzo mistyczne i ciemne, Matko moja! Lilia wodna niech się Tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dziewczkę — a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragedyach — z takiém długiém westchnieniem kona moja nadzieja... Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margerytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnéj koniczyny: i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zdaje się jednak, że musi coś czekać!"..

. . . „Myślę za miesiąc wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiéj chacie — oberży, aby widzieć chmury jesienne łamiące się po skałach, aby się napoić pięknością natury i mieć na długo serce pełne myśli rozpływających się w Bogu. Nie uwierzysz Mamo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wielce na wewnętrznego mnie — a jak ja często mówię — na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodniały"...

To było pisane d. 30 Czerwca. Projektowany wyjazd w góry za miesiąc był niezawodnie w związku z mającym także niezadługo nastąpić odjazdem państwa W. Myśl rozłączenia dręczyła go już naprzód. Nie miał odwagi spędzać pierwszych chwil po oddaleniu się Maryi, w tych samych miejscach, „gdzie ją widywał i gdzie się z nią bawił." Wszystko w około niego byłoby mu ją tu każdéj chwili przypominało. Wolał przeboleć stratę i cierpienie swoje gdzieindziéj.

Zaszły jednak okoliczności, z powodu których jego oddalenie się w góry nastąpiło o wiele rychléj, aniżeli jak sobie zamierzał, za miesiąc dopiero. Wyjechał jeszcze w pierwszéj połowie lipca, nie doczekawszy nawet wyjazdu Maryi z Genewy.

Oto, co pisał do matki we dwa miesiące potém, już z miejsca nowego swego pobytu:

„Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem nad jeziorem Leman, w najpiękniejszém miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony. Ludzie różnie o tém sądzą. Jedni mówią, żem się był szalenie zakochał w pannie W. i uciekłem. Nie ma w tém za grosz prawdy. Ponieważ z Tobą, najdroższa Matko, mówię otwarcie, otóż wyznam Ci, że uciekłem — a to dlatego, że biedna córka domu widząc mię dosyć zajętego panienką młodszą od niéj — i widząc tę panienkę do-

syć mi przyjazną — zaczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała; i matka domyśliła się, o co rzecz idzie — i musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żal mi było domu, gdzie 2$^1/_2$ lata mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dnie było bardzo wesoło"... (list bez daty, ale snać pisany w wrześniu 1835).

Z dalszego ciągu tegoż listu okazuje się, że odjeżdżał bardzo smutny, i że go też i żegnano nieobojętnie.

„Płakałem odjeżdżając — płakany"... „Przy odjeździe taki smutek, taka nuda mię opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek. Wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów, z tymi, jako to z Szekspirem i Byronem, chodzę po górach — kładę się pod drzewami — i czytam. Śliczne trawy — śliczne kwiaty — woń wiejska przypomina mi dziecinne czasy — myślę o Mickunach i Wierzchówce"...

Że nie tylko myślał o dziecinnych czasach, ale i o bieżących, i że nie tylko przenosił się myślą do Mickun, ale i do Genewy, w któréj owa „dosyć mu przyjazna panienka" ciągle jeszcze bawiła: na to dowodów w korespondencyi nie znaleść. Ale za to znajdują się na to dowody między jego poezyami, za życia autora nie wydanemi. Znalazło się w pozostałych papierach Słowackiego pięć prześlicznych poezyi lirycznych, które choćby nie miały wyraźnego podpisu, że tam i wtedy powstały (między 20 a 30 lipca 1835), to jużby samą treścią swoją wskazywały dostatecznie, że właśnie przypadają na tę chwilę życia poety. Mają tytuły: Przekleństwo do ***, Rozłączenie, Stokrotki, Chmury, Ostatnie wspomnienie do Laury.

Dwa pierwsze wiersze odsłaniają szczególnie owoczesne usposobienie autora:

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi! ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność... Bądź wiecznie przeklęta!
Każdy mój jęk na ciebie — każda łza pamięta.

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś — niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem...
Lecz wiédz, że w samotności, okryty żałobą
Oczy błędne obracam za każdym szelestem,
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą!

Téj czekam omamiony, téj samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi —
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi,

A nigdy serca mego nie umiała krwawić,
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niéj zbawić.

A ty! a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana —
O gorzéj niż przeklęta! widmo tajemnicze
Złéj przeszłości... przeklęta bądź — i zapomniana!

Że się ten wiersz ściąga do Eglantyny, to po tém wszystkiém, co powiedziano wyżéj, zdaje się być niewątpliwém. Każdy pewnie na to się zgodzi. — Obaczmy teraz, jakiemi słowy przemawia poeta do Maryi:

Rozłączeni — lecz jedno o drugiém pamięta!
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichéj komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiéj godzinie wraca bolu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzą różową leje, i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać:
Znając twój dom — i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białéj szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem — i promienić świtem.
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem;

Potém jezioro z niebem dzielić na połowę
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem,
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża.
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem — dojrzałem dwa z okień światełka.

Przywykłem do nich — kocham te gwiazdy jeziora
Ciemne mgłą oddalenia — od gwiazd nieba krwawsze,
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty — wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy — nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią — płaczem.

Nad jeziorem Leman d. 20 lipca 1835 r."

Sąto prawdziwe brylanty naszéj poezyi lirycznéj. —

Jedyną pociechą w tych samotnych rozpamiętywaniach i cierpieniach wygnańca, była przepyszna natura, która go otaczała. Wioska, w któréj osiadł wtedy Słowacki, nazywała się *Veytoux*. Chociaż to było w górach, w okolicy bardzo ustronnéj, wynalazł on tam sobie jednak bardzo miłe mieszkanie.

„Nająłem śliczny pokoik — cudnie umeblowany — błękitny; z okna widać winnicę — za winnicą jezioro, jak pół nieba wywróconego na ziemię — za jeziorem góry *Meilleries*, sławne w Heloizie Russa: słowem trudny do opisania widok! Osoby, które Neapol i Hellespont widziały, mówią że ten im wyrówna. Ludzie wszyscy tu pięknie zbu-

dowani — mnóstwo kobiet prześlicznych — zgrabnych — a wszyscy zdają się szczęśliwi. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie?... W dzień pokój mój — jezioro — niebo — góry — wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezroczyste. Jaskółki przylatują do pokoju i tłuką czasem piersią o zwierciadło... Prześliczne miałem księżycowe nocy — wtenczas wychodziłem nad jezioro—siadałem na małym przylądku wchodzącym do wody. Z jednéj strony miałem księżyc, z drugiéj strony zamek Chillon, który z okna o 200 kroków widzę. Pierwszy raz słyszałem w staréj wieży śpiewanie puszczyka. Co mi w takich nocach przechodziło przez głowę, trudno wypowiedzieć. Czasem żałowałem ludzi i rycerzy, którzy ginęli niegdyś w tym zamku — a dziś zapomnieni — i zamek ich tak cichy, stoi w księżycowym blasku. Potém pytałem siebie, za co ci ludzie ginęli? i odpowiedź była napisana w światełkach chat wieśniaczych... Nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach. Otóż ci rycerze, którzy dawniéj ginęli, zapewnili zgonem swoim szczęście przyszłych pokoleń. Widziałem więzienie pyszne Chillonu, widziałem filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźni. Czytałem Byrona patrząc z bliska na mury zamku, i Więzień Chillonu piękniejszym mi się wydał." (Wszystko z listu bez daty wspomnianego wyżéj).

Pobyt jego na téj uroczéj pustyni trwał 3 miesiące — przez część lipca, sierpień i wrzesień. W początkach października powrócił. Gdyby się wnioski w literalnym sensie wysnuwać miało z wiersza owego do Eglantyny, zatytułowanego Przekleństwo, toby przypuszczać należało, że zerwany został wszelki stósunek pomiędzy poetą naszym a domem pani Patteg. Tak się jednakże nie stało. Wiérsz był pisany pod wpływem chwilowego rozżalenia i w rozdrażnieniu. Niejedno też w nim położyć należy na karb tylko fantazyi poetycznéj, która zawsze rzeczywistość potęguje w bezmierność i nieskończoność. Zresztą nie obeszło się bez kroków, które mu ułatwiły powrót do dawnych gospodyń.

„Jestem bardzo samotny — pisał był jeszcze w Veytoux mieszkając, w wrześniu. Na dole w domu minister protestancki, dobry do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci. Z nim czasem gawędzę. Ale smutny jestem. Pani W. z familią wyjechała do Drezna. Odprowadzało ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potém mnie odwiedzić — i była u mnie —

i płakała — i tysiąc próśb, abym wrócił. I matka jéj ciągle mię zaklinała. Ale tak mi znudniało to, cóm porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mię karmili i kochali przez 2 lata, i dlatego jutro wyjeżdżam, chociaż ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło"...

Pojechał tedy na kilka dni do Genewy i „przyjęto go tam, jak się wyraża, jak syna". Potém wrócił jeszcze do siebie. Ale się już oswajał z myślą, że następującą zimę przepędzi jeszcze pomiędzy niemi, co też i nastąpiło rzeczywiście.

Wstrząśnienia moralne, jakich doznał zeszłego lata, miłość — może pierwsza rzeczywista, a nie fantastyczna tylko miłość w życiu Juliusza, odosobnienie od zewnętrznego świata, który go zawsze więcéj drażnił, aniżeli myślą głębszą podsycał, wreszcie dzika, a jednak pełna uroku natura, w któréj objęcia cały się rzucił: — wszystko to sprawiło, że ten trzymiesięczny pobyt nad cichymi brzegi jeziora miał stanowić w zawodzie jego porę pewnego przesilenia. Czy weźmiemy pod rozwagę dzieła jego, które wtedy powstały, czy stan duszy poety, w jakim siebie wtedy malował, dostrzeżemy, że była to dla niego krisis, ale krisis zbawienna. Na okazanie zmiany w duchowém usposobieniu Juliusza, przytoczę tylko następujące słowa, godne pod każdym względem zastanowienia:

....."Wyznam Ci Mamo, że znienawidziłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większéj doskonałości; rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcéj łez było w słowach. Mam lat 25, trzeba abym już był tém, czém być mam; i dlatego może nienawidzę moich pierwszych dziełek. Lubię jednak więcéj nad inne Godzinę Myśli. Coś w niéj jest, co mię samego kołysze przeszłości dźwiękiem — jakąś cichą, dawną piosenką. — Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonią, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękami natury — widziałem ją z bliska, błę-

kitną — albo chmurną. Raz wyszedłszy na wielką górę — pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano — dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze — cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga. Nie wiem, dlaczego opisałem tę godzinę, ale zdaje mi się, że Ty sobie Mamo droga lepiéj mię wystawiasz w takim obrazie. Jestto niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz". (d. 20 października 1835).

Nie mniéj okazują coś odmiennego — w porównaniu z dawniejszemi dziełami — i pisma jego z owego czasu. Należą tu najprzód owe wyżéj już wspomniane liryczne rzeczy, które poeta, jak się w liście jednym wyraża, spozierając na jezioro napisał. Daléj powstał niewątpliwie w owymże czasie także poemat „W Szwajcaryi", utwor wyraźnie jeszcze pod wpływem świeżych wrażeń pisany, ale już wrażeń po swojemu przekształconych przez wyobraźnię. Możnaby go więc nazwać prawdziwém *Dichtung und Wahrheit* owego epizodu życia poety i żywcem zastósować do niego słowa, które parę lat rychléj rzucił był Juliusz o podróżach:

„Wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko iż wszystko ukazuje mniéj piękném jak było w imaginacyi. I potém zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany; drugi piękniejszy, dawniéj utworzony przez imaginacyą. Kiedyś utworzy się trzeci — najpiękniejszy — z imaginacyi i z sennego przypomnienia — i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z obu obrazów.

Nakoniec doliczyć należy do prac w owym czasie powstałych jeszcze także i Anhellego*).

*) Co do Anhellego nie ma wprawdzie pozytywnéj pewności, ale jest za to wiele wskazówek ubocznie prowadzących do wniosku, że i to dzieło pomyślane, a nawet rozpoczęte być musiało już w Veytoux, chociaż ostatecznie wykończoném zostało dopiero w Genewie w ostatnich miesiącach roku 1835. Wskazówki te są następujące: W liście owym jeszcze w lecie z nad jeziora pisanym znajdujemy takie miejsce: „To co się po tych (które znasz) dzieciach narodzi (= wyjdzie z druku), będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze Ciebie, moja droga Mamo. Nawet zamyślam Ci ofiarować na pierwszéj stronicy nowe, zape-

Dlaczego zaś ogłoszenie powyższych prac nastąpiło o wiele później, Anhellego dopiero w roku 1838, a poematu w Szwajcaryi w r. 1839: na to odpowie najwymowniéj następujące i skądinąd jeszcze ciekawe miejsce w tymże liście (d. 20 października 1835):

..."Książki moje mało mi przynoszą, bo daleki od Paryża, wystawiony jestem na wszelkie szachrajstwa księgarzy. Ci mi przysyłają rachunki, których zrozumieć nie mogę, i czasem po kilkadziesiąt franków dają, kiedy im się podoba. Przychód dwóch tomów pierwszych poszedł na druk następnych, a te zaledwo się teraz opłacają. Ty moja droga, nie będziesz mną pogardzać za to, że ja na moje pióro wielkiego odbytu znaleść nie mogę —Ty nie będziesz z szyderską litością innych, obcych ludzi patrzeć na mnie kopiącego się w ziemi, jak biedna mrówka. Idę nieznany i smutny, ale kiedyś może powiedzą ludzie, że wart byłem własnego domku — ogrodu i kilku przyjaciół. Dlaczego takie zniechęcenie, zapytasz droga moja — dlaczego? Oto z bardzo małéj przyczyny. Dziś widziałem jednego z moich ziomków,

---

wne téj zimy (co przyjdzie) wylęgłe dzieciątko. Dopiero to, zaręczam Ci Matko, będzie Twoim wnukiem; powiédz, czy Ci to nie zaszkodzi." (Nadmieniam, że w kopii listu, którą mam przed sobą, dopisała matka Juliusza do tego miejsca na dole uwagę, że mowa jest o Anhellim. Co też tém bardziéj zdaje się zasługiwać na wszelką wiarę, że owa obawa, ażeby dedykacya nowego dzieła matce nie zaszkodziła, szczególniéj do tego właśnie utworu daje się odnieść).—Nieco później, d. 20 października— spotykamy znowu taką o tém wzmiankę w genewskiéj już korespondencyi poety. "Postąpiłem w moim nowym poemacie i chciałbym bardzo téj zimy co wydać." — Na październik zatém albo listopad przypada dokończenie, a na owe miesiące spędzone w górach poczęcie i zaczęcie utworu, którym — mimo to, że o kilka lat dopiero później został oddany do druku — i z tego jeszcze powodu zdaje się być Anhelli, pisany stylem biblijnym, że przez cały ciąg owego właśnie roku Pismo święte było jedną z ksiąg rozczytywanych codziennie i z rozmiłowaniem przez Słowackiego. Pełno o tém wzmianek w owoczesnych jego listach. "Często wieczorem— pisał był na przykład w liście z d. 7 marca 1835 — przed zaśnięciem czytam głośno rozdział Biblii. Mam ją po polsku. Przedwczoraj tak mocno wraziła mi się w imaginacyą męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem i obudziłem się okropnie przerażony"...

który po kilka razy nazywał mię poetą, a nakoniec wyznał, że nic jeszcze nie czytał mojego. Prawda, że to był handlarz win, który z próbkami jeździ po świecie i interesa domu swego załatwia; bierze kilka tysięcy franków na rok pensyi i zamyśla się ożenić ze starą wdową kupca i handel winny wziąć w posagu. — Rozsądny człowiek!“

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Rok 1836 do połowy 1837.—Przygotowania do podróży włoskiéj — trudności pasportowe. Wyjazd do Rzymu — wrażenia — nowe znajomości, Krasiński. Neapol — Sorrento — poemat „Wacław". Podróż na Wschód. Grecya — Egipt — Kairo — piramidy — spotkanie z przyjaciołmi koło Dendery. Teby — jazda na wielbłądach ku Palestynie. Kwarantanna w El-Arish. Jerozolima — noc u grobu Chrystusa. Ruiny Balbeku — Klasztor ormiański na Libanie — spowiedź — „Ojciec Zadżumionych". Bajrut — powrót okrętem do Liwurny.

Do wszystkich tych w poprzedzającym rozdziale opisanych okoliczności, które przez ciąg 1835 roku naprężały wyobraźnię, ale też i niepokoiły umysł poety naszego, doliczyć należy jeszcze jedno, o czém tam nie wspomniałem. Oto otrzymał on był w maju jeszcze rzeczonego roku od matki i od krewnych swoich wiadomość, że się wujostwo jego (Teofil Januszewski z żoną) wybierają w podróż do Rzymu. Na towarzysza téj podróży wzywano i jego, uwiadamiając zarazem, że projekt ten przychodzi tak niezwłocznie do skutku, że w dniach, w których on wiadomość o tém odbierze, podróżni już będą w drodze. Na razie zasmuciła Słowackiego dotkliwie myśl, że się z nimi w tę podróż nie wybrała i matka. Skoro jednak rozważył, że stały temu na zawadzie przeszkody, których jak mu donoszono, usunąć nie było można, poczytał sobie i to za pociechę niemałą, że przynajmniéj wuja i przyrodnią siostrę swoję zobaczy.

Wycieczka do Włoch należała od dawna do najżywszych życzeń Juliusza. Chwycił się tedy oburącz myśli, jaką mu teraz poddano, chociaż przewidywał już w pierwszéj chwili, że trzeba

będzie pokonać niejednę trudność, jeżeliby rzecz ta, dla obu stron tak upragniona, nie miała i tym razem pozostać tylko marzeniem. Wprawdzie brakowi funduszów, który mu się szczególniéj właśnie w owych czasach nieraz czuć dawał, można było czy tym, czy owym sposobem zapobiéc. Ale jak tu od władz rządowych otrzymać pasport w te strony? Rząd szwajcarski nie wzbraniał emigrantom pobytu w granicach własnego kraju, lecz pasportów żadnych im nie wydawał do państw obcych. Trzeba się było chyba starać o to we Francyi. Słowacki niezwłocznie też napisał do przyjaciół swoich paryskich, aby uczynili odpowiednie kroki w téj mierze. Czekał na odpowiedź niecierpliwie. Przez kilka miesięcy nie było jéj wcale, wreszcie (we wrześniu) odebrał uwiadomienie, że rząd francuski robi trudności, lecz że jest jeszcze nadzieja rezolucyi pomyślnéj, ponieważ wdały się w to wysoko położone osoby. Tymczasem krewni nalegali listami, już z Włoch pisywanymi, ażeby Juliusz przyjazd przyspieszył, parła go do tego i niecierpliwość własna — ale pasportu z Paryża ciągle nie było. Z powodów już powyżéj wskazanych, były czasy owe dla osób w położeniu Juliusza pod względem, o który właśnie chodziło, nad wszelki opis uciążliwe. W październiku (1835) otrzymał nowiny, które mu prawie wszelką odebrały otuchę. W listopadzie błysnęło znowu małe światełko nadziei. Miała się zająć jego sprawą jakaś księżna, wiele wpływu wywierająca w sferach rządowych. Ale Słowacki mało ufał tym obietnicom i uważał już cały ten projekt wyjazdu swego za Alpy za rzecz przepadłą. Martwił się z tego tém bardziéj, że wzgląd na coraz szczuplejsze jego dochody nakazywał mu bądź co bądź porzucić Genewę jako miejsce zanadto drogie dla niego. Nie wiedział, gdzie się obrócić. Do Paryża powracać sobie nie życzył. Więcéj zdawała mu się być dla niego stósowną Bruxella. Ostatecznie też postanowił przenieść się do tego miasta. Czekał tylko jeszcze na powrót Januszewskich i ułożył się z nimi, że jeżeli obiorą sobie drogę jakim traktem przez Alpy niezbyt od szwajcarskich granic odległym, to i on się tam stawi, ażeby się przynajmniéj raz jeszcze w życiu zobaczyć z nimi. Miało to nastąpić jednak dopiero na wiosnę. Zimę tedy (z roku 1835

na 1836) wypadło mu jeszcze przepędzić w domu pani Patteg w Genewie.

Przez cały ten czas, gdzie się rzeczy ważyły pomiędzy nadzieją, że mu pasport przyślą, a obawą, że trzeba sobie będzie szukać nowego przytułku gdzieś tam pomiędzy Belgami, miotał nim niepokój, niesprzyjający autorskiéj czynności.

„Zimę tę niewiedzieć jak przepędzam — pisał do matki dnia 17 listopada 1835. Ciągła nadzieja wyjechania stąd do Teofilów porwała łańcuch moich marzeń. Ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu, tego roku głowę mam podobną do niezapalonéj latarni. Więć nudzę się; czczość myśli jest największą dla mnie męką. Nie wiem, o czém marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnéj rzeczywistości.“

Od tego listu, pisanego w listopadzie, aż do korespondencyi włoskiéj, która się poczyna z dniem 28 maja 1836, jest przerwa ani jednėm słówkiem nie zapełniona, któréj powodu nie umiem wytłómaczyć sobie zupełnie. Nie wiadomo tedy, ani czy co napisał téj zimy (prócz dokończenia Anhellego), ani kiedy mu nad wszelkie spodziewanie nadesłano ów upragniony pasport z Paryża, ani też jakie były okoliczności towarzyszące godzinie wyjazdu. Dość że w miesiącu styczniu czy lutym (1836) opuścił Juliusz dom, w którym przez całe trzy lata przemieszkując, tyle doznawał życzliwéj gościnności; w którym mu tyle natchnień przeszło przez serce i zrodziło niejeden z celniejszych jego utworów; w którym wreszcie błogie, nigdy przedtém w takiéj czystości jemu nieznane światełko tego, co poczciwy niegdyś Karpiński nazywał najpiękniejszém szczęściem na ziemi, uśmiechać się zaczęło do niego, ażeby tém prędzéj potém ukryć się za obłokiem i — dogasać powoli w cichych wspomnieniach wygnańca. Wyjeżdżał z postanowieniem spędzenia na włoskiéj ziemi przynajmniéj roku całego. Jechał pocztą do Marsylii, stamtąd na statku parowym, morzem do Liwurny; następnie, po trzech dniach wypoczynku w tém mieście, do *Civita Vecchia*, a stąd nakoniec lądem do Rzymu, gdzie go krewni oczekiwali. Rozpoczynając tę podróż, znał już cokolwiek język włoski. Miał on jeszcze w roku 1834 sposobność

poduczenia się jego w towarzystwie pewnego Włocha, który w Genewie w jednym domu z nim mieszkał i ciągle w tym języku rozprawiał ze Słowackim.

Bawił w Rzymie razem z Januszewskimi przez trzy miesiące od początku marca do końca maja. Mieszkali razem; w pierwszych tygodniach, dopóki jeszcze z będących wtedy w Rzymie rodaków mało kogo znali, był Juliusz nieodstępnym ich towarzyszem. Poźniéj znalazły się nowe znajomości i to ze wszech miar miłe i zajmujące; więc trzeba odtąd było poecie dzielić czas swój między nich wszystkich, ażeby i jednéj stronie i drugiéj zadość uczynić.

Z całego czasu spędzonego nad Tybrem jest tylko jeden list Juliusza, pisany do matki na kilka dni przed wyjazdem do Neapolu, d. 28 maja 1836. Wypiszę z niego, co tylko rzuca jakie światło na życie poety w owych miesiącach; uprzedzam jednak, że nie będą to szczegóły ani w części tyle dokładne, jak z czasów genewskich.

O wrażeniach, jakie na nim stolica chrześcijańskiego świata zrobiła, nie ma w liście żadnéj wzmianki. Natomiast znalazło się w pozostałych papierach kilka tercynów, wtedy zapewne pisanych, które dają odgadnąć uczucia, z jakiemi oglądał Juliusz ostatnie szczątki wielkości starożytnego Rzymu.

RZYM.

Nagle mię trącił płacz na pustém błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem“...
Tak śpiewał pasterz trzód siedząc na koniu.

Przede mną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad nimi kościół ten... co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzég i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził daléj
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal — a ja zostałem
W pustyni sam — z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg, czy Rzym widziałem?

Było zatém w pierwszych wrażeniach rzymskich coś przygniatającego do ziemi smutkiem naszego wędrowca. Usposobienie to jednak potém minęło. I dlatego też pisał na odjezdném w liście owym z Rzymu wysłanym na przykład co następuje:

„Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego opisać nie mogę. Mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba, chciałbym tu był przepędzić moję przeszłość.“

Wspomniałem wyżéj o znajomościach, które z bawiącymi w Rzymie rodakami zawiązał w owym czasie Słowacki. Oto tutajto spotkał on się po raz pierwszy w życiu z wieszczem, którego imię tak jest przyjaźnią i poezyą z jego imieniem związane, jak imię Moora z Byronem, jak Garczyńskiego z Mickiewiczem. Mówię o Zygmuncie Krasińskim. Wiekiem prawie rówiennicy (Zygmunt o trzy tylko lata młodszy był od Słowackiego), talentem poetyckim, dla tłumu czytających mało wtedy jeszcze przystępnym, tak ściśle spokrewnieni ze sobą — zrozumieli się oni od razu i tak sobie wzajemnie do serc przylgnęli, że ten związek ich duchów pozostał dozgonnym, pomimo wstrząśnień przelotnych, które w ostatnich latach życia Juliusza zagrażały zerwaniem téj idealnéj przyjaźni. W czasach pierwszego poznania Słowacki, chociaż autor kilku już dzieł wydanych, mało jeszcze w kraju był ceniony jako poeta. O Krasińskim chyba najbliżsi wiedzieli, że pisze; Agay Han i Nieboska komedya były już ogłoszone (1834), lecz bezimiennie; Irydyon przechodził właśnie przez prasy paryskie w dniach owych, gdy się ci dwaj młodzi ludzie po raz pierwszy ujrzeli na rozwalinach nieśmiertelnego miasta.

... „W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilku ziomkami moimi, młodymi, zapalonymi, i tych towarzystwo ożywiało mię nieco. Jeden z nich miał wiele podobieństwa do dawnego dziecinnego przyjaciela mojego Ludwika. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć i wiele dawnych wyrazów. Chodziliśmy razem na spacery i najczęściéj przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jestto ogród pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich.*) Przy świetle księżyca kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny otaczające tę willę przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w sinéj mgle tonął, z dziwném rozemdleniem serca myślałem o przeszłości. Nieraz Ciebie, moja droga, wspomniałem cicho i głośno... opowie Ci to kiedyś Zygmunt, mój towarzysz romansowych wędrówek, bo może on prędko Ciebie widzieć będzie, a obiecał mi, że to uczyni, jak będzie mógł najspieszniéj po powrocie z zagranicy... Z Zygmuntem biegaliśmy po odległych spacerach. Wieczorami tak na żywych i pasyonowanych rozmowach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy się już Teofilowie spać położyli. Przeczytałem był wszelkie moje prace Teofilostwu, które się im nie bardzo podobały“ — (to się ściąga, jak mi dobrze wiadomo, jedynie do Balladyny) — „i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem“...

Z innych osób wtedy w Rzymie poznanych wymienić potrafię tylko Alexandra Hołyńskiego, młodego obywatela z Białéj Rusi z pod Witebska, i Zenona Brzozowskiego z Ukrainy, którzy obydwaj, jak sądzę, objęci są właśnie razem z Zygmuntem w tém wyrażeniu „młodzi moi znajomi“; daléj rodzinę baronostwa Richthoffenów z Poznańskiego, i Alexandra Potockiego, który się liczył do Emigracyi.

O Richthoffenach znajduje się taka wzmianka w listach Juliusza:

... „Mąż Niemiec — żona Polka, bardzo miła osóbka, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich. Gdybyś sobie, droga moja, wystawić mogła, coto za urok jest dla nas w Polkach! jak one zdają się nam z innego świata, lekszego, zgrabniej-

*) Cudne to miejsce dzisiaj nieprzystępne jest dla publiczności; przeszło bowiem w posiadanie zakonu Salezyanek.

szego stworzeniami: tobyś się nie dziwiła, że słysząc tylko o téj pani, lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć. Ideał utworzony w imaginacyi rozprysnął się za pierwszém spotkaniem téj damy w ogrodzie Borghezych, i teraz została mi w niéj tylko milutka znajomość, bo mnie Alexander Potocki zarekomendował, a moje nazwisko, już trochę znane, pomogło mi do otrzymania dobrego nader przyjęcia“ (dnia 28 maja 1836).

W pierwszych dniach czerwca rozstał się Juliusz z Krasińskim i razem z krewnymi wyjechał z Rzymu do Neapolu. Hołyński i Brzozowski w kilka tygodni poźniéj także się tam znaleźli. O trybie życia w tém mieście najlepiéj zawiadomi następujący wyjątek z listu:

„Od piętnastu już dni siedzę w oknie mojém, na ulicy św. Łucyi*) w Neapolu, patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol ciągnący się w półkręgu na lewo, w dzień biały, w nocy jaskrawy tysiącem świateł. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło i róży wazon; w tém krześle siedzę jak śpiący, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytoniu; czasem podnoszę głowę i widzę... co? Teofila z Gajem (dawny znajomy z Wilna, który z żoną także podróżował wtedy po Włoszech) siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacyach. Pod wieczór robimy różne projekta spacerów, które czasem przychodzą do skutku, a czasem niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tém, że każdy z nas idzie w swoję drogę; to jest: Teofilowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się jak dwoje gołąbków, Gajostwo idą skupować lawy i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku i przemarzam cały wieczór. Takie jest życie moje, niech go (jak powiada Adam) słuchacz w duszy swéj dośpiewa.“

...„Zachwycony jestem Neapolem, a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dlaczego? wyznam ci moja droga, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę... Dlatego w Neapolu nie chce mi się długo siedzieć, a w Sorrento przywołaniem mocnych

*) Był to dom położony pod Nrm. 3 na ulicy S. Lucia.

myśli będę się starał zapełnić tę czczość, która mię teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierzchu wszystkich marzeń. Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się i łzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem wiejącego na mnie z tamtego świata. Ale czy uwierzysz, droga, że Herkulanum i Pompei nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia! Chodziłem po ulicach Pompei z cygarem w zębach, jak po spalonéj wiosce: uliczki małe, brukowane przed wiekami, z dwóch stron grobowce, i domki bez dachów i sufitów uróżowane jak stare kobiety szczątkami malowideł czerwonych; małe framugi wylepione muszelkami, z których niegdyś lały się źródła wody, dziś nie płaczące; świątynia Izys mała, z wyrocznią, która dziś restaurowana ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu: mały cyrk teatralny odkryty, ani przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Odgrywał na nim tylko Gaj komedyą, bo chciał wziąć z murów mały kamyk marmurowy na pamiątkę, a cicerone odkrył rzecz i pamiątkę wyjął czułemu sentymentalizującemu wojażerowi z zanadrza... Ja na to wszystko patrzałem siedząc w loży. — Wchodząc do domu poety, towarzystwo odezwało się do mnie po polsku, abym pierwszy, jako poeta, progi przestąpił. Cicerone nasz przebiegły zaraz zrozumiał, o co rzecz chodzi, zaraz powołanie moje wywąchał i dowcipnie się znalazł, bo przystąpiwszy do mnie rzekł: Ponieważ Pan jesteś u siebie, więc mi coś daj! Na tak zgrabne przymówienie się nie mogłem nic odpowiedzieć, tylko brzęczącém słowem, które zaraz imię moje poety zamieniło w ustach cicerona na tytuł *Eccellenza*, i tak uradowany przewodnik zaprowadził mię do najtajniejszych zakamarków poetycznego domu, pokazując mi różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki. O! poeto starożytny, nie żal, że ciebie niepamięć zasypała, a dom twój popioł przywalił! — Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę że możnaby w jednym z tych domków szczęśliwe pędzić życie; trzebaby tylko z trzykroć majątku. Wtenczas Ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów; ja miałbym także cichą i żaluzyami zielonemi zasłoniętą pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potém miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potém niechby choć popioł przysypał nasze grobowce!" (dnia 20 czerwca 1836).

Owoż dobitny przykład, co to jest człowiek z wrodzoném usposobieniem do ciągłych marzeń i przyzwyczajony samemi okolicznościami do życia w napowietrznéj sferze samych tylko ideałów fantazyi. Potrzeba pragnień jakichś nigdy nie zaspokojonych zamienia się u ludzi takich w drugą naturę. Dopóki żył samotny w Szwajcaryi: tęsknił do rodziny, skarżył się gorzko, że nie widzi nikogo ze swoich około siebie. Po wielkich z trudnościami przebojach i po długiém czekaniu, ma ich teraz przy sobie... i cóż poczyna? Oto zamyśla o wyjeździe do Sorrento, ażeby ich samych zostawić w Neapolu! Marzy natomiast o własnym domku nad morzem. Gdyby posiadł, co tu wyraził, szukałby znowu czego innego na świecie! Prawdziwy poeta w życiu, jak w pismach...

Myśl wycofania się ze zgiełku miejskiego w zacisze wiejskie w saméj rzeczy doprowadził do skutku. Pojechał do Sorrento i przesiedział tam cały czerwiec, podczas kiedy Januszewscy ciągle w Neapolu bawili. Z końcem miesiąca do nich powrócił i taką zdawał sprawę matce z tego pustelniczego miesiąca:

> . . . „Przepędziłem miesiąc cały w Sorrento blisko Neapolu, sam jeden, bo Teofilowie miasta nie chcieli porzucić, ja zaś potrzebowałem przeżyć choć miesiąc jeden między drzewami, daleki od zgiełku brukowego, i znalazłem sobie mały pokoik, z którego nic widać nie było prócz gaju cytrynowego i morza, za morzem w mgle oddalenia Wezuwiusz. Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem. Zrazu chodziłem się kąpać w morzu, i te kąpiele przez miesiąc cały brane nie przyniosły innego skutku, oprócz czasowego osłabienia, które ustało, skorom kąpieli zaprzestał. Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniało mi dnie samotne przepędzone w Veytoux nad brzegiem jeziora; i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłém mi było. Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w bliskim kościołku grający organ dochodził do mojéj cichéj celi. Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich, słuchałem oparty na murze grającéj na gitarze dziewczyny. Byłato młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady. Zawsze widać mię było nad morzem w godzinę zachodu słońca, bo lubiłem słuchać powiewu wiatru, który ciągle od morza na ziemię wiejący, w chwili zachodu obracał się nagle i gonił za słońcem na morze. I tak przeszedł mi cały miesiąc życia bez żadnéj rozmaitości... Je-

dnostajność taka nie znudziła mnie jednak wcale, i byłbym dłużéj pozostał w mojéj zaciszy, gdyby nie bliski wyjazd Teofilów i nie chęć przepędzenia z nimi ostatnich dni mojego tu pobytu, zwłaszcza że dla braku funduszów nie mogę ich odprowadzić do Florencyi"... (Neapol, dnia 3 sierpnia 1836).

Wzmianka powyższa „pisałem trochę" nasuwa pytanie, które też z dzieł Słowackiego powstało wtedy? Jestto wątpliwość trudna do rozwiązania. Już to w ogóle czasy te spędzone we Włoszech nie wydały wielkiego plonu. Zbyt wiele przeróżnych wrażeń miał do przyjęcia w siebie Słowacki w tym nowym dla siebie świecie; zbyt był zajęty tém wszystkiém, co się działo około niego, żeby był mógł dawać posłuch i wewnętrznym natchnieniom, powołującym go do autorskiéj czynności. Pomiędzy niewydanemi za jego życia rzeczami znalazłem zaledwie trzy pomniejsze utwory, które niewątpliwie przypadają na te włoskie miesiące. Sąto poezye liryczne, zatytułowane Sumienie (z podpisem: dnia 1 maja 1836),*) „Rzym" (przytoczony powyżéj w całości), i kilka strof mających napis „Ułamki", podobnież tercynami dantejskiemi pisane, jako ten wiersz poprzedni. To wszystko, jak rozumiem, rzucone było na papier w Rzymie. Na ów miesiąc w Sorrento nie mam nic, cobym odnieść mógł z pozostałych jego papierów. Z dzieł dawniéj drukowanych jeden tylko Wacław (wydany roku 1839) mógłby być utworem tegoto czasu. I rozważywszy wszelkie okoliczności, które tu zbyt długo byłoby szcze-

---

*) W wierszu „Sumienie" zdaje się ściągać znowu wszystko, jak w owém „Przekleństwie", do Eglantyny. Ażeby jednak czytelnik nie poddawał się mylnym przypuszczeniom, jakie mu się przy czytaniu tego wiersza zapewne nastręczają, uważam sobie za obowiązek nadmienić, że literalnie brać nie można niektórych wyrażeń, jakie się tam znajdują. Jest w całym tym stósunku poety do Eglantyny w ogóle wiele rzeczy bardzo trudnych do wyjaśnienia; lecz co pewne, to że i potém byli oni dobrze ze sobą, korespondowali i wspominali o sobie życzliwie. Słowacki przynajmniéj w listach swoich do matki z téj epoki mówi o niéj zawsze tonem przywiązanego brata. „Dobra siostra moja genewska", „listy siostry mojéj Eglantyny miłe mi są, bo sercem pisane", itp. oto wyrażenia, w jakich o niéj zawsze przemawia.

gółowo rozbierać, przypuszczenie powyższe nabiera tyle prawdopodobieństwa, że co do mojéj osoby śmiałbym nawet na pewne twierdzić, że poemat ten wtedy musiał być napisany. Była to kreacya, jak rozumiem, osnuta na tle tego wszystkiego, czego się o ostatkach życia tego bohatera powieści Malczeskiego nasłuchać mógł Słowacki w Rzymie od niektórych rodaków tamże bawiących a dobrze obeznanych z domu tulczyńskiego dziejami i misteryami. Powodu do rozmów o tém dostarczała już sama bytność pomiędzy nimi Alex. Potockiego, który był, jak wiadomo, najstarszym z synów Szczęsnego z żony jego Zofii Greczynki.

Lecz wróćmy do biografii poety. Zamiarem jego było więc pozostać, kiedy krewni odjadą (a miało to nastąpić z końcem miesiąca) w Neapolu i nadal, aż do nadejścia funduszów, któreby mu pozwoliły udać się potém na kilka jeszcze miesięcy do jakiego innego miasta. Tymczasem zaszła na kilka dni przed chwilą, która ich rozłączyć miała, nagle decyzya inna, i z powodu takowéj odebrała matka Juliusza niespodzianie następujące doniesienie w liście datowanym z d. 24 sierpnia 1836.

„Zdziwisz się Mama zapewne, odebrawszy list ten na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na Wschód, do Grecyi, do Egiptu i do Jerozolimy. Projekt ten od dawna zrobiony i kilka razy odrzucony ode mnie, jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakoniec do skutku. Odbędę sześciomiesięczną wędrówkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego i w Alexandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży“ (Hołyńskimi, z których młodszy, Alexander, poznany jeszcze w Rzymie, głównie go namówił do téj wyprawy i też dopomógł do wykonania projektu). „Będzie więc nas czterech żeglujących po Nilu aż do pierwszéj katarakty. Nie lękaj się o mnie, moja droga, ani frasuj się o sposoby dosyłania mi czego. Mam wszystko zabezpieczone.“

...„Teofilowie odradzali mi wojaż; ale kiedy się wahałem, czy go mam przedsięwziąć czy nie: otworzona losem biblia zdecydowała mię następującym wierszem: „Kościoły azyjskie pozdrawiają was.“ Może to droga moja weźmiesz za przesąd, ale wierszowi temu zawierzyłem i on mię prowadzi w daleką drogę. Dziś wieczór o godzinie 12 w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto, stamtąd do Korfu, z Korfu do Aten, z Aten do Alexandryi, taki przynajmniéj ma-

my teraz ułożony plan podróży; jak go dalsze okoliczności zmienią, nie wiem. Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczna; chociażby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy połączonéj z trudami znacznymi: to już dosyć będę z niéj miał korzyści. Obaczę nowe kraje, nowych ludzi; będę żył z nimi, będzie mię nosił wielbłąd karawany i pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa. Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potém z sercem pełném pamiątek i obrazów wrócę do jakiéj cichéj europejskiéj samotności."

Ta podróż wschodnia stanowi najwięcéj zajmujący, najtreściwszy i zarazem najpoetyczniejszy okres w życiu Słowackiego i w całéj korespondencyi jego do matki. Żałować tylko należy, że nie mamy wszystkich listów, w których udzielał swoich wrażeń w ciągu owego czasu. Przez ciąg 10 miesięcy — tak długo bowiem podróż ta trwała — wyprawił Juliusz do Krzemieńca w ogóle pięć listów z dokładnemi sprawozdaniami ze wszystkiego, gdzie był i co widział. Dwa pierwsze z tych pięciu listów gdzieś po drodze przepadły. Jeden z nich datowany był z Aten, z miesiąca września; drugi pisany był w Alexandryi, w jakie półtora miesiąca potém. Tych dwóch listów nie ma więc w zbiorze, i dlatego też nader niedokładne będą szczegóły nasze o téj pielgrzymce poety, o ile takowa dotyczy Grecyi i północnego Egiptu. Potém pisał do matki jeszcze trzy razy; to jest z Bajrutu w lutym (1837) posłał do Krzemieńca dwa listy, niezwłocznie jeden za drugim, a trzeci list, który był pisany na morzu śródziemném na dni kilka przed zawinięciem do portu, w czerwcu rzucił na pocztę w Liwurnie. Te trzy numera znajdują się w zbiorze i z nichto czerpiemy wszystko, co poniżéj nastąpi.

Ażeby zacząć od ogólnego obrazu usposobień wędrowca naszego w ciągu podróży, stawię na czele następujące miejsca, wyjęte z listu pisanego d. 17 lutego 1837 w Bajrucie.

..."Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie; widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesoł, zachwycony, płakałem. Miałem całe dni pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności, to jest niespokój o Ciebie, i drugą niespokojność, że się Ty o mnie troskać musisz"...

...„Uważam już podróż moję za skończoną prawie: zwiedziłem Grecyą, Egipt, Syryą, Palestynę, i przybyłem do miasta portowego Bajrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Na miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bel-chesz-Ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne; towarzystwem mojém będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz Rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syryi. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszy na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw zdrowie moje służy mi przewybornie; i kiedy mój towarzysz (Zenon Brzozowski), silniejszy stokroć ode mnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowéj, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczył pewny nasz rodak doktor w Kairze. Dziesięć dni ciągłéj słoty wytrzymałem na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie. Ale o tém wszystkiém napiszę Ci moja droga obszernie w drugim listku“...

...„Moja Mamo, do któréj ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z Tobą podzielić każdym widokiem, każdém wrażeniem; dlaczego Ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz w téj chwili... abym mógł płakać położywszy twarz na rękach twoich... Spokojności! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca“...

O Grecyi zaledwie tę krótką wzmiankę spotkać można w jednym z późniejszych listów:

...„Grecya pełna ruin przecudownych podobała mi się bardzo, i bardziéj niż Rzym mnie zachwyciła. Egipt zatarł Grecyą w mojéj pamięci. Nic cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące. W liście z Alexandryi pisałem, jakiegom wrażenia doznał, widząc się pierwszy raz w oryentalném mieście, i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać.“ (d. 11 lipca 1837 z Liwurny).

W Alexandryi wylądował Słowacki dnia 21 czy 22 października (1836). Dwa dni przedtém, napisał prześliczny ów „Hymn o zachodzie słońca na morzu“, zaczynający się od słów:

„Smutno mi Boże! dla mnie na Zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą —
Przede mną gasisz w lazurowéj wodzie
Gwiazdę ognistą —
Choć mi tak niebo ty złocisz i morze,
Smutno mi Boże!“

Dnia 22 października, w gospodzie alexandryjskiéj wypoczywając po niewczasach podróży, złożył drugi wiersz, także dopiero drukowany między pośmiertnemi dziełami, „Do Teofila Januszewskiego“.

W niewiele dni potém, nie zatrzymując się dłużéj w Alexandryi, wsiadł na łódkę nilową i pogonił za przyjacielem swoim Alexandrem Hołyńskim, który go wyjazdem swoim z Neapolu wyprzedził i bawił wtedy gdzieś w głębokim Egipcie, koło posągów Memnona. Pierwszą stacyą w téj żegludze Nilem było Kairo.

...„Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairo. Pyszne miasto, piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach. Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba (Słowacki i Brzozowski) byliśmy na małych osiołkach, i dziwnie na tém stworzeniu maleńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedłszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzéć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższéj piramidy. Cudowny widok! Szczyt Faulhorna, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz, piramidy, były to dla mnie jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy! ale zato straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła. W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów; przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie, a zwany burnus. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na wschodzie, kupiłem go dla Ciebie, moja droga,

myśląc, że Ci do przebędzie obwinąć się w niego jak w lekkie i miękkie prześcieradło i tak leżeć na swojéj maleńkiéj kanapce. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie. Drugi taki płaszcz, ale gruby i pospolity, okrywa mnie jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać Krzyżaka. Widziałem targ niewolników i jednę ładną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.“

...„6 listopada wziąwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszéj katarakcie, szukając spotkać się z dwoma Hołyńskimi, którzy nie doczekawszy się puścili się przed nami w tę drogę. Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żórawi lecących po błękicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściéj w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się z bliska przypatrzeć, wszystko to tworzy teraz w imaginacyi sen bardzo piękny“... (z listu datowanego z Bajrutu d. 17 lutego 1837).

Przerywam to opowiadanie, aby nawiasowo nadmienić, że pomimo uwagi o „niedostateczności słów“ do wydania wrażeń takiéj podróży, znalazło się jednak kilka rzeczy w pozostałych jego papierach, które poeta napisał pod wpływem wrażeń na miejscu. Jestto najprzód wiersz „Odwiedziny piramid,“ z datą dnia 2 listopada 1836; i drugi pod tytułem „Rozmowa z piramidami“ (oba ogłoszone dopiero w zbiorze pośmiertnym). Daléj liryczna pieśń nosząca nazwę „Na Nilu.“ Nakoniec znany już dawniéj, bo dołączony do Lilli Wenedy „List do Alexandra H(ołyńskiego) pisany na łódce nilowéj.“ Już początek tego wiersza maluje dokładnie sytuacyą:

Rozdzielił nas gościniec płynnego szafiru;
Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu.
Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie
Złączyć na Nilu skrzydła okrętów łabędzie;
Razem odwiedzać mumii balsamiczne składy,
Razem oczy w nilowe rzucać wodospady

I razem jako dawniéj, kończyć spór zacięty
O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty.
Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz,
Wiatrem, który mię niesie za tobą, uciekasz;
A twój brak tak mi serce w podróży oziębia,
Żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.“ itd.

Co się tyczy rysunków wspomnianych w liście powyższym, i te się także znalazły pomiędzy pozostałymi papierami poety. Leżą właśnie przede mną. Są z nich jedne wykonane ołówkiem, drugie akwarelkami. Jest ich wszystkich 15, mają daty począwszy od 27 października do 26 listopada (1836). Niektóre z nich wcale się Słowackiemu udały, i może by warto było dać je do jakiego obrazkowego pisma peryodycznego.

Dnia 19 listopada przyszło wreszcie do upragnionego spotkania się z Hołyńskimi. Wszystkie szczegóły téj miłéj sceny tak wtedy w pamięci Słowackiemu utkwiły, że jeszcze w rok potém, w Florencyi bawiąc, spisywał owo zdarzenie, jakby się działo właśnie przed jego oczami.

. . . „Wiedząc już, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu, wziąłem strzelbę na ramiona i z jednym Arabem puściłem się przed łódką naszą brzegiem, aby się mieszkańców wiosek o tych cudzoziemcach wypytać. Po godzinie drogi ujrzałem z daleka ich pawilony w jednym z kanałów nilowych i spostrzegłem dwóch młodych w europejskich ubiorach na na piasku. Pędem biéc zacząłem do nich, młodszy brat skoro mię obaczył, także zaczął biéc ku mnie i rzuciliśmy się w uściski zobopolne, dumni ze spotkania się na téj ziemi cudów. Wkrótce nadjechała łódź z Zenonem, którego już mój Arab uprzedził, że znalazłem tych, za którymiśmy ścigali. Wszyscy więc razem, służącym powierzywszy straż łódek, poszliśmy do oddalonéj o godzinę drogi Dendery. Największy ten po piramidach gmach w zachwyceniu nas pogrążył. Chodziliśmy między kolumnami, jak odurzeni; siadaliśmy na ziemi, rozmawiając z litością o wojażerach europejskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą; słowem nakarmiliśmy oczy, serce i zamknęliśmy do serca dzień pamiątek tak cudowny, że nawet przyjaźń naszę między nami powiększył. Potém Hołyńscy zaprosili nas do łodzi na obiad, a my ich na poncz wieczorem do

siebie. O godzinie 12 w nocy rozjechaliśmy się; towarzysze nasi bowiem już wracali z katarakty, my zaś dopiero jechaliśmy do niéj. Łódki ich ze śpiewem majtków oddaliły się szybko wodą niesione, nasz zaś okręcik przeciwko wodzie płynął z trudnością i łamał księżycowe fale.“ (Florencya, d. 24 listopada 1837).

Przyjechawszy do katarakty, wzięli na dzień jeden osiołki i ruszyli, objeżdżając Nil, do Nubii, ażeby widzieć wysepkę Fileę, sławną z ruin i pięknego położenia. Potém skierowali drogę ku Tebom i zwiedzili tak ruiny tego miasta „przechodzące wszystko ogromem,“ jako i statuy Memnona o wschodzie i o zachodzie słońca. Wreszcie —

„Dnia 10 grudnia to jest po trzydziestokilkodniowéj podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków już dawniéj znajomych, oraz Hołyńskich. Pięć dni przepędziliśmy znowu w tém mieście, i potém siadłszy na wielbłądy, kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie droga, jak to dziwnie siadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy człowieka rzuca w różne strony wstając na nogi; lecz jeszcze nieprzyjemniéj jest siedzieć na nim, kiedy klęka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem, i beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab. Czas był najpiękniejszy. Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego; była to mała biała kapliczka z kopułką: święty nieboszczyk leżał po jednéj stronie, my po drugiéj. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka i przez te mieliśmy ze świętym komunikacyą. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kaplicą rosło wielkie czarne drzewo, w którem całą noc śpiewał puszczyk. Potém co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez osiem dni bowiem jednę tylko widzieliśmy wioseczkę. Małe różne wydarzenia takiéj podróży stają się bardzo znacznemi i urozmaicają się dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynię i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada — nic z tych rzeczy nie jest obojętném. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe palące się lekkim płomykiem jak koronki brabanckie, słowem przyjemna po-

dróż w pustyni. Jużeśmy przybyli do El-Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotem dni 12 kwarantany. Ale o tém i o dalszéj podróży w następującym listku". (Z Bajrutu, d. 17 lutego 1837).

Odsiadując kwarantanę razem z towarzyszem swoim Brzożowskim (Hołyńscy bowiem byli pozostali w Kairze), doznał Słowacki w tém miejscu pustém, położoném na samém pograniczu Egiptu a Syryi, rozlicznych przygód, a wcale niespodziewanych. Ustęp, który poniżéj wypisujemy, tém bardziéj jest ciekawy, że wiele z tych obrazów, zdjętych tu z natury, odnajdujemy i w pięknym jego poemacie: Ojciec zadżumionych w El-Arish.

„Teraz opiszę Ci moję kwarantanę w pustyni przy maleńkiém miasteczku El-Arish. Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach dano nam na odbycie kwarantany 12dniowéj równinę piasku gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi do koła, nic więcéj. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić, i zostawiono na łasce pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiociku, który z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się było można schronić na przypadek deszczu, słowem miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem śródziemnego morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym maleńkim rozłożył swoje graty, i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzysz mój dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolędę, któréj słuchałem z rozczuleniem leżąc na dywaniku w mojéj budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł... Wtém niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza z wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, któréj każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca kilkakroć zapalona zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łóżka położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden

pakiet, i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtém patrzę, aż mała rzeczka płynąca przez dolinę wzbiera, przerywa brzegi i białémi krągłemi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok nowéj inundacyi nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo, i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt pochmurny przeszedł nam smutno suszącym się na górze. Głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem. Potém czas piękny wrócił, i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy". (Bajrut, d. 19 lutego 1837).

Wartoby było, aby po tym krótkim, sprawozdawczo tylko tu rzuconym opisie, odczytał sobie teraz czytelnik cudną przedmowę do powieści o Ojcu zadżumionych. Znajdzie w niéj tosamo — ale tam i strojniéj i szczegółowiéj jest wszystko opowiedziane.

Kiedy minęły dni kwarantany, uklękły znowu wielbłądy przed wędrowcami naszymi i podniosły się z nimi, „wyciągając długie, wężom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu." Wjechali na ziemię klasyczną Palestyny. Bardzo krótko bawili w miastach leżących im po drodze, Gazie i Jafie. Bez wytchnienia dążąc ku Jeruzalem, stanęli wreszcie u bram miasta d. 13 stycznia (1837) o godzinie 9 wieczór.

... „Zastaliśmy bramy miasta zamknięte: cisza grobowa, księżyc, szczekanie psów odpowiadające na nasz stuk do bramy—niepewność, czy firmany nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować — jakieś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie po dwóch godzinach otwierają się bramy, zajeżdżam do klasztoru. Szpitznagel*)

*) Alexander Spitznagel, wicekonsul w Jafie, przyjaciel uniwersytecki Słowackiego i zapewne brat Ludwika, bawił wtédy właśnie przypadkiem w Jerozolimie, o czém nasz poeta dowiedział się po drodze.

słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół; biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: Oleś! — Nie poznaje mnie... Pytam go po kilka razy: jakto? czy mię nie znasz?... Odpowiada mi po trzykroć: Niech Pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie... Nakoniec musiałem ze ściśnioném sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli przykrą mi była ta chwila, to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem... Przyszedł do mnie i wziąwszy za rękę, powiedział: do zobaczenia. Oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli wyjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba... Cały ten dzień było mi smutno. — Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... na wspomnienie téj nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzucały mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam, i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp, miałem biblią, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do dwunastéj weszła do grobu młoda kobieta i męszczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali ów kamień, a potém przyszedłszy do mnie oboje, pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmięszany, że nie wiedziałem, jak się znaleść. Wyszli — zostałem sam. — O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoję mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościołek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojéj altanie dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiéj kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, po północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednéj budowy budzą się, świergocąc każdy po swojemu o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawiali mszą, potém Ormianie; o drugiéj zaś w nocy, ksiądz rodak wyszedł ze mszą w imieniu mojéj ojczyzny, a ja klęcząc na tém miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: „Nie ma go tu, zmartwychwstał“, słuchałem całéj mszy z głębokiém uczuciem. O

trzeciéj w nocy znużony poszedłem do klasztoru, i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.“ (Z listu jak wyżéj).

Zwiedzał potém wszystkie ważniejsze punkta Palestyny, wspominane w piśmie św. Odbywał pielgrzymkę tę konno. Był u morza Martwego, w Betleem, w wioseczce Jerycho, na Jozefata dolinie, w Nazaret i w Tyberyadzie, ciężko nawiedzonéj nieszczęściem na kilka tygodni przedtém. W skutek trzęsienia ziemi w mieście tém nie zostało ani jednego domu całego i 500 ludzi zginęło pod ruinami. Oglądał jezioro genezaretańskie i rozpamiętywał sceny biblijne, przywiązane do tego miejsca. Cała ta ziemia palestyńska wydawała mu się dziwnie urocza, pełna najpiękniejszych kwiatów, podobna do różnobarwnego kobierca. „Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, niepłodne, nadają temu miastu straszliwą fizyonomią, i okropna jest dolina Jozefata“...

Wyjechawszy z Tyberyady, w pięć dni stanął w Damaszku, który choć położony w bardzo pięknéj okolicy, mało go zajął i przypominał mu Kairo. Potém przebył śnieżny Antylibanon i znalazł się między ruinami Balbeku (dawnego Heliopolis). Niewypowiedzianie ruiny te go zachwyciły. Przypomniał sobie, że kiedyś, kiedy jeszcze był dzieckiem, leżało w domu rodziców jego na fortepianie dzieło wielkie z ogromnymi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry, które on nieraz wtedy przeglądał.

> „Stojąc między kolumnami rzeczywistemi teraz, przypomniałem sobie te chwile dzieciństwa, i serce moje było pełne smutku.“

Stamtąd przejechał konno także Libanon, równie zasypany śniegiem, jak Antylibanon, i zjechał do krainy, w któréj zastał najpiękniejszą wiosnę.

> „Jedne drzewa wcale nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały pruszą kwiatem, słońce pyszne, słowem jestto prawdziwie ziemia obiecana! Nie wyruszę z niéj, aż za dwa miesiące. Nie pojadę do Konstantynopola, bo mię to miasto niewiele interesuje; wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów“...

To było pisane d. 19 lutego 1837 w Bajrucie. Krainą, o któréj mówi, była nadbrzeżna, wzdłuż morza Śródziemnego ciągnąca się część Syryi, która niegdyś stanowiła kraik starożytnych

Fenicyan. W kilka dni potém, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszów podróży. Zenon puścił się lądem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syryi. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojéj celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszełkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żylastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włóczyć się z nim po świecie, więc go spijam, czyli raczéj co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętéj, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabuł bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknienie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potém człowiek z butlem na plecach — i cała krotochwilność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiéj Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szaréj godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozpłakałem się jak dziecię, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potém długie lata oddzieliły... Po skończonéj spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: idź w pokoju! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6 tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu,“ jakby wnosić można z ustępu powyżéj przywiedzionego. W dalszéj osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potém mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

Fenicyan. W kilka dni potém, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszów podróży. Zenon puścił się lądem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syryi. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojéj celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żylastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włóczyć się z nim po świecie, więc go spijam, czyli raczéj co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętéj, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabuł bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknienie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potém człowiek z butlem na plecach — i cała krotochwilność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiéj Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szaréj godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozpłakałem się jak dziecię, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potém długie lata oddzieliły... Po skończonéj spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: idź w pokoju! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6 tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu,“ jakby wnosić można z ustępu powyżéj przywiedzionego. W dalszéj osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potém mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

Fenicyan. W kilka dni potém, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszów podróży. Zenon puścił się lądem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syryi. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojéj celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszełkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żylastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włóczyć się z nim po świecie, więc go spijam, czyli raczéj co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętéj, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabuł bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło.“

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknienie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potém człowiek z butlem na plecach — i cała krotochwilność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiéj Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szaréj godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozpłakałem się jak dziecię, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potém długie lata oddzieliły... Po skończonéj spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: idź w pokoju! wiara twoja zbawiła ciebie.“ (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6 tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu,“ jakby wnosić można z ustępu powyżéj przywiedzionego. W dalszéj osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potém mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun“...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

Fenicyan. W kilka dni potém, w Bajrucie, nastąpiło rozłączenie się obydwóch towarzyszów podróży. Zenon puścił się lądem do Europy i poprowadził na Konstantynopol konie arabskie, które po drodze kupił. Poeta pozostał w Syryi. Wrócił sam jeden w góry libańskie i zamknął się tam na 45 dni w jednym klasztorze, zwanym w języku syryjskim Spoczynek umarłych (Belcheshban). Oto, co o nim pisał w kilka miesięcy po wyjściu już z téj pustelni:

„Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojéj celi—wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie. Na dowód, jak pozyskałem przyjaźń księży, opiszę wam tylko mój wyjazd. Dobrzy ojcowie zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz kiedy przyszło osła dźwigającego ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; lecz niestety! księża wysłali za mną człowieka, który na żylastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bajrutu. Gdybym miał jaki mój własny domek w Europie, schowałbym ten doskonały trunek, aż się kiedyś zjedziemy; lecz ponieważ niepodobna mi jest włóczyć się z nim po świecie, więc go spijam, czyli raczéj co niedzieli częstuję nim sześciu ojców Kapucynów, którzy na jednym ze mną okręcie wracają z ziemi świętéj, i tym sposobem zyskuję sobie u nich wielkie poważanie i (ponieważ to są Hiszpanie) tytuł Don do mego imienia.—Ale wróćmy do klasztoru libańskiego. Przepędzałem dnie całe na dumaniu; wieczór szedłem do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiałem z niemi po arabsku, a trzeba wiedzieć, że cały mój arabszczyzny zasób składa się ze 200 wokabuł bez spójników i przypadkowych zakończeń. Nieraz matrony syryjskie dawały mi rękę, abym je brał za puls, myśląc że jestem doktorem; każdy bowiem Europejczyk na Wschodzie uważany jest za doktora. To mnie dziwnie bawiło."

„Choć życie moje w klasztorze przez 45 dni było dosyć niezabawne, wyjeżdżając z niego uczułem dziwną tęsknotę. Ja miałem przed sobą podróż i włóczęgę — ci spokojni zostawali w swoich celach... dziwnie zazdrościłem im jednostajności życia! Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie uczy-

niło na mnie ostatniego ranka, kiedym się obudził, stuknienie do drzwi, które rozbudzało śpiących po celach zakonników. Tak było tego poranku, tak miało być jutro, tak zawsze dla nich — a ja wyjeżdżałem do Bajrutu, gdzie miałem wsiąść na okręt i ruszać do Europy, gdzie nikt mnie nie czeka, gdzie się ja niczego nie spodziewam... Siadłem na koń; przewodnicy i muły z rzeczami szli za mną, potém człowiek z butlem na plecach — i cała krotochwilność takiego orszaku rozweselić mnie nie mogła. Obejrzałem się, byłem na dole, klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym płaskim stały małe czarne figurki. Byli to księża, którzy mnie oczyma przeprowadzali. — Dzień Wielkiéj Nocy przepędziłem w tym klasztorze, i przyjechał umyślnie ksiądz Jezuita, ofiarując mi się na spowiednika. Zrazu nie chciałem tego uczynić; lecz jego przyjacielskie nalegania sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale kiedy w szaréj godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo: rozpłakałem się jak dziecię, tak mi to przypomniało dawne lata, dawną niewinność — wszystko, od czego mnie potém długie lata oddzieliły... Po skończonéj spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mię po ramieniu i rzekł: idź w pokoju! wiara twoja zbawiła ciebie." (Z listu pisanego na morzu, d. 14 czerwca 1837).

Przeszło 6 tygodniowy ten pobyt Słowackiego w klasztorze Belcheshban przypada na miesiąc marzec (1837) i na skrajne tygodnie obu przyległych miesięcy. Czas ten nie był spędzony na samém tylko „dumaniu," jakby wnosić można z ustępu powyżéj przywiedzionego. W dalszéj osnowie tegoż listu znajdują się te jeszcze słowa:

„Na górze Libanu pracowałem trochę, i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na przypadek rozbicia (okrętu) można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić. Ale potém mnie jakaś religijna wzięła filozofia, i myśląc o marności rzeczy światowych pomyślałem, że jeśli mnie weźmie, to niech i wszystko moje bierze Neptun"...

Nie powiada poeta, co pisał w owym klasztorze. Mnie się zdaje, że mogła to tylko być albo powieść o Ojcu Zadżumionych w El-Arish, albo też Podróż na Wschód, poemat w sposobie Byrona Childe-Harold, zamieszczony w zbiorze po-

śmiertnym. Kiedy jednakże rozważam cały nastrój wpierw wymienionéj powieści, nastrój nader smętny i poetyczny, i porównywam z nim ówczesne usposobienie poety, dumającego tak samotnie w ormiańskim owym klasztorze: to mi się zdaje, jakoby daleko było prawdopodobniejszém przypuszczenie, że owato powieść wtedy powstała, aniżeli żeby tam miał był Juliusz nad „Podróżą“ pracować. Ton tego poematu jest zbyt już wolny, szyderczy i niepoważny, by to miał być owoc i zarazem odblask téj religijnéj kontemplacyi autora, w jakiéj go tam widzieliśmy. Daleko właściwszą jest rzeczą odnosić Podróż do czasu spędzonego późniéj we Włoszech, a mianowicie w Florencyi.

Jakoś dnia 6 albo 7 kwietnia, pożegnał się Juliusz z zakonnikami Libanu i powrócił do portowego miasta Bajrutu. Nie znalazł w porcie, jak się był spodziewał, żadnego okrętu odpłynąć mającego do Europy, i długo musiał czekać na okręt. Z téj przyczyny w Bajrucie przepędził z jakie 40 dni w hotelu. Pierwsze dni takiego tam siedzenia były dla niego nieznośne, mimo uczynności konsula, który mu książek do czytania pożyczał i nieraz go z uprzejmą gościnnością do domu swego zapraszał. Nakoniec jednak zdarzył los, że przyjechał tam z Jerozolimy starszy Hołyński, brat Alexandra, przyjaciela poety. Znajomość Słowackiego z starszym Hołyńskim była dotąd tak mało znacząca i przelotna, że zaledwie się mogła uważać za znajomość. Widzieli się tylko raz jedyny wtedy nad Nilem, kiedy to wspólnie wszyscy oglądali ruiny świątyni w Denderze.

„Nie znałem go i myślałem, że w towarzystwie jego nie znajdę przyjemności; ale przeciwnie, on sam pierwszy zbliżył się i związał się ze mną. Całe dni potém przepędzaliśmy razem chodząc na spacery, rzucając spojrzenie ukradkiem na zakryte wschodnie piękności. Ulubioném miejscem naszém był cmentarz w Bajrucie, gdzie co wieczora siadaliśmy razem na marmurowym turbanie, patrząc na morze i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, wierniejsze niż nasze kobiety wspomnieniom. Marzyłem kiedyś będąc dzieckiem o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy... Słowem dobrze nam było, i mnie dobrze, bo znalazłem w nim przyjaciela. Kiedy miałem wy-

jeżdżać, Hołyński myśląc, że może moja kiesa wypróżniła się, różnymi sposobami starał się wszcząć dyskurs o pieniądzach. Nareszcie jednego wieczora zaczął mówić — zająknął się i przestał; ścisnąłem go za rękę, kończąc sam zaczętą przez niego frazę. Dobry chłopiec, rzucił mi się na szyję i rozpłakał się rzewnie łzami, usiłując koniecznie, abym wziął u niego 2000 fr. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musiałem go przekonać, że mam pieniądze wystarczające mi na powrót do Europy... Ale łez tych nigdy nie zapomnę, i Ty go, droga moja, za to wiem że kochać będziesz. Ostatnie dni przepędziliśmy razem. W wigilią mego wyjazdu razem byliśmy na balu u mojego konsula. Ładna to, jak na Bajrut, była feta: fajerwerki, balon puszczony, dziedziniec zamieniony w salę do tańca, kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach, żony konsulów itd. Tańcowano przy pozytywku; bo fortepiany choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać potrzeba. — Muszę Ci tu także napisać, że mi rodacy moi zrobili reputacyą poety; więc wszyscy ubiegali się, abym z nimi gadał, i od czasu Lamartina naznaczyli mój pobyt pierwszą kreską. Dosyć mi to było miło, zwłaszcza że po tym balu nazajutrz miałem wsiąść na okręt i puścić się w daleką podróż. Była więc w tém jakaś poetyczność, któréj wyrazić nie potrafię". (Z listu, jak wyżéj).

Nazajutrz po tym balu rozstali się nasi przyjaciele ze sobą i z Bajrutem. Słowacki wsiadł na okręt i pożeglował do Cypru, a Hołyński, który nie chciał już w tém mieście zostać potém ani godziny bez niego i dlatego też już pierwéj był rzeczy swoje wyprawił naprzód, dosiadł konia i ruszył w góry libańskie do cedrów Salomona. Było to jakoś w pierwszéj połowie maja.

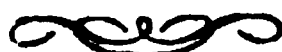
W dobry miesiąc potém znajdował się nasz wędrowiec na morzu już gdzieś niedaleko włoskiéj Liwurny, i pisał list (datowany z d. 14 i 15 czerwca), list ostatni z podróży, w którym udzielał matce spostrzeżeń swoich zebranych na pokładzie okrętu.

...."Życie moje na statku jest bardzo jednostajne. Wstaję przed wschodem słońca i obserwuję gwiazdy, w których się teraz głęboko zaciekam, pomagając często oku naszym okrętowym teleskopem. Potém widzę czerwieniące się niebo, koguty na rzeź przeznaczone pieją i głos ich dziwnie się wśród morza wydaje, przypominając spokojność życia wiejskiego; kot okrętowy wychodzi igrać ze mną, ży-

wy i wesoły o godzinie porannéj; potém wschodzi słońce, a pokład okrętowy czerni się od habitów sześciu mnichów, rzucających spokojne łoże; potém kawa, ranne godziny zajęte czytaniem, marzeniami—przy obiedzie nieraz mój butel budzi wesołość... Po południu o godzinie 5 cały okręt odmawia głośno rożaniec do Najświętszéj Panny, prosząc ją o wiatr dobry... i nakoniec wzywa swoję rodzinną Madonnę de Monte Negro, aby się opiekowała nim i o wiatr pomyślny prosiła... Wieczerza i obserwacye gwiazd wschodzących dzień mój kończą... Czasem z którym z mnichów gram w warcaby... Nakoniec piszę dziś ten list na mojéj szkatułce na kolanach, siedząc na pokładzie okrętowym i ciesząc się, że po trzydniowéj ciszy zawiał nam wiatr dobry i do portu Liwurny prowadzi.

..."Podróż morska miała dosyć dobry wpływ na mój charakter. Przywykłem być z kim ciągle, nie mając osobnego pokoju, gdziebym się mógł zamykać... Przywykłem do wielu niewygód, przekonałem się, że obiad bez mięsa obejść się może i że należy czasem pościć, tak jak nieraz pościliśmy z Zenonem, żyjąc przez dzień cały ryżu garsteczką, przy niedzieli tylko jedząc kury. Zdrowie moje prawdziwie cudownie mi służyło. Spałem nieraz na wilgotnéj ziemi pod namiotem na wietrze, i zdrowszy teraz jestem po tém wszystkiém, niż przedtém. Słowem, uznaję nad sobą samym opiekę Boga i ufam, że ją nie tylko nade mną, ale i nad Tobą rozciągnie, bo inaczéj cobym ja robił na ziemi? — Dziwném teraz będzie bardzo dla mnie przejście z życia wschodniego do zwyczajów europejskich: widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już nakrycie głowy, a zdjęcie trzewików; że obrusa nie kładą pod stołem, ale na stole; że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrawiając kogo nie przytykają ręki do ust i do czoła ani do serca, jak w ziemiach arabskich... Wczoraj jadłem nową potrawę, był to żółw morski, któregośmy ułowili śpiącego na wodzie. Mięso jego dobre, wonnością wydawało się trochę do łososia podobne. Prowizye nasze wystarczały nam do końca, woda się nie zepsuła, kury potłuściały; trzy barany, długo nas swoją figurą bawiące na pokładzie okrętowym, już nie exystują; a śmierć ostatniego była opłakana rzewnemi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierza przywiązał jak do braciszka i ze strony barana podobne przywiązanie uzyskał, tak że baś biedny, póki żył, jak pies biegał za nim. —

... „Mam ufność, że ta podróż zupełnie beznżyteczną nie będzie. Tyle nowych obrazów tkwi teraz w mojéj pamięci. Przyszłość będzie się dziwnie w mojéj głowie na takiém tle odbijać. Choćby tylko promień takich pięknych wspomnień miał upaść na starość moję, jeżeli dożyję starości... Kiedyś, usiadłszy z Tobą na cmentarzyku krzemienieckim, będę Ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi, i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechać, jak niegdyś słuchając marzeń moich o przyszłości"... (Z listów z dnia 14 czerwca i 19 lutego 1837).



JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM DRUGI.

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM DRUGI.

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierzawcy Alex. Vogla.
1867.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Druga połowa roku 1837 i cały 1838. — Przybycie do Liworno. — kwarantana — smutna wiadomość z domu. — Poeta osiada we Florencyi — przywiązane do miasta tego wspomnienia Danta — towarzyskie stósunki. — Wiersz „Do Księgarza“ — Poema Piasta Dantyszka o piekle — „Podróż na Wschód.“ — Znajomość z księżną Survilliers — mania muzykalna we Włoszech. — Niespodziewany epizod w życiu — p. Aniela M. — Sonety. — Zygmunt Krasiński w Florencyi — korespondencya Słowackiego z matką na czas dłuższy przerwana — wyjazd jego do Francyi. — Na kilka miesięcy przedtém druk Anhellego, jako też Poematu o Piekle. — Rozbior krytyczny Anhellego.

Dnia 17 czerwca 1837 okręt, na którym wracał Słowacki ze Wschodu, zawinął we Włoszech do portu. Był to port miasta Liworno. Stósownie do obowiązujących tam w czasie owym przepisów, podróżni przybywający ze Wschodu zmuszeni byli zaraz po wyjściu z okrętu odbywać kwarantanę. I Słowacki formalności téj przykréj poddać się musiał. Klauzura ta trwała dla niego przeszło 3 tygodnie. Dnia 11 lipca dozwolono mu przenieść się wreszcie do miasta. Wtedy kazał się zawieść do tegoż znowu hotelu, w którym nocował rokiem pierwéj, kiedy spieszył z Genewy do Rzymu powitać krewnych, którzy tam na niego czekali. Dziwnym trafunkiem, dano mu teraz nawet tensam znowu pokoik, który i wtedy zajmował. Chętnie dał się wprowadzić do numeru tego Słowacki. Miło mu było widzieć się przez dni kilka w kąciku, którego wszystkie sprzęty odświeżały mu w pamięci tę przeszłość tyle jeszcze nie dawną, a tak zupełnie jednak różną od chwil obecnych. Przed rokiem miał przed sobą krainę, o któréj

pięknościach mówiła mu wyobraźnia wszystkimi urokami poezyi. Miał zobaczyć Rzym i wszystkie przepychy jego. Wiedział, że w nim oczekuje go i coś droższego jeszcze, aniżeli wszystkie przepychy świata — rodzina, przywiązana do niego. Teraz widział się opuszczonym przez wszystkich swoich — może na zawsze. Wracał z świata poezyi w stósunki znane sobie, powszednie, rzeczywiste, uregulowane aż do przesytu — pełne prozy, tęsknoty, samotności — nawet fizycznie blade i wypłowiałe w porównaniu z tém wszystkiém, z czém się pożegnał...

„Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, nazad tam znów powraca pomimo wszystkich niewygód ciągłéj podróży. Tak tam dziwnie lekkie jest życie, że mi teraz Europa ciemną się wydaje. Poczerniały domy — zgęstniało powietrze — na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło... Chciałbym jeszcze raz być na Libanie.“ (z listu z dnia 24 listopada 1837 r.).

Przez cały czas wędrówki swojéj po różnych częściach świata nie miał Słowacki ani jednego listu od matki. Inaczéj to być nie mogło. Matce Juliusza nie było nigdy wiadomo, gdzie syn jéj bawi i jak się długo w którém miejscu zatrzyma. Odbierała listy od niego zawsze znacznie po czasie. Niektóre z nich ginęły nawet po drodze. Nie było zatém możności utrzymywać z nim jakąkolwiek korespondencyą, dopókiby nie powrócił do Europy. Juliusz to pojmował i nie spodziewał się też, dopóki podróż trwała, żadnych wiadomości z Krzemieńca. Lecz teraz — wychodząc z kwarantany— niecierpliwie i z bijącém sercem wyglądał chwili, która mu przyniesie owe listy, jak się spodziewał, czekające już na niego w tém włoskiém portowém mieście. Trwoga go zdejmowała na tę myśl, co w nich wyczyta. Co się tam dzieje w jego kółku rodzinném? czy matka zdrowa? czy wszyscy... Nie śmiał nawet domówić końca tego pytania. A jednak nasuwało mu się ono pomimowolnie i ciągle, jak widmo jakie, przytomne i nurtujące w głębi tajemnych jego myśli. Nadaremnie się opędzał przed ciężkiém jakiémś przeczuciem, które go dręczyło, ilekroć o Krzemieńcu pomyślał.

Piérwszy list, który otrzymał i który w rzeczy saméj już od kilku tygodni na niego czekał, nie zawierał w sobie nic takiego, coby było mogło usprawiedliwić owę trwogę, jakiéj doznawał. Donosiła mu w nim matka, że się powodzenie i zdrowie wszystkich w domu w tymsamym znajduje stanie, co dawniéj. W dni kilka potém doręczono Słowackiemu list drugi — i teraz dopiero nastąpiło, czego się on obawiał i co przeczuciem przewidywał przez cały czas przymusowego pobytu swego w zamknięciu kwarantany. W liście było doniesienie o nowym zgonie w gronie rodziny. Za tylu innemi drogiemi mu osobami, których nie miał biedny nasz tułacz nigdy już w życiu oglądać, poszedł i ojciec jego matki, patryarcha całéj familii.

„Więc już i ten starzec w kontuszu, którego pomarszczone powieki błyszczały łzami przy moim odjeździe, nie przywita mnie wracającego! — Nasza rodzina podobna jest do żórawi, które widziałem na pustyni egipskiéj. Jeden się porwał—wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit — i wkrótce jęku ich słychać nie było.“ (Z listu z dnia 21 sierpnia 1837, pisanego z Florencyi).

— Nie mając powodu dłuższego przebywania w mieście, ważném jako punkt handlowy, ale jak wiadomo bardzo mało posiadającém w swych murach takich warunków, któreby zająć mogły umysł artysty albo poety, po dwóch czy trzech dniach wypoczynku porzucił nasz podróżnik Liworno i pojechał do stolicy Toskanii. Było to w połowie lipca. — Słowacki nie umiał w owym czasie zdać sobie dokładnie sprawy z tego wszystkiego, co względem siebie zamierza na przyszłość. Mianowicie nie wiedział zgoła, które miasto i któryby kraj obrać sobie za miejsce stałego odtąd pobytu. Florencyi, pod tylu najróżniejszymi względami ciekawéj i zdolnéj zająć każdego, kto tylko szuka duchowego pokarmu i wielkich wzorów sztuk pięknych, słynącéj z cudnego położenia w najprzyjemniejszéj części Włoch całych, ojczyzny tylu znakomitych pisarzy i w ogóle kolebki całéj pięknéj literatury włoskiéj— Florencyi mówię nie znał naówczas wcale jeszcze poeta nasz. Owoż właśnie z tego powodu postanowił tam się udać i tam spędzić przynajmniéj kilka najbliższych miesięcy, dopókiby mu oko-

liczności nie pozwoliły powziąć ostatecznych zamiarów nadal co do swego losu na świecie. Był w owych latach we Florencyi osiadły od dość dawnego już czasu malarz Polak, nazwiskiem Zaidler, rodem także z Krzemieńca, dobry znajomy całéj Słowackiego rodziny. Juliusz wiedział o jego tam bytności już przedtém i zaraz za przybyciem swojém do miasta dopytał się o niego. Przy Zaidlera pomocy wyszukał sobie mieszkanie, składające się z dwóch gustownie umeblowanych pokoi, za które płacił miesięcznie 27 franków. Było ono położone na ulicy *Via dei banchi* pod numerem 4216. Późniéj mieszkanie to zamienił na inne — w domu własnym Zaidlera.

Życie Słowackiego we Florencyi, o ile z listów jego wnosić można, nie było połączone z tym pożytkiem i z temi przyjemnościami, z jakiemiby niezawodnie było połączone nie tylko dla innych, lecz nawet i dla niego samego — wśród innych okoliczności. Serce jego było stęsknione. Piękności natury, skarby sztuki już mu nie wystarczały. Raczéj przesycony on już był wrażeniami tego właśnie rodzaju, przeżywszy pod ich wyłącznym wpływem tyle już czasu samotnie. Potrzebował on teraz raczéj towarzystwa ludzi, ludzi znajomych, bliskich, kochających, kochanych. Silniéj niż kiedy, tęsknił do kraju i do rodziny. Przenosząc się myślą daleko, patrzał na to wszystko, co go naokół otaczało, obojętnie. Wśród przepychu rzeczy, które drugich zachwycają, często się nudził.

„O jakżebym chciał usiąść kiedy na trawie przed domkiem Teofila, wtenczas kiedy Ty matko masz przyjechać wieczorem!.. Widzieć na drodze pył przybliżającego się powozu, który mi Ciebie przywozi — potém rzucić się w Twoje objęcie — wypłakać się z wszystkich żalów na Twojém sercu — wyskarżyć się Tobie ze wszystkich zawiedzionych nadziei i uspokoić się nareszcie przed słońca zachodem, aby widzieć, jak ta złota gwiazda zachodzi nad Teofila łanami — cicha — rozpromieniona — podobna jasnemu żywotowi poczciwego człowieka... Za jeden taki spokojny wieczor, za jeden taki zachód słońca oddałbym wszystkie dni zachodnie mojego życia“...

... „Od czterech prawie lat miałem zawsze koło siebie rodzaj familii. Zawsze kilka godzin w dniu przechodziło mi z ludźmi. W podróży nawet zawsze miałem jednę różową i

uśmiechającą się twarz koło siebie. To też teraz często się sam znajdując w mojém samotném mieszkaniu, zadziwiony jestem długością cichych godzin, zwłaszcza wieczorem. Kilka listów z Genewy przyczyniło się do téj niespokojności. Tam przekonani byli, że ja wyszedłszy z kwarantany, zaraz nad jezioro Lemanu polecę. Nie widząc mię, dziwią się — płaczą — nareszcie myśląc, że mi brak pieniędzy przeszkadza, nasłali mi przed kilku dniami jakąś osobę, która chciała mi koniecznie pożyczyć na konto pani Patteg tyle franków, ilebym potrzebował. Ujęło mię to, choć nie przyjąłem pieniędzy. Teraz odbywam z sobą wielkie walki, czy jechać, czy nie, — i chciałbym mieć kogoś, coby mi tę wątpliwość rozwiązał. Nieraz mię wabi mój spokojny kominek w Genewie, moje drzewa i fijołki kwitnące w złotém zimowém słońcu. Nieraz zatrzymuje mię przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolniłem się"...

..."Nie dziw się, moja droga, że ja niegdyś taki odludek, dzisiaj się lękam samotności. Dawniéj sny moje i złote nadzieje na przyszłość otaczały mię w koło — dawniéj teraźniejszość była dla mnie jakby tylko sienią, prowadzącą do czegoś lepszego. Teraz się to wszystko na wspak obraca. Ale na Boga, jeszcze się nie poddam zniechęceniu, i Ty droga moja, łagodnemi słowy dopomóż mi do tego"... (z listu z dnia 21 sierpnia 1837).

Długie rozmyślanie, gdzie się na dłuższy czas urządzić, czyby pozostać we Florencyi, czy też raczéj powrócić znowu na brzegi genewskiego jeziora, skończyło się wreszcie na tém, że się pierwszeństwo włoskiemu miastu dostało. Przyczyniły się do tego głównie zbyt nalegliwe listy z Genewy, w których go, że tu użyję jego słów własnych, jak niewolnika naglono, aby koniecznie rzucał Florencyą i nad jezioro wracał.

"Sylka (pani Hersylia Januszewska), protektorka Eglantyny, wypchnęłaby mię gwałtem i zapakowała na statek parowy; lecz ja odpisałem tak nareszcie, że mi teraz zupełną wolę zostawują robić, co mi się podoba. Listy między nami rzadsze są teraz. Ona już utraciła nadzieję powrotu mego, a ja nie chcę jéj ożywiać na nowo. Siedzę więc przez zimę tutaj i najmuję mieszkanie w domu Zaidlera"...

"Przepędziwszy tu zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta (Paryż) — z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atra-

mentem, z piórem za uchem — i znów oddać wielki ukłon mojéj królowéj Sławie, jako wierny jéj do śmierci błazen"... (z listu z d. 3 października 1837).

Zamiar wystąpienia po tak długiém milczeniu na nowo w szrankach publicznych i odezwania się jako narodowy poeta — nie teraz dopiero zajmował myśl Słowackiego. Już odsiadując kwarantanę w Liworno rozmyślał on nad szeregiem publikacyi, które zamierzał niebawem przyprowadzić do skutku. Wiersz żartobliwy „Do księgarza", ogłoszony dopiero w zbiorze dzieł Juliusza pozgonnych, zaczynający się od téj strofy:

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima —
Mój Eustachy!

wiersz ten, mówię, właśnie wtedy był napisany. Zamawiał sobie w nim wojażer nasz, przybywszy do Europy, wpół żartem a wpół na seryo przedewszystkiém względy wydawcy pism polskich we Francyi (Eustachego Januszkiewicza), i już naprzód snuły mu się przed oczyma owe rozliczne kłopoty, jakich z konieczności doznawać muszą pisarze, nim płody swoje do rąk publiczności oddadzą.

Lecz ty wyrwiesz mię z latargu,
Ty pomięszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy!
Będę tobie wdzięczny za to,
Przypomnisz mi kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy! itd.

Targ księgarski, zniechęcenie, troska, strata i inne tym podobne rzeczy, same przez się bardzo niemiłe, miały więc dla Słowackiego teraz po tak długim wypoczynku prawie powab jakiś — urok nowości.

Nimby się jednak odnowiła z temi wszystkiemi praktykami dawna znajomość, chciał poeta nasz pierwéj napisać koniecznie

coś o podróży swojéj po Wschodzie. Miał to być dług, oddany najbliższéj przeszłości, którą przebył. Podobnéj daniny domagała się od niego także i teraźniejszość, która mu właśnie płynęła, a raczéj miejscowość, w któréj żył. Wszystko we Florencyi przemawiało do niego wspomnieniami wielkiego wieszcza, który się w tém mieście narodził, spędził w niém znaczną część życia, a potém ujrzał się w konieczności pójść na wygnanie i tułać się daleko od niewdzięcznéj ojczyzny — do saméj śmierci.

„Czasem idę do kościoła Santa Croce i staję przed pomnikiem Danta, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. Czasem idę do Galeryi i wpatruję się w Wenus Medycejską, chcąc aby piękność jéj przeszła do mojéj duszy“...

...„Ulubionym moim księżycowym spacerem jest jeden bok katedralnego kościoła. Nieraz marzę sobie, że tak chodził po tych kamieniach zamyślony Dante. Wyznam Ci jednak, droga Mamo, że mi często dystrakcyą sprawiają zgrabne i ładne Florentynki. Nigdzie podobnych figurek nie widziałem i wybrałbym łatwo sto dziewcząteк, w które gdyby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdéj ze stu mógłbym się dziś zakochać szalenie. Takie, jak są, przyciągają oczy, ale nie serce“... (z d. 21 sierpnia 1837).

Pod wpływem takich więc wrażeń — doznając z powodu samego miejsca to roztargnienia, to inspiracyi — pracował Słowacki we Florencyi nad dwoma utworami.

Jeden z nich był mniéj rozległego zakresu i został wykonany w całości: Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa, o Piekle. Pomysł do niego zawdzięczał autor niewątpliwie miejscu, gdzie bawił, i wspomnieniom do niego przywiązanym.

Drugi poemat był zamierzony w daleko rozleglejszych rozmiarach. Miał on objąć w sobie celniejsze wrażenia i przygody zaszłe w ciągu kilkomiesięcznéj podróży autora po Grecyi, Egipcie i Palestynie, opowiedziane tym tonem lekkim jak lot motyla, którego z takiém powodzeniem i Byron także użył niegdyś do złożenia w kształt poematu wspomnień swojéj pierwszéj podróży. Ale nastrój angielskiego poety w poemacie Childe-Harold zdaje się być więcéj smętny... Byłato piérwsza próba Słowackie-

go w tym rodzaju poezyi. Okazuje się tak z téj już pracy, jako i z drugiéj, znacznie późniejszéj, z Beniowskiego, że miał Słowacki szczególny dar do składania tych strof dziwacznych, wypowiadających posłuszeństwo wszelkim utartym prawidłom sztuki, mięszających w jednę gmatwaninę wszystkie żywioły poezyi, wszelkie uczucia człowieka — a jednak zajmujących i porywających każdego w najwyższym stopniu. Czy się czytelnik z autorem zgadza, czy nie; czy przyklaskuje gorzkiéj ironii, z jaką tenże smaga wszystko, co mu się w stósunkach tegoczesnych widzi przewrotném, czy się gorszy jego szyderstw zuchwalstwem: w każdym razie podziwiać musi geniusz pisarza, maczającego pióro w łzach i żółci z taką łatwością i z takim skutkiem. — Całość poematu, o którym mowa, miała się składać z kilkunastu — sądząc z tego, co zostało dokonaném, przynajmniéj z 15 albo 20 pieśni. Praca nad nim przerwała się już na pieśni szóstéj, z niewiadomego powodu. — Trudno jest obecnie o tym poemacie jako całości wyrzéc zdanie stanowcze. Ale zdaje się, że gdyby cały plan tegoż był przeprowadzony do końca, miałaby w nim literatura nasza niewątpliwie jedno z celniejszych dzieł poetyckich, jakkolwiek niektóre ustępy raziłyby może wybredniejsze umysły — i czasem słusznie...

Sześciopieśniowy urywek poematu, o którym tu mówimy, został w całości ogłoszony dopiero w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych. Autor w późniejszych latach do druku wcale już oddawać go nie zamierzał, co widać stąd, że jeden ustęp z niego prawie dosłownie jest wcielony do Beniowskiego. — Pierwotny tytuł był: Podróż z Neapolu do Ziemi Świętéj. Zamieniliśmy to na nieco ogólniejszy napis: „Podróż na Wschód“, z powodu że o Ziemi świętéj nic jeszcze w tych sześciu pieśniach nie ma.—

Wspomniałem wyżéj, że w piérwszych czasach pobytu Słowackiego w Florencyi było jego zamiarem wyjechać do Paryża już z wiosną roku 1838. Do tego nie przyszło. Cały ten rok 1838 przesiedział poeta nasz ciągle jeszcze w Florencyi, tak iż cały czas życia jego w tém miejscu doszedł ostatecznie przeciągu blisko 18 miesięcy. Jednym z głównych powodów tego odraczania

wyjazdu do coraz dalszych miesięcy był właśnie ten o Podróży poemat, a raczéj pewien brak natchnienia i zapału, który ukończenie jego opóźniał i utrudniał. Oto, co o tém znajdujemy w liście z dnia 2 kwietnia 1838 r.

...„Korzystałbym natychmiast z wolnych skrzydełek, aby przelecieć kawałek błękitnego morza, dotknąć piórami szczytu Alp śnieżystych i powędrować jeszcze daléj, gdyby mię nie zatrzymywały tu jeszcze niedokończone moje prace; przyrzekłem bowiem sobie, że z próżną teką nie pojadę do wielkiego miasta piszących waryatów. Doznaję prawie wyrzutów sumienia, żem dotąd nic ani o piramidach ani o grobowcu Chrystusa nie napisał. Ale jak mówi dawna piosneczka: serce nie sługa — nie zna co to pany itd. tak i ja o mojéj imaginacyi powiedzieć mogę. Zrobiłem spostrzeżenie, że dla nas ludzi z pod północnéj gwiazdy niedźwiedzia, Włochy są antyimaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki Pierwszy (?) bawiący tu dawniéj przez lat kilka, nic nie napisał — i dopiero przybywszy między błędne żórawie, zaczął śpiewać i rymy lać obficie. Z tego wnoszę, że imaginacyi potrzebne jest ojczyste, a przynajmniéj zbliżające się do ojczystego powietrze; potrzebna jest także atmosfera napełniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych; potrzeba nareszcie trochę poklasków, trochę cienia drzew nieposlitych i smutnych, jakiemi są laury, a w niedostatku tych, sosny i jodły litewskie. Tego wszystkiego braknie tu. Więc dobranoc marzeniom“...

To niekorzystne pod poetycznym a raczéj kreacyjnym względem mniemanie o Włoszech wypowiadał Słowacki już i przed wyjazdem swoim do Grecyi, jeszcze w listach z Neapolu pisanych. Musiało to zatém być u niego spostrzeżenie przydłuższém doświadczeniem stwierdzone. I teraz, we Florencyi, często w tenże sposób określał swoje usposobienie.

„Cokolwiek bądź (pisał d. 19 maja 1838), muszę się wyrwać z téj dżdżystéj Florencyi, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem, ale raj materyalny — prowadzący za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych. To dziwnie, że ja, co ze łzami prawie wyjeżdżałem z libańskiego klasztoru, gdziem tylko dni 40 jak na pokucie przesiedział, a takiéj wyjeżdżając doznałem tęsknoty, jak gdyby miło mi było życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić, czuję, że z Florencyi bez żadnego żalu wyjadę! Pierwszy raz mieszkanie moje nie przywiązało mię do siebie, choć

bardzo ładne i poetyczne. Osoby mi przyjazne nie utonęły mi w sercu, słowem, jestto dla mnie dziwny fenomen — ta oziębłość dla wszystkiego i dla wszystkich. Czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem serca mojego, że jeszcze młode być musi. Chciałbym się znów odhartować w jakiéj nauce suchéj i dającéj mi codzień nowe zagadki, jak matematyka. Ten kto doznał przesycenia idealnych marzeń, zrozumie i pojmie tę żądzę. Tęskno mi prawie za najsuchszemi godzinami życia, za moją niegdyś biurową pracą. Zdawaćby się prawie mogło, że władza moich zachceń zwaryowała. Lecz dosyć tego, boję się bowiem, abym pisząc tak, nie zasłużył na te smutne: „a dobrze ci tak!“ „a na co...?“ Skończ sama, droga moja, tę wymówkę, na co poleciałem jak pliszka nad szerokie morze, kiedy dosyć szerokie były dla mnie stawy trzciną obrosłe, i na co się zakochałem w Wenerze Medycejskiéj? na co się zapatrzyłem na posąg Danta stojący w Santa Croce — dla czego pokochałem orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich — na co strząsałem owoce Hesperyd na pomarańczach wschodnich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Żołobów albo pod Łysą Górę i strząsać sobie przezroczyste wiśnie w naszych rodzinnych ogrodach? Wyszedłem był na szeroki gościniec, i ten mię odprowadził daleko, nie wiedzącego, gdzie idę; a teraz wędruję przy blasku słońca umarłych... Niech mi Twoje błogosławieństwo towarzyszy! Życie jedno stracone jest tak małą rzeczą, że nie warto żałować, kiedy stracone na niczém.“

Tak pisywał w napadach melancholii i zniechęcenia. W innych chwilach inaczéj on sądził jednak o kolejach swego żywota.

...„Jak mię też Bóg wysłuchał! Ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie. To też on wszystko tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszemi wrażeniami. Prowadzi mię po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid“...

„O! wiele ja miałem cudownych chwil w życiu! Na co więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojéj duszy? Gwiazda, co mi świeci, piękniejszą jest od wielu innych“... (z listów z d. 3 października i 21 sierpnia 1837, z Florencyi).

— Dodajmy teraz do tego wewnętrznego wizerunku poety w ciągu jego pobytu we Włoszech, kilka rysów towarzyskiego pożycia, jakie go otaczało.

Oprócz Zaidlera, z którym się we Florencyi dopiero poznał i w domu jego zamieszkał, oprócz Zenona Brzozowskiego, towarzysza podróży, który na czas krótki pojawił się tu znowu, zastał on tu znajomą sobie jeszcze z czasów rzymskich rodzinę hr. Hermanostwa Potockich. Do tego przybyło jeszcze poznajomienie się z hr. Zdzisławem Zamojskim. Z Potockimi robił niekiedy wycieczki w przyległe okolice. Z panem Zdzisławem miewał rozmowy — jak się wyraża — podobne do platońskich. Oprócz tego bywał też czasem w domu księżnéj Survilliers, i u pani Komar, która spędzała tam wtedy zimę z córkami.

O księżnéj Survilliers jest kilka zajmujących szczegółów w listach Słowackiego do matki, które tu przytaczam.

„Księżna Survilliers spotkawszy mię raz na ulicy z Hermanem Potockim, żądała aby mię ten ostatni jéj prezentował, i musiałem więc z nią w karecie siedzącą zrobić znajomość. Jestto córka Józefa (Bonapartego, brata Napoleona I), a wdowa syna Ludwika — mała osóbka — bardzo mała — z twarzą dosyć przyjemną — bardzo bogata — bardzo wielka amatorka sztuk pięknych — dosyć dowcipna, ale czasem nieśmiała w rozmowie, przynajmniéj ze mną. Jestto jedyny dom florencki, gdzie bywam“...

„Co środy znajduję tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia. Jedni rysują szkice, drudzy gadają o literaturze, o sztukach pięknych. Muzyka tylko tam nie wchodzi. Dobrze! Bo gdzie muzyka się wciśnie, zwłaszcza we Włoszech, to zaraz bierze górę i staje się panem zgromadzenia i zamyka usta i głowy zasklepia. U Włochów pierwsza Cantatrice — *c' est un grand homme!* Innéj wielkości nie znają na ziemi, tylko wielkość gardła.“

Daléj Słowacki żartobliwie dodaje:

„Tytuł mój wojażera egipskiego, pielgrzyma do Ziemi świętéj, bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie. Mogę czasem poprawiać Lamartina — czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa — czasem robić się mistyczną anegdotą, rodzajem Giaura — czasem karykaturuję siebie, włażąc na kark wielbłąda — słowem że wyciągam różnymi sposobami korzyść z odbytych wędrówek, które i w samotnych moich godzinach bawią mię, jak sen piękny“... (z listów z d. 24 listopada 1837, z 22 lutego i 2 kwietnia 1838 r.).

Z powyższéj wzmianki o przecenianiu muzyki w Włoszech możnaby wnosić, że Słowacki był jéj nieprzyjacielem. Zapewne, nie był on ani entuzyastą ani też wielkim mistrzem w téj sztuce; niemuzykalnym jednakże nie był, owszem sam nawet pielęgnował muzykę. Miewał w mieszkaniu swojém zawsze najęty fortepian i niejednę szarą godzinę wygrywaniem na nim zapełniał; a jeżeli kiedy, to właśnie w pierwszych miesiącach po powrocie z podróży wschodniéj wiele czasu na to poświęcał.

„Całe godziny teraz gram z nót na fortepianie (donosił np. w liście z d. 3 października 1837) i bardzo w muzyce postępuję. Zacząłem ją lubić i nabrałem cierpliwości. Wziąłem abonament na nóty i coraz nowe przegrywam. Muzyka i moje umysłowe prace zabierają mi dzień i wieczór cały“...

Kilka miesięcy późniéj (d. 2 kwietnia 1838) donosił, że przez ciąg zimy wielkie poczynił postępy w czytaniu nót; dodaje jednak następujące wyrazy:

„Przeklinam Foka (był to niegdyś jego metr muzyki w Wilnie), że mię gamy, prostéj gamy nie nauczył. Biegłości mi płynnéj braknie i dla tego ludzie, którzy się na czuciu nie znają, a tylko sypanie grochu w grze lubią, nic nie pochwalą w moim melodyjnym talencie. Czy znacie koncert z Krakowiaka Chopina? Prześliczny! ale trudny jak dyabeł“...

Ale ażeby wrócić do głównego przedmiotu, t. j. do stósunków Słowackiego z towarzyskim światem florenckim: dodajmy, że chociaż mu tam na znajomych domach nie brakło, w których i często bywał i mile był widziany, rodzaj ten życia wcale jednak mu nie wystarczał.

„Od niejakiegoś czasu — pisał d. 2 stycznia 1838 — dałem się wciągnąć mimowolnie w świat i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co mię męczy i nudzi. Żałuję, żem został na zimę we Florencyi; nic bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych“...

„Braknie mi tu bardzo towarzystwa młodych ludzi. Nie mam z kim żyć po przyjacielsku, a ci, o których wyżéj wspominam, choć są bardzo dobrze ze mną, tyle wad mają i taki niedostatek w uczuciowych skarbach, że zawsze między nami są progi do przejścia i nigdy ich nie przestąpimy.“ (d. 24 listopada 1837).

Niekorzystne to mniemanie o rodakach, którzy z nim mieli znajomość i życzliwi byli dla niego, w tém zdaje mi się miało głównie przyczynę, że mierzył ich wszystkich podług skali najmilszego sobie ze wszystkich swoich przyjaciół, podług skali genialnego Zygmunta. Często się myślą przenosił w czasy, kiedy wspólnie obydwaj bawili w Rzymie. Nie było wtedy Krasińskiego we Włoszech — przepędzał zimę z roku 1837 na 1838 w Wiedniu. Stósunki między nimi były utrzymywane tylko listownie.

„Zenonek czasem mi z Wiednia hieroglifami o swoich zabawach pisze. Z téjże saméj stolicy przychodzą mi milsze listy od przyjaciela niegdyś mojego w Rzymie, który mi przypomina przechadzki po willi róż *), marzenia w Kolizeum i wszystkie inne smutne spacery po ruinach Cezarów.“ (d. 24 listop. 1837).

„Nie mam tu zachęcenia do pracy, nie mam porady. Nie mam nawet jednéj osoby, któréjbym się mógł zapytać, czy moje dziecko głupie jest czy rozumne; albowiem sobie nie wierzę i niespokojny jestem... Nie mam nikogo, coby mię ożywił — i podniósł trochę. Żal mi, że nie mam tu Zygmunta K., którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki“...

...„Serce moje znów się napełnia jakiemiś nieograniczonemi zachceniami (pisał w listach z października i z następnych miesięcy r. 1837); dziwna jakaś, czcza melancholia dręczy mię. — Chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim... Teofilowie już Ci musieli powiedzieć, droga moja, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia! Gadaliśmy z nimi o tém nieraz, siedząc na balkonie domu św. Łucyi w Neapolu, czekając aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez morską zatokę. Otóż znów rok przeszedł cały, a ja się nie kocham... Co to będzie? — Poznałem tu ładną jak anioł Amerykankę, i to był kamień probierczy mojego ostygłego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Niagary — podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem zachwycić ognia z jéj błękitnych oczu: kiedy mię odstręczyła od niéj jéj ciągła wesołość — ciągły prawie uśmiech na rozkwitłych ustach. Włożyłem więc znowu jak ptak głowę pod skrzydło i pogrążyłem się w moje sny melancholiczne“...

*) Willa Mills na Palatynie.

Snów tych marzących przedmiotem nie była już jednak uwielbiana tyle w Genewie przed kilku laty Marya W. Oddalenie i co do czasu i co do miejsca, ujęło jéj wspomnieniom wiele uroku w wyobraźni Juliusza. A mylne doniesienia, którym on dawał wiarę, zamieniły życzliwość dla niéj nawet w zupełną obojętność. Już więc zdolny był mówić o niéj spokojnie — nawet zimno — prawie powiedziałbym złośliwie!

..."Mówią, że się Chopin z Maryą W., a niegdyś moją Maryą ożenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie jak dwie krople podobny. Jak to sentymentalnie, pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i niestałość harmonizują się w takiém zdarzeniu — i podług Suedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się jeden anioł po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy. Wolę się do innéj jakiéj świątléj istoty w niebie przylepić. Dla niéj dosyć — Orfeusza! Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów ząbki"... (z listu z d. 2 kwietnia 1838).

W parę miesięcy potém ocknęły się znowu w Słowackim nadzieje i uczucia, na brak których w sercu swojém tyle się skarżył. W ciągu lata r. 1838 przybyła do Florencyi zamożna pewna rodzina z Podola czy Ukrainy, złożona z czterech osób, z ojca, matki, córki i jakiéjś już w dojrzalszych latach kuzynki. Córce, która nas tu głównie interesuje, było na imię Panna Aniela. Otóż do niéj to były późniéj napisane owe dwa cierpkie Sonety z napisem: „Do Anieli M." drukowane dopiero pomiędzy pośmiertnemi pismami, w tomie I. Jakkolwiek cały ten epizod w życiu Juliusza pozostał bez konsekwencyi, dla samego jednak choćby tylko wyjaśnienia rzeczonych sonetów przywiodę tu ustępy z jego korespondencyi, mające związek z tą rzeczą. Znajomość z państwem M. zrobił Słowacki w czasie, gdzie się już na dobre zabierał do wyjazdu z Florencyi. Wyjazd właśnie w skutek tego znowu się odwlekł. Otóż, co pisał właśnie z tego powodu w liście z d. 21 sierpnia 1838 r.

„Znalazłem ludzi, którzy mię lubią, kochają i chcieli zatrzymać; więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaznymi jest dom M............, kuzynów Z. i ta panienka, od któréj on odebrał niegdyś rekuzę, która go w me-

lancholią i w dalekie kraje zagnała. Sam stary M. dobry i wiele gadający człowiek, do tyla mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczaił mię do tego, że co wieczora prawie z nimi na gawędzie czas trawię. Żona jego dla interesów pojechała tu stąd na Ukrainę i chciała bardzo być w Krzemieńcu, aby Ciebie poznać i o mnie Tobie mówić. Czy jéj droga przez nasze miasteczko wypadnie, nie wiem; ale jeszcze kilka dni temu, M. mówił mi, że od Ciebie droga spodziewa się upoważnienia, aby wziął nademną opiekę i rząd samowładny.... Nawet pani M., dla wszystkich dość zimna, zo mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy przychodzę. Słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w Paryżu nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał, a tu są tacy, co mię z otwartemi rękami przyjmują?“

O wszystkiém tedy i o wszystkich matce donosił, tylko nie o osobie, któraby była mogła właśnie najwięcéj ją zaciekawić. Uzupełniając rzecz z ulotnych wzmianek, rozrzuconych po innych listach, spróbujemy my z naszéj strony dodać tu wizerunek panny Anieli. Była to panienka zajmująca — nie tyle piękna, ile miła i kształtna — bardzo starannie wykształcona i co nazywają myśląca; ale... że użyjemy słów własnych korespondencyi, „strasznie popsuta“, albowiem była to p a n i w domu, samowładnie rządząca nad ojcem i nad matką. Poecie naszemu okazywało całe jéj mimowolne postępowanie, że musiała ona nim być zajęta. Uważały to i osoby dalsze, bywające w tym domu. Każde jego przyjście sprowadzało rumieniec na lica panienki. Widząc przychylność całego domu ku sobie i tak życzliwe usposobienie w osobie, która i na nim, ile ze wszystkiego wnosić, korzystne od piérwszéj chwili sprawiła wrażenie, zaczął się Juliusz panną Anielą coraz żywiéj zajmować. Że jednak miała ona różne też swoje słabostki, których jako baczny obserwator nie mógł nie widzieć, trzymał więc uczucia i kroki swoje na wodzy, namyślał się, doświadczał, zwłóczył, tak iż postępowanie jego mogło się wydawać chłodném i chwiejném. Mimo wszystkich oznak przywiązania ze strony panny, a grzeczności ze strony rodziców, czegoś on temu wszystkiemu, co niby widział, niezupełnie jeszcze dowierzał, choć powia-

da, że były wyraźne kroki ze strony trzecich osób, które go zachęcały, ażeby jawnie i stanowczo w roli konkurenta wystąpił.

„Może to był sen i przywidzenie z mojéj strony; ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie np. słowa: Popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię. Na co panna płonęła, a ja nie wiedziałem, co myśleć“...

Dalszego wątku tych stósunków nie podejmuję się dopowiedzieć czytelnikowi, szczegóły bowiem w listach o tém nie dają dokładnego wyobrażenia. Zdaje się, że wmięszanie się w rzecz nieproszonych przyjaciół, intrygi jakieś, w części może uwięzienie wuja Juliusza, które zaszło na Wołyniu właśnie w ciągu tego stósunku, a przedewszystkiém owo zbyt wyczekujące zachowanie się konkurenta w obec panny z wyobraźnią nieco exaltowaną, pozwoliło przeminąć chwili najsposobniejszéj i nadało myślom p. Anieli taki późniéj kierunek, iż się wszystko między nimi skończyło ostatecznie na niczém. Słowacki wyjechał potém do Paryża; ona z rodzicami pozostała jeszcze na rok następny pod niebem włoskiém i — rzecz dziwna, umarła we Florencyi w kilka miesięcy po wyjeździe Juliusza. —

„Może z mojéj strony było nadto dumy, która się téj panience mogła opieszałością wydawać; gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby dlaczego tak nienatarczywie starałem się o nią. Ona miała miliony, jam nie mógł jéj nic dać nawzajem. Ale to już przeszło. Ona mię teraz widzi z nieba — bo już nie żyje!..

...„Przyznam Ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jéj śmierci dowiedział, cierpiałem. Bo choćby to było u niéj chwilową tylko myślą, aby mię wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jéj to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jéj dopełniła obrazu. Ileż razy teraz chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jéj cień rumieni i spuszczając oczy przede mną pyta się: dla czegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach“... (Z listu już pisanego z Paryża, d. ? listop. 1839 r.).

Powyższe doniesienia o śmierci p. Anieli przeniosły nas mimowolnie w czasy Słowackiego paryskie. Jeszcześmy jednak do nich nie doszli. Cofnijmyż się zatém myślą teraz o rok cały na-

powrót, ażeby dopełnić wizerunku zajęć jego florenckich, w ciągu roku 1838.

Właśnie w czasie piérwszéj swojéj znajomości z rodziną M., przystąpił był Słowacki do urzeczywistnienia wspomnianego już powyżéj zamiaru, odezwać się wreszcie znowu jako autor publicznie występujący i w szybkiéj kolei wydawać teraz jednę pracę po drugiéj. Od czasu ogłoszenia Kordyana (1834) aż do owéj pory, czytająca publiczność prawie zupełnie go była straciła z oczu. Chodziło o to, żeby złożyć teraz przed nią cały snop plonu usiłowań czteroletnich i nieprzerwanych, choć podejmowanych w ukryciu, i zająć jako pisarz miejsce sobie należne. Słowacki miał wtedy chwilowy zamiar, przenieść się właśnie z tego powodu do Paryża niezwłocznie, i pisał pod wpływem tego postanowienia do matki dnia 10 lipca (1838), co następuje:

> „Wyjeżdżam 25 tego miesiąca do Paryża, albowiem wysłałem tam przedemną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać. Nie wiem, jaki będzie los jego i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na świecie, zwłaszcza że mu zamierzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Piérwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się Anhelli. Melancholiczną i trochę chrystusową ma twarz — wielką prostotę w ubiorze — i niepodobny jest do niczego. Zaczynam więc znów życie mniéj opasłe. Więcéj dla mnie ciekawe będą dni i godziny. Interesują mnie także moi dawni znajomi, których od pięciu lat nie widziałem. Jeżeli źle mi będzie pomiędzy nimi, uciekam znów w góry alpejskie lub pirenejskie, i osiadam w nich na zawsze, jak pustelnik.“

Zapowiedziany wyjazd Słowackiego z Florencyi już w ciągu lipca, nie przyszedł wprawdzie do skutku, z wiadomych nam już przyczyn; nie przeszkodziło to jednakże wyjściu z pod prasy owego dzieła w najbliższym czasie. Imię autora tym razem było wyrażone na tytule. Takowy brzmiał krótko:

„Anhelli — przez Juliusza Słowackiego.“ Paryż, 1838. 12⁰ str. 108. — Przedmowy żadnéj.

Kiedy Słowacki ujrzał przysłany sobie do Florencyi pierwszy exemplarz téj książki, donosił o tém w wyrazach, które żywo

przypominają i radość jego i owę przesadnie szczęśliwą pewność siebie, wzbudzoną w nim za ukazaniem się dwóch pierwszych tomów „Poezyi“, wydanych przed sześciu laty w drukarni panny Kory.

„Przedwczoraj (powiada w liście z d. 21 sierpnia 1838) miałem dzień miły dla mnie. Oto przysłano mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo i o którém zaręczano mi, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę — więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie; ale mię coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać spiesznie; ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiéj, ciemnéj, pustéj katedry i stanąwszy w pośrodku, zacząłem myślcć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!... Potém poszedłem do M. pochwalić się, i jadłem z nimi obiad, wesoły jak rzadko bywa i dosyć kontent ze świata. — Chrzciny tego nowego dziecka bez żadnego kosztu obeszły się, albowiem uprzednie moje na niego zapracowały — i jeszcze mi coś zostało.“

Już w parę miesięcy potém — w drugiéj listopada połowie — wyprawiony został do Paryża do druku drugi rękopis. Byłto „Poemat o Piekle“, a zatém ostatnie, najświeższe dzieło ze wszystkich, jakie naówczas autor miał w tece. Ofiarował je w przypisaniu „Żałosnéj ludu polskiego Wdowie“, a rozumiał przez te słowa miasto Warszawę. Kilka wierszy stanowiących właśnie tę dedykacyą, na piérwszéj karcie poematu, mają podpis „dnia 15 listopada 1838 r. z Florencyi“. Była to niezawodnie data dnia, w którym rękopis był oddawany na pocztę. Książka została odbita i weszła w obieg księgarski zapewne z końcem jeszcze tegosamego roku, chociaż zwyczajem księgarskim położono na tytule cyfrę roku następnego. Cały tytuł był taki:

Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o Piekle, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. Format 12°.

Zwyczajem moim nie mogę udzielić czytelnikowi o tém dziele żadnéj osobistéj wzmianki autora zaczerpniętéj z jego poufnych zwierzeń. Piérwsza to publikacya, o któréj najgłębsze milczenie w całéj jego korespondencyi. Dzieło samo nie było tego powodem, lecz zdarzenia uboczne. Listy Słowackiego ukazują w tém miejscu przerwę i to nader znaczną. Od 21 sierpnia 1838 aż do 24 czerwca 1839, a zatém przez całe 10 miesięcy, nie odebrała matka poety ani jednego słowa od syna. Powodem tego milczenia była ta okoliczność, że w jesieni 1838 r. brat jéj Teofil dla jakichś podejrzeń o winy polityczne w domu własnym na wsi na Wołyniu został aresztowany, a następnie wyrokiem sądów wojennych wskazany na wygnanie. Jako miejsce wygnania była mu naznaczona Perma w głębokiéj Rosyi. Ściągnęło to, jak się samo rozumie, i wszelkiego rodzaju nieprzyjemności i niemałe straty materyalne na tę całą rodzinę. Pani Becu była z tego powodu trzymana przez 5 miesięcy pod śledztwem w Kijowie, i nie mogła od owéj chwili już utrzymywać stósunków z synem. I Juliusz, któremu wiadomość o tém wszystkiém doniesiono z boku natychmiast, nie śmiał jako wychodziec listami swymi kompromitować matki i zawiesił z tego powodu zupełnie korespondencyą. Tak więc niepodobno mi jest udzielić bliższych szczegółów o stósunkach i krokach mego poety, o ile takowe przypadają na przeciąg rzeczonych 10 miesięcy.

Piérwszym, który mu przywiózł tę smutną z kraju wiadomość, był Zygmunt Krasiński. Przybył on do Florencyi w miesiącu październiku (1838) i pocieszał w téj ciężkiéj niedoli jak mógł, biednego towarzysza swojego, dopóki tenże bawił jeszcze we Włoszech. Ile mu wdzięczny był Juliusz za tę jego serdeczną przyjaźń, o tém najlepiéj przekonywa wiersz wtedy napisany do niego, w chwili kiedy wyjeżdżał już z Florencyi. Wiersz ten, przez niedopatrzenie niezamieszczony w zbiorze pism jego pozgonnych, był następujący:

DO ZYGMUNTA.

„Żegnaj, o! żegnaj archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojém sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświetlił — by nie poszło w trumnę
Ani spokojne mniéj, ani mniéj dumne.

„Więc gdzieś, daleko, u boskiego celu
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba — spokojności...
Lecz jeśli ducha nadchodzą morderce,
Lecz jeśli walka jest: — dałeś mi serce!

Florencya 4 grudnia 1838.“

Na zakończenie rozdziału, w którym chciałbym wyczerpnąć wszystko, co tylko miało związek z pobytem Słowackiego we Florencyi, przejdę od biografii do krytyki. Powiedziało się wyżéj, że na czas ten florencki przypada ogłoszenie dwu tomików, nakładem własnym autora drukowanych w Paryżu. Tu pora zastanowić się nad tém, co się w takowych mieści. Poemat Piasta Dantyszka o Piekle przejdę milczeniem. Nie jestto utwor z liczby celniejszych. Nie daje powodu ani do szczególnych pochwał ani też do ujemnych wywodów takich, którychby każdy czytający sam sobie nie potrafił utworzyć. Poemat ten i w pierwszéj chwili małe sprawił wrażenie i późniéj nie potrafił zjednać sobie rozgłosu. W tym razie zgadzam się i ja najzupełniéj z wyobrażeniami o tém ogółu. To jedno mógłbym chyba dodać do nich, na podstawie bliższego obeznania się z życiem ówczesném Juliusza, że praca, o któréj tu mówimy, była że tak powiem okolicznościowa, wywołana samą miejscowością jego ówczesnego pobytu. Była to rzecz pisana w stanie ducha mniéj podniosłym.

Natchnienie prawdziwe nie dawało tu poecie tych skrzydeł, na których w innych czasach wznosił się nieraz w najwyższe sfery twórczości. Byłto więcéj płód woli i rozmysłu, niż bezpośredniego rzutu fantazyi... To też, właśnie z przyczyn powyższych, nie nastręczają się z okazyi tego poematu do powiedzenia ani nawet takie uwagi, któreby choć ubocznie mogły mieć jakąś ważność przy określeniu kierunku i stanowiska poety w czasie, kiedy to pisał. Inaczéj za to ma się rzecz z drugą jego publikacyą z czasów florenckich, pochodzącą z lat, kiedy przemieszkiwał jeszcze w Genewie. Nad nią warto zastanowić się nieco dłużéj.

Pospolicie spotyka wszystkie Słowackiego utwory zarzut, że są zbyt trudne do rozumienia. Po dokładném rozpoznaniu osobistych okoliczności, dotyczących poety, mniemana niezrozumiałość dzieł jego okaże się przesądem. Prawdziwie uzasadnionym pozostanie powyższy zarzut tylko w obec jednego poematu. Tym poematem jest Anhelli. Nie wiem czy jest, czy był kto dotąd tyle szczęśliwy, żeby się mógł pochwalić, że w nim na wskróś przeniknął cały autora zamiar. Pomimo tego — rzecz dziwna! — nieprzystępność i niejasność w całym Anhellego układzie doznaje w wyjątkowy jakiś sposób szczególnéj pobłażliwości u wszystkich. Cudny język, dziwnéj czystości formy, kilka postaci wymarzonych z niezrównaną poezyą i te ustępy poszczególne, tu i owdzie po całém dziele rozsiane, które już same przez się zostawiają jakiś smętny obraz w myśli czytającego, wystarczyły Anhellemu za przepustkę w charakterze jednéj z najlepszych kreacyi.

Zygmunt Krasiński, kiedy się dowiedział o śmierci Słowackiego, pisał do przyjaciół jego w Paryżu zajętych właśnie pogrzebem: — „Położcie mu napis na grobie: Autorowi Anhellego, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe.“ — Ze słów tych widać, że autor Irydyona najwyżéj stawiał Anhellego między wszystkimi utworami zgasłego przyjaciela. A skoro tak wysoko dzieło to cenił, zdawałoby się, że je musiał i doskonale rozumieć. Czy je rzeczywiście rozumiał? o tém zdania mogą być różne. Odzywał on się i w rychlejszych już latach, za życia jeszcze Juliusza, po kilka razy i przy różnych sposobnościach w podobny sposób o tym utworze. W liście

do Romana Z. (Załuskiego? *) wprost nawet dotknął punktu, o który nam tutaj chodzi. — „Na żaden sposób (tak się list rzeczony zaczyna) nie mogę uznać za prawdę i słuszność niesprawiedliwości wyrządzonéj przez publiczność Juliuszowi. Zapytam się: w czém go nie rozumieją? Ty piérwszy powiédz mi, czegoś w nim nie rozumiał?“... I mówiąc w dalszych wyrazach z tego właśnie punktu widzenia o niektórych jego pismach z osobna, mianowicie o „Trzech Poematach“ i Balladynie, tak pisze daléj: — „Teraz o Anhellim. Zaprawdę potrzeba potęgi uroczéj, genialnéj, nadzwykłéj, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się jakby Eden melancholijny. Wiesz że mówią, iż czasem duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepce do ucha i łudzi i nęci i porywa. Otóż piekło Sybiru nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem“...

Czy te słowa — zresztą tak poetyczne, przekonywają o tém, że ten co je pisał, wnikał w wewnętrzną myśl Anhellego: o tém sąd pozostawiam czytelnikowi. Podobnie ogólnikowéj tylko treści są i uwagi Krasińskiego o Anhellim wyrzeczone rok późniéj w artykule o Słowackim, danym do Tygodnika **). Więcéj wprawdzie szczegółowe były myśli jego o tém udzielone K. Gaszyńskiemu w roku 1838 z Wenecyi ***): jednakże i one żadną miarą nie wystarczają na to, żeby nam dziś wytłómaczyć, dlaczego Krasiński stawiał tak wysoko poemat, z którego, jak widzimy, równie nie byłby umiał zdać sprawy dostatecznéj, jak wszyscy.

Był snać w owém pokoleniu poetów jakiś dziwny pociąg do tajemniczości w artyzmie, tak iż mglista zagadkowość dzieł poe-

---

*) List ten był pisany w r. 1840 dnia 13 maja w Rzymie. Ogłoszono go w Dodatku Czasu 1859 r. w zeszycie na miesiąc marzec.

**) Tygodnik Literacki poznański, rok 1841, str. 181.

***) Obacz Wyjątki z listów Z. Krasińskiego, stroną 43.

tyckich nie była poczytywana za ułomność, lecz raczéj przydawać miała uroku częściom obrazu więcéj wydobytym na światło. Co tonęło w pomroku, choć nie przemawiało do oka, mówiło do wyobraźni. A ta po swojemu — u każdego czytelnika inaczéj — dopełniała tego, co w obrazie było zakrytém. Nie chodziło o to, co poeta zamierzał, ale co się dawało marzyć nad książką, w duszy własnéj. Było to, jak z utworami muzyki, które także wzbudzają myśli w słuchaczach, ale zazwyczaj w każdym inne i aż do pewnéj granicy zupełnie dowolne...

Nie stósuję jednakże tego, co tu mówię, do całéj osnowy Anhellego. Jest w tém dziele dobra połowa szczegółów, w których się mieści świadomy zamiar poety. Spróbujmy, czy nie potrafimy choć tę część poematu odsłonić.

Ażeby to ułatwić, powiedzmy sobie przedewszystkiém, że autorowi bynajmniéj nie chodziło w Anhellim o krainę sybirską, choć z niéj zrobił pozorną scenę swojéj powieści, ani też o stósunki wygnańców i osiedleńców sybirskich. Ktoby to wszystko chciał brać dosłownie, musiałby co krok sprzeczać się z poetą, wytykając mu to nieznajomość przedmiotu, to brak podobieństwa do prawdy. Zaraz na samym początku poematu czytamy, że przyszli wygnańcy w liczbie około 1000 osób na ziemię sybirską i zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać w nim razem w zgodzie i w miłości braterskiéj. A kiedy już dom ów stanął, wtedy każdy zajął się swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli aby ich nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny... Słowacki wprawdzie osobiście nie znał Sybiru; ale równie jak każdemu z nas, nie mogło i jemu nie być wiadomém, że ani pierwsze, ani drugie pomiędzy wygnańcami zasłanymi do téj krainy żadną miarą nie mogłoby być praktykowaném. — Również nie miałaby sensu w znaczeniu dosłowném ta cała scena z dziećmi i popem na tatarskim koniu siedzącym, która jest opisana w rozdziale IIIcim (wydanie lipskie, str. 109). To jest obraz rzeczywistych stósunków, leoz nie pod niebem sybirskiém. — Podobnie nie słyszał też nikt w Sybirze „o turmach i o wtrąconych do nich więźniach, których twarze smutne i blade patrzą się przez kraty

w niebo" (rozdział IV str. 111). Cały ten ustęp wzięty jest niezawodnie z rzeczywistego życia, lecz do sybirskich stósunków to nie przystaje. — Scena ukrzyżowania trzech fanatyków, z których każdy przez własnych ziomków zostaje przybitym na krzyż za swoje mrzonki (rozdział X str. 126 i 127) — i to są znowu rzeczy, których na Sybirze nawet rozbujała wyobraźnia poety nie będzie śmiała umieszczać, — chyba w allegoryczném znaczeniu, w sensie symbolicznéj przenośni.— W drugiéj połowie XIgo ustępu (str. 131 — 133) ukazuje autor wstającą z grobu w kształcie płomienia postać biskupa, którego kości pogrzebane są w śniegach sybirskich. Ze słów, jakie biskup ten mówi do Anhellego, widzi każdy, że to Sołtyk. Mieliżbyśmy przypuszczać, że to pomyłka poety? Nie miałożby być i Słowackiemu wiadomém, że grób Sołtyka znajduje się na Wawelu, a miejsce wygnania jego było z téj strony Uralu?..

Mógłbym to dowodzenie znacznie przedłużyć; myślę jednak, że i to, co powiedziałem dotąd, wystarcza, ażeby przyjąć za punkt wyjścia w rozbiorze niniejszym przypuszczenie, że w Anhellim przez Sybir i przez wygnańców sybirskich rozumieć koniecznie trzeba co innego, jak to co na razie sam brzęk słowa nasuwa. —

Poeta daje widocznie w dziele obecném wizerunek doli całego narodu, przegląd wszystkich jego stósunków, obraz i cierpień, które znosimy od drugich, i win, jakie sami przeciw sobie popełniamy. Sybirem podobało mu się nazwać całe nasze położenie społeczne. Obejmuje więc w tym wyrazie kraj nasz cały przedewszystkiém, a potém emigracyą z r. 1831, nakoniec i wszelkie strony świata zaludnione wygnańcami polskimi, nie wyłączając zresztą z liczby takowych także i pustyń sybirskich.

Upatrywaćby można w tém wszystkiém coś artystycznie niewłaściwego, coś... że powiem, naciągniętego. Użyty symbol słabo odpowiada podłożonemu sobie znaczeniu. Odnieść to należy na karb osobistych też jedynie okoliczności poety, że użył téj właśnie formy. Anhelli był pisany w Genewie. Stała Słowackiemu wtedy ciągle przed oczyma owa olbrzymia biała góra, o któréj mawiał w listach swoich, że „jest podobna do snycerskiego po-

sągu sybirskiéj krainy". Ten widok codzienny żakutegò w lody i śniegi Mont-Blanc, odbity w wyobraźni, przyjął w się zwolna wszystkie medytacye poety o ojczyźnie i o rodzinie, o szczęściu którego nie zaznał, o samotności, na którą był wskazany... Z czasem w duchu jego tak się jedno i drugie zlało, że mu się już czuć nie dawała niepokrewność i nawet sprzeczność między tłem a obrazem, między formą a rzeczą samą. Obydwie strony w fantazyi jego spłynęły w jedność, nierozłącznie spojoną. Owinęło się zaś około téjże jeszcze i coś trzeciego, co także było tylko skutkiem przypadkowych owoczesnych osobistych stósunków: — mówię o stylu biblijnym, jakim jest napisany Anhelli *).

Odnosząc Anhellego w taki sposób do symbolicznego rodzaju poezyi, uważam za potrzebne rzucić tu mimochodem jeszcze tę ogólną uwagę, że symbolika w sztuce może być dwojaka. Mogą w jéj zakresie być same takie tylko przenośnie, które ściśle wyobrażają myśl sobie podłożoną i po za granicę téjże myśli wcale nie przesięgają. W takim razie ruch i kształty użytych form symbolicznych stósują się wiernie i niewolniczo do wewnętrznego swego znaczenia. Wszystko w nich tém znaczeniem przesiąkło, a po za okręg tego znaczenia ani krokiem już daléj pomysł symboliczny nie idzie. To jest symboliczność ścisła — łatwa wprawdzie do odgadywania i przezroczysta, ale skostniała, uboga w artystyczne powaby i jakby spętana tém czémś drugiém, sobie obcém, co w nią włożono. Bywają znowu utwory symboliczne zgoła odmiennéj natury. Figury i znaki w zakresie téj drugiéj symboliki, stworzone pierwotnie na to, żeby coś takiego znaczyły, czém same przez się nie są, wprawdzie z razu przyjmują na się piętno podłożonego sobie znaczenia, ale na tém bynajmniéj nie poprzestają. Zostawszy raz wywołane do życia, jako udzielne twory fantazyi, zatrzymują ruch i nadal w własnym swoim kierunku; skutkiem czego wynikają z nich kształty zewnętrzne i sytuacye takie, które nie mają żadnéj wreszcie wspólności z pierwotném, z głównem znaczeniem. W takim razie

*) W tomie I na stronie 241 wspomnieliśmy, że czytywanie pisma św. było w owych latach codziennym zwyczajem Słowackiego.

allegoryczność miesza i wikle się ciągle z bezpośrednią dosłownością utworu. Sceny i kształty znaczą rzecz, o wyrażenie któréj z założenia głównie chodziło, ale dają też oprócz tego i więcéj jeszcze, to jest dają i siebie same. Tak powstaje symboliczność swobodna, fantastyczna, będąca nieskończenie trudniejszą do rozumienia, aniżeli tamten jéj rodzaj, ale wolna od téj martwoty i sztywności, na jaką z natury rzeczy wskazane są symboliczne tworzywa poprzedniéj kategoryi. Ten drugi rodzaj symboliczności jest najwłaściwszym w zakresie twórczości poetyckiéj: i do tego jéj rodzaju policzyć też należy i Anhellego.

Względna zatém trudność do rozumienia tego utworu (gdyby się kończyło na takiéj tylko trudności), byłaby prostém tylko następstwem przyjętéj formy, a raczéj rodzaju poezyi, w którym jest wykonany Anhelli. Taka trudność nie byłaby wadą. Ustępy Anhellego jednakże, nadarzające się, jak każdy przyzna, dość często, które się całkiem usuwają z pod możności wykładu, okazują, że autor nieraz zbyt się daleko dawał fantastyczności porywać i przesadzał niekiedy w dobrych chęciach otoczenia symboliczności poezyą i cudownością. W tém więc całe źródło mglistości i wszystkich w ogóle wad Anhellego. —

Przystępuję teraz do szczegółowego przeglądu myśli Słowackiego w dziele niniejszém.

Poeta daje na samym początku wizerunek widocznie emigracyi naszéj ówczesnéj. Exystencyą jéj nienormalną, między obcymi, na tułactwie, zowiąc figurycznie życiem w Sybirze, powiada:

„Przyszli wygnańcy na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiéj; było ich zaś około tysiąca ludzi z różnego stanu.“ Mieli ci nieszczęśliwi między sobą utrzymywać nadzieję, „bo nadzieja przejdzie z nich do przyszłych pokoleń i ożywi je“. Mieli czuwać nad sobą, „bo byli jak ludzie stojący na podniesieniu“...

I rzeczywiście „przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek; albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą... chyba Bóg zechce —“

Lecz czasy tego porządku i smutku nie były długie. Niektórzy tylko z nich zajęli się swoją pracą. Niebawem znaleźli się między nimi, „którzy chcieli aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności, mówiąc: Oto myślimy o zbawieniu ojczyzny“... I okazało się aż zbyt rychło, że ten zastęp wygnańców był tylko jedną plagą więcéj dla społeczeństwa, z łona którego wyszedł. — „Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieniła w ludzi złych i szkodliwych; albowiem serca ich były słabe. Byli ludem starym, których wskrzesić na duchu cudem jest“...

To więc wizerunek pierwszy stanu społeczeństwa naszego — w latach, w których był pisany Anhelli.

Począwszy od rozdziału III do IX ciągnie się cała galerya podobnych tegoż stanu obrazów. Jestto niejako wędrówka dantejska przez cały obszar stósunków exystencyi owoczesnéj narodu. Figura fantastyczna, Szaman, prowadzi przez to społeczne piekło poetę, jak w Komedyi Boskiéj Wirgili prowadził włoskiego wieszcza. Ci dwaj spotykali na drodze swojéj różne potępione za swoję przeszłość osobistości. Anhelli spotyka się z równie potępionemi, lecz nie indywiduami, ale stósunkami, spotyka się z cierpieniami kolosalnemi narodu, które się już zamieniły w stały obyczaj, w panujący i niezmienny stan rzeczy...

Cała ta część dzieła i najartystyczniéj jest wykonana i najłatwiéj poddaje się wyrozumieniu. Nie ma potrzeby zatrzymywać się tu nad składającymi ją ustępami z osobna. Wszystkie obrazy są wzięte z rzeczywistego życia. Wprawdzie otacza je zawsze pewna ornamentyka fantastyczna, cudowność, która analizy nie znosi. Zrażać się tém nie należy, taki już bowiem jest cały sposób poematu, który mamy przed sobą. A bardzo zmyślnie też postąpił sobie poeta, że ku końcowi tego przeglądu narodowych cierpień i pokut (na str. 126) od niechcenia rzucił słowo, które ten cały szereg obrazów, pod względem ich formy, pozwala uważać za rzeczy ukazane że tak powiem na tle widzenia, za sen. „I przekonany był Anhelli, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.“ —

Na dalszych kartach, od rozdziału dziesiątego począwszy, następuje że tak powiem, wytłómaczenie, dlaczego dziać się mogą pod okiem bożém takie monstrualności społeczne. Autor wraca do owego zastępu tysiąca ludzi mieszkających w wspólnym domie, pozostawionych przy woli własnéj, od których zaczął całe swoje opowiadanie. W obrazach co tylko przeprowadzonych przed oczyma naszemi, odsłonił co naród znosi i cierpi. W scenach, co teraz następują, przychodzi mu okazać, co to społeczeństwo czyni. Ma òn tu na oku, jak się już rzekło, przedewszystkiém ówczesną emigracyą. Ale jak emigracya była tylko odblaskiem tego wszystkiego, czém naród cały wtedy był w sobie i co był czynić gotów, gdyby tylko na to pozwalały okoliczności: tak też i całe opowiadanie, które tu poeta daje, nie do samych tylko emigracyjnych stósunków ściągać należy, ale do całéj sumy postępowania i zabiegów w narodzie, o ile takowe nawet w daném położeniu były wynikiem własnych instynktów i jako czyny wolnéj woli stanowiły ò doli społeczeństwa w przyszłości. — Cóż się tedy dzieje pośród owéj liczby wygnańców, co mieli mieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiéj i czuwać nad sobą, gdyż byli jako ludzie stojący na podniesieniu? — Poeta odsłania jeden rys tylko w ich usposobieniu ówczesném. Czy że nie dostrzegał innych wad, które toczyły i toczą ustrój społeczny nasz, czy że nie chodziło mu, jak tylko o symboliczne naznaczenie tego stanu chorobliwego, ku czemu wystarczała już i ta jedna skazówka: — dość że podnosi tylko samę nieudolność polityczną owych tysiąca ludzi, jako znamię, które cechuje wszystkie ich kroki. Marzycielstwo, fanatyzm, bezmiłość itd. sąto już tylko drugorzędne przymioty i wyniki głównéj winy, jaką odsłania, a którą wedle niego jest ta nieuleczona jakaś zapamiętałość, z jaką społeczeństwo nasze, jakby fatalizmem jakimś pędzone, chcąc ojczyznę zbawić, tylko coraz głębszą dla niéj wykopuje mogiłę...

Owi wygnańcy tedy, mówi poeta, sobie samym zostawieni, po niedługim czasie kłócić się zaczęli pomiędzy sobą. „I podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny. Więc pierwsza na czele miała grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać

się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego. A druga miała na czele żołnierza chudego imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z żydami i cyganami. A trzecia na czele swojém miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny, iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy... —

W taki więc sposób oznaczywszy hasła, które czasu owego, kiedy był pisany Anhelli, rzeczywiście wiele już sprawiały wrzawy w teoryi, a w późniejszych latach po kolei odegrały role swoje w praktyce: maluje poeta w dalszém opowiadaniu zachowanie się tych gromad w stósunku wzajemnym jednéj do drugiéj.

Gromada Skartabelli, uzbrojona w siekiery, gotuje się do rozprawy z drugiemi gromadami w swój sposób, w polu. Siła i siekiery mają tedy podpomóc prawdzie. Ale nim przyszło do walki, nabożny zastęp Bonifata poddaje radę, żeby ten spór raczéj przed sądy Boga wytoczyć. Rada została przyjęta, stawiają tedy trzy krzyże, na każdym ma być przybity męczennik swego stronnictwa. „A kto najdłużéj żyć będzie, przy tym zwycięstwo." — Wystąpili więc trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli. Nie byli wybrani losem, lecz z własnéj woli. Bardzo trafnie, z wielką znajomością stósunków, dodaje do tego poeta: — „Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych"...

„I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane i przybito im ręce ćwiekami; a ten co był na prawo krzyczał: równość! A ten co był z lewéj krzyczał: krew! Wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!" — Nadaremnie, kiedy ich przybijano do krzyża, dał się słyszeć głos z nieba wołający: „Co wy czynicie?"... Dopiero kiedy było po czasie, kiedy ludzie owi trzej na krzyżach swoich skonali, dopiero wtedy tłumy zaślepione przejrzały, że się to nie godziło. Porwane strachem, rozbiegły się wtedy samopas, każda gromada w inną stronę, aby tak brojąc coraz gorzéj, ostatecznie rozprząc się do reszty i zatonąć w zgiełku, śmiechu i wrzaskach, w szczękaniu kielichów i brudnych pieśniach.

— „Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi; lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Oto obraziliście ludy téj ziemi — i z oszczepami stoją czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzéć.“

Te słowa prawdy wkłada autor w usta Szamana. Szaman je wypowiada wygnańcóm i zostaje za to przez nich zamordowanym. Prawdy jednak z nim razem zabić oni nie potrafili. Kończy się z nimi, jako im było przepowiedziono, że pomrą marnie przed dopełnieniem się czasu. W wielkim dniu zmartwychwstania, w chwili tryumfu sprawiedliwości, nie ma już na ziemi ani śladu po tych ludziach ani po szopie, którą sklecili swemi rękami. Ich nienawiści wzajemne, ich smutki, ich rzekoma miłość ojczyzny, ich szamotania się gorączkowe strawiły się same w sobie. Wrogowi nie zaszkodziły, dla nich samych były przekleństwem i zgubą.

Póty piérwsza połowa dzieła.

Na tém ciemném tle rozpaczliwych stósunków, w przeciwstawieniu do tych typów potępionych w massie i jako massa pozostawionych też w głębi obrazu, spostrzegamy na pierwszym planie kilka postaci z osobna zwracających na się uwagę. Ich oblicza także są smętne, ale idealne. Sympatya nasza jest z niemi. Widać ze wszystkiego, że je wymarzyła miłość artysty. Oto w samym środku téj grupy widzimy pogrążonego w zadumaniu młodziana, z obliczem ku zachodowi zwróconém — to Anhelli. U stóp jego klęczy schylona jak pokutnica niewiasta — Ellenai. Przed nimi idzie Szaman, mędrzec sybirskich pokoleń. A w górze, jak urocze widzenie, wznosi się świetlana postać anioła — Eloe... O napisanie gorzkiéj satyry, o samo tylko potępienie naszego społeczeństwa, nie mogło chodzić poecie. Miał on niewątpliwie przed oczyma jakiś zamiar dodatni, wdzięczniejszy, kiedy tworzył ten poemat. Obaczmy, czy go nie odgadniemy z oblicza któréj z tych czterech przedniejszych figur obrazu.

Nim powiem o Anhellim, co mam na myśli, niech mi wolno będzie powiedzieć choć słowo o autorze. Słowacki w życiu swojém mało zaznał szczęścia. Żył samotny, opuszczony, często

nawiedzany przez rozpacz. Nieraz zadawał sobie pytanie, dlaczego cierpi? Szukał przyczyn, rozmyślał nad celami, dla których dostała mu się taka właśnie rola w podziale; lecz — odpowiedzi na zapytanie to nie znajdywał. Poeta nasz nie pojmował jasno bytu swojego na ziemi. Nie widział przed sobą celu swojego, ani nie umiał zdać sobie sprawy ze stósunku, w jakim zostawał do reszty społeczeństwa.

To co człowieka dręczy jako niedocieczona zagadka, zazwyczaj bywa nieustającym tematem jego rozmyślań. Żeby się pozbyć téj myśli męczącéj umysł, zwyczajny człowiek najchętniéj o tém gada, z kim tylko może. Badacz rozpoczyna o takiéj kwestyi dzieło uczone. Artysta, poeta... tworzy sobie z téj wnętrznéj męki serca swojego w wyobraźni ideał i znajduje już przez to samo zadowolenie, że go ogląda przed sobą przedmiotowo, jakby to było coś osobnego, w czém jak w zwierciedle przejrzéć się można.

Taka praca albo doprowadza do rozwiązania tajemnicy, albo przynajmniéj do pewnego oswobodzenia się od niéj. Jestto jakby zadośćuczynienie popędowi, który dopóki zamknięty, nie daje miru. Jestto jak ze smutkiem, jeśli takowy kogo nawiedzi. Samo wynurzenie i podzielenie się nim z drugimi przynosi ulgę. Najdotkliwszą jest boleść, kiedy nie ma się na nią nawet przed kim poskarżyć. Powiernik czyjéj zgryzoty już przez to samo, że słucha, staje się pocieszycielem. Słowem, jest w człowieku potrzeba wygadania tego, czém przepełnione jest serce; a poeta czyni potrzebie téj zadość — tworząc.

Otóż i autor Anhellego chciał pozbyć się téj ciągłéj myśli, która go prześladowała pytając: — Dlaczego ty cierpisz? Na co ty się rodziłeś, jeżeli takie miało być twoje życie? Czy twoje smutki zdadzą się na co? Dlaczego drudzy ludzie, dlaczego bracia twoi żyją inaczéj?... Chciał mówię poeta nasz pozbyć się tych trapiących wątpliwości ducha swojego za pośrednictwem twórczéj pracy, i miał przekonanie, że stawiając w wyobraźni przed sobą człowieka, tosamo co on zajmującego stanowisko na świecie i obdarzonego podobnym duszy nastrojem, w idealnym, skoń-

czonym wizerunku téj wymarzonéj natury znajdzie zwierciadło, zdolne rozwiązać niejednę i z własnych jego zagadek.

Bohater jego poematu — nie jestto zatém prosta, pochlebiająca osobistéj próżności kopia tylko osoby autora. Jestto ideał i prototyp — ale wymarzony w tymże kierunku. Jest on pod względem położenia swego na zewnątrz także jednym z liczby owych tysiąca ludzi, zasłanych na wygnanie. Tęskni do ojczyzny, do normalnéj doli społecznéj, równie boleśnie, jak oni. Lecz krom téj jednéj z nimi wspólności, nie ma między Anhellim a tym tłumem wygnańców żadnego podobieństwa. Widzimy w nim człowieka wyjątkowego. Drogi jego takie, że po nich idzie samotny, smutny... Będąc „czysty jak lilia biorąca z wody liście i kolory niewinne“, pozostaje z dala od tych nienawistnych i gorączkowych zapędów, na jakich tamci zużywają swoje siły, znajdując przynajmniéj złudzenie, że coś działają. „W duszę Anhellego wlana jest miłość serdeczna dla ludzi i litość.“ Pomimo tego jednak, ta jego wyższość duchowa nie staje się nikomu do niczego przydatną. Anhellemu zbywa na sile, któraby wzięła panowanie nad resztą ludzi i czy to z ich wolą, czy mimo ich woli sprowadziła ich z téj drogi błędnéj, po któréj idą. Anhellego siła nie jest z tego świata. Jestto w społeczeństwie poeta. Zamieszkał w nim anioł poezyi i zamienił go całego na swoje tylko narzędzie — czyli jak to po kilka razy wypowiada w dziele swojém Słowacki: „Anhelli opętany jest przez Anioła.“ Właśnie przeto, najwznioślejsze uczucia jego zużywają się w sobie, nie przetwarzają się w czyny. Całe życie jego upływa mu więc bezczynnie, w odosobnieniu — w niewysłowionym smutku. Nie widać, żeby z tego wynikał jaki owoc — czy to dla niego samego, czy dla pokolenia, pośród którego żyje, czy dla ojczyzny.

A jednak powiada o tym człowieku Szaman: — „Oddany jest na niego większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie“ (str. 107). Jest zatém konieczność i cel takiego życia, tylko że Anhelli tego nie wie o sobie i nie powinien, nie może o tém wiedzieć. Inaczéj bowiem cierpienia i smutek ten nie miałyby już ani tego stopnia ani tego znaczenia.

To zdaje się być kluczem najwłaściwszym do rozumienia roli,

w jakiéj wymarzył poeta bohatera swego utworu. Ta smutna exystencya bez pociech i bez świadomości celu, któremu służy, przeprowadzona jest od początku do końca tak logicznie, jednolicie i z tak wyraźnym zamiarem, że wątpić wcale nie można, iż o to właśnie autorowi chodziło.

Ażeby się o tém przekonać, zestawmy wydatniejsze momenta, zapomocą których odsłania się charakter téj idealnéj natury.

— „Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie, mówi Anhelli o sobie. Sążto gwiazdy tesame, które mię widziały młodym i szczęśliwym? Dlaczegoż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą? Dlaczego ja żyję?

„Oto już jednego włosa nie ma na głowie mojéj z tych, które były dawniéj; oto się nawet kości we mnie odnowiły: a ja zawsze pamiętam... A nie ma jednéj kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jednę noc życia w spokojném gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał.

„Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił.“ (str. 130).

— To są uczucia, pod wpływem których widzimy go w środku zawodu. — Nie mniéj smutne, posępniejsze jeszcze, są ostatnie Anhellego chwile na ziemi. Przeżył wszystkich swoich, patrzał na zgon obu istot, które na ziemi były jedyne, co go kochały (Szaman i Ellenai); dożył zagłady i całego owego pokolenia, do którego rodem należał, a które wśród bezowocnych szamotań z losem i pośród przekleństw wzajemnych zmarniało, nie pozostawiwszy ani znaku po sobie. Pozostał sam jeden w swoim świecie Anhelli — „jak harfa z porwanemi strunami“. I oto czasy mają się ku dopełnieniu, straszne przesilenie się waży i dzień odrodzenia jest bliski. Jeszcze jedna noc, noc długa, okropna, ciemna, „sybirska“, lecz tylko jedna: a „dzień wielki“ po téj „nocy wielkiéj“ zaświta. Ale Anhelli o tém wszystkiém nic nie wie! Aniołowie, którzy przychodzą zwiastować mu śmierć, nie mówią mu ani słowa o tém, co ma nastąpić w tak bliskim czasie. Mówią do niego słowami, których dźwięk taki, jakby się wszystko skończyło. Opuszczają go, wyrzekłszy co mu mieli zwiastować, jakby nie było żadnéj już pociechy dla niego. Wyraźnie

chodzi o to poecie, aby to życie, idealne i ofiarne, zgasło już w tym strasznym zmierzchu między świtem ufności a nocą rozpaczy, w tém duchowém półświetle nadziei i beznadziei, które jest największą ze wszystkich męczarni serca. Pod tym tylko warunkiem będzie z życia człowieka tego ofiara, godna stanąć za odkupienie... Dopiero po spełnieniu się życia takiego nastąpić może chwila... oczekiwana!

W takito sposób tłómaczę sobie cały ów obraz w rozdziale XV, gdzie się znajduje kilka wyrażeń i pomysłów, które z innego punktu widzenia byłyby albo trudne do zrozumienia albo nawet zdolne wykładu, wręcz przeciwnego przekonaniom poety. Mianowicie mam tu na myśli to miejsce:

„I rzekli mu aniołowie: Oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

„Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jakiéj ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.

„Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, wściekli od krwi ludzkiéj, a ty jesteś ostatni.

„A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem w cieniu lip pachnących.

„Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mię rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

„Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.“ (str. 142).

— Pomimo skarg, jakiemi odpowiada na te Aniołów słowa Anhelli, ciemna zasłona przyszłości nie zostaje mu odchylona. Zaledwie mimochodem, w formie pytania, tonem wątpliwego niejako przypuszczenia, nasuwają mu Aniołowie myśl, która gdyby mu była oznajmiona jako pewność zwiastowana z ich strony, byłaby osłodą jego niedoli, a nawet wynagrodzeniem sowitém za wszystkie cierpienia jego:

„A wieszli ty, czy od spokojności twojéj nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

„Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?“ (str. 144). —

W ostatnim dopiero rozdziale przypuszczenie to otrzymuje piętno prawdy i pewności. Wypowiada je tam poeta powtórnie, przez usta Eloi, w sposób dowodnie ukazujący, że to jeden z pewników w obrębie jego przekonań, i że w téj myśli zawarte było całe założenie, jakie podjął w dziele niniejszém: — „On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca.“ (str. 147).

Lecz w téj formie słów tych już nie słyszał Anhelli, jako nie miał słyszéć i tryumfalnych haseł, które równocześnie powstawały już natenczas na ziemi i „jakoby szum burzy wielkiéj“ powoływały „ludzi silnych do życia, a do zmartwychwstania narody.“ Chwila ta przyszła dopiero nazajutrz po jego zgonie. Ten zgon cichy i samotny, po życiu bez żadnych pociech, miał być właśnie warunkiem nadejścia czasu, którego obrazem kończy się cały poemat.

Na tém kończę, com miał do powiedzenia o głównéj postaci w tym utworze.

— O Szamanie i innych osobistościach w skład Anhellego wchodzących, wystarczy i krótkie słowo. Szaman jest tylko fantastyczną postacią, allegoryą. Zupełnie mylném byłoby rozumienie, że w nim uosobiony jest geniusz sybirskich antochtonów. O sybirskie mądrości nie chodziło wcale poecie. Że go autor stawia jako króla i kapłana ludów tamtejszych, to tak obojętne, jak że Szaman jest ubrany w futra i korale, a na głowie ma wieniec z wężów nieżywych zamiast korony. Jestto wszystko tylko fantastyczny ornament — proste następstwo tego, że w ogóle takiéj formy i téj przenośni za tło poematu użyto. Skoroć się rzecz niby dzieje w Sybirze, toć i mędrzec ów na jéj przestrzeniach musiał się zjawić. Więcéj jednak w fantastycznéj jego postaci istotnego znaczenia nie ma, jak że to jest plastyczne uosobienie tego wszystkiego najwznioślejszego, czego ani w tłumie owych tysiąca wygnańców, ani nawet w Anhellim nie ma. Chodziło o to, ażeby pośród tego pokolenia, przywalonego fatalizmem

szału i grzechu, dać się czasem odezwać głosowi siły i prawdy, chociaż jéj nikt więcéj między nimi nie słucha, tylko poeta Anhelli. Chodziło daléj o okazanie, że to wszystko boże i żywotne, czego pełen jest Szaman, nie ma za naczynie i za narzędzie swoje owéj generacyi wygnańców, lecz zostaje zewnątrz nich — a więc... w obcym człowieku. Szaman jednakże (powiada poeta) nauczył się tego wszystkiego od ojców naszych, „których znał i widział jak żyli bogobojnie“ (str. 106). A zatém mądrość jego jestto własna nasza tradycya narodowa, ale nie będąca w posiadaniu obecnych pokoleń — tradycya jak dla dzisiejszych ludzi, zapomniana. — Rola Szamana w poemacie jest zresztą jedną z podrzędnych. Działanie jego tylko pozornie zdaje się być wydatniejszém, niżeli niém jest w istocie. Oprowadzanie bowiem owo Anhellego po różnych miejscach kraju, „ażeby mu ukazać wszystkie cierpienia ludu jego i wszystkie nieszczęścia téj ziemi“, jestto tylko złudzenie wyobraźni czyli środek artystyczny, na to użyty, ażeby połączyć z sobą rozrzucone wizerunki narodowéj martyrologii i nadać im ciąg jakby akcyi jednolitéj. Rzeczywiście ruch ten odbywa się w duszy własnéj Anhellego. Jestto widzenie...

Ellenai zdaje mi się być w poemacie jeszcze więcéj podrzędnéj tylko wagi. Jestto tylko akcesoryum do Anhellego. Wyobraża jedyną z znikomych osłód, która mogła zastąpić temu zbolałemu sercu jakiś cień ludzkiego szczęścia. Ellenai idzie za Anhellim, podziela jego samotność, kocha go jak siostra i więcéj... ale to wszystko miało trwać tylko znikomą chwilę. — Chodziło widocznie poecie o to, ażeby ukazując, jak u stóp jego przedwczesną śmiercią umiera jedyna, która go rozumiała, tém posępniejszym jeszcze uczynić obraz smutku piérwszorzędnéj w dziele osoby.

Uboczne napomknięcia o przeszłości téj niewiasty zdają mi się rzeczą dla głównego pomysłu już obojętną. Poeta przedstawia w niéj pokutnicę. Nie wiadomo, czy dało mu do tego powód jakie osobiste przypomnienie z życia własnego, czy też może tylko biblijny obraz Magdaleny klęczącéj u stóp Chrystusa posłużył mimowiednie za wzór do odtworzenia go tutaj. Bądź co bądź — nie upatrujmy w tém wszystkiém niczego więcéj, jak tylko przy-

padkowe, w taki właśnie przeprowadzone sposób wykończenie obrazu. Postać Ellenai miała być wydetaliowana — autorowi się podobało dokonać tego w tych rysach; mógł on był użyć do tego i innych środków, a wrażenie całości byłoby pozostało tosamo.

Najwięcéj fantastycznym tworem imaginacyi, do tego stopnia, że niepodobno tu już wchodzić w rozbiór jego znaczenia, zdaje mi się być w Anhellim Eloe. Pierwotnie zapewne przesunęła się przez myśl autorowi intencya, wprowadzić w skład poematu uosobienie Sławy. Nie miała to być owa sława rozgłośna, stugębna, z zimną admiracyą po świecie roztrębująca czyję wielkość i nieśmiertelność, jak sobie takową zwykle wyobrażamy; ale raczéj rzewna, cicha, łzawa pamięć po zmarłych, przywiązana do mogił, gdzie leżą ich kości, i zarazem obecna w sercach, dla których te mogiły są drogie i swoje. Takiéj to sławy pragnął dla siebie poeta nasz i taka też tylko jéj postać zdawała mu się godną znaleść miejsce w jego obrazie. Stworzywszy sobie symbolicznie wcielenie tego pomysłu, widząc go w kształcie niewieściego anioła „z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, który chowa umarłe i strzeże ich grobów“, zadumał się autor nad tą cudną postacią. I fantazya jego twórcza pochwyciła tę allegoryą w swój zakres. Myśli poety popłynęły daleko: znalazły się całe dzieje, cały rodowód dla téj istoty anielskiéj. Symbol sztywny przetworzył się w życie, w imię, w romans i pokutę za niego, przemienił się w dziewicę zdolną uczuć ludzkich i spłacającą cierpieniem wszystko, co w tych uczuciach bywa niższego sfery czystych aniołów.

„Oto się zowie Eloe, a urodziła się ze łzy Chrystusowéj na Golgocie, z téj łzy która wylana była nad narodami.

„Gdzieindziéj napisano jest o Anielicy téj, jako zgrzeszyła ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

„A teraz jest wygnaną jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

„Przywyknij do niéj za życia, albowiem będzie na mogile

twojéj stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jéj, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.“ (str. 131).

Owoż więc i cała powieść, która się jak bluszcz zielony owinęła koło pomysłu, nie będącego pierwotnie niczém więcéj jak tylko allegoryą. Powstał w taki sposób ideał dziwnéj czystości w wykonaniu — eteryczny i niebiański, że i pędzel mistrza z Fiezoli nie stworzył nic więcéj serafickiego. Ale symboliczne znaczenie ulotniło się z tego obrazu.

I tak pozostaje niejeden szczegół, niejeden inny jeszcze ustęp w Anhellim, który analizy nie dopuszcza. Jestto ta treści jego połowa, która i wynikła ze saméj tylko fantazyi, i nie przemawia, jak do fantazyi. Ubolewać trzeba, że jeśli miało już dzieło to w taki sposób być wykonane, nie ma przynajmniéj wydatniejszéj granicy pomiędzy miejscami tego właśnie rodzaju a szczegółami, które coś znaczą. Przez zręczniejszę rozdzielanie świateł i cieni, jako też przez baczniejsze przestrzeganie miary wszędzie właściwéj, mógł był poeta ten dział fantastyczny i tylko akcesoryalny widoczniéj odznaczyć od symbolicznych poematu ustępów. Tego zupełnie zaniedbał.

Drugi zarzut możnaby Anhellemu uczynić ze strony wniosku, który z niego wynika. Ziszczenie się pragnień narodowych, a w najgorszym razie odrodzenie innych społeczeństw, ma wedle Słowackiego być więc zawisłém od takich cichych ofiar, od takich niekrwawych męczeństw, jakiém był cały zawód Anhellego na ziemi. Miałożby to rzeczywiście być prawdą? Trzebaż, ażeby najczystsi i najlepsi w narodzie marnieli w bezczynnym smutku? żeby konali samotnie jako nieświadome misyi swojéj narzędzia przeznaczenia czy opatrzności, domagającéj się... „odkupienia“? Czy społeczeństwu zda się to na co, że ten i ów — wyrzucony z zastępu czynnych — strawi się w samotności i melancholii? Czy taką idealną protestacyą daje się co naprawić? Czy łzami, które tylko Bóg widzi, spłaca się wina pokoleń, które żyły i które żyją? Czy to wystarcza?

Są pytania, na które i milczenie jest odpowiedzią, a do takich pytań niezawodnie należą i obecne. Doktryna ostatecznie przeprowadzona w Anhellim jest mętna i fantastyczna. Gubi się ona

w nieznurtowanych głębinach mistycyzmu. Mistycyzm ten w pojęciu o przeznaczeniu swojém na świecie, jako poety, daje się wprawdzie poniekąd zrozumieć u Słowackiego. Położenie jego było w owych latach, kiedy utwor ten pisał, tak smutne pod każdym względem, że wcale się dziwić nie można, iż go znajdujemy przywalonego takiém brzemieniem moralnego znękania. Bezwzględnie i przedmiotowo jednak rzecz biorąc, trudno to inaczéj nazwać, jak zbłąkaniem — szukaniem wyjścia z trudności na drodze, która do celu nie wiedzie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Rok 1839 i 1840. — Poeta osiada w Paryżu i wydaje Trzy Poemata, toż Balladynę. — Korespondencya z Krasińskim. — Kilka słów mimochodem rzuconych o wartości wydania „Wyjątków z listów Z. Krasińskiego". — Słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, Słowackim i Cieszkowskim. — Stósunki Juliusza z matką zawięzują się na nowo. — Życie jego w Paryżu — stósunek do Emigracyi — Amnestya. — Wychodzi z druku Mazepa i Lilla Weneda. Powstają nowe dzieła: Krakus — Wallenrod — Beatryx Cenci — dramat Beniowski i niektóre pomniejsze rzeczy, to wierszem, to prozą pisane. —

Niedługo po napisaniu owego wiersza „Do Zygmunta", oznaczonego datą dnia 4 grudnia 1838 r., któryśmy zamieścili w poprzedzającym rozdziale, i w każdym razie zapewne jeszcze przed Nowym Rokiem, opuścił Słowacki piękną stolicę Toskanii i przeniósł się do Paryża. Z przyczyny przerwy w jego korespondencyi do matki, o któréj powodach wspomnieliśmy już w rozdziale poprzednim, nieznane mi są bliższe szczegóły podróży i przybycia poety do wielkiego miasta, jak zwykł był zawsze Paryż nazywać. Mianowicie niewiadomo mi, czy jechał przez Szwajcaryą i czy po drodze odwiedził dawne swoje gospodynie genewskie.

Stanąwszy na miejscu, Słowacki zajął się zaraz wydawnictwem dzieł swoich. Trzy poematy, w różnych czasach i różniejszych jeszcze miejscach powstałe, t. j. Ojca Zadżumionych, „W Szwajcaryi", i Wacława, pomieścił w jednym tomiku i wydał go pod napisem:

Trzy Poemata, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. 12° str. 121.

Niezwłocznie potém wyszła:

Balladyna, tragedya w 5 aktach, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. 12° str. 212.

Obydwa te dzieła wyjść musiały z pod prasy najdaléj około końca miesiąca lutego. Tygodnik Literacki poznański w numerze z dnia 18 marca donosi o nich, jako o nowościach będących już w rękach publiczności.

Balladyna była więc czwartą już z kolei Słowackiego publikacyą w tym drugim jego autorskim zawodzie. Od czasu wydania Anhellego minęło już było kilka miesięcy. Napróżno brał poeta nasz do ręki różne ówczesne pisma czasowe, czy w nich nie znajdzie śladu wrażenia, jakie dzieło to sprawić mogło na czytelnikach. W żadném z nich nie było, czego szukał. Wprawdzie pojawiła się recenzya Anhellego niezbyt głęboko w przedmiot wchodząca w Tygodniku Literackim poznańskim (autorem jéj był Nepomucen Sadowski); lecz to nastąpiło dopiero późniéj, w numerach kwietniowych 1839 r. W chwili, kiedy się drukowała Balladyna, dochodziły poetę na to najulubieńsze jego dzieło ze strony bliższych znajomych same tylko skargi, że Anhellego niepodobno rozumieć. A w dalszych kołach zalegało o nim, jak o wszystkiém, co przed tém wydał, — milczenie głuche.

Z tego to powodu dołączył autor do Balladyny przedmowę, ułożoną w kształcie listu do jedynego między ludźmi, o którym wiedział, że słyszy i rozumie głos jego.

Cudny ten list zaczyna się od przypowieści, którą miano mu opowiadać w Grecyi nad Salaminy zatoką.

> „Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi, a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni

narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojéj smutny Greczyn, nie wiedząc że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal egejskiego morza utonął“.....

Następnie daje autor kilka prześlicznie, choć nie zbyt jasno wypowiedzianych wskazówek, jakby chciał ażeby była rozumiana ta nowa jego tragedya; wreszcie kończy temi słowami:

„Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

„**Autorowi Irydyona**
na pamiątkę
Balladynę
poświęca
Juliusz Słowacki.“

Odpowiedź, która na to ze strony Krasińskiego nadeszła, znajduje się w rękach moich. Stanowi ona pierwszy w szeregu dziesięciu listów, przez tegoż poetę do Juliusza pisanych, które się znalazły w pozostałych tegoż papierach. Korespondencya ta całkowita przypada na czas od 23 lutego 1840 do 12 kwietnia 1843 r. *).

Wydawca powszechnego zbioru listów Krasińskiego, których tom piérwszy wyszedł p. t. „Wyjątki z listów Zygmunta Krasińskiego“ (Paryż, 1860), wyrażony pod przedmową literami K. G. (zapewne pan Konstanty Gaszyński), miał także już, jak się zdaje, przed sobą kopie rzeczonych dziesięciu listów. Dziwną jednakże jest rzeczą, że nie chciał, czy nie mógł, czy też wreszcie nie umiał wydawca zrobić z nich ani tyle użytku, ażeby ich ogłoszenie zdało się komu na co. W ogóle pojąć nie umiem, czego chciał pan Gaszyński czy też rodzina zmarłego, wydając rzeczoną książkę? Najprzód bowiem porozrzucano wszystkie listy poety na różne kategorye, najdowolniéj przyjęte, nie trzymając się wcale ciągu czasu, w jakim były pisane. Jeżelić cały cel oddania do rąk publiczności listów prywatnych wielkiego człowieka na tém jedynie zależy, ażeby to rzuciło jakieś światło

*) Nadmieniam, że kilka wyjątków, tylko wyjątków, z tych listów godnych ogłoszenia w całości, dano już w Dzienniku Literackim Lwowskim r. 1852 i 1857.

na jego życie, na genezę jego wyobrażeń i że tak powiem, na całe dzieje jego wewnętrznego istnienia: toć oczywiście nie można objawów tego wszystkiego porządkować inaczéj, jak tylko w naturalnym ciągu i ładzie, a takim jest jedynie porządek czasu. Ale to jeszcze byłaby najmniejsza wada rzeczonéj publikacyi. Pan Gaszyński pozwolił sobie i okrawać jeszcze listy Zygmunta! i jak okrawać! Z dziesięciu tych listów do Słowackiego pisanych, które znam w całości, mogę brać najlepszą miarę o generalnéj zasadzie, podług któréj tam rozstrzygano, które ustępy są niby to stósowne do publikacyi, a które znowu mniéj zajmujące. Co tylko w liście było prawdziwie ciekawém, co tylko miało jakie takie odniesienie czy to do chwili czy też do indywidualności obojga osób korespondujących ze sobą, to wszystko podobało się szanownym wydawcom właśnie odrzucić! A wcielono do książeczki same tylko miejsca ogólnikowe, filozofematy, *loci communes*, sentencye itp. któreby mógł każdy do każdego napisać, z tą chyba jedną różnicą, że stylem nie dorównałby Krasińskiemu. Na dobitkę zaś, ażeby konfuzya była co się zowie gruntowna, uważano tam jeszcze za stósowne, nie tylko zataić chwilę, kiedy który taki z listu poety wycinek był napisany, ale i do kogo był wyrzeczony! Przecież Krasiński miał zwyczaj kłaść na listach swoich dokładne daty i roku i miejsca i dnia nawet, kiedy co pisał! A tam tylko miejsce i liczba roku są położone. Oznaczenie zaś dnia i miesiąca zmazano, jakby to było rzeczą zgoła obojętną, wśród jakich chwilowych okoliczności myśl która w duchu poéty zabłysła. Zapewne, najczęściéj wszystko to jedno jest, czy kto co powiedział z początku roku, czy z końca, szczególniéj jeżeli to dotyczy zwyczajnego człowieka. Ale kiedy sprawa z wielkimi ludźmi, których żywot prędzéj czy późniéj będzie przedmiotem szczegółowych dociekań, to nieraz na takiém wskazaniu wszystkich towarzyszących okoliczności właśnie najwięcéj zależy. A któż je wskazać potrafi, jeżeli nie będzie dokładnie wiedział, gdzie i kiedy się co działo? Kto wydaje czyje listy, a zatém materyały dopiero do późniejszego opracowania: ten przewidzieć tego naprzód nie może, który szczegół się okaże czasu swojego w ważnych punktach właśnie rozstrzygającym, a

który jest pobocznéj i obojętnéj wagi. Wydawca listów pośmiertnych powinien dać wszystko w takiéj postaci, jak to jego rąk doszło, i uważać wszystko za nietykalne! Co się tyczy wreszcie osób, do których listy Krasińskiego były pisane, te osłonione są taką tajemniczością, jakby to komu zbrodnią było i wstydem, że z nim korespondował Krasiński! Tylko o pierwszym dziale listów wiemy, że były pisane do pana Konstantego, i o ostatnim, że do dzieci poety. Dwa zaś pośrednie działy, gdzie właśnie mieszczą się i okruchy rzeczonych dziesięciu listów do Słowackiego, te zaległa mistyczna zagadkowość do tego stopnia nieprzenikniona, że nawet wiedzieć nie można, ile się tam ukrywa osób, które odbierały te listy.

„Pragnąc, aby ta książka — mówi pan Gaszyński w przedmowie — mogła bez przeszkody krążyć po całym obszarze dawnych ziem polskich, musiano tymczasowo usunąć z niéj wiele ważnych i znakomicie pięknych listów. (— A czemużby takich listów nie ogłosić osobno?) Z wszystkich zaś innych zamieszczono jedynie główne (?) ustępy, stanowiące pewną artystyczną całość.“

Mnie się zdaje, że o artystyczną całość nie chodzi wcale w ogłaszających się zbiorach korespondencyi, zwłaszcza prowadzonéj z różnemi osobami; lecz jedynie o autentyczność i sumienność. Listy Krasińskiego zresztą same przez się całość taką będą składały, bylebyście je tylko dali tak, jak były napisane, bez użycia nożyc niepowołanéj ręki. I pod tym też tylko dopiero warunkiem mogło było nastąpić rzeczywiście to co wyrzekł pan Gaszyński na końcu swojéj przedmowy jako nadzieję, to jest: że „każdy czytelnik, który dawniéj tylko uwielbiał — teraz ukocha autora tych listów i stanie się pośmiertnym jego przyjacielem.“

Ale dajmy temu już pokój i powróćmy do rzeczy.

Ogłoszona w r. 1839 Balladyna z ową na czele przedmową nie zaraz doszła rąk Krasińskiego. Spotkał on się z dziełem tém dopiero w kilkanaście miesięcy późniéj, za przybyciem swojém do Rzymu w r. 1840. I wtedy też dopiero podziękował Juliuszowi

za owe serdeczne słowa wymierzone do siebie, listem długim i zajmującym, z którego warto tu przytoczyć kilka ustępów*).

....„Widać, że Cię nie doszły nędzne wiersze, ale nie nędzne myśli pod ich strzępami ukryte, któremi przed sześciu tygodniami dziękowałem Tobie za twoję pamięć — za twój list. Wtedy dopiero doszły do mnie słowa twoje, chociaż napisane przed rokiem. Com przed laty myślał o siostrze Aliny, tosamo do dnia myślę. *Midsummer night's-dream!***) Nic doskonalszego, a jednak rzeczywistszego co do formy i treści swojéj nie ma na świecie...

...„W Tobie leży jeden ze znaków, że to, co poczytują za umarłe, nie umarło. Życie twoje duchowe jest tak wzniosłe, że mi zawsze jest jakoby znakiem zmartwychwstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu... Jeden przeszedł — minął — zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni — obelisk stoi — ten co go postawił, uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie... Drugi posiadł wszystko, na czém zbywało pierwszemu — posiadł język polski, tak jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie... na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz — posiadł i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi się jego i mówi mu: „Ot! cały twój jestem — każ, a posłucham — zawołasz, przybiegnę — mrugniesz w niebo, polecę tam — wskażesz piekło palcem, zstąpię do piekła — chcesz bym stwardniał w bryłę? patrz, marmur ze mnie — bym w gaz się ulotnił? patrz, jakem błękitny, i znów śniady, a przezroczysty, płynny, prawie już nie będący — jednak zawsze twój." — Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokręgi wyobraźni. To, co w pierwszym było jednością — twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą — tu się stało rozpłynieniem, powrotem

*) To co tu daję, może zarazem posłużyć za próbkę, w jakim to stósunku mają się autentyczne listy Zygmunta do tych okieroszowanych fragmentów, które znamy za pośrednictwem ich paryskiego wydawcy. Z całego np. tego długiego listu dano tam tylko urywek 18 wierszowy, zawierający bardzo obojętną dla każdego, chociaż skądinąd poetycznie sformułowaną definicyą Poezyi. Wszystko inne zaś poczytano jakby za niebyłe. Mówię o urywku na str. 193 i 194, zaczynającym się od słów: „Poezya, mojém zdaniem..."

**) Angielski tytuł sztuki Szekspira „Sen Nocy Letniéj."

do szerzy, do płynności światła — do gry tęcz — do fal muzyki — do woni kwiatów — do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleść nieznalezionego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu. On stoi jak szyba mórz wśród wszechświata, i odbija wszystkie słońca — księżyce — anioły — bogi — szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich. Stąd pochodzi, że czasem ludzie jego własności nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżéj pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje — a to jednak dzieje się w niebie... Ten drugi duch... ty wiesz, że to Ty! — Trzeci... to August Cieszkowski, ale ten należy do Filozofii. Otóż z was trzech odgaduję łacno, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jéj mogiłach kwiaty porosną...

... „Resztą ty lepiéj to wszystko wiesz odemnie. Mojém zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać że dyablą bufonadę, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim powiedział. Kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie. Wszystko co tylko ma styczność z wiecznością, powoli się odbywa.

... „Julu, zaklinam Cię, nie dbaj o te gwary, co kiedyś nawrócą się do Ciebie. Trzymaj nakształt harfy eolskiéj duszę twoję wyżéj nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba. Niech myśli Boga — promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niéj, — a nie myśli ludzi — redakcye paryskie — zdania — uwagi — naprawy. Przymięszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do Ciebie. Więcéj jest wątrób na ziemi, niż serc. Ach! jakże Cię wtenczas będą rozumieć wątroby. Daléj, niezawodnie żółć jest w poemacie tym klejem, co spaja rozerwane cząstki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę. Spróbuj, oni o to się domagają. Dopiero uczują Twoję rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka — koścista na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrzu — i ku gwiazdom — ku przybytkowi Boga: dopóty oni myślą, że to biała lilia rosnąca niewinnie na łąk błękitnych przestrzeni. Do korda i na sejmik — rąbać mi i siekać — a zostawiwszy trupy na placu, znów poróść w skrzydła i zawisnąć na niebie“...

Téj rady Słowacki posłuchał i z dobrym skutkiem, jak się to pokazało; ale dopiero po roku.

List kończy się takim ustępem:

„Bądź zdrów — bądź szczęsny — bądź kochany! — nie mówię bądź sławny, bo będziesz nim. Nie życzę nikomu tego, co mu bogi dały. Dotąd wielki artysta, tylko artysta, Cię obejmie, zgruntuje, zrozumie. Ale ty zstąpisz niżéj — ty wsiąkniesz w serca malutkich. Gdybym miał i ja nareszcie jednę Ci uwagę uczynić, to jedyną tylko bym uczynił: Granit rzuć pod twoje tęcze. Tęcza gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzéć na podstawie granitowéj, to jeszcze ją lepiéj tęczą robi. — A teraz myśl o mnie, pamiętaj o mnie... Tobie tortury zaczęły, mnie skończą życie... Oddasz mi kiedyś ten napój pociechy, który zawsze sączyłem tobie — a nie tak z czary mózgu mego, jak z serca. Bądź mi sercem kiedyś — kiedyś w przyszłości! Ściskam Cię, jak dawniéj nad drogą bolońską“...

To wszystko wyjmujemy więc z listu Krasińskiego z dnia 23 lutego roku 1840, datowanego z Rzymu. Rok ten pamiętny jest w życiu tego poety z ogłoszenia „Trzech Myśli Ligęzy“ —

Tymczasem, w ciągu jeszcze poprzedniego lata, rozpoczęła się na nowo korespondencya między naszym poetą a jego rodziną. Ułatwiły się cokolwiek stósunki. Wuj Słowackiego był jeszcze trzymany na wygnaniu, ale czujność władz przestała już tyle ciężéć na jego krewnych. Zagadnięto tedy znowu Juliusza nowinami z Krzemieńca i ośmielono do odezwania się wzajem. Pierwszy z listów jego do matki, stanowiących ten drugi, że tak powiem, rozdział korespondencyi pomiędzy nimi, ma datę 24 czerwca 1839 r. —

Wielka to jednakże już różnica między listami Słowackiego pisanymi teraz a dawniéj! Pisywał on odtąd już tylko rzadko i krótko, i udzielał wiadomości o rzeczach jedynie obojętnych, ogólnych. Częstokroć nawet dopiero odgadnąć trzeba, o czém właściwie mówi Słowacki, kiedy używa słów zupełnie trywialnych i skądinąd zgoła co innego znaczących. Ukryta myśl nawet i takich miejsc jest wprawdzie pod politycznym względem bardzo niewinna; ale jemu wyraźnie o to chodziło, ażeby zatarte były wszelkie ślady, że te listy pochodziły od niego. Dlatego też unikał odtąd systematycznie wszelkich wzmianek o zawodzie i powodzeniu swojém jako pisarza, i nic nie donosił o dziełach, które

pisał albo wydawał. Ten brak najciekawszéj właśnie i najważniejszéj strony jego korespondencyi daje mi się czuć bardzo, kiedy ten rozdział piszę. Nawet osobę i imię swoje przez czas pewien zastępywał inną osobistością i inną nazwą. Zaczął pisywać do matki jako niby jakaś młoda jéj przyjaciółka czy też wychowanica. Nazywał się więc Zosia; Matkę tytułował: Moja kochana Sally (Salomea było jéj imię). Niekiedy zaś, kiedy mu już koniecznie wypądało dobitniéj mówić o sobie, wyrażał się w taki sposób, jakby mówił o kimś trzecim. Imię téj osoby było natenczas *Mr. Jules d' Avallon*, jakiś niby to Francuz. Równie też rzadko kiedy dawał datę czasu i miejsca, skąd co pisał. Zwykle było to zupełnie pomijane milczeniem; niekiedy Paryż był zastąpiony jaką miejscowością krajową; tak np. znajdujemy list jeden pisany niby z Podhorzec...

Niezawsze jednak umiał Słowacki utrzymać się w granicach téj przybranéj roli przez ciąg całego listu! Natura jego zbyt była nieprzedmiotowa i zbyt bezpośrednia, żeby się nie był miał zapominać niekiedy. Tak naprzykład, począwszy list z razu w charakterze Zosi, na dalszych jego stronicach mówił: byłem, widziałem, zdrów jestem itp. Często napotykamy i co do istotnéj nawet osnowy takie nieostrożności i niekonsekwencye. Gdyby listy te były ściągnęły na się uwagę urzędowych listowéj literatury badaczów, przekonany jestem, że właściwy autor byłby łacno odkryty w téj analizie filologicznéj. Nam dzisiaj jednak pochopność ta autora do wypadania z roli może być tylko dogodną i dla celu naszego najkorzystniejszą.

Owoż, na zasadzie tych listów, znajdujemy Juliusza w ciągu lata 1839 w tym samym stanie moralnym, w jakimeśmy go widzieli w latach poprzedzających. Mieszkał w stancyi najętéj na ulicy *des Piramides* pod Nr. 6. Żył samotnie, pracował wiele, od emigracyjnych zatargów trzymał się zdala.

... „Byłbym szczęśliwym, gdyby mi nie brakło familijnego życia; żyję bowiem jak mnich — a Ty nie pojmiesz, jakto serce przez takie życie usycha; jak zamierają wszelkie uczucia, jakby sama natura mściła się, że się od jéj zwyczajnych dróg oddalamy. Mam teraz na świecie kilka

przyjaciół takich, którzy mię szacują i bronią; ale ci wszyscy są odemnie dalecy. A tu otoczon jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę. Zazdrośni bowiem są — małego serca — niezdolni ani uczuć ani pojąć szlachetnych myśli; słowem są to zatarte szelągi, zimne, spleśniałe! Najwięcéj więc czasu przepędzam sam, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego taka korzyść, że mi życie złocą i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojéj, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych. Czy życie takimi snami zajęte życiem jest, nie wiem; ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni i czasem przyjemność sprawia." (z listu pisanego niewiadomo w którym miesiącu, ale w roku 1839).

Takich wyrzekań na emigracyą paryską bardzo wiele jest w listach Słowackiego ówczesnych.

„Koledzy moi zepsuci są biedą — życie z nimi bardzo niemiłe! Wystaw sobie, droga, ludzi znudniałych, którzy o niczém gadać nie chcą i nie umieją, ludzi, którzy się odłączyli zupełnie od towarzystwa jak wyklęci, i żyją między sobą, nudząc się wzajemnie. Robią, co mogą, abym ich nienawidził! Mam jednak i pomiędzy nimi pewną powagę, którą mi nadaje czystość moja wewnętrzna. Wolałbym szczerą miłość, ale téj nie ma pomiędzy nami, a stworzyć jéj nie mogę!"

....„Nuda miejskiego życia, stan pieniężny etc. wywiera zgubny wpływ na umysł. Są dnie, których niczém zająć nie można. Człowiek się rzuca w kraj imaginacyi i żyje w nim. Ale są reakcye okropne, w których umysł nudzi sam siebie. Wtenczas ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie się po ludnych ulicach nie jest lekarstwem. Świeżość umysłu traci się, a nabycie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobnym do śpiżarni zawalonéj spleśniałymi wiktuałami." (z listu z d. ? listopada 1839).

...„O! gdyby tylko 200 dukatów na rok! Żylibyśmy oboje w jakiéj willi otoczonéj różami i pomarańczami we Florencyi. Czasem posłuchałabyś śpiewów włoskich — czasem i jabym Ci sam za towarzystwo wystarczył. I takby nam płynęły dni — niebardzo świetnie, ale miło, z błogosławieństwem bożém dla obojga. Czyż i tyle skromnego szczęścia nie można uprosić u Boga? Myśl, myśl nad tém, droga moja, a choćby przyszło część tego co mamy stracić, ja tak życie nasze urządzę, że nam wystarczy. Wierz

mi, droga! Ja nie mam żadnych snów wielkości, a i Ty może nie bardzo chcesz złoconego szczęścia“... (z listu z d. 24 czerwca 1839).

Tylko takie miejsca czytając, pojąć można, dlaczego tyle talentów, tyle zapału, tyle gotowości do ofiar, ile jéj było w Emigracyi ówczesnéj, wydało jednak tak mało plonu dla kraju pożytecznego i znędzniało, jak ów kwiat exotyczny, pozbawiony ożywczéj rosy i grzejącego promienia słońca. W ten tylko sposób zrozumieć można, dlaczego Mickiewicz we dwa, najwięcéj we trzy lata po przybyciu do Paryża na emigracyą, tworzyć zupełnie zaprzestał; dlaczego wszystko, czego się tylko tknęła ręka tych biednych wygnańców, przybierało jakiś krzywy kierunek, wiało tchnieniem chorobliwém i mimo najpoczciwszych chęci, więcéj szkodziło niżeli pomagało...

Byli to ludzie w saméj rzeczy, jak się Słowacki wyraża, zepsuci biedą i samotnością, strawieni nieszczęściem i tą ciągłą tęsknotą, która się stawała tém niecierpliwszą i tém zapędliwiéj przechodziła w niewyrozumiałość wzajemną, posuniętą do wysokiego stopnia, im bardziéj przedmiot bezpośredni działania ginął z oczu tych nieszczęśliwych. Nienaturalność atmosfery, którą na obcéj ziemi przymuszeni byli oddychać, i brak celu dalszego życia przy ciągłych rozczarowaniach — oto co nam tłómaczy wszystko...

A jednak żyli oni w silném przekonaniu i wierze, że ich cierpienia nie będą nadaremne! Stali na stanowiskach swoich, jak jaka stracona czata, i uważali sobie za obowiązek dotrwać na zajętych posterunkach do końca.

W r. 1840 zapowiadane były w krajach pod berłem rosyjskiém na korzyść pewnych kategoryi wychodźców politycznych niejakie ułaskawienia i ulgi. Przy téj sposobności poruszono w gronie Emigracyi pytanie: czyby z téj amnestyi nie należało korzystać? Zdania były różne. Ostatecznie zdaje się jednak, że w skutek owéj amnestyi mało kto powrócił do kraju.

Ważne jest miejsce w jednym z listów Juliusza, ściągające się właśnie do téj okoliczności. Powtórzę je tu dosłownie, zatrzymując sposób allegoryczny, jakim się w owéj porze zwykł był wyrażać.

„Przejeżdżając przez wioskę moję pan Andlej, mówił mi, że widział Ciebie, że gdy widział, płakałaś — i to mi serce rozdarło. Ale Ty wiesz, gdybym ja mogła porzucić moję kuzynkę ślepą i sparaliżowaną, już byłabym dawno z Tobą, już bym Ci służyła z całą miłością biednéj dziewczyny a Twojéj niegdyś wychowanki. Nieszczęśliwy ten świat, że nie pozwala nam robić, cobyśmy chcieli, ale nas wiąże i krępuje różnemi wymaganiami i obowiązkami! Oby przynajmniéj Twój brat nie był opuszczony w powszechném, jak słyszę, ułaskawieniu! oby już był przy Tobie! (z listu z d. 21 października 1840).

Z tém się wiąże ów wiersz Słowackiego Do Matki, ogłoszony dopiero w wydaniu pozgonném, który jeszcze lepiéj uczucia ówczesne autora wyraża:

Zadrży ci nieraz serce, miła Matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych.
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
Tak uparte wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że wróceniem mojém lat bym ci przysporzył; —
Wszakże gdy się spytają, czy twój syn powraca?
Mów — syn twój na sztandarach jak pies się położył
I choć wołasz — nie idzie, oczy tylko zwraca...

Oczy zwraca ku tobie!... Więcéj nic nie może —
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby — pić czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił!

— Pomimo wszystkich tych smutków i przeciwności, autorska energia Słowackiego w owych czasach trzymała się jednak krzepko i rosła przy ciągłéj pracy. Wydawnictwo dzieł dawniejszych, a teraz przeznaczonych do ogłoszenia, także szło swoim

torem. Na samym początku 1840 (w ciągu miesiąca stycznia albo lutego) wyszedł dramat niegdyś przez autora na spalenie skazany, a teraz zapewne częściowo przerobiony:

Mazepa, tragedya w 5 aktach przez Juliusza Słowackiego. Paryż. 1840. 12° str. 145.

Krytyka téj sztuki przez K. Libelta pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim już w numerze z d. 30 marca 1840, okoliczność popierająca powyższy wniosek o chwili wyjścia Mazepy.

Niezwłocznie potém opuściła prasę praca zupełnie nowa, świeżo napisana:

Lilla Weneda, tragedya w 5 aktach przez Juliusza Słowackiego. Paryż. 1840. 12° str. 154.

Była drukowana w ciągu miesiąca kwietnia, jak tego dowodzi data, położona przez autora pod przedmową. Przedmowa ta, prześlicznie napisana, jest znowu w formie listu do Krasińskiego. List ten nazwałbym prawie poetyczniejszym, niż sam poemat. Dziwnie pięknóm jest mianowicie zakończenie tych kartek:

„A teraz, kiedym ci się wyspowiadał, usiądź na ułamku jakiéj dawnéj ruiny, albo pod cieniem Wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy! — Usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamyślona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest, oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka. A zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojéj większym blaskiem odzianą — i piękniejszą sto razy — i niech ta postać do nas obojga należy! niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie! — A tych dwóch wodzów... czy ty myślisz Irydyonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach powiążą i na jednym stosie postawią? — Ty mię wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie!“

Autor Irydyona był owego lata, w którém go doszły te słowa, na ciele chory, a na duchu znękany. Bawił w Karlsbadzie

natenczas. Byłby mógł i wtedy tosamo już powiedzieć o sobie, co rokiem później pisał do innéj osoby:

„Sądziłem, żem przeznaczon do życia wśród ludzi żywych; — nie wiedziałem, że ulice z grobów będą domem moim, umarli towarzystwem, kościół największy świata — salą godową; posągi białe mroźnego blasku — koleżeństwa dawnego zastępcami; równiu mazowieckich — kampania rzymska przypomnieniem; — i że młodość moję tak bezczynnie strawię, tak chorobliwie zeżrę, tak nikczemnie utracę!...“

Odpowiedział Słowackiemu natenczas listem, który w szeregu owych dziesięciu mnie znanych zajmuje drugie z kolei miejsce.

„Drogi Julu — tak się zaczyna ów list, datowany z Rzymu z dnia 19 grudnia 1840 — i Lilla i list twój oddane mi są. O pierwszéj, już temu 5 tygodni, długi à długi do ciebie wyprawiłem artykuł. Iżaliś go odebrał?*) Przeczytałeś skargę białéj dziewczyny? Uznałeś w głębi serca jéj prawo do skargi? i rozrzewniłżeś się nad nią? Czy cię zły duch Szekspira nie popchnął do niesprawiedliwego ofuknienia się na klęczącą u stóp twoich?“...

Z tych słów godzi się wnosić, że było coś w Lilli Wenedzie, z czego nie zupełnie był zadowolony Krasiński. Może nam się uda w przyszłym rozdziale odgadnąć, o co mu też chodziło.

— A teraz przechodzę do rzeczy, na któréj wyjaśnienie niecierpliwie pewnie czytelnicy moi czekają. Powinienbym powiedzieć na podstawie listów poety, które dzieła jego nowe powstały w tym czasie stałego już odtąd pobytu jego w Paryżu, za powrotem z Włoch. Na nieszczęście w listach Słowackiego odpowiedzi na to nie znaleść. Spotyka się w nich tylko, i to po kilka razy, zapewnienie, że ciągle pracuje, że wiele pisze; ale bliższych o tém szczegółów nie ma.

„Teraz żyję, jak mogę; bazgrzę sobie i czas mi upływa, a tak prędko, że prawdziwie przerażam się jego szybkiém znikaniem“ —

Oto w taki to ogólny i lakoniczny sposób wzmiankował w latach owych poeta o swoich literackich zajęciach.

---

*) Artykułu, o którym tu mowa, nie znaleziono między papierami Słowackiego.

Biorąc w pomoc rezultaty, do jakich mię doprowadziło głównie rozpatrzenie się w pozostałych Słowackiego papierach, obejmujących jużto utwory całkowite za życia jego nie drukowane, już szczątki, urywki i fragmenty rozmaitych rzeczy nie dochowanych w całości: nie waham się stawić na pewne twierdzenia, że cały ten szereg lat od 1839—1842 stanowił w życiu naszego wieszcza w ogóle okres kulminacyi jego talentu, energii i dzielności. Wszystko prawie, co tylko było owocem owéj epoki, bez różnicy czy było ogłoszoném już przez samego autora, czy teraz dopiero w wydaniu naszém, okazuje w nim łatwość tworzenia, samodzielność, trzeźwość duchową, takt artystyczny i w ogóle dojrzałość, do jakiéj nigdy przedtém zbliżyć się nie potrafił. W 30 tedy roku życia stanął Słowacki na téj wyżynie artyzmu, jaką w ogóle zająć było mu przeznaczoném w ciągu jego zawodu. Samo się rozumie, że ta wyżyna jego najwyższa nie była to doskonałość bezwzględna. Nie mogła ona być nawet ani względną jego doskonałością. Boć wątpliwości to nie podlega, że gdyby nie te smutne okoliczności, w jakich ciągle życie jego płynęło, gdyby mianowicie nie fatalna owa przyniesiona przez Towiańskiego zaraza ducha i mistyka, która jak prawdziwe dopuszczenie i kara boża, w roku 1842 obłąkała tyle znakomitych i pierwszego rzędu mężów naszych żyjących na emigracyi, a między nimi i Słowackiego: — to ciągły postęp jego jako wieszcza narodowego idąc takimże torem i dalej, byłby ostatecznie dosięgnął zupełnie innego kresu. W obec atoli tego wszystkiego, co zaszło i na czém się skończyło: czas ów powyżéj wskazany — byłato stosunkowo jego najświetniejsza epoka.

Pomiędzy ogłoszeniem Balladyny (1839) a Beniowskim (1841), powstały w ogóle następujące dzieła nowe:

Nasamprzód w tym szeregu widzimy wspomnianą już wyżéj i wydaną w r. 1840 Lillę Wenedę, niejako kontynuacyą pomysłu, na tle którego Balladyna była osnuta. Autor zamierzał „z Polski dawnéj utworzyć fantastyczną legendę, z ciszy wiekowéj wydobyć chóry prorockie“... „Uśmiechnij się teraz Irydyonie — pisał do Krasińskiego w przedmowie do Balladyny — bo oto naśladując francuskich poetów, powiem ci, że Balladyna jest tyl-

ko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Aryosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyi czyli kronik dramatycznych.“ — Otóż drugą taką kronikę dramatyczną, drugą taką przedwiekowéj Polski legendę miała stanowić właśnie Lilla Weneda.

A trzecią była tragedya **Krakus**. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy — byłto utwor dokonany niedługo po napisaniu Lilli, i w tymże samym sposobie. Na nieszczęście, z dramatu tego nie pozostało więcéj, jak tylko początek. Między autografami poety znalazł się z téj sztuki tylko jeden arkuszyk, listowego papieru, nader drobném zapisany pismem, prawie bez żadnych poprawek i z dokładném zawsze oznaczeniem nazwisk osób prowadzących z sobą dyalog. Z tego wnoszę, że to był już odpis na czysto. W brulionie bowiem zwykł był Słowacki naznaczać tok dyalogu w taki jedynie sposób, że przy każdéj jego przerwie dawał na początku wiersza tylko linijkę, na znak, że tu zaczyna mówić kto inny. Zresztą w brulionach jego bywają też dość częste przekreślenia i odmiany. Skoro zaś upoważnia wszystko do wniosku, że rzeczony arkuszyk mieści w sobie text już przepisywany: godzi się w każdym razie być zdania, że Krakus był utworem całkowitym, a nie urywkiem; urywków bowiem i tylko napoczętych robót nie zwykł był Słowacki nigdy przepisywać na czysto. Przeciw twierdzeniu temu nie dowodzi niczego, że nie ma obecnie z Krakusa więcéj, jak tylko te cztery pierwsze sceny, które dopiero dało poznać czytającéj publiczności lwowskie wydanie. W ogóle chcąc sobie to wytłómaczyć, że między pozgonnemi Słowackiego pismami tyle znalazło się fragmentów, wiedzieć należy, że nie miał on nigdy zwyczaju używać do pisania poszytów. Czy to komponując, czy też mundując rzecz już skończoną — zapisywał on zawsze arkuszyk za arkuszykiem; a kiedy rzecz była doprowadzona aż do samego końca, składały się te pojedyncze arkusze w zwitki, i w tym stanie, niezeszyte, składane bywały między plikami najrozmaitszych innych papierów. W wyjątkowych tylko razach i nie inaczéj jak z powodu szczególnych chyba okoliczności (np. jeżeli ktoś drugi miał się zająć przepisaniem autografu), zwitki takowe były zszywane w poszyty i tworzyły całość nie tak już łatwą do

rozprószenia. Przy wielkiéj poniewierce, jakiéj papiery Słowackiego późniéj podléc musiały, (powiedzieć tego nie umiem, czy to było po jego zgonie, czy jeszcze za życia, kiedy pod wpływem Towianizmu zmienił kierunek i nie cenił sobie prac z przed roku 1842), było to rzeczą bardzo naturalną, że z owych zwitków luźnych arkuszy ginęły całe partye, a niekiedy przepadało i wszystko, z wyjątkiem kilku albo jednego tylko arkusza, szczególnym ocalonego trafem. Za takito arkusz przypadkowo dochowany z całości, uważam i fragment, o którym tu mówimy. A potwierdza mię w tém mniemaniu i ta jeszcze okoliczność, że arkusz, w którym fragment ten się mieści, zapisany jest jak najnabiciéj aż do samego dołu, i rzecz się urywa w takiém miejscu, że widocznie musiał tu być jakiś ciąg dalszy...

Co się tyczy pytania, jakie przedmioty zamierzał Słowacki opracować w dalszych dramatach, to jest w kontynuacyi Lilli Wenedy, Krakusa i Balladyny: na to odpowiedzieć nie umiem. Miejsce mianowicie czwarte i piąte musi pozostać na zawsze niezapełnionėm, brakuie tu bowiem nawet dla domysłów wszelkiego punktu oparcia. Ostatniém ogniwem tego fantastycznego łańcucha pieśni, z sześciu złożonego dramatów, mogł być utwor osnuty na dziejach dogorywającéj Litwy pogańskiéj, który także dochował się tylko w urywku i dany jest w wydaniu lwowskiém pod nazwiskiem **Wallenrod.** Za trafność téj nazwy nie zaręczam, w rękopisie poety bowiem żadnego tytułu nie było, gdyż sztuce téj w ogóle braknie początku; i oświadczam z góry, że jeżeliby kto twierdził, iż tu dzielny W i t o ł d więcéj na bohatera sztuki zakrawa, niż melancholijny z rozdartém sercem Wallenrod, to i ja bardzo pojmuję powody takowego mniemania. Patrząc atoli na rzecz tę ze stanowiska naszego poety, zdawało mi się, że większa, a przynajmniéj głębsza i poetyczniejsza rola do odegrania była tu przeznaczona zmurtowanemu nieszczęściem charakterowi mistrza Krzyżaków, aniżeli normalnéj i doraźnie działającéj naturze Kiejstutowicza. Takieto jedynie powody skłoniły mię do nazwania sztuki téj „Wallenrodem.“ Spis osób, dany na czele tego fragmentu, jest także tylko dodany przez wydawcę, a nie przez poetę; jakoż ani wątpię, że na téj małéj ilości figur nie kończyło się

w całym organizmie dramatu. Zaprzeczyć nie można, że niektóre z charakterów są nader silnie rzucone. W ogóle ujmuje w tym urywku kompozycya pełna prostoty i prawdy, ciągły ruch akcyi, zawikłanie różnostronnych interesów prowadzone z dramatycznością i życiem, sceniczność bacznie przestrzegana w całym układzie — słowem zalety, na jakich nieraz dawniéj zbywało nawet ogłoszonym Słowackiego dramatom. Nieodżałowana szkoda, że i ta praca nie doczekała się lepszych dla siebie czasów inaczéj, jak tylko w tym stósunkowo tak drobnym już tylko szczątku! Szczątek ten stanowiłby pierwszą połowę całéj sztuki, gdyby nie brakło początku aktu pierwszego. Rękopis, w którym się znalazły te sceny, jest własnoręczny; stanowią go dwa arkusze listowego papieru, zapełnione równie drobném pismem, jak w Krakusie. Pierwszy arkusz, nieodszukany w pozostałych papierach, zawierał w sobie expozycyą i niewątpliwie to wszystko, czego sztuce braknie obecnie z początku. Ocalone dwa arkusze szły zaraz po nim. A zdaje się, że być kiedyś musiały i te 3 lub 4 dalsze arkusze, które mieściły w sobie drugą połowę tragedyi; cała bowiem powierzchowność ocalonéj części manuskryptu jest tego rodzaju, że koniecznie przypuścić trzeba, iż to jest tylko wyrwany środek z całości.

Co się zaś tyczy drugiego urywku, który w wydaniu lwowskiém dołączony jest do Wallenroda, jako dodatek pod napisem Walter Stadyon: uważam go za robotę zgoła odrębną, w innym jakimś czasie pisaną i nie mającą bliższego związku z tamtym utworem, nad przypadkową tożsamość osoby bohatera. Byłto, zdaje mi się, pomysł luźnie rzucony od ręki i nigdy już potém nie prowadzony daléj. Znalazłem go między tysiącem innych rzeczy — w książeczce, w któréj zapisywał sobie Słowacki różne noty i spostrzeżenia.

Po Lilli Wenedzie, Krakusie i Wallenrodzie, wymieniam jako czwartą pracę Słowackiego na te lata przypadającą, dramat pod tytułem „**Jan Kazimierz.**“ Daje o nim wiadomość P. Reitzenheim w broszurze swojéj francuskiéj o Juliuszu Słowackim, wydanéj w Paryżu r. 1861. Autor broszury, jeden z bliższych niegdyś znajomych poety, mówi o dramacie niniejszym w sposób, który dowodnie przekonywa,

że mu takowy był znany jako całość skończona i zupełna. Przy tém robi uwagę, że w żadnym innym Słowackiego utworze nie dochodziła dosadność i dokładność artystyczna do tego stopnia, co tutaj. Mianowicie charaktery Jana Kazimierza, Czarneckiego, toż obojga Radziejowskich miały być oddane w sposób prawdziwie godny Szekspira. Te pochwały P. Reitzenheima wzbudzają tém więcéj żalu, że i ten utwor tak znakomity przepadł prócz kilku scen, któreśmy odszukali w zamęcie papierów pozostałych i wcielili do fragmentów dramatycznych, objętych w trzecim tomie pism pośmiertnych. Sceny rzeczone przypadają prawdopodobnie na akt Iszy, w każdym razie na pierwszą połowę sztuki; znalazły się pisane drobniuteńko, własną ręką poety, i zapełniały wszystkie jeden arkuszyk takiegoż papieru, jaki był użyty do Krakusa, do Wallenroda i w ogólé do tych wszystkich rzeczy, które w owych latach powstały. To rozstrzyga o czasie, w którym być musiał napisany Jan Kazimierz. Cały zewnętrzny pozór arkuszyka, o którym tu mówimy, przekonywa dostatecznie, że stanowił pierwotnie tylko część rękopisu, złożonego niegdyś z kilku podobnych arkuszy. Przy wyraźném świadectwie p. Reitzenheima niepodobna o tém wątpić, że i ten tedy dramat czasu swego był dziełem doprowadzoném do końca i dopiero w późniejszym czasie podległ zniszczeniu.

Piątą pracą dramatyczną, powstałą w tymże ustępie życia, była **Beatryx Cenci**. Była pisana w roku 1840, w pierwszych miesiącach.*) — Tragedyą tę oddano mi w rękopisie w nader chaotycznéj postaci, ani nawet nie przypuszczając, żeby w tych 6 arkuszykach, w których się ona mieściła, miała znajdować się całość. Arkusze były i tutaj rozleciałe, nieponumerowane. Zapeł-

---

*) Wiadomość tę można uważać za pewną. Między papierami Słowackiego znalazła się luźna karta, z napisem jego ręki: „Tragedya — Beatryx Cenci — napisana — 1840 roku.“ W Tygodniku Poznańskim donoszono w r. 1840 już dnia 18 maja, że się dramat Słowackiego pod tym tytułem właśnie drukuje w Paryżu. Doniesienie to było co do głównéj rzeczy, t. j co do druku, przedwczesne, a nawet zupełnie mylne. Ale nasuwa wniosek co do czasu powstania téj sztuki.

niał je dyalog, którego rozłożenie między mówiące osoby oznaczone było najczęściéj samemi tylko kreskami. Żadnych odznaczeń, gdzie się scena jaka kończy a zaczyna nowa. Słowem rękopis ten był w takim stanie, że po długich nadaremnych usiłowaniach złożenia sześciu arkuszy owych w taki sposób, żeby się rzecz dała powiązać z sobą w ciąg jakiś: nabrano już przekonania, że i to tylko są urywki, a raczej szczątki niestanowiące całości, z powodu że kilku arkuszy widocznie braknie. Mianowicie sprawiało to trudność w zoryentowaniu się w rękopisie, że nie można było dopatrzeć, gdzie właściwie jest początek tragedyi. Byłto bowiem dopiero pierwszy koncept utworu, brulion, w którym nie tylko dużo było ustępów przekreślonych, a potém zastąpionych nowymi pomysłami, rzuconymi na papier w miejscu nieraz bardzo odległém od sceny, do któréj rzecz należała, ale nawet zdarzały się tam czasem wsunięte i kawałki zgoła do tego przedmiotu nienależne, np. pochodzące z Lilli Wenedy itp. — Przy troskliwém staraniu udało mi się przecież wniknąć w plan budowy całéj téj sztuki. Uznawszy dwie sceny — niedokończone i zgoła też nie wiążące się z żadném miejscem właściwego textu Beatryczy — za przelotne tylko projekta do pomysłów, w ciągu już pracy uznanych przez autora za mniéj właściwe, i usunąwszy takowe na bok: zrekonstruowałem cały pozostały materyał tego dramatu w taki sposób, iż nie dodając ani słowa od siebie, złożyłem objątek wszystkich 6 arkuszyków w jeden nieprzerwany ciąg akcyi. — Wspominam tu o tém wszystkiém tak szczegółowo z téj przyczyny, ponieważ pozór i stan rękopisu sztuki niniejszéj rzuca światło na te wszystkie arkuszowe urywki ocalone z innych utworów, o których wspomniałem wyżéj. Miała się niewątpliwie i z nimi rzecz zupełnie, jak tutaj, tylko że przypadek był dla Beatryczy Cenci łaskawszy i sprawił, że z rozproszonych arkuszyków tą razą ocalały wszystkie.

Na ostatek odnoszę, z pomiędzy prac Juliusza dramatycznych, do tejże pory owe dwa urywki, które pod nazwą **Fragmentów z dramatu o Beniowskim** zamieściłem na samym końcu tomu trzeciego. Te urywki zapełniają w rękopisie dwa osobne arkusze, nie mające jeden z drugim żadnego związku. Format i

rodzaj papieru, toż cała powierzchowność pisma i tu znowu zupełnie jest taka sama, co w utworach wymienionych powyżéj. Na tém też opieram domysł, że i ten dramat musiał być owocem czasu między 1839 a 1841. Zato nie śmiem nic rozstrzygać co do pytania, czy i obecny utwor stanowił kiedyś całość zupełną. Możnaby przytoczyć ważne powody, mówiące za tém i przeciw temu. Przeciw przypuszczeniu całości dramatu „Beniowski“ przemawia sama exystencya poematu wydanego pod tymże tytułem. Zdaje się, że poematu tego nie byłby rozpoczynał Słowacki, gdyby był miał w tece ukończony dramat, osnuty na przygodach téjżesaméj osoby. Z drugiéj znowu strony sama już powierzchowność ocalonych tych dwóch arkuszy, w których się urywki niniejsze mieszczą, wskazuje na to, że i to musiały być części jakiegoś dłuższego manuskryptu. Niemniéj potwierdza ten domysł i ów wiersz, w kształcie Parabazy wstawiony pomiędzy aktem drugim a trzecim, w którym autor w własnéj swojéj osobie przemawiając do czytelnika, wspomina o takich scenach jako już przeprowadzonych, których nie znaleść ani w jednym ani w drugim fragmencie. Oczywista rzecz zatém, że w każdym razie kreacya ta musiała być przynajmniéj większych natenczas rozmiarów i że była daléj posunięta ku końcowi, aniżeli się to obecnie zdaje, wnosząc z ocalonych ustępów. Szkoda wielka, że utwor tak zupełnie od wszystkiego odmienny, co tylko Słowacki kiedykolwiek napisał, i w ogóle wyjątkowego rodzaju w całéj literaturze naszéj, nie doczekał się czasu publikacyi w zupełniejszéj postaci!

Tyle o pracach Słowackiego ówczesnych w scenicznym zakresie poezyi. — Na owe także lata przypadają niektóre poezye krótsze, częstokroć niemałéj artystycznéj wartości. Mianowicie „Wiersz na sprowadzenie zwłok Napoleona,“ „Do Matki,“ i „Pogrzeb Kapitana M.“ *) zaliczyć można do najpiękniejszych rzeczy, jakie liryka polska wydała.

*) Byłto kapitan Józef Meisner, zmarły w Paryżu dnia 23 października 1840, w 39 roku swego życia. Emigracyjne pisma donosiły z wielkim żalem o zgonie tego znakomitego oficera z czasu powstania 1831 roku.

Nakoniec choć krótkiém słowem wspomnieć tu jeszcze należy o dwóch urywkach napisanych prozą, które były czasu swego drukowane w poznańskim Tygodniku Literackim, przez kilka numerów roku 1840 i 1841. Jeden z nich był tam zatytułowany „Święcone u J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki;“ drugi „Preliminaria peregrynacyi do ziemi św. J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki.“ Pod tym drugim napisem złączyłem je oba w jedno i zamieściłem w tomie Iszym Pism pośmiertnych pomiędzy rzeczami prozą. Jestto tylko rzut jakiś urywkowy. Ile wnosić można, autor zapewne więcéj w tym przedmiocie nie pisał, jak tylko to co dano w Tygodniku.

Jak wiadomo, rozgłośne „Pamiątki Soplicy“ pojawiły się po raz pierwszy z druku w Paryżu w roku 1839. Zrobiły od razu wiele wrażenia. Witwickiego przedmowa, dana na czele téj publikacyi, postawiła talent nieznajomego jeszcze naówczas autora od razu na jednym z najwyższych szczytów wziętości literackiéj. Każdy gawędy te czytał, każdy je pod pierwszém wrażeniem uroku opowiadania podziwiał. Sowizdrzalska i na tle dziejów przeszłego wieku niezbyt mądrze się malująca postać księcia Karola Radziwiłła, w obrazie Rzewuskiego przybrała wszelkie pozory genialnego magnata, który żył nibyto tylko na usługi braci szlachty i dla dobra rzeczypospolitéj. Nie wiedzieć skąd i naco, ale od tego czasu książę Panie Kochanku liczony być zaczął powszechnie do najpopularniejszych ludzi i do najpoetyczniejszych figur naszéj przeszłości, do czego się później tém więcéj jeszcze przyczynił tegoż autora Listopad.

Pośród téjto więc admiracyi powszechnéj tak talentu (na co zgoda), jak i dążności autora „Pamiątek“, chwycił za pióro Słowacki. Spróbował stworzyć coś także w tymże rodzaju. Nie umiem sobie wprawdzie w sposób stanowczy z tego zdać sprawy, czy rzeczywiście w dobréj wierze puścił się drogą wskazaną i był na moment niczém więcéj, jak tylko naśladowcą pana Soplicy: czy też raczéj, jak rozumiem, dlatego tylko wziął pióro Rzewuskiego do ręki, ażeby własnym jego językiem, rubasznym i staropolskim, i w tymże samym idąc kierunku, w którym on sobie zdobył wawrzyny, w kierunku mówię bezwarunkowego uwiel-

bienia pieczeniarstwa dawnéj szlachty w stósunku do magnatów, a obłudy tych ostatnich w stósunku znowu do szlachty — napisać niejako komentarz o etycznéj wartości tego wszystkiego, co się tak bardzo w osobie Radziwiłła i otaczającéj go hałastry podobało naszéj publice. Ubolewać nad tém jedném tylko należy, że sobie obrał Słowacki za bohatera téj parodyi nie już księcia Karola, ale inną osobistość z téjże rodziny, to jest księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotkę, który żył w XVI wieku, i że na tę świątobliwą, prostoduszną i prawdziwie *moris antiqui* postać dziejową przeniósł stylem i sposobem Rzewuskiego wszystkie owe sowizdrzalskie fantazye i wybryki magnackie, w puste pozory dewocyi i dobroduszności przybrane, któremi ośmnastowiekowy Radziwiłł „panie Kochanku“ umiał tumanić łatwowiernych do tego stopnia, że go nie pozbawiła téj sztucznéj popularności ani bitwa pod Słuckiem, gdzie nienajzaszczytniéj hetmanił, ani konfederacya radomska, w któréj w tak prawdziwie sromotny sposób dał się nadużyć do odegrania roli figuranta-marszałka...

Ten tedy zamiar wydrwienia rogatéj dumy, schowanéj pod płaszczykiem bonomii, był zupełnie na miejscu wobec uroszczeń, za których wyraz można było uważać już owę pierwszą książkę późniejszego Jarosza Bejły. Lecz sposób, jakim zamiaru tego chciał dokonać wtedy Słowacki, uważam za chybiony. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł nie zasłużył sobie na taką profanacyą. Zresztą zdaje mi się, ile sobie przypominam, że ówczesna publiczność odczytała te urywki w Tygodniku Literackim, nie domyślając się wcale, w jakiéj dążności one były pisane. Przyjęła rzecz za dobrą monetę. —

Dla dopełnienia obrazu całéj téj części życia autora Balladyny, nie pozostaje, jak tylko przywieść jeszcze jeden wyjątek z jego korespondencyi owego czasu. Nie zaszkodzi, jeżeli będziemy też jeszcze mieli wyobrażenie, jak poeta obdarzony tak potężną zdolnością, pisarz tak płodny, właśnie w porze największéj dojrzałości i twórczości swego geniuszu, był urządzony w swojém mieszkaniu. Warto doprawdy, żeby na podstawie własnych słów

Słowackiego, tchnących zresztą takiém godzeniem się na ten los opłakany, jakiego wtedy zażywał, zrobił sobie czytelnik w własnéj myśli porównanie między dolą autora Polaka, a Francuza, Niemca albo Anglika. Porównanie to nie bardzo będzie pochlebném dla społeczności naszéj, tyle zawsze skłonnéj wierzyć w swoje zamiłowanie rzeczy ojczystych...

Ażeby było zrozumiałém, co tu przytoczę, muszę nadmienić, że w owych czasach Słowacki otrzymał od matki jakąś część majątku ojczystego w kapitale od razu sobie przysłanym, zamiast co dawniéj bywały mu dostarczane od czasu do czasu tylko kwoty pomniejsze, rozchodzące się natychmiast na bieżące potrzeby życia. Ta możność rozrządzania znaczniejszym na raz funduszem, poddała mu myśl sprawienia własnych sprzęcików i najęcia sobie mieszkania rocznego. Otóż właśnie z powodu rzeczonéj okoliczności udzielał w liście z d. 12 kwietnia 1840 roku następujących szczegółów:

„Nasz znajomy pan d' Avallon*) mieszka teraz na rue Castellane Nr. 11. Jeżelibyś chciała droga od niego jakich sprawunków, to pisz do niego pod tym adresem. Co się mnie tyczy, przyszła mi teraz myśl osiedlić się trochę staléj w miasteczku, gdzie panna Kora była mi niegdyś przyjaciółką. Potrzebowałam, aby mię coś powstrzymało od ciągłego włóczenia się po świecie, zrobiłam więc — co? Już może myślisz, że twoja Zosia poszła za mąż. Nie, bynajmniéj! Kupiła sobie tylko meble i mieszka niby u siebie, a nie w zajezdnym domu. Wypadnie z tego jakaś oszczędność, a zawsze większa daleko jest wygoda i przyzwoitość. Do kupienia gratów pomagał mi dobry Gaszyński. (Mówi o p. Gaszyńskim malarzu, przebywającym teraz w Galicyi). Z nim razem włóczyliśmy się po magazynach i licytacyach. Bawiło mię to urządzanie się i wejście we własne gospodarstwo: a Gaszyński notował wszystkie moje dziecinne uniesienia i będzie ci je kiedyś czytał z książki. I tak nająłem sobie mieszkanie na 6 piętrze (niech ci to dowiedzie, że mam dobre piersi i nogi). Na 6 piętrze nająłem więc malutkie 2 klateczki, ale czyste i porządne z widokiem na cudzy ogród, co jest tu rzeczą prawie cu-

*) Mówi tu Słowacki o sobie samym i daje sobie to nazwisko francuskie z obawy, żeby matki nie kompromitować, gdyby wysyłała listy do niego pod własném jego imieniem.

downą, bo mało jest ludzi, którzy z okien mogą widzieć drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski, a dla mnie to wszystko było nieodbicie potrzebném, zwłaszcza horyzont, w który utopiwszy oczy, czuję jakiś cichy smutek i dalekie wspomnienia, tak miłe mi teraz, odkąd wszystko, co kocham, jest w przeszłości. I ty, Sally moja! Ileż razy, gdy w ostatnią błękitną widokręgu zapatrzę się liniją, zda mi się, że w téj mgle jest coś twojéj istoty i myśli o tobie rozlanych. Nie dziw się, że dziwnie piszę. Mówiłam Ci, że z okien moich widzę drzewa: wiosna je teraz rozwija, słońce złoci, ptaszki w nich świergocą; dziś dzień moich imienin, dziś ludzie z palmami chodzą po ulicach, wszystko mię rozrzewnia, aż mi łzy zalały oczy. O moja!... Świat ten, do któregom się niegdyś z taką niespokojnością wyrywała z twoich ramion, nie dopisał mi, nie zaspokoił. Żadne moje uczucie nie wyrosło! strudzona chcę wrócić do Ciebie — nie mogę...

„Przerwałam pisanie tego listu, aby się uspokoić i skończyć weselszemi myślami.—Chciałbym*) ci opisać moje apartamenta, abyś ty się choć myślą czasem do mnie przenieść mogła. Otóż wchodzi się do mieszkania mojego przez maleńką kuchenkę, która mi nie jest wcale potrzebna, albowiem nie mam własnego gospodarstwa. W téj kuchence stoi machinka drewniana z robinetami, napełniona wodą; i to nazywa się: *une fontaine*, sprzęt dla tak wysoko mieszkającéj koniecznie potrzebny. Potém następuje salonik prostokątny, mający sześć kroków długości, a 5 szerokości. Na kominku lustro w złotych ramach, przed kominkiem kanapka szafirowém suknem pokryta i para podobnych krzeseł... Używane już, ale jeszcze dobrze wyglądają te sprzęciki — stoliczek mały mahoniowy, zieloném suknem pokryty, na którym piszę, dwa brązowe lichtarze na kominku... i oto całe umeblowanie mojéj pierwszéj klatki! W sypialnym pokoju, dwa razy większym od pierwszego, mam paradne łóżko z dywanikiem wschodnim pod nogami, z kapą szafirową — komodę — mały *table de nuit* okrągły, i parę krzeseł takich jak w piérwszym pokoju. Wszystko to koniecznie było potrzebne i nic nie ma zanadto... Ale wszystko porządne i cieszy mię, albowiem mieszkanie najwięcéj wpływa na humor. Płacę za nie 25 dukatów na rok, co na tutejsze strony jest bardzo małą kwotą. Od-

*) W liście istotnie jest chciałbym: nasz poeta często wypada z roli.

dźwierny mi usługuje, to jest czyści pokoje i ściele łóżko, i dostaje za to 13 złot. na miesiąc. Tak uregulowawszy się, jestem cichą i spokojną w mojéj klateczce ptaszyną, pracuję, rozmyślam, a Gaszyński teraz namówił mię, żem się wzięła do malarstwa. Nie uwierzysz Sally droga, jak mi papier naklejony, pędzel w ręku i kolory roztarte przypomniały dawne dziecinne lata"...

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Zdanie o wierszu „W Szwajcaryi“ — uwagi o Wacławie — granica aż do którćj służy poecie prawo traktowania historyi podług swojéj fantazyi. — Myśl autora w „Ojcu Zadżumionych“ — niewłaściwość wykładu dzieł poetyckich z allegorycznego punktu widzenia. — Mazepa: dawniejsze sądy o tym utworze — jego wprowadzenie na scenę — jego rozbior. Niejednokrotna nad nim praca odbija się w jego budowie — brak tragiczności w roli głównéj daje powód do mylnego pojmowania tego dramatu. Rzut oka na Szekspirowego Otella — na Lira. — Cechy i konieczne warunki charakteru bohaterów tragicznych — z tego punktu widzenia rozbior roli Amelii. Konkluzya o wartości całego dzieła.

Wyliczyliśmy w poprzedzającym rozdziale cały szereg dzieł Słowackiego, wydanych w ciągu kilku miesięcy. Trzy Poemata — Balladyna — Mazepa — Lilla Weneda. Można do nich dołożyć i Beatryx Cenci, jako sztukę napisaną w owymże czasie. Sąto stósunkowo najlepsze jego i zarazem najniezawiślej od obcych wpływów wykonane utwory. Odrębność sposobu Juliuszowego najwidomiéj w nich się odsłania. Tymto rzeczom przedewszystkiém zawdzięcza poeta nasz to świetne w literaturze stanowisko, jakie ostatecznie zająć potrafił.

Przystępuję w rozdziale niniejszym do udzielenia krytycznych spostrzeżeń moich o pomienionych publikacyach, jako też do rozwinięcia przy téj sposobności kilku myśli o poezyi w ogóle, o ile ciasne granice zadania mego na to pozwolą.

W tomiku zatytułowanym „Trzy Poemata“ były objęte trzy odrębne powieści: Ojciec Zadżumionych, W Szwajcaryi i Wacław. Była to po Kordyanie piérwsza książka Słowackiego, którą publiczność od razu uznała za jedno z najwdzięczniejszych

zbogaceń narodowéj poezyi. Szczególnie podobał się wszystkim piérwszy poemat.

Ażeby się nie rozmijać z porządkiem czasu, którego się tu ciągle trzymamy, zwróćmy nasamprzód uwagę naszę na utwor zajmujący w téj publikacyi pośrednie miejsce. Wiersz „**W Szwajcaryi**“ pochodzi z roku 1835, którego okoliczności i w nich położenie poety staraliśmy się w swojém miejscu uprzytomnić czytelnikowi. W taki sposób odsłania się niejedno, co ułatwia wniknienie w skład téj z niezrównanym wdziękiem wykonanéj sielanki. Budowa jéj i całe przeprowadzenie nie ustępuje w niczém najlepszym kreacyom Słowackiego. Owiewa ją wprawdzie pewna tajemniczość a raczéj zagadkowość, nie dozwalająca czytelnikowi wnijść w sam środek dramatu uczuć, które się w dalekiéj odległości przed oczyma jego malują. Ale to wynika z zamierzenia poety. Tego że tak powiem odstępu między opowiadaniem a tymi, co opowiadania słuchają, chciał autor: i wszystko na to jest obliczone.

Osnowa wiersza tego jest nieskończenie prosta. Spotykamy się z parą, którą łączy miłość, następnie i przysięga: oba te węzły rozrywa los jakiś — nienazwany nawet z imienia, niweczący to szczęście w samym zawiązku... I oto cała już treść sielanki — mimo prostoty i najzupełniejszéj zużytości przedmiotu, przeprowadzonéj jednak z taką świeżością barw, w sposób tak zgoła nowy i z tak dokładną a mistrzowską genezą tych wszystkich przejść, z jakich się sprawy tego rodzaju między ludźmi kojarzą, że opowieść dziejów tak krótkich urasta na poemat, a zajmuje jak dramat. Że się z tego materyału udało Słowackiemu stworzyć coś podobnego, w tém główną oczywiście była przyczyną poetycka jego potęga, zdolna i na najmniejszéj rzeczy wycisnąć znamię wyższości. Przyczyniło się może do podniesienia przedmiotu i tło, na którém rzecz osadził, uwite z najpiękniejszych rysów przyrody, jakich tylko dostarczyć mogły góry, łąki, jeziora i wodospady Szwajcaryi. Najwięcéj jednak ułatwiła osiągnienie takiego skutku ta okoliczność, że poeta podobnie jak Göthe w Werterze, Mickiewicz w Dziadach itd. odtwarzał tu zdarzenia rzeczywiste, uczucia własne. Wprawdzie powieść jego

w porównaniu z tém wszystkiém, co do niéj dało powód, mieści w sobie więcéj szczegółów wymarzonych aniżeli istotnych. Tylko sam bowiem początek i zawiązek stósunku, tylko pierwsze kroki na téj różanéj, promiennéj drodze mogły być i zapewne były przedstawione wedle tego, co zaszło. Dalszy przebieg, środek dramatu był już dosnuty z wyobraźni. Równie też i koniec jego, jeżeli chodzi o szczegółowe rysy, nie był dosłownie takim w rzeczywistości. Obudzenie z tego słodkiego snu na jawie odbyło się w duchu poety i inaczéj i rychléj, niż w poemacie. Grunt rzeczy jednakże nie był już wymarzony w téj części. Zakończenie sielanki podyktowała istotna, wewnętrznym stanem duszy poparta prawda. Stan ten żywcem odbił się w dziele — bez domięszania uczuć zmyślonych. Poeta czuł całą boleść usposobienia, które właśnie malował. Czerpiąc z osobistéj przeszłości, nie potrzebował przyzywać tu do pomocy téj siły, która tworzy z niczego, lecz spisywał, co dyktowało zbolałe serce, niezdolne pogodzić się z tém, co zaszło...

Prawda zatém i zmyślenie, rzeczywistość i poezya, miłość człowieka i geniusz artysty podały tu sobie ręce, ażeby złożyć utwor, w którym nie wiedzieć, co wprzód i co więcéj podziwiać, czy idealność całéj inwencyi, czy realizm i swobodę naiwną, z jaką najmniejszy szczegół jest opisany. Każdy rys zdaje się być wzięty z natury, całość obrazu jednak ma w sobie coś nadziemskiego. Nie znam w żadnéj literaturze dzieła, w któréjby przedmiot miłosny był traktowany z takim platonizmem, a przecież tak plastycznie*).

*) Dołączam tu zdanie o poemacie niniejszym, Zygmunta Krasińskiego. — „Jestto tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o miłości marzonéj nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przezrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wisien nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiéj, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsném jest, że czytając zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Niech go dyabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać? Trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszy po

Niżéj już nieco stawiłbym **Wacława**. Był to poemat rokiem późniejszy od wiersza, który właśnie zostawiamy za sobą. Napisał go Słowacki w ciągu piérwszego swego pobytu we Włoszech, jak się zdaje ze wszystkiego, mianowicie w Sorrento (1836). Jeżelibyśmy mieli go cenić według saméj tylko zewnętrznéj i artystycznéj wartości, zasadzając takową na wdziękach stylu, na sile kolorytu, na zdolnéj zaciekawić osnowie, na umiejętném wprowadzaniu kontrastów (szczególniéj w pierwszéj połowie), na mistrzowskiém rzeźbieniu szczegółów itp. to sąd nasz o Wacławie wypadłby świetnie. Pod tym względem nie ustępuje on najlepszym utworom w tymże rodzaju Byrona. Pomimo tego jest coś jednak w téj całéj rzeczy, co wrażenie jéj osłabia i przy czytaniu sprawia uczucie... prawie powiedziałbym niesmaku. Byron podejmując rzeczy podobne, poczynał sobie bardzo trafnie, że je przenosił albo w czasy znacznie odległe, albo na dalekie gdzieś końce świata. Zwyczajnie sceną jego powieści jest Wschód — Mauretania — wyspa jaka nieznanego nazwiska — okręt na falach jakiego morza itp. Inaczéj rzecz się ma z dziełem naszém. Słowacki daje tu przedmiot oznaczony, narodowy, bliski, świeży — przedmiot, który każdemu z nas już skądinąd jest znany. W tém upatruję właśnie cały powód, dla którego — nie można inaczéj powiedzieć, jak tylko, że zaszła jakaś pomyłka w samym wyborze tematu. Najprzód bowiem jest coś przeciwnego uczuciu, wciskać się w czyje sprawy domowe. Przezwyciężenia potrzeba, żeby publicznie przetrząsać winy i anormalności czyje, jeżeli się takowe (jak tu po większéj części) tylko własnéj jego osoby tyczą, a nie oddziaływały na sprawy szersze, niż obręb murów jego pałacu, niż zakres stósunków jego familii. Jeżeli przekroczenia i monstrualności tego rodzaju mają w sobie warunki zajęcia powszechnéj uwagi w imię ogólnie ludzkich względów: artysta ma wszelkie prawo podejmowania takich przedmiotów; lecz takt i jakiś instynkt wymaga, żeby rzecz w téj ogolnie ludzkiéj sferze została, a nie plątała się w osobiste, domowe, familijne szkandały.

---

przeczytaniu wierszy Juliusza!.." (Obacz list Krasińskiego do R. Z. udzielony w Dodatku miesięcznym Czasu, tom 13ty, strona 520).

Marya Malczeskiego niezmiernie na tém zyskała, że zdarzenia, które zaszły krótko przed piérwszym rozbiorem Polski, w wiadomym punkcie dzisiejszéj wschodniéj Galicyi, w domu znanym i głośnym, przeniesione zostały przez poetę i w jakieś czasy dalekie, kiedyto jeszcze zdarzały się napady tatarskie, i w miejsca równie nieoznaczone, szeroko dla wyobraźni otwarte, w miejsca że tak rzekę mityczne — na Ukrainę. Zajmuje tam więc czytelnika tylko sam jedynie wypadek, tylko charaktery osób, wmieszanych w sprawę, i osób tych namiętności. Ale kto te osoby? gdzie ich szukać? kiedy żyły? o tém u Malczeskiego ani słowa. Bo że dzisiaj dokładnie wiemy, jaka jest historyczna podstawa téj okropnéj powieści: to skutek późniejszych dopiero komentarzy. Poeta z nimi nic nie miał do czynienia i pozostają też one po za ramami poematu. Inaczéj to wszystko u Słowackiego. Podejmując przedmiot, właśnie w skutek sławy dzieła rychlejszego poety obłożony wszystkimi przyborami osobistości i historyzmu: miał tu do pokonania już zupełnie inne trudności. Z jednéj strony miał do liczenia się z ustalonymi faktami; z drugiéj wkraczał w zakres kroniki że tak powiem rodowéj, w sprawy domu zanadto znanego w kraju, żeby to był dość swobodny i dość właściwy zakres dla twórczości prawdziwie poetyckiéj. Nawet gdyby się był najstaranniéj trzymał rzeczywistych wydarzeń, a w niczém nie popuszczał wodzów fantazyi: nawet wtedy poemat jego miałby pozór jakichś plotek, pamfletu*)... Tém gorzéj zaś dla Słowackiego, (i to jest drugi zarzut, który przeciw „Wacławowi“ podnoszę), że zamiast obliczać się z historyą, owszem aż zanadto się rozmijał z faktami rzeczywistości! W krótkiéj przedmowie autor wprawdzie zapewnia, że „od prawdziwych nie odstępując podań, starał się tylko ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności.“ Ale ani podania nawet nie usprawiedliwiają niejednego rysu, znajdującego

*) W tym też sensie wspomniał o Wacławie Krasiński w liście do Gaszyńskiego w roku 1839. — „To znakomity poeta, powiada o Słowackim. Jednak w Wacławie potknął się — Malczeskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jestto poemat — raczéj paszkwil; nie jestto poezya — raczéj anekdota“.

się w poemacie, a sprzecznego z tém wszystkiém, co jest skądinąd wiadomém o tych stósunkach.

Tak np. sędziwy wiek kochanka niegdyś Maryi, a późniéj założyciela Targowicy, mamy skreślony między innymi w następujący sposób:

„Niegdyś widziano go w gromadném kole.
Jak trup śród ludzi, jak upior przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem" itd.

Że tu jest wiele przesady, że w wierszach ostatnich braknie nawet na wewnętrzném podobieństwie do prawdy: to zapewne czuje każdy, kto tylko miejsce to czyta.

W ustępie szóstym poeta wprowadza, jako jedynego towarzysza samotnych chwil tego starca, syna jego z piérwszéj żony, któremu on jednemu ufa i sprzyja.

„Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca
Maleńki, blady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszéj żony.
To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze, więdnieje"... itd.

Usuwam zupełnie na bok uwagę, że cała exystencya tego syna z piérwszéj żony należy do fikcyi. Każdy wprawdzie, kto tylko czytał Maryą (a kto jéj nie czytał?) pomyśli sobie przebiegając ten ustęp, że to nie może być prawdą! Lecz jak powiedziałem, nie robię z tego jeszcze Słowackiemu zarzutu. Tego wszelako zbyć milczeniem nie można, że odstępując tu autor od

dat rzeczywistych, zaplątał się w sprzecznościach nie tylko z Malczeskim, ale nawet ze sobą samym. Wszakże powiada sam o Wacławie, że kiedy tenże był kochankiem i mężem Maryi, był wtedy młodym. „Znałem ja grafa Wacława za młodu“ itd. (ustęp XIII). Teraz go przedstawia, jako starca już przypruszonego siwizną, jako człowieka „srebrnego orderami i wiekiem.“ Jeżelić tedy pomiędzy tamtym czasem a obecną chwilą tyle wody upłynęło: to jakżeż może synek jego piérwszéj żony być i w téj jeszcze porze „dzieckiem maleńkiém i nierozkwitnionęm“?.. Jestto oczywiście nie tylko zboczenie od faktów powszechnie znanych, lecz i w sobie niepodobieństwo.

Podobnie wiele jest rysów, sprzecznych z powszechną a uzasadnioną o tém wiedzą powszechną, w tém wszystkiém, co Słowacki o starym wojewodzie natrąca.

W ustępie XIV powiada:

„Mówią, że ojciec Graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem — a drudzy, że ścięty

(za utopienie Gertrudy czyli Maryi) —

„Niktże téj śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiéj, na wyniosłéj dumie?
Niktże — prócz syna, co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły“... itd. itd.

W ustępie XXIV powtarza się to raz jeszcze i to nie tylko szczegółowiéj, ale i pewniéj, bo już nie w formie głuchéj wieści („mówią“), ale sam syn starego wojewody, sam Wacław w zeznaniu przed spowiednikiem to opowiada. Tymczasem rzecz jest wiadoma, że ani podobnego upokorzenia ojciec Wacława za występek swój nie doznał, ani też Wacławowi nikt śmierci ojca jako zbrodni przez niego popełnionéj nie wytykał. Od tego zarzutu wolny był zupełnie Szczęsny Potocki.

Niemniéj niestósownym się zdaje cały ów wymysł, jakoby Wacław został otruty — i to jeszcze popiołami swych antenatów (?!). — Miłostki żony jego z jakimś „Greczynem w Arnauta stroju“, który samowładnie domem ich trzęsie i wcale się nie tai z władzą tą swoją, także zgoła nie przystają do tego, co...

rzeczywiście było. Wreszcie i sam zgon nagły grafinéj, czy to w skutek trucizny, podanéj jéj nie wiedzieć dlaczego i przez kogo, czy z innych przyczyn, nieodsłonionych — zdaje się być bardzo słabym szczegółem w całéj inwencyi. Słowem, pełno jest rzeczy, które w czytelniku wywołują niezadowolenie i protestacyą, nosząc na sobie znamiona zbyt oczywiste zmyśleń. To, co się w tym domu działo, tego poeta po większéj części nie zużytkował. Co dał natomiast, tego nie było. Ma się tedy rzecz z całym tym poematem, jakby z obrazem jakiejś katastrofy skomplikowanéj, która — bez podpisu, nie wiedzieć co przedstawia, a jak powiesz, co ma znaczyć, to każdy ubolewa nad brakiem podobieństwa do rzeczy albo też nad nieznajomością przedmiotu.

Ażeby nie być fałszywie rozumianym, tłómaczę się wyraźniéj, że nie to za niewłaściwość w dziele tém poczytuję, iż sobie autor pozwolił, traktując zdarzenia rzeczywiście zaszłe, czerpać i z własnéj wyobraźni; lecz raczéj, że sobie téj swobody pozwolił w tych właśnie szczegółach, w tych właśnie miejscach obrazu. — W teoryi i abstrakcyjnie rzecz biorąc, nie chciałbym ja hołdować ani zasadzie tych, którzy poecie w pracach zaczerpniętych z historyi żadnéj nie dozwalają wolności, ani też wyobrażeniom przeciwnego obozu, według których artysta z siebie tylko czerpie, a materyałem historycznym samowładnie się posługuje. Tych ostatnich wyobrażeń najdaléj może posuniętym przedstawicielem był Göthe, który mówiąc o jednéj z sztuk Manzoniego (Carmagnola) wyrzekł owe słowa przez tylu innych już powtórzone: — „Für den Dichter ist keine Person historisch; es beliebt ihm seine sittliche Welt darzustellen und er erweist zu diesem Zwecke gewissen Personen aus der Geschichte die Ehre ihren Namen seinen Geschöpfen zu leihen.“ — Przy całéj czci dla powagi Göthego, śmiem tu być innego przekonania. Prawdziwe warunki powodzenia artystycznego zdaniem mojém niezawodnie zajmują między obydwiema ostatecznościami pośrednie miejsce. Poecie służy bez wątpienia prawo puszczania się w ślady swego natchnienia, które go unosi w krainę ideałów, w sferę prawd wiekuistych, w świat ogólnych dążności, mających do czynienia raczéj z przyszłością, niż z ubiegłym i stęgniałym

już czasem. Badanie mozolne kronik i lękliwe rozmierzanie cyrklem tego wszystkiego, co mu służy za materyał, nie jest zadaniem artysty. Hołdowanie przesadne archeologii zabija wszelką poezyą, równie jak i kopiowanie obecności z fotograficzną wiernością nie stanowi bynajmniéj sztuki. A zatém z zasady byłbym za pozostawieniem wszelkiéj wolności fantazyi poetyckiéj, kosztem nawet prawdy dziejowéj. Z drugiéj strony jednakże jest okoliczność, która tę wolność fantazyi potężnie ogranicza, a to w interesie samejże sztuki. Artysta i pisarz pamiętać powinien o tém, że illuzya jest piérwszym wszelkiéj sztuki warunkiem. Właśnie przeto nie może dzieło jego treścią swoją stawać w sprzeczności z poczuciem, ze świadomością, z wiedzą i wreszcie instynktem tych wszystkich, dla których się właśnie pisze. Źle bardzo byłoby dla nowego utworu, gdyby takowy na samym wstępie spotykał się z opozycyą z powodu saméj już swojéj materyalnéj osnowy. A opozycya taka niezawodnie zajdzie mu drogę w każdym razie, gdzie autor nie poszanował uświęconéj prawdy dziejowéj. Na nic się nie zda poecie przyoblécwcoś choćby we wszystkie cuda natchnienia, jeżeli czytelnik sprawę wytoczoną zna już skądinąd i widząc, że się takowa miała w rzeczywistości inaczéj, jak w jego opowiadaniu, czuje przy każdym kroku, że ma przed sobą nie prawdę ale bajkę, nie wskrzeszenie tego co żyło, ale mrzonki bujnéj imaginacyi, więc... sfałszowanie rzeczywistości.

Stądto, nie tylko przez cześć dla dziejów, ale ze względu na ściśle artystyczne potrzeby, są rzeczy, których pod żadnym warunkiem niewolno przeistaczać poecie, jakoto charaktery osób powszechnie znanych w narodzie, wypadki stanowczéj doniosłości w następstwach, pewien ogólny koloryt i nastrój wieku, słowem wszystko to, co nawet niebadaczowi z zawodu znaném jest w zakresie pewnego społeczeństwa.

Natomiast wolno poecie bujać na skrzydłach wyobraźni w tych przestworach pobocznych i mniejszéj wagi, które historyi w jéj podwalinach nie tyczą. Wolno mu zmyślać artystycznie, jeśli dzieło jego powstaje w zakresie historycznie nierozjaśnionym. Ujdzie mu nawet minąć się niekiedy z wiedzą przeszłości udokumentowaną studyami, jeśli tę przeszłość po swojemu odtwarza

w języku narodu, stojącego nieco opodal od sceny zdarzeń opowiadanych i właśnie przeto mało lub przynajmniéj nie zbyt szczegółowie obeznanego z istotnym tychże zdarzeń przebiegiem. Dlategoto łatwiéj też jest zawsze poetom obrabiać rzeczy, wzięte z dziejów postronnych, aniżeli przedmioty narodowe*). W piérwszym razie publiczność przyjmuje bez oporu i mniéj wierny wizerunek czy to charakteru jakiéj historycznéj wielkości, czy jakiéj katastrofy dziejowéj, jeżeli tylko artystycznym warunkom kreacya czyni zadość. W drugim razie przeciwnie kontroluje go w najmniejszym nawet rysie ta cała suma miejscowéj znajomości stósunków, która w mniejszéj lub większéj cząstce jest własnością każdego wykształconego członka téj społeczności. Najmniejsze tedy w razach takich uchybienie już wywołuje niesmak. Najnieznaczniejszy rozdźwięk między wyobrażeniami o tém ogółu a przedstawieniem artysty sprawia ferment w duchu czytającego, a ferment taki żadną miarą nie należy do warunków korzystnie nastrajających do sądzenia nawet i o artystycznéj wartości dzieła.

Oczywiście nie idzie za tém, żeby pisarz schlebiał popłacającym w publice przekonaniom. Do najwznioślejszych jego obowiązków należy, stawać gdzie potrzeba i w wyraźnéj nawet

---

*) Niewątpliwie mniéj trudu kosztowało Schillera obmyślenie planu Dziewicy Orleańskiéj lub Don Karlosa, aniżeli wynalezienie tragicznéj osnowy do Wallensteina. W niemieckim języku, dla Niemców, jest Dziewica Orleańska wyborną sztuką, podobnie i Marya Stuart i w ogóle wszystkie tragedye tego poety, zaczerpnięte z dziejów obcych. Przełóżmy je na dotyczące języki, albo co gorsza, każmy im być utworami oryginalnymi każdéj w swoim narodzie, Dziewicy Orleańskiéj w francuskim, Don Karlosowi w hiszpańskim itd. a przekonalibyśmy się, że tyleby tam zaraz dało się słyszeć ujemnych uwag o saméj stronie ich zewnętrznéj i przedmiotowéj inwencyi, że i podziw dla artystycznéj doskonałości témsamém doznałby potężnego ograniczenia. Nie ma rzeczywiście większéj trudności, ani też większego tryumfu dla poety, jak obrabiać czy to dla teatru czy w innéj poetyckiéj formie rzecz historyczną, narodową, a zadowolić publiczność. Rzadko to tylko zdarzyć się może. I właśnie też dlatego życzyćby należało, ażeby się pisarze nasi przy wyborze przedmiotów tak wyłącznie nie zamykali w samym tylko narodowym obrębie.

sprzeczności z ogółem. Lecz niech to będzie w tych tylko razach, gdzie poeta może być pewnym, że prędzéj czy późniéj będzie wygrana po jego stronie. Czyli innemi słowy: tylko lepsza znajomość wypadku, o który chodzi, tylko chęć większego zbliżenia się do prawdy, tylko cel wznioślejszego postawienia wytoczonéj idei upoważnia artystę do wystąpienia z nowymi pomysłami.

Wywód powyższy nie daje się wprawdzie zastósować dosłownie do poematu, leżącego właśnie przed nami. Koleje życia człowieka, którego młodość tak idealnie w powieści swojéj wystawił Malczeski, a którego dalsze czyny tak posępnie się odbijają na tle dziejów ojczystych — koleje te, mimo to wszystko, nie dosięgają sfery istotnie historycznéj. Późniejsze dni jego płynęły bez publicznego rozgłosu. Starość jego dogasała w ponurém choć złocistém wnętrzu pałacu, zapełnionego chyba tylko ciżbą rezydentów i pieczeniarzy, wyzyskujących próżność magnata. Po za Targowicą (która w obrazie Słowackiego ginie gdzieś w głębi i nawet w spowiedzi zbyta jest kilku tylko słowami), mamy w Szczęsnym Potockim osobistość raczéj prywatną, chociaż ród, towarzyskie położenie, majątek itp. nadawały mu jakieś cechy wyższości nad zwykły poziom. Z tém wszystkiém, właśnie z przyczyny tych wyjątkowych okoliczności, i koniec tego człowieka i stósunki jego domowe znane są prawie każdemu. A Słowacki wystawiając z nich niejedno w sprzeczności z tém, co rzeczywiście było, postawił się mimowolnie na jednéj linii z pisarzem, który się dopuszcza przeistaczania historycznych pewników. —

Przychodzi mi teraz słów kilka powiedzieć o wierszu umieszczonym na czele tego tomiku, o „Ojcu Zadżumionych“. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, była to pomiędzy trzema poematami najpóźniejsza praca poety, owoc samotnych jego dumań w pustelniczym owym klasztorze na szczycie góry Libanu (rok 1837). I ani wątpić, że niejeden rys rzeczywisty zawiera się w owéj strofie, gdzie autor kładzie w usta skarżącemu się ojcu po stracie wszystkich, którzy go otaczali, owe słowa rozpaczy:

Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie, pogrzebione
Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Trudne jest zadanie krytyki wobec rzeczy, mającéj pod każdym względem prawo nazywać się arcydziełem w swoim rodzaju. O pochwały trywialne i o wykazywanie zalet, dla każdego widocznych, w razach takich chodzić nie może. Do zarzutów nie ma żadnego pola. Nie pozostaje tedy i przed „Ojcem Zadżumionych“, jak tylko schylić czoło i odkładając pióro na bok powiedzieć, że ani między Słowackiego tworami ani w całéj naszéj literaturze nie ma rzeczy, którąby wykończeniem, zwięzłością, siłą, prawdą, wreszcie mistrzostwem niezrównaném w urozmaiceniu szczegółów przewyższała ten strasznéj grozy poemat. Czém posąg Laokoona, czém grupa Nioby w rzeźbie, tém to w poezyi. Jeżeli chodziło o przedstawienie ciosów nieszczęścia, walącego się na głowę upatrzonéj istoty, dopóki takowa nie wyda z siebie ostatniéj łzy, ostatniego jęku, i przestając już prawie czuć po ludzku, nie zamieni się w marmur, z suchą powieką zdolny rozpamiętywać swoje boleści: to tego zamiaru zupełnie tu dopiął poeta. Taki zaś zdaje mi się był właśnie wszystek cel jego w dziele obecném, usprawiedliwiony dostatecznie okolicznością, że tego rodzaju zdeptanie całego szczęścia czyjego zdarza się nieraz na ziemi naszéj — nie pytając o przyczyny, dlaczego się zdarza? Przyczyny te pozostaną niedocieczone, mimo wszystkiego, jak je tam sobie każdy tłómaczy.*)

*) Z powyższém sformułowaniem zamiaru autora w tym poemacie wiem że nie wszyscy się zgodzą. Przedmiot jego bywa i inaczéj

Załatwiwszy rzecz z poematami, przechodzę do rozbioru dramatów, a nasamprzód do rozbioru **Mazepy**, który między nimi

---

wykładany. Zacny i utalentowany nasz pisarz, p. Józef Szujski, odczytał niedawno temu na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego krakowskiego rozprawę, w któréj Ojca Zadżumionych rozbiera, niepowszednie piękności tego dzieła podnosi i z Kochanowskiego Trenami je porównywa. Rozprawa ta była potém i drukowana w Rocznikach Towarzystwa. (Roczników poczet trzeci, tom XI, w roku 1866). Pomimo niepospolitych zalet, jakie w pracach rzeczonego pisarza wszędzie uznaję, a bez których żadną miarą nie jest i rozbior, o którym tu wspominam: znajduję w nim jednakże i takie zdania, na które nie mógłbym przystać. Mianowicie nie sądzę, żeby między treścią Ojca Zadżumionych a naszém położeniem narodowém obecném był jaki istotny związek. Szanowny Autor rozprawy zdaje się kłaść na to znaczny przycisk. — „Przymuszeni jesteśmy, są jego słowa, pomimo woli uznać w poemacie Słowackiego więcéj, jak fantastycznego życia Wschodu obrazek, więcéj jak skończone dzieło sztuki liryczno-epicznéj treści; — bo wieszcze przeczucie wypowiedziane w roku 1837 o bezprzykładnego sieroctwa czasach"... „Źródła jego trzeba nam szukać w myślach wieszczych autora o drogiéj jego sercu sprawie narodowéj. Tam zrodziła się konieczność utworzenia tego strasznego poematu; stamtąd pochodzi jego natchnienie, jego barwa, jego właściwości"... „Arab sierocy Słowackiego jest nie czém innem, jak jedném z strasznych marzeń o domowych sprawach, jedném przeczuciem wieszczém więcéj, jedną chwilą krzyżowéj drogi, którą serdeczną krwią serca oznaczył poeta siedząc w namiocie pustynnym, a sięgając myślą Ojczyzny. Rodzina jedna, rodzina wielka odbywa pielgrzymkę ku światu przyszłości — ale nim go zobaczy, prawo świata każe jéj odbywać kwarantanę zdrowia — prawo świata postawiło jéj straż, lekarza i sędziego.. Tymczasem powiéw morowéj zarazy owiał rodzinę. Może to z téj tęsknoty za światem przyszłości, może z braku bliskich, chwytnych celów życia — może na widok tego lekarza i straży. Umiera więc jeden po drugim z członków rodziny dotknięty zarazą. A za każdym wypadkiem przedłuża się środek ostrożności — kwarantana... Takie marzenie mogło nawiedzić autora w pustynnym namiocie. I z tego marzenia wyszło widmo, ofiara kwarantany i cywilizacyi — starzec bez dzieci, bez przyszłości — bez nadziei. Bóg stanął przed poetą w postaci pogańskiéj, w postaci niszczyciela, sojusznika gwałtu i fizycznego zwycięstwa. I zawołał poeta do tego Boga:

O bądźże ty mi pochwalony Allah
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,

wszystkimi jest najrychlejszéj daty. Wyszedł on z druku dopiero w roku 1840, przyjęty został przez publiczność dość zimno,

Zarazą, która dzieci me wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki,
O Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!" —

Przytoczyłem dosłownie cały przydłuższy ten wywód głównie z téj przyczyny, ażeby omawiając go po swojemu w skróceniu, nie skrzywić w czém mimowolnie myśli szanownego autora. Przyznaję, że jest w tém wszystkiém, cośmy przywiedli, wiele zmyślności. Nie przeczę, że jest i pewien pozór trafności w takim wykładzie zamiaru Słowackiego. Pomimo tego jest mojém najgłębszém przekonaniem, że się pan Szujski za daleko posunął. Podkłada poematowi znaczenie, o którém zdaniem mojém nietylko nie marzył poeta wtedy, kiedy go pisał, ale którego nawet trafunkowo, to jest p o z a ś w i a d o m ą w i e d z ą poety, w tém dziele nie ma. Tłómaczyć tak Ojca Zadżumionych, jestto robić z niego allegoryą. Zyskuje nibyto na tém znaczenie poematu, że się pod jego widzialną że tak powiem osnową odsłania druga, i głębsza i żywotniéjsza, niż tamta. Ale korzyść ta w gruncie jest wielce wątpliwéj natury. Skoro się bowiem z tego allegorycznego punktu widzenia zacznie szczegółowo examinować wszystko w utworze naszym: okaże się, że wiele i bardzo wiele rzeczy nie odpowie zgoła założeniu, o jakie chodzi. Z czegoby wyniknął ten chyba tylko wniosek, że się dzieło niniejsze... wcale nie udało poecie.

Gdyby szanowny krytyk był się ograniczył do następującego twierdzenia: że między obrazem, jakiemu jest poświęcony poemat, a usposobieniem osobistém i narodowo-społeczném Słowackiego była niejaka analogia — a to o tyle, że poemat przedstawia ciągły szereg ciosów w jednego człowieka bijących, choć tenże nic takiego nie popełnił, żeby można było rozumieć, d l a c z e g o mimo wielkości Boga czuwającego nad nami dzieje się taka krzywda nieszczęśliwemu, — poeta zaś jako członek swego narodu nieraz i nie dziesięć razy z punktu wyjścia innych premissów dochodził w samotnych swoich dumaniach do tegoż rezultatu, i właśnie przeto teraz, przy zdarzonéj sposobności, z namiętnością oskarżyciela i z prawdziwém *con amore* artysty maluje tę jaskrawą bezopatrzność i bezlitość, w małych i wielkich rozmiarach praktykującą się wszędzie w świecie... gdyby powtarzam takie tylko było twierdzenie p. Szujskiego: nie miałbym nic przeciw temu do powiedzenia.

Ale jego dowodzenie idzie o wiele daléj i odsłania między poetą a Arabem nie pokrewieństwo stanowisk, lecz allegoryą.

Tłómaczenie utworów poetyckiéj literatury naszéj w sposób allegoryczny jest w ogóle między nami dosyć zwyczajną rzeczą.

przynajmniéj nie sprawił tego wrażenia, co np. Kordyan, Anhelli albo Trzy Poematy. Niebawem po pojawieniu się Mazepy, wystąpił poznański Tygodnik Literacki z krytyką (obacz rok 1840, Nr. 13). Była to krótka wprawdzie i nie wdająca się zbyt w szczegóły krytyka, ale znakomitego pióra. Autorem jéj był Karol Libelt. Lubo niejedno w dramacie na korzyść poety podniesiono, i uznano w Mazepie zalety, dające powód do chlubnych o autorze nadziei na polu dramatycznéj poezyi: ogólny rezultat jednakże rzeczonego rozbioru nie był zachęcającym do dalszych na téj drodze usiłowań. Z wytkniętych błędów, największa część rzeczywiście sąto miejsca najsłabsze w téj kompozycyi: nie brak atoli i na zarzutach takich, do których wytknięcia nie byłoby pewnie przyszło, gdyby krytyk miał był sposobność wysłuchać, co na obronę swoję byłby powiedział poeta; albo gdyby przynajmniéj poeta już w owym czasie był uważany za tę znakomitość w swoim zawodzie, za jaką go w późniejszych dopiero latach uznano. — Podobnie mniéj korzystnie musiał też czasu swego sądzić o Mazepie i Z. Krasiński. Wyrażając się tylekroć i w listach i publicznie z pochwałami o celniejszych utworach Słowackiego, nigdy on do ich liczby nie dołączył tego dramatu. Wziętość obecna téj tragedyi była tedy wynikiem dopiero czasów późniejszych. Zdaje się, że dopiero przedstawienie Mazepy na sce-

Każdy utwor głębszéj treści, Nieboska Komedya, Irydyon, Król-Duch, nawet Lilla Weneda itd. spotykają czytelników, którzy zamiast zastósować do nich to, co tak trafnie wyraził Schiller:

„Welchen Leser ich wünsche? — Den unbefangenen, der sich,
Mich und die Welt vergisst und in dem Werke nur lebt",

raczéj w dzieła te wnoszą swoje pojęcia i ideały, pospolicie im podkładając to co ich boli. A że boleści i utrapienia nasze są ciągle jedne, więc schodzi na to, że się najrozmaitszym dziełom prawie ciągle jeden temat podsuwa, jakby się one wszystkie kręciły w jakiémś kole zaczarowaném, około jednego tylko punktu. Byłaby to dziwna jednak jednostronność i ubóstwo naszéj narodowéj poezyi, gdyby się rzeczywiście tak rzeczy miały... W ogóle uważam przypuszczenie allegoryzmu za ostatni i w razach tylko rozpaczliwych właściwy klucz do dobierania się w intencye dzieł wszelkiéj sztuki. Czasem trzeba zrobić użytek i z niego, jako i jam sobie tego pozwolił przy Anhellego rozbiorze. Lecz im rzadziéj się téj metody chwytamy, tém lepiéj.

nie zwróciło nań powszechniejszą uwagę. Była to piérwsza naszégo poety sztuka, która się doczekała tego zaszczytu ze strony naszych teatrów. Odegrano ją po raz piérwszy w roku 1851 (a więc we dwa lata po zaszłéj śmierci jéj autora) w Krakowie, na benefis panny Ceneckiéj. Przyjęcie było dobre, w skutek czego też Mazepa nieraz potém był powtarzany, lecz tylko na scenie krakowskiéj. Następnie grano go w tłómaczeniu gdzieś w Niemczech, a nawet zdaje się, że reprezentacya niemiecka o lat kilka wyprzedziła owę piérwszą krakowską.*) Na scenie lwowskiéj przyszło do przedstawienia Mazepy dopiero w roku 1861. Teatr publicznością był przepełniony, a coraz powtarzające się tak w ciągu aktów, jak w przestankach oklaski i wywoływania celniejszych artystów, wymownie świadczyły o powszechném zadowoleniu widzów, choć gra aktorów tylko w niektórych rolach czyniła zadość słusznym wymaganiom. Od tego czasu i we Lwowie weszła ta sztuka w poczet rzeczy częściéj grywanych. Najsilniejsze wrażenie sprawiła ona jednak dopiero w trzy lata późniéj, kiedy na tejże scenie wystąpił w roli Wojewody znakomity artysta warszawski Richter, którego znakomity talent miało wtedy miasto nasze sposobność poznać w kilku występach gościnnych. Gra wyborna i mistrzowska p. Richtera oddziaływała korzystnie i na innych artystów, uczestniczących w rzeczonéj reprezentacyi.

Tak więc Mazepa ze wszystkich prac dramatycznych Słowackiego nie tylko był piérwszym, który sobie zdobył miejsce i uznanie na scenie, ale onto dopiero utorował do niéj drogę i drugim niektórym tegoż poety sztukom: Maryi Stuart, Balladynie, a nawet i Mindowie. Próba z Mindową jednakże się nie udała: sztuka jest słaba (i była zresztą odegrana tylko przez grono amatorów). Reprezentacya Balladyny, raz tylko jeden dotąd, lecz przez artystów z zawodu, w teatrze lwowskim doprowadzona do skutku, także nie wypadła bardzo korzystnie — nie tyle z powodu braku warunków po temu w sztuce saméj, ile dla innych

*) Przekład niemiecki dokonany był przez **Augusta Dracke** i jest drukowany w *Bühnen-Repertoir des Auslandes*. Berlin 1842—46, tomik XIV, numer 111.

przyczyn, które w swojém miejscu wskażę. Marya Stuart utrzymuje się w repertoryach teatralnych, choć nie z takiém powodzeniem, jakiegoby się można spodziewać po mistrzowstwie jéj autora. Lilli Wenedy nie ośmielono się grać dotąd nigdzie. O dramatach, które dopiero wydanie dzieł pozgonnych przyniosło, w téj mierze trudno dziś jeszcze przesądzać. Słowem, okazuje się, że jak obecnie rzeczy się mają, Mazepa jest głównym filarem sławy Słowackiego jako scenicznego poety, i godzi się wnosić, że zapewne nim pozostanie i nadal; w żadnym bowiem drugim jego utworze nie ma już tyle zawikłanéj i bogatéj w niespodziane zwroty intrygi, tyle ruchu i prądu dramatycznego, tyle scen wstrząsających najwyższą tragicznością; co większa, w żadnéj drugiéj scenicznéj swojéj pracy nie potrafił się Słowacki tak utrzymać w karbach utartéj i zwykłéj rutyny teatralnéj, z wyłączeniem wszystkich owych własnych swoich w sposobie właściwości, do których się publiczność powszednia chyba dopiero przyzwyczaić będzie musiała...

Na tém przyznaniu scenicznych zalet Mazepie jednak zadanie moje poprzestać mi nie pozwala. Przedsięwziąłem sobie mówić o Słowackiego dziełach, nie wedle tego, jakie do nich znaczenie z téj albo owéj przyczyny przywięzuje dzisiejszy ogół, ale ze stanowiska prawdziwych wymagań sztuki. Pod tym względem jest o Mazepie niejedno do powiedzenia. Całéj osnowy utworu tym razem brać pod rozbior nie ma przyczyny. Są zato niektóre ustępy jego, o których już to w obronie poety, już wytykając mu uchybienia, niech mi będzie wolno rzucić kilka uwag aforystycznych.

Rzućmy okiem na dzieło to przedewszystkiém jako na całość. Tu krytyka znajduje najwięcéj dla siebie pola. Główna wada w kompozycyi téj tragedyi zdaje się polegać na tém, że jest pewna czy niejasność czy też niejedność w całém téjże przeprowadzeniu, że jest pewien niestósunek między aktem piérwszym a dalszymi. Niestósunek ten widać w całym sposobie wprowadzenia intrygi; widać go w długo trwającéj wątpliwości, kto bohaterem sztuki? widać go nawet w niestósowném jéj nazwaniu —

według imienia osoby, która tylko podrzędne w porównaniu z drugiemi zajmuje miejsce.

Wszystko to ma zaś taki ścisły związek ze sposobem, jak dramat obecny powstał, że niepodobna mi nie powrócić tu raz jeszcze do tego punktu.

Przypominam więc, o czém się już w tomie piérwszym mówiło, że Mazepa byłto płód pracy Słowackiego jesiennéj w r. 1834. Dnia 7 listopada rzeczonego roku donosił autor nasz matce, że tę sztukę właśnie ukończył. W kilka zaś miesięcy późniéj, 5 lutego 1835, wspomniał w liście, że ją spalił...

Pomimo to, po kilku latach przyszło jednak do tego, że się Mazepa przecie pojawił w druku.

Byłoby tu ważném rozstrzygnąć pytanie, czy dzieło, które mamy przed sobą, było nowym utworem, a tamten Mazepa rzeczywiście został rzucony w ogień; czy też jest ono owym Mazepą z roku 1834, ocalonym w jakim brulionie, albo zgoła nie oddanym na pastwę płomieniom, lecz tylko może chwilowo zagrożonym podobną katastrofą?

Za piérwszém przypuszczeniem t. j. za rzeczywistém zniszczeniem piérwszego rzutu Mazepy, przemawia następująca wzmianka o Juliuszu Słowackim, dana w jednym z ostatnich numerów poznańskiego Tygodnika Literackiego z r. 1839: — „Pan J. Słowacki p r a c u j e, jak nam donosi, n a d n o w y m d r a m a t e m p o l s k i m pod tytułem M a z e p a. Jego życzeniu, abyśmy odwołali pogłoskę, iż i on należy do redakcyi Pszonki, czynimy niniejszém zadość.“

Doniesienie powyższe, mające wszelkie cechy pochodzenia z autentycznego źródła, poprzedziło wyjście z druku Mazepy o miesiąc albo najwięcéj o dwa miesiące. Zdaje się przeto pod każdym względem zasługiwać na wiarę i najzupełniéj rozstrzyga wprowadzoną tu wątpliwość co do czasu powstania sztuki w jéj obecnéj postaci. Przyjąć tedy można za rzecz zupełnie pewną, że dany do druku Mazepa był czémś innem, jak ów pisany w Genewie dramat z roku 1834. Czy jednak nie weszły do téj nowéj redakcyi jakie ustępy z dawniejszego Mazepy, odszukane w papierach i bynajmniéj nie zniszczone, to w każdym razie inne

pytanie. Co do mnie: kiedy się zapatruję na obecny skład niniejszego utworu, zdaje mi się, że w nim odkrywam części pochodzące niezawodnie z czasów genewskich. Żeby rzeczy zbytecznie nie przedłużać, zwrócę uwagę dla poparcia mojego zdania na jedno tylko tego właśnie rodzaju miejsce.

Czy przypomina sobie czytelnik zakończenie drugiego aktu w Mazepie? Jestto owa scena, dość niejasna w obecnym układzie sztuki, gdzie do zamyślonego Zbigniewa zbliża się niewidziana przez niego Amelia i stając przed nim, uderza go lilią po twarzy.

AMELIA.

„Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic — głowa mi cięży jak ołów.

(Amelia daje Zbigniewowi lilię — lecz Ksiądz, który szedł za nią i stoi obecnie przy niéj, wyrywa kwiat z ręki Amelii i mowi srogo:)

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilia jest kwiatem aniołów.“ —

Otóż wcale o tém nie wątpię, że to całe miejsce wcielone tu zostało z piérwszéj redakcyi.

W jednym z listów Słowackiego, pisanych w téméże miejscu, gdzie powstał piérwszy „Mazepa“, i w czasie o mało co późniejszym (w liście z dnia 30 czerwca 1835), znajduje się wyrażenie, które świadczy, że obraz użyty za osnowę w powyższéj scenie dramatu, był i wtedy jeszcze obecny w pamięci Słowackiego. Pisze on tam matce pół żartobliwie, pół smętnie o osobie, do któréj całą sympatyą swego serca w tym czasie był przywiązany, o p. Maryi W., i powiada, że i ona także „zapłynęła trochę w kraj ideału i że o niczém nie marzy, jak o pustelniczym domku, nad rzeczką — o czarnéj sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja, nie kto inny. Dowodzę jéj jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów — dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki

i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowém wspomnieniem zdobyć liliowéj duszy dla aniołów"...

To miejsce w liście posłużyć może poniekąd za komentarz do zbyt może symbolicznéj sceny, co tylko przytoczonéj z Mazepy. Równocześnie zaś może stanąć i za dowód, że w tym dramacie znajdują się niewątpliwie ustępy z redakcyi jego z roku 1834 całkowicie zatrzymane w składzie jego obecnym. Boć trudno uwierzyć temu, żeby np. scena powyższa była mogła w roku jeszcze 1840 być wykonaną na tle tegoż samego obrazu, który przesunął się był przelotnie przez wyobraźnię poety pięć laty piérwéj.

Owoż wnoszę z tego wszystkiego, że Słowacki w końcu roku 1839 i początku 1840 Mazepę nie tworzył, ale tylko przerabiał. Nad robotami tego rodzaju cięży zwykle jakiś fatalizm. Dawny zamiar poety nie daje się zupełnie pogodzić z nowym. Dawne niedostatki kompozycyi ustępują zwykle miejsca... nowym znowu niedogodnościom. Rzecz się naprawia i psuje równocześnie. Zdaje się, że i ówczesna praca naszego wieszcza nie stanowiła wyjątku od téj tak powszechnéj reguły. Szczegóły dramatu zyskiwały może na wykończeniu: jednolitość ucierpiała z powodu takowego przelewu.

Stało się z Mazepą, jak z Don Karlosem Schillera, o którym sam autor jego przyznawał, iż widać to po nim aż nadto, że to nie płód jednéj wiosny, ani odléw jednego rzutu. W piérwszéj połowie dramatu niemieckiego poety toczy się wszystko około postaci infanta hiszpańskiego, w drugiéj stanowczo mu wyrasta nad głowę jego przyjaciel (Markiz Poza), gromadzący w roli swojéj odtąd całą wagę intrygi, jakby był bohaterem tragedyi.

Na tento karb wyjątkowych okoliczności, dotyczących samego już sposobu, w jaki powstała sztuka którą mamy przed sobą, kłaść więc wypadnie niedostatki, które wytknąć zamierzam. Zdaje się, że w pierwotnym kształcie Mazepy najznaczniejszą rolę w całym przebiegu intrygi dzierżył w rękach paź królewski, którego też imieniem dramat został nazwany. Z téj redakcyi najwięcéj pozostało w obrębie dwóch piérwszych aktów. Mianowicie

godzi się wnosić, że akt piérwszy pozostał z niéj prawie nietknięty w obecnym składzie. Stądto też na początek właśnie utworu, na expozycyą, przypadło najwięcéj takich ustępów, które słusznie zaczepiać może krytyka, jako psujące przejrzystość akcyi. Są to szczegóły, nie tylko nie należące do rzeczy, ale nawet rzucające na nią światła fałszywe i zwodnicze.

Tak np. zapytać można, co znaczy w Mazepie to zaraz na samym wstępie dane wprowadzenie figury kasztelanowéj Robronckiéj, która się zupełnie gdzieś zapodziewa w dalszych aktach? Rola ta w dramacie jest co się zowie zbyteczna, a spotykamy ją tu nałożoną kolorami, jakby to był jeden z piérwszych całego zawikłania czynników. Jest to żuk, co nie widzi dla siebie żywiołu jak tylko w kale, i radby wszystko, co jeszcze kałem nie jest, w brud i zgniliznę zamienić. Pomijam, że taka kasztelanowa jest ze strony dziejowéj prawdy anachronizmem. Nie można sobie wprawdzie wieku Jana Kaźmierza wystawiać jako czasów co się zowie arkadyjskiéj czystości. Działy się i wtedy już rzeczy, o których się naszym tuzinkowym epoki téj wielbicielom ani nie śniło. Lecz był przynajmniéj zawsze wtedy na tém, co się zdrożnego tu albo owdzie dziać mogło, jakiś pokost przyzwoitości i dekoracyi pozornéj, która dopiero w drugiéj ośmnastego wieku połowie ulotniwszy się w nicość, odkryła zepsucie w całéj nagości. Takiéjto bezczelnéj otwartości typem skończonym jest właśnie pani Robroncka. Autor przeniosł tę paskudnicę wielkiego świata żywcem z epoki Poniatowskiego i niesłusznie ją umieścił na tle czasów o całe sto lat rychlejszych. Ale jak rzekłem, dajmy tu pokój historyi i nie zaczepiajmy téj figury z powodów, które nie mają bezpośredniéj wspólności z sztuką. Lecz właśnie-to względy sztuki najsilniéj protestują przeciwko wprowadzeniu roli téj w dramat. Jestto w nim co się zowie piąte koło u woza. To też toczy się ono przy nim tylko przez ciąg piérwszego aktu—a potém odrzucone zostaje na bok, żeby darmo nie zawadzało biegowi dalszéj osnowy.

Wątpić wcale nie można, że w pierwotnéj postaci „Mazepy“ musiała Kasztelanowa zajmować o wiele ważniejsze miejsce. Poeta zdaniem mojém zbłądził, że w przerobieniu nie przydzielił jéj

znaczniejszéj roli, jeśli ją już koniecznie chciał zatrzymać w dramacie. Chodziło tu widocznie o owo tak jaskrawie rzucone zarekomendowanie pazia królewskiego przed Amelią (a zarazem i przed widzami), włożone w scenie 3ciéj i 4téj piérwszego aktu właśnie w usta pani Robronckiéj. Do téj funkcyi nie nadawał się snadnie żaden inny z ludzi tragedyi, któryby tu mógł godnie zastąpić Kasztelanową. Nie można tego jednak uznać za dostateczną przyczynę, zatrzymania téj figury w obecnym kształcie dramatu.

Równie uważam za niefortunny tylko wynik dwukrotnie podejmowanéj pracy nad niniejszym utworem owę przydłuższą scenę opowiadaną (drugą w akcie I), w któréj dowiadujemy się od pana Chrząstki o śmieszném zajściu zakulisowém pomiędzy jakimiś Marszałkami dwóch stronnictw sobie przeciwnych, wjeżdżającymi równocześnie w bramę zamku Wojewody. Chodziło widać autorowi o odsłonienie obłudy, o skonstatowanie dumy zawistnéj, przywdziewającéj zawsze płaszczyk popularnéj w obec drugich uniżoności, jako cechy owego wieku w ogóle, a rzeczonych dwóch naczelników szlachectwa w szczególności. Może dążność taka właśnie w piérwszéj redakcyi Mazepy wynikała ze założenia. (Wszakże i sam Wojewoda nie zdaje się być wolnym od podobnego przymiotu. Klęka w akcie I przed królem i zabiera się do ściągania mu z nóg obuwia... A potém jaka duma odchyla się w tym człowieku nawet i przeciwko królowi!) Owoż opowiada pan Chrząstka, jak żaden z owych Marszałków wziąć kroku przed drugim niby-to nie śmiał. I jeden krzyczał: niegodny! i drugi — niegodny! A skoro tylko koniec końcem jeden poważył się wreszcie ruszyć z miejsca i wjeżdżać do zamku jako piérwszy, to się drugi tak tém oburzył, że przyszło do bijatyki... W obecnym składzie Mazepy cała ta scena nie ma najmniejszego związku ani z główną osnową sztuki, ani nawet z żadnym ubocznym jéj szczegółem. Tych dwóch Marszałków wcale nie spotykamy na scenie. Artystycznie wklejony jest ten epizod niezręcznie, bo za pośrednictwem przydłuższego tylko o nim opowiadania, które zawsze dramatyczność oziębia. Pomysł sam, kulminujący w obrazie utknięcia w ciasnym korytarzu dwóch tych szlachciców „brzuch z brzu-

chem, nos z nosem“, także jest i niesmaczny i nawet bodaj prawdopodobny. Słowem jestto scena pod każdym względem tak niepotrzebna, że w interesie reputacyi „Mazepy“ życzyć wypada, ażeby przynajmniéj kiedy się daje rzecz tę na scenie, czynili tu reżyserowie, co do ich obowiązku należy.*)

Najbardziéj jednak niefortunném następstwem téj w różnych czasach podejmowanéj pracy nad sztuką obecną, będzie niezaprzeczenie szczególna niejasność włożonego w nią zamiaru. Czytelnik widzi się przez cały ciąg Mazepy w niepewności, o co tu głównie chodzi? Ani sposób znaleść tu sobie ów punkt konieczny widzenia, z któregoby cała budowa dzieła we wszystkich zakątkach swoich dała się okiem przejrzéć na wylot. Niemałą trudnością okazuje się co do Mazepy nawet wyrozumienie, któréj z figur w nim działających przydzielono rolę bohatera lub bohaterki dramatu?... Pod tym właśnie względem chwiejność jest szczególnie uderzająca! W piérwszym akcie tak sobie postępuje Słowacki, jak gdyby mu chodziło raczéj o zamaskowanie rzeczywistéj intencyi. Opowiadanie staréj Kasztelanowéj, co się zowie szczegółowe o tym „złotym sowizdrzale“, który wszystkim głowy zawraca, jeszcze nim się Mazepa w zamku Wojewody pojawił; zaraz potém awanturnicze przyjście tegoż na scenę oknem i ta nieznużona ruchliwość, z jaką on od piérwszéj chwili wszystkie kąty domu wojewodzińskiego osobą swoją zapełnia — wszystko to dane jest w taki sposób, i tak wydatnymi rysami, że kto nie zna dalszéj historyi, ani chwili wątpić o tém nie może, że w téjto figurze gromadzi się cały interes. Równie prawie ważnym czynnikiem akcyi jest Mazepa i w akcie drugim. Zuchwałe spotkanie się jego z młodą żoną Wojewody rankiem w ogrodzie — skarga, z jaką ona właśnie z tego powodu zaraz potém występuje przed

*) W rzeczy saméj dawany był we Lwowie w r. 1864 Mazepa po raz piérwszy z wykluczeniem zupełném całéj téj sceny, z niewątpliwą korzyścią dla ogólnego wrażenia. — Żałować należy, że żadną miarą przez wzgląd na związek pozwolić sobie nie można podobnego wyrzucenia lub choćby tylko skrócenia tych scen, gdzie występuje Kasztelanowa.

królem — bezpośrednie téjże skargi następstwa — wreszcie zajście między Zbigniewem a Mazepą w wybornéj owéj scenie, w któréj z razu obaj walczą ze sobą, a potém się godzą i przyjaźń zawierają: są to właśnie najcelniejsze tego aktu ustępy. Na mocy scen powyższych, widzowie tworzą sobie od razu pewne wyobrażenie o wzajemnym stósunku osób do sztuki wprowadzonych. Rolę Mazepy poczytując za pierwszorzędną, właśnie przeto rozumieją, że schwycili już w ręce tę nitkę Aryadny, która ich będzie wiodła przez wszystkie przeguby dalszéj zawikłanéj intrygi. Rozpoczyna się akt trzeci. Mazepę zamurowują w alkowie Wojewodzinéj. Mniemany bohater... ze sceny na długo znika. Pod koniec czwartego aktu zjawia się wprawdzie na nowo. Lecz — tylko już w roli sprawozdawcy i pomocnika w sprawie, która nie z niego idzie, nie jego najgłówniéj tyczy i nie od niego zależy!.. Natomiast wydostaje się na wierzch, od trzeciego aktu począwszy, inna postać. Postać ta w aktach początkowych zajmuje miejsce poślednie. Rośnie ona i tam już wprawdzie przed oczyma naszemi, lecz tak zwolna, tak gdzieś stojąc na drugim planie obrazu, tak pod osłoną cienia rzuconego przez inne około niéj figury, że kiedy wreszcie w owéj pełnéj dramatycznych efektów scenie, w któréj przychodzi do zamurowania alkowy, spotykamy się z Wojewodą oczy w oczy, jako z demonem bezlitości i grozy, który cały ruch akcyi porywa w swoje ręce, ażeby tego władztwa nie oddać odtąd już nikomu drugiemu aż do samego końca dramatu: — to doznajemy uczucia jakby... jakiegoś zawodu. Widząc się tu zmuszonymi do powiedzenia sobie, że więc Wojewoda jest tą najdramatyczniejszą ze wszystkich figur, któréj patos ma stanowić właściwy tragedyi przedmiot: doznajemy niemiłego uczucia, żeśmy się tego domyślili tak późno i że wrażenia nasze, otrzymane aż dotąd, trzeba że tak powiem przestawiać na inne miejsce...

Ale co ze wszystkiego najgorsze, to że i ten drugi, ten nowy punkt widzenia nie długo zaspakaja! Przebiegłszy tragedyą całą myślący czytelnik żadną miarą zgodzić się na to nie może, żeby wszystkie włókna jéj osnowy zbiegać się miały w ręku starego męża Amelii. Są charaktery w tym dramacie, są motywa

w całém jego rozprowadzeniu, w które wniknąć z tego punktu widzenia wcaleby było niepodobieństwem. Zatém nie pozostaje, jak chyba powiedzieć sobie, że jedno z dwojga: albo dramat ten zupełnie się autorowi nie udał, albo ktoś inny chyba musi być w nim charakterem centralnym.... Jeśliby o to tylko chodziło, kto w Mazepie ma najczynniejszą rolę, kto najjaśniéj wybucha namiętnościami, kto najwięcéj ze wszystkich huczy i drugich tyranizuje, wreszcie czyja rola dla aktora jest najwdzięczniejszą do odegrania itp. to nie przeczę, że na te wszystkie zapytania odpowiedziećby tylko można wyrazem: Wojewoda! Pokazuje się wszelako właśnie z obecnéj sztuki, że na definicyą tego, co to jest być bohaterem utworu scenicznego, nie wystarczają te zewnętrzne kryterya. Najczęściéj one wprawdzie spotykają się z przyjętą rzeczy téj definicyą; prawdziwa wszelako istota takowéj na czém innném polega. Bohaterem dramatu jest ta jedynie figura, która idealnie zajmuje sam jego środek: tak iż wszystko, co tylko do treści dzieła należy, okazuje się być promieniem wynikającym z téjto roli centralnéj. Rola Wojewody żadną miarą nie ma tego stósunku ani do innych figur, ani do całości sztuki. Ze stanowiska wytkniętego przypuszczeniem, jakoby Wojewody namiętność była tu głównym tematem, na podobieństwo szekspirowego Otella, tylko z tą od niego różnicą, iż tu ta monstrualna zazdrość rozwija się na tle dawnego obyczaju polskiego — z tego mówię stanowiska niepodobną jest rzeczą wcale rozbierać Słowackiego Mazepy.

W Szekspira sztuce wszystko się na to składa, ażeby Otella krok za krokiem wprowadzić w ten szał tragiczny, który całe szczęście jego niweczy i przywodzi go do tego, że żonę niewinną i którą tak serdecznie kocha, morduje. Okoliczności nadzwyczajne, mające miejsce przy zaślubieniu Desdemony — przekleństwo ze strony jéj ojca — niemniéj rodowe, a raczéj rasowe pochodzenie Otella — jego osobista przeszłość, szpetność jego powierzchowności — nareszcie przewrotna niegodziwość Jaga, który się uwziął na to, żeby małżonków poważnić: — wszystko to zbiega się w tym jednym punkcie, żeby wzbudzić w Otellu tę kolosalną namiętność, pod któréj władzą go oglądamy w drugiéj połowie

utworu. W dziele Słowackiego nic się zgoła na to nie składa, żeby obudzić w głowie Wojewody podejrzenia i nienawiść przeciw Amelii. Ani jéj przeszłość, ani teraźniejsze jéj zachowanie, ani nawet skryte skłonności nie dają do tego wcale powodu. Nie ma podżegacza, któryby sztucznie obudzał podejrzliwość w jéj mężu. Całém źródłem zazdrości w Wojewodzie jest jego własna zapalczywość, jego zaślepienie, upor, duma — i trochę fatalizmu w zbiegu samych przypadkowych okoliczności. Te momenta żadną miarą nie wystarczają na to, żeby z tego charakteru utworzyć figurę, któréjby cierpienia i postępki były dostatecznym materyałem do stworzenia tragedyi...

Okazuje się tedy, że można przeczytać z natężoną uwagą całą tę sztukę Słowackiego, można ją widzieć kilka razy odegraną na scenie — i być w prawdziwym kłopocie, co odpowiedzieć na to, jeżeliby kto zapytał: o czyję namiętność w niéj głównie chodzi i kto w niéj jest pryncypalną postacią? Był rzeczywiście już nawet spór o to w lwowskich pismach czasowych, po odegraniu tam po raz piérwszy Mazepy. W jednym dzienniku dano wzmiankę o téj reprezentacyi, rozwiniętą z założenia, że główną rzeczą jest w tym dramacie rola Amelii. Drugi dziennik wystąpił przeciwko temu twierdzeniu, dowodząc, że nie Amelia, lecz Wojewoda ma w Mazepie piérwszorzędne znaczenie. Nie byłoby dziwu, gdyby się był odezwał jaki głos trzeci, forytujący znowu na protagonistę téj sztuki szlachetnego, pełnego najwznioślejszych instynktów, a tak nieszczęśliwie kończącego w niéj swój zawód Zbigniewa... Sam ten fakt, że mógł być spór taki względem tego pytania, upoważnia do wniosku, że założenie autora w Mazepie przeprowadzone być musi w sposób jakiś nieodpowiedni celowi. Nieodpowiedniość ta, o ile się nazwać daje chwiejnością jakąś w prowadzeniu wątku dramatycznego, mogła być tedy, jak się to już rzekło powyżéj, skutkiem samego sposobu pracy autora nad tym utworem.

Jest jednak i druga jeszcze przyczyna, dla któréj Mazepa pod wskazanym wyżéj względem nie czyni zadość koniecznym wymaganiom krytyki. Za przyczynę tę poczytuję brak znamion

rzeczywiście tragicznych w roli, która w tragedyi naszéj stanowić miała właśnie sam środek jeśli nie działania, to przynajmniéj cierpienia tragicznego. Taką jest rola Amelii. O czém ażeby się przekonać, chciejmy choć jednym rzutem oka spojrzéć na całą rzecz sztuki naszéj z punktu widzenia poety i w jego duchu.

Słowacki miał wprawdzie całe współczucie dla cierpień, dla boleści, dla łez, dla pragnień serca ludzkiego. Kochał istotę człowieczeństwa, ale... kochał ją i pojmował tylko w szczególnych, w upatrzonych i wyidealizowanych jednostkach. Dla ogółu, dla „tłumu“ — poeta nasz nie miał serca. Wielką liczbę odsuwał od siebie z wzgardą. Połowa jego poezyi — jestto nieustanna walka z człowiekiem, jakim tenże jest w massie, w rzeczywistości, w obowięzujących społecznych formach, słowem w téj rzeszy tysiącogłowéj, która najszlachetniejsze indywidua pochłania, zamieniając im życie na jeden szereg nieprzerwanych goryczy, przykrości, rozczarowań, a w danym razie i udręczeń.

Zamierzył sobie i w obecnéj sztuce wystawić dolę ziemską biednéj takiéj jednostki, osobistymi przymiotami upoważnionéj do lepszego losu, niż jaki ją spotyka w jéj otoczeniu. Tą jednostką, tą jedyną postacią w całym dramacie, z którą autor bezwarunkowo sympatyzuje, jest Amelia.

Przypadkową i obojętną zupełnie to jest rzeczą, że ją umieścił na tle stósunków naszych XVII stulecia, za panowania Jana Kaźmierza. Cały akt pierwszy Mazepy w wielu względach przeznaczonym wprawdzie zdaje się na to, żeby nam przewrotność wiekowi temu właściwą w różnych napomknieniach naznaczyć. O wiek siedmnasty jednakże i o jego w narodzie naszym zdrożności bynajmniéj tu nie chodziło. Jakiekolwiek czasy byłby autor rzucił za tło utworowi swojemu, w każdym razie byłby on w nich ze stanowiska swego odsłonił złe przemagające nad dobrém. Pessymistą był nasz poeta. Że tu z przypadkowych przyczyn miał należeć do działających osób Mazepa, którego przygody w piérwszéj redakcyi sztuki zapewne traktowane były dosadniéj: — stało się mimowolnie, że owa właśnie epoka posłużyła obrazowi za ramy, przez co ten obraz otrzymał pozory historycznéj tragedyi.

Rzeczywiście nie ma tu zgoła historycznych żywiołów i z tego punktu nie można autorowi czynić żadnych zarzutów.

Biorąc rzecz w tym duchu, jak jest dana, przypatrzmy się z bliska bohaterce dramatu. Widzimy ją od piérwszéj chwili postawioną w położeniu nader trudném. Jest żoną człowieka, do którego nie zbliża jéj ani wiek ani serce. Całe usposobienie Amelii, tkliwe i potulne, a ile wnosić, nawet i stósunki towarzyskie dawniejsze, nie rymują z jéj położeniem w tym domu. Wojewoda — to magnat, starzec, człowiek popędów impetycznych i samowładnych, dumy twardéj i samolubnéj. Popędliwość jego zdolna jest wystawić na szwank życie nawet najdroższych osób.*) Zaślepienie jego nie zna granic, jeżeli raz weźmie zapęd w pewnym kierunku. Nie jest on wprawdzie wyzuty z uczuć ludzkich, które na spodzie serca ukryte, lepsze są niżeli jego postępowanie; ale się wstydzi okazać, że je ma!

„Ba! pańskiemu czołu
Coś ciąży, coś dolega — wstyd samego siebie.
Ja go znam. On się prędzéj pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu *(tego co uczynił)*.
To panisko dumne!
Ja go znam: taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.
Ja go znam — to dotkliwy jest pan na honorze.“ —

Tak go opisuje stary sługa, który nie na to te słowa mówi, żeby Wojewodę oskarżać, ale raczéj żeby go uniewinnić; dobiera więc słów ile możności eufemistycznych na określenie téj szorstkiéj i samolubnéj natury.

A Amelia? — Posłuchajmy co o niéj trzepie stara Kasztelanowa, kiedy ją widzi raz piérwszy:

„Cóż to jest za dzieweczka? Ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma — na głowie bez żadnego fiocha — —

---

*) Powiada mu Zbigniew w akcie III: — „Ojcze, o! będzie ze mną tak jak z moim bratem, Którego ty zabiłeś przed laty niechcący“

ZBIGNIEW.

To Mościa Dobrodziejko, jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Ta młodziutka? To jeszcze dziecko! — A proszę cię
Bądźże mi przyjaciołką, moje piękne dziecię!
Uważaj mię jak swoję. — Cóż? jaka ty ładna!
A to panie Zbigniewie cud! Z sąsiadek żadna
Nie wyrówna. — Nie płoń się, staréj wolno mówić"...

Takto więc dobrane jest ono stadło. Kto je złączył?— Bogu wiadomo. Poeta o tém nie mówi. Łatwo odgadnąć, że wzajemna skłonność nie była tu dziewosłębem. Groźny rozkaz rodziców, albo krewnych lub opiekuna — to była niezawodnie cała przyczyna, dla któréj znalazła się biedna sierota w objęciach możnego pana. Po takim ślubie, jakie być może pożycie? Amelia wprawdzie ani słowem nie skarży się na swą dolę, gdyż ją poczciwie, ulegle, cierpliwie znosi. Ale podobno bynajmniéj nie rozmija się stara Robroncka z istotną prawdą, kiedy powiada już w chwili piérwszego poznajomienia się z młodą Wojewodziną:

„Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce,
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca."

Owoż w takichto stósunkach postawioną kobietę wprowadza Słowacki w zawikłania, które jako wyjątkowe, nieprzewidziane i nie od jéj woli zawisłe, trudność jéj położenia przemieniają w zawód pełen okropności i męki. Widzimy w Amelii przedmiot pokuszeń i ubliżeń, posądzeń i oskarżeń, nakoniec ofiarę brutalnéj bezlitości — i to ze strony osób, których rzeczą właśnie było bronić czci i pokoju takiéj istoty — jeżeli już nie na mocy praw i wynikających z nich obowiązków w sferze rodziny, to z mocy najwyższéj politycznéj władzy nad społeczeństwem. Król, wystawiony tu w całéj szkaradzie cynizmu — dworzanin jego, lekkomyślny, niesumienny, zepsuty światem, choć nie bez szlachetnych usposobień, które niekiedy dają się z ust jego słyszéć — pasierb, rozmiłowany i niby idealny, gotów życie dla Amelii poświęcić i nawet poświęcający je w końcu, ale bez

najmniejszego pożytku, gdyż miłość jego jest występną, a z takich źródeł wynikają same tylko zgubne następstwa, choćby były zamierzane w najlepszéj myśli... nareszcie sam Wojewoda, w zaślepieniu dochodzący zadanéj sobie obrazy — nie tam, skąd ta obraza wyszła, ale na osobie najboleśniéj właśnie oną obrazą dotkniętéj: — oto najgłówniejsze typy w dramacie, których działanie samowiednie i bezwiednie składa się na to, żeby intrygę rozpoczętą tak zgmatwać, tak splątać, tak zwikłać w jeden labirynt nieroździerzgnionych nieporozumień, iż życie na takim świecie staje się dla téj bezbronnéj, niewinnie potępionéj kobiety niepodobieństwem i zmusza ją do przecięcia tego pasma zawikłań — samobójstwem.

Otóż nastręcza się pytanie, czy natura z takich stworzona żywiołów, czy rola w taki przeprowadzona sposób, nadawała się na charakter, zajmujący to główne miejsce w dramacie, jakie zapełnia nasza heroina w Mazepie?

Nie tylebym tu jeszcze był skłonny kłaść przycisk na tém, że rola Amelii, jako przeważnie bierna, nie zdaje się być w należytym stopniu d r a m a t y c z n ą w o g ó l e. Przyznaję wprawdzie, że utarte nasze o poezyi pojęcia, czy takowe są wysnute z teoryi sztuki, czy w praktyczny pozyskane sposób z rozpatrywań najcelniejszych arcydzieł, żądają tego koniecznie, ażeby z rąk bohatera dramatu wychodziła rzeczywista inicyatywa całego przebiegu sprawy, która się toczy. Pierwszorzędne role bywają i powinny być nie tylko najsympatyczniejsze dla widzów, ale i najwięcéj czynne. Na tém polega głównie cała ich waga jako dramatycznych czynników. Od téj reguły jednakże w sferze poetyckiéj praktyki zdarzają się przecież czasem wyjątki. Król L i r Szekspira na przykład przeprowadzony jest przez całą sztukę jako zupełnie biernie tylko zachowująca się osobistość. Z wyjątkiem pierwszéj sceny, gdzie Lir dzieli królestwo swoje między dwie córki najstarsze, a trzecią niesprawiedliwie wydziedzicza i od serca swego odtrąca, cały dalszy przebiég tragedyi jestto już ciąg nieprzerwany samych ciosów niewdzięczności i prześladowań, które na starca tego spadają. Mimo tak przeważnéj bierności bohatera tragedyi, zaliczają przecież wszyscy rzeczony utwor

największego z dramatycznych wieszczów europejskich do jego najgenialniejszych robót...

Na mocy tak wymownego przykładu ze strony dawniejszéj dramaturgii, byłoby tedy to uszło i naszemu poecie, że stworzył heroinę w téj sztuce w sposób, jak ją widzimy przeprowadzoną. Jego Amelia choć nierównie więcéj znosi, aniżeli czyni, zajmuje przecież już przez to sam środek w rozbiegu akcyi, że działanie innych osób bez wyjątku do niéj i tylko do niéj się ściąga. W jéj roli tedy mamy węzeł, łączący w jedno wszystkie szczegóły. A brak dramatycznéj czynności może tu być tłómaczony uwagą, że przecież to postać niewieścia...

Natomiast upatruję stanowcze uchybienie poety co do charakteru Amelii w innéj okoliczności. Bohaterka Słowackiego niczém się sama nie przyczynia do tego, że z jednéj strony przewrotność i namiętności otaczających ją osób, z drugiéj sam nawet zbiég przypadkowych okoliczności przeciwko niéj się obraca. Amelia nie wyzwała rzeczywistości do walki; nie zaczepiła jéj wcale! — Bez zaciągnienia samochcąc winy, żadna rola nie sprawia prawdziwie tragicznego wrażenia. Kara i cierpienia mogą być nierównie sroższe niż przewinienie: owszem, im nierówniejszy jest ten stósunek, tém więcéj na tém zyskuje dotycząca osobistość tragiczna. Ale jakiś powód do tego wszystkiego, co jéj znosić przychodzi, koniecznie musi być przez nią dany. Cierpienia i gorzkie rozczarowania Lira nie byłyby miały miejsca, gdyby nie własna jego wola, z niesprawiedliwością i ślepotą i uporem wyzywającym w czyn zamieniona na samym wstępie tragedyi. Wszystko, czego tenże potém od dzieci swoich doznaje, są to tylko następstwa jego własnego czynu. Dał do nich powód, wywołał je: chociaż dopiéro nieprawość drugich jest źródłem, z którego wszystko z jaskrawością wynika...

Podobnego przyczynienia się do cierpień, jakie w naszym dramacie znosić przychodzi Amelii, żadną miarą dopatrzyć się nie można w całém jéj postępowaniu. Rola jéj tak jest przeprowadzona, że jéj nigdzie nic zarzucić nie można. Są wprawdzie w piérwszych scenach aktu Igo, są i w dalszym toku sztuki takie miejsca, które — jeżeli się po raz piérwszy dramat ten czy-

ta — zdają się na razie być zdolnemi wykładu, źle uprzedzającego o tój osobie.*) Wykład takowy prostuje się jednakże na jéj stanowczą korzyść, w dalszym toku działania.— Nawet w stósunku Amelii do Zbigniewa, nie można nic takiego upatrzyć, coby ją potępiało. On nią zajęty od piérwszéj chwili, to prawda. Ona jednakże ani nie podziela tych uczuć, ani się nawet nie domyśla, że jest kochaną. Stąd też ta naiwna swoboda, z jaką się z pasierbem swoim obchodzi (np. na końcu aktu II, w owéj scenie z lilią). Dopiéro w akcie trzecim, kiedy słyszy od Zbigniewa, że odjeżdża i to na zawsze — kiedy go widzi przed sobą walącego się bezwładnie na kolana i na pożegnanie żądającego błogosławieństwa — na całą wieczność: — wtedy dopiéro otwierają się przed oczyma Amelii widoki, równie jéj dotąd nieznane, jak uczucia, które i w niéj saméj teraz dopiéro się rodzą. Po mistrzowsku przeprowadził Słowacki tę skalę psychicznych odkryć, tę rosnącą stopniowość usposobień, słowem tę genezę miłości zapalającéj się w wolném aż dotąd sercu jak prochy iskrą dotknięte — niby z nienacka, raptownie, nagle, doraźnie, a jednak nie bez tych przejść pośrednich, niewidomych zwykłemu oku, bez których nie ma potężnych wzruszeń w naturze ludzkiéj. Przychodzi więc w taki sposób jakoby do wyznania miłości.

W téj scenie jest perypetya roli Amelii, a razem z nią byłby tedy i pozór winy, którą niby popełnia i za którą pokutuje następnie.

Pozór rzeczony atoli złudnym się okazuje natychmiast. Bezpośrednio po wyrzeczeniu mimowolném piérwszych słów zdradzających jéj stan wewnętrzny, odzyskuje matka Zbigniewa świadomość

*) Mam tu na myśli np. owe słowa: „O Boże, król!“ które wymawia Amelia, słysząc wystrzał armatui zwiastujący przybycie Jana Kaźmierza. Podobnie wątpliwymi zdawać się mogą i wyrazy „O Boże!“.. „Tak mi coś na sercu smutno!“ z którymi się odzywa, kiedy Mazepa z natręctwem jéj się narzuca. Nie są to jednak objawy niepewności siebie saméj w obec tych ponętnych ułud i stąd trwogi o przyszłość, ale przeczucia możliwych nieprzyjemnosci, uzasadnione świadomością okoliczności.

obowiązku swojego i silną wolą nie tylko broni się przeciwko uczuciu, które ją z nienacka już owładywać poczęło, ale je nawet i zstrząsa z siebie.

...„Jaka plama
Dla mojéj czystéj duszy tak z Waćpanem gadać!
Jak gdybym rozumiała! — Nie chcę o nic badać —
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła. —
Nie bój się: my niewinni! Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja Pana żegnam wiecznie“... itd. itd.

Gdyby Amelia odkrytą miłość pasierba od razu tym tonem była odsunęła od siebie, byłoby to wprawdzie może jeszcze chwalebniéj, niż jak się stało. Czyby to jednak było z jéj stanowiska takim aktem heroizmu, jak się to komu może wydaje? — to mi się widzi inne pytanie. Stoicyzm taki tegoby tylko dowodził, że Amelia nic nie czuła dla Zbigniewa; że go odprawiła... bo ją to nic nie kosztowało. Nie ma w tém wielkiego tryumfu, być tam zwycięzcą samego siebie, gdzie nie ma żadnéj walki, gdzie nawet pokuszenia nie było. Doznać całéj potęgi ułudnego na bezdroża pociągu, a jednak ten pociąg stłumić szlachetnie i na razie: to dopiéro i chwała i zasługa prawdziwa.

Okazuje się zatém, że nawet w tych zawikłaniach z pasierbem nie podlega postępowanie Amelii żadnym zarzutom, z zwyczajnego moralnego stanowiska ją sądząc. Lecz właśnie ta jéj wyższość nad wszelkie z tego względu zarzuty nie odpowiada koniecznym żądaniom sztuki. Warunki tragiczności wymagały czego innego. Im doskonalszą w ogólności jest Amelia kobietą, tém jest słabszą heroiną dramatu. Bo wśród wszystkich tych cierpień, które jéj przychodzi znosić w dalszéj osnowie tragedyi aż do ostatniéj sceny, widzimy w niéj tylko niewinną ofiarę, pokutującą za zdrożności, których nie było. A tragedyi celem nie jest bynajmniéj wystawiać ofiary i męczenniki, lecz namiętności ludzkie, na tle których nawet wiekuiste ideje przybierają kierunek doczesny i ku ziemi ciężący...

Nie tylko ze strony wymagań sztuki, ale i z etycznego punktu widzenia rzecz ta nie może być nazwaną inaczéj, jak

zbłądzeniem poety. Cierpienia ani nie zasłużone, ani nie wynagrodzone — to najwyższy fałsz w świecie ducha! W doczesnéj rzeczywistości wypadków takich wprawdzie niestety aż nadto. Ale doczesna rzeczywistość — to ustęp całości, któréj tak początek jak koniec idzie po za granicę widnokręgu śmiertelnych. Nie dziw tedy, że jéj nie rozumiemy. Poezya jest odbiciem nieskończoności. Poezya nie jest na to, żeby powtarzała ułomności nędznéj naszéj exystencyi na ziemi.

Desdemona w sztuce Szekspira, w któréj także zazdrość męża stanowi główną sprężynę akcyi, ma na pozór wiele podobieństwa do naszéj bohaterki. I ona kończy smutnie, a zupełnie niewinnie. Ale z jakąż to starannością baczny był na to ten niezrównany mistrz w swojéj sztuce, ażeby usunąć od nieszczęśliwéj żony Otella tę woń i aureolę idealnéj doskonałości, która w dramacie równie jest nie na miejscu, jak skończone i bezwarunkowe zbrodniarstwo. Cały akt pierwszy Otella temu jest poświęcony, ażeby przeprowadzić przed oczyma widzów w roli Desdemony antecedencye, w obec których dalsza jéj dola jest tylko logiczną wynikłością własnych jéj... jeśli nie lekkomyślnych, to zawsze nierozmyślnych, jeśli nie płochych, to w każdym razie excentrycznych i na oślep popełnionych postępków. Mianowicie oddanie ręki takiemu człowiekowi — jest tam nie tylko aktem jéj własnéj woli, ale mu towarzyszy jeszcze jaskrawe nieposłuszeństwo przeciwko ojcu, z którego domu podstępnie i obłudnie ucieka. Rzuca się tedy na to burzliwe morze, które ją ma pochłonąć, samochcąc i przy niebłogosławieństwie rodzicielskiém. A Amelia w Słowackiego Mazepie i z téj strony jest bez zarzutu.

— Ujmując pod jeden widok wszystko, com w powyższém o obecnéj sztuce powiedzieć za potrzebne uważał, przyznaję jéj więc z jednéj strony niepospolite zalety sceniczności, dla których też dramat ten na zawsze pozostanie równie dla widzów jak dla utalentowanych aktorów pożądaną pozycyą w repertoryach; obok tego jednak zarzucam jéj rażącą niejasność co do zamiaru, dla którego była pisaną. Wydobywszy zaś z pomiędzy różnych możliwych założeń, jakie się nastręczają, to jedno, w którém się

ostatecznie mieścić zdaje rzeczywista myśl autora, przychodzimy do uznania, że przeciw niejednemu w téj dążności protestować koniecznie trzeba. —

Rozmiar dzieła tego nie pozwala zastanawiać się nad pojedynczymi ustępami Mazepy, o których byłoby wiele do powiedzenia. Są w téj sztuce wielkie piękności, na które wartoby było zwrócić uwagę. Są też i mniéj szczęśliwe już to wiązania scen między sobą, już rzuty charakterów (np. Jana Kaźmierza), któreby koniecznie wytknięte być powinny. Lecz zbyteczna rozwlekłość nie byłaby tu na miejscu; poprzestaję zatém na rozpatrzeniu powyższém samych tylko ogólnych względów.

Rozbior Balladyny i Lilli odkładam do osobnego rozdziału. Dla urozmaicenia rzeczy rozdział ten nastąpi na dalszych dopiero kartach. Teraz zaś przeprowadzam czytelnika znowu do ustępu z biografii poety.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Rok 1841 i piérwsza połowa 1842go.— Stósunek między Słowackim a Mickiewiczem Słowackiego zdanie o Panu Tadeuszu.— Mickiewicz profesorem w Lozannie. W r 1840 otrzymuje katedrę w Collège de France w Paryżu. Wieczór artystów i poetów — improwizacye — wymówki. Nowa niechęć z okazyi ofiarowanego Mickiewiczowi puharu — bezimienny artykuł w Tygodniku Poznańskim — odpowiedź w Trzecim Maju — Beniowski. Wrażenie téj publikacyi — dalsze takowéj następstwa — pojedynek. Artykuł Krasińskiego w Tygodniku Poznańskim burzę poniekąd ucisza. — Wracają spokojniejsze stósunki — otucha i rezygnacya — czynność autorska wzrasta. Dalszy ciąg Beniowskiego — Niepoprawni — Złota Czaszka — Książę Niezłomny.

Na samym schyłku roku jeszcze 1840 zaszło zdarzenie, które przeważnie wpłynęło na rodzaj i na dążność niektórych robót Słowackiego w roku następnym. Mówię o zajściu pomiędzy nim a Mickiewiczem na owéj uczcie na cześć Adama wyprawionéj w Paryżu po piérwszéj tegoż prelekcyi. Okoliczność ta — znana każdemu, kto tylko czytał Beniowskiego, lecz tylko w najogólniejszych zarysach — zasługuje, ażeby ją tu podjąć szczegółowo i opisać w duchu rzetelnéj prawdy. Były wprawdzie czasu swego artykuły o tém w pismach czasowych. Zdarza się też niekiedy słyszeć i dzisiaj jeszcze ustne opowiadania o owym pamiętnym wieczorze, i to od osób, które utrzymują, że były na nim obecne. Ponieważ atoli w piérwszych więcéj przebija stronniczości jak dobréj wiary, a w drugich, to jest w ustnych opowiadaniach, daleko więcéj bywa znowu bujnéj fantazyi, aniżeli wiernéj pamięci:— nie dziw zatém, że to tak niedawne zdarzenie zasunęło się już prawie w krainę mytu. Do istotnych faktów przymieszało się wiele zmyśleń i niepotrzebnych ubarwień. Obaczmyż tedy, ile

w tém wszystkiém, co sobie dzisiaj o tém rozpowiadają, mieści się wątku rzeczywistego.

Znane już nam są dokładnie nieporozumienia pomiędzy dwoma tymi poetami naszymi, o ile takowe odnoszą się do czasów dawniejszych, kiedy to jeszcze Słowacki mieszkał w Paryżu w piérwszych latach po rewolucyi. Przypominamy sobie, że pochodziły one z różnych pobudek. Wrodzona drażliwość, będąca zawsze słabą stroną Juliusza — współzawodnictwo — różność kierunków — zausznictwo nierozsądnych przyjaciół — nakoniec rzeczy niektóre w Dziadach: oto okoliczności, które wtedy napełniały serce młodszego wieszcza coraz większą przeciwko Adamowi goryczą, aż go wreszcie taką ku niemu nienawiścią uniosły, że obrzydziwszy sobie całe otoczenie swego antagonisty i nie mogąc już wysiedzieć na miejscu, ujechał z Francyi nad jezioro genewskie. Od tego czasu stósunków pomiędzy Juliuszem a Adamem nie było właściwie żadnych. Co sobie o tém wszystkiém myślał wtedy Mickiewicz, nie wiem. Sądzę, że siedząc dumnie na swoim tronie jako piérwszy narodowy poeta — ignorował co zaszło i uważał to wszystko za dzieciństwo. Juliusz — ile namiętniejszy i młodszy, a do tego w jednym punkcie skrzywdzony w saméj istocie, zatrzymał niechęć przeciwko niemu i nadal. Przedmową do Lambra, Kordyanem - rzucał to wręcz, to ubocznie rękawicę Mickiewiczowi do boju: Mickiewicz nie widział żadnéj potrzeby, ażeby ją podnosić. Potém między nimi ucichło wszystko. W dziełach drukowanych Słowackiego nie ma już ani śladu tego co wrzało u niego w sercu. Ale odzywały się za to od czasu do czasu w listach jego wybuchy żywionéj nienawiści przeciwko autorowi Dziadów. W r. 1834 pojawił się nowy Adama poemat — Pan Tadeusz. Słowacki mieszkający wtedy jeszcze w Genewie, nie otrzymawszy go jeszcze do rąk i tylko z saméj wieści wiedząc o jego wyjściu, donosił matce (d. 13 lipca 1834) w tych słowach o tém:

„Adam wydał poema nowe pod tytułem Pan Tadeusz. Nie znam jeszcze tego dzieła, bo w kurs nie puszczone. Wiem tylko, że Pan Tadeusz jestto szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811 a 1812 rokiem“...

W daleko jeszcze uszczypliwszych wyrazach udzielał późniéj wiadomości o Mickiewiczu, że się ożenił (w liście z d. 7 listopada 1834). Dopiero w końcu tegoż roku złamało się wreszcie ostrze tego gniewu i uprzedzenia. Był już wtedy w stanie pisać o nim Słowacki nie tylko nienamiętnie, ale nawet z uwielbieniem. Tego cudu dokazały... czary prawdziwéj poezyi! Dokazało go mistrzowskie, pogodnym i miłościwym duchem owiane dzieło Adama — właśnie ów Pan Tadeusz, który jeszcze w lipcu „awanturował się" tylko! Przeczytał go autor Kordyana, wszedł w siebie, schylił czoła przed geniuszem: i zapomniawszy wszelkich uprzedzeń, w duchu i sercu — myślą — podał rękę ze łzą w oku wieszczowi, który mu dawniéj tyle dokuczył... Byłto tryumf dla tego poematu — największy może tryumf ze wszystkich, jakie mu się kiedykolwiek odnieść zdarzyło. Było to zarazem niemniéj chlubne świadectwo i o szlachetnych, wyższych instynktach natury Słowackiego...

„Wszystko, co zniknęło w przeszłości — pisał d. 18 grudnia 1834 — ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos. Adama nowy poemat obudził także we mnie wiele dźwięków przeszłości. Bardzo piękny poemat! podobny do romansu Walterscota, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie — heroina poematu choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świeżość dawnych opisów — coś dziwnie zachwycającego prostotą! Wiele opisów miejsc, nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych — natura cała żyje i czuje. Poemat raczéj żartobliwy niż smutny; a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jestto poema zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca dmącego w róg myśliwski — cudowny opis! Trochę mi przypomniał pana Jakóba trąbiącego w lesie. I drugi opis żyda grającego na cymbałach, także prześliczny. Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli. — Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepianie. Nie dziw, bo córka Szymanowskiéj. Co wieczora mnóstwo naszych ziomków schodzi się do mieszkania poety i bawią go; a on ciągnąc dym z cybucha — słucha i uśmiecha się. — Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w téj samotnéj wędrówce życia!"...

Od téj pory w korespondencyi naszéj nie znaleść już ani cienia uprzedzeń przeciwko Mickiewiczowi. Przeciwnie, wspominał zawsze o nim Słowacki z wyraźną życzliwością; i jeżeli mu wypadło donosić o nienajpomyślniejszém jego powodzeniu (a do takich doniesień na nieszczęście najczęściéj zdarzała się sposobność): mówił o tém zawsze ze współczuciem i żalem. Z oburzeniem udzielał np. w maju 1835 wiadomości, że piérwszy poeta polski, mimo dwóch co rok dzieł wydawanych, do tego stopnia niedostatek cierpi w Paryżu, iż nawet sługę odprawić musiał... „Czy tam u was (zapytywał) miejsce na policach bibliotek kalendarze zajmują?“ — Z równém ubolewaniem w trzy lata później (w r. 1838 w Florencyi) wspominał o „rzemieślniczéj“ i upadłéj też próbie Mickiewicza, napisania dramatu francuskiego dla któréj ze scen paryskich, do czego tenże był zniewolony jedynie brakiem środków niezbędnych na wyżywienie rodziny.

Za przybyciem swojém powtórném do Francyi (w samym końcu r. 1838), poeta nasz nie zastał Mickiewicza w Paryżu. Mało co przedtém tenże przeniósł się był do Szwajcaryi. Objął tam w akademii lozańskiéj katedrę literatury łacińskiéj, powierzoną sobie właśnie z końcem tegoto roku.*) Nie można tedy owych skarg Słowackiego na małość, na zawiść, na sekciarstwo polityczne i osowiałość Emigracyi, które w małéj tylko części przytoczyłem w poprzedzających rozdziałach, żadną miarą tak tłómaczyć, jakoby się cobądź z tego wszystkiego stósować znowu miało do osoby Adama. Do innych zgoła ludzi to odnosić należy.

Dopiero w r. 1840 w miesiącach jesiennych nastąpił przyjazd Mickiewicza do stolicy Francyi celem objęcia co tylko utworzonéj katedry historyi literatur słowiańskich w Collège de France. Była to jedna z najświetniejszych chwil w jego życiu. Miał zająć stanowisko, do którego w piérwszych czasach przywięzywano wa-

---

*) Z téjto przyczyny więc owo o Mickiewiczu wyrażenie w przytoczonym powyżéj liście Krasińskiego, że „uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie“. Ale dla czego to „nigdy nie mają“? tego sobie w ustach Krasińskiego wcale wytłómaczyć nie umiem.

żność ogromną, ważność daleko sięgającą po za zakres szkoły, nauki i tylko literackich zagadnień.

Była to piérwsza sposobność dla Francuzów, a przez nich i dla całego zachodu, zajrzeć w samo wnętrze tego olbrzymiego plemienia, którego przeszłość i położenie obecne, stósunki wzajemne i dążność, słowem cała tak fizyczna jak duchowa natura była dla reszty Europy aż do téj chwili prawdziwie „krainą nieodkrytą". Zdawało się to być rzeczą nieobliczonéj wagi, który z członków téj wielkiéj rodziny ludów powołany zostanie na tłómacza tych wszystkich światodziejowych zagadnień, jakie się wiążą z kwestyą słowiańską. Przez czas pewien, czas krótki wprawdzie, ale dostatecznéj długości, aby interesowanych do żywego zaniepokoić, ważyło się w gabinecie francuskim, komuby tę katedrę powierzyć. Czy miałby być powołany na to stanowisko który z uczonych czeskich, czy Rosyanin jaki, czy Polak? Polska a Rosya — to dwa przeciwne sobie bieguny, czy spojrzym na przeszłość odwieczną obojga tych narodów, czy też na ducha, co je obecnie ożywia i dalszą im przyszłość wytyka. Od tego, w jakim duchu i z jakiego punktu widzenia będzie wyrzeczone piérwsze słowo téj polityczno-naukowéj analizy Słowiaństwa: od tego zależeć miała cała przyszłość i polityki rządu i opinii narodu francuskiego w stósunku do wschodu Europy. Z natężoną tedy uwagą patrzała Emigracya polska na te szale chylące się przez czas jakiś w niepewności pomiędzy względami już to na narodowość, już też i na osobistość przyszłego profesora. Wreszcie namysły ministeryalne co do tego wyboru zostały rozstrzygnięte. Zostały rozstrzygnięte na korzyść narodu, który w Słowiańszczyźnie najwięcéj dotąd położył zasług około cywilizacyi. Z otuchą i radością najżywszą doniosły pisma emigracyjne krajowi, że Polak i to mąż tak znanego patryotyzmu, tak wielkiéj nauki i natchnienia, ma w stolicy cywilizowanego świata odkrywać, tłómaczyć i nauczać, co to jest Słowiańszczyzna. Wielki wieszcz, mówiono sobie, często jest nie tylko nauczycielem, ale i prorokiem. Może on będzie zachodnim ludom odkrywał nie tylko przeszłe ale i przyszłe skarby tych ludów...

W takich-to więc wyrazach pisały o tém naówczas pisma; tak sobie zadanie téj katedry tłómaczyli wszyscy, którzy pojmowali ważność téj sprawy i znali Mickiewicza.

Nie brakło wprawdzie i na takich w Emigracyi, którzy nie bardzo temu dowierzali, żeby się wielki ten poeta zdołał okazać równie wielkim i w sferze ścisłéj nauki, zwłaszcza że prelekcye miały być dawane w języku obcym. Bądź jak bądź — tak ci, co wierzyli w jego uzdolnienie do tego, jako i owi co utyskiwali, że siły swoje przecenił przyjmując taki ciężar na siebie, w tém jedném pomiędzy sobą nie różnili się wcale, że patrzeli na Mickiewicza w dniach owych, jako na człowieka którego słowo może rozstrzygać będzie o kierunkach przyszłości umysłowéj w całym świecie słowiańskim. —

Pierwsza prelekcya odbyła się d. 22 grudnia 1840. Druga miała nastąpić — z przyczyny świąt Bożego Narodzenia — w tydzień dopiéro potém. W téjto więc chwili, pomiędzy piérwszém wystąpieniem a drugiém, z powodu otrzymanéj katedry i z okazyi urodzin i imienin Adama, przypadających jak wiadomo na dzień 24 grudnia, była wyprawiona owa uczta, o któréj tu pomówić zamierzyliśmy.

W sam tedy dzień Bożego Narodzenia p. Eustachy Januszkiewicz, ziomek i przyjaciel poety z czasów jeszcze uniwersyteckich, zaprosił na wieczór do siebie solenizanta i oprócz niego około 40 innych osób. Byli to sami prawie rodacy i przyjaciele, wielbiciele, koledzy szkolni albo towarzysze Adama w jakimkolwiek zawodzie sztuki. Oprócz muzyków Chopina, Szczepanowskiego, Fontany i Edmunda Larissa, znaleźli się tam prawie wszyscy znaczniejsi pisarze nasi emigracyjni, kilku generałów polskich i wiele innych znakomitości już to stale, już chwilowo w Paryżu wówczas przebywających. Znaczna liczba z pomiędzy osób przytomnych na tém zebraniu nie żyje już dzisiaj, że tu tylko wspomnę Ludwika Platera, Chopina, Izydora Sobańskiego, gen. Michała Mycielskiego itd. Rozmawiano, grano, śpiewano, słowem bawiono się wybornie, wreszcie zasiedli do stołu i napełniły się kielichy...

Niebawem zaczęto wnosić zdrowia — improwizowano.

Pośród różnych improwizacyi, któremi przeplatano biesiadę, zdaje się że najprzód się ze swoją odezwał właśnie Słowacki.*) Głównym celem jego przemówienia było oddanie należnego hołdu piérwszemu z wszystkich wieszczów słowiańskich. Do tego jednakże uznania jego pierwszeństwa przymieszało się mimowolnie i cokolwiek goryczy. Zaczął bowiem Słowacki zwyczajem swoim mówić też nieco i o samym sobie, o swojém piérwszém wystąpieniu i o zimném przyjęciu, jakiego i wtedy i ciągle jeszcze doznaje. To go rozgrzało, wzburzyło. Jękła struna w jego sercu, w którą uderzyć w piérwszéj chwili właściwie nie zamierzał. Z uwielbienia wywiązała się skarga... Nie obeszło się też przy tém i bez przymówki zwróconéj wprost do samego Adama, któremu wytykał, że zbyt jest dumny i zanadto zwykł lekceważyć swoich

---

*) Dlatego używam tu tego zwrotu, nie ręczącego za pewność faktu, ponieważ rzecz to byłaby bardzo ważna, wiedzieć na pewne, kto też pierwszy kogo zaczepił, a bałamutne źródła, z których głównie zmuszony jestem czerpać o tém wiadomość, okoliczność tę bardzo sprzecznie ze sobą przedstawiają. Wymieniam tu z źródeł rzeczonych niektóre tylko ważniejsze: Artykuł pod tytułem „Improwizatorowie“ w Tygodniku Literackim poznańskim, rocznik IV, str. 60, pełen najbujniejszéj przesady, a jak sądzę, i faktycznych przekręceń. Inny artykuł, zatytułowany „Krasiński o Słowackim“, ogłoszony przez R. Z. w Dodatku Czasu 1859 tom XIII, str. 515, był pisany, jak to widać ze wszystkiego, dopiéro w kilkanaście lat późniéj i dlatego też jest pełen mylnych dat co do czasu, a może równie nie ze wszystkiém pewny i co do reszty osnowy. — Daléj przypominam zakończenie Vtéj pieśni Beniowskiego, jako też Rzecz o Nocy Letniéj przez Krasińskiego, pióra samegoż Słowackiego. (Rzecz o Nocy Letniéj jest wcielona do I tomu Pism pośmiertnych; pierwotnie pojawiła się w Trzecim Maju, nr. z d. 29 kwietnia 1841). I te nawet autentyczne wspomnienia nie są pisane w taki sposób, żeby bezpiecznie można było na nich polegać. Nakoniec należą tu listy Juliusza do matki, wprawdzie bardzo ważne i zajmujące co do tego przedmiotu, ale niezupełnie zgodne z tém wszystkiém, co w piérwszéj chwili sam on o tém drukował, a zatém także wymagające wielkiéj ostrożności w czerpaniu z nich. Tylko z połączonéj porównawczéj baczności na te wszystkie świadectwa razem da się wyrozumieć rzetelna prawda, a przynajmniéj to co się do niéj najwięcéj zbliża.

towarzyszów w zawodzie. „Lubo wiersze z ust Słowackiego — mówi jeden z świadków owego zdarzenia — wydobywały się w przerwach, z niejaką trudnością i przyciskiem, wszakże wznosiły się do najwyższéj poezyi. Były wprost i od razu z duszy jego wylane, wyrzeczone z wielkim zapałem. Że się jednak zbyt wyraźnie w nich przebijała duma i zarozumiałość: wrażenie jakie sprawił w ogóle, nie wypadło na jego korzyść. Nie znalazł wśród obecnych w téj chwili tego uznania, na jakie skądinąd genialny jego talent zasługiwał i któreby niechybnie był pozyskał, gdyby namiętność mniéj była jaskrawo odzywała się z jego zresztą mistrzowskiéj improwizacyi.“

Ze słów samegoż Słowackiego, wyrzeczonych w Beniowskim, można wyprowadzić wniosek, który potwierdza, że w takimto duchu rzeczywiście wypowiedziana być musiała owa miana natenczas przezeń do Mickiewicza improwizacya.

„Jam ci powiedział, że jak bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twém krzyż jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc — ja syn pieśni, syn królewski,
Padłem“...

W dalszéj jednak strofie uderza zaraz w inne tony, w tony twarde i wyzywające. Powiada:

„Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał,
A wszystkie tak grzmią jeszcze, jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały.
Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo.

Zaprawdę! Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury!
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienieckiéj góry,

Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję i stanąć za mną — lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj... łąk pełen kwietnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!"

Owoż na takie mniéj więcéj przemówienie Juliusza powstał z miejsca swego Mickiewicz. „Twarz jego przybrała anielską postać, bo dusza z głębi tajników na wierzch wystąpiła. Zdało się nam — słowa artykułu w Tygodniku poznańskim — iż jakaś dziwna, niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Niebawem wychodzi z ust jego potok słów, najpiękniejszych myśli i rymów, z taką siłą, gwałtownością i mocą, jak wody Wisły lub Dunajca, kiedy przerwawszy zapory z przepełnionego wylewają się koryta. Był to pęd niewstrzymany, który nam oddech tamował"...

Improwizacya Adama trwała bez przerwy blisko pół godziny. Z nalanym puharem w ręku, zaczął od podziękowania obecnym za ich życzliwe uczucia. Potém przeszedł do ogólniejszego przedmiotu. Biorąc asumpt ze spełnionego kielicha, jako symbolu ofiary, bez któréj nie ma ani wiary ani miłości: wskazywał, na czém zawisła siła poezyi, gdzie jéj źródło prawdziwe i co powołaniem poety. Wytłómaczył przytomnym, dlaczego to błogosławił mu Bóg w jego zawodzie Między innemi zapamiętano następujące wiersze, które miał wtedy powiedzieć:

„Ja rymów nie dobieram i wierszy nie składam:
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam."

„Oto jeszcze niedawno (miał ciągnąć daléj), kiedym się zabierał mówić o literaturze słowiańskiéj przed obcymi, żaden nawet z moich przyjaciół w słowa moje nie wierzył. Wszyscy mię odbiegli, odstąpili — rozumiejąc żem się porwał na rzecz, któréj nie podołam. Jednym się zdawało zuchwalstwem gadać w obcym

języku, inni o zbytek miłości własnéj mię obwiniali, a nie wiedzieli, że oto tu (pokazując na serce), tu Bóg złożył słowa prawdy, które ja mocen jestem na wszelkie języki tłómaczyć..."

W ciągu téj improwizacyi zwrócił mowę i z osobna do Słowackiego. Wyrzucał mu podobno jego grzechy poetyckie, wskazywał, czego duchowi jego braknie i dlaczego to on doznaje od narodu ciągle tak zimnego przyjęcia. Trzeba — mówił mu — pozbyć się zbytecznéj dumy, trzeba koniecznie wzbudzić w sobie miłość i wiarę, te jedyne źródła poezyi, i puścić się oną drogą, która jest naszą....

„Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć — do Boga!"

Z drugiéj jednakże strony przyznał mu także i to, co mu się należało. Nie przepomniał nawet owéj okoliczności, że kiedyś, dawno, dawno, bo w Wilnie jeszcze, kiedy matka Juliusza pokazywała mu piérwsze skromne próby jego poetyckiego talentu, że on (Adam) już jéj wtenczas był przepowiedział, że wielka i świetna przyszłość czeka jéj syna...

„Tém wziął mię za serce" — są własne słowa Juliusza w liście jego z d. 10 listopada 1841, pisanym do pani Becu, w ustępie gdzie dotyka szczegółów owego zajścia. „I tego wieczora byliśmy z sobą jako dwaj bracia. Ściskaliśmy się, chodziliśmy opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... Gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas między nami zupełnie dobrze." itd.

Na pamiątkę dnia tego i improwizacyi, która wszystkich najżywszém napełniła uwielbieniem dla Mickiewicza, ofiarowano mu w kilka dni potém przepyszny puhar srebrny. Oprócz różnych emblematów, symbolicznie wskazujących na rodzaj zasług położonych przez wielkiego poetę, był na nim napis: „Adamowi na pamiątkę d. 25 grudnia 1840 r.

Otóż tento puhar srebrny miał stać się znowu powodem, że owa zgoda pomiędzy poetami co tylko zawiązana, rozerwała się wkrótce. Zapaliła się na nowo w Słowackim niechęć najpiérw do wszystkich wielbicieli Adama, a pośrednio i do niego samego.

Żądano bowiem od Juliusza, ażeby on właśnie za tę improwizacyą wręczył ów puhar Mickiewiczowi. Słowacki się tém obraził, propozycyą odtrącił. Tłómaczył sobie żądanie w taki sposób, że chodziło — jak się sam w liście wyżéj już nadmienionym wyraził — „przyjaciołom jego antagonisty o to, aby go zbić i strącić z pozycyi i ukonstatować owym krokiem uznanie jego wasalstwa.“ Odrzucenie propozycyi — nie bez cierpkich zapewne uwag z jednéj jak i drugiéj strony — powiększyło kwasy między Słowackim a pewną frakcyą Emigracyi. Wielcy ludzie do małych interesów pochwycili rzecz w swoje ręce. Nowiniarze i obnosiciele plotek ujrzeli się na płodném polu działania. Wreszcie ażeby dokuczyć do żywego i bez tego już zbyt drażliwemu poecie, napisał któryś z nich ów artykuł pod napisem „Improwizatorowie“ dla Tygodnika poznańskiego, podpisany literami N. O. (litery jak rozumiem, fałszywe, zwykły manewr ludzi tego rodzaju). W tym artykule wieczór ów wyprawiony przez Januszkiewicza opowiedziany był nie tylko stronniczo, ale i z różnymi przydatkami, opromienić nibyto mającymi poezyi i cudowności urokiem owę północną godzinę. Wiarogodność tych przydatków nie zdaje się być wielką. I wyśmiał je też późniéj Słowacki, kiedy w Trzecim Maju parodyującym tonem przypominał czytelnikom, co w Tygodniku czytali, „o jednéj sławnéj nocy zimowéj, o improwizujących dwóch poetach, o łzach słuchaczy, o słabości nerwów i mdleniu krytyków, o uzdrowieniu chorych, i że miała nawet rozlać się w sali woń konwalii i różane światło jutrzenki...“ Otóż takimto poetycznym niby mytyzmem ubarwiony był ten pana N. O. artykuł w Tygodniku. A wreszcie z zbytecznéj poetyczności wkradło się do niego i coś jeszcze, czego nie można inaczéj nazwać jak pozytywnym fałszem. Oto miał Adam w swojéj improwizacyi oświadczyć wręcz Juliuszowi „że on wcale nie jest poetą.“ Na mocy listu Słowackiego z d. 10 listopada 1841 do matki, w którym on punkt ten „wielkiém kłamstwem“ nazywa, i wobec porównanych z tém różnych innych okoliczności, śmiało twierdzić można, że tego Mickiewicz nie powiedział.

Przed pojawieniem się jeszcze rzeczonego artykułu w Tygodniku poznańskim (znajduje on się tam w N. 8mym z d. 22 lutego 1841 r.), kręcił już Słowacki bicz niemiłosierny na wszystkich, na których miał z jakiegokolwiek powodu ansę. Uderzyć na Mickiewicza samego, zdaje się, że nie było bynajmniéj pierwotnym jego zamiarem. Ale inni, mniejsi, hałaśliwi, niedorzeczni i śmieszni, i zresztą kto tylko broił, ci mieli wszyscy przy téj zdarzonéj sposobności dostać *pro memoria* na długie czasy.

Owa uczta grudniowa, a raczéj dalsze takowéj następstwa, przypomniały mu słowa, które do niego był rokiem pierwéj pisał oddalony jego przyjaciel. Odczytał list ten Krasińskiego na nowo i bardzo trafiały mu teraz do przekonania owe wyrazy:

„Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek ziemię przynęci do ciebie! Więcéj jest wątrób na świecie, niż serc. Ach, jakże cię wtenczas będą rozumieć wątroby!... Dopiero uczują twoję rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, koścista na skronie... Do korda i na sejmik! rąbać mi i siekać! a zostawiwszy trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie!“...

Leżała czasu owego na biurku Słowackiego rozpoczęta niedawno temu robota, o któréj już nadmieniłem powyżéj, dramat fantastyczny z czasów konfederacyi barskiéj, osnuty na przygodach Maurycego Beniowskiego. Zaniechał więc teraz autor dalszéj pracy nad tym utworem, odłożył na bok sceny, które już były zrobione, i podjął tensam przedmiot na nowo, ale już w innym tonie i w innéj formie, w formie poematu. Połączył z sobą tradycye sztuki Ariosta i Byrona Co tylko było polotu i rozbujałéj fantazyi w Orlandzie, co miękkiéj melancholii i głębokości w Childe-Haroldzie, co żółci i wzgardy szydnéj w Don Juanie: to wszystko zlał on po swojemu w jakiś epizodyczny, uskakujący i dziwny, ale genialny i sobie tylko właściwy sposób i zamknął w swoich oktawach. Tak powstał ów szczególny poemat, którego piérwsze pięć pieśni miały wkrótce potém wyjść niespodziewanie z pod prasy, jako osobny tomik.

Jak już powiedziałem, chodziło zrazu Słowackiemu jedynie o wyszydzenie w nim tych wszystkich drobnych niedorzeczności,

które się działy w jego najbliższém otoczeniu i których żądełka i jemu samemu niekiedy czuć się dawały. Szczególniéj wziął na cel całą owę znienawidzoną sobie frakcyą emigracyi, któréj organem było katolicko-demokratyczne pismo czasowe, wychodzące wtedy w Paryżu pod tytułem Młoda Polska. Zabiegi jego przeciwników pomiędzy Emigracyą uderzały nań też niekiedy i ze strzelnic poznańskiego Tygodnika Literackiego, w rubryce doniesień literackich. Drugim z kolei tedy grzesznikiem, który miał zostać osmaganym w Beniowskim, drugim kozłem ofiarnym, wskazanym na pokutę za siebie i za drugich, miał być „filozoficzny" Tygodnik.

Redaktor Tygodnika Antoni Woykowski był i z natury i z zasad swoich człowiekiem aż nadto zgodnym z takiemi usposobieniami, jak te, pod których wpływem powstawał nowy Słowackiego poemat. Ale jak każde do fanatyzmu posunięte sekciarstwo, czy ono tam jest religijne, czy też społeczne, podlega pewnemu rodzajowi ślepoty: — tak też i zaciekłość redaktora Tygodnika, w gruncie może poczciwa, ale zbyt namiętna i bardzo przesadna, nie była zdolna spokojném okiem spoglądać na to, co się działo na świecie. Stąd też widziała ona krótko, a potykała się aż zbyt często. Prace współpracowników Tygodnika poznańskiego były po największéj części wysokiéj, znakomitéj wartości i nie bez słusznéj przyczyny miało też czasu swego to pismo wiele rozgłosu po wszystkich prowincyach kraju. Redaktor sam ze swéj strony mało co kiedy pisał. Zapełniał on tylko rubrykę wiadomości literackich bieżących. Chwytał bez braku, cobądź mu tam kto z nowinek podsunął, byleby tylko każde słowo wiało silną wonią tego co nazywał „postępowością". To też na ostatniéj stronicy Tygodnika pojawiały się w rzeczy saméj dość często artykuliki szczególne w swoim rodzaju, które mogły już drażnić, już też rozśmieszać Słowackiego. Innego byłyby one tylko śmieszyły; ale Słowacki przy znanéj swojéj drażliwości i aż zbytecznéj skłonności do obrazy, jeżeli chodziło o jego autorstwo, brał te rzeczy na seryo i bardzo był niełaskaw na te ryczałtowe, jednym pociągiem pióra dokonywane krytyki, jakich sobie tam pozwalano.

Tak np. wyczytał on w Nr. 17 Tygodnika z r. 1840 o jedném z najpiękniejszych dzieł swoich, przed jego jeszcze wyjściem, następującą krytykę: „P. Juliusza Słowackiego tragedya „Lilla Weneda“ wyjdzie wkrótce z druku. Jest ona (jak nam jeden z szanownych literatów donosi), równie jak i piérwsze płody tego autora, mało zrozumiała dla czytającego.“

W 20 numerze tegoż roku takie rzeczy znalazł znowu o sobie: „Słowacki wydrukował nową tragedyą Beata Cenic *(sic)*. Trudno (pisze jeden z najszanowniejszych korespondentów) wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy tę dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość; w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwie się tytułu jednéj jego tragedyi na pamięć nauczy, to już druga wychodzi; stąd też wszystko mu przez głowę, a nic przez serce nie przechodzi, utwory jego nie absorbują mu jak innym pisarzom życia.“

Było w tém jedném może trochę prawdy, że się Słowacki zanadto kochał w przesiąkłych okropnościami tematach do dramatycznego opracowania. Ale pomylił się jednak bardzo ów „najszanowniejszy z korespondentów“, kiedy oceniał tę sztukę, jak gdyby ją był czytał, i donosił że ją autor wydrukował. A najfatalniéj się potknął, kiedy zarzucał razem z Witwickim poecie budowanie całych sztuk dramatycznych przez samę tylko głowę i w dniach kilkunastu. Chociaż bowiem Słowacki drukował wtedy jeden utwor za drugim, to były to rzeczy dawniejsze, w różnych latach życia pisane.

W 1szym numerze Tygodnika r. 1841 takie znowu było głupiuchne doniesienie o jednym z najgenialniejszych utworów Krasińskiego, o Trzech Myślach Ligenzy: „Po Henryku Ligenzie, zmarłym w Morreale, pozostałe pisma, wyszłe w Paryżu, zawierają: 1. Syn Cieniów, 2. Legenda, 3. Syn *(sic)* Cezary. W przedmowie wydawcy pana Mielikowskiego uderzył nas dziwny dziś już podpis: Mielikowski przydomku i herbu Gozdawa.“

Po tém wszystkiém ukazał się w piśmie Woykowskiego ów już nam znany artykuł o zajściu między Słowackim a Mickiewiczem na wieczorze u p. Januszkiewicza. A w kilka tygodni później przybyła do tego jeszcze taka znowu wzmianka o Nocy Letniéj, którą Krasiński bezimiennie co tylko wtedy był wydał: „W Paryżu wyszło dzieło Noc Letnia. Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego! Bez myśli i ładu.“ (Obacz Tygodnika Literackiego Nr. 14).

Tego już było Słowackiemu zanadto! Stawiał on dzieło to przyjaciela swojego bardzo wysoko, a przywięzywał do niego tém więcéj ceny, że je i lepiéj niż ktokolwiek inny rozumiał. Bo jak wiadomo, w każdym prawie utworze autora Irydyona są rzeczy najściślejszy mające związek z własną osobistością poety. Jeżeli zaś gdzie daje się szczególniéj spostrzegać ten reflex osobistych cierpień i zmartwień: to właśnie w téjto kreacyi. Słowackiemu były znane cokolwiek tajemnice serca Zygmunta. Wiedział on, że ten wieniec poetycki na jego czole drogo przezeń był okupiony i że też nie ze samego lauru był on uwity, jak się to światu zdawało. Pod laurami wpijały mu się w ciało nieraz kolce cierniowe... To też kiedy dostał do rąk „Noc Letnią“, zrozumiał od razu ten jęk bolesny szlachetnego człowieka, którego życie było ciągłą walką z fatalizmem okoliczności. W czém jedni widzieli tylko tkankę brylantowéj fantazyi, a inni politycznéj szukali allegoryi: to dla Juliusza było bolesną skargą, protestacyą pełną żywotnéj rzeczywistości... Opisał więc zaraz po przeczytaniu powieści w poufnym liście autorowi wrażenia i mniemania swoje o Nocy Letniéj. Otrzymał na to odpowiedź, która właśnie leży przedemną. Stanowi ona trzeci z porządku list Krasińskiego w szeregu owych dziesięciu pisanych do naszego poety.

„Skąd ten akord? (taki początek listu). Gdzie się ta harfa odezwała? Kto dał wieszczom wzrok sztyletowy, sięgający w głąb dusz ludzkich i odkrywający, co te dusze kryć chcą, pragną — nie zdołają? — Są straszne prawdy, raczéj rzeczywistości — wzorem lekkich motyli igrające po murawach téj ziemi, a pełne jadu wewnątrz, a rojące się z saméj dłoni przeznaczenia...

...„Dzięki sercu twojemu za list twój i szczegóły w nim zawarte, duchowi twemu za wzrok przenikliwy, który on rzucił w samą iściznę ducha mego — tam, aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe krzyształki myśli — czucia — natchnienia, z których długie całkie zrastają się struny harfy wewnętrznéj w człowieku! Dotknąłeś palcem każdego z tych wymoczków krzyształowych — położyłeś dłoń całą jako szeroka na duszy mojéj, tak że dusza odjęknęła: — „prawda!“ I jedynąś może nagrodą, jaką tu wezmę, nagrodził mi za tyle cierpień w jednę pieśń związanych“...

...„Ale teraz, o poeto, nie dotykaj rany śmiertelnéj, którą krew nasza się wylewa wiecznie, aż kropla po kropli, cała z nas wypłynie i w cudze serca się wcieliwszy, nas samych bezżywotnemi marami zostawi!... Nie próbuj też zanadto niezgłębionych serc! Gdy puścisz w morze kotwicę, nie widzisz gdzie poszła, bo głąb morska ciemna. Ale czy wiesz, czyś tam czasem na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił? Długo czekać musisz, aż krew z przepaści wzniesie ci się aż nad fale i krzyknie: „okrutnyś!“ Może nie doczekasz jéj się nawet — odejdziesz wprzódy, nigdy nie dowiesz się o ranie, którąś zadał. Wierz mi, bądź raczéj jak anioł światła i dźwięku, a experymenta zostaw staremu Wilowi *) i anatomikom. Rozwiedź tęczę cichą a promienną nad tymi, dla których życie gorzką było rzeczą...

„Ściskam Cię z głębi duszy. Każdy list twój będzie mi smętnym a białym gołębiem.“ (Data listu: Rzym, d. 16 marca 1841).

Kiedy te wyrazy Krasiński kréślił, znane mu już były świeże zajścia między Słowackim a Mickiewiczem. Doniósł mu o nich był sam Słowacki, donosili także i inni. Nie było mu niewiadomém, że improwizacya jego przyjaciela sprawiła w ogóle niekorzystne wrażenie i że sądy o nim paryskie po większéj części tego były rodzaju, że uwłaczały i jego znakomitéj zdolności poetyckiéj i jego już położonym około literatury zasługom. Z tego powodu zasiadł, czy też zamierzył właśnie wtedy zasieść do napisania rzeczy krytycznéj o Juliuszu Słowackim toż znaczniejszych jego utworach, i właśnie przeto rzucił w liście, który tu mamy przed sobą, następujące jeszcze słowa godne uwagi:

*) Szekspirowi.

„Jeśli macie tam z Księstwa dzienniki, tak około kwietnia, maja i aż do połowy czerwca: pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, a już nie w biurku zatęchłych, lecz wolném okąpanych powietrzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam o tém tylko mowa; ale pomyśl, że w willi róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jéj. A wtedy to może rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć w ludzkich sercach.“

Owoż po takichto właśnie antecedencyach co do Krasińskiego i Nocy Letniéj, wpadł więc w ręce Słowackiemu ów numer Tygodnika poznańskiego z d. 5 kwietnia, w którym poczciwy Woykowski rozstrzygał jednym zamachem, że owa powieść— to ramota i słabe tylko naśladowanie stylu Krasińskiego, zresztą bez myśli i ładu...

Był już prawie na ukończeniu wtedy Beniowski, a przynajmniéj ta część jego, która miała wtedy być drukowana. Powplatane już były po różnych poematu tego ustępach wycieczki pełne szyderstwa przeciw krytyce poznańskiéj. Po przeczytaniu jednakże rzeczonego numeru, za długo zdawało się Słowackiemu cierpliwie czekać chwili, gdzie dzieło jego będzie do rąk publiczności oddane. Zapragnął rychlejszego odwetu. Poczuwał się do obowiązku odezwać się natychmiast w obronie utworu przyjaciela. Chwycił tedy za pióro i nie już jako poeta, lecz w roli zwyczajnego fejletonisty wystąpił w Trzecim Maju (numer z d. 29 kwietnia 1841) z artykułem prozą pisanym, w którym wypowiadając całe swoje uwielbienie dla téj tak obosiecznie powitanéj przez Tygodnik kreacyi, dał w końcu należną temu pismu odprawę za wszystkie uchybienia. Artykuł ten Słowackiego był podpisany początkowemi literami nazwiska: J. S. Miał zatém wszelkie cechy otwartego wystąpienia osobistego. A ponieważ nadarzyła się przezeń sposobność pomówienia bez ogródki o tém i owém, rzucił w nim przeto pogrom i na to grono niepowołanych Adama wielbicieli, z którego rozchodziły się tylko baśni i podniety do dalszych pomiędzy nimi niesnasek. Jakkolwiek słowa te jego wprost ku Mickiewiczowi nie były wymierzone, nie obeszło

się tam jednak mimowoli bez cierpkich wyrażeń takich, które można było ściągać pośrednio i do niego samego.

To były tedy piérwsze słowa, publicznie i wręcz wyrzeczone w téj sprawie. Słowacki oczekiwał, że Adam po takim kroku, uczynionym z jego strony nie bez goryczy, ale też i nie bez szczerości, uzna za słuszne zaprzeczyć plotkom, roznoszonym na różne strony bez jego woli i wiedzy. Ale i Mickiewicz nie był teraz już zupełnie po nad poziomem pewnego uprzedzenia. Nie uczynił, czego się Juliusz spodziewał, i trwał i nadal w uporczywém milczeniu, jakby niém upoważniał wszystko, co zaszło, i przyjął solidarność w odpowiedzialności za wszystko.

Terazto dopiéro powstały owe dumne, namiętne i tak nieoględnie wyzywające do walki strofy, umieszczone na samym końcu pieśni piątéj poematu, który się właśnie wtedy pojawił w księgarniach pod tytułem:

Beniowski, poema przez Juliusza Słowackiego. Lipsk (właściwie Paryż), 1841, 12o str. 176.*)

Wrażenie, jakie ta nowa publikacya w piérwszéj chwili w emigracyjnych kołach sprawiła, i dalsze zajścia z tego wynikłe najlepiéj poznamy, jeżeli tu przywiodę własne opowiadanie o tém autora, dane w jednym z listów jego pół roku późniéj pisanych.

„Ostatni mój maleńki (Beniowski) zły jest; ale był potrzebny, był konieczny. Celu swojego dopiął — i więcéj jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się teraz strażą. Z jego powodu miałem zajście, o którém dawniéj pisałem — nie z Adamem, ale z jednym mniejszym. Lecz wszystko to od Adama poszło... Trzeba Ci wiedzieć, że Adam o tém kłamstwie dla niego uczynioném niby nie wiedział; przynajmniéj tak mi to teraz mówił. Ale powinien był wiedzieć — i odepchnąć!..

Tu opisuje Słowacki, jaka rzeczywiście była owa grudniowa Mickiewicza improwizacya, o ile się takowa do osoby jego ściągała. Ustęp ten opuszczam, gdyż to już znamy.

---

*) Drukował się Beniowski w Paryżu i to w ciągu piérwszych 20 dni miesiąca Maja, jak to wyrozumieć można z doniesień o tém w numerach Trzeciego Maja z d. 12 i 21 maja 1841.

„Po tém tłómaczeniu obwiniaj mię droga, żem nie był — podług Twego w liście dawnym frazesu, zupełnym aniołem. Ale pomyśl, że żar leży w ustach moich i że ja nie mogę nigdy scierpieć niesprawiedliwości. Zresztą bądź pewną, że moja biografia będzie kiedyś zupełnie szlachetną, choć teraz, kiedy idę po wschodach ciągłych w górę, często muszę być w niektórych chwilach niepodobnym do siebie. Dosyć, że przed malutkim moim uchylili czoła ci, którzy nigdy przedtém nie oddali mi pokłonu. A mnie smutno, żem zejść musiał z mojéj podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, żem jest na niéj. Opisuję Ci to z wielkiém znudzeniem, bo te rzeczy już od kilku miesięcy ucichły w mém sercu i teraz doskonale jestem usadowiony w moim krześle ze słoniowéj kości. Rzadko przede śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali. Wydrzéć im to siłą jest bardzo miło. — Tymczasem, kiedy się mój malutki pokazał, a ja byłem we Frankfurcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę,*) zrąbani antagoniści moi zrobili kollegium, co ze mną robić: i przekonani, że ja w niebytności mojéj dlatego wystawiłem na harc mego chłopczyka, aby strzałów uniknąć, postanowili... wyzwać mię na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze, i przepowiedziałem nawet wyjeżdżając z Frankfurtu osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interesował. Jakoż skorom tylko powrócił do mego pustego domku, stawił się poseł od jednego z wyśmianych w IIIciéj pieśni, podając mi albo do podpisania bardzo głupio zredagowany papier, albo wyzywając na bój śmiertelny.**) Możesz

---

*) Wzmianki téj o bytności Słowackiego w owym czasie we Frankfurcie nie umiem bliżéj wyjaśnić czytelnikowi. Ściąga się do niéj kilka podobnych natrąceń w listach z owego czasu, ale takowe zawsze są tylko dorywcze.

**) Zdaje się, że ma tu Słowacki na myśli tę mianowicie strofę w IIIciéj pieśni Beniowskiego:

„Imię krytyki? — nie, krytyków. — A ba!
  Któż z nich ma imię? Z. K. — S. K. — E. K.
Mówią, że młodą Polskę pisze — baba!
  Ale ja widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę że jezuita — a ma draba,
  Który tłómaczy na język człowieka
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcie
W dyabelskim napisane dyjalekcie."

się droga spodziewać, żem przyjął z najzimniejszą krwią to ostatnie. Antagonista mój wtenczas uczuł, że ma cokolwiek słabe nerwy. Naprzód zwlekał; a gdy ja nagliłem, przywieziono go nareszcie, bo bawił na wsi; ale przywieziono podobnego do trupa i zupełnie zdezorganizowanego, kiedy ja przez 5 dni bawiąc się jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potém — gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie bynajmniéj tego nie spostrzegł. A jednak wyznam Ci, że te 5 dni, w których pisałem do Ciebie, do niéj (?) i do Zygmunta, były mi bardzo gorzkie. Nakoniec dnia naznaczonego, przespawszy się najspokojniéj, wstałem o 5 z rana — ubrałem się — zjadłem kilka ciasteczek i wypiłem szklankę starego wina. Potém wyszedłem sam, bo mię mój sekundant miał czekać aż za miastem. Ponieważ miałem dosyć czasu, szedłem więc piechotą. Przechodząc przez targ kwiatów, kupiłem sobie różę za grosz, aby ją mieć przez cały czas w ręku i potém w złym lub dobrym wypadku zrobić z niej prezent mojéj dręczycielce. Potém wszedłem do kościoła, gdzie trafiłem na samo po skończonéj mszy błogosławieństwo. Nie czekałem więc dłużéj i wesoły poszedłem daléj. Szczerze ci mówię, że ta rzecz miała dla mnie jakiś powab rycerski i piękność. Ale los mię zawiódł u kresu. Albowiem przez traf nadzwyczajny jeden z przyjaciół sędziwych mego antagonisty dowiedziawszy się o tém, wpadł naprzód do mnie i mnie już nie zastał. Pobiegł więc do nich i widząc, że bynajmniéj nie mają ochoty, otrzymał łatwo, że od rzeczy odstąpili. Kiedy ja więc czekam ich, widzę przybywających parlamentarzy, którzy najprzód mię chcą wypróbować i jeżeli można, do exkuz jakich namówić. Ale wtenczas nie stało mi zimnéj krwi: zacząłem łajać wszystkich, tak że nawet sekundantowi memu dostało się. Wtenczas oświadczyli mi nareszcie temi słowy: „z kimże ty się chcesz bić? czy z wiatrem? — oni odstępują...“ Na takie słowa uśmiechnąłem się tylko. Poznałem, że do końca byli lisami, i zapaliwszy cygaro, porzuciłem ich wszystkich z wielką wzgardą. Ale tak się nie skończyło, bo wszyscy razem zaciągnęli mię do jednego z parlamentarzy, gdzie mi podczas śniadania nadskakiwano jak zwie-

---

A zatém zapewne któryś z tych panów K. albo też sam redaktor Młodéj Polski uczuł się obrażonym i żądał satysfakcyi od Słowackiego.

rzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić. Przyprowadzono także mego antagonistę, któremu rozpłakanemu podając rękę, powiedziałem: no, jeśli mamy się pogodzić i zapomnieć o tém, to trzeba zapomnieć na zawsze. — Zapomnieliśmy więc i jesteśmy z sobą dość dobrze. Inni także, którzy go do tego podżegali, teraz robią piérwsze awanse — słowem wyszedłem z tego zupełnie czysto i przekonałem ich, że zawsze jestem gotów poprzéć całą osobą to co usta moje wyrzekną. — Piszę to z takimi szczegółami tylko dla Ciebie, albowiem szlachetność każe mi o tém wszystkiém milczeć i nigdy nie wspominać, chybaby z ich strony jakie kłamstwo wywołało otwartość moję. — Teraz pozostawałoby mi opisać moje wypadki, dotyczące się serca mego, ale na ten raz zamilczeć muszę, bo prawdziwie nie wiem, o czém pisać i jak pisać. Wszystko było snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich. Ale dobre to: wyrwało mię z odrętwienia. Kiedyś, droga moja, i o tém Ci napiszę — ale tylko dla Ciebie. Chciałbym, ażebyś droga schowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczerszy ślad życia mojego. Dziennika nigdy nie pisałem, a może jeszcze Bóg da, że samemu miło mi będzie odczytać te wszystkie bez awantur przygody." (Z listu z d. 10 listopada 1841 z Paryża).

Właśnie w ciągu tych zatargów pomiędzy Słowackim a całém gronem jego antagonistów zaszła skądinąd okoliczność, o któréj warto tu wspomnieć, zdaje się bowiem, że znacznie ona wpłynęła na takie właśnie zajścia owego rozwiązanie. Oto zaraz po wyjściu Beniowskiego pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim bezimienna, ale znakomicie napisana rozprawa, przez 3 numery rzeczonego pisma idąca, p. t. „Kilka słów o Juliuszu Słowackim" (1841 Nr. 21 — 23). Była to rzecz niezawodnie pochodząca z pióra autora Irydyona i niewątpliwie tasama, któréj wyjście na miesiąc kwiecień lub maj zapowiedziane było Słowackiemu jeszcze w liście Krasińskiego z d. 16 marca, którýśmy prawie cały przytoczyli powyżéj. *)

*) Twierdzenie moje co do autorstwa Krasińskiego względem rzeczonego artykułu opieram na wewnętrznych tylko poszlakach. Jeżeli bowiem porównamy myśli w nim rozwinięte, a nawet i wyrażenia, z tém wszystkiém, co Krasiński w owymże czasie pisał do pana R. Z. (w liście, który ogłoszono w Dodatku Czasu 1859 r.

Owoż artykuł ten, choć pisany o kilka, a może kilkanaście tygodni pierwéj, nim jeszcze opuścił był prasę Beniowski, tak się dziwnie nadawał do danéj chwili, że prawdziwie mógłby być uważany za komentarz do owych słów, na samym końcu téj części Beniowskiego rzeczonych do Mickiewicza:

. . . . „Bądź zdrów wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże!
. . . .
Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi."

Główna osnowa bowiem owych „Słów o Juliuszu Słowackim" obraca się właśnie około porównania ze sobą sprzecznych stanowisk tych dwóch poetów. Krasiński wychodzi od założenia, że oddzielnie pojąć nie można nikogo i niczego na świecie; albowiem „każdy szczegół choćby wyglądał na całość, jest tylko płynącą częścią wyższéj całości". Zatém też i Słowackiego wtedy tylko spodziewa się ocenić należycie, jeżeli w nim okaże krok że tak powiem dalszy w rozwoju poezyi po Mickiewiczu. Charakterystyki Mickiewicza ostatecznym wynikiem jest wedle niego to, że „czém Alp ogromy, czém piramidy pustyni, czém wszystko, co nieporuszone i wieczne: tém dzieła tego poety. Przemaga w nich nadewszystko siła dośrodkowa, siła wcieleń i twierdzeń — wola i czucie i wiara. One są granitowém jądrem naszéj literatury." — Lecz świat nie na jednéj tylko sile stoi, nie jedném tylko twierdzeniem i wcieleniem żyje. „Gdyby przestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, skupiłby się w punkt jeden." Trzeba

---

Tomie XIII str. 519), jeżeli postawim obok tego i słowa, które wyrzekł był o Słowackim dawniéj Krasiński w listach do niego, któreśmy w części przytoczyli powyżéj: — to okazuje się oczywiście, iż to wszystko musiało z jednego tylko pióra wypłynąć. Zresztą stwierdza ten wniosek i sama zgodność czasu i miejsca, w którém się rzeczony artykuł pojawił, z zapowiedzią Krasińskiego wyrzeczoną o kilka miesięcy pierwéj. Nakoniec i styl, tak odrębny, jak Krasińskiego, rozstrzyga do reszty wątpliwość, jeśliby jaka miała być jeszcze co do téj okoliczności. —

mu tedy drugiéj jeszcze siły, siły przeciwnéj, odśrodkowéj, która mu przypomina, że z nieskończoności jest i w nieskończoność wrócić ma. Ta siła druga rozdziela w świecie fizycznym to co płynne i lotne, od tego co zsiadłe i twarde; przemienia go po połowie w atmosferę i na jéj wysokościach coraz go lotniéj grą światła, pędem elektryczności rwie i rozbiera. Tak czyniąc, „z republikańską ironią pisze światłem błyskawic na wierzchołkach granitu, na planety skroniach: *moriturus.*“— Ponieważ w każdéj sferze istnienia te dwa kierunki razem istnieć muszą: znajdujemy je zatém i w królestwie sztuki, poezyi. Piérwszą siłę, dośrodkową, wyobraża w poezyi polskiéj przedewszystkiém Mickiewicz: siły odśrodkowéj wyobrazicielem piérwszorzędnym jest Słowacki.

I mając już teraz widocznie te dwie tylko osobistości poetyckie na względzie, tak mówi daléj Krasiński o antagonizmie sił owych przeczących sobie w każdym obrębie istnienia:

> „Ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem; mogą wprawdzie w danym czasie na daném miejscu przybrać pozór walki; ale to zawsze doczesném, nie wieczném; cząstkowém, nie powszechném zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą, nie bójką; pojednaniem, nie rozdziałem; dobrém i prawdą, nie złém i fałszem. I to co walczy z sobą na tym padole, tam — po nad wszystkimi padoły, w górze i niebie ducha, wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i w pokój serdeczny.“

Mickiewicz, zdaniem autora, wyobraża w literaturze naszéj głównie pierwiastek rzeźbiarski; podczas gdy Słowacki urodził się w niéj muzykiem, w którego muzyce płyną farby Correggia i Rafaela, niesione Bethowena tonami.

> „Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie, czemuż go wyglądacie — wy, wśród których on już się objawił? Nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem odwróćcie się ku dniom co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam. Jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię: Pan Tadeusz! Na równie ogromną epopeję żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył“...

„Słowacki w logicznêm rozwijaniu się sztuki polskiéj jest drugim momentem. Objawiła się w nim odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, któréj pęd poczęty z dołu a bijący ku górze, stara się jak muzyka ciągłém drganiem cząstek i roztapianiem kształtów wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Zaprawdę w kierunku téj siły coś panteistycznego przebija. Onaby chciała, gdyby przemóc mogła i jedyną stać się panią, wszystko we wszystkiém stopić i porównać; samaby się rozwiała własnemi skrzydłami — utonęłaby i zaginęła w tém, ku czemu dąży; wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu, jak w otchłani. To co ona ukochała, nigdy przy niéj, nigdy z nią nie przebywa, ale coraz wyżéj i błędniéj i daléj ciągnie ją za sobą. Każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do pryśnięcia przymusić — i jéj saméj ostateczną formą jest jéj treść własna, jest to co stanowi formę oceanu, to co rozprężliwość światła, to co falistość elektryczności — żądza wieczna, ruch nieskończony.

„Czém więc w naturze płynność i rozmdlewanie się, czém chmury co chwila zmienne, płynące nato, by przepaść i zniezacznieć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czém przewrotność barw na tle opalowéj białości, czém szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czém owe melodye śpiewu, które gasną oddalając się coraz wyżéj i szerzéj: — tém jest poezya Słowackiego w literaturze naszéj. Każda jéj cząsteczka misternéj, filigranowéj roboty, jak drobny kwiateczek. Jéj ogół zaś przez to właśnie, że siły odwcielań jest formą, ma za formę ciągłe pojedynczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie — i utrzymuje się następstwem tych znoszeń; raczéj ruchem niż postacią — tak jak muzyka. Stąd ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty na wskróś, idealny.“

W końcu przechodzi autor do ocenienia stylu Juliusza i w nim właśnie upatruje najgłówniejszy objaw jego potęgi.

„Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki; nim jak przędzą, i z niego jak z materyału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań, panująca i przemagająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego, to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na

wszystkie strony. Nikt też tak smukle, gibko, fantastycznie po polsku nie pisał. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Biegną kniemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce — każe im płynąć, a płyną — wić się powoli, a pełzną — wzlecieć, a wzlatują i lecą, jak orły. Język pod jego twórczém tchnieniem musi rozrabiać się i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać"... itd.

Słowem, konkluduje autor:

„W czarnoksięstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym — rzadko kto."

To są najważniejsze myśli w owéj rozprawie. Rzucił w niéj Krasiński jeszcze także kilka uwag o niektórych Słowackiego utworach z osobna wziętych; takowe jednakże mają za zadanie raczéj objaśnić tylko to, co o nim powiedział w ogólności, aniżeli wdawać się w szczegółowy rozbiór nad nimi.

W ten sposób tedy miał być ze stanowiska bezstronnéj, umiejętnéj krytyki rozwiązanym ów antagonizm pomiędzy Mickiewiczem a Słowackim — z korzystném i pochlebném dla obydwóch uznaniem. A więc i na mocy tegoto sądu dwaj ci poeci stanęli niejako przeciw sobie, jako sprzeczne a jednak uprawnione potęgi, „jak dwa na słońcach swych przeciwnych bogi." Słowacki, lubo tu nazwany drugim, a zatém dalszym momentem po Mickiewiczu, nie został przeto przez Krasińskiego postawiony wyżéj nad niego. Przeciwnie, współistnienie i wzajemna konieczność obu stawia ich niejako na jednéj linii ze sobą. Przyjść ma dopiero trzeci moment, który ich obu zawrze w sobie i zgodzi. Ten tylko i ten dopiero będzie wyższy od nich obydwóch. —

Gdybym miał wyrzec zdanie moje o powyższéj charakterystyce poetów: rzekłbym, że piszę się na nią, ale pod tém zastrzeżeniem, że co tu o nich powiedziano, ani nie jest zupełném, ani też nie wynika bynajmniéj z logicznéj konieczności. Był takim J. Słowacki, to prawda! ale był dlatego, bo był; a nie — że takim być musiał. Odsunąwszy zatém z twierdzeń autora na bok to wszystko, co wygląda na formułkę i co trąci dyalektyką, możnaby bez trudności zgodzić się na te zresztą tak poetycznie

wyrzeczone spostrzeżenia o niektórych właściwościach formy (tylko formy!) Słowackiego. O jego zato ideach, o jego że tak powiem filozoficzném stanowisku w poezyi nie rozwiódł wcale uwag swoich genialny autor rozprawy. Na téjto zaś wewnętrznéj dzieł poetyckich istocie, zdaje mi się, że odrębność każdego pisarza przedewszystkiém polega. Styl i forma bowiem — to rzecz osobista i prawie powiedziałbym prywatna, skutek tysiąca czynników, z których przynajmniéj połowa może iść na karb przypadku. Przeciwnie dążności i ideały — to już nie przypadłości indywidualne, ale je rodzi z siebie wiek, a piastunem ich naród, w łonie którego się żyje. Można je podjąć i umiłować i być ich głosicielem wśród braci; można być na nie głuchym i ślepym; można być ich wrogiem i w miarę sił opóźniać ich przechodzenie w życie. Według tego, jak sobie kto pod rzeczonym względem poczyna, zabieramy to albo owo stanowisko w arenie społeczeństwa. Tu się tedy kierunki sił pojedynczych najwybitniéj znamionują i ważą — bez różnicy, czy kto do narodu przemawia pieśnią, czy z mównicy sejmowéj, czy z katedry akademickiéj, czy wreszcie ze stopni tronu, lub z konia...

Bądź jak bądź, publiczne owo odezwanie się o Słowackim, choć było bezimienne i nie ze wszystkiém dokładne, zaważyło jednak na szali. Było to piérwsze rozumne i bezstronne słowo o naturze jego poezyi, wyrzeczone przez ówczesną krytykę. To musiało pokrzepić energią ducha poety. Godzi się wnosić, że podobnych dowodów uznania mieć on w owym czasie musiał i więcéj. Autor Beniowskiego przestał być nawet dla ogółu zwyczajnych odczytywaczy nowości literackich obojętną i odosobnioną od reszty literatury figurą. Zaczęto teraz więcéj niż kiedy przypominać sobie i o dawniejszych jego pracach. Rozchodziły się one z półek księgarskich żywiéj teraz na różne strony, niż kiedykolwiek przedtém. — „P o d z i e s i ę c i u d o p i é r o l a t a c h (licząc od r. 1832) — pisał poeta do jednego z dalszych krewnych *) — k s i ą ż k i mo-

*) Do stryjecznego brata swego Władysława Słowackiego List ten pisany r. 1845, zamieszczono przed kilku laty w **G a z e c i e C o d z i e n n é j warszawskiéj** (r. 1860).

je szczęły, tak jak twoje łany, ziarno mi posiewane oddawać." — Ten odbyt na jego dzieła był dla autora pocieszającym. Nie przeto tylko, że się tym sposobem poprawiła i materyalna jego exystencya. Szlachetniejszą nad tamte względy i wyższą nieskończenie pociechę sprawiało mu to wynikające stąd przekonanie, że więc nie nadaremnie znosi wygnanie, samotność a czasem i niedostatek, i że nie jest już podobnym do owego harfiarza na wyspie Chios, który przemawiał tylko do głuchych morza egejskiego bałwanów...

To też począwszy od owéj chwili, czerstwiejszy już jakiś stan duszy przebija w jego korespondencyi. Miejsc z niéj takich, jak np. następujące, mógłbym teraz wiele przytoczyć:

..."Gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiéj na tym świecie dziś niż wczora, nie umiałbym wcale tego uczynić. Są lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynie. Nic mu wtenczas w porę nie przychodzi. Dobro każde na złe mu wychodzi. Usiłowanie żadne skutku nie bierze. Są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień; zachceń, bólu — złe słowem i bezsenne lata! Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszém, że jedni ludzie zupełnie się przeciw nam deklarują, drudzy są naszymi przyjaciołmi. Jest coś w sercu, co nas o tém ostrzega. Może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym; ale dobrą ona jest i mnie teraz weseléj. Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterystycznych mego humoru uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków. Bo rozważywszy rzeczy, nic dla mnie bardzo szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem jak zawsze dość samotnym, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace i dumania moje obrzydzała, zniknęła. Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwną dumną spokojność. (Z listu z d. 15 lutego 1841).

..."O! ileżbym ja rzeczy miał Tobie do powiedzenia, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli. Jak często płakałabyś i uśmiechałabyś się radośnie, słuchając o moich przygodach! Wierz mi, że tak żyłem, abym o wszystkiém szczerze mógł mówić z Tobą, jak z Bogiem. I potrzeba mi, aby to wszystko, co we mnie dźwięk jakiś wydało, odbiło się choć

raz w sercu Twojém, abyś Ty nie myślała, że daleki od oczu Twoich, inną drogą niż należy poszedłem. Przyjedź, droga moja, a zapoznamy się na nowo, i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienbym był o wszystkiém zapomnieć, myśl o Tobie zachmurzała mi czoło i wtrącała mię w tęsknotę. Trzeba mi koniecznie, abyś położywszy rękę Twoję na mojéj schylonéj głowie, rozgrzeszyła mię z moich win dawnych i z téj ciągle trwającéj winy, że nie jestem przy Tobie. Jeszcze Ci raz powtarzam, bo wiem że Ci to serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiéj i szczęśliwiéj, a ja nie jestem jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy teraźniejszego dobrze nie czują i Bogu nie są zań wdzięczni. Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia, teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło; — i Ty się, droga, uśmiechnij i kochaj mię wesoło i z nadzieją.“ (List bez bliższego oznaczenia daty, ale niezawodnie pisany w miesiącu sierpniu lub wrześniu roku 1841).

Słowa, które teraz przywiodę, malują jeszcze wymowniéj ówczesne usposobienie poety, pełne pogodnéj rezygnacyi, a nawet — o ile to w jego położeniu być mogło — zadowolenia ze swego losu:

...„Cóżbyśmy dzisiaj robili siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne cierpkie życia trudności: a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem... Może Ci się te wszystkie wyrazy dziwnymi zdadzą? Może nie będziesz wiedziała, że ja tę prostą filozofią pisząc łez mam pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech. Ale z tego papieru wydobędzie się coś także, co Ci płakać każe...“ (d. 10 listopada 1841).

To spojrzenie pełne otuchy w przyszłość, ta łzawa wprawdzie, ale uśmiechnięta pogoda, dawniéj tak rzadka na czole naszego wieszcza, sądzę że nie byłaby mogła i teraz gościć na niém dłużéj nad chwilę, gdyby była pochodziła jedynie z powodzeń zewnętrznych, z tryumfów już odniesionych. Z powodzenia — już doznanego i przyznanego, radują się w nieskończoność chyba tylko błahe umysły. Wyższe natury najprędzéj same o niém zapominają. W zawodzie autorskim, a pewnie i w każdym innym, nie to sprawia istotną rozkosz duchową, czego tam kiedyś szczę-

śliwie się dokonało, ale czém właśnie myśl jest obecnie zajęta, jeżeli instynkt mówi poecie, że powstające dzieło okaże się godném dawniejszych. Sama ta rozkosz tworzenia, ta pewność siły swojéj wewnętrznéj, ta bezpośrednia świadomość, stwierdzająca się każdym pociągiem pióra, że w zapasach z trudnościami sztuki ciągle się idzie naprzód: — oto zdaje mi się, co stanowi największe, a nawet podobno jedyne prawdziwe źródło tego zadowolenia w duchu, bez jakiego aniby pojąć można, że się ktoś jeszcze temu powołaniu poświęca.

Owoż godzi się z tego wszystkiego, co się z listów przytoczyło, wnosić i o Słowackim, że czynność jego autorska szczególniéj być musiała ożywioną w ciągu owego czasu, i że snać był kontent więcéj niż kiedy z porozpoczynanych prac swoich, skoro doznawał wtedy tyle zadowolenia w samotnéj swojéj pracowni.

Z żalem jednak przychodzi mi tu wyznać, że tylko bardzo niedokładną dać potrafię wiadomość o tém wszystkiém, co Słowackiego zajmować mogło w r. 1841 i 1842. Jak wiadomo, listy jego z całego tego jego życia okresu nie zawierają w sobie żadnych szczegółów téj właśnie treści. Jedynym śladem rzeczy, o którą nam chodzi, sąto już tylko chyba pisma, po zgonie poety znalezione w jego papierach, a niedawno dopiéro temu publikowane. Takowe wszelako nie stanowią ani połowy tego wszystkiego, co być niewątpliwie musiało.

Jedną tedy z prac takich niezawodnie na owe lata przypadających, był to ciąg dalszy Beniowskiego. Poemat ten całkowity miał się składać z czterdziestu czterech takich pieśni, jak owe pięć, co wyszły z druku w roku 1841. Tyle ich przynajmniéj autor zapowiedział w jednéj ze zwrotek pieśni trzeciéj. Po jego śmierci znaleziono kilkanaście arkuszy, zapisanych nabitém i drobném pismem, zawierających dalszy ciąg poematu, o którym mowa. Byłto dopiéro piérwszy rzut, często przemazywany, z różnymi dopisami po bokach karty, słowem brulion. Tworzy obecnie ten autograf dwa zeszyty, zapewne dopiéro po śmierci autora spojone, i pewną ilość kart luźnych, które są oczywiście

już tylko szczątkami znaczniejszéj liczby arkuszy stanowiących niegdyś jeden ciąg nieprzerwany, a w późniejszéj poniewierce poniszczonych do tego stopnia, że to co z nich zostało, już się nie daje spoić w wątek ciągły i jednolity. Z takichto arkuszy i kartek luźnych, częstokroć nawet podartych, złożyłem na domysł pieśń VItą, XItą, XIIItą i XIVtą, nadstawiając próżnie textem niezapełnione krótkiém streszczeniem prawdopodobnéj osnowy, danèm na wstępie każdéj z tych pieśni. Za porządek i kolej tych urywków ręczyć atoli nie mogę, gdyż skazówek do zestawienia ich należytego zupełnie braknie w rękopisie. Inne pieśni t. j. VIIma do Xtéj ocalały w zupełności, bo się mieściły w zeszytach. Pieśni XIItéj braknie początku.

Mając obecnie przed sobą wydobytą w taki sposób z pod rumowiska ruinę poematu i częściowy abrys jego całości, żałować tego przedewszystkiém należy, że właśnie te części dzieła, na które przypadają same tylko urywkowe ustępy, obejmowały (jak wnosić można na pewne) najciekawsze zdarzenia. Ambasada krymska, ocalona prawie w całości, mniéj się za to może podobać. Czy całe dzieło było kiedy dokonane? czy stanowiło całość wymierną? — rozstrzygnąć tego nie mogę. Myślę wszelako, że na zupełném zaokrągleniu brakowałoby Beniowskiemu, choćby on nawet w całéj swojéj zupełności był do nas doszedł. Przyczynę pewnéj niewymierności tego poematu, w samym już planie, upatruję w tém, że się poeta zbyt często odrywał od pracy nad nim. Porzucał go, żeby przedsiębrać i wykonywać tymczasem inne rzeczy; a straciwszy w taki sposób pęd wzięty z początku, przy ostudzonym zapale odtwarzał go tylko sztucznie w sobie, kiedy wracał znowu do prowadzenia dalszych pieśni Beniowskiego.

W ogóle praca nad tym utworem przeciągnęła się dobrze aż w czasy towianizmu, przynajmniéj do r. 1844. Tak np. w jedném miejscu wspomina poeta z ironią o Trentowskiego Cybernetyce. Takowa wyszła, jak wiadomo, w roku dopiéro 1843. A zatém w tymto dopiéro czasie najrychléj mógł być pisany ten ustęp. Z takiego zaś traktowania przedmiotu w różnych chwilach i w coraz innych usposobieniach ducha wynikło, jak naturalna, że

autor zmieniał co do niektórych części dawniejsze swoje postanowienia. Obalał i niszczył nieraz to, co już stało; a natomiast dopisywał lub projektował ustępy nowe. Wszystko to zaś robiło się na osobnych, ulotnych arkuszach. Dziś trudno bardzo odgadnąć, jak to wszystko autor spoić ostatecznie zamierzał, zwłaszcza że jak się rzekło, bardzo wiele z tego i poginęło. To też nie dziw, że przedstawia się dzisiaj cały tęn utwor w bardzo chaotycznéj postaci.

Powyższe spostrzeżenie usprawiedliwiają też najzupełniéj dyspozycye cząstkowe, jakie znalazłem w trzech różnych miejscach manuskryptu, rzucone względem wykonać się mających dalszych pieśni poematu. Porównywając te projektowane dyspozycye ze sobą, okazuje się, że nie tylko się one pomiędzy sobą nie zgadzają, ale i ta część Beniowskiego, która ostatecznie została wykonaną, nie odpowiada żadnéj z nich w zupełności.

Na drugiém miejscu, jako pracę niewątpliwie napisaną także w r. 1841, ale dopiero po ogłoszeniu Beniowskiego, wymieniam dramat napisany wierszem rymowym, w 5 aktach, który odbito pod tytułem **„Niepoprawni“** w III tomie Pism pośmiertnych. Jestto znowu jeden z tych rzadkich Słowackiego utworów, które się wyjątkowo zachowały w całości, pomimo że się to dzięło znalazło tylko w brulionie. Obiegające po różnych rękach odpisy niniejszego dramatu, w kilka lat dopiero po śmierci autora z tego brulionu zrobione, nosiły napis „Nowa Dejanira“. Kto tę nazwę piérwszy sztuce téj nadał, powiedzieć tego nie umiem; ale co jest niezawodna, to że nie dał go sam poeta; w brulionie bowiem własnoręcznym nie ma żadnego tytułu. Uchyliłem przeto napis ten nie wiedzieć skąd narzucony, w przekonaniu że takowy nie tylko nie wyraża rzeczy, o którą chodzi, ale nawet utrudnia trafne spojrzenie na dążność tego dramatu, przeważnie satyryczną. Głównemi figurami są w nim oczywiście owe cztery śmieszne typy, wzięte z wyższéj warstwy naszego społeczeństwa, która obok przykładów, przynoszących jéj pod każdym względem zaszczyt i chlubę, niestety bynajmniéj nie cierpi braku i takich

typów przewrotnych, do których pomimo wszystkich klęsk, jakich i ogół narodu i dotyczące nawet indywidua osobiście doznały, w zupełności daje się zastósować owo wyrzeczenie Napoleona o Burbonach, że się niczego nie nauczyli i niczego nie zapomnieli.— Zawikłanie kończy się wprawdzie z zadowoleniem wszystkich osób działających w dramacie; ale ten koniec przyjemny jest okupiony życiem człowieka, który przy całéj swojéj gburowatéj nieogładzie zawstydza tak pseudopoetyczne uniesienia pana Fantazego, jak sielankową niby bezinteresowność hrabiny Respektowéj. Mamy tu zatém przeciwstawioną półdziką bezpośredniość Czerkiesa wykwintowi naszéj rzekoméj cywilizacyi, a sens moralny komedyi bardzo rymuje ze znanemi słowami autora Pieśni o Ziemi naszéj, wyrzeczonemi o „półpankach podolskich".—

Trzecią kreacyą, którą odnoszę do tegoż czasu, jest dramat ocalony zaledwie w mniejszéj swojéj połowie, niewiadomego tytułu, na domysł tylko przezwany **Złotą Czaszką** i pod tym też napisem ogłoszony w wydaniu lwowskiém. Znalazł on się tylko w brulionie, na trzech arkuszach stanowiących jeden zeszycik, ale ze wszystkiemi oznakami, że zeszycików takich musiało dawniéj być więcéj. Odmienny format i gatunek papieru, jako też cokolwiek większy kształt pisma, upoważniają do wniosku, że to utwor z innych czasów, jak wszystkie te poety naszego prace, o których mówiliśmy w rozdziale jedenastym (Wallenrod, Jan Kaźmierz, Beatryx itd.); a znowuż sama forma „Złotéj Czaszki" zdaje mi się być skazówką dostateczną do bliższego jeszcze oznaczenia okresu życia autora, w którym mogło to być pisane. Albowiem prozę przeplatają tu ustępy wykonane wierszem krótszym, ośmiozgłoskowym, którego Słowacki dawniéj nigdy nie używał w dramatach,*) tak iż godzi się wnosić, że wła-

*) Fragmenty dramatu Beniowski wprawdzie mają już tenże sam rodzaj wiersza; ale to utwor fantastyczny, którego wcale liczyć nie można do robót scenicznych, o których tutaj mówię. Zresztą być mogło, że już i rzeczone fragmenty otrzymały ten rodzaj wiersza w skutek jakiego impulsu ze strony studyów nad Kalderonem.

ściwie dopiero praca nad przekładem Książęcia Niezłomnego mogła go naprowadzić na myśl spróbowania tego rodzaju wiersza i w oryginalnych utworach. W dalszych latach, jak wiadomo, zupełnie on się ku téj formie wiersza przechylił (X. Marek, Sen srebrny). Że zaś rzeczony przekład Kalderona, jak się to poniżéj wskaże, przypada na lata, które tu mamy przed sobą: wnoszę zatém, że i Złota Czaszka była owocem czasu między r. 1841 a 1842.

Jeżeli się godzi wnosić o całości, z ocalonego téjże początku, zdaje mi się, że Złota Czaszka byłaby należała do najlepszych dzieł Słowackiego. Pozostałe z niéj sceny są pełne życia i ruchu, a co najważniejsze, nawskróś narodowéj fantazyi. Poeta przenosi nas w czasy owe pamiętne z różnych i klęsk narodowych i wysileń bohaterskich za panowania Jana Kaźmierza. Miejscem zdarzeń jest rodzinny jego Krzemieniec. Tu więc wprowadza nas do jednego z dworków szlacheckich, gdzieś w zaciszu na przedmieściu leżących, i zawięzuje sprawę na tle domowego życia i obyczaju ówczesnéj szlachty. Ale dworek ten prywatny domorosłego szlachcica przypiera, że tak powiem, do wielkiego gmachu sprawy powszechnéj. Składają się tedy i zdarzenia publiczne i zajścia familijne na zadzierzgnięcie w téj sztuce węzła dramatycznego. Duszą wszystkiego, co się dzieje, jest pan Strażnik krzemieniecki, szlachcic niezamożny, ale dzielnéj fantazyi. To też nie tylko od równych sobie jest on powszechnie szanowanym, ale nawet i panowie trafić do niego umieją, kiedy chodzi o posłużenie rzeczy pospolitéj. Stawał on za młodu już w niejednych terminach. Bywał, jak to mówią, i na wozie i pod wozem i już z niejednym nieprzyjacielem wiary świętéj miał do czynienia. Dał on im się tam wprawdzie wszystkim dobrze w znaki, ale i oni oddali mu dobre za nadobne! Z jednéj jakiéjś bardzo gorącéj przeprawy uniósł pan Strażnik z placu czerep tak pokiereszowany szablami, że okazała się potrzeba nadłożyć chyba już złotą blachą te dziury w głowie, na których połatanie już się skorupek czaszki nie było można doszukać. Nosi tedy od tego czasu na głowie czaszkę złotą... i właśnie przeto sąsiedzi go też z esty-

my pod tym już tylko przydomkiem znają. Serdeczna, dzielna to postać! jak się zdaje, główna osoba w dramacie.

Nie mogę pominąć tu milczeniem jednéj uwagi, która mi się nasuwa z powodu sztuki niniejszéj. Dramaty Słowackiego w ogóle nie grzeszą nigdy przesadą realizmu. Przeciwnie, właściwą im jest jakaś poetyczność czy idealność, posunięta czasem o wiele daléj, niżby sobie można życzyć. Są to nieraz — powiedziećby można — więcéj zajścia między ludźmi wyjątkowymi, którzy i gadają i myślą jakoś jak Słowacki — po poetycku: aniżeli przeprawy między ludźmi, jakimi ich Pan Bóg stworzył. Dramaty Juliusza mają pewne podobieństwo do obrazów Guido Reniego z tym kolorytem eterycznym i oświetleniem srebrzysto-błękitnawém, które więcéj przypomina lazury niebios, oblane światłem księżyca w pełni wśród pogodnéj jakiéj nocy czerwcowéj, niż pełnobarwne rozłogi ziemskie o godzinie południowéj pod gorącymi promieńmi słońca. Otóż warto zauważyć, że zgoła inaczéj rzecz się ma ze Złotą Czaszką. Tu wyjątkowo realizmowi otworzono wrota na oścież: i weszło go do dramatu, ile go się tylko dało pomieścić. Okazuje się zatém, że i w ten ton nie trudno więc było uderzyć Słowackiemu, jeżeli tylko uważał to za stósowne. Że zaś do tego przyszło właśnie tym razem, to zdaniem mojém stąd pochodziło, że wprowadził tu autor same figury wzięte z życia i niezawodnie osobiście sobie znajome. Chodziło tu widocznie o oddanie choć raz w życiu, swemu rodzinnemu miasteczku tego honoru i hołdu, jaki zazwyczaj odbierają od poetów ich kąciki ojczyste. Miał spożytkowany tu być artystycznie Krzemieniec i te wszystkie reminiscencye poety, które się wiązały z krzemieniecką jego przeszłością. Ani zatém wątpię, że ten pan Milewicz, ten Gwardyan ze Zakrystyanem, ten Strażnik z całą swoją rodziną, nawet ten Skopek i Jankiel — byli to wszystko sami dobrzy niegdyś znajomi autora. Wszakże nawet ów tylko po imieniu tam wspomniany organista franciszkański Fok musiał sobie tego imienia pożyczyć od człowieka, który żył rzeczywiście i był... Słowackiego metrem muzyki! I tak się rzecz miała zapewne ze wszystkimi nie tylko charakterami działającymi

w téj sztuce, ale i miejscami, rzeczami, zwyczajami do niéj wprowadzonemi. Był więc tym razem Słowacki podobny do malarza, który komponując jaki karton historyczny, przedstawiający sceny z dawno ubiegłych wieków, umieszcza na nim same tylko twarze znajome, same portrety rodziny swojéj, przyjaciół, znajomych, słowem osób najbliższych swego serca.—

Nakoniec odnoszę także już do lat owych przekład jednéj z najcelniejszych sztuk Kalderona, „*El Principe constante*“, **Książę Niezłomny**, chociaż tenże dopiero we dwa lata późniéj (1844), już po ogłoszeniu Księdza Marka, wyszedł z druku.— Słowacki od dawna czuł w sobie pewien pociąg ku Kalderonowi. Jeszcze za piérwszego swego pobytu w Paryżu w r. 1831, wtrącił był taką wzmiankę o Kalderonie do jednego ze swoich listów:

> „Brałem teraz lekcye hiszpańskiego języka i już teraz doskonale rozumiem Donkiszota. Nic równego, jak *Don Quixote!* Uczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona tragedyi, ale dotąd ich nie skosztowałem. Coto dla mnie będzie za źródło! Jest ich kilka set!“... (z d. 20 października 1831).

W późniejszych latach, kiedy przebywał we Włoszech, znowu sobie przypomniał o Kalderonie.

> „Czasem chodzę rano do biblioteki (donosił o sobie z Florencyi), czytać po hiszpańsku Kalderona i usypiam się jego brylantową i świętości pełną imaginacyą.“ (d. 3 października 1837).

Z tém wszystkiém w owych czasach zajmowanie się tym hiszpańskim poetą musiało być tylko jednak dorywcze; nie widać bowiem w ówczesnych dziełach Słowackiego żadnego jeszcze wpływu téj „brylantowéj imaginacyi“. Język jego wprawdzie zawsze był bujny, i barwny i kwiecisty, ale nie w kalderonowym rodzaju. Zresztą widne były w pracach jego dawniejszych studya nad innymi wzorami: zrazu nad Byronem, późniéj przeważnie nad Szekspirem.

Dopiero utwory z lat najpóźniejszych, Ksiądz Marek i Sen srebrny Salomei, okazują przejęcie się zupełne duchem

dramaturgii hiszpańskiéj. To mi służy za skazówkę, że bliższa znajomość z najpotężniejszym w téj dramaturgii mistrzem przypaść musiała na czasy, które napisanie obu tych co tylko nazwanych dzieł Słowackiego bezpośrednio poprzedziły, a zatém na lata, których dzieje kreślimy w tym rozdziale. A jeżeli w którym, to w tymto czasie także dokonany być musiał i niniejszy przekład sztuki *El principe constante.*—Jestto praca, godna pod każdym względem pióra autora Lilli Wenedy. Zbliżenie się do oryginału czy to pod względem dosłowności w szczegółach, czy artystycznego odtworzenia całéj że tak rzekę fizyonomii téj hiszpańskiéj kreacyi, nie pozostawia nic do życzenia. A pomimo téj wierności przekładu, taka tam wydatność każdéj myśli, takie zaokrąglenie każdego zwrotu, taka w każdym pociągu pióra doraźność i wyrazistość, że ażeby należycie ocenić zalety tego przelewu, trzeba tylko wziąć do ręki jakie w innym języku tłómaczenie tegoż dramatu. August Wilhelm Schlegel np. uchodzi, jak wiadomo, w literaturze swojéj za jednego z najszczęśliwszych tłómaczy arcydzieł obcych. A jednak kiedy jego przekład téj saméj sztuki kalderonowéj porównywamy z naszym, to się pokazuje, że u Schlegla sens wnętrzny textu bywa bardzo często jakby zamglony, tak iż niełatwo cały tam pomysł autora jedném objęciem ogarnąć: podczas gdy dykcya Słowackiego wnika w umysł, jakby to był oryginał, nie tłómaczenie.

Dla tychto właśnie też zalet niniejszéj pracy, zdało mi się, że ją odnieść należy do czasu przed opętaniem się poety naszego mglistemi mrzonkami towianizmu; bo potém — nie sądzę, żeby się jeszcze był potrafił Słowacki utrzymać w karbach tych przedmiotowych warunków, które razem wzięte stanowią zadanie i obowiązek tłómaczącego autora. W przeciwnym razie byłby choć od czasu do czasu ów duch nowy i niespokojny, co w nim od owéj pory zamieszkał, targał gwałtownie osnowę pierwotworu i przekształcał ją po swojemu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Rozbior Balladyny. — Skąd pochop do podjęcia pomysłu takiéj tragedyi? Analogie z tragikami starożytnymi — o ile duch wieków naszych przedhistorycznych żyje w płodach wyobraźni ludowéj? „Maliny“ A. Chodźki i „Lilie“ Mickiewicza. — Główne idee w Balladynie — jak się takowe zbiegają w ostatecznym węźle dramatu? Znaczenie ustępów fantastycznych — jaki ich związek z całością sztuki? Rzut oka na „Sen Nocy Letniéj“ Szekspira. Rozbior charakteru bohaterki dramatu — rozwój jéj roli — kolej działających na jéj wolę pobudek. Analogie Balladyny z Lirem Szekspira — zapożyczenia z Makbeta. — Ogólne zdanie o téj sztuce.

Wracam teraz do rozbioru dzieł Słowackiego i podejmuję wątek, przerwany z końcem przedostatniego rozdziału. Pomówmy przedewszystkiém o **Balladynie**.

Z. Krasiński, który dał się słyszeć z zdaniem swojém o tym utworze przy różnych sposobnościach, a zawsze w takich słowach, iż wątpić nie można, że obok Anhellego stawiał Balladynę najwyżéj między wszystkiemi dziełami przyjaciela swojego,*) wyraził się w jednéj ze swoich korespondencyi (w liście do K. Gaszyńskiego), że jestto dzieło, które „w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził.“ Nie przeczę temu bynajmniéj, że niektóre szczegóły tragedyi obecnéj przypominają mistrza tego utwory. Jeżeliby jednak chodziło o ścisłą odpowiedź na zapytanie, kto piérwsze pulsy pomysłu do Balladyny że tak powiem, poruszył i rozwinął

*) Obacz mianowicie artykuł jego o Słowackim w Tygodniku poznańskim Literackim rok IV, str. 181. — List do R. Z. zamieszczony w Dodatku Czasu r 1859 Marzec str. 528. — W dziele „Wyjątki z Listów Z. K.“ strona 50 i 51. — Listy jego do Słowackiego, dotąd w całości nie ogłoszone drukiem, z których udzieliłem wyimków dotyczących w poprzedzających rozdziałach.

w wyobraźni Juliusza, to byłbym zdania, że ta inicyatywa wyszła od dawniejszego niż Szekspir a jednak bliższego nam wszystkim wieszcza. Niewątpliwie był Słowackiemu przewodnikiem na téj drodze nasz Kochanowski, autor Odprawy Posłów, a za jego pośrednictwem starożytna grecka tragedya.

Mieliśmy już sposobność przekonania się na podstawie własnych zeznań Juliusza, do jakiego stopnia posunięte u niego było rozmiłowanie w tym zygmuntowskim ojcu poetów, i jak mianowicie w owych latach, które Balladynę zrodziły, zwykł był nasz młody romantyk rozczytywać niemal codziennie klasyczne twory starego piewcy „Sobótek". Czyżby nie był on miał zwrócić na to uwagi, że jedna lutnia, że właśnie piérwsza i taka lutnia w narodzie naszym, umiała wydać tony tak na pozór sobie przeciwne? że piérwsze umnicze spożytkowanie świętojańskiéj pieśni ludowéj, i piérwszy odléw w słowie polskiém form greckich, były dziełem — téjsaméj ręki?.. W Balladynie są obydwa żywioły. Co większa, są tam ustępy, z których doraźnie bije woń, owiewająca w tak właściwy sobie sposób mianowicie owę piérwszą polską próbę dramatu, ów epizod homerowéj tradycyi, wskrzeszony do życia pod czarnoleską lipą, przy pisanym dzbanie miodu staropolskiego, na wesele autora łacińskiéj książki o rzymskim senacie i przytém... Hetmana wielkiego koronnego. Nie w myślach ani pojedynczych szczegółach to podobieństwo w Balladynie do Odprawy Posłów uderza. Słychać je w rytmie, w tonie, w całym że tak rzekę nastroju ducha i lutni.

Próba Kochanowskiego przeniosła myśl Juliusza w owe wieki sofoklesowe, których „Odprawa Posłów" była słabym tylko jeszcze odbłyskiem. Nie umiem powiedzieć, o ile tragicy greccy znani być mogli autorowi naszemu. Dokładnéj ich znajomości oczywiście on nie posiadał. O czytaniu ich w pierwotworze nie może być nawet mowy. Bogdaj nawet i przekłady takowych na jaki język nowoczesny, np. na francuski, mógł on mieć przed sobą w Genewie. Nie ma tego ani śladu w jego ówczesnych listach. Nie ma też i w dziele samém żadnéj zgoła skazówki na to, żeby pod bezpośrednim przywodem starożytnych fantazya jego była

miała kształty nadawać Balladynie. Mimo to wszystko śmiem twierdzić, że miał on tu przed oczyma tradycye Eurypidowe, a dowodzą tego i wyrazy niektóre rzucone w przedmowie do Lilli Wenedy. Czyto więc dalekie przypomnienie rzeczy słyszanych albo czytanych niegdyś w kraju kierowało tu jego myślą, czy też wpadło mu teraz właśnie dopiero w ręce jakie pismo przygodnie traktujące o dramaturgii greckiéj: — dość że zaczął on rozmyślać nad kwestyą, czyby z sfery, z któréj starożytni mistrzowie wydobywali owe kreacye taki urok wywierające na całym narodowym ogóle, nie dały się i w dzisiejszéj jeszcze epoce wywoływać postaci i powieści, równie silnie działające na wyobraźnią?

Dramat grecki mieści się cały w obrębie stósunków heroicznych, więc przedhistorycznych, bajecznych. Z téj tylko kopalni, przez ojca wszystkich poetów, przez Homera jeszcze otwartéj, wynosili Grecy materyał do przelania go na arcydzieła sceniczne. Świat rzeczywisty i codzienny, nawet i świat dziejowy, o ile go dosięgała pamięć opatrzona w daty i dokumenta — była to kraina, któréj wyobraźnia tragików starożytnych nie nawiedzała wcale. Na tym stałym, suchym lądzie, ubitym stopą zwyczajnych śmiertelników, oni ani nie widzieli ani nie przypuszczali poezyi. Wybiegali myślą swoją tylko na otwarte i wolne morze przedbytu historycznego, którego nie krępowały żadne więzy konwencyi ani w mniemaniach ani w ustanowieniach...

Czyżby nasze narodowe podania, po za widokręgiem pewnych dziejów leżące, miały być dla poety mniéj wdzięczną niwą? Miałyżby zamglone naszych herosów postaci, żyjące do téj pory w poetycznéj ludu pamięci, być zdolne tylko wspomnień w piosence gminnéj? Nie jestże to kruszec surowy, który i dzisiaj jeszcze, i u nas także, dałby się odlać na dzieło szczerozłotéj, artystycznéj poezyi, byleby tylko jęła się téj pracy ręka prawdziwie powołana do tego? Napróżnoż zdaje się gminowi naszemu, że słyszy i teraz jeszcze po lasach tętent łowca niewidzialnego i psów łajanie po nocy; że go dochodzą z pod przezroczystych fal Gopła albo Bałtyku dzwony pokutne miast potępionych; że się wydobywają w pewnych dniach roku, z pod porosłych mchem odwiecznym

gruzów kruszwickich, jęki jak gdyby wzywające litości; że dziewica ujęta snem nieprzespanym — tam pod mogiłą niedaleko Krakusowego grodu — kiedyś zbudzi się jeszcze i powróci na ziemię, żeby zaznać, co to szczęście, co to luby... swojego rodu — —

Skutkiem takichto rozmyślań nad znaczeniem nie zużytecznionych dotąd podań naszych mytycznych — z punktu widzenia pokrewieństwa takowych ze sferą tragedyi starożytnéj, wpadł poeta nasz na kierunek praktyki poetyckiéj, w którym wydatniéj niż we wszystkiém inném, miała się odsłonić oryginalność genialnéj jego fantazyi. Powziął zamiar, stworzyć na tle podań rzeczonych cały cykl dramatycznych utworów. Miał on się składać z sześciu odrębnych tragedyi. Piérwszą pracą na téj drodze była właśnie Balladyna, dzieło rzeczywiście tego rodzaju, że mógł się autor o niém w liście do matki wyrazić, że otwiéra ono nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą; że jest całe podobne do staréj ballady — ułożone tak, jak gdyby gmin je układał, — przeciwne zupełnie prawdzie historycznéj — czasem (słowa autora) przeciwne podobieństwu do prawdy, ludzie jednak w niém są prawdziwi i mają w sercu nasze serca...

Ta ludowość, widna w całym sposobie przeprowadzenia Balladyny, nie byłto jednak cel, o któryby poecie było chodziło jako o rzecz najgłówniejszą. Było to raczéj mimowolne tylko następstwo wyboru przedmiotu, a raczéj wyboru sfery, w którą zamierzał wlać życie. Odtwarzać u nas wieki mytyczne — jestto w ostatecznym skutku tosamo, co malować kolorami wyobraźni gminu naszego.

Starożytnym tragikom łatwiéj było radzić sobie w téj trudnéj pracy przelewania mglistych przeddziejowych wspomnień w kształty plastyczne. Najprzód bowiem wiek, w którym żyli, nie tyle był odsunięty od czasów, z których ów materyał czerpali. Wyznawali tę samę religią, co ich bohaterowie bajeczni; kierowali się w życiu temi samemi pojęciami, wierzyli w tenże wymiar sprawiedliwości, w tenże rodzaj opieki ze strony niebios nad światem. A potém, leżała przed nimi otwarta księga Homera! W księdze

téj widziały kanon wiary i tradycyi ojczystéj tak dobrze owe pokolenia, które wojnę peloponeską toczyły, jak generacye, z łona których wyszła Ilias i Odysea. Platon, wyobraziciel epoki najpiękniejszego myśli greckiéj rozkwitu, co chwila się posługuje przytoczeniami z tych narodowych rapsodyi, rozstrzygając niemi nieraz najzawilsze i najoderwańsze zagadnienia filozoficzne.

My takiego zabytku, takiego przedchrześcijańskiéj Polski zwierciadła nie posiadamy. W historycznym względzie bardzo mało, w obyczajowym nic nam wcale o niéj nie jest wiadomo. Czujemy to wprawdzie wszyscy, że wyobrażenia nasze, choćby były urobione na tle stósunków nawet najdawniejszéj naszéj historycznéj epoki, nie mogą przystawać do tych wieków zamierzchłych, które od czasów bolesławowskich przedzieliła cała nieskończoność różnic tak wiary jak powszechnéj kultury. Uznajemy zatém nieodzowną konieczność wyszukania sobie do tego barw i kształtów zgoła odrębnych. Lecz skąd je wziąć? jak je sobie urobić? — w tém właśnie trudność niepokonana!

Jedyną drogą, jaka się tu nastręcza, jest chyba pójść w ślady za Chodakowskim i szukać u ludu ostatnich śladów téj cywilizacyi rodziméj, która w wyższych warstwach równocześnie z przyjęciem chrześcijaństwa ustąpiła miejsca obcéj ducha ogładzie. Tą drogą puścił się téż tutaj Słowacki.

Wprawdzie i ten sposób nie koniecznie wiedzie do celu. Od czasu wystąpienia właśnie wspomnianego entuzyasty dla wszystkiego, co tylko gminne — mija już oto połowa wieku. Pomimo usiłowań tak piérwszych jak późniejszych zwolenników tego kierunku, pomimo tak nieznużonego zbierania pieśni ludowych, skazek, przysłowi itd. prowadzonego systematycznie przez lat dobrze 30 po wszystkich kraju zakątach, nie otrzymaliśmy żadnego promienia światła, któreby potrafiło przedrzéć zasłonę téj krainy zaczarowanéj i uczynić ją widną dla oczu naszych. Co gorsza, trzeźwe i umiejętne badania zgromadzonych w ów sposób materyałów odebrały nawet w zasadzie kredyt wynikom poszukiwań w tym zakresie podejmowanych. Szacowna książka Berwińskiego niepomału zachwiała wiarę w możność odszukania klucza, o któ-

ry chodzi, w zasobach téj tak zrazu przecenionéj spuścizny. Trudno się już po dziś dzień łudzić nadzieją, żeby choć nawet w przyszłości okazać się miała pomoc jaka dla badań naszych — z téj strony.

Mimo to wszystko, aczkolwiek więc nie dla historyi, to dla poezyi mają poszukiwania rzeczone wszelako wielką doniosłość. Natura pieśni gminnéj ma w sobie zawsze coś ożywczego. Sposób, w jaki nieuczona, tradycyjnym tylko instynktem powodująca się wyobraźnia warstw sielskich wystawia sobie rzeczy, może być dla artysty przydatnym już dla tego samego, że się różni od sposobu pojmowania takowych przez wyższe klasy. Jest w tym sposobie ludowym zawsze jakaś cząstka rodzimych, samorodnych pierwiastków. Aczkolwiek wobec bezwzględnéj prawdy nie można go poczytywać za autentyczny i nieomylny wizerunek pierwotności słowiańskiéj, to konwencyjnie wszelako on za takowy dość powszechnie uchodzi i ma prawo zastępować go w sztuce. Historyk z dokumentami w ręku wykaże w wyobrażeniach gminu późniejsze albo obcego pochodzenia naleciałości. Ogół narodu, biorący rzeczy mniéj ściśle, uczuje w nich woń wieków będących dla uczonego zagadką, i efekt poetyczny będzie więc osiągnięty.

Takimto więc instynktem świadomie czy mimowiednie, lecz w każdym razie trafnie wiedziony Słowacki, zamierzył w obecnym dramacie swoim zawrzéć obraz świata i tego „co się na nim tak dziwnie plecie“ w duchu fantazyi gminnéj. Postawił się myślą jakby w położeniu naiwnego prostaczka, co snuje swoję skazkę na tle popielowych stuleci nie znając wcale kronikarskich o tychże czasach powieści. Za punkt zarodny wziął sobie myśl kilku ballad, a raczéj kilku piosnek ludowych, których surowy materyał w części już był wtedy przerobiony artystycznie przez współczesnych poetów. Głównie dostarczyła mu treści znana owa, bo na całej przestrzeni kraju naszego przez lud śpiewywana powiastka o dwóch córkach prostéj wieśniaczki, w równym stopniu pokochanych przez jakiegoś wielkiego pana, które wysłano na maliny, ażeby samo szczęście rozstrzygło, która z nich ma zostać żoną rycerza. Powiastka ta, słabiuchno przela-

na w kształty ballady przez Al. Chodźkę, była wcielona już wtedy do zasobów piśmiennéj literatury. Drugiém źrodłem, z którego mógł zaczerpnąć autor Balladyny niejedno, były Lilie Mickiewicza. W Malinach Chodźki mowa tylko o zewnętrznych zdarzeniach. W Liliach odsłania się i wewnętrzny stan duszy owéj zbrodniarki, „któréj nie żal było rozboju, ale tylko strach kary.“

„Ach pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie:
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła!“ —

Na tém tle zewnętrznych zdarzeń i wnętrznych usposobień, wiklących się w jeden ciąg zbrodniczo przebytego żywota, stawił poeta i inne jeszcze figury. Ten pustelnik siwy, co zna siłę każdego ziela i leczy wszystkie słabości, a za młodu władał berłem jako dziedziczny krél ludu — ten dobry rycerz od stóp do głów w zbroję zakuty, po całym świecie jeżdżący, żeby karcić występek, a podawać rękę pokrzywdzonemu — ta matka uboga, któréj się własna córka zostawszy wielką panią wyparła — ten kusiciel w postaci niemieckiego przybłędy — ten król dzwonkowy, czarodziejskim sposobem przemieniony z prostego chłopa — ten piorun z nieba, uderzający w winowajcę, którego przymusiły okoliczności do wydania na samego siebie wyroku... wreszcie te nadzmysłowe, cudotworcze, fantastyczne istoty, żyjące między ludźmi i niepomału wpływające na ich postanowienia: — wszystko to są rysy ze wszech miar odpowiednie wyobrażeniom ludu naszego, a nawet i żyjące z osobna w jego powieściach.

Poety dziełem — że je natchnął pełniejszém życiem, że otworzył wnętrze ich serc, że je połączył, że z połączenia tego stworzył świat nie tylko nowy, ale zdolny w najwyższym stopniu zająć uwagę człowieka stojącego na wysokości dzisiejszego usposobienia warstw wykształconych. Podłożył bowiem zawikłaniu, na pozór wymarzonemu przez dziecięcą fantazyą, ideje wiekuiście prawdziwe. Pod osłoną stósunków, materialnie biorąc miejscowych i znikomych, ukrył filozofemat ogólny, wynik długich rozmyślań swoich

nad tokiem spraw i kolei ludzkich, nad tym czterowierszem tak znanym wieszcza czarnoleskiego:

„Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie!
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.“

Ten problemat nierozwikłany, tę niepojętą dla rozumów naszych zagadkę, to godło powtórzone i przez Malczeskiego na czele Maryi, pokusił się w Balladynie nasz Juliusz poddać pod analizę. Jeśli przełożymy stworzone przezeń plastyczne kształty poezyi, na język myślącego rozumu, wypowiemy całe przekonanie poety w tych kilku słowach: Ostatecznie składa się wprawdzie wszystko na świecie podług woli Opatrzności. Ona jedna ostatecznie wszystkiém i wszystkimi kieruje. Ale opatrzność bezpośrednio nie działa. Są siły, czy raczéj prądy, z osobna i najróżniejszemi drogami i w najrozmaitszych kierunkach działające na to wszystko, co zowiemy przędzą życia czyjego. Biorąc wpływy te poszczególnie, okazuje się, że nigdy się to nie iści, ku czemu nawodzi i prze i popycha moment taki osobny. Rezultat dopiero i suma zawikłania tych wszystkich sprężyn razem: — to jest co ostatecznie kieruje światem. W tém też właśnie połączeniu ich wszystkich objawia się Opatrzność. —

A jakież są te poszczególne impulsa, którym podlegają uczynki nasze?

Nasamprzód nasze własne zamiary, rachuby, słowem postanowienia ludzkie.

Jeśli nie prawie zawsze, to nader często ślepy przypadek, ten niewinny figlarz mięszający nam szyki.

Nie mniéj znaczy tu i demonizm, ta potęga wyższa nieraz nad wolę i nad rozum człowieka — już to w własném sercu brojąca, już kusząca nas z otoczenia.

Daléj: logika zdarzeń, nieodzowny fatalizm czynów, któreśmi spełnili sami. Co tak trafnie wyraził Schiller: — „Das ist der Fluch der bösen That, dass sie fortzeugend Böses muss gebären.“

Nakoniec — wprawdzie bardzo rzadko i wyjątkowo: Palec boży, ta bezpośrednia interwencya niebios, działająca, kiedy wszystkie stopniowania pośrednictw ludzkich zawiodły...

Pospolicie w życiu kładziemy przycisk wedle usposobienia naszego to na téj, to na owéj, ale zwykle na jednéj tylko z pomiędzy pięciorga potęg, w połączeniu tu wyrażonych. Człowiek praktyczny i racyonalny, wierząc w bezwzględną prawdę przysłowia, „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“, składa zazwyczaj wszystko na własną wolę ludzką. Umysł lekki lub materyalny wszystko odnosi do przypadku. Zabobonni w każdém zdarzeniu widzą utajoną władzę złego, lub wreszcie w pewnych razach dobrego, któreto władze prowadzą klientów swoich prostym gościńcem do piekła albo do nieba. Fataliści koją zmartwienia domowe i publiczne rezygnacyą, i prawią że co się stało, stać się musiało — nie pytając wcale o to, skąd wychodzi ten ślepy przymus. A religianci, w mniéj wzniosłém znaczeniu tego wyrazu, upatrują we wszystkiém cuda i wszystkiego dobrego się spodziewają tylko od cudów.

Autor Balladyny przyjął wszystkie pięć wyobrażeń za prawdziwe, a raczéj uczynił je dopiero prawdziwemi właśnie przeto, że żadnego z nich nie wykluczył. Pojednał je i połączył je wszystkie, i ustopniował jako piętrzące się władze, na obraz i podobieństwo coraz wyższych instancyi rządzących światem...

Przeprowadzenie tego pomysłu stanowi właśnie mistrzowską stronę dzieła leżącego przed nami. I tylko z tego punktu widzenia Balladyna, mimo wszystkiego coby w niéj wytknąć można jako niedostatek, a raczéj jako nadmiar (z téj właśnie strony najwięcéj bowiem możnaby dziełu temu zrobić zarzutów), okazuje się rzeczywiście najgłębszą może kreacyą Słowackiego, w każdym razie utworem godnym jego geniuszu.

Żeby się o tém przekonać: przejdźmy do szczegółów.

Przedewszystkiém określmy sobie chwilę dziejową, na którą przypada zmyślenie, służące za osnowę dramatu.

Dzieje nasze zapamiętały przesilenie się czasów, dokonane w skutek upadku dynastyi Popielów na rzecz Piasta i jego rodziny.

Na tę to chwilę ostatnich rządów rodu popielowego, przed powołaniem jeszcze Piasta do tronu, przenosi fikcyą swoję Słowacki. Byłyto czasy posępne. Przekleństwo i jego skutki, jak woń złowieszcza przenikająca powietrze, obejmowały kraj cały. Ostatni z Popielów, czwarty tego imienia, dostał się do władzy nad narodem zdradą i zbrodnią. Zepchnął z tronu starszego brata, a po ujściu tegoż z stolicy, pozostałe po nim sieroty okrutnie zgładził ze świata. Od tego czasu minęło lat 20. Dawniejszy książę, już zapomniany przez wszystkich, pędzi życie w głębokich lasach jako pustelnik. Nikomu nie wiadomo, kto się ukrywa w osobie tego pustelnika, ale chatka jego często bywa nawiedzana przez ludzi potrzebujących dobréj rady czy to w chorobie, czy innéj jakiéj przygodzie. Od czasu objęcia rządów przez nowego monarchę, zlewają się na Polskę wszelkie nieszczęścia. Popiel IV panuje po tyrańsku. Co gorsza, dawniejszy książę usuwając się na wygnanie, potrafił unieść z sobą koronę królewską. Była to korona cudowna, od czasów Lecha z błogosławieństwem noszona przez wszystkie pokolenia dziedziczących rządy nad Polską. Przywiązał do jéj dziejów poeta myt, zaczerpnięty z własnéj fantazyi, niepospolitéj piękności poetycznéj, myt sięgający jeszcze oddaleńszéj przeszłości, bo aż kołyski Chrystusa... Skutkiem nadzwyczajnych kolei, jakie klejnot rzeczony kiedyś przechodził, miał on władzę cudowną.

„Korona Lecha sławną niegdyś była!
W niéj szczęście ludu, w niéj krainy siła
Cudem zamknięta“...

Korona fałszywa i podrobiona, któréj przywłaszczyciel używał, nie miała żadnéj mocy, a przekleństwo nań rzucone przez ojca dzieciąt zamordowanych działało.

Nie tylko przeto nękały naród pomory, głód, szarańcza i nieznane nigdy dawniéj okrucieństwo panującego, ale zepsucie dostało się i do serc ludzkich. Ludzie w całém królestwie stawali się coraz gorsi...

Na tém tle poczyna się akcya dramatu. —

W przedmowie powiada autor, że jego tragedya, że jego Balladyna „wychodzi na świat z aryostycznym uśmiechem na twarzy, urągając się z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie.“ Wyrażenie to ściąga się głównie do aktu piérwszego, w którym zamiary ludzkie i ironia ślepego przypadku dziwnie się z sobą krzyżują.

Oto stoi przed nami młody, dorodny i dzielny rycerz, pan warownego zamku i licznych do koła włości. Zamyśla poszukać sobie żony. Chciałby uczynić wybór jak najszczęśliwszy. Nie zaślepia go ani żądza wielkości ani ponęta bogactw. Nie uwodzi się nawet samymi powabami urody. Pragnie znaleść dziewicę

„Białą, jak w ręku anielskiego stróża
Kwiat lilijowy: niech jéj słowik śpiewny
Zazdrości głosu, a synogarlica
Wiernością zrówna. Gdzie taka dziewica?“

Nie ufając własnym zabiegom, ogląda się za pewniejszym sposobem ustalenia swojego szczęścia. Udaje się do pustelnika, o którym słyszał, że mu nikt nie zrówna rozumem, i prosi go, ażeby mu albo wskazał taką dziewczynę, albo przynajmniéj powiedział, co czynić, żeby ją znaleść. Obydwaj wspólnie układają, co im się widzi najlepsze. Stanęło na tém, że nie ma Kirkor szukać sobie kochanki ani pod złocistymi dachami królów, ani nawet w pańskich pałacach. Po za tymi wysokimi progami, mówi Popiel trzeci, owym pustelnikiem będący, rzadko kiedy przemieszkuje to, czego Kirkor pragnie.

„Tylu ludzi biegło
Z pierścionkiem ślubnym za marą wielkości,
A prawie wszyscy wzięli kość niezgody,
Zamiast straconéj z żebra swego kości.“

Więc ty postąp sobie inaczéj. Niech cię złocista kareta wiezie do jakiéj niskiéj lepianki. Szukaj prostoty, a resztę zostaw losowi.

„Ani się wahaj, weź pannę ubogą,
Żeń się z prostotą, i niechaj ci błogo

I lepiéj będzie, niżbyś miał z królewną.
Do biednéj chaty idź synu na pewno!
Niechaj ci piérwsza jaskółka pokaże,
Pod jaką belką gniazdo ulepiła.
Gdzie okienkami błysną dziewic twarze,
A dach słomiany —
tam czeka na cię żona karna, miła, niewinna"...

Jak widzimy, rozum ludzki uczynił tedy w sprawie téj wszystko, co tylko zrobić mógł, ażeby się nie pomylić. Postanowienie Kirkora zapadło z zachowaniem wszelkich ostrożności — odwołał się do doświadczenia — kierują nim chęci najlepsze: — i do czegoż go to doprowadziło? — Oto przypadkiem wywraca się i łamie powóz jego na jakimś mostku. Niedaleko tego mostku jest sioło, a w niém oczywiście różne ubogich ludzi chatki pod strzechą; ale przypadek chciał, żeby Kirkor szukający noclegu zajechał do téj właśnie między niemi, w któréj mieszkała matka Balladyny i Aliny. Trzeba było znowu szczególnego przypadku, że się naszemu rycerzowi oba dziewczęta porówno spodobały. Przypadkiem, ni stąd ni zowąd, przyszło staréj wdowie do głowy, żeby wybór, która z jéj córek ma zostać jego małżonką, zrobić zależnym znowu od przypadku, t. j. od zbierania owych malin, na które wysłano obie dziewczyny... Postanowienie więc Kirkora i pustelnika w to godziło, żeby się wyrzéc wszelkich świetności i mieć za to poczciwą, choć biedną żonę. A ślepy, bezmyślny, psotny przypadek podsunął mu... Balladynę!

Ale poecie naszemu nie wystarczało, okazać ironią tego niewinnego psotnika w samych tylko téjże ironii objawach. Chciał on go okazać i w widomych jego kształtach. Chodziło o nadanie ciała temu abstrakcyjnemu słowu: przypadek... W tymto celu wprowadził on tu w sam środek rzeczywistych działań ludzkich, świat fantastyczny. Współdziałanie świata czarodziejskiego pierwotna wyobraźnia ludowa wszędzie przypuszcza. Moment ten zatém wziął autor Balladyny, jak wszystko w tym dramacie, od ludu. Ale wycisnął na nim swój stempel. Podłożył mu, wprawdzie w fantastyczny sposób, znaczenie, które może

być zrozumiałém i dla dzisiejszéj reflexyi. Goplana, Skierka, Chochlik i cały ten świat — lekki, jak bańka mydlana, powiewny jak liść ajeru, znikomy jak barwy tęczy, krzyżujący czasem szkodliwie uczynki ludzkie, a w gruncie dobroduszny i nigdy ze złym zamiarem — to tylko więc poetyczne, po aryostowsku pomyślane uosobienie przypadku.

Rozumie się samo przez się, że w pomyśle tak eterycznie powiewnym, jak cały ten dział obecnego dramatu, nie można spodziewać się, żeby każde poszczególne w nim słowo, każdy rys, każdy że tak powiem puls rozigranéj imaginacyi autora wytrzymywał rozbiór rozkładającéj krytyki. Niepodobna zagadywać każdego tutaj szczegółu: a na co ty tutaj? a co ty znaczysz?.. Pedanterya przesadna psuje wszystko w razach podobnych. Sztywnéj i na szczudłach samych tylko rozsądkowych pojęć kroczącéj allegoryi Słowacki dawać tu nie zamierzył. Dobrą połowę ruchu w tém falowaniu złudnéj fantazmagoryi zdać trzeba na karb bujań fantazyi, która się nie poczuwa do ścisłego rachunku z tego, co czyni. Lecz weźmy tę fantastyczność współdziałającą w naszym dramacie w całym onéj ogóle: a przyznamy, że tylko w taki sposób można jéj znaczenie wykładać.

Cała postać Goplany, wszystko co tylko ona czyni, wszystko czego nawet sama doznaje: to tylko zmysłowe uwidomienie przypadku. Istota ta napowietrzna, uwiana z zorzy i woni, lekka jak chmurka płynąca niebem — poetyczna do przesady, poczciwa od stóp do głowy, cały świat duchów i duszków mająca na rozkazy, słowiki ucząca piosnek, jaskółki z wiosną zbudzająca z topieli, zaścielająca niwy tęczami kwiatów... taka istota rozmiłowuje się w prozaicznym pijaku, w rumianym, głupkowatym i sprosnym Grabcu! Nie jestżeto prawdziwa ironia losu? Oto ją widzimy wychodzącą za piérwszym wiosny powiewem z pod toni Gopła, na dnie którego spędziła zimę. Nie marzy o niczém, tylko o piękności człowieka, który téj zimy w jeziorze owém się topił. Niewymownie tęskni do niego. Pragnie co rychléj ujrzéć go znowu i być od niego kochaną, tak jak go sama kocha. Goplana nie wie — kto jéj kochanek? Nie zna go jeszcze.

Nie była zdolna objąć wzrokiem należycie całéj jego postaci, kiedy był zanurzony w przcręblі. Trwało to krótko — zresztą była to pora martwéj niemocy i jakby skamieniałéj senności, któréj Goplana przez ciąg zimy podlega wraz z całą przyrodą poddaną pod jéj rozkazy jako królowéj jednego z działów natury. Był to więc dla niéj stan snu i jawy na poły. Kochankiem Goplany będzie zatém każdy człowiek, który pierwszy zajdzie jéj teraz drogę... I oto przyszedł był na to miejsce młody pastérz, figura żywcem wykrojona z jakiéj sycylijskiéj sielanki, sentymentalny, westchnieniami tylko żyjący Filon. Nienasycony w tęsknocie, cały zatopiony w łzawych dumaniach, wędruje on przez świat cały i szuka wymarzonéj kochanki. Ale ideał jego pozostaje „nieznalezionym, jak się wyraża, obrazem" w sercu tylko jego żyjącym. Ani żniwiarki, ani nawet królewny nie potrafiły poetycznéj jego duszy natchnąć zachwytem. Nie ma dla niego szczęścia na ziemi. Chyba tajemnicze łono wód wyda kiedy taką istotę, jakiéj on szuka. Chyba mgły powiewne zrodzą dla niego kochankę. Do mgieł takich stósując to co extatycznie maluje, powiada Filon:

„Nieraz poglądałem
Na białe płótna, łąk jasną zielenią
Słońcu podane, rojąc serca szałem
Że z bieli płócien, jako z morskiéj piany
Alabastrowa miłości bogini
Wyjdzie na słońce"...

Otóż nakoniec wyszło w saméj rzeczy z głębi Gopła coś bardzo podobnego do téj „alabastrowéj bogini." Goplana — to stworzona dla Filona kochanka! Filon — to wymarzony kochanek dla niéj. I cóż? czy się pokochali wzajemnie? Czy się znaleźli?— Bynajmniéj! Jedna chwila popsuła wszystko. Filon wprawdzie przechodził przez owo miejsce, ale niestety przyszedł na nie za wcześnie i — przeszedł. Zaledwie odszedł, wynikła z wód fantastyczna królowa Gopła. I spotyka na swojéj drodze — kogo nasamprzód? Spotyka gburowatego parobka, który jéj miłość odpycha! Ona mu mu szepce o czystości dziewiczéj, o malinach i

poziomkach, które będzie dla niego rwała, o rozłogach łąk i gajów, które wieczorem wspólnie nawiedzać mają.

„Będziemy błądzili,
Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,
Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem
Będziemy razem marzyć przy księżycu...

A Grabiec ani rozumie tego wszystkiego! Nazywa Goplanę rybą, galaretą, szklaną zmorą, koczkodanem... a jéj poetyczne expektoracye odpłaca, chwaląc sobie karczmę i gorzałkę, dziewuchy wiejskie przy sianożęciu itp. Nie jestże to wszystko prawdziwą igraszką losu, którą tak powszechnie uważamy za synonim z przypadkowością? Nawet ów nieodłączny od wyobrażenia przypadku przymiot, ślepotę, widocznie chciał poeta przedmiotowo wystawić w roli Goplany, kiedy jéj każe do osmolonego, „w czerwonéj umazganego rudzie," same sprosności gadającego pijaka, mówić takie słowa, jak „piękny młodzieńcze!" — „słowa jego wonne przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha", —

„Niech zorza różana
Pierwsze mu blaski na oblicze rzuci;
Lecz niech się zorza na poły zasmuci
I płaczem rosy słońce tak przesłoni,
Aby łagodne, powiek nie raziło" itd.

Kontrasty te sprawiają wrażenia śmiészne; ale z punktu widzenia saméj tylko humorystyki nie mogłyby być dostatecznie wytłómaczone.

Podobnie uwidomieniem zrządzeń saméj tylko przypadkowości nazwać należy całą tę interwencyą, jakiéj się Goplana względem działań ludzkich dopuszcza. Grabiec nie chce przychodzić wieczorem do Goplany, gdyż właśnie wieczorami czeka na niego za borem Balladyna, z którą on ma znajomość. Ażeby go skłonić ku sobie, widzi się Goplana w konieczności usunąć stąd owę dziewczynę. Usunięcie to nie może być ze szkodą dla Balladyny, bo Goplana jest dobra, szkodzić nikomu nie chce. Lecz można ją z tych stron oddalić w jaki inny sposób, bez szkody dla niéj.

Oto właśnie szuka Kirkor dziewic po świecie, co mieszkają w ubogich chatkach. Niechże zajedzie do chaty Balladyny! niech ona właśnie zostanie wielką panią... Na rozkaz królowéj swojéj, sprawia to Skierka, że się załamuje ów mostek pod powozem Kirkora! Ale Kirkor mógłby i z tego jeszcze miejsca do niejednéj innéj lepianki trafić. Skierka go tedy wiedzie echem napowietrznéj muzyki, właśnie do mieszkania matki dwóch dziewczyn, które mu pani jego wskazała. Skutkiem okoliczności, że Skierka nie zrozumiał dokładnie danego sobie rozkazu, zlewa on czary miłosne zamiast na jednę, na obie siostry. Tak więc jego to sprawa, że pokochał nasz rycerz i Balladynę i Alinę porówno. Z tego wynika nowa trudność, nowa zawiłość. Z obiema niepodobna się żenić, trzeba koniecznie wybrać sobie jednę tylko, — a jak to zrobić, kiedy obie krasawice porówno nęcą ku sobie? Myśl wysłania córek na malinowe wyścigi wychodzi znowu od Skierki. Uosobienie przypadku szepnęło staréj wdowie do ucha, żeby rzecz zdać na przypadek: i tak cały ruch akcyi, w zakresie piérwszego aktu, kierowany jest, jak widzimy, przeważnie tą właśnie sprężyną przypadkowości, przyodzianéj w kształty fantastycznego świata.

Upatrując takie znaczenie w fantastycznych ustępach Balladyny, wiem o tém, że inni inaczéj je sobie tłómaczą. Według ich zdania powodował się tu poeta chęcią uzupełnienia charakteru epoki, na tle któréj sprawa się dzieje, przez dołożenie do osnowy dramatu, i tego czarodziejskiego wątku, tak integralnie należącego do tkanki wszystkiego, co tylko sobie o tych czasach snuje wyobraźnia ludu naszego. Oprócz tego miało i o to chodzić tu Słowackiemu, ażeby cudownością złagodzić okropność właściwéj akcyi. Na akcyą tę, według zdania dawniejszych recenzentów, istoty fantastyczne wewnętrznego wpływu w tém dziele bynajmniéj nie wywierają; gdyż co tylko się w niém dzieje, dzieje się z czysto ludzkich pobudek; a moment czarodziejski wszystko to tylko jakby dla ozdoby saméj owiewa...

Obydwa te powody nie zdają mi się tu wcale wystarczające. A twierdzenie, jakoby między fantastycznym a ludzkim światem

w tym dramacie nie miało być żadnego przyczynowego związku, wydaje mi się wręcz mylném. W początkowéj części Balladyny ze sfery téj wychodzą właśnie najważniejsze powody. W dalszych dopiéro częściach moment ten cofnięty zostaje w głąb obrazu i zastępują go inne sprężyny działania. A nawet i tam jeszcze działa niekiedy przypadek (np. w scenie czwartéj aktu IIIgo, gdzie za sprawą czarodziejskich tych istot dostaje się zaginiona korona królewska na głowę Grabca). W ogóle w piérwszym akcie daje świat fantastyczny impulsa prawie do całego nawiązania wydarzeń. Jest on tu jakby tym wietrzykiem albo ptaszkiem maleńkim na najwyższym wierzchołku góry, co niechcący porusza kuleczkę śniegu, mającą się niezadługo przemienić w lawinę zniszczenia i okropności. Zbrodnie dramatu niniejszego rodzą się wprawdzie z innych zasobów i urastają w monstrualności własną siłą, jako i lawina toczy się z góry własnym ciężarem. Ale jak nie byłoby lawiny, gdyby coś nie było stworzyło piérwszego onéj zawiązku, tak i Balladyna nie byłaby przyszła w pokuszenie zabicia siostry, a w następstwie dalszém popełnienia i innych występków, gdyby sam przypadek nie był jéj do tego dał sposobności i zewnętrznéj potrzeby.

Co większa, utrzymuję: że nie chcieć związku rzeczonego widzieć w budowie Balladyny, jestto odmawiać jéj wszelkich zalet artystycznego przyprowadzenia! Mamy tu przed sobą jakby dwie wstęgi, dwie melodye równocześnie płynące. Historya Balladyny i tych którzy ją otaczają, to jedno. Romans Goplany z Grabcem — to drugie. Przypuszczać bytność tych dwóch zawikłań w sztuce — bez wzajemnego wplatania się jednego wątku w drugi — byłoby to odmawiać dziełu temu jednolitości, bez któréj nie ma ani piękności ani nawet logiki. Według naszego zaś wykładu, cała rola Gopłany nie tylko spływa z główną osnową dramatu, lecz owszem stanowi jedno z wewnętrznych własnych jéj włókien.

Nastręcza się tu samo przez się porównanie Słowackiego z Szekspirem, który w jednym z utworów swoich w bardzo podobny sposób sceny ludzkich działań przeplata zajściami mającemi miejsce pomiędzy istotami nadzmysłowemi. Ani wątpić o tém nie można,

że „Sen Nocy Letniéj“ był w tym względzie dla Słowackiego wzorem, a jeżeli wreszcie nie wzorem, to skazówką i materyałem przydatnych dla poety spostrzeżeń.

Pod jednym tylko względem zachodzi zupełne podobieństwo między Balladyną a rzeczoną angielskiego wieszcza komedyą. Jako tam, tak i w Śnie Nocy Letniéj fantastyczne istoty wpływają na sprawy ludzkie w sposób istotny. U Szekspira okazuje się to nawet o wiele oczywiściéj, aniżeli u Słowackiego. Role ludzi téj komedyi są w ogóle tylko podrzędną i akcesoryalną jéj częścią. Postępowanie tychże tak dalece jest kierowane wolą téj niewidzialnéj dla nich czarodziejskiéj machiny, że czynią co ta wola im każe, nie tylko w obrębie owéj nocy, przez którą się ta cała fantazmagorya jak sen jaki przesuwa, ale nawet sięgają następstwa wpływu tego czarodziejskiego i po za granice rzeczonéj nocy. Doprowadzają bowiem do zdarzenia, trwać mającego na zawsze, do któregoby nigdy nie było przyszło, gdyby się nie był wmięszał ten świat elfów w zawikłanie ludzi pomiędzy sobą. (Dymitr odzyskuje dawną swą skłonność ku odepchniętéj Helenie, w skutek czego przychodzi do ich pobrania się).

Natomiast nie ma żadnego podobieństwa między obydwiema sztukami co do rodzaju i co do wagi takowych. Sen Nocy Letniéj może sobie uchodzić za arcydzieło, jako utwor mistrza, który czego się tylko dotknął, wycisnął na tém znamiona swego geniuszu. Ale nie zamierzał on w tym razie nic innego, jak napisać krotofilę i fraszeczkę lekką jak puch, bez uroszczeń do znaczenia sztuki z głębszą i na seryo intencyą. Zamiar Słowackiego, podłożony nawet fantastycznéj części Balladyny, okazuje się nieskończenie więcéj poważnym. Rezultat ostateczny współdziałania jego Goplany przyczynia się do tragicznego obrotu zdarzeń, pomimo że pozorna postać i jéj saméj i otaczających ją istot bez porównania rzucona jest poetyczniéj, powiewniéj i idealniéj, niż szekspirowska Tytania albo Oberon i służebne ich elfy.

Jéżeli tedy pomysł ten przejęty był z Szekspira, to wynagrodził nasz poeta tę poniekąd nieoryginalność pomysłu zupełnie nowém i głębszém jego przeprowadzeniem. —

-- Dalsze części Balladyny bez porównania są prostsze; nie ma tedy potrzeby zastanawiać się już tak szczegółowo nad wszystkiém.

Powiedziałem już wyżéj, że zamiarem było poety, przeprowadzić genezę zbrodni. Jéj zaród, jéj piérwszy objaw, jéj rozwielmożenie się w zakresie całéj woli człowieka, jéj następstwa nieuniknione, jéj wygórowanie nad całém otoczeniem stósunków przy niepodobieństwie zatrzymania nad nimi władzy, jéj wreszcie obrócenie się w nicość, zniesienie siebie przez siebie samę: — oto w krótkich słowach streszczenie całéj osnowy tragedyi, którą mamy przed sobą.

Przedstawicielką téj akcyi ujemnéj jest przedewszystkiém Balladyna. Charakter czarny, demoniczny, ale włożony w naturę wyższą, niż zwyczajny poziom ludzi w jéj położeniu. Czuć to przez całą tragedyą, że istota ta godną była lepszego losu. Stara jéj matka, która instynktowo czując tę wyższość, przenosi ją we wszystkiém nad młodszą córkę, wręcz wypowiada:

„Wszak ona piérwsza w kościele, i wszędzie
Piérwsza — z organem piosenkę zaczyna"...

A i Balladyna sama, przy końcu swego zawodu, rzuca podobne o sobie zdanie:

„Ja o sławę
Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu
Będę, czém dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą"...

Pod złą więc gwiazdą urodziła się Balladyna i wzrosła! Astrologicznie tego poeta oczywiście rozumieć nie mógł. Chciał on tylko wyrazić, że zewnętrzne okoliczności od piérwszego dzieciństwa, i coś wichrzącego w niéj saméj na spodzie własnego serca, zwichnęły i rozstroiły tę skądinąd kolosalną naturę. Psuła ją ślepą swoją miłością niemądra matka. Zarody demonizmu w niéj saméj przyszły jéj od piérwszéj chwili istnienia — może w skutek ciężącéj nad wszystkimi w narodzie naówczas klątwy— i rosły bujnie razem z ciałem urodziwém, razem z siłami jéj niepospolitego skądinąd ducha.

Na początku zawodu objawia się w Balladynie ten zaród złego przez pomniejsze jeszcze przywary. Egoizm i zarozumiałość — lekceważenie matki — zawiść i prawie wzgarda w stósunku do siostry — brak miłości ku ludziom, nadający całemu jéj zachowaniu coś szorstkiego i opryskliwego w obejściu — swywolne miłostki z Grabcem po za plecami matki, w których ile wnosić można, dość już daleko zabrnęła — chęć wyjścia z biednego stanu, posunięta do namiętności — kiedy trzeba, obłuda i serdeczność udana, np. w stósunku do Kirkora: — to są kolory, którymi odmalowano bohaterkę tragedyi już w expozycyi.

Goplana słysząc od Grabca, że on tą dziewczyną zajęty, wręcz wypowiada, że Balladyna „złe ma serce“. Grabiec tego nie przyznaje. Podobnie nie przenika tego jeszcze i matka, z zaślepieniem rozmiłowana w swéj córce starszéj. Ludziom zwykle instynkt nie mówi tego, co czują nawet niższe twory w naturze. Iści się to i w tym razie. Kiedy Alina wyjdzie z chatki, to jaskółki domowe okrążają ją jak wiankiem, i świegotaniem radosném już z oddalenia zapowiadają jéj powrót: a przed Balladyną lśniąca jaskółka „kryje się pod słomą i cicho siedzi“...

Przypadkowa sposobność, o któréj mówiliśmy już tyle na poprzedzających kartach, stawia Balladynę znienacka na rozdrożu strasznéj pokusy. Maluje się przed jéj oczyma widok wielkiego szczęścia. Osięgnie je, osięgnie je natychmiast, będzie je miała tylko dla siebie i tylko sobie je zawdzięczając, jeżeli zostawi wolne ręce i pełną władzę demonizmowi, który nurtuje w jéj sercu. Zachowa ręce czyste od zbrodni, jeżeli zniesie, że się to szczęście dostanie siostrze... W téj chwili strasznego boju ze sobą samą, nie odgrywa u Balladyny żadnéj roli ani miłość, ani nawet chęć wyjścia na wielką panią. Balladyna nie czuje tego, co młodsza siostra. Balladyna nie mogłaby powtórzyć za Aliną:

„Bo widzisz siostro, że ten malin dzbanek
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek
I wszystko moje. — Ja kocham Kirkora!
Ach! nie dla tego, że Kirkor bogaty,

Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty"...

Balladyna jeszcze wczoraj kochała Grabca, a teraz jest gotowa porzucić go dla drugiego tylko przeto, że ten drugi „chodzi w złocie i ma miecz jasny i służebnych krocie." Balladyna wyjdzie z téj sfery poziomej, w któréj się urodziła, i wtedy, kiedy Kirkor nie ją samę, ale Alinę poślubi. Bo słusznie zagaduje ją siostra:

„Bo widzisz rybko, są inni rycerze!
Jak będę panią, to ci znajdę męża"...

A więc nie oneto znajdujące przystęp i do serc słabszych uczucia powodują Balladyną do wyboru drogi, którą się puszcza. Nie miłość to ją uwodzi, nie żądza to pozioma i pospolita, żeby tylko wydobyć się z barłogu, wiedzie ją na pochyłość występku. Najdemoniczniejsza ze wszystkich namiętności — zawiść i duma — to jest sprężyna, która wyrzuca z jéj ust owe słowa pełne gniewu i szału, wymówione do Aliny już z nożem zabójczym w ręku:

„Ty będziesz panią? ty? ty!"...

Ale prócz zawistnéj dumy była tu i inna jeszcze sprężyna w ruchu. Demonizm jest w stósunku swoim do człowieka dwojaki: w jego własném wnętrzu — i na około niego. Ten drugi, że tak powiem: z zewnątrz działający demonizm, czynny jest za pośrednictwem złych ludzi, którzy nas otaczają. Jakoż jest i to zużytkowane w téj sztuce, a mianowicie mamy przeprowadzenie tego momentu w Kostrynie. Lecz ze stanowiska ludowéj wyobraźni rzecz biorąc (a trzeba brać niejedno w Balladynie koniecznie i z tego stanowiska), wywiera działanie swoje demoniczna potęga także i bezpośrednio: przez niewidome, właściwe swoje narzędzia, w bezpośredniém tychże ze światem ludzkim zetknięciu.

Pustelnik, zamieszkujący tesame puszcze, które były sceną katastrofy wydarzonéj między dwiema siostrami, napomyka przygodnie, w jednéj z późniejszych sytuacyi, że miejsce to nawiedzają złe duchy.

— „W lesie są szatany.
Ja znam się z nimi: nieraz mi do celi
W okna stukają“ —

Otóż zdaje mi się, że było zamiarem poety dać widzieć akt zamordowania Aliny z takiéj strony widzowi, iżby temuż ani to było wątpliwém, że w téj sprawie nie sama tylko działała złość Balladyny: że w niéj miało swą cząstkę i piekło w dosłownym sensie.*) Powtarzam raz jeszcze, że chodziło o przeprowadzenie tego ustępu w duchu ludowych wyobrażeń!..

Tu zagadnąć by mię można: jeżeli taki tu był zamiar poety, to dlaczegoż Pustelnik, dlaczego wreszcie Alina nie podlegają temu szatańskiemu wpływowi, skoro się znajdują w téműże miejscu, gdzie rzeczonemu opętaniu Balladyna uległa?

Nie ma w téj pozornéj sprzeczności żadnéj niekonsekwencyi! Na pokuszenie wystawione są z prawdziwém niebezpieczeństwem tylko natury do tego usposobione. Jak w fizycznym świecie ton wydobyty z jednego ciała, wywołuje oddźwięk przez sam fakt swojego brzmienia, tylko z tych ciał okolicznych, które

*) Balladyna szukająca malin po lesie, okazuje się jak gdyby w obłąkaniu. Widzi, czego drugie oczy nie widzą; a nie widzi tego, co jest. Nie ma w owéj chwili w niéj jeszcze myśli zabicia siostry. Ta myśl rodzi się w niéj dopiéro późniéj—w ciągu rozmowy z Aliną. („Gdybym cię siostro zabiła?“...) Jest ona tam jeszcze sama, bez żadnego złego zamiaru, a jednak już rozumieć siebie nie może....

„Jak mało malin, a jakie czerwone!
By krew... Jak mało! — W którą pójdę stronę?
Nie wiem... A niebo jakie zapalone —
Jak krew! — Czemu ty słońce wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną niż taki poranek;
Gdzie moja siostra? Musiała na prawo
Pójść i napełnić malinami dzbanek;
A ja wśród jagód chodzę obłąkana
Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.“ itd.

Po dokonaniu już zbrodni, piérwsze słowa Balladyny są jakby człowieka, który się budzi ze snu:

„Co moje ręce zrobiły? — O! —“
. . . .
„Któż zabija za malin dzbanek siostrę?!“ itd.

zdolne są zajęknąć takimże tonem: tak i w duchowych sferach przewadze demonizmu poddane bywają tylko natury, noszące zaród jego i w własném sercu...

Wybornie rzecz tasama jest przeprowadzona i w szekspirowskim Makbecie. Wszakże z czarownicami na ustronném pustkowiu spotyka się tam nie tylko Makbet, ale i Banko. Jednemu i drugiemu te kuszące istoty oznajmiają wielkość w przyszłości. Jednego i drugiego starają się złudnemi obietnicami wciągnąć w to zaczarowane koło występku, z którego nie ma wyjścia. Co większa: i Makbet i Banko daje ucho, i wiarę nawet, czarodziejskim tym przepowiedniom. Obaj całą myślą grzęzną w tym widoku wyniesienia, jakie ich rzekomo czeka... A jednak — tylko sam Makbet staje się w skutek tego zbrodniarzem. Natura Banka stawia go po za praktyczną doniosłością władzy, która tamtego nieuchronnie pod moc swoję zagarnia...

Wróćmy do naszéj tragedyi. — Zbrodnia zostaje więc dokonana — Balladyna zabiła siostrę. Ten czyn daje jéj w ręce wszystko, czego pragnęła. Opuszcza wioskę jako żona rycerza; zamienia chatę na pyszny zamek. Postanawia sobie... zapomnieć o wszystkiém co się stało, i nie dbać o nic. —„Na niebie jest Bóg. Zapomnę, że jest. Będę żyła, jakby nie było Boga“...

...„Więc mam już wszystko — wszystko. — Teraz trzeba
Używać — pańskich uczyć się uśmiechów
I być jak ludzie, którym spadło z nieba
Ogromne szczęście. — Wszakże tyle ludzi
Większych się nad mój dopuściło grzechów,
I żyją“...

To są znowu — postanowienia ludzkie. W tym kierunku sobie Balladyna swoję przyszłość wytyka.

A cóż na to potęgi, kierujące życiem człowieka?

— Powstaje właśnie z pomiędzy nich najstraszniejsza, najwięcéj nieuchronna: Fatalizm. Nie ten ślepy i nierozumny fatalizm, jak go sobie w postaci Przeznaczenia wyobrażali poganie,

albo jak dziś wierzy w niego islamizm. Fatalizm przez Słowackiego użyty za dźwignią zawikłania — jestto ta wewnętrzna i przedmiotowa logika czynów z naszéj własnéj woli wynikłych, któréj rozkazom wolność nasza odtąd — mimo żalu, mimo wstrętu, mimo oporu przeciw téj sile coraz wyżéj nam po nad głowę rosnącéj — z konieczności poddać się musi. Wobec téj władzy, téj potęgi samych stósunków — świat ludzki rzeczywiście nie więcéj znaczy, jak w starożytności wolność pojedynczych śmiertelnych, porównana z niecofnioną w wyrokach swoich Ananką.

Jeżeli w akcie piérwszym tragedyi główne pole działania przydzielił autor przypadkowości krzyżującéj zamysły ludzkie; a w drugim akcie stawił na piérwszym planie demonizm: to począwszy od trzeciego najważniejszą sprężyną akcyi staje się właśnie ta fatalność zbrodni, płodzącéj z siebie coraz nowe występki. Nie przestają być czynnemi i tamte dźwignie, ale działają odtąd już tylko pomocniczo.

Niewidzialna ręka zbrodni prowadzi Balladynę daléj, mówiąc do niéj jéj własnym głosem, głosem sumienia...

— „Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczy: zabita — zabita — zabita!
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja?
Chciałam krew obmyć: — z błękitnego zdroja
Patrzała twarz jéj blada i milcząca"...

Takie są uczucia Balladyny, bezpośrednio po dokonaniu czynu. Nie przestaje ścigać ją sumienie i na zamku Kirkora.

..."Rankiem głos sumienia nudzi —
Nad wieczorami dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi...
O! gdyby nie to!"...

Fantazya ludu lubi temu wszystkiemu, co się kryje na spodzie serca, dawać i wyraz zewnętrzny. Na czole Balladyny pozostała od owéj chwili okropnéj w lesie, plama krwawa, któréj zmyć w żaden sposób nie można. Balladyna zasłania ją na razie

obwiązką, którą jak przed Kirkorem powiada, czoło swoje przesłoniła z powodu jakiegoś ślubu. Ale to fortel — tylko do czasu skuteczny! Mąż domaga się koniecznie, żeby ta wstęga była już zdjęta z białéj jéj skroni, kiedy on wróci z wyprawy, którą podejmuje zaraz nazajutrz po ślubie, nié chcąc żonie wyjawić, jaki powód tego wyjazdu. Balladyna podejrzywa, że on jedzie szukać Aliny, któréj ciało zostało w lesie. Z swojéj strony i matka, przy córce mieszkająca w Kirkorowym pałacu, dręczy Balladynę ciągłemi pytaniami, co to za plama czerwona?.. Ten wyjazd tajemniczy męża, te zagadywania matki, to nalegliwe żądanie, żeby zrzucić z czoła przepaskę — wszystko to niepokoi zbrodniarkę. Trzeba koniecznie coś wymyślić, żeby się pozbyć spojrzeń matki; żeby przed mężem — jeśliby tego była potrzeba, znaleść jakąś obronę... w trzeciéj osobie.

Nastręcza się kusiciel, pochlebca, kłamca, szatan wcielony — w postaci niemieckiego przywłoki. Ku czemu Balladyna dopiéro dąży, na tym punkcie stoi już dawno ten prototyp skończonéj nikczemności. Genezy złego żadnéj dla niego już nie ma! Jednėm spojrzeniem zrozumiały się te dwie dusze pokrewne. Przed Kostrynem nie ma Balladyna potrzeby taić ani swego pochodzenia, którego z dumnéj próżności żadną miarą nie chciałaby się dawać domyślać ludziom co ją otaczają, ani występku, którego krwawe świadectwo nosi wypisane na czole. W oczach Kostryna taka przeszłość, jak Balladyny — to właśnie najpożądańsza rekomendacya! Następuje tedy, co w danėm położeniu i ze strony takiéj natury prawie musiało nastąpić: zdrada i wiarołomstwo przeciw mężowi — nielitość i niepoczciwość przeciwko matce, któréj się jako matki wypiera i na jakiejś ją samotnéj wieży osadza, ażeby nie mieć jéj ciągle na oczach.

Ale sumienie — w postaci strachu kary wichrzące w myślach zbrodniarki, nie usypia, nie milknie... Te środki ostrożności, te nowe zbrodnie — obiecujące skuteczność, nim zostały przedsięwzięte — po dokonaniu, nie zdają się dawać żadnéj rękojmi. Były to tylko półśrodki! Trzeba koniecznie znaleść skuteczny sposób na zmycie owéj krwawéj skazy na skroni! Może

pustelnik, znający siłę wszech roślin i rozdający leki na wszelką słabość, potrafi nastręczyć jaką radę i na to. Biegnie tedy do pustelnika. Nie zastanawia się, co czyni, — na oślep, jakby ją pędziła jaka siła tajemna, bieży na miejsce, w pobliżu którego popełniła morderstwo...

Przekora wszelkich rachub, przypadek,*) i sama natura rzeczy sprawiają, że ta bytność u pustelnika właśnie sprawę pogorsza. Pustelnik wie już o zabójstwie popełnioném w tym lesie. Widział ofiarę... Własne serce Balladyny wydaje teraz, czyjéj to ręki ofiara!.. Jest tedy odtąd człowiek na świecie, który wie niewątpliwie, co zaszło! Aż dotąd trwożyła Balladynę obawa że mąż, albo matka, ją może — podejrzywają o sprzątnięcie siostry ze świata. Teraz powiedziano jéj to otwarcie i wręcz: Zabiłaś siostrę! Ten, kto to wyrzekł, często widuje się z Kirkorem...

Jeżeli już powyższa okoliczność sprawia wielki przewrot w duchowym téj kobiety nastroju: nie mniéj posuwa się naprzód geneza sprawy i z innéj strony. Balladyna rzuciła się w objęcia Kostryna, nie z pociągu ku niemu, ale z rachuby. Oddała mu się, ażeby go zrobić swojém narzędziem; ażeby mieć w nim wykonawcę czynów, które wskaże jako konieczne. Ale ten demon wcielony nie poprzestaje na téj roli podrzędnéj! Rzecz się obraca na odwrot — i raczej to Balladyna staje się posłuszném narzędziem w jego rękach. Nowy mord, dokonany na gońcu Kirkorowym, na przysłanym z darami do Balladyny Gralonie — to już czyn tylko głowy Kostryna, choć go spełniła ręka Balladyny owładniętéj przez jego wolę.

Teraz wszystkie już węzły z mężem zerwane! Nie ma nawrotu! Choćby nawet rzecz co do Aliny i co do krwawéj plamy na czole pozostała tajemnicą na wieki: zamordowanie Gralona stawia żonę względem męża w tém położeniu, że albo on albo ona — zginąć musi.

---

*) Pustelnik przywołany został na miejsce zbrodni, zaraz po dokonaniu takowéj, przez Skierkę i na rozkaz Goplany; obacz stronę 50 wydania lipskiego.

Podobnie daje Kostryn pobudkę i do ostatecznego wypędzenia matki z zamku kirkorowego. Dotąd wydawała ją Balladyna przynajmniéj za swoję mamkę i cierpiała osadzoną w ustronnéj części pałacu. Na wielkiéj uczcie — zagadnięta przez króla o herb swój i pochodzenie, kiedy się jeszcze waha, co na to odpowiedzieć: podsuwa jéj co prędzéj ówto powiernik złowrogi tę kłamliwą odpowiedź, którą daje rozpowiadając, jakoby była wypędzoną przez wuja swego księżniczką z dalekiego gdzieś świata. Wobec takiéj genealogii, stara matka, która się właśnie w téjże chwili zjawia pomiędzy biesiadnikami z dojmującymi wyrzutami przeciwko córce, musiała już doznać losu, jaki ją w scenie owéj spotyka.

Tak więc, i to jaskrawe sponiewieranie matki i stanowcze zerwanie z mężem, sąto czyny wynikające właściwie z inicyatywy Kostryna. Pomimo tego nie można ich uważać za uczynki tylko narzucone woli bohaterki dramatu. Kostryn został przez Balladynę dobrowolnie przypuszczony do uczestnictwa w jéj tajemnicach i w jéj występkach. Wybrała go sobie za powiernika właśnie przeto, że go przenikła jako czarną naturę. Wszystko tedy, do czego on się przyczynia, pada w zakres odpowiedzialności jéj saméj. —

Jesteśmy na początku czwartego aktu. Aż dotąd, wszystkie winy popełnione przez Balladynę wiążą się z sobą jako ogniwa jednego łańcucha, jako wyniki, coraz nowe, jednéj przyczyny. Z osobna biorąc, każdy krok na téj drodze występnéj wzbudza w widzach wprawdzie odrazę: w związku wszelako sprawiają one wszystkie razem wrażenie tragicznego toku wydarzeń, a sprawiają je dlatego, że sąto same nieuchronne następstwa piérwszéj przewiny.

Począwszy od tego miejsca, urywa się jednakże ten ciąg organiczny tragicznego dotąd działania. Zamordowanie bezbronnego Grabca, przemienionego w czarodziejski sposób w króla z koroną Lecha na głowie, nie może już w żaden sposób uchodzić za wynik poprzednich zdarzeń. Jestto zbrodnia nowa, zgoła dobrowolnie przez Balladynę postanowiona i wykonana. Zbrodnia ta,

otoczona całą szpetnością czynu, dokonanego podstępnie i nocną porą, z pogwałceniem gościnności i wszystkich praw natury, odbiera charakterowi bohaterki ostatnie znamię tego czegoś, co-ją podnosiło w oczach widzów aż do téj chwili. Zresztą łączy się z całym tym pomysłem tyle różnych, mniéj jasnych i w ogóle mniéj szczęśliwych okoliczności, że od téj pory trudno już nam iść w ślady za autorem w taki sposób, iżbyśmy się godzili — choćby nawet z jego własnego stanowiska — na rzeczy w akcie czwartym zawarte.

Ażeby zacząć właśnie od tych okoliczności ubocznych: rozumiem ja wprawdzie i uznaję za słuszne, powody, dla których się podobało autorowi uczynić Grabca właśnie, a nie kogo innego, przypadkowym posiadaczem korony wykradzionéj pustelnikowi. Jestto figura bezmyślna i prawie zawsze pijana. Tacy ludzie najlepiéj się do tego nadają, żeby zostawali pod szczególną i nigdy nieustającą tak protekcyą jak ironią przypadkowości. Kto się nigdy własnym nie kieruje rozumem, tego popycha w prawo i w lewo lada zewnętrzne zdarzenie; a suma zdarzeń takich, pozbawionych wewnętrznéj wstęgi, stanowi właśnie co zowiemy ślepym trafunkiem. A zatém postąpił sobie autor Balladyny zupełnie odpowiednio poprzednim założeniom, że właśnie Grabcowi fantastyczne owe uosobienia przypadku kładą na głowę odszukaną koronę Lecha, za czém poszło całe owo humorystycznie przedstawione przemienienie tegoż w króla dzwonkowego.

Mniéj zato jasnym jest już powód: **dlaczego** ten król czarodziejski, ten Grabiec od stóp do głów przekształcony w postać siwego starca w koronie, przybywa na zamek Balladyny?... Zapytuje go Skierka zaraz po dokonanéj przemianie: —

„Gdzie król jedzie?

GRABIEC.

Na uczę ślubną do Kirkora.“

Na **jaką** „ślubną“ ucztę? dlaczego właśnie na ucztę **w domu Kirkora**? — o tém ani słowa w dramacie! Tak więc pozostawił poeta własnemu widzów przemysłowi uzasadnienie jednéj ze scen najważniejszych w całéj tragedyi!

Czy Grabca do tych odwiedzin ciągnie dawna skłonność ku Balladynie? Zdawałoby się, że tak jest. Przynajmniéj trudno temu inny powód podłożyć. Ale w takim razie równie też trudno jest pojąć, dlaczego w żadnéj scenie następnéj nie widzimy wcale téj roli dawnego kochanka w starym królu dzwonkowym? Postępuje on tu sobie, jakby był i wewnętrznie przeczarowanym, jakby w duchu wcale już nie był Grabcem, jakby Balladynę widział piérwszy raz w życiu... Ona tém mniéj wiedzieć może, kogo gości w swym domu. Cała tedy tożsamość osoby Grabca z tą ukoronowaną postacią nie została przez poetę wcale spożytkowaną, w żadnym kierunku. A kiedy potém, po ukończonéj już uczcie, w nocy przychodzi wreszcie do zamordowania tego bezbronnego i pogrążonego we śnie człowieka: to okoliczność, że nim jest dawny Balladyny kochanek, sprawia — pomimo nieświadomości w jakiéj czyn ten ona spełnia, prawdziwie monstrualną odrazę!..

Nie dość na tém. Słaby ten ustęp zmniejsza wartość całéj tragedyi i z innéj jeszcze przyczyny: z przyczyny zbyt daleko posuniętego tu podobieństwa naszego autora z Szekspirem! Cała ta scena nocna — to żywcem zdjęta kopia tylko i parafraza owego ustępu w Makbecie, w którym Makbet i żona jego zabijają w tenże sam sposób w domu swoim króla, który do nich przybył w gościnę...

Daleki ja wprawdzie jestem od chęci robienia komu z tego zarzutu, że się w dzieło jego wkradło przypadkowym sposobem jakie podobieństwo do wyrażenia, do obrazu, a choćby wreszcie i do pomysłu, użytego już przez którego z dawniejszych autorów. Minęły dzięki Bogu już czasy, gdzie na słowach, na rymach, na zwrotach i tym podobnych drobnostkowych szczegółach pokładano całą wartość dzieła poetyckiego. Dzisiaj ideje nowe, całość pomysłu, sposób całego prowadzenia osnowy — to jest, co rozstrzyga o samodzielnéj oryginalności poety. Przypadkowe podobieństwa między późniejszymi utworami a dawniejszymi, jeśli dotyczą tylko samych szczegółów, ani dziwić ani razić zbytecznieby nie powinny. Niezmiernie trudną jest rzeczą, żeby ludzie genialni w swoich obserwacyach życia ludzkiego nie mieli się niekiedy spotykać

na jednéj drodze. Pod tym względem stanowisko późniéj żyjących wielkim podlega trudnościom w obec mistrzów, co mieli szczęście, wiekiem lub kilka wiekami pierwéj przyjść na świat. A im czasu więcéj upłynie, tém bardziéj ta dla młodszych tak niedogodna niekorzyść będzie wzrastała, tak iż przyjdą nakoniec czasy, gdzie będzie to prawdziwą sztuką, być rzeczywiście oryginalnym!

Co się tyczy Balladyny, zrobił to spostrzeżenie sam już Słowacki, że można w niéj upatrywać podobieństwo do szekspirowskich utworów. W jednym z listów swoich do matki wskazuje on mianowicie na króla Lira, jako na sztukę, którąby mogła przypominać jego tragedya. — „Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stanęła kiedy przy królu Lirze!" — W saméj istocie są miejsca i w rzeczoném dziele starego mistrza, które się mimowolnie nasuwają pamięci, kiedy się czyta Balladynę.*)

---

*) Podobieństwa te dają się ściągnąć do następujących punktów. Lir na samym początku sztuki zapytuje córki swoje, jak go kochają: i otrzymuje od każdéj z nich odpowiedź — odpowiednią ich naturom. Podobnie pyta i Kirkor obydwie siostry, która z nich bardziéj go kocha? Odpowiedź jednak Aliny stanowczo odstępuje od tego, co tam powiada o miłości swojéj Kordelia. Jest zatém i zbliżenie się do Szekspira w tém miejscu, i jednak niezawisłość od niego.—Podobnie rzecz się ma i co do następującego szczegółu: Niewdzięczność obu starszych córek Lira przeciwko ojcu zupełnie rymuje z niegodziwością, z jaką Balladyna matkę swoję z domu swego wyrzuca. Ale w sztuce Słowackiego jestto szczegół podrzędny, a tam stanowi właśnie główny przedmiot tragedyi. — Daléj: Wypędzony z domu dzieci swoich król u Szekspira, błądząc po burzy i nocy, z oburzenia i rozpaczy utraca rozum. Matka Balladyny, wyrzucona w równie nielitosny sposób na słotę, traci wzrok. Ale prócz téj mikroskopicznéj analogii, zbliżającéj losy tych dwóch osób ku sobie, nie mają dwie te postaci żadnéj zgoła między sobą wspólności. Każda z nich w całości sztuki znaczy zupełnie co innego. — Przewrotna Goneryl zdradza męża swojego, zawięzując poufałe stósunki z bękartem i podłego charakteru człowiekiem, t. j. z Edmundem. Podobne stósunki mają ze sobą i Balladyna z Kostrynem. Rzecz jest tasama; ale powody takowéj w każdéj sztuce są przedstawione inaczéj — Wreszcie zachodzi większe, niżby sobie życzyć można, podobieństwo w owéj zresztą podrzędnego znaczenia scenie, w któréj

Takowe jednak dotyczą zawsze rzeczy ubocznych, i nie dostrzeże ich nikt inaczéj, jak tylko w zewnętrznym sposobie wystawienia tego lub owego szczegółu. Ani co do założenia, ani co do sprężyn działania, ani wreszcie co do charakterów celniejszych dostrzéc bym ja nie potrafił pokrewieństwa między Lirem a Balladyną. W każdym razie nie jest ono większe, jak między Snem Nocy Letniéj a fantastyczną częścią naszéj tragedyi, któratо część, jakeśmy to wykazali już wyżéj, wewnętrznéj zawisłości od wzoru szekspirowego nie ma w niczém, i tak się różni od niego, jak się duch wyobrażeń gminnych w angielskim narodzie różni od naszéj wyobraźni ludowéj.

Za to przyznaję, że trudnoby było nie widzieć wprawdzie tylko częściowéj, ale też zato bardzo uderzającéj zawisłości Balladyny od innéj sztuki Szekspira — od Makbeta. Pomijam zbliżenie obu tych dramatów do siebie przez całą dążność. Utwor angielski wyłącznie, polski przeważnie polega na tej prawdzie ogólnéj, że zbrodnia raz dokonana prowadzi zbrodniarza daléj, i nie dozwala mu prędzéj spocząć na téj drodze pochyłéj, dopóki nie przemierzy całéj skali występków. Ale takie zbliżenie, takie saméj tylko idei abstrakcyjnie w dzieło włożonéj dotyczące pokrewieństwo pomiędzy dwoma utworami czyto poetyckimi, czy rysunkowéj sztuki — nie ubliża ani zasłudze późniejszego artysty ani wartości dzieła dotyczącego. Prawd ogólnych i wiekuistych, na których założone są węgły świata, szczupła tylko jest liczba. A objawów prawd takowych na tle rzeczywistych stósunków czy to w sferze dziejowéj czy potocznéj nieskończona jest ilość i nie ma dnia, w którymby mnogość ona nie powiększała się jeszcze... Pomijam zatém zupełnie tę właśnie stronę analogii między tragedyami, które tu porównywamy. Natomiast nie mogę przejść milczeniem nad podobieństwami w pomysłach poszczegól-

---

u Szekspira Regan z nienacka mieczem przeszywa sługę, potykającego się z jéj mężem, z tyłu napadając na niego. Zupełnie tymże sposobem ginie u Słowackiego Gralon, w plecy ugodzony śmiertelnie przez Balladynę, w chwili kiedy z przodu nacierał na niego Kostryn.— To są wszystkie długi w sztuce niniejszéj zapożyczone z Lira, jeśliby je kto koniecznie chciał za takowe uważać.

nych, konkretnych, całym scenom Balladyny za osnowę służących: a do takich liczę najprzód cały ustęp uczty w Balladynie, pod niejednym względem ułożonéj na wzór i podobieństwo sławnéj uczty w trzecim akcie Makbeta, gdzie duch Banka, tylko zabójcy swemu widzialny, między biesiadnikami zasiada; a potém — w wyższém jeszcze stopniu poczytuję za zapożyczenie się takie leżącą właśnie przed nami scenę skrytobójstwa dokonanego na Grabcu. W szczegółowém przeprowadzeniu uczty są przynajmniéj częściowe ustępy, dokonane samodzielnie i z niezrównaną poetyczną pięknością. Ale w tém miejscu zbliżenie się do wzoru szekspirowskiego zdaje się być posunięte daleko po za granice właściwe.

Tym ustępem rzeczywiście ubliżył sobie Słowacki! Cała ta sytuacya, wszystko co tę sytuacyą otacza, dekoracyjne do niéj przyrządy itd. taką samą są reminiscencyą tylko i niczém więcéj, chociaż je powleka własna słów szata, jak jest reminiscencyą nawet co do wyrazów ów wiersz, w téjże scenie w usta Balladyny włożony:

„Świecy! — mój cały zamek za błysk świecy!“ *)

Wierzę temu mocno, że w powyższych miejscach, kiedy one były pisane, ani marzyło się Słowackiemu, żeby to były rzeczy niegdyś czytane w Szekspirze. Zapożyczać on się u niego nie chciał, i wcale nie potrzebował tego. Niosła go fantazya, jak uragan niepowstrzymany: — i czując jéj potęgę poeta, nie wglądał, z jakich ona zasobów czerpie, czy z krynic własnego ducha, czy z światów — tylko studyami nagromadzonych w pamięci... Wskazuję na to rzadkie w rodzaju swoim zjawisko, albowiem ono u Słowackiego i niejednę inną anormalność tłómaczy. Siłą fantazyi przewyższał on niewątpliwie wszystkich naszych poetów. Że jednak fantazyi téj nie miarkował reflexyą, nie przenikał rozumem, nie kiełznał, nie badał, nie karcił zastanowieniem: dał przez to przodek przed sobą owym wybranym, co łączyli w sobie obojgo...

---

*) „Konia! konia! Całe królestwo moje za konia!“ w Ryszardzie III Szekspira.

Wracając do głównéj rzeczy, zauważyć tu muszę, że na karb téjto właśnie nierównowagi między siłą twórczości a instynktem krytycznym u Słowackiego, złożyć należy i ten nadmiar zawikłania, to przepełnienie okropnościami, od którego wymówić żadną miarą niepodobno końca sztuki obecnéj. Przepełnienie to razić stanowczo zaczyna w ciągu aktu czwartego. Autor zapomniał, że miał przed sobą daleko bardziéj obowiązek utrzymywać w widzach współczucie dla bohaterki, aniżeli malować czarność jéj już na całą wieczność zwichniętego sumienia. I ażeby wyrzeźbić w całéj posągowéj plastyce te jéj słowa rzeczone do pustelnika, kiedy tenże podsuwał jéj myśl żalu, nadzieję zmazania zbrodni, życzenie powrotu do życia zabitéj siostry — słowa mówię następujące:

„Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdéj twarzy trzy straszniejsze plamy:
Wolę je znosić aż do Boga sądu,
Niż — — “

uwidamia autor zaciętość i niepoprawność téj demonicznéj natury w taki sposób, że przy zdarzonych podobnych okolicznościach — pomimo że Balladynę w ciągu rodzenia się w jéj głowie tego występnego zamiaru widmo Aliny jak anioł boży przestrzegający od złego nawiedza w ciągu owéj biesiady i przeraża dotykalną grozą kary przewidywanéj — każe jéj iść przebojem i daléj drogą poczętą i popełnić raz jeden jeszcze tęsamę zbrodnię, jakiéj się dopuściła na siostrze.

Akt piąty wypełniają zdarzenia, ściśléj znowu powiązane z poprzedniemi zajściami, niż sceny czwartego aktu. Jest to akt samych już zgonów. Mnogość ludzi padających ofiarą, mianowicie jeżeli się do niéj doda tyle już zabójstw dokonanych w poprzedzających aktach, upoważnia do zarzutu niedarowanéj przesady w nagromadzeniu jaskrawych okropności. Skądinąd przyznać jednak trzeba poecie że każdy z tych licznych szczegółów tworzących katastrofę jest uzasadniony przynajmniéj lokalną jakąś stąd lub z owąd potrzebą. Pustelnik ginie, z rozkazu Balladyny, gdyż jest w posiadaniu tajemnic, które musiałyby ją zgubić, gdyby

zostały wyjawione. Kirkor ginie w walce z hufcami Kostryna, gdyż jestto bój, który po tém wszystkiém, co zaszło, nie może się kończyć inaczéj, jak tylko zagładą jednéj lub drugiéj ze stron walczących. Kostryn, po odniesioném zwycięstwie, zostaje trucizną zgładzony z świata, gdyż jest on już teraz niepotrzebném, a bardzo niedogodném dla Balladyny narzędziem.

„Jeżeli zwycięży:
Jak mu nagrodzę? w ziemi całéj łonie
Nie znajdę kruszcu na zalanie gardła
Temu Niemcowi"...

Nie pozostał tedy przy życiu żaden wspólnik, żaden świadek, żaden nawet możliwy oskarżyciel win ciężących na Balladyny sumieniu. Wszystkich, co przeszłość jéj znali, zamknęła w sobie mogiła. Matka stara, ociemniała, poszła gdzieś sobie w strony dalekie. Nie trafi ona do pałaców książęcych, których wnętrza otwierają się właśnie dla jéj córki przez lud okrzykniętéj królową. Nieznana nikomu i nikogo nie widząca nad sobą, doczekała się tedy Balladyna godziny, w któréj powiedzieć może:

..."Już przeszłość zamknięta
W grobach. — Ja sama panią tajemnicy!"

To sytuacyą zmienia.

..."Życie pełne trudu
Na dwie połowy przecięła korona:
Przeszłość odpadła jak od płytkiéj stali..."

Druga połowa życia, przyszłość, ma nie mieć żadnéj wspólności z krwawą drogą, która tę dziewczynę wiejską aż na wysokość tronu przywiodła.

„Nie dbam o sławę — wyższa nad sąd ludu,
Będę, czém dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą —
„Każcie wojennym brańcom rozkuć pęta,
Zastawić stoły na rynkach stolicy
I dawać co dnia dla żebraków strawę." itd.

Przyrzeka sobie tedy łagodne, dobroczynne, łaskawe dla wszystkich rządy, sprawiedliwy wymiar sprawiedliwości, słowem powetowanie uczynków złych i występnych stanowczém wejściem na inną drogę.

I jakąż na te znowu „postanowienia ludzkie“ dają odpowiedź one władze niewidome, potężniejsze niżeli wola człowieka?

Pęd popełnionéj zbrodni nie przestaje płynąć i daléj. Wobec téj przedmiotowéj potęgi, żadnego mieć nie mogą znaczenia okoliczności sztuczne i przypadkowe, że zbrodniarz zasiadł aż na wysokości samego tronu, albo że świadków przeciwko niemu zabrakło pomiędzy żyjącymi. To też działanie fatalizmu tego idzie olbrzymimi krokami naprzód. Za nic wszystkie zapóźne, połowiczne chęci nawrotu, po przeszłości tak dokonanéj. Rzeczy tak się same składają, że kiedy nie ma trybunału, wyższego nad Balladynę, to ona sama na siebie wydawać musi wyroki; i skoro nie ma świadectw dość pewnych na to wszystko, co dawniéj zaszło, to te minione, prawie zapomniane już nieprawości rodzą więc z siebie teraz, przed oczyma wszystkich, publicznie, taką okropną zbrodnię nową, że na jéj widok krew się ścina i w saméj okrucieństwa tego sprawczyni. Na torturach umiera stara jéj matka; umiera za to, że córkę która jéj się zaparła, i teraz jeszcze kocha; że ją i teraz jeszcze śmiercią swoją zasłonić pragnie od kary!..

Po tém wszystkiém wkracza ostatnia i najwyższa ze wszystkich potęg rządzących biegiem spraw ludzkich. Ponieważ wszystkie już ziemskie środki zostały zużyte, a demonizm cofnąć się na drodze swojéj nie myśli: więc czas, ażeby się niebo bezpośrednio wmieszało w to zwichnienie moralne natury ludzkiéj. Spada piorun z nieba, palec boży widnym się staje w bezpośredniém swojém działaniu i rzeczy świata tego wracają w karby należne.

Takto został wymarzony w poetyckiéj wyobraźni epizod, wsunięty w dzieje nasze mityczne, jako ogniwo łączące zamierzchłe czasy Popielów z pewniejszą i prawie już historyczném słońcem oblaną epoką Piastów. Jako ostatnia chwila przeddziejowego

istnienia, zaludniony on jest przez poetę, krom ludzkich, i fantastycznemi istotami. Fantastyczna ta cudowność jednakże rozwiewa się w mgły nicości wraz z świtem historycznego poranku. Uwzględnił i ten moment autor nasz, i w ostatnim akcie tragedyi wprowadza Goplanę, żegnającą te strony, zabierającą się z żalem do odpływu w zamierzchłą, w snach przedświtu pogrążoną jeszcze krainę — na północ...

„Chodźcie mnie uścisnąć aniołki,
Bo Goplana na wieki wam znika.
O zapłakane fijołki,
Róże moje, bądźcie zdrowe!..

„Polecę w okropną krainę
Gdzie sosny i śniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar“...

Razem z upadkiem Balladyny, razem z końcem balladowego przedbytu Polski, rozwiewa się więc w błękit daleki i ta fantastyczna królowa Gopła — podobna do chmurki za żórawi kluczem płynącéj coraz wyżéj i coraz daléj po niebie — do chmurki bladnącéj „jak miesiąc od słońca“, coraz mniejszéj i mniejszéj dla oka — wreszcie ginącéj w oddaleniu...

„Epilog“ nie należy do właściwéj osnowy sztuki. Jestto tylko odpowiedź autora na przewidywany zarzut, że jego powieść nie zgadza się z historyą. Zapytuje więc poeta: co jest historya? Czy historya, jak bywa, a raczéj bywała w dawnych czasach najczęściéj traktowana, wnika w skrytości serc ludzkich? czy dochodzi rzeczywistych pobudek zdarzeń, o których gada? czy wie wszystko?...

Martwa uczoność — pedantyczne poleganie na lada pozornych blichtrach — pochlebstwo względem panujących — płytka małoduszność, nie zawsze nawet będąca dobrodusznością: — oto zwyczajne przymioty kronikarzy. Z dziejowym wątkiem, nawiniętym przez takich ludzi, godzi się czasem rozminąć intuicyjnym jasnowidzeniom poety. O szczegóły tu nie chodzi — chodzi jedy-

nie o ogólne w zmyśleniach takich, dziejowe i psychiczne ideje. Z téj strony wolno poecie iść o lepszą z urzędową historyografią.

Z tym ostatecznym sensem całego epilogu, zdaje mi się, że się wszyscy zgodzimy. Nie poczytamy tego Słowackiemu za uchybienie, że wymyślił sobie do figur, znanych z podań bajecznych, jeszcze jednę królowę więcéj. W takich obrębach, jak przeddziejowa mytyczność, twórczości poetyckiéj służy cała swoboda. Zato wytknąć mu tu należy inną pomyłkę, to jest: że ogólny koloryt jego obrazu pod ubocznym wprawdzie względem, ale dość ważnym, staje znowu w sprzeczności z powszechném o téjże rzeczy wyobrażeniem. Mówię o pomieszaniu mytologii pogańskiéj z chrześcijaństwem, jakiego znamiona wszędzie się w Balladynie znachodzą. Dziwi mię bardzo, że się to właśnie mogło w tym dramacie najwięcéj Krasińskiemu podobać. Niezawodnie w czasach piastowych oświetlały już jakieś brzaski ewangieliczne tę krainę goplańską. Mieszały się miejscowe, po ojcach odziedziczone wyobrażenia religijne, z promieniami nowéj wiary. Lecz tak to być nie mogło, jak jest przeprowadzone przez naszego poetę. Najprzód bowiem nie widzimy u niego innéj pogańskiéj religii, jak grecką i rzymską, któréj przecie w tych stronach w żaden sposób nie możemy przypuszczać. Filon np. prawi ciągle o Apollinie, Wenerze, Dyannie itd. Nawet znane mu są takie osobistości wyłącznie greckie, jak Akteon, Endymion itp. Sąto oczywiście rzeczy bardzo niestósowne w tém dziele! Drugie, co mi się widzi jeszcze niestósowniejszém, to owo tak mocne w dotyczących miejscach nałożenie obrazu kolorami chrześcijańskimi. Nie tylko słyszymy ciągle wzmianki o Chrystusie i jego męce, o trzech królach, o Mojżeszu, o księżach, o organach, o odpuście, spowiedzi, rozgrzeszeniu, ale co gorsza, w akcie ostatnim, w scenie sądowéj, tak rzeczy są przedstawione, jakby chrześcijaństwo było już tu panującą, przez cały ogół, a nawet i przez organa rządu wyznawaną religią. To jest przesada, która i prostaczkowi dając się czuć doraźnie, zmniejsza złudzenie tak niezbędne dziełu dramatycznemu. Należało koniecznie inaczéj oddać to *chiaroscuro* dawnego stanu i nowego porządku rzeczy, pochwyconych w pierwszéj chwili przejścia z jednego w drugie.

Lecz to jest zarzut pomniejszy, gdyż dotyczy ubocznéj rzeczy. Ważniejszemi daleko widzą mi się inne niestósowności w tém dziele, które wytknąć musi krytyka mimo całego uznania dla poetyczności i głębokości pomysłu służącego mu za osnowę. Niestósowności te rażą pod kilku rozmaitymi względami, idą wszelako z jednego źródła: źródło to upatruję w niewłaściwości użytéj formy, t. j. w tém, że ręka poety wyrzeźbiła Balladynę w plastycznych kształtach tragedyi.

Dramat, a mianowicie też tragedya — jestto rodzaj poezyi zgoła odrębny. Cała natura téj poetyckiéj gałęzi do tego stopnia wymaga żywiołów sobie tylko właściwych, że mało który z przedmiotów, skądinąd stworzonych na to, żeby przyjąć na się kształty poezyi, nadaje się do tych wybrednych i skomplikowanych wymagań. Jeżeli jaki pomysł, to taki jak Balladyny, warunkom tym żadną miarą nie czyni zadość.

Niech mi się będzie wolno przedewszystkiém zapytać: czy ten ton ludowy, ten duch podań i wyobrażeń gminnych, użyty tu że tak powiem za regulatora wyobraźni poety, mógł — choćby nawet i pod piórem Juliusza — znaleść fortunne zastósowanie w dramacie?.. Gdyby Balladyna była zwyczajnym poematem: romantyczne pomysły, które w niéj przybrały ciało, fantastyczność, bezpośrednie demonizmu działanie, cudowność, słowem wszelkie nadzwyczajne sprężyny, grające tak przeważną rolę w tém dziele, byłyby nie tylko na swojém miejscu, lecz nawet jako nowe i nieraz głęboko pojęte rzeczy przydawałyby utworowi naszemu niepowszedniéj piękności. W dramacie—gdzie wszystko dzieje się przed żywemi oczyma widzów, gdzie złudzenie i prawdopodobieństwo stanowi tak konieczny wszystkich wrażeń warunek, gdzieśmy przywykli już wymagać od poety, ażeby wszelkie przejścia i zwroty działań działy się w imię pojęć, które my dzisiejsi i wszystko rozumem a nie fantazyą biorący ludzie uważamy za istotne i rzeczywiste: w dramacie powtarzam dźwignie takie, jak w Balladynie, nie są odpowiednie celowi. Przemiany Grabca to w wierzbę, to w starca — owa cudowna plama krwawa na czole, owe Skierki i Chochliki — wszystko to są przybory, dobre dla poematu, znośne w jakim pospolitym czarodziejskim melodramacie albo

wreszcie balecie; lecz w utworze, w którym się bierze rzeczy na seryo, w dziele mającém za zadanie poruszyć najgłębsze uczucia w widzach, sceny takie nie sprawiają wrażenia. Wolno było Szekspirowi wprowadzić element ten i zużytkować w Makbecie. Publiczność, dla któréj pisana była ta sztuka, wierzyła w czarownice; a wierzyła w nie tak powszechnie, że i poeta sam nie stanowił w téj mierze wyjątku od ogółu. Dziś inne są czasy i inne warunki sprawiania głębszych wrażeń na wyobraźni. Nasz poeta to czuł. Dlategoto też wycisnął on np. na owym świecie fantastycznym znamię znaczenia przez siebie dopiero onemu nadanego, znamię które go miało zbliżyć nieco do naszego stanowiska i podnieść po nad poziom ludowy. Lecz to znaczenie symboliczności nie dało się wlać w ten materyał zbyt powiewny w taki sposób, iżby go przenikało do rdzeni. Przenikło go zaledwie do połowy: reszta jest fantazmagoryą, która w scenicznym utworze raczéj razi, niż podobać się może.

Druga niekorzyść, z téjże saméj wynikająca przyczyny, widna jest w tém, że charakter Balladyny, tak jak jest przeprowadzony w tém dziele, okazuje niedostatki, które niedobrze oddziałują na całą wartość sztuki. W poemacie, w powieści, w balladzie itd. mogłaby to być figura, zupełnie czyniąca zadość warunkom piérwszorzędnéj osoby. W tragedyi — czarny ten charakter razi niestósowością: wzbudza wstręt, a tragicznych uczuć nie wywołuje.

Trzeciém téj niewłaściwości następstwem jest, że sztuka nasza o wiele przechodzi rozciągłość zwyczajnego dramatu i kiedy by była grana, to musiałaby być skróconą przynajmniéj o jednę czwartą. *)

*) Toby się zrobić dało, nie wystawiając przez to zbytecznie na szwank możności rozumienia całości kompozycyi. Mianowicie możnaby wypuszczać, przedstawiając Balladynę na scenie, następujące ustępy:

W akcie piérwszym: Na stronie (*edycyi lipskiéj*) 11, od wiersza 16 do str. 12 w. 28. — Na stronie 15, od wiersza 26 do strony 16, wiersza 22. — Na str. 17 wypuścić wierszy 9, począwszy od wiersza 24. Na str. 18 od wiersza 21 do wiersza 12 na str. 19.—

Na str. 20 wypuścić wierszy 9, począwszy od wiersza 13; i niżéj wierszy 8, począwszy od wiersza 29. — Na str. 21 opowiadanie Goplany trzeba ściągnąć do kilku wierszy. — Na str. 23 wypuścić wierszy 11, począwszy od wiersza 16. — Na str. 26 wierszy 3, począwszy od w. 16. —

W drugim akcie: Na str. 42 wypuścić wierszy 7, począwszy od w. 24. — Na str 50 wierszy 6, pocz. od w. 28. — Na str. 51 wierszy 10 od saméj góry, i niżéj wierszy 8, pocz od w. 27. — Na str. 53 cały ustęp, począwszy od wiersza 17 aż do samego końca téj sceny (na str 56), można także bez wielkiéj szkody odrzucić, jeżeli Balladyna już po monologu na str. 50 zabierze dzban malin z rąk Aliny zabitéj, i jeżeli się te wiersze ze strony 53:

„Jutro ty będziesz wolny mój kochanku;
Jutro wymawiać będziesz okrutnicy
Że cię dręczyła z ranka do poranku:"

przeniesie na str. 45 w wiersz jedenasty, dwunasty i trzynasty, i doda potém:

„Ale dziś niech kochanek Balladyny czeka" itd.

zamiast: „Niechaj teraz kochanek Balladyny czeka", jak obecnie jest w texcie.

W akcie trzecim: Całą piérwszą scenę wyrzucić. Niemniéj cały ustęp z Filonem, począwszy od wiersza 17 na str. 80, aż do w. 11 na str 82. — Na str. 85 wypuścić wierszy 10, począwszy od w. 17. — Na str. 86 wierszy 23, począwszy od w. 4. — Na str. 88 wierszy 6, począwszy od w. 8; i niżéj wierszy 6, to jest 4 ostatnie wiersze na téj stronie i 2 piérwsze na stronie 89.— Na str. 91 wyłączyć ustęp od w. 29 aż do str. 92 wiersza 10. — Na str. 93 wiersz 15ty zepsuty uzupełnić trzeba słowami: „niech ci służą". — Na str. 94 wypuścić wierszy 6, począwszy od w. 16. — Na str. 95 wierszy 10 pocz. od w. 10.

W czwartym akcie: Cały długi ustęp wyrzucić, począwszy od strony 115 wiersza 8, aż do strony 119 tam gdzie się scena czwarta zaczyna.

W akcie piątym: Wypuścić początek aż do str. 125 wiersza 19. — Na str. 126 wyrzucić wierszy 10 ostatnich. — Na str. 129 wierszy 4, począwszy od w. 18. — Na str. 130 wierszy 19, pocz. od w. 16 — Na str. 131 7 wierszy ostatnich. — Na str. 132 wierszy 13, pocz. od w. 7. — Na str. 133 wierszy 9, pocz. od w. 20. — Na str. 135 wierszy 12, pocz od w. 22. — Na str. 136, począwszy od wiersza 4 z góry, cały ustęp aż do str. 137 w. 9.— Niżéj na str. 137 wyłączyć 9 wierszy ostatnich i 16 wierszy piérwszych na str. 138. — Na str. 143 wierszy 9, pocz. od w. 17. — Cały Epilog także w przedstawieniu pominąć.

Zdaje mi się, że wykreślenia powyższe ożywiłyby dyalog, w każdym zaś razie skróciłyby sztukę o dobre 25 stron, co samo jużby

wielce ułatwiało możność należytego odegrania kiedy Balladyny na scenie. Była ona wprawdzie raz już grana we Lwowie w r. 1862 na benefis p. Wilkoszewskiego. Że jednak dano ją wtedy całą, bez żadnych zaokrągleń i skróceń, trwała tedy reprezentacya zbyt długo, a publiczność niecierpliwiła się i odeszła do domu niebardzo zadowolona z tego wieczora. Mogły się do tego przyczynić i rażące niedostatki w dekoracyach i maszyneryi, którą na prędce, bez wielkiego zachodu, przyrządzono z tego, co było pod ręką, nie troszcząc się wcale o to, żeby rzecz podnieść i w tym kierunku. Balladyna potrzebowałaby wielkiego wytworu w tym właśnie względzie w ustępach swoich fantastycznych, jeżeliby takowe podobać się miały widzom. Oprócz baletowéj staranności w tych akcesoryach dekoracyjnych, potrzebną byłaby jéj koniecznie i muzyka stósowna, towarzysząca działaniu w partyach czarodziejskich czynników akcyi. Bez tych pomocy ze strony sztuk pokrewnych, poezya w tém dziele nie potrafi zrobić wrażenia, któreby wynagrodziło śmiałość i powiedzmy otwarcie: zuchwałość poety, dającego taki pomysł w kształtach scenicznych.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Rozbior Lilli Wenedy. — Dany w niéj obraz zawiązku w Słowiańtwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowéj? — Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie „przekleństwa“, wskazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiéj jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum - Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na któréj dramat osnuty. Czy jéj wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi.

Lilla Weneda wyszła z druku wprawdzie po Balladynie. Co większa, Balladyna i napisana nawet została kilka lat pierwéj, niżeli Lilla. Pomimo tego, jeżeli chodzi o miejsce w szeregu sześciu owych zamierzonych dramatów, z których się miał złożyć cały cykl legend fantastycznych o najdawniejszéj Polsce: to piérwsze miejsce w tym cyklu zajmuje właśnie dramat niniejszy. Daje w nim poeta właśnie sam zawiązek, sam zaród społeczeństwa naszego. Drugiém ogniwem tego łańcucha miał być Krakus, którego Słowacki stawia jako syna Lecha. Dla Balladyny, jako wsuniętéj tuż przed czasy piastowe — więc już po dynastyi Popielów, przypada jedno z miejsc ostatnich, może piąte, lub szóste. Piąte, jeśli miał należeć do téj całości i „Wallenrod“; ostatnie — jeśli ta kreacya miała stanowić dzieło osobne.

W tym stanie rzeczy, jaki obecnie jest, posiadamy tedy tylko sam początek i koniec téj projektowanéj kolei legend. Lilla — to nawiązanie, a Balladyna — to dośpiéw téj udramatyzowanéj Epopei przedbytu.

Główny pomysł Juliusza co do zawiązku narodu naszego i zgadza i nie zgadza się z tradycyą przekazaną o tém przez kronikarzy. Zgadza się z nią w głównéj rzeczy — rozmija w szczegółach. Poeta nasz idąc w szczegółowém rozprowadzeniu dotyczących okoliczności wbrew tym podaniom i po większéj części wbrew też rezultatom ostatnich historyków, stworzył jednakże świat, który w sobie ogólną historyczną prawdę zamyka i nie tylko z poetyckiego, lecz i z historycznego punktu widzenia ostatecznie odpowiada powziętym powszechnie o genezie naszym pojęciom. Bo że porządek rzeczy lechicki, jakkolwiek co do rodu nieobcy, cywilizacyjnie, był czémś odrębném w słowiańśtwie: temu i historya nie przeczy. Że ten porządek zajął tu miejsce dawniejszych, nieco odmiennych, czysto słowiańskich stósunków: tego nauczają i dzieje. W tento jedynie też sposób mógł się tu począć ten żywioł polski, który pod wszelkim względem zawiera w sobie więcéj, aniżeli w sobie mieszczą żywioły reszty rozsiadłego na niezmiernych przestrzeniach tu i owdzie słowiańśtwa. Historyczna krytyka nie doprowadziła do pewnéj konkluzyi, skąd i kiedy i jak te lechickie pierwiastki przybyły między Słowian osiadłych po nad Gopłem i Wisłą. Lelewel, niezmiernie chwiejny w tym punkcie, to uważa w Lechach odcień tylko społeczny, zresztą miejscowy, to ich znowu gotów prowadzić z za Dunaju do Czech, a stąd nad Wartę. Bielowski wywodzi Polan od Daków czyli Traków, zatém z południa. Maciejowski od Swewów, więc z zachodu. Szajnocha od Skandynawów, zatém z północy. Nie brak na takich, którzy ten odłam plemienia przyprowadzają wprost z kolebki całego naszego szczepu, z za Kaukazu, zatém ze wschodu... Te różnice mniemań są tedy. Ale że nastąpiło jakieś przybytkowe wszczepienie latorośli nieco odrębnéj w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasów: na to się prawie wszyscy piszą jakby na fakt dowiedziony, a tradycya odwieczna o przyjściu Lecha w te strony, także to przypuszczenie potwierdza.

Jednakże historya pojmuje to przybycie nowych żywiołów na ziemię naszę w formie napływu. Przypuszcza napływ idei wyższéj, organizacyi odrębnéj, może też wreszcie nawet i rasy obcéj, lecz w taki sposób, że takowa bez wielkiego oporu potra-

fiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych zasobów i choć nad nimi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to jednak raczéj sama się do nich przyswoiła i rozpłynęła w ludności, którą napotkała w tych okolicach, niż żeby ją była miała w sposób gwałtowny wyprzéć albo wytępić.

Nasz poeta w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń utartych. Przedstawia on tę stósunków przemianę jako podbój, jako krwawe zetknięcie się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, co większa, jako bój dwóch różnych plemion o śmierć prowadzony lub życie w dosłownėm wyrazu tego znaczeniu. Przedstawia przyjście Lechitów jako zagładę zupełną dawniejszéj tych okolic ludności — na korzyść przybyłéj rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historyi i pokonanego plemienia za główny przedmiot swojéj tragedyi. Żywioł lechicki, zwycięski, dopiéro poczynający tu życie — odgrywa w niéj rolę tylko deuteragonisty. Prawdziwym bohaterem dramatu jest to ostatnie pokolenie Słowian czyli „Wenedów" nadgoplańskich, które po długiém i rozgłośném niegdyś istnieniu w szerokich kraju swego granicach, legło pod rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem. Jestto zatém per excellentiam tragedya idei, tragedya narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedynczych.

Sztuka się poczyna samym początkiem najazdu. Widzimy tu wprawdzie od razu króla Wenedów, toż obu jego synów w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem; ale ten wielki obrót rzeczy sprawiła jedna bitwa, piérwsze już starcie.

— „Cóż myślisz starcze o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem téj krainy:
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj tymi ludy"... itd.

Od tych słów, włożonych w usta Lechowi do Derwida pokonanego, już się poczyna akt piérwszy. —

W poprzedzającym akt ten Prologu, którego czas przypada właśnie na chwilę owéj bitwy stanowczéj, chociaż się takowa toczy opodal gdzieś po za sceną: daje autor kilka zarysów, charakteryzujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że We-

nedzi wskazani są na zagładę; że cięży nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny któréj upaść i zaginąć muszą.

— „Przekleństwo, przekleństwo. przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona — i na wieki
Widzę umarłą"...
— „Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty — o biada nam, biada! — "

Słowa te wypowiadają Róża Weneda, starsza córka Derwida, będąca wróżką — i harfiarze, którym jako kapłanom narodowym, odchylona jest zasłona przyszłych przeznaczeń ojczyzny. Lecz nie oni tylko sami posiadają tę świadomość przyszłości. Myśl ta jak miazmat trujący, zdaje się przesiąkać całą atmosferę obrazu; odzywa się ciągle, przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszcze. Uczucie to zbliżającego się końca cięży ołowiem na wszystkich osobach, biorących udział w téj ostatniéj walce z najezdnikami... Poeta nie tłómaczy ani powodów ani bliższych okoliczności owego przekleństwa, rzuconego na cały szczep Wenedów. Możnaby go tu prawie posądzać o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu. Tém bardziéj zaś przypuszczenie czegoś podobnego w tym dramacie mogłoby się zdawać na razie uzasadnionèm, że nie widzimy w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, żadnéj nad nimi wyższości. Przeciwnie, jestto rasa jakaś i fizycznie karłowata, i duchowo napiętnowana jakiemiś oznakami małości, skłonna do nikczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, coby znamionowało wyższą naturę, rasa niekiedy prawdziwe popełniająca nawet obrzydliwości! Wszakże sam Lech, patrząc na rosłe ciała, na dumne postawy swoich jeńców zakutych w pęta, mówi do żony:

„Gwinono patrzaj, jaki to lud rosły!..
Ja komar — i krew z niego wycedziłem,
I wycisnąłem w ręku jak cytrynę!..

Ściągając rzecz do jednego z synów Derwida, dodaje jeszcze:

Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie!" —

Zdawałoby się, z tych chełpliwych słów wnosząc, że za tę drobność zewnętrzną ciała, natura wynagrodziła Lechitów nie

tylko tęgością nadzwyczajną sił fizycznych, lecz może i mocą duszy, rozumem, wielkością serca? Gdzie tam! Żona Lechowa, Skandynawka z rodu, bynajmniéj nie powzięła takich wyobrażeń ani o mężu, ani o jego orszaku. Zręczność w boju — tę im przyznaje, ale prócz tego — nic więcéj.

„O jak rycerze ci są łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka.
A choć szychową nić zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć z kłębka — jedni przez lenistwo,
Drudzy widzący w tém może pożytek
Albo zabawę: i tak oszukani
Fałszu krzewinie rosnąć pozwalają!"

Podnosząc tedy w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekkomyślność jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swój o całym rodzie Lechitów wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebném, że to „lud głupi, z rąk rycerskich ale z głów niemyślących" złożony, który jeżeli ona go w opiekę swoję nie weźmie — przy lada burzy rozpaść się musi.

Na tosamo wychodzi, co w swój znowu sposób i przy innéj okoliczności o téj rasie wypowiada pocieszny i głupkowaty Ślaz, kiedy go ktoś w przytomności Wenedów za Lechitę ogłosił.

— „Cóż to? Czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać in „verba magistri" —
Owczarstwo — czy to wszystko mi do twarzy? —
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą —
Niechaj oblezie ze mnie piérwsza skóra." itd.

Co dotąd przytoczono, wystarczy, ażebyśmy pozwolili sobie już w tém miejscu wyrzéc nawiasową uwagę, że widocznie przydzielił tu Słowacki Lechitom te wszystkie właściwości, które się późniéj okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. Przywary te wytykają i teraz jeszcze umysły satyrycznie usposobione polskim szlachcicom, rozumiejąc przez wyraz ten cały ogół mniéj światłéj massy w łonie wyższego towarzystwa naszego...

Lech sam jest prototypem rzeczonych ułomności. Łączy on w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, przy błyskliwych powodzeniach oręża: słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem pospolita natura! Daje wpływać na siebie, bez wyboru i bez różnicy, wszystkiemu i każdemu, kto go tylko otacza. Dopuszcza się co krok dziwnych, nieraz prawdziwie pociesznych niekonsekwencyi (np. przez cały ciąg aktu drugiego i trzeciego, gdzie chodzi albo o dotrzymanie obietnicy danéj Lilli Wenedzie co do uwolnienia jéj ojca, albo też o narażenie się na gniéw krzykliwéj a tyranizującéj go małżonki). Słowem, jestto prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do dramatu wyraził: „praszczur Sobieskiego" — przy silnéj ręce, a molierowskiéj w domu słabości. „Kontusz mu włożyć i bóty czerwone, gdy wróci z piorunowéj walki, siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. Kontusz mu włożyć i żupan! niechaj panuje — bez jutra!"

Otóż zdawaćby się mogło, że skoro z takim wrogiem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś fatalizm winićby o to trzeba, gdyby zagłada ich plemienia, na korzyść takich najezdców, miała rzeczywiście już tak koniecznie być nieuchronną. Przecież słuszność jest po stronie tych, którzy bronią swojéj ojczyzny. Przewagą liczebną także przewyższają Wenedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczepowego ich charakteru zmuszają w dramacie często nie tylko do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert święty, człowiek obcego pochodzenia, zatém bezstronny, wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliżającego się i do tych już stron chrześcijaństwa, oddaje im świadectwo, „że to był dobry lud, choć nie chrześcijański." Dlaczegoż tedy opatrzność czy wreszcie szczęście samo łaskawszém byćby miało dla Lecha i jego szyków, równie jak Wenedzi nie będących jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla téj ludności spokojnie mieszkającéj u siebie? Jeżeli przeto, że to pokolenie obarczone przekleństwem: to kto je niém obarczył? za jakie wykroczenie? przed czyim trybunałem?

Na te wszystkie pytania nie ma w dziele odpowiedzi gotowéj; ale całe jego przeprowadzenie i ostateczna katastrofa tragedyi staje za wymowne rozwiązanie całéj tu poruszonéj zagadki.

Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Jest to tylko symboliczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowéj sile żywotnéj, tak niezbędnéj do istnienia ciałom zbiorowym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Odbiegło ich przekonanie, że potrafią się oprzéć nawet wrogowi, który w stal zakuty od stóp do głowy, poprzedzony sławą nabytą, przyszedł zabrać im ich odziedziczone siedziby. Trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś tryumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brzęków oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby, na których budują wszystko, a którym jednak sami nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich w przyszłość dalszą nie wierzy; nikt nie ma woli, żądać jéj i wymóc ją — nawet wbrew wszystkiemu, co onéj przeczy. I to jest owo przekleństwo, dla którego muszą ustąpić z widowni.

Wyższość Lechitów na tém właśnie polega, że lubo oni jak się powiedziało, podlegają tylu rozlicznym ułomnościom i niedostatkom moralnym, lubo nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwiazdę swoję i mają serce do boju.

Wśród wyrzutów, które nieraz w dramacie czyni Lechowi wyniosła jego małżonka: że dwa razy już utracił kraje prawie podbite, że się dał bratu Czechowi tak łatwowiernie oszukać, że mu już pozostała tylko jeszcze garstka rycerzy, że nie pamięta o losie dzieci itp. zmuszona ona jest jednakże powiedzieć mu i te słowa, wcale nie będące naganą, a tłómaczące naszę zagadkę:

„Ty zawsze ufasz w szczęście i odwagę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwo...“

A Róża Weneda kiedy opowiada swoje widzenie w przededniu walki, mającéj ostatecznie rozstrzygnąć o istnieniu lub nieistnieniu narodu: to w zupełnie innem świetle malować musi zachowanie się i usposobienie swoich Wenedów. Widziała ich w liczbie

kilkunastu tysięcy, ale z wybladłemi twarzami, w grobowém milczeniu zajmujących miejsca na przyszłém pobojowisku. Widziała ich w duchu swoim, jeszcze w przededniu bitwy, jako tam stali uszykowani do boju

„Równi, zimni, biali jako groby —
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem."

Powiada, że kiedy chcąc się przekonać, co się dzieje w piersiach tych zwątpieniem zatrutych ludzi, zajrzała do wnętrza kilku z tych bohaterów walki jutrzejszéj: to znalazła u jednego, „że w nim serce zbladło i tak trzęsło się, jak liść olchowy." W piersi drugiego znalazła zamiast serca — kłębek robaków. A gdy rozdarła pierś trzecią i spojrzała w nią: — to była pusta! nie było w niéj nic miasto serca. I nie zazierała już daléj wróżka natchniona do serc ludzkich swego narodu, bo się dowiedziała o wszystkiém...

Gdzie tak rzeczy się mają, tam i katastrofa gotowa. Gdzie tacy zapaśnicy, tam i wypadek walki z góry wiadomy. Nie byłoby o czém ani z czego i tutaj stworzyć dramatu. Jednakże są jeszcze przynajmniéj pojedyncze pomiędzy Wenedami osobistości, które grozę położenia pojmują, nie zapomniały godności narodowéj, zachowały choć iskrę wiary w skuteczność swoich poświęceń; które czują ciężar obowiązku i mają siłę go dźwigać. Są jeszcze ludzie, którzy jeśli nie więcéj, to pragną się bronić, żeby — jeżeli trzeba już legnąć, legnąć przynajmniéj bez hańby, i oddać życie — nie bez drogiego okupu i odwetu.

Stawmy przed sobą te wybitne charaktery słowiańskie, podtrzymujące akcyą tragedyi.

Oto najprzód Derwid, sędziwy król Wenedów. Znękany to starzec, w wysokim stopniu wyobrażający wszystkie braki swego plemienia, ruina, niemoc uosobiona... Ale ruina to zdolna wzniecić i w wrogu cześć dla tego, czém była kiedyś. Mąż królewskiego ducha, który się śmierci ani okrucieństw żadnych nie lęka. Walczy — wprawdzie tylko słowami, ale słowami, które w wroga uderzają jak razy. Ożywia i zapala się — wprawdzie na tylko

znikomą zawsze chwilę, żeby po wysileniu takowém opaść z sił w tém bezbronniejszą bierność. Ale wiary do harfy swojéj, tego symbolu narodowego zbawienia, nie traci nigdy i wzniósł się duchem na wysokość, z któréj dumnie zapowiada wrogowi:

„Że po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz.“

Są daléj dwaj synowie jego — tak podobni do siebie, a tak jednak różni usposobieniem. Młodszy Lelum — to poeta, marzyciel, to Kordyan tamtych wieków, serce narodu. Starszy Polelum — to tego narodu oręż, grom, jego jedyna siła, która jeszcze zdolnaby była i w czyn rozkwitnąć zbawczy, gdyby to było rzeczą podobną, ażeby jeden stanął za wszystkich; gdyby jedna latorośl zielona mogła ożywić soki w całém drzewie — zwiędniałém!.. Lelum-Polelum — dwie nazwy, dwa wyrazy niezrozumiałe dla dzisiejszéj epoki, choć przekazane tradycyą, połączył poeta w jeden więc pomysł. Skuł dwóch tych braci jednym łańcuchem, zaczepionym jednym końcem do prawéj ręki młodszego, drugim do lewéj starszego brata. Stawia ich obu jako jednego wodza w téj ostatniéj narodowéj potrzebie, jako wodza o dwóch głowach, a jednym mieczu i jednéj olbrzymiéj tarczy. Miecz — dzierży prawa ręka Polelum, tarcza — zdana lewéj ręce drugiego brata. Tak oni walczą i tak giną na stosie. W tém połączeniu dwóch jestestw, przekazują oni po sobie ostatnie wspomnienie pamięci wieków potomnych. Dwa imiona mytologiczne, dotąd prawie śmieszne, a w każdym razie bezmyślne, nabrały więc w dziele obecném znaczenia. Znaczenie to nie jest bez ubocznego związku i z charakterem narodowym całych naszych dziejów następnych. Dwie głowy — a jedna ręka! Dwa niestety rozumy — a jedno tylko działanie. Nie jestże to rzeczywiście, jak poeta w przedmowie swojéj natrąca, wiekowe, tradycyjne „nieszczęście narodu?“ Nie jestże to przeznaczenie, nie tylko „przewodniczące tamtemu przez Boga potępionemu ludowi,“

ale i owym wojennym spadkobiercom jego krainy, którzy tu dalsze dzieje więcéj w jego duchu, niżeli w własnym rozsnuli?

Mamy w dramacie nakoniec dwie córki króla Derwida, Różę i Lillę Wenedę. I tutaj uwydatnił Słowacki stanowczy kontrast między obiemi siostrami. Starsza jest wróżką, kapłanką i ofiarnicą swego narodu. Nie tylko powołaniem, ale i usposobieniem wyższa nad płeć swoję niewieścią — może sama jedna w pokoleniu owém całém obdarzona jasnowidzeniem tego, co się dzieje w duchu narodu i na co się w nim zanosi: wystaje Róża Weneda w dramacie, w kolosalnych, twardych, ostrych zarysach, po nad wszystkie inne w nim działające figury, i tą surową wielkością duszy zniewala do podziwienia. Na pozór poczyna ona sobie niekiedy jakby istota nieczuła, zdolna tylko krwawych porywów, bez łez i serca dla siostry, dla braci, dla ojca pojmanego w niewolę i powracającego z niéj potém z wydartemi oczyma. Zamiast jakby się należało powitać w téj scenie ten tak późny, tak niezupełny powrót rodzica swego do domu, zamiast otoczyć ciemnego starca tém przyjęciem, jakiego się mógł spodziewać ze strony dzieci, a raczéj ze strony jedynego dziecięcia, które nie dzieliło jego niewoli: Róża Weneda zwięźle i ponuro zagaduje Derwida, dlaczego bez swojéj harfy powraca? Derwidowi wprawdzie wiadomo, że od téj harfy zawisło ocalenie Wenedów; wiadomo mu, jakie miejsce w społeczeństwie narodowém starsza córa jego zajmuje; wiadomo mu, że ona czuje za naród cały i że tylko to jedno uczucie serce téj dziewicy zapełnia. A przecież, w takiéj chwili, nie rozumie on sam nawet Róży Wenedy. Pojąć tego nie może, żeby na widok wydartych jego oczu, na widok twarzy zlanéj temi łzami krwawemi, mogła córka jego, kobiéta, myśleć jeszcze o czém więcéj, jak tylko... o takim powrocie ojca! I karci, przeklina prawie to na pozór niedobre dziecko:

— „O gadzino!
Czy ty się z harfy mojéj urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? — Gdym tu przychodził,
Skakały na mnie psy wyjąc z radości,
A ty jak kruk“... etc.

„Ty jesteś harfą bez strun, czarownico!
O bogdaj piérwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie!“...

Te wyrzuty starca świadczą jednak więcéj przeciw Derwidowi samemu, aniżeli przeciwko Róży. Dowodzą, że król Wenedów jest niezdolny — nie powiem: podzielać, ale nawet rozumieć tego nastroju ducha, do którego w takiéj chwili, jak tamta, wznieść by się powinna cała ludność zagrożona zagładą, przedewszystkiém zaś sam panujący, jako bezpośredni wyobraziciel idei swego narodu. To też bynajmniéj się nie miesza kapłanka nasza temi gorzkiemi wymówkami rodzica. Czyni co do niéj należy z tymsamym spokojem duszy, z jakim to czyniła przed przybyciem Derwida; a na jego wyrzekanie i skargi patrzy w milczeniu pełném boleści, jak na poczynanie sobie człowieka przeżytego i zdziecinniałego, który nie wie co czyni... W innych miejscach daje też poeta wymownie do rozumienia, że i Róża Weneda ma serce, ale serce do czynów, do walk, do zemsty nareszcie; a nie do łez, które gaszą ogień serdeczny. Jéj słowa wyrzeczone do siostry:

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“

określają dostatecznie cały charakter téj roli.

Podczas kiedy starsza siostra działa w dramacie jak Eschylowska więc Eumenida, która „jednym strasznym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich i kruszy je pod swemi nogami“: przydzielił poeta naturze młodszéj Lilli właściwości całém niebem tamtéj przeciwne. Zamknął w jéj piersi uczucia wdzięczne, miękkie, tkliwe, prawdziwie niewieście — uczucia właśnie w tym stopniu zmuszające do miłościwego współczucia, ile natura tamtéj tylko chłodny obudza podziw. Wizerunek ten dziewicy cichéj i łzawéj wykończył Juliusz z całą miłością artysty. Wymarzył sobie tę prawdziwą Antygonę słowiańską, nad nagrobkiem gdzieś w Szwajcaryi kiedyś widzianym, ze starożytnego Rzymu jeszcze epoki datującym, który mu teraz stał przed oczyma ducha, jakby był materyalnie obecny. W krótkich ale powiedziałbym magnetycznych wyrazach skarży się tam jakaś młoda męczennica

pogańska na nielitość przeznaczenia swojego. „Julia. Alpinula tu leżę — nieszczęśliwego Ojca nieszczęśliwa córka — bogów awentyńskich kapłanka. Wyprosić ojca od śmierci nie mogłam. Nieszczęśliwie umrzéć w losach jego było. Żyłam lat XXIII“... Nowsza filologicznego skeptycyzmu krytyka dowiodła niedawno temu, że ten napis grobowy należy do apokryfów. Mniejsza o to! Napis może sobie być podrobiony: — pomysł jego jednakże nie przestanie dlatego być pomnikiem autentycznéj, bo prawdziwéj poezyi. Z niewielu dat téj lapidarnéj kroniki, jak widmo wyziera powieść strasznego jakiegoś zajścia. Żywsza wyobraźnia dosnuć tu sobie potrafi cały poemat poświęcenia i miłości, tragicznie kontrastującéj z ciemném tłem czasów, które pochłonęły tę białą postać dziewicy, zabitéj w swojéj wiośnie tak rychłéj. I nasz poeta z téj wymownéj, choć w słowa tak skąpéj skargi, z tego jęku właściwie nie nad sobą, ale jedynie nad ojcem, wywołał pomysł swojéj idealnéj Słowianki. Żeby wydobyć na jaw cały urok téj melodyjnéj duszy, przeciwstawił niewieścią jéj potulność — spiżowéj grozie starszéj córy Derwida. Róża jest kapłanką bogów rodzinnych, a Lilla — to już chrześcijanka — to piérwsza nawrócona w Słowiańskie! Tamta — już z natury surowa, ponura, duchem wyłączna, w sobie saméj zamknięta, zdolna myślą dźwignąć z posad całe arkanum państwa swojego ojca, a bez zmysłu dla cierpienia jednostek: a ta gibką swoją postacią, jak bluszczu zielonego gałązka, przeznaczenia swojego szuka jedynie około siebie; z uśmiechem na twarzy, ze łzą miłości w oczach zawisa białemi ramionami u szyi ojca, braci, siostry co jéj w dzieciństwie zastępowała matkę, i tylko nato żyje, żeby dni drugich umilić, rozjaśnić, szczęściem umaić, dopóki można; żeby je okupić śmiercią swoją, gdy tego trzeba. O losy narodu, jako ogółu, nie pyta. Przyszłości — nie zna. Przeznaczeń — nie bada. Żyje w obecności — i to jéj wystarcza; pragnie szczęścia — dla każdego z osobna. Świat się do niéj uśmiecha — poznała miłość, jest zaręczoną: ale ta nadzieja szczęścia na ziemi nie więzi jéj jednak do ziemi. Pragnie żyć, lęka się śmierci — a jednak bez wahania niesie życie swoje w ofierze, byleby ocalić tych których kocha, od zguby.

Rzecz jasna, że z pomiędzy wszystkich osób wprowadzonych w ramy dramatu, Lilla Weneda ma najwdzięczniejsze i najrzewniéj nastrajające zadanie. Jéj rola głównie sobie współczucie widza ujmuje. To też jeżeli która z tych pojedynczych postaci, to ona właśnie mogłaby być nazwaną bohaterką tragedyi. Rzeczywiście jednakże herosem sztuki naszéj jest cały lud Wenedów, o losy którego ostatecznie tu chodzi. W nim głównie poeta uobecnił i uwidomił tragiczność idei, która mu tu dała natchnienie. Nie ma zaiste rzewniejszego obrazu ani tragiczniejszego widoku, nad konanie szlachetnego narodu, jeżeli na konania tego przyczyny złożyły się rozliczne momenta z własnéj jego winy wynikłe, nie będące jednak taką skazą na obliczu jego duchowém, żeby sumienie widzów, na ten straszny dramat patrzących, nie miało im mówić, że to kara nieboska, że to katastrofa dla ludzkości bezpożyteczna, że to tryumf nie idei, ale potęg tylko doczesnych, korzystających chytrze i zmyślnie z szczęśliwéj dla nich okazyi... Takiegoto konania tragicznym wizerunkiem mieli być w téj kreacyi Wenedzi. Czy nim są? o tém możnaby sądzić różnie. Mnie się zdaje, że obraz rzeczy téj nie jest w dziele naszém zupełny. Autor zaniedbał wykończyć go z tą plastyką artysty i z tą historyozoficzną mądrością myśliciela, jakiéjby tu koniecznie była potrzeba. Odsłonił wszystko, co świadczy o upadku ducha i o rozkładzie siły żywotnéj Wenedów. A zapomniał skreślić dodatnie, nawet i teraz jeszcze, strony ich charakteru. Przynajmniéj nie wyrzeźbił ich z tą wymową skądinąd właściwą jego utworom, iżbyśmy czuć mogli nie tylko całą wagę i całą prawdę, ale i całą ironią skargi, włożonéj w usta ostatniego z rodu Wenedów na końcu sztuki. Jest nim Polelum, stojący już na stosie, ażeby umrzéć na grobie swojéj ojczyzny. Spieszą ku niemu dwaj spadkobiercy puścizny pozbawionéj swego dziedzica, jak gdyby nieśli ocalenie dla plemienia, które właśnie skonało. Lech woła: stójcie, bo ja przynoszę wam życie! Gwalbert głosi: stójcie, bo ja wam wiarę przynoszę. Wtedyto wypowiada Polelum te słowa, tłómaczące całą dążność tragedyi, i zarazem stawiające jakoby na piedestalu pomnikowéj w dziejach wielkości pokolenie owo, w dramacie pokonane:

— „Boże, patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego! Patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska!“...

Widzimy więc, że cała ta sztuka odsłania uprawnienie Wenedów i w owéj jeszcze porze do bytu, tylko zatém porównawczo, względnie, pośrednio, t. j. o tyle tylko, że w porównaniu z nimi Lechici duchowo i fizycznie, w indywiduach swoich i w obyczajach, w rodzinie i po za jéj obrębem, wyglądają jak karłowate jakieś i pełne ułomności postaci. Ale własne, dodatnie i wprost przemawiające do wyobraźni zalety społeczności Wenedów pozostały po za ramami obrazu, co w każdym razie doniosłość téj kreacyi jako tragedyi osłabia i bynajmniéj nie przyczynia się do wydobycia na jaśnią istotnego w niéj założenia.

Bądź jak bądź, zamiar taki autora, jako zamiar, dostatecznie jednak z dzieła wyziera i wątpliwości nie podlega, że główna rola spoczywa tu na tym właśnie czynniku. Ponieważ wszakże niepodobno było poecie z artystycznych przyczyn rozwinąć akcyi dramatu na tém jedynie tle działań i cierpień zbiorowéj osoby, jaką jest naród: musiał tedy osobę tę moralną pozostawić w idealnéj głębi obrazu, a zapełnić przestrzeń jego konkretną działaniem pojedynczych osób, o ile takowe najpełniéj i najwybitniéj wyobrażają stan ducha swego narodu. Osobami takiemi są głównie obie córki Derwida. Starsza działa w miarę charakteru, jaki jéj przydzielono, przedewszystkiém mając na oku cały ogół narodu. O losy jednostek, chociażby sercu najbliższych, nie pyta. Przygotowuje czyn ostatni Wenedów, przepowiadany z dawna w wróżbach jéj objawionych w sposób że i tak i owak, jak wszystkie wróżby na świecie, może być wykładany. Ani się zbytecznie ku ufności skłaniając, boć zna usposobienie społeczeństwa swojego, ani też nie rozpaczając stanowczo o tém wszystkim, co przyjdzie: rozsyła harfiarzy swoich na wszystkie pokolenia i zwołuje cały naród do walki. Jeśli ocalenie nie jest jeszcze z rzeczy przechodzących wszelki zakres możności, to ona siły do niego w Wene-

dach rozbudzi i zmusi ich do odniesienia zwycięstwa. Jeżeli zaś jest już rzeczą konieczną, żeby plemię to w własnéj swojéj dziedzinie przyjęło na się jarzmo obcego służebnictwa i zakończyło dzieje swoje sromotą: to niechże raczéj ginie i skona, byle całe, byle na polu chwały, z orężem w ręku, biorąc do grobu z sobą świadectwo, że uczyniło w obronie swojéj, co mogło. Wtedy odwet za to zabicie narodu będzie poruczony przyszłości, choćby najdalszéj. Pomsta przyjdzie, choćby ją spłodzić miały zmarłych popioły... Taka jest rola i taki kierunek działania Róży Wenedy.

Tragiczność roli téj w tém jest widna, że chodzi o przeprowadzenie czynu, do którego braknie żywiołów w społeczeństwie. Jestto walka z fatalizmem, przebój żywotności w jednostce z ociężałością i bezduchem ogółu. Na takich sztandarach imię idei nieśmiertelnéj jest wypisane. To ich prawo. Ale nie ma komu nieść tych sztandarów. To ich niemoc.

W zupełnie innym kierunku idzie działanie drugiéj córy Derwida. Lilla wyobraża żywotność idei słowiańskiéj w r o d z i n i e. Jéj ideałem — szczęście osób najbliższych sercu. Gdyby można było żyć dla ideału tego, nie pytając o to, co się tam daléj dzieje w narodzie: nie wchodziłaby pewnie i nasza bohaterka w żadne zawikłania z zewnętrznym nieprzyjacielem. Ale związek między rodziną a społeczeństwem jest nadto ścisły! Po wszystkie wieki iści się owo proste a tak głębokie słowo Wajdeloty, powiedziane o Walterze u Mickiewicza: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“... To też i w obecnéj tragedyi miłość rodzinna prowadzi doraźnie do podjęcia boju na zewnątrz. Jest to bój dziewicy, bój prowadzony o wybawienie tylko trojga pojedynczych osób z niewoli, bój nie na oręż, ale raczéj na rozum i na przebiegłe serce, ale zawsze bój straszny: i kończy się równie tragicznie, jak cała walka Wenedów.

Lilla podejmuje na się zadanie, wyprosić z jeństwa ojca i braci, których wzięto w niewolę już w piérwszéj z Lechitami potyczce.

„Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O pobłogosław ty mi siostro moja —

I wy mi starzy ludzie błogosławcie!
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!
O bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie —
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały jak ja, swą mię siostrą mniema.
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżéj lata:
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą —
A wtenczas płaczcie wy biednéj dziewczyny!"

W tych kilku wierszach zawiéra się cały przebieg téj roli. Jest to rzeczywiście walka słabéj gołąbki z sępami, które tylko uznają racyą szponów swoich drapieżnych. Smutna, choć wzniosła walka miłości i poświęcenia — z egoizmem i nienawiścią... Pomysł téj właśnie części dramatu należy niezawodnie do najcelniejszych jego piękności. Tém bardziéj też żałować tego należy, że wcielenie pomysłu tego w szczegóły, że przeprowadzenie rzeczy w pojedynczych ustępach, dalekiém jest od tego, żeby miało zaspakajać pod każdym względem.

Lilla przybywa do Gwinony z zamiarem ujęcia jéj sobie pokorą. Przy pomocy Matki Bożéj, któréj za radą Gwalberta ślubuje czystość dziewiczą, spodziewa się Lilla Weneda, że potrafi skłonić nieprzyjaciół do prośby, z jaką przychodzi. Przybywa na nieszczęście za późno. Ukazują jéj ojca — już z wyłupionemi oczyma! To ją wprawia w oburzenie najwyższe. Ufna w opiekę Bogarodzicy, która (jak jéj to św. Gwalbert zapewnił) za ślub uczyniony czystości stoi po jéj stronie, daje nieoględnie wyraz uczuciu, jakie w niéj wre, i zapowiada żonie Lechowéj, że ta cała wściekłość przeciwko bezbronnemu jéj ojcu okaże się bezsilną, gdyż potrafi ona go wydrzéć z ręki oprawców, choćby i trzy razy wymyśliła Gwinona dla niego śmierć najokropniejszą... Gwinona złośliwie bierze dziewczynę za słowo. Przyrzeka puścić Derwida na wolność, jeżeli Lilla rzeczywiście tego dokaże, co tak chełpliwie wyrzekła, i potrafi na przekorę wszystkiemu co nastąpi, wybawić trzy razy ojca od śmierci. Z tego wywięzuje się dla Le-

chitki pochop do wymyślania po trzy kroć najwyrafinowańszych okrucieństw na zagładę oślepionego więźnia, a dla Lilli konieczność trzykrotnego udaremnienia tych usiłowań. Otóż więc w szczegółowém przeprowadzeniu tegoto założenia, zapełniającém w każdym razie większą połowę sztuki, upatrywać można jakby sprawdzenie własnych słów autora w przedmowie mimochodem rzuconych o sobie samym, że ile tylko razy przyjdzie mu zetknąć się z rzeczywistemi rzeczami, to opadają mu skrzydła. Wcielenie genialnego pomysłu, środkami artystycznéj techniki, w materyą zdarzeń i zawikłań pomiędzy ludźmi — to należy w zawodzie poety niewątpliwie do rzeczywistych rzeczy. To też w ustępach, w których się powyższego pomysłu szczegółowe przeprowadzenie zawiera, okazuje zdaniem mojém dramat niniejszy najsłabsze swoje strony.

Piérwsze wskazanie na śmierć Derwida już samo przez się jest zgoła nieodpowiednie warunkom środków scenicznych. Zawieszają starca na drzewie, za siwe jego włosy, nie zbyt wysoko po nad poziom, lecz tak iż stopami ziemi nie tyka. W téj postawie ma pozostać tak długo, dopóki albo nie umrze, albo przez córkę — bezbronną i bezsilną — nie zostanie wybawiony od śmierci... Autor sam czuł niepraktyczność artystyczną tego pomysłu, i przeto usunął widok ten, nawet samym oczom niemiły, po za kulisy, a na scenie daje widzieć tylko cień wiszącego Derwida. Niewiele to jednak rzeczy pomaga! Nie dość na tém. Przychodzi do ocalenia starca z téj napowietrznéj pozycyi w taki sposób, że jeden z synów jego zmuszony zostaje, wielce problematycznym, bo o sto kroków wymierzonym rzutem ostrego topora, przeciąć tę krótką smugę włosów w odstępie właśnie między głową a gałęzią, na któréj Derwid wisi. Myśl tę poddaje sama Lilla Weneda. Rzut się wprawdzie udaje, ale jakaż to scena okropna!.. Otóż właśnie okoliczność, że rozpaczliwa ta próba była przez Lillę samą poddana, odbiera rzeczy znaczenie, jakieby miała, gdyby to był wymysł pochodzący ze strony udręczycieli. A remiscencye, zawsze w razach podobnych niekorzystne, które się tu każdemu czytającemu mimowolnie nasuwają, remiscencye mówię

z historyi Tella, i skądinąd zbyt znanéj i spożytkowanéj już nawet i w zakresie poezyi — psują do reszty wartość całego tego ustępu.

Drugi zamach na życie Derwida, udaremniony przez jego córkę (osnowa aktu III), wikle się w jeszcze gorszych niewłaściwościach. Na rozkaz Gwinony zostaje starzec wrzucony na spód jakiejś zapadłéj wieży, zapełnionéj jadowitymi wężami. Ma tam przez nie zostać pożarty. Lilla dowiedziawszy się o tém, porywa za harfę cudowną ojca swego i biegnie do owéj wieży. Równocześnie przysyła też i Matka Boska Gwalberta świętego na ratunek ojca i córki.

„Idź, bo stary Derwid kona!
Córka jego, mój gołąbek,
Z bolu umiera!..“

Te słowa usłyszał Gwalbert od objawiającéj mu się Bogarodzicy i pospiesza więc Derwidowi na pomoc. Po drodze wyprawia prawdziwie pocieszne a niepotrzebne zupełnie sceny, które go tylko kompromitują. Nie dziw też, że przybywa po czasie. Pomimo tego Derwid jednakże zostaje ocalony! Lilla grając na harfie, wywabiła węże z głębi wieży na wierzch do siebie, tak iż stanęły w krąg koło niéj wyprostowane, „jak morska fala wzdęte nad dziewczyną.“ A ojciec jéj na spodzie wieży, nietknięty, mógł sobie zasnąć spokojnie.

Otóż nie wiedzieć, jak sobie cały ten ustęp tłómaczyć. Jeżeli wybawienie Derwida było dziełem harfy cudownéj: to na cóż to całe, tak wiele słów kosztujące, a tak niezdarne współdziałanie w tém przedsięwzięciu i Gwalberta świętego? Jeżeli zaś łaską Bogarodzicy rzecz dokonana: to jakież wtedy znaczenie harfy? i czemużto w takim razie nie przychodzi do rzeczywistego uwolnienia starego króla Wenedów? Wrzucają go bowiem zaraz potém do innéj wieży, i to wraz ze świętym Gwalbertem (!) gdzie obaj głodem zamorzeni być mają... Bądź jak bądź, czy przyjmiemy jedno, czy drugie: zawsze to wyratowanie Derwida okazuje się być aktem cudu jakiegoś. A dramat cudów, zwłaszcza takich, nie znosi. Ustępowi temu braknie tedy na wszelkich wa-

runkach prawdopodobieństwa. Jestto jakby obrazek ładnie ukoloryzowany, ale bez żadnéj poprawności rysunku. —

Podobnie nie wytrzymuje krytyki i trzecie wybawienie od śmierci (w akcie czwartym). Gwinona powzięła zamiar zamorzyć tedy więźnia swojego głodem. Dwa dni już upłynęły, i nie wziął Derwid żadnego do ust pokarmu. Przychodzi przed Gwinonę Lilla, z wieńcem białych wodnych lilii na głowie, cała w łzach się rozpływając, pokorna — i otrzymuje pozwolenie widzenia się z ojcem przed tą śmiercią, teraz już nieuchronną. Idzie do więzienia i — nakarmia Derwida owemi liliami, w które była ubrana. Lilie te bowiem można spożywać i służą one za pokarm ludowi téj okolicy, na czém się nie spostrzegła Gwinona. Owoż wygrany więc i ten trzeci zakład z Lechitką! Podstęp przyodziany w pokorę zwyciężył nad okrucieństwem. — Przeprowadzenie tego ustępu w dramacie należy do najpiękniejszych części... jeżeliby chodziło o przecudne wiersze i o niezrównane w rzewności swojéj wyrazy (np. cała początkowa scena aktu IV). Jeżeli jednak chodzi i o coś więcéj jak o wyrazy i wiersze: to powiedzieć trzeba, że to pozór, że to złuda wybawienia od śmierci, ale nie wybawienie istotne. Lilla tu tylko spłatała figla, sztuczkę, ale nic więcéj. Człowieka wskazanego na zamorzenie głodem, nakarmić raz: to jeszcze nie jest zabezpieczenie go od śmierci z braku pokarmu! Gdyby Gwinona potrzymać chciała trochę dłużéj Derwida w owéj ciemnicy podziemnéj: coby jemu pomogły owe lilie, na raz jeden zjedzone?

Do tego tym razem jednakże na szczęście nie przychodzi. Zaszło zdarzenie tymczasem, które okrutną Gwinonę nastraja trochę łagodniéj dla tych jéj ofiar. Syn jéj Lechon został przez Wenedów schwytany i jest trzymany w niewoli. Ażeby go wybawić od śmierci, która mu tam zagraża, i wydobyć na wolność: Gwinona przyznaje Lilli i to więc trzecie zwycięstwo jako szczęśliwie dokonane, w skutek czego Derwid będzie tedy wypuszczony z jéj mocy. Ale ażeby się zapewnić co do powrotu swego syna, stawia Gwinona teraz nowy warunek: albo Lilla, albo harfa

Derwida pozostanie jeszcze w jéj rękach — dopóki Lechon żywy i cały nie powróci do domu... Wielkiéj piękności jest ustęp ten dramatu, gdzie się Derwid waha, kogo zostawić Gwinonie, córkę czy harfę? Od téj harfy zawisło ocalenie jego królestwa! Nie wybrać jéj, nie przenieść jéj nad córkę: to tosamo, co zgodzić się na zagładę narodu. A przenieść? cóż się stanie w takim razie z najmilszém jego dziecięciem? Znane mu przecież okrutne téj Skandynawki instynkta! Prześliczne jest miejsce, gdzie się i w sercu Lilli odbywa walka — między życzeniem, ażeby ojciec wybrał harfę, a obawą, że usłyszy, iż jest więc przecież coś na ziemi, co mu droższe nad Lillę! —

Na żądanie Lilli saméj, rzecz się kończy na tém, że onato pozostanie w ręku Gwinony! Odprowadzi tylko ojca do domu, a potém dobrowolnie odda się sama w jéj ręce — za harfę. Jeżeli wróci z Lechonem: to i harfa i córka zostanie zwrócona Derwidowi. Jeżeli wróci bez Lechona: natenczas — Natenczas harfa wróci wprawdzie do rąk króla Wenedów. Ale córka jego podlegnie losowi, jaki jéj zemsta matki zabitego syna naznaczy. Ten układ Gwinona i mąż téjże przyjmują. Derwid wraca do swoich. Wypuszczają na wolność i św. Gwalberta, który (nie wiedzieć właściwie na co) razem z Derwidem był trzymany w więzieniu.

Gdzie się wielkie sprawy ważą między dwiema ostatecznościami, z których żadna w danym razie nie jest przez się niepodobieństwem, tam nieraz drobnostka najmniejszéj wagi szalę przechyla. Zwyczajnie daje ona przewagę stronie, która i bez tego większe miała nadzieje. Bo komu się już nie wiedzie, na tego się i przypadek nawet sprzysięga. Taką to drobną małością między czynnikami naszéj tragedyi jest osobistość Ślaza. Chciał w nim poeta, jak w przedmowie nadmienia, wyobrazić „mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa". Przyczepił rolę jego do głównéj akcyi w sposób nadzwyczaj luźny. Ślaz popełnia w ciągu sztuki różne niedorzeczności, ani szkodliwe, ani też nie pomocne niczyjéj sprawie. Jaki cel tego? trudno odgadnąć. Chodziło chyba o to, ażeby były ustępy pocieszne i humorem

owiane między okropnościami — jedno zapewne z następstw studyów Słowackiego nad dramaturgią hiszpańską. Nie powiem, żeby cała ta rola Ślaza była jedną ze stron szczęśliwych Lilli Wenedy. Owoż zaczepia się działanie téj figury do toku właściwego działania — w istotny sposób — w jedynéj tylko scenie. Na nieszczęście przypada to na tę chwilę właśnie stanowczą! Przed powrotem jeszcze Derwida z niewoli, przychodzi w obozie Wenedów do rozstrzygnienia o losie Lechona. Na widok podłéj bojaźni tego młodego Lechity, wzgardliwie i wspaniałomyślnie zarazem postanawia Róża Weneda... darować mu życie i wypuścić na wolność! Wtém przyprowadzają na scenę Ślaza, który właśnie został pojmany jako szpiég lechicki, za jakiego go uważają. Szpiegiem on wprawdzie nie jest; ale jakże tu tego dowieść Wenedom, że on nie sprzyja Lechitom i że tu nie przyszedł na to, żeby szpiegować? Ażeby się wydobyć z trudnego położenia, zaczyna Ślaz rozpowiadać kłamliwe wieści. Opisuje zmyślone przez siebie zamordowanie Derwida i Lilli, jako okropności, na które patrzał. To doniesienie zmienia pierwotne postanowienie co do losu Lechona. Okrucieństwo Lechitów żąda odwetu: więc Lechon ginie! Zaledwie się to stało: przybywają na scenę Derwid i Lilla. — po Lechona, żeby w zamian za niego wydobyć z rąk Gwinony owę harfę, przy któréj graniu zapowiedziały wróżby ostatnie zwycięstwo Wenedów...

Tak więc samym przypadkiem ostatnie nadzieje Lilli w niwecz obrócone zostały. Co zrobiła dotąd, jest niczém! Widzi się zmuszoną wrócić w moc rozjuszonéj Gwinony — po harfę, i żeby dotrzymać danego słowa.

Następuje, co musiało w danych okolicznościach nastąpić. Następuje i więcéj jeszcze. Gdzie bój między plemionami o śmierć lub życie, tam wszelkie układy z wrogiem tragicznie się kończyć zwykły dla téj strony, która w nie wierzy. Takato wiara jest w roli Lilli Wenedy, od początku aż do samego końca, jéj winą, jéj obłędem — choć obłędem szlachetnym i wzniosłą winą. To też zostaje za nią ukarana okropnie. Zostaje ukarana nie tylko śmiercią, ale i wiarołomstwem. Gwinona odsyła Derwidowi w cedrowéj skrzyni od harfy — za córkę jego, którą w napadzie

mściwości bezlitośnie zamordowała — nie harfę, ale... ciało zamordowanéj!...

Wśród najzaciętszego boju, do którego tymczasem w skutek starań Róży Wenedy przyszło i który się między Wenedami a Lechem odbywa, jak było przepowiedziano, w nocy, przy bijących piorunach... w chwili gdzie szale zwycięstwa wprawdzie chwieją się jeszcze na obie strony, lecz już zaczynają się chylić coraz widoczniéj na korzyść Lechitów — w chwili spotęgowanych zatém pragnień Wenedów, żeby usłyszeć cudowne przepowiedziane głosy z złotéj harfy królewskiéj: przychodzi do owéj kolosalnéj sceny, w któréj Derwidowi zamiast harfy — ciało jego Lilli podają. Nic okropniejszego, nic poetycznie prawdziwszego nad owę scenę! Jestto rzeczywiście pieśń, zdolna i kamienie do zemsty i do życia poruszyć, którą tu gra rozpacz konającego ojca, kładącego ręce swoje na martwém ciele, na złotych włoskach, na zgasłych różach ust tak niewinnie zamordowanego swego dziecięcia! Takąto pieśń przepowiedziały więc wróżby, jako ostatnie tony, które wydobędzie z cedrowéj skrzyni ręka starca ociemniałego. Jeżeli czém, to też właśnie tą pieśnią mogliby najdzielniéj wskrzesić ducha swego Wenedzi do zwycięstwa, gdyby... były jeszcze w ich sercu jakie iskry życia i ducha.

Ale życie duchowe plemienia tego należy już do przeszłości, która niepowrotnie minęła. To też widok ów, zamiast zgalwanizować nawet trupi organizm, zabija w Wenedach otuchę do reszty. Ustami zaprzysięgają zemstę, ale schylają karki swoje pod miecze, „które ich rąbią, jak trzodę". Widzenie Róży Wenedy, oglądane dniem wprzódy, iści się całkowicie. Cała ludność wytępiona. Jutrzejsze słońca wznijdzie już nad mogiłą narodu. Młody wódz, ostatni z plemienia, staje na stosie i znajduje dobrowolnie koniec w płomieniach. Pozostaje przy życiu tylko Róża, wróżka — jakby uosobienie światodziejowéj Nemezy, cierpliwie a jednak tęsknie wyczekującéj odwetu od czasów, co przyjdą kiedyś.

„Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiéj od ognia i wojny,

Lepiéj niż sto tysięcy wroga,
Lepiéj od Boga!"

Jak tę zapowiedź przyszłości zamierzał autor rozwieść i uiścić w dalszych dramatach? to bezpośrednio nie jest wiadomém. Pośrednią jednakże odpowiedź na to daje Król-Duch.

— Zdaje mi się, że w powyższém dotknąłem już wszystkich prawie szczegółów, mających istotne znaczenie w składzie tego dramatu. Na zakończenie niech mi będzie wolno dołączyć tu tylko jeszcze jednę ogólną uwagę. Niewątpliwie należy Lilla Weneda do tych utworów Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała idealna czyli wewnętrzna strona kreacyi sprawia w myślącym czytelniku imponujące wrażenie i wytrzymuje porównanie z każdém dziełem pierwszego rzędu. Jeżeli pomimo tego nie śmiałby z nas żaden pewnie zaliczać tragedyi téj do skończonych arcydzieł: to przyczyna tego w stanowisku poety i w całym sposobie jego poetyckiéj praktyki. I w Lilli Wenedzie widzimy się aż zbyt często w tém położeniu, że godząc się na pomysł, nie przystajemy na jego wcielenie; że przyklaskując intencyi (którą właściwie tylko odgadujemy), utyskujem albo nad niedość plastyczném téjże intencyi przeprowadzeniem, albo nad jednostronném i zbyt jakoś wyłączném wypowiedzeniem takowéj. Juliusz pomysły swoje pojmował tylko uczuciem, imaginacyą. Jego logika — nie byłato rozumowa, reflexyjna, więc prawdziwa logika. Stądto u niego zawsze między ideałem a cielesném wyrażeniem tegoż ideału — przestrzeń ogromna. Pozostaje we wszystkiém coś niedomówionego. Domysłowi czytelnika otwarte wszędzie pole szerokie, granice tego pola niedojrzane okiem cielesném. Stądto w płodach jego zawsze jakaś irracyonalność, dla któréj trudno je przekładać że tak powiem z języka poezyi na język rozumu, na język zwyczajnéj w ścisłym sensie logiki.

Stanowisko, które tu określamy, jestto skutek doprowadzonéj do ostatnich swoich kresów zasady romantyzmu, którego typem najwybitniejszym był w poezyi naszéj właśnie Słowacki.

Tak np. żadną miarą nazwać nie można dość plastycznie przeprowadzonym pomysłu owych harf w rękach Wenedów,

które im daje poeta jako ich tradycyjną, plemienną własność, na zasadzie wzmianek o tém w bizantyńskich kronikach. Wnikamy w jego intencyą — pojmujemy z niéj wiele: ale nie dociekamy wszystkiego, gdyż się rzecz w niektórych scenach gubi w głębinach symboliki — zamkniętéj siedmioma pieczęciami! Poeta ma tu na oku raz stósunki ówczesne, to znowu dzisiejsze stósunki nasze. Przywięzuje do harf to znaczenie poezyi jako najwyższéj potęgi w narodzie: to znowu myśl, że to broń mdła i bezsilna przeciw ostrzu i przeciw wadze żelaza! I tu jest prawda, i tam jest prawda: — ale jakże te dwie prawdy związać ze sobą? Związaćby je można, ale tego nie uczynił poeta.

Przykład jednostronnego i wyłącznego, a zatém ostatecznie fałszywego wcielenia myśli w sobie może prawdziwéj mamy w całéj roli owego typu chrześcijańskiéj idei, jaką w téj sztuce jest Gwalbert święty. Rola to dziwnie niejasna! W przedmowie czytamy: — „Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych... Lecz o biada! o losy! — Słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził, i jeszcze jeden lud kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę.“ — Gdyby to założenie przeprowadzone było przez dramat w taki sposób, iżby każdy krok działania Gwalbertowego takie właśnie w widzach wywoływał wyobrażenia: byłaby to jedna więcéj z niepospolitych zalet niniejszego utworu. Ale czy istotnie jest tak oddana Gwalberta rola w Lilli Wenedzie? Zdaje się raczéj, jakby tu było autorowi chodziło o odsłonienie wszędzie niemocy religii w obec prądu rzeczy dziejowych. Toczą się one swoim torem. Krew się leje — zbrodnie i okrucieństwa mnożą się bez końca — niewinne ofiary padają pod brzemieniem swych cierpień. A interwencya religijnéj idei przybywa zawsze tak nie w porę, tak bezsilnie, tak na drobiazgi tylko wpływając, a nie dotykając rzeczy ważniejszych — że to na śmieszność zakrawa! Rzeczywiście też święty Gwalbert — mimo jasnéj aureoli, która jakby był z obrazka zdjęty otacza jego głowę promieńmi — odgrywa w dziele tém rolę głównéj figury komicznéj. (Ślazowi bowiem ani tego zaszczytu przyznać nie można). Jakież to suche i nieserdeczne u niego pojmo-

wanie cierpień ziemskich ze stanowiska wiary! Jakaż obojętność na mord publiczny narodu, byle tylko religia nie wyszła przy tóm bez jakiego takiego zysku!.. Czy zaś ta poziomość osobistości Gwalberta spada tylko na niego, czy na samą ideję, którą on wyobraża? — z tego się autor bynajmniéj nie spowiada. Chcielibyśmy chętnie wierzyć, że tu chodziło tylko o skreślenie nieudolności osoby! Czy temu jednak możemy wierzyć, patrząc jak rzecz jest w dziele przeprowadzona?...

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Druga połowa r. 1842 i następne lata aż do 1848. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiązanie się koła jego zwolenników. — Stósunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niéj autora - Przedświtu. — W r. 1842 Słowacki przystępuje do koła — jego korespondencya z matką i z Krasińskim. Zerwanie się między nimi przyjacielskich stósunków — Stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — scysye i utworzenie sobie osobnego kółka.

Nim przystąpię do osoby naszego poety i stósunków jego w ciągu roku 1842: zmuszony jestem w tym rozdziale dotknąć nasamprzód pewnéj ubocznéj okoliczności, która w czasach owych ważną odgrywała rolę pomiędzy wychodztwem polskiém, o ile takowe gromadziło się w Paryżu. Sprawa ta zrazu poety naszego nie dotyczyła wcale; miała jednak niebawem zwrócić i jego umysł ku sobie, a następnie zadecydować głównie o kierunku dalszego jego życia i działania aż do samego końca.

Mówię o rzeczy niemiłéj, bolesnéj, upokarzającéj — o Towiańszczyźnie.

W siedm miesięcy po objęciu katedry słowiańskiéj przez Mickiewicza, w miesiącu lipcu 1841 r., stawił się przed nim człowiek aż dotąd nikomu prawie w Emigracyi nieznany i oświadczył mu, że przybywa z polecenia bożego z kraju i ma do niego posłannictwo. Oznajmił mu, że się poczyna nowa era ludzkości; że nadeszły czasy nowéj Ewangelii, dni zmiłowania i litości bożéj — przedewszystkiém nad nami, a pośrednio przez nas i nad resztą narodów...

Mickiewicz Towiańskiemu uwierzył... uznał w nim proroka,

jeśli nie zbawiciela. Od téj chwili można było uważać doktrynę i sektę Towianizmu za zawiązaną.

Nie mam zamiaru opowiadać tu w wyczerpujący sposób o wszystkich zdarzeniach, tworzących że tak powiem zewnętrzne dzieje tego smutnego w życiu wychodźców naszych ustępu. Moją rzeczą jest tu tylko rzucić kilka ogólnych spostrzeżeń o znaczeniu i o naturze Towianizmu, o ile się takowy odbił na obliczu ówczesnéj naszéj literatury emigracyjnéj. Nie mam wprawdzie bynajmniéj uroszczenia do nieomylności w sądach moich o Towiańskim i jego apostolskich robotach. Wiem, że jeżeli w czém, to w téj rzeczy bardzo mylić się mogę. Patrzę bowiem na tę sprawę z oddalenia i co do miejsca i czasu; patrzę na nią może i przez szkła sztuczne, które przeistaczają rzeczywistą barwę przedmiotu. Rozumiem przez to te wszystkie różnych osób broszury, z których na ich wiarę czerpię o tém wiadomość. Lecz z drugiéj strony mam też tę znowu korzyść po sobie, że nie tylko znam materyały przeciw Towiańszczyźnie, ale i niektóre za nią świadczące, a przynajmniéj z niéj saméj wyszłe. Takimi są właśnie pisma J. Słowackiego, pochodzące z téj doby jego życia, pisma nader rozmaitéj treści i formy, nieogłoszone nawet w pośmiertném wydaniu, a już z powodu saméj swojéj objętości żadną miarą nieobojętne. Mogę tedy porównywając jedne źródła z drugiemi, starać się jeżeli nie o co więcéj, to o równowagę, o sprawiedliwość pośrednią. I zdaje mi się, że jestem co do tego punktu w każdym razie dalekim od uprzedzeń stronniczych.

Powiedzmy coś przedewszystkiém o osobie samegoż sekty założyciela. Jedni, t. j. zwolennicy jego, uważają go za posłańca bożego, za męża nie tylko działającego w najlepszéj wierze, ale i będącego w rzeczywistém posiadaniu objawień udzielonych jemu w nadprzyrodzony sposób od Boga. Drudzy znowu go okrzyknęli za oszusta albo w najlepszym razie za marzyciela na umyśle obłąkanego. — Po któréjże tedy stronie jest prawda?

Mnie się zdaje, że właściwie po żadnéj. Obłąkanego w zwyczajny sposób umysłu nie jest bynajmniéj Towiański! Przeciwnie — mądry, przebiegły, wyrachowany to człowiek! Z drugiéj strony nie wątpię też i o tém, że co czyni, czyni z przekona-

nia. To go jednak żadną miarą nie oczyszcza od ciężkich przewinień, jakich się — dodaję śmiało: z świadomością względem narodu swego dopuścił.

Bywają czasem pomiędzy ludźmi natury, w których szczera wiara i najobłudniejszy podstęp dziwnie się łączą z sobą ku wzajemnéj pomocy. Wyraz łaciński: pia fraus wybornie tę szczególną dwustronność serca ludzkiego wyraża. Człowiek taki chce dobrego i rzeczywiście wierzy najmocniéj w to wszystko, co rozgłasza. Ale ażeby jeszcze bardziéj poprzéć sprawę, na korzyść któréj wystąpił, ucieka się do sztuczek i zmyślonymi, świadomie urojonymi szczegółami rzecz uzasadnia. Zdaje mu się, że działać tak... nie jest rzeczą niepoczciwą: bo wszakże to (wedle jego mniemania) chodzi o prawdy takie, które muszą odnieść zwycięstwo, które się pod każdym warunkiem powinny stać artykułem wiary powszechnéj.

Wyznaję wprawdzie, że co do mojéj osoby, nawet możności wewnętrznéj tego rodzaju wiary ja nie pojmuję. Bo gdzie wiara prawdziwa, tam też — zdaje mi się, byćby powinna i nieograniczona ufność w siłę i tryumf téj prawdy, którą się głosi. Na cóż jéj jeszcze pomoce sztuczne, na podstępnych sposobikach oparte? Prawda boża kłamstw ludzkich na sprzymierzeńca nie potrzebuje, ażeby się stać czynem i ciałem. Z tém wszystkiém tak doświadczenie jak dzieje niezaprzeczenie tego jednak dowodzą, że w każdéj religii i w wieku każdym zdarzały i zdarzają się takowe nadzwyczajne zjawiska w świecie psychicznym. Mahomet np. był jednym z takich fanatyków kalkulujących. Możnaby i dzisiaj niejednego między nami doszukać się takiego, gdyby się tylko dobrze obejrzéć. Owoż i Towiański zdaniem mojém jest z tego rodzaju ludzi.

Głównym punktem wyjścia w genezie duchowego jego rozwoju było usposobienie jakieś mistyczne, połączone z wielką pochopnością do marzycielstwa. Młodym jeszcze będąc, jak powiadają, bliskim był zupełnéj utraty wzroku. Odgrodzony przez czas kalectwa od wrażeń i zetknień z zewnętrznym światem, zamknięty w wnętrzu własnego tylko jestestwa, a przytém przyciśnięty świadomością, że jest ciężkiém zagrożony nieszczęściem, znalazł

on w tym wyjątkowym stanie aż nadto sposobności do rozwinięcia w sobie tych skłonności do jakiejś extatycznéj zadumy, które snać już mu były wrodzone. Późniéj wyzdrowiał. Ale excentryczność i wiara w przeróżne przywidzenia chorobliwéj wyobraźni, które on nazywał wizyami i seryo za takowe uważał, już się u niego przemieniła w drugą naturę. I powiększała się z laty do tego stopnia, że go w kraju, na Litwie, wielu podobno uważało za człowieka o pomieszanych zmysłach. Nawet podobno z tego powodu miał on czas jakiś przebyć w szpitalu jakimś. Obłąkanie jego nie szkodziło wszakże nikomu, to go też niebawem wypuszczono na wolność i nie ograniczano jéj w niczém. Zresztą potoczne życie szczególnego tego człowieka niczém się nie różniło od innych. Urzędował sobie, jak drudzy; był regentem przy jakimś sądzie powiatowym na Litwie, późniéj gospodarzył na wsi, we własnéj majętności; ożenił się, miał dzieci kilkoro, słowem — był to co do swego zachowania się zewnętrznego, co się zowie „porządny, praktyczny człowiek i obywatel“. Od udziału w wypadkach r. 1831 trzymał się z dala i nie miał zwyczaju mieszania się do żadnéj polityki. Jak się wyrażał, miał on ostrzeżenie z góry, od Matki Boskiéj, że się te roboty niedobrze skończą. To też nie tylko sam nie należał do niczego, ale i innych starał się powstrzymywać. A jako nie przesadzał więc w zapędach patryotycznych, tak też wolnym był od zbytecznéj żarliwości i w rzeczach religijnych. W téj mierze obojętność jego dochodziła nawet do tego stopnia, że przez cały ciąg lat 20 przed przybyciem swém do Paryża, zupełnie podobno zaniedbywał spowiedzi.

Pomimo tego wszystkiego, człowiek ten przez całe życie miał jednak ciągle do czynienia z cudami i widzeniami, a odbierał objawienia, które, jak rozumiał, przychodziły mu z nieba. Myśl cała jego zajęta była religią; ale nie w taki sposób, ażeby ją wykonywać, lecz ażeby jéj dopełnić i poprawić. W tym przedmiocie — w kraju jeszcze będąc, pracował on i rozmyślał bezprzestannie. Czytać musiał bardzo wiele, najrozmaitszych książek, a mianowicie mistycznych. X. Semeneńko widzi w doktrynie jego wyraźne ślady studyów nad magią i nawet nad kabałą żydowską. Wiele także się podobno zajmował i magnetyzmém. Godzi się

wnosić, że przyswoił on sobie znajomość i wypadków główniejszych w zakresie niektórych istotnych umiejętności w ich nowoczesnym rozwoju; choć z drugiéj strony widać i to jak na dłoni, że nie jego to pole! Rozumowa i naukowa strona w rozwinięciu Towiańskiego musiała w ogóle być nad wszelkie wyobrażenie zaniedbaną. Podstawy i zdolności naukowéj u niego nie ma. Pojąć coś jasno, wyrazić z precyzyą, w trafnych i naturalnych wyrazach — to nie jego rzecz! Słyszał więc o niejedném, co badania umiejętne w ostatnich czasach wykryły, otarł się o jakieś wypadki nauk; ale snać przyszedł do nich doryw czo i pojął je bałamutnie. Ani zatém nie rozumie dróg, któremi się w sposób należyty do twierdzeń takich przychodzi, ani też jasno istoty ich nie przenika. Wie jednak, że dzwonili, chociaż nie wie, w którym kościele...

Pod wpływem takich tedy okoliczności usnuł sobie Towiański na Litwie jeszcze rodzaj nowéj religii. Nie podejmuję się, jak to wyżéj już powiedziałem, odtworzyć wizerunku tego nowego systematu dogmatów. Powiem tylko, że charakterystyczném doktryny Towiańskiego znamieniem zdaje się być w ogóle dążność stworzenia czegoś, coby stanęło niejako w pośrodku między tą nauką, jaką daje kościół, a stanowiskiem nowoczesnych rezultatów, a raczéj kierunków umiejętności, które pod niejednym względem odstępują od rzeczy w kościele za pewniki uznanych. Chodziło mu tedy o zapełnienie tego że tak powiem rozstępu pomiędzy wiarą a wiedzą dzisiejszą, do jakiego pod tym i owym względem w postępie wieków przyszło. Zamierzył zaś tego dokonać łatanym, eklektycznym sposobem. Co mu się podobało z wypadków wiedzy, to brał za pewnik i podnosił do wysokości dogmatu. Resztę zaś nauki odrzucał z pogardą „jako mądrość świata tego," jako wymysły „ziemi" i dumy ludzkiéj. W takiż sam sposób przebierał i pomiędzy artykułami objawienia chrześcijańskiego. Jedne z nich przyjmował, jak są; drugie wykładał po swojemu i tylko je pod tym zatrzymywał warunkiem; a trzecie — milcząc mądrze i skromnie — usuwał na bok, jakby ich wcale nie było. W taki więc sposób powstało coś, co niby godziło z sobą te dwa odrębne światy pojęć i wyobrażeń duchowych, co miało zastąpić i wia-

rę i wiedzę, i religią i mądrość świecką; co miało zbliżyć do siebie tak prostaczki jak mistrze świata tego i stawić ich wszystkich jako zastęp kierowany jednėm poczuciem, jedną ideą, jednym popędem — zastęp, przed którym niczém są wszelkie potęgi ziemskie — niezwyciężony, bo milionogłowy, a jeden...

Jeżeli z jednéj strony, oceniając dążność tego pomysłu, nie można mu nie przyznać pewnego sensu a nawet i godziwego celu: — to z drugiéj dziwić się tylko należy nad sposobami, którymi spodziewał się Towiański dokonać swego zamiaru. Bo i cóż to było, co on ludziom w zamian przynosił za to wszystko, co im odbierał?

Spytajmy naprzód: byłaż to w i e d z a, a raczéj, byłże to owoc wiedzy? Byłaż to rzecz, któraby ludziom zastąpiła ich wyrozumowane pewniki? — Bynajmniéj! Doktryna jego zbyt była skażona marzycielstwem, żeby obóz wyłącznie kierujący się myślą, był go mógł przyjąć za swego. W jego mętném pojmowaniu wszystkiego, o czém bądź prawić zaczynał, a bardziéj jeszcze w jego arcyniezgrabném tłómaczeniu swoich urojeń — obóz ten widział jedynie nieudolność n i e u k a i jako takiego też go traktował.

A w tym samym znowu stopniu zastęp wiary, hierarchia, kościół — nie mógł nic innego w nim widzieć, jak chyba tylko sekciarza. Wprawdzie Towiański sam dawał się zawsze za najwierniejszego syna kościoła. Nie przyznawał i nie przyznaje się pono dotąd, żeby w czém zbaczał od tradycyjnéj nauki chrześcijańskiéj. Z tém wszystkiém daremne i tylko wybiegliwe sąto wszystko zapewnienia! Wątpię, żeby on wierzył sam temu — bez przenośni i bez tak zwanéj restrykcyi mentalnéj. Księża Zmartwychwstańcy dowiedli mu jak na dłoni, że dogmata jego nie są dogmatami kościoła. Nauka Towiańskiego potępiona też została przez stolicę apostolską, jako herezya.

Założyciel nowéj religii nie uznaje wprawdzie tego potępienia i na przekorę temu wszystkiemu, co się stało od czasu jego wystąpienia, ciągle się widzi w jedności z kościołem. Pochodzi to stąd jednakże jedynie, że uważa się względem chrześcijaństwa, jak takowe jest reprezentowaném przez kościół, w takim stósun-

ku, w jakim się miał Chrystus do starego zakonu. Chrystus nie na to przyszedł, ażeby dawny zakon obalić, lecz ażeby go dopełnić i wytłómaczyć. Podobnie i Towiański żyje w przekonaniu, a raczéj urojeniu, że dopełnia i wykłada tylko dawną naukę kościoła, że ją w swoję doktrynę wciela i podnosi, nie zaś obala ani jéj przeczy. Stąd teżto zatrzymuje sekta jego wszystkie katolickie symbole, wyrażenia, godła, obrzędy i praktyki; ale im prawie zawsze poddaje nowe znaczenie i wyciska na nich piętna taką pieczęcią, która nie ma żadnéj wspólności z katolickim kościołem.

Rozważmy wreszcie, w imię czego czyni to wszystko Towiański? — Na mocy objawienia i posłannictwa danego sobie z góry. Że zaś chodzi tu o nie mniéj ani więcéj, jak o przeistoczenie tego porządku rzeczy w religii, któréj założycielem był Chrystus: więc się Towiański stawia w roli nowego zbawiciela i mesyasza, choć nie ma odwagi nazwać się nim wręcz i otwarcie.

To powiedziawszy o samym Towiańskim i o duchu jego doktryny, spojrzmy teraz na okoliczności, pośród jakich takowa wprowadzona została w życie.

Wystąpienie Towiańskiego jako proroka niedopiero w Paryżu przyszło do skutku. Jeszcze mieszkając na Litwie zaczął on napomykać o swojém objawieniu i posłannictwie. Tu jednakże nie szczególnie się jemu wiodło. Udało mu się wprawdzie znaleść kilku takich, co w niego uwierzyli i zostali jego uczniami. Należeli do liczby takowych malarz Wańkowicz i doktor Gut, szwagier Towiańskiego. Ci mu też i za granicę w religijnych celach jadącemu towarzyszyli, nie chcąc odstępować już mistrza. Z tém wszystkiém grono zwolenników w kraju jeszcze pozyskanych było nadzwyczaj szczupłe. Oprócz dwóch powyżéj wymienionych i chyba rodziny własnéj reformatora, która apostolstwo jego może brała na seryo, nikt więcéj podobno w kraju nie dał się wciągnąć w tę sprawę.

Wypadło zatém próbować szczęścia w innych prowincyach, a w najgorszym razie na Emigracyi. Jakoż wyjechał Towiański z domu podobno około r. 1837 i najpiérw się pojawił w Poznaniu.

Było tu staraniem jego pozyskać dla sprawy swojéj przedewszystkiém... głowę całéj hierarchii w Księstwie, Arcybiskupa Dunina. Lecz Arcybiskup po niewielu już konferencyach przeniknął człowieka, jako marzyciela, a w każdym razie katolika wątpliwéj prawowierności i wzbronił mu dalszego przystępu do siebie. Trzeba więc było szukać sobie gdzieindziéj takiéj powagi, pod któréjby skrzydłami dały się krzewić z pomyślnością plany ukartowane. Za taką wybrał sobie teraz Towiański generała Skrzyneckiego w Bruxelli. Pojechał do niego, zawiązał z nim stósunki i zrazu była wszelka nadzieja dobrego powodzenia, sprawił bowiem pewno wrażenie na generale, kiedy się przed nim opowiedział wysłańcem bożym do niego! Dla Skrzyneckiego to też napisana była owa „Biesiada", w któréj rzucił Towiański ogólny zarys swoich pojęć religijnych, kładąc przez to niejako piérwsze podwaliny do dzieła. W dalszych stósunkach jednakże nabożny i ściśle po katolicku myślący generał przekonał się o bałamutnéj dążności całéj owéj misyi nieznanego sobie człowieka i zerwał z nim.

Teraz dopiéro przyszła koléj na Mickiewicza. Nie powiodło się z głową kościoła, nie powiodło się z wodzem naczelnym: może się powiedzie (pomyślał sobie Towiański) z największym z polskich poetów. Powaga Mickiewicza naówczas stanowiła niejako dyktaturę duchową w całym narodzie. Po zajęciu katedry słowiańskiéj imię jego nabrało nowego blasku — i miało znaczenie nawet we Francyi. Idźmyż zatém do niego! Zyskajmy sobie Mickiewicza, a wszystko nasze...

W roku 1841 w miesiącu lipcu przestąpił po raz piérwszy Towiański progi mieszkania poety. Tym razem próba powiodła się nad wszelkie spodziewanie! —

Zdaje mi się, że kto tylko zastanawiał się nad duchem poezyi Mickiewicza i nad jego życiem wewnętrzném, ten się ze mną zgodzi na to, że łączyły się w tym genialnym człowieku jakby dwie zgoła odrębne natury. Zazwyczaj byłto mąż głębokiéj myśli, trzeźwo poglądający na rzeczy — organizacya duchowa zdrowa, realna, zdolna zdać sobie świadomą sprawę ze wszystkiego, co tylko czynił. Takim go też widzimy w jego listach, których zbiór

zamieszczono w obu ostatnich dzieł jego wydaniach, a prócz tego też tu i owdzie po pismach peryodycznych. Ale Mickiewicz miewał w różnych chwilach żywota swego tajemnicze jakieś podrywy i zachwyty, które go przenosiły w stan taki, że tracił niejako z oczu wszystko, co jest rzeczywistém, i wznosił się duchem do excentrycznych krain extazy. Wtedy nie w sensie retorycznéj przenośni, lecz literalnie przestawał być poetą, a był wieszczem; z artysty przeistaczał się w narzędzie poezyi, nieświadome tego co czyni. Bywał w razach takich czasem duchem jasnowidzącym, niekiedy... marzycielem nie biorącym za nic odpowiedzialności na się.

Tak np. Grażyna, Walenrod, Pan Tadeusz itp. — to były dzieła stworzone w normalném usposobieniu. Oda do młodości, Dziady, a zwłaszcza Dziadów „Część trzecia“ — to owoc natchnienia, wyższego nad świadomość artysty.

Co się Dziadów tyczy, jest dowiedzionėm, przyznaném przez samego poetę, że są tam ustępy, których zupełnego znaczenia on sam nie umiał sobie wyjaśnić.

W podobnie wyjątkowém usposobieniu zostawał Adam od czasu ponownego przybycia swego do Paryża z Lozanny. Zajęcie katedry rozbudziło w nim życie ducha w najwyższéj sile. Rehabilitacya, że się tak wyrażę i apoteoza napoleońskiéj tradycyi i napoleońskiéj idei, dopełniona aktem sprowadzenia ciała cesarza z wyspy św. Heleny, na rozkaz samego króla, i to właśnie w czasie, kiedy Mickiewicz miał zająć nowe to stanowisko, rehabilitacya ta mówię sprawy, która u poety naszego stanowiła zawsze artykuł wiary, nie mało się też przyczyniała do nastrojenia jego ducha na jakieś tony mistyczne.

Miewał on w owym czasie przywidzenia, które uważał za widzenia, za objawienia rzeczy, jakich zdaniem jego nie było dano zwyczajnym ludziom oglądać. Te widma extatycznéj fantazyi tak dalece nabierały w jego oczach znaczenie przedmiotowego bytu, że je poczytywał za kształty, za ciała — nie przez siebie stworzone.

„W miesiącu grudniu (1840), dnia nie pamiętam (tak pisał o sobie sam Mickiewicz w szesnaście miesięcy później do

Skrzyneckiego), kiedy oglądałem przygotowania do exekwii za Napoleona, miałem w dzień biały widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgle; i uczułem że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki. Chciałem go opisać, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy i dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem nie prędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży, i uznałem prawdę widzenia"... (z listu z d. 23 marca 1842).

Tesame prądy wstrząsały też Mickiewiczem już w chwili owéj improwizacyi na wieczorze u p. Januszkiewicza.*)

W ciągu roku 1841 przyczyniło się do utrzymania Mickiewicza pod ciągłym wpływem mistyki zapadnięcie żony jego w stan najopłakańszy ze wszystkich, jakie tylko dotknąć mogą rodzinę, w stan obłąkania umysłu. Wypadła potrzeba śród zajść najboleśniejszych wysłać ją z Paryża na wieś do jakiegoś zakładu zdrowia — z małą nadzieją, żeby było rzeczą podobną uchylić to nieszczęście w zupełności i na zawsze.

Człowiek przywalony nieszczęściem skłonny jest zawsze dawać wiarę cudowności, gdzie tylko się z nią spotyka; a jeżeli kto, to Mickiewicz był prawdziwie nieszczęśliwy w tym czasie.

---

*) Z okazyi tego wieczoru tak się wyraził Mickiewicz w tymże liście do Skrzyneckiego, który w całości przytoczono w Przeglądzie Poznańskim 1858 r. Tom XXV, półrocze I, zeszyt 2.

„W roku przeszłym kilkudziesiąt Polaków dawało mi ucztę. Czułem się w wielkiém podniesieniu ducha i powiedziałem im, „że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania i zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeśli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle człowieka, który będzie dla nas prawem żywém, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami"... Nie pamiętam, pisze daléj Mickiewicz, słów poezyi (improwizacyi), ale ta była ich treść; zaklinałem, żeby ją pamiętali. Wielu już zapomniało. Kiedy Z. (Zan?) Stefan przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił. Ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do téj wysokości. Przerwano mi wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówiłem o X. Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani"...

Owoż takito zbiég przypadkowych a dziwnych okoliczności mieć tu należy na względzie, ażeby pojąć, że taki człowiek jak Towiański był zdolny wpływ wywrzéć na Mickiewiczu i podbić ducha jego pod panowanie swoje. Zresztą były prócz tego wszystkiego i inne jeszcze przyczyny, dla których łatwo było Towiańskiemu wkraść się w zaufanie poety. Albowiem zdaje mi się, że nic prawdziwszego, jak co powiedział Krasiński o stósunku dwóch tych ludzi pomiędzy sobą: — „Pan Adam — to olbrzym, Pan Jędrzéj — to magnetyzer, co obudził olbrzyma. To zrobił, co robią kobiety, gdy iskrę śpiącą w łonie męszczyzny zapalają“ (obacz Wyjątki z listów str. 209). — Rzeczywiście! Właściwym twórcą tego, co dziś Towianizmem zowiemy, byłto sam raczéj Mickiewicz. Doktryna Towiańskiego — to tylko odblysk i udogmatyzowanie tego wszystkiego, co w różnych chwilach w kształcie urwanych pomysłów jak przelotne iskry przechodziło przez głowę porwanemu prądem natchnienia poecie.

Kiedy się np. czyta „Część trzecią Dziadów,“ utyka się co kart kilka na miejscach, które mimowolnie przypominają towianizm. Tasama dziwna niechęć przeciwko wiedzy, zdobytéj rzetelną pracą, na korzyść jakichś mistycznych i gotowych skądsiś pewników; tasama wiara przesadna w siły wewnętrzne pojedynczego człowieka; tasama mesyaniczna dufność w wyjątkową wszechwładzę ludzi, z urodzenia przeznaczonych do władztwa nad resztą społeczeństwa; tesame zachcenia despotycznego zwierzchnictwa w świecie duchowym; tosamo wreszcie przeczuwanie człowieka, który nas przyjdzie zbawić — słowem mesyanizm. Nie brak na miejscach podobnych i w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego. —

Owoż przekonaniem jest mojém, że zagłębianie się w znaczeniu takich urywkowych napomknień w dziełach Mickiewicza, niepoślednią czasu swego odgrywać musiało rolę w genezie pomysłów Towiańskiego. Natchnienia Adama jeżeli nie rzuciły piérwszego zarodu w myśli tego marzyciela, to przyczyniły się w każdym razie do znakomitego posunięcia go na drodze, po któréj szedł. Cały system jego marzeń — byłoto tedy tylko rozwinięcie i dodać można: spaczone, rozmazane rozwinięcie niektórych wieszczo i mi-

stycznie rzuconych słów Mickiewicza. Pomimo jednak niezręczności w ich powiązaniu, było oczywiście pewne pokrewieństwo wyobrażeń pomiędzy nimi, które wzajemne porozumienie się ułatwiało.

A najwięcéj je ułatwiło nakoniec rozmyślne i obliczone podéjście dobréj wiary poety, jakiego się Towiański zaraz na samym wstępie dopuścił. Użył bowiem wszelkich sztuczek, ażeby go już w piérwszéj chwili przekonać, że to człowiek boży, że to ów przewidywany dawno przezeń zbawca społeczeństwa przyszedł dom jego nawiedzić.

Przedewszystkiém więc powitał go po staropolsku imieniem bożém, tak jak to było przepowiedziano w Dziadach:

„Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
Szukaj męża, co więcéj niźli oni umie;
Poznasz, bo cię powita piérwszy w imię boże,
Słuchaj, co powie“...

Potém, w dalszéj rozmowie, przeszedł na własną przeszłość poety i wyłożył mu, co w własnych jego dziełach mogło być dla niego niezrozumiałém. Wyrażenie w Dziadach:

„On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę,“
zastósował do siebie, boć i on w młodości przez czas jakiś był pozbawiony wzroku. „A imię jego czterdzieści i cztery“ wytłómaczył w taki sposób, że znaczy to hufiec złożyć się mający z czterdziestu czterech mężów wybranych, który stanie na czele nowéj budowy kościoła i społeczeństwa.*) Wiarę Mickiewi-

*) Rzeczywiście zaraz potém uformował się zastęp najwyżéj w hierarchii Towianizmu położonych zwolenników téj sekty w liczbie czterdziestu czterech. Kiedy w r. 1842 rząd francuski wydalił Towiańskiego z Paryża, najzaufańsi uczniowie jego podali do ministra rodzaj protestacyi czy też ubolewania swego nad tém rozporządzeniem rządowém, dając świadectwo nieskazitelnym Towiańskiego postępkom przez cały czas bytności jego we Francyi. Akt ten, datowany z d. 7 sierpnia 1842 r. podpisany jest przez 43 męszczyzn i 2 kobiety. A zatém, gdyby do tych 43 podpisujących doliczyć jeszcze samegoż Towiańskiego, który oczywiście musiał należeć także do grona przodujących, jako jego najwyższy zwierzchnik, byłaby
zba 44 Kobiety, jak się samo rozumie, stanowiły osobny
żądana lic tego się tu nie liczą.
poczet i dl

cza w Napoleonizm zużytkował w taki sposób, że mu oznajmił, iż wcieleniem nowém ducha Napoleona jest on sam właśnie (Towiański); że zatém posłannictwo jego na tém zależy, ażeby dzieło przez Cesarza poczęte prowadzić daléj i ostatecznie wykonać. Nakoniec oświadczył, że nie tylko dana mu jest moc żonę jego uzdrowić, ale i wyjawić mu najskrytsze zajścia z jego życia upłynionego. Jakoż opowiedział Mickiewiczowi takie zdarzenia z jego przeszłości, o których (jak się późniéj sam poeta wyraził do Franciszka Szemiota) nie mógł wiedzieć nikt, chyba tylko Bóg jeden.

Co do téj okoliczności, wyjaśniło się późniéj, po śmierci już poety, że się oto tak rzeczy miały. Mickiewicz razu jednego, w młodości jeszcze, rozgadał się był o tych niewiadomych nikomu zajściach swojego życia w zaufaniu przed Odyńcem. Było to, kiedy wspólnie podróż odbywali po Niemczech i Włoszech. Następnie Odyniec, do kraju powróciwszy, komuś trzeciemu, czy też może nawet samemu Towiańskiemu, mieszkającemu wtedy jeszcze na Litwie, opowiadał o tém wszystkiém; tak iż nie trzeba było na to żadnego cudu, ażeby to wiedzieć. Mickiewicz w ciągu czasu zapomniał, że kiedyś przed Odyńcem spowiadał się z swoich tajemnic; wziął przeto wiadomość o nich u Towiańskiego za rzecz objawioną jemu sposobem nadprzyrodzonym.

Samo nawet uzdrowienie Mickiewiczowéj, lubo jest jedynêm zdarzeniem w całéj téj Towianizmu historyi mającém rzetelne pozory cudowności, daleko więcéj okazuje ostatecznie w Towiańskim wprawnego psychologa, niż cudotwórcę. Pojechali obydwaj, on i Mickiewicz, do choréj; pomimo oporu lekarzy odebrali ją z zakładu i zabrali ze sobą. Przybywszy do Paryża, kazał jéj Towiański w charakterze proroka, w jakim był już wtedy znany i przez nią, klęknąć na ziemi, klęczącą zgromił surowo za grzechy, a potém kazał jéj powstać i iść do spowiedzi. Poszła i — powróciła zupełnie uzdrowiona.

Przyczyny obłąkania były snać tylko psychiczne. Targnąwszy silnie za wyobraźnię, przywrócił jéj jednêm skinieniem szczęśliwie zastósowaném tę równowagę umysłu, któréj jéj zwyczajne leki nie zdołały przywrócić.

Takie to więc były okoliczności, skutkiem których obałamucony został zdrowy sens wielkiego naszego poety do tego stopnia, że w Towiańskiego uwierzył. Znając je, dziwić się już nie można, że mógł pisać w kilka miesięcy potém do Skrzyneckiego:

„Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tém. Nie wspomnę o drobnych w młodości rzuconych w świat pieśniach (Romantyczność — Oda do młodości); późniejsze dzieła, a mianowicie Księgi Pielgrzymstwa i Dziadów część III świadczą, żem to co się dzieje, przeczuwał...

...Widzisz także, że uzdrowienie mojéj żony nie było powodem mojéj wiary. Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowa Andrzeja, który jéj nie widział był, ogłosiłem krewnym, że będzie zdrową. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zaklęciami, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełném pomięszaniu, w kanikułę, w gorąco i w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość. Uzdrowieniu mojéj żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę — wracam dziś z rekollekcyi, którą odbyłem u XX. Jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu P. N. Sakramentu to piszę“... (z listu z d. 23 marca 1842 r.) *)

Skoro tylko udało się Towiańskiemu mieć Mickiewicza po sobie: dalsze zabiegi nie spotykały już na żadne trudności. Osoba Adama dawała dostateczną rękojmię, że co rozgłaszano, nie było ani oszukaństwem ani szaleństwem. A na skłonności już gotowéj do poddawania się takim wpływom, pomiędzy emigrantami naszymi nie brakowało. W ogóle bowiem wiara jakaś mistyczna we wszystko, co tylko cudowne i tajemnicze — byłoto jedno z celniejszych znamion społeczeństwa naszego téj generacyi, jak się o tém przekonać można, spojrzawszy na literaturę naszę owego czasu. Było to naturalne następstwo położenia narodowego...

Nie będę kreślił wywodu dalszych przejść, jakie sprawa ta krok za krokiem przebywała. Poprzestanę na wzmiance, że piérw-

*) List ten, i drugi podobny, dano w całości w Przeglądzie Pozn. rok 1858, tom XXV. str. 162 i n.

szymi, których na zwolenników zjednano, byli Sobański i poeta Górecki Antoni. Ten jednakże niezadługo zmiarkowawszy, że rzecz nie jest tak prawdziwemu kościołowi i jego nauce wierną, jak się to w piérwszéj chwili zdawało, odczepił się od wszelkiéj spółki z Towiańskim. W ogóle ludzie silniejszéj wiary w duchu ściśle katolickim wyjątkowo chyba przyłączali się do grona, które się zawięzywało. Z téj też przyczyny i Zaleski, choć zagadnięty owym prześlicznym wierszykiem Mickiewicza: „Słowiczku mój“ — odpowiedział wprawdzie dumką niby potakującą i ułożoną na tę samę nutę, ale jednak nie dał im się zwerbować na zwolennika. Inni poeci, śmielszéj myśli, niecierpliwsi w wyczekiwaniu lepszéj przyszłości, jak np. Goszczyński, dali się złudzić stanowczym zapowiadaniom bliskich zdarzeń cudownych. Z wojskowych przyłączył się najrychléj i najgorliwiéj do Towiańskiego pułkownik Różycki. Reszta adeptów rekrutowała się najwięcéj pomiędzy Litwinami, ci bowiem i skłonnością swoją do mistycyzmu i stósunkami osobistymi najwięcéj byli zbliżeni do Mickiewicza. W przeciągu roku, od chwili piérwszego pojawienia się Towiańskiego w Paryżu aż do czasu, gdzie go z Francyi policya paryska wydaliła, uformowała się przeto gromadka dość liczna Towiańszczyków, jak ich już odtąd nazywano.

Teraz zwróćmy uwagę naszę na Słowackiego i obaczmy, jaki był jego stósunek do tego wszystkiego, co się wtedy działo wśród emigracyi?

Samotne i nieraz przykrości pełne życie jego w Paryżu, usposobienie z natury melancholijne, tęsknota do kraju, wrodzony pociąg do wszystkiego co excentryczne — wszystko to mogło z góry wzniecać żywą obawę, ażeby się ta zaraza nie czepiła i jego ducha. Szczęśliwym trafem było wszelako coś, co go na czas jakiś zabezpieczało od tego niebezpieczeństwa. Tą prezerwatywą były niesnaski z Mickiewiczem! Sama ta niechęć do swego antagonisty wystarczała, żeby nie dać mu widzieć w złudném świetle roboty, w któréj tenże był ostatecznie głównym czynnikiem. To też przez przeciąg czasu dość długi nie widać w listach

Słowackiego ani śladu, żeby był miał przywięzywać jakie wyższe znaczenie do tych cudów i proroctw, tyle wtedy sprawiających wrzawy między Towiańszczykami. Przeciwnie, usposobienie jego było wówczas więcéj towarzyskie i światowe, niż kiedykolwiek.

..."Ja, co dawniéj lubiłem samotne wieczory (donosił w ciągu piérwszéj połowy r. 1842), teraz już sam wysiedzieć nie mogę. Nuda mię ogarnia — nie wystarczam sobie wieczorami, jak dawniéj, kiedy w świeczce mojéj paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe...

..."Posłałem Ci moje wizerunki — twarz więc sobie będziesz miała oddaną. Teraz wiédz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancyą, jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się aby mię zwykłe memu zajęciu się zaniedbanie kiedyś nie owładło. Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, który mi oszczędza niepotrzebnych wydatków. Najczęściéj chodzę czarno, ale nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą. Zawsze tak staram się być ubranym, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie; a nigdy tak, aby wiedziano, żem się wystroił umyślnie. Taka jest moja polityka co do ubioru.—Nie jestem wcale tłustszy niż byłem; ale jestem zupełnie weselszy. Jakby po walce z ludźmi odbytéj, używam pewnéj spokojności i to mi się w uśmiechu maluje. Muszę Ci także wyznać, że może tracę więcéj, niżby należało. Ale cóż robić!" itd.

W tymże samym prawie czasie musiał Słowacki pisać coś o Towiańskim do Krasińskiego. Listu tego wprawdzie nie mamy; ale z odpowiedzi Krasińskiego, znalezionéj między papierami Juliusza, można sobie zrobić wyobrażenie, o co mniéj więcéj mógł być Zygmunt zapytywany. Odpowiedź rzeczona zasługuje na przytoczenie. Była pisana d. 27 października 1841 r. z Monachium.

„Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie — w cudotwórców prawie nigdy; nie znam zaś próżności próżniejszéj nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów. Nie pochodziż to nieco z téj urzędo-namiętnostki, tyle zawsze burmistrzującéj w naszych sercach? — W Piśmie — księga proroków następuje po księdze królewskiéj; w dziejach bieżących tosamo się objawiło. W sferze niby to widoméj wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt — nazwa miasto rzeczy — blichtr miasto istoty — słowem królewskość. W sferze niewidoméj, w kościele, w poezyi — awansowano na proroków. Jest to także stopień — dignitas. I znowu tu,

jak tam, tytuł wprost rzecz samę skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści — wyniknęła komiczność! — Co za wiek, Julu! — co za świat! — co za koléj zgubna porywająca wszystkich do otchłani — nie Dantejskiéj, ale stokroć głębszéj, bo stokroć dalszéj od zmartwychwstań nieba; chcę mówić — do otchłani śmieszności! — Za dni moich widziałem dzieci — ponure — dzikie — jeszcze ssące pierś mamki, a już recytujące wiersze byrońskie i piszczące usteczkami pełnemi mleka: „To piołun!" — Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, wołające Boga na usprawiedliwienie się przed niemi, jak Hiob niegdyś — jak Faust później — i szpilkami grożące gwiazdom. Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapełniających serca ludzi imieniem swojém — a potém idących na starość do św. Pelagii i głupstwa, brednie, próżnostki same drukujących! — orłów, co w słońce patrzeli, spadłych w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczki. — Widziałem za dni moich, acz nie długich — zbłaźnienie wszystkiego — i zaczyna mi smętno być w duchu. Tém się jedynie pocieszam, żem zda mi się, doszedł ukrytéj sprężyny tych wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym niepracy w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki: tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały bez pracy; kiedy duma wbrew przeciwnie jest wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. — Kto dumny, ten i pokorny zarazem — a duma połączona z pokorą stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory — to próżność, pokora bez dumy—to podłość.—Na pozór tylko sprzeczne to władze duszy — a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może!...

...„Teraz mój drogi Julu, o Tobie słów kilka. Ucz się patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości, unikać wszelkiéj — nie zapadaj w niemoc, bo niemoc nie jest pokorą — ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić — bo takie przekonanie nie jest dumą. — Bądź dumny a pokorny! — Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym — lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, któréj za podstawę dałeś piersi swoje...

...„Ty wiesz, żem Cię kochał zawżdy — Ty wiesz, że Cię kocham — może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę."

Pomimo takich przestróg, zajść musiała jednak już w ciągu miesiąca lipca następnego roku (1842) w Słowackim stanowcza zmiana...

Nie umiem opowiedzieć, jakie w szczególności zdarzenie dało do tego powód, że się zbliżył do niego Towiański, czy też on do Towiańskiego. Dość że od owego czasu począwszy, usposobienie naszego poety, co tylko jeszcze tyle światowe, zmieniło się zupełnie, a sądy jego o tém wszystkiém, co się działo około Mickiewicza, ustąpiły miejsca innym wyobrażeniom. Piérwszym objawem tego zwrotu w pojęciach był list pisany do matki dnia 2 sierpnia (1842), zawierający ustępy, do których dawniéj nigdy nic podobnego nie pisał.

...„Co do mnie, wiele nadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła we mnie. Już nie wyrzekam, ale ufam. Otoczył mię krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy — zdaje się, że błogosławieństwo boże jest nademną. Wszystko to podobném jest do snu i do marzenia, i wytłómaczoném być nie może...

...„Świat glansowanych rękawiczek i woskowanych posadzek zupełnie zniknął z oczu moich, bo cóż z niego można wydobyć? Jestto próżny teatr dla igrających myśli — dla słów ulotnych: a mnie trzeba dziś być wewnętrznym człowiekiem — ile można, doskonałym i dobrym. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego. Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić“... *)

W następnych listach, co miesiąca już teraz pisywanych do matki i do Januszewskich (wuj Juliusza wrócił z wygnania właśnie pod koniec r. 1842), coraz więcéj znajdowało się już takich zwierzeń mistycznych. Przerażały one matkę poety. Wieści o zawiązanéj sekcie Towiańszczyków doszły były tymczasem aż na Wołyń i niemało w całym kraju obudzały zdumienia. Pani Becu nie pojmowała tego stanu, jaki wiał z tajemniczych wyrazów, kreślonych ręką jéj syna. Kiedy to wszystko, co jéj teraz pisał o sobie, porównywała z doniesieniami, które zaledwie 3 lub 4

---

*) Jak wiadomo, Towiańszczycy żyli w nadziei, że chwila ich powrotu do kraju już niedaleka. Dlategoto i Słowacki tylko jeszcze owę zimę miał przepędzić w Paryżu. Zmienił więc swoje mieszkanie roczne na tymczasowe i zamieszkał wtedy *rue Ponthieu* Nr. 30.

miesiące piérwéj otrzymywała jeszcze z rąk jego, a w których aż do dziwnéj jak na poetę drobiazgowości posuwał się czasem Słowacki w opisywaniu np. swego ubioru, swojéj predylekcyi do bócików lakierowanych, do „żółtawo - blado - białych“ rękawiczek, których jedynie jak powiada używał itd. to ta sprzeczność między jéj synem ówczesnym a obecnym taka była uderzająca i nagła, że matka w głowę zachodziła rozmyślając, coby to wszystko znaczyło. Zapytywała go z boleścią, z niedowierzaniem, z nieśmiałością, czyby i on miał także należeć „do tych jasnowidzących?“ Badała go, czy nie zamyśla zostać księdzem? czy zaszło co nadzwyczajnego w jego położeniu zewnętrznem? czy go nie spotkały jakie straty? czy mu nie grozi coś, co go trwoży? czy zdrów? „czy mu czoło nie pała?“ dlaczego listy jego takie niezrozumiałe?..

Przypuszczenia takowe drażniły i zasmucały Juliusza. Oto, co jéj odpowiadał na takie zapytania:

...„Zasmuciłaś mię bardzo, pisząc mi z trwogą i z pewném niedowierzaniem, myśląc żem ja się jasnowidzącym oddał i w sny ich uwierzył. Nigdy nie byłem tak nisko, żeby mię lada kto mógł wziąć za głowę. Ale drgnięciu wewnętrznemu ducha bożego uwierzyłem, i słowom prostym a bożym dałem się przekonać.“ — — — „Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać się nowéj, wielkiéj pracy, są przeciwko nam z wielkim gniewem i oskarżają nas wynajdując różne fałsze, i stawią nam różne przeszkody. Wiele więc może próżnych ech dojdzie do Ciebie. Więc jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, żem się zaparł rozumu mego i zszedł z drogi, na któréj mię witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują. Ale ja wiem, że mię Bóg nie opuści; bom ja także nie opuścił żadnéj pracy około świata, ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niéj, i już nie tylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcéj wnętrzem najczystszego czucia. A tak czyniąc, nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie*) i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę i wiem, że go to raduje“...

„Przebacz mi najmilsza, że tak piszę; ale wiedz, że piszę

*) Mówi to o ojcu swoim Euzebiuszu Słowackim.

po spowiedzi i po przyjęciu Sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył; bo rozumni wypędzają nas z domu świętego, oskarżając o walenie domu tego przedtém i teraz, a boją się o siebie i nie widzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie jego prawdziwe w czystości i pokorze"... (z listu z d. 17 listop. 1842).

..."Są położenia, że trzeba z miłości własnéj zrobić ofiarę, t. j. nie ukrywać się z niczém i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osądzą, nazwą ją złością lub zazdrością. Otóż dokompletowałem siebie czynem. To jest, spotkawszy mego przeciwnika (Mickiewicz) na wyższém stanowisku, podniesionego ku prawdzie prawdziwie bożéj, już nie w jezuityzmie — podałem mu rękę i teraz jesteśmy razem. Jesteśmy—ja, on i jeszcze trzeci... równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie. Życie takie podobne jest do życia aniołów, i nieraz ozłocone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne. Nie miéj więc, o droga, żadnéj bojaźni o mnie, bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mnie nienawidzieć nie może. Bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnąłem, i muszą to kiedyś uczuć, choćby już nigdy więcéj moich słów nie słyszeli"... (z listu z d. 18 stycznia r. 1843).

..."Nie tracąc chwili odpisuję, abym Cię wyprowadził z trwogi i uspokoił; bo pojmuję ile Cię taki straszny domysł zatrważać musi. Nie, nie zostanę nigdy księdzem! Onito Faryzeusze miłość udający obrzydzali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po któréj tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło"... itd. (d. 18 marca 1843).

Wstrzymuję się od wypisywania miejsc takich więcéj. We wszystkich listach ich pełno. Natomiast staje się korespondencya Słowackiego od tego czasu nad wszelki opis ubogą w szczegóły o życiu jego potoczném i zewnętrzném. Człowiek ten odtąd przestał prawie już żyć dla otaczającego go świata. Nic go już na nim nie zajmowało. Wszystkie myśli jego krążyły jedynie około pojęcia Boga, Ojczyzny, przyszłości rodu ludzkiego, słowem około zagadnień doktryny; i nie było nic ważniejszego dla niego, o czémby matce donosił, jak ten ciągły rozbiór tych niewielu mistycznych pojęć, około których się cały Towianizm kręci. Przy tém ją jednak ciągle zapewniał, że się czuje bardzo szczęśliwym.

„Uleciał smutek odemnie, powiadał jéj, i wpuścił więcéj niż nadzieję do domu mego. Przybyła także większa prostota — mniéj zachceń ziemskich, a więcéj prawdziwéj żądzy dobrego. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcéj mocy, tak że mię ludzie zaledwie poznają. Widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i tęcz prawdziwych, i to mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata.“ (z listu z d. 18 marca 1843).

Czasem mu matka robiła wyrzuty, że ją samemi tylko zbywa rozumowaniami, a nic rzeczywistego nigdy nie donosi o sobie. W takim razie odpisywał jéj, jak np. d. 12 sierpnia 1844:

...„Dlaczego Ty droga chcesz szczegółów życia mego i materyalnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy: odpowiedziałbym w taki sposób, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, niedostaje. Albowiem jeśli szczęściem jest zabawa — téj ja nie znam; jeśli pieniądze — tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniéj niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd jakiś i uczucie upokorzenia. Gdybym Ci opisał droga, życie moje zewnętrzne, Ty sama możebyś zwątpiła o szczęściu mojém... możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że Ci dziecko twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli Ty prawdziwie szczęścia mego żądasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, żem jest pełen jakiejś wnętrznéj radości, która się czasem aż w głosie moim, tonem śpiewu przebija — jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestrachu śmiejące się, bo pewne opieki. — Pytasz mię droga, czy jadłem wielkie święcone? A ja Cię proszę, abyś nie zwracala oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany i potém głośno mówią: daliśmy jadła i słudzy nasi pożarli je... Albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i serca przelać ogniem upoiwszy je z palących kielichów — i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, i takiém jadłem wiązać ludzi, aby więcéj nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi. Dla wiadomości twojéj jednak powiem, że i na

tamtém święconém byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc że przeszłość jadła, aby żyła"...

— W ciągu tego samego czasu korespondował też Słowacki, jako już Towiańskiego zwolennik, i z Krasińskim. Widocznie było gorącém życzeniem jego, ażeby dla sprawy nowéj doktryny pozyskać tę potęgę duchową. W listach tych znajdują się wydatniejsze, aniżeli w koresponencyi do matki, zarysy tego jak on sobie słowa Towiańskiego tłómaczył. Jestto zatém jedno z ważniejszych źródeł do wyrozumienia, o co ostatecznie Towiańszczykom chodziło. Źródeł takich bardzo mało pozostało. Im więcéj bowiem osoby po za tą sektą będące były pochopne do rozgłaszania rozmaitych wieści o zajściach, które się wewnątrz koła takowéj działy, tém uporczywsza była niechęć w tych ostatnich powierzania drukowi jakichkolwiek wiadomości o wewnętrznych tegoż koła stósunkach albo dogmatach. Jak wiadomo, Biesiada, a raczéj dwie Biesiady — jest bowiem jedna z r. 1841 (dla Skrzyneckiego pisana), a druga ogłoszona 1845 p. t. „Biesiada z bratem Karolem" (Różyckim) — stanowią jak dotąd jedyne drukiem rozpowszechnione dokumenta Towianizmu, wydane z samego łona téj szkoły. I z tych atoli dokumentów, choć były ułożone przez samego Towiańskiego, został jeden, t. j. owa Biesiada rychlejsza, w następnych latach o tyle unieważnionym i niejako odwołanym, że Towiański przeciwnikom swoim oświadczył, iż ją pisał jedynie dla wyż wymienionéj osoby, a nie dla wszystkich — i w celu, ażeby ją ustnym dopiéro wykładem własnym uzupełnić, nie zaś żeby każdemu służyło prawo wysnuwania z niéj wniosków swoich.

Choćby zatém z tego już tylko powodu, że to nowy a autentyczny materyał do wewnętrznych dziejów téj sekty, poczytuję za stósowne przytoczyć tu kilka wyjątków z rzeczonéj, skądinąd nieco monotonnéj korespondencyi.

W piérwszym tedy z listów pisanych w téj epoce do Krasińskiego (d. 14 grudnia 1842) — tak się Słowacki odezwał:

..."Otóż wiédz, że jest człowiek, który rozwięzuje duchy i stawia je nad ciałami, wkładając im wszelkomożne korony — wpajając w nie królewskość mocy — łącząc

z Bogiem, a to wszystko prostą, ożywczą, bożą siłą — jedném słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności bożéj... A nauka jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci, którzy są gotowi, przyjmą ją — a ci, na których czas nie przyszedł, odrzucą — a jednak odrzuciwszy, będą mieli targane sumienia i serca do krwi rozdarte!.. Otóż ta idea w świecie duchowym jest jak systemat naszego Kopernika... Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu astronomowi przeszłości, że słońce stanęło: a on już sam w obserwatoryum swojém od lunet i teleskopów dowiedziałby się reszty. Ale gdybyś ty jednak wiedział, jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli bożéj wszystko i wszystko odtworzył na nowo, z prostotą pastuszą i z pohamowaną w sobie ludzkością: — wziąłbyś go pewnie za Pana i za przewodnika"...

..."Ty, który od dawna jesteś ogniem tych, którzy w okrąg Ciebie stoją, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam i przyjść nam z legionem twórczo-duchów w pomoc. Wam wtenczas świat będzie musiał uderzyć czołem, i ja — choć już wśród was bez życia i ruchu — będę się radował ze zwycięstwa nad światem i nademną"...

..."Poganizm cały krzyczy i jeszcze występuje do walki. Palcem posągowym pokazuje wszędy formy swoje — zasłania się niemi i teraźniejszéj chwili tylowiekowym głosem wyrzuca niewdzięczność. Jam go przeklął; ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litosnym panem, że jego Dyany były mi kochankami, a jego trwałość — prawie wiecznością... Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym a nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historya. W Anhellim ją na końcu przeczułem i oprócz Anioła, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, wszystko się sprawdziło"...

Na to zagadnięcie niezwłocznie nastąpiła odpowiedź. Odpowiedzi téj między listami wprawdzie nie znaleziono. Z piérwszych słów atoli drugiego listu, który zaraz potém napisał do Krasińskiego Słowacki, daje się wnosić, że odpis Zygmunta ułożony być musiał jakoś dyplomatycznie, ani nie przecząc, ani nie potakując.

Początek rzeczonego listu jest taki:

„Kochany mój! Twój list apokaliptyczny świeci mi jak lampa w gotyckim kościele — jak różyca różnokolorowa,

przez którą patrzy słońce — ale roztęczowane, niepewne! Odgadłeś kilka kształtów: i w wzroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedym mu o liście Twoim mówił, widziałem że mistrz taksamo tłómaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami...*) Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie?"...

W dalszym ciągu napotykamy jeszcze jeden ustęp godny zastanowienia:

..."Każdego z nas inaczéj uderzyło Mistrzà słowo i z innéj struny każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokorném kole braci układa do harmonii. Co do mnie, najmocniéj mnie zajmuje twórczość ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jest jedno. — Uczuciem więc, ogniem miłości, ściągnięciem woli bożéj na ziemię możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. — Praca więc powinna się zacząć w nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc czucia — zlewać go — spiorunować w sercu: a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia. — Stwórz sobie myślą takiego człowieka, postaw go sobie przed oczy — niech przemówi do ciebie twarzą pogodną, wnętrzném uczuciem siły nieśmiertelnéj, mocą magnetyczną wyższości prawdziwéj: — a ujrzysz nasz ideał. Każdy Duch, z Boga wetchnięty w organizacyą, ma misyą bożą, to jest przebicie się przez materyą, wyrabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty — aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: wypełniło się! — Uczucie to skończonéj, wypełnionéj misyi zaczyna nową drogę ducha wyłamanego już z materyi, uwolnionego z organizacyi. — Wierzymy więc w niedopełnioną pracę ducha i w łańcuch żywotów, które podług téj skazówki wyduchowiania się uważane, są Ewangelią dowiedzione. — Wierzymy w narodowości, to jest w solidarne misye duchów powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością; a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktowém uczuciem téj odpowiedzialności; a poświęcenie się za nią nie jest

---

*) To miejsce służyć by mogło pod pewnym względem za komentarz do tego ustępu Króla Ducha, który jest dany w rapsodzie Iszym pieśni Iszéj strofie 17.

szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym, tak jak to materyalne pomaganie sobie, które stworzyło kontrakt socyalny.—Wierzymy i w to, że kogokolwiek duchem zaczepimy, stajemy się duchem odpowiedzialni za ducha. — A tak utworzywszy sobie świat wnętrzny i zrozumiawszy go, stworzył się nam szereg cnót nowych duchowych i grzechów, które dotąd w konfesyonałach nie były słyszane...

„Wszystko to jest proste i nie do rozumu twojego, ale do serca twojego pisane. Lecz powiédzże, czy sercom nie trzeba było takiéj wiary? takiéj religii?— Czy ta myśl, że duch — już skończywszy misyą i rozwiązany z organizacyi — jeszcze jest odpowiedzialny za duchy leniwsze pozostałe w pracy, nie tworzy ci najcudowniejszéj kolumny świętych pańskich, którzy muszą podszeptywać, pomagać, a przez łaskę czasem zjawiać się na ziemi wierzącym w nie, aby wypełnienie misyi narodowych przyspieszyły?... Zamyśl się z tą myślą, a usłyszysz cudowną harmonią między duchowemi pracami a boleściami ciał, które są chłostą niby bożą i przymusem i nauką duchów. Jednéj plagi, jednéj choroby nie ma przysłanéj napróżno. Narody wydają się jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane. Historya, ta męka ciał, staje się nauką duchów; wszystko się wyjaśnia: Bóg się pokazuje z każdéj mgły, z każdéj chmury. Taka więc jest ta metempsychoza, o którą nas księża katoliccy oskarżają“... (List ten, długi bardzo, datowany jest z d. 17 stycznia 1843 r.). —

Teraz dopiero nastąpił odpis (z Rzymu d. 26 stycznia 1843), o którego treści można dać bliższą wiadomość, jestto bowiem jeden z owych listów dziesięciu. Co w nim szczególnie uderza, to jakaś dziwna wyrozumiałość Krasińskiego na obłąkanie całego tego grona w Paryżu, chociaż je był rokiem pierwéj z takiém oburzeniem potępił.

Oto kilka ustępów z rzeczonéj odpowiedzi:

...„Czemuż się tak żegnasz na wieki z pięknością pogańską? Czemu myślisz, że nieśmiertelne umrzéć potrafi? — W arcydziele Pana nic nie ginie, wszystko coraz żywiéj żywie, wznosi się i wzmaga! Nowa, pełniejsza od wszystkich poprzednich poczyna się epoka. Nazwieszli ją królestwem bożém, czy przyjściem Ducha św., czy jeszcze inaczéj: — to pewna, że ona być musi epoką nieznaną dotąd — życia czyli czynu! Czyn albowiem, rzeczywistość, życie — to cél, ku któremu ostatecznie wszelkie poprzednie

przygotowanie się garnie. Natura stąpała ku człowiekowi — historya stąpa ku ludzkości. Dwie sfery przygotowawcze przebiegliśmy dotąd; każda z nich wzięła na się rozwinięcie jednéj z jednostronnych części składających całość czyli życie. — Piękność czyli prawdę kształtu pojęło pogaństwo; prawdę czyli piękność myśli, chrześcijańska era upłyniona od dni chrystusowych. A czémże czyn, życie, świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem tych dwóch jednostronności?" itd. *)

..."Więc owszem ja ci mówię, że gdy tak prawdziwie pojmujesz czyn, tak głęboko wzdychasz doń, to wcale się nie odsuwasz od tego, co nieśmiertelném z świata piérwszego ludzkości pozostało — od piękności! Przeciwnie, ty żądasz, by myśl Chrystusowa, która dotąd tylko idealną prawdą była, wcieliła się w widomą rzeczywistość, w kształt powszechny, planetarny, godzący wszystko, organizujący wszystko; a czémże kształt prawdy, jeśli nie piękność? Zatém dążysz ku piękności nie już tylko w marmurach, płótnach, dźwiękach i mierze wierszowéj, ale ku piękności żywéj, ku najwyższemu stanowisku piękności"...

W dalszym wywodzie wykłada Krasiński swoję własną teoryą o ludzkości i składających jéj organizm narodowościach, jako niezbędnych członkach téj harmonijnéj całości, w sposób jak w przedmowie do Przedświtu. I w końcu ten system swéj wyobraźni przysądzając Towiańszczykom, zamyka rzecz w następujących słowach:

..."O to kusicie się bracia moi — to waszém jest usiłowaniem! I błogosławieni jesteście za to, żeście piérwsi pojęli to i postarali się to uczynić! Ale pamiętajcie, że wszechstronność piérwszą cnotą waszą być powinna; że nic nie odrzucać — niczém nie gardzić, ale wszystko wywyższać — wszystkiemu miejsce dać, a piękniejsze i lepsze — powinniście! — O! zaklinam was: nie zwężajcie się jako cząstka świata — ale rozszerzcie się jako całość świata! — Bądźcie pełniejsi miłości od tych, którzy twierdzą, że ich rzemiosłem jest miłość! Nie intolerancyą walczcie intolerancyę! Owszem, wszystko pojmijcie, wszystko pochłońcie — bądźcie jako kopuła, co ziemię widnokrężnie opierścienia. — Miasto gołębicy dawnéj, chciałbym by dziś

*) Cały powyższy ustęp prawie żywcem jest wzięty z Cieszkowskiego Historyozofii.

taki błękit uznany został za symbol Ducha świętego! Niechże i waszych działań będzie on symbolem!"

A zatém, jak widzimy, Krasiński ostatecznie nic więcéj nie znalazł do wytknięcia mistycznéj owéj doktrynie, jak tylko ten fanatyzm, tę wyłączność bezmiłośną i jednostronną, tę do najwyższego stopnia posuniętą intolerancyą, jaka znamionowała i słowa i postępki Towiańszczyków, od Mickiewicza począwszy aż do najbezmyślniejszego szeregowca téj szkoły, we wszystkich ich zetknięciach z światem zewnętrznym.

Ta teoryczna pobłażliwość autora Przedświtu dla Towiańszczyzny nie wystarczała jednak bynajmniéj Słowackiemu, który go pragnął do obozu tego przeciągnąć. Z téj przyczyny korespondencya zobopólna się przedłużyła i nadal, ale w taki sposób, że w wyrazach Słowackiego coraz dotkliwiéj przebijać zaczął „pewien kwas melancholijny" przeciwko człowiekowi, którego dawniéj tyle uwielbiał. Na uwagi cierpkie, wstępnym bojem sobie czynione, Krasiński odpowiadał życzliwie i z miłością, lecz je odpiérał jednakże. Wreszcie się ta rozmowa listowna między nimi urwała. . Potém nastąpił (w tymże roku, w jednym z miesięcy latowych) ślub Krasińskiego z Branicką — a następnie napisany i ogłoszony został „Ksiądz Marek".

Nie można samemu tylko przypadkowi tego przypisać, że się w tym poemacie znajdują rzeczy, które boleśnie dotknęły Krasińskiego. Są tam wyrażenia i zajścia, ubliżające rodzinom, z których tenże albo pochodził albo z niemi był połączony. Uraza musiała być tém żywsza, że nie można było niewidzieć, że tu wyraźnie o to tylko chodziło, żeby dokuczyć. Uszczypliwości są po większéj części naciągnięte i w kolorach mocno przesadnych; a to, co się bezpośrednio do Krasińskich odnosi, nazwać należy nawet bezwarunkowo niesprawiedliwém, zwłaszcza że dzieje barskiéj konfederacyi bynajmniéj do tego nie dawały powodu.

Ta publikacya położyła na zawsze koniec serdecznym stósunkom pomiędzy Słowackim a Krasińskim. Zerwały się one od owego już czasu, a nie dopiéro w skutek wiersza „Do Autora trzech Psalmów", jak to zazwyczaj sobie wyobrażają. W późniejszych latach podali sobie wprawdzie obaj poeci raz jeszcze

ręce do zgody; ale była to już tylko... przyjaźń łatana i chłodna — jak się to opowie w swojém miejscu.

Ażeby zakończyć już ten rozdział sprawie Towianizmu wyłącznie poświęcony, dodaję jeszcze słowo o zachowaniu się Słowackiego względem samejże szkoły, któréj był uczestnikiem. Bynajmniéj nie należy sobie wystawiać, że to był bierny tylko i potulny wykonawca zleceń mistrza swojego, albo powolny potakiwacz słowom lub też uchwałom drugich. Owa sprężysta samodzielność, owa „odśrodkowa siła negacyi", którą mu przyznał był już Krasiński w owéj rozprawie swojéj z r. 1841, podsycana wrodzoną a teraz okolicznościami spotęgowaną drażliwością umysłu, dawała się i w téj życia jego epoce czuć wszystkim z jego strony przy lada sposobności. Mianowicie zgoda z Mickiewiczem żadną miarą nie była bezwarunkową i długotrwałą.

W piérwszéj chwili uwielbienie jego dla Towiańskiego nie miało granic. Pod jednym wierszem, który jako numer V znalazł miejsce w tomie Iszym Pism jego pośmiertnych na stronie 71, napisał był takie wyrazy bezpośrednio do niego skierowane.

„Temu, który nie słowy ani nauką, ale przyjściem swojém i zapowiedzeniem sprawy bożéj, ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

Andrzejowi Towiańskiemu,

niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i miarę wyrozumienia Sprawy Bożéj, ofiaruję i poświęcam, — narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka, który słowa te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, wyrzekłszy, podobnie jak Kopernik, a więcéj jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił." —

Ale już krótko po wyjeździe Mistrza z Paryża, znalazł się Słowacki w konieczności wystąpienia z powszechnego i jedynego jeszcze naówczas koła Towiańszczyków i założenia frakcyi własnéj, osobnéj. Powód zdarzenia tego nie jest mi wprawdzie wiadomy; ale nie wątpię, że do tegoto zajścia odnosi się następujący

urywek z listu, którego początek znalazłem na ulotnéj kartce pomiędzy luźnymi papierami poety:

„Piszę do Ciebie, Bracie Andrzeju, abym Ci wypowiedział z ducha mego słowa, które przed światem uczyniłem dotąd tajemnicą, ciężarem téj tajemnicy obciążywszy samego siebie; abym nie mógł być w żaden sposób przez Ducha Twego oskarżony przed Bogiem, jąko odstręczający świat od sprawy Ducha wykryciem zgorszenia. Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o Tobie świadczących przyjąłem; w dobréj wierze połączyłem się z uczuciem ich — w czystość Twoję zawierzyłem, wiernym byłem — w postępkach moich starałem się być bez poszlakowania — w pracy mojéj pomocnym Tobie — w usłużeniu Sprawie piérwszym — w cielesnym koła porządku ostatnim. Jeżeliś tego nie czuł duchem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadczą, że tak było. Wystąpienie moje z koła ciche, a Tobie bynajmniéj nie uwłaczające wywołało z Ciebie sąd pismu powierzony, w którém ducha mojego osądziłeś. Odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu“ — — — (dalszego ciągu nie ma).

Podobnych śladów częstych nieporozumień między Słowackim a resztą koła, mógłbym przytoczyć i więcéj. Są nawet protestacye formalne z jego strony przeciwko jakimś krokom czy też zamiarom Mickiewicza i jego zwolenników, których już dzisiaj dokładnie się dorozumieć nie można z powodu tajemniczości' w jakiéj się wszystko tam odbywało pomiędzy nimi. Oto jeden z ciekawszych dokumentów tego rodzaju.

„My niżéj podpisani, którzyśmy stanęli przy sztandarze sprawy Bożéj, z najwyższego ducha miłości i prawdy chcąc wysnuć siły ku zbawieniu Ojczyzny naszéj...

„Przekonawszy się, że dotychczasowi wodze nasi, którym z miłości poddaliśmy się i z pokory, nie odpowiedzieli zaufaniu naszemu, ale powiedli koło nasze ku tym idealnym absolutnym celom, na których wszelka różnica czasem i charakterem między narodami położona ginie...

„Nie oskarżając bynajmniéj przewodników koła o złą wolę, ale z sumienia naszego czyniąc krok według nas potrzebny i konieczny...

„Zostawiamy odpowiedzialnymi przed Bogiem i przed narodem oweto nasze przewodniki za dalsze ich postępowanie. Sami zaś nie odbierając sztandarowi prawdy i miłości serc i sił naszych, powierzamy obronę“ — —

Dalszy ciąg téj protestacyi jest wydarty w książce, w któréj się mieści, zawierającéj w sobie różne notaty Słowackiego. Ale zaraz na trzeciéj stronie dalćj w tymże raptularzu jest koncept listu, który choć jest bez daty, oczywiście odnosić się musiał do téjże okoliczności:

„Do koła całego tak nazwanych Towiańszczyków, czyli uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego, Adama Mickiewicza:

„Bracie Adamie!

„Przypominam Ci, że przyjęty za brata w kole Waszém przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mię bratem być wyznał: w dniu 1 października 1834 roku“ (liczba oczywiście zmylona, zamiast 1844, albo może 1843) „listem do koła braterskiego pisanym nie wyrzekłem się bynajmniéj braterstwa, ale położyłem Veto z ducha polskiego — przeciwko dążności rosyjskiéj, która mszę i nabożeństwo publiczne za ducha nienaszéj wiary i nienaszéj idei podyktowała.

„Przypominam, że jako pierwéj, tak i teraz Veto moje nie zdjęte z koła trwa na wieczność, a témsamém czyni nieprawnymi i bezskutecznymi wszelkie kroki, które koło w tymże duchu łączącym nas z Rosyą przedsiębierze.

„I żądam, aby ta nowa protestacya przeciwko ugięciu ducha polskiego przed Cesarzem Mikołajem zakomunikowaną była w kole dla wiadomości.

„Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha Ojczyzny mojéj —

„W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestacyą, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mojego.

Brat

Juliusz Słowacki.“—

Do któregoby czasu się to wszystko odnosiło, trudno bardzo dzisiaj odgadnąć. Wnoszę jednak z różnych okoliczności ubocznych, że dziać się to musiało 1844, albo co jeszcze prawdopodobniejsza, w r. 1845.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętéj materyi. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Ksiądz Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natchnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Ducha.

Przystąpienie Słowackiego do koła Towiańszczyków wywarło wpływ przeważny na charakterze jego jako poety. Cały zawód jego autorski otrzymał odtąd inny kierunek. Tém zdarzeniem, życie jego na emigracyi wydaje się jakby przedzielone na dwie połowy. Między pracami jego z przed roku 1842 a potém, mało jest związku organicznego. Sąto dwa osobne działy czynności literackiéj, daleko bardziéj odgrodzone od siebie, aniżeli owe okresy rychlejszéj części życia, które przedzieliło w r. 1831 dobrowolne usunięcie się na wygnanie.

Piérwsze następstwo téj tak stanowczéj zmiany wyobrażeń, a raczéj tego zupełnego przewrotu wszelkich pojęć dawniejszych, okazało się w tém, że Słowacki prace swoje dotychczasowe od téj chwili bardzo mało już cenił. Co było już wydane, tego oczywiście nie było można cofnąć z obiegu. Ale co jeszcze leżało w tece, to też już w niéj i na zawsze miało pozostać!... To jest przyczyna, dlaczego wszystkie owe w poprzedzających rozdziałach jako fragmenty wymienione utwory Słowackiego, nie tylko nie zostały do druku i do rąk publiczności oddane, ale co gorsza, puszczone w poniewierkę, rzucone między niepotrzebne papiery, do tego stopnia na powolne wystawione były niszczenie, że największa ich część doszła rąk naszych zaledwie tylko w urywkach.

Zupełnie mylne byłoby przypuszczenie, że zatrata tylu wybornych rzeczy zaszła dopiéro po śmierci autora w skutek niedbalstwa spadkobierców, albo też, jak to niektórzy myślą, z powodu, że Słowacki w ostatnich chwilach życia miał żądać, ażeby część jakaś jego literackiéj pozostałości była wrzucona w ogień.

„Przeszłego życia mego nie żałuję — pisał do matki d. 18 marca 1843 r. — ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z któréj mi teraz łatwiéj postępować wyżéj. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym. Ale dzięki Bogu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całéj duszy mojéj; a to co zostało, nie będzie stracone“... „Módlcie się więc, aby Bóg jak najprędzéj raczył spełniać swoję łaskę dla świata i przybliżał czas odkwitu. Każda godzina bowiem teraz jest ważna, a lenistwo ducha grzechem jest“...

A zatém przypuszczał wprawdzie Juliusz, że między dawniejszemi jego dziełami niektóre może są woni prawdziwéj i przydatnéj oddychającym; lecz od téj pory zadanie swoje pojmował już inaczéj. Chodziło o to, aby to, co w nim zostało z ducha i nie było jeszcze straconém, jak najprędzéj się dokonało; każda bowiem godzina ważna! Nowe zatém przedsięwzięcia zwróciły na się całą jego usilność. A dawniejsze prace poszły na odstawkę — w zapomnienie...

Jedyny z utworów dokonanych już dawniéj, który został ogłoszony po przystąpieniu autora do Towiańszczyzny, byłto:

Książę Niezłomny Calderona. Paryż roku 1844. 12° str. 172.

Dawniejszy zamiar stworzenia cyklu z sześciu fantastycznych dramatów, osnutych na tle legend z przedhistorycznéj narodowéj przeszłości, zamiar ten poszedł obecnie w zapomnienie.

Dalsza praca nad Beniowskim postępowała wprawdzie swoim torem i po roku 1842, ale postępowała dorywczo i że tak powiem, targana coraz innym duchem, jaki wrzał wtedy w piersi poety. To jest przyczyna, dlaczego ten poemat przedstawia w drugiéj, niedawno ogłoszonéj części swojéj, postać tak chaotyczną, chociaż ustępy z osobna brane są nieraz niepospolitéj siły i piękności. Wreszcie w r. 1843, a najpóźniéj 1844, zosta-

ła praca ta zupełnie zarzucona. Natomiast pojedyncze pomysły, które podług pierwotnego planu miały wnijść w skład téj rozległéj kreacyi, a może też nawet i były już w niéj przeprowadzone, zostały teraz podjęte na nowo i wykonane z innego wcale punktu widzenia. Jeden z nich dotyczył chwili samego zgonu owéj proroczéj postaci, która tak wydatnie występuje w Beniowskim; drugi polegał na ubocznym epizodzie przygód rodziny Gruszczyńskich. Tak powstały dwa dramaty oddzielne: „Ksiądz Marek“ i „Sen srebrny Salomei“. Odpowiednie pieśni Beniowskiego uległy w skutek tego umyślnemu może teraz zniszczeniu; tak iż tylko dochowane mimo autora woli urywki, odszukane na ulotnych i luźnych kartkach, dostarczają świadectwa, że sceny te już i kiedyś dawniéj zaprzątały fantazyą Słowackiego — w odmienny sposób.

Ksiądz Marek był pisany w ciągu roku 1843, w miesiącach latowych, najpóźniéj w lipcu, — jak to wynika niewątpliwie z zestawienia okoliczności opowiedzianych w rozdziale poprzedzającym, ze wzmiankami niektóremi o tém w listach Słowackiego do matki. Wyjście z druku rzeczonego dramatu przyszło do skutku w listopadzie onegoż roku. Imię autora było wyrażone na samém czele tytułu:

„Juliusza Słowackiego **Ksiądz Marek**. Poema dramatyczne w 3 aktach.“ Paryż 1843. 12°, stron 158.

W piérwszych dwóch tygodniach tegoż miesiąca listopada (1843) zaimprowizowany został drugi ów dramat, który wyszedł z pod prasy dopiero w styczniu 1844, pod tytułem:

„Juliusza Słowackiego **Sen srebrny Salomei**. Romans dramatyczny.“ Paryż 1844. 12°.

W kilka miesięcy po wydaniu tego drugiego utworu znalazł Słowacki sposobność posłania matce przez znajomą osobę obydwóch tych ostatnich dzieł swoich razem; a wyprawiał je tém skwapliwiéj, że się spodziewał, iż je matka z radością powita i z dumą będzie odczytywała, jako dzieła, które zdaniem jego podyktowało natchnienie, do wysokości jakiego nigdy on się w dawniejszém swojém życiu jeszcze wznieść nie potrafił. Tymczasem przyjęcie książek tych przez panią Becu było zupełnie inne! Wprawdzie

nieznane mi są względy, pod którymi głównie dramaty te sprawiły niemiłe wrażenie na światłéj matce ich autora; listu jéj bowiem pisanego o tém (jako i żadnych w ogóle listów matki do syna) nie czytałem. Że uwagi jednakże udzielone Słowackiemu w rzeczonéj chwili o Księdzu Marku i Śnie Salomei musiały być niekorzystne i bynajmniéj nie zachęcające autora do dalszych kroków na takiéj drodze, o tém przekonywa jego odpis dany wtedy w odpowiedzi na owe uwagi matki. Byłto odpis niezmiernie długi, a jeszcze więcéj cierpki i prawiebym powiedział gromiący! Gorycz jego dochodziła do tego stopnia, że napisawszy go, sam Juliusz spostrzegł się wcześnie, że się w rozdrażnieniu za daleko posunął. Czując zatém niewłaściwość tonu, jakiego sobie tym razem względem matki pozwolił, nie oddał listu na pocztę, ale napisał inny, krótszy i spokojniéj ułożony; tamten zaś list pozostał u niego między papierami, z których go dopiero po śmierci poety porządkując wszystkie jego rękopisma wydobyto i jako ciekawy dokument dołączono do całego zbioru korespondencyi.

Ażeby wyrozumieć ówczesne, nad wszelki wyraz excentryczne usposobienie poety, uważam za stósowne przytoczyć z rzeczonego listu kilka dłuższych wyjątków.

..."Jest zwyczajem Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów krwistéj organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energią. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk; a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest denerwującą muzykę Chopina. — Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało otrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jéj jednę lub drugą kuracyą. Lecz lękaj się obu dla ludzi zwiędłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzucą, a po koncercie Chopina część duszy własnéj utracą. I Ty droga moja — czuła — dobra — litośna — miłująca — siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się w kącie z duszy całéj — wypłakawszy się napróżno, więc grzesznie — wypłakawszy się dlatego, bo Cię semitonami i dyssonancami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś? — Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości — a dla człowieka prostego, z sercem — jest listem zupełnie

bez serca pisanym!... Ja także, droga moja, bardziéj teraz niż Ty otwartym być muszę, bo tu o duszę Twoję nieśmiertelną chodzi. Otóż powiem Ci, coś napisała. — Zaczynasz od prostego wyrzutu, że marnuję moję zdolność, od wyrzutu, że nie piszę tak, jak dawniéj pisałem. — Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu, a dziś podupadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w aniołów krainie; jeżeli więc prawdziwie (a Ty wiesz że bez winy własnéj) podupadłem: to powiédz mi, czy to do Ciebie należało, pokazywać mi, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mię w swoim eleganckim szopenowym salonie? — Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko urągać, rzucił przed piętnastu laty, przeczuwszy że ta plotka, gorsza stokroć, niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegała po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona u niejednego niby szacunek mojéj osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyi moich. — Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem — nie artykułami gazetowymi, ale samém wnętrzem pism moich. Ta plotka jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kąt niebios: — a Ty mi ją, z całą świeżością, nową oddałaś w liście!... Cóż następuje? Oto rada, abym się nie spieszył z drukowaniem, a ochłonąwszy z gorączki odczytał utwor mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. — Pomyśl droga, jak ta rada jest złą i fałszywą! Więc Ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów? To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: — ach! teraz Adam pęknie z zazdrości — albo Szekspir wróciwszy z grobu omdleje: to w takim razie powinienbym być kontent z siebie?... Widziałem raz dziecinę, któréj na nowy rok bardzo ładne cacko matka kupiła; a ta, uniesiona radością — wykrzyknęła: otóż teraz Józia pęknie z zazdrości! Ta Józia byłato jéj przyjaciółeczka, dziécię uboższych rodziców, które tak piękném cackiem pochwalić się nie mogło... Teraz pomyśl Ty, że natchnienie jest darem aniołów — i zrozum, jakim Ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moję z podarunku...

„Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatego Ci są miłe, że w każdym mówię o sobie, a Ty sobie moję postać przypominasz... Powiédzże mi droga, jakżę

ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami?— Najokropniejszą to jest krytyką wierszy moich, droga moja, że one wszędzie o sobie gadają! — Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe Ci nie miał niczego... Boga na świadka biorę, żem ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze że on nie z głębi Twojéj wyszedł, ale z téj nieszczęsnéj atmosfery smętnéj błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem czujecie! Lubicie, co wam nerwy rozczula — a wstręt macie do zdrowych pokarmów. — Widziałaśże Ty, żeby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiém, przez Chopina muzykę sprawioném, stał się lepszym — piękniejszym — litośniejszym, wyrósł na bohatera? — Jednę mi osobę zacytuj, a wyznam, żem nie miał racyi potępienia...

...„Jednak i ja nie jestem bez winy — bo winą moją jest użycie imienia świętego; a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedym pisał...*) Lecz i tu pomyśl Ty droga: gdybym ja napisał np. Indianę stylem pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną — dwa razy splamioną — biegająca po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał Twojém imieniem — ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansowo - kwaśno - melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał Tobie...? Rzekłabyś, że cud cudów!! Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zmienia w anielskie?... Droga moja, pomyśl nad tém, nim potępisz którekolwiek z moich wyrażeń, nim je nazwiesz niewłaściwemi i nie po polsku!... A te nie po polsku — co za wyrażenia? Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę się ubrać, nim wystąpię? Zamiast powiedzieć krótko: kocham Cię — drukując tosamo muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie np. posiadasz serce twego syna? — To okrągło i pięknie! — Tak gadają i piszą umarłe narody! Piszą językiem, którego potém w mowie potocznéj użyć nie mogą. Taką jest literatura włoska. Patrz, jakie cudowne poemata — patrz, jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb: wszystkie frazesy ma gotowe, całe toki mówienia przeżute. Lecz wiérz

---

*) Widać matka Juliusza bynajmniéj mu nie dziękowała za to, że takiéj właśnie osobie, jak bohaterka w Śnię srebrnym, Salomei, odważył się dać jéj imię chrzestnę.

droga, że Włoch tensam listu napisać nie umie! Znajduje się w podobnym razie, jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka. — Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny — przeklinają eleganckie salony; a ja staram się inaczéj o wyprawienie za drzwi tego jegomościa — to jest daję wam w poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl, jak potrawę — ciepłą na stół podaje...

„Słowem, widzisz droga moja, że w tym liście Twoim ani razu nie byłaś opiekuńczym duchem, ale córką moją, która mi zamyślonemu głęboko rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się wewnętrznie uśmiecham... Inaczéj było z piérwszym listem! Był on prosto wypowiedzeniem uczucia Twojego serdecznego i był świętym dla mnie... Odrysowałaś w nim poemat, o jakim marzyłaś, a to marzenie było prawdziwie piękne! tak piękne, żem uczuł niemoc własną, jak architekt ogromnym planem budowy podanéj mu do wykonania zatrwożony... Widzisz więc droga moja, że nie wtenczas, kiedy Cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, ja smucę się; ale wtenczas, kiedy Cię widzę za światem gdzieś daleko za mną zostającą, to mię rozpacz bierze! Bo za Tobą wprzód idącą ja zawsze dolecę kiedyś i będę przy Tobie. Ale dla Ciebie wrócić — ani ojczyzna, ani sprawa boża mi nie pozwoli...

...„Biada duchowi Twemu, jeśli Cię ten list obrazi albo zasmuci. Zatrwóż się wtenczas w sobie i pomódl się, i odczytaj go znowu — spokojnie i święcie. Odczytaj mówię, te wyrzuty Twoje i rady — i pomyśl, czyliby one mogły były dane być przez Chrystusa? Z tym jednym tonem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja Ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapałem ani „Szwajcaryi“ ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu Salusi, albo też Wernyhory dramę w piątym... Więcéj Ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego z rodziną już czytać umiejącą — za sto lat — w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie — szczęśliwy! — ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta Balladynę. Ten utwor bawi go jak baśń — a razem uczy go jakiejś harmonii i dramatycznéj formy. Bierze Lillę — tosamo. Mazepa trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz ujrzał Godzinę Myśli, albo Lambra—

i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego!. Otóż dla tego chłopka jest Salomea — Ksiądz Marek — i Książę Niezłomny, ten Książę który mi kości wewnętrzne połamał — gdzie są pioruny poezyi, a z którym Ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza — nie melancholią, ale boleść obudza — nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi. — Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poezyą dla żywych ludzi... Kto piérwéj z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich książek moich postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżéj i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego nie ma, nie równaj mnie z nikim — ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką...

Matka poety załączyła była do listu, na który Juliusz obecnie odpisywał, nie wiem w jakiéj właściwie myśli, dwa wizerunki Najświętszéj Panny: jeden z nich był kopią jakiéjś artystycznie, wytwornym pędzlem wykonanéj Madonny i był przeznaczony dla Juliusza; drugi wyobrażał z całą prostotą obraz Matki Boskiéj berdyczowskiéj i był tu dołączony jako podarunek dla — Kirkora (w Balladynie). Do tychto więc dwóch obrazków ściągało się, co mówi autor w poniżéj przywiedzionym ustępie:

„Z listu Twego wypadł naprzód obrazek N. Panny — ale nie ten Twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojéj tragedyi posłany. O jakże mi widok téj prostéj Królowéj w koronie... z berłem w ręku i z maleńkim Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudém i smutném — w płaszczu który mi się wydał błękitnym, liliami złotemi uhaftowanym... jak mi ten widok był rozczulającym i rodzinnym!... a napis: „Berdyczowska“ — tasama, która nademną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw dotąd i służył Bogu...*) o jak to wszystko mi łzy wydarło! Natychmiast w jednéj chwili te wszystkie wspomnienia — królewskość jéj — w tym sztychu nawet jakaś święta niemoc prostoty — uderzyła na mnie cudowną potęgą... A potém w liście Twoim druga... pięknie

*) To się odnosi do rzeczywistego wypadku, który się zdarzył kiedyś w dzieciństwie Słowackiego, kiedy on razem z matką odbywał jakąś podróż z Krzemieńca do Żytomierza i Berdyczowa.

ubrana, z dzieckiem rumianém, w któréj nic nie było świętego, tylko myśl Twoja i chęć Twoja i dotknięcie rąk Twoich. — Wieszże Ty, kto to jest Najświętsza Panna? Oto przez cztéry tysiące lat cała natura — wszystkie ludy przeczuwały, że raz przez kobietę rozmiłowaną w Bogu złamane będzie prawo natury najpiérwsze... Poeci przeczucie to zamieniali w kształt i ciągle o tém gadali; bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Ztąd tyle Nimf greckich lub dziewic, które z Bogiem są zamężne. Wielkość tego przeczucia zatrważa — powszechność jego zadziwia! Otóż duch Najświętszéj Panny spełnił cud — i ludzkość cała jakby otrzymawszy to czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach...*) Jakiżto więc duch był wielki i zdolny cudownéj bożéj miłości, kiedy zaspokoił serca bijące przeczuciem od lat tylu, w tylu ludach! A ta M a t k a, ściśniona miłością bożą, z jakim strachem i uszanowaniem musiała patrzeć na dziecko własne — ona jedna, która wiedziała, że miłością bożą ducha boskiego wywołała z niebios — i ten duch siedzi na rękach u niéj — dzieciątko małe, a już cierpiące nad światem!... Ja, droga moja, byłem w Nazarecie i poszedłszy do lasu oliwnego, siadłem przy studni i czekałem, ażali mi się jaka postać podobna między Nazarenkami po wodę przychodzącemi nie zjawi... Otóż nie podług Twego obrazka oczekiwałem czegoś podobnego do niéj — ale podług téj Berdyczowskiéj, tylko w tęczowych kolorach — z niebieską przezroczystością i blaskiem. Wiem ja, że wizerunek jest niczém — ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia. A ja chciałbym, ażeby uczucie Twoje było srebrne, jak gołębica. Kirkor swój obrazek może nosić na piersiach podczas batalii — i po batalii leżeć z nim, cały krwawy, twarzą do Boga. A ktoby zobaczył, zapłakałby mówiąc: oto święta jakaś z jego ojczyzny przyniesiona... Ja mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi — ale nie odpowiada memu smutkowi i często bolesnéj twarzy... itd.

W tym sporze między matką a synem my czytelnicy dziś podobno będziemy musieli stanąć stanowczo po stronie piérwszéj; a możemy to uczynić z tém większą pewnością siebie, że i sam autor, już we dwa lata późniéj, z żalem i wstrętem wspominał—

*) Porównać z tém miejsce w K r ó l u D u c h u w tomie Pism pośmiertnych Ilgim na stronie 203 i 204.

wprawdzie nie o obu utworach, których wtedy tak gorąco przed matką bronił, ale o Księdzu Marku. Przytoczę w jednym z dalszych rozdziałów dosłownie, co w téj mierze w r. 1846 Słowacki do Krasińskiego wyrzekł o owém dziele i o stanie duszy, który to dzieło spłodził. Tutaj zaś tylko dodaję, że jeżeli téj gorzkiéj krytyki nie rozciągnął wtedy autor nasz i do Snu Salomei, to tylko przeto, iż nie było przy owéj sposobności żadnéj do tego przyczyny, żeby mówić także i o owym drugim utworze. Gdyby go jednakże był kto wtedy zagadnął i o Snu Salomei: toby był przyznał pewnie i tutaj poeta „wątłość dzieła i nędzę zewnętrzną w wykonaniu“.

Rzeczywiście bowiem miała słuszność matka poety, kiedy twierdziła, że obydwa te dzieła jak niebo od ziemi różnią się od wszystkiego, co dawniéj pod piórem Słowackiego powstało. Sam już styl i zewnętrzna forma takowych okazuje coś szczególnego. Są to rzeczy niby dramatyczne, a ileż jednak zdarzeń najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnéj formie opowiadania. A jakie też nieraz dziwne jest ono opowiadanie! W ogóle dykcya tu przypomina rozbujałość poezyi wschodniéj. Jest ona jakaś nieunoszona i nieujęta jak powódź, a leje się dyalogiem wezbranym nad wszelkie karby prawdopodobieństwa i miary. Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasém po cztéry sta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiéj figury perorującéj jednym tchem — bez przerwy ze strony ludzi, do których prawi. Szczególna ta gadatliwość osób dramatu nie daje się spostrzegać w żadnym z dawniejszych utworów autora Mazepy.

Może niejeden z czytelników zechce tę dziwną rozwlekłość tłómaczyć uwagą, że w owéj porze Słowacki szczególniéj zajmował się Kalderonem. Zasiadł do Księdza Marka wkrótce po dokonaniu przekładu El Principe constante. Wyobraźnia jego nastrojona więc była, że tak rzekę, na ton tego hiszpańskiego poety. — Nie chciałbym żadną miarą przeczyć temu, iż niejedna odrębność formy czy to Księdza Marka czy Snu Srebnego składaną być rzeczywiście powinna na karb tegoto wpływu. Aż do pewnego stopnia mogła niezawodnie ta bujność wyobraźni wysłowienia, ta przewaga opowiadawczych i li-

rycznych żywiołów nad ścisłą akcyą, równie być następstwem przejęcia się tradycyami sceny hiszpańskiéj, jak ów wiersz krótki ośmiozgłoskowy, którym obydwa te dramaty są ułożone, albo jak wreszcie ów podział Snu Salomei na „Zmiany“, w taki sposób że każda w akcie „piérwsza zmiana“ odpowiada scenie drugiéj według skądinąd używanéj praktyki, a „druga zmiana“ znaczy tyle, co trzecia scena itd. Mimo to wszystko nie sądzę jednak, żeby wszystko, co nas razi w tych Słowackiego pracach, dało się tłómaczyć samym tylko Kalderonizmem. Poeta nasz w owych latach nie mógł być naśladowcą na oślep obcych zalet i obcych błędów. Zresztą jest też niewątpliwie u niego tych wszystkich rzeczy, co zadziwiają, daleko więcéj, aniżeli u Kalderona; a raczéj— w téj ostateczności i przesadzie u Kalderona nie ma ich wcale!

Byłżeby Kalderon lub sam autor Lilli Wenedy dawniéj darował sobie, gdyby mu kto w jego utworze był pokazał taki oto np. ustęp?

„Wtém, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip wężowiska,
Od kurhanów na kurhany —
Wiodąc świateł złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask — sunąc chorągwi tęcze;
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze
Wąż — pogrzeb wioszczany lichy,
Pachnący czarnym jałowcem,
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę, bez żadnéj pychy
Ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalie;
Jasna bo w niéj anielica
Ubrana jak na batalie
Z piekłem, w słoneczności lica
I w niewinności ubiory,
I w te ostatnie kolory
Śmiertelnéj podobne zorzy,
W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała.“ *)

*) Z aktu IVgo sceny piérwszéj Snu Salomei, str. 284 i

To wszystko jest jedno zdanie! jeden obraz pogrzebu ciągnącego zwolna przez stepy. I mówi to najrozumniejszy człowiek w dramacie, jedyna w nim prawdziwie bohaterska natura, rycerz nie gawędzeniem wsławiony, ale dzielnością. Słowem: Sawa to mówi! Peroruje zaś tak przed samą bitwą, wśród półtrzecia sta wierszy dalszéj gawędy, ujętéj w zdania mniéj więcéj tegoż kalibru!

Żeby takie rzeczy pojąć — u Słowackiego — nie można się zaprawdę zaspakajać odwoływaniem do tych lub owych okoliczności literackich, jak np. do studyów nad Kalderonem. Byłto raczéj skutek przewrotu, jakiemu podległo całe stanowisko poety od piérwszéj chwili, kiedy do koła Towiańszczyków przystąpił. Byłto owoc — że tak powiem: jego nowéj wiary.

Od téj pory wyrobił on w sobie bowiem to przekonanie, że wszystko piękne i prawdziwe i wielkie, czego człowiek dokonywa, nie dzieje się jego rozumem, ale się staje jedynie za sprawą jego ducha. Duch zaś wedle niego — to istota najzupełniéj odrębna, będąca w ciągłym prądzie działania w wytkniętym ściśle kierunku. Ciało i cała osobistość człowieka, ze wszystkiemi nawet władzami umysłowemi — to tylko doczesny pobyt onego ducha, jakby naczynie, które on zapełnia, ażeby je po zużyciu rzucić i zamieniać po kolei na coraz inne. Ponieważ duch mieszkający w człowieku nie może w ciągu krótkiego życia dopełnić całéj misyi, dlatego po zgonie albo się rodzi napowrót w nowém jakiém ciele i ciągnie daléj pracę poprzednich żywotów, albo też jako duch niezrodzony i niewidzialny okrąża głowy ludzi mających w sobie pokrewne duchy i wpływa swoją potęgą na nich, ażeby im do ostatecznego spełnienia swojego posłannictwa dopomóc. Im więcéj tedy człowiek się poddaje tajemniczemu pchnięciu czy to tego ducha, który przez niego działa, czy też owych duchów, które go okrążają: tém pewniejszym być może, że to co działa, jest jego obowiązkiem istotnym. Przeciwnie, im więcéj polega na sobie samym i na własném swojém zastanowieniu, im więcéj ufa swojéj w trudzie i znoju pozyskanéj wiedzy i bierze

285 wydania lipskiego. Nie jestto bynajmniéj miejsce szczególnie upatrzone, lecz wzięte na chybi-trafi.

rzeczy, jak to mówią, na rozum: tém więcéj właśnie przez to stawia oporu owym wyższym nieśmiertelnym natchnieniom, a tém samém tém więcéj błądzi i grzeszy.,.

...„Wystaw więc sobie — są słowa poety naszego wyrzeczone w liście do matki z d. 28 lipca 1843 — że duch każden ma swoję misyą na ziemi; że duch każden zawięzuje stósunki z podobnymi duchami bez ciała już będącymi, które także podobną misyą miały i o dokończenie jéj dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z nimi, a one wtenczas nam dają natchnienia, i według naszéj wiary i czystości coraz wyraźniéj je mówią do serc, a potém nieraz do uszu i do oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami — i to jest obcowanie świętych, którego księża nie mogli nam wytłómaczyć, to jest wlać go w wiarę naszę. O! uczuj to droga i wypracuj, a obaczysz, w jakiéj my wielkiéj rzeczypospolitéj żyjemy; obaczysz dla czegom ja po morzach wędrował i po pustyniach błądził, a nigdy mi się nic złego nie stało. Bo wiedziały duchy, że ja w swoim czasie może będę potrzebny“... itd.

Przyjąwszy tedy powyższe założenie za dogmat, miał poeta nasz to przekonanie, że kiedy chodzi o dobitne a skuteczne przelanie w ludzi tego co im potrzebne jest wiedzieć, czy to za pomocą mowy czy pisma: starać się trzeba o jak najzupełniejsze poddanie całego swego jestestwa téj bezpośredniéj mocy ducha, co działa przez nas, a o jak najdalsze od współdziałania usunięcie tych wszystkich władz naszych własnych, któreby kontrolować może chciały to co się czyni z ducha. Będąc tedy autorem, im się bardziéj pisze na oślep, jednym tchem, duszkiem: — tém lepiéj!

Z téjto przyczyny znajdujemy często takie oto wyrażenia w jego korespondencyi:

„Droga moja! trudność mam wielką w pisaniu tém; albowiem nie jest to pisanie i uwiadomianie Ciebie, ale przelewanie ducha, który mię ożywia, w Twojego ducha“... (d. 18 marca 1843).

...„Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcéj ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić, żywić Ciebie i rozmiłowywać w Bogu i przywiodło do celu, nie katując mię cieleśnie, ale łagodnie prowadząc *(sic)*. On staremu memu duchowi,

co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktowie przypomina z dawnych żywotów, pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co za mną idą... Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą. Ale cóż robić! Ty dobra, Ty miłą jesteś wielu dobrym duchom tych, co już poszli ze świata; będziesz więc miała wielu tłómaczów i tych, którzy prawdę potwierdzą"... (d. 28 lipca 1843).

Zastósujmy to, co tu w liście czytamy, do dzieł poetycznych Juliusza: a będziemy mieli wytłómaczoną całą zagadkę. Pisał on wszystko w téj porze, że tak powiem, jednym pędem, nie zastanawiając się wcale nad tém, co pisał i jak pisał. Nawał pomysłów i obrazów, cisnących mu się w gorączkowo usposobionéj wyobraźni pod pióro, uważał za przysłane sobie z ręki wyższéj i nie przebierając robił użytek ze wszystkiego. A napisawszy — nie śmiał już nic wykreślić ani odmienić, ponieważ poczytywał to sobie za podyktowane niejako z góry. Nie był Słowacki tedy już względem utworów swoich artystą, sędzią, twórcą odpowiedzialnym; ale widzimy w nim jedynie ślepe narzędzie w dłoniach czegoś drugiego, coby trudno było sprowadzić do jakiejś nazwy.

W najdosłowniejszém zatém znaczeniu uważać można obydwa te dramaty jego ostatnie za prawdziwe improwizacye. Były to improwizacye i ze względu na dykcyą, na wiersz, na całe wykonanie zewnętrzne — i ze względu nawet na pomysł. Boć i nad tą wewnętrzną stroną kreacyi nie rozmyślał on już odtąd zbyt wiele. Przyszła mu jakaś idea na myśl — uczuł w sobie, jak się zwykł był wyrażać, jakby mocne pchnięcie od Boga do pracy: porywał tedy za pióro w piérwszém natchnieniu i tak — bez artystycznego obmyślenia inwencyi — rosły postaci i zdarzenia pod tém piórem jego rozbiegłém, aż dzieło stanęło całe. Rozumie się, że nie kto inny, tylko poeta je stworzył; ale sprawy on z nich sobie ani zdawał ani chciał zdawać. Nie sądził bowiem, żeby i to jeszcze należało do niego.

..."Téraz Ci powiem, droga moja (pisał d. 30 listopada 1844 r.) że ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłómaczyć nie mogę. Nie wiem bowiem, skąd przychodzą, i dokąd idą; ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy z światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą. Widzisz Ty, jak ja ukochałem Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał: odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna. W kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo... W innym rodzaju, ale nie mniéj dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy. Oto w istocie w rok potém pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie — nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. A dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną. Mniejszych mnóstwo mógłbym Ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdym jechał do Nazaretu, nazywał się Kirkor — tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi (w Balladynie), że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby zbawcę itd. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie?... Rzeczy te małe, uważane dowodzą, że spełniamy jakąś misyą; że nas trzeba było, kiedyśmy byli; a nie będzie, jak nie będzie potrzeba"...

Po tém wszystkiém, com powiedział, rozumiem, że nie będę się potrzebował tłómaczyć przed czytelnikiem, dlaczego nie uważam za stósowno podejmować właściwego rozbioru Księdza Marka i Snu Salomei. Są to rzeczy, któreby rozbioru szczegółowego wcale nie wytrzymały. W Księdzu Marku znajdują się niewątpliwie tu i owdzie (a szczególnie w akcie I) ustępy genialnie napisane i takiéj siły, że małoby który utwor dawniejszy — nie tylko Słowackiego, ale któregokolwiek z najznakomitszych poetów naszych, potrafił okazać w składzie swoim coś podobnego! Ale całość kompozycyi i ogólne autora założenie żadną miarą myślącego człowieka zaspokoić nie mogą. Czytałem przed kilku laty

jakiś nibyto rozbiór tego dramatu, napisany przez jakiegoś bezimiennego, który o nim sądził inaczéj *). Argumenta owéj krytyki niestety nie zdołały mi otworzyć oczu na osobliwe piękności, jakie w nim autor szanowny upatruje! Zdaje mi się, że trzeba szczególnego bałwochwalstwa dla geniuszu Juliusza, ażeby posunąć się aż do wyrzeczenia słów, że „głęboko pomyślany i mistrzowsko rozprowadzony jest ten dramat". Byłbym niemało wdzięczny autorowi, gdyby krótko a węzłowato raczył wypowiedzieć ów pomysł, który mu się w Księdzu Marku wydawał tyle głębokim; i gdyby nie w łuźnych słowach, ale w sposób właściwy chciał wskazać objawy upatrywanego w nim mistrzowskiego przeprowadzenia. Możebyśmy przy téj sposobności usłyszeli jakie nowe ideje estetyczne, któreby nam przyniosły nowe kryterya piękności w sztuce... Że w Księdzu Marku trafiają się tu i owdzie potężne szczegóły, to sam z góry przyznałem. Takowe jednakże nigdy się z sobą nie kleją i nie tworzą w połączeniu takiego ogólnego obrazu, któryby czytelnika zachwycał i podnosił... Ksiądz Marek ma skądinąd tę jeszcze niepospolitą zaletę, że czuć w nim pęd bezpośredni natchnienia i surową wiarę pisarza w to wszystko, co wypowiada. Widać też i obecność utajoną na dnie serca poety, pewnéj żywotnéj myśli, o któréj na jaw z wielkim trudem wydobycie mu chodzi. Myśl ta wszelako zaledwie się snać dopiero była zrodziła w otchłaniach jego ducha. On jéj sam nawet jeszcze twarz w twarz nie ogląda! A i my ją w dziele jego zaledwie odgadujemy. Nie przyszło bowiem do tego, ażeby idea zamieszkała w całéj osnowie dzieła i była przeprowadzoną jak prąd elektryczny przez wszystkie jego włókna i części.

W ogóle trzebaby być choć do połowy Towiańszczykiem, ażeby mieć zdolność pochwycenia całéj intencyi autora. Wszystko tu bowiem polega na przypuszczeniach, na które, jeśli się nie jest w tym wirze pojęć, wcale przystać nie można. Każdy krok w postępie dramatu polega na interwencyi władz nadzmysłowych. Od

*) Obacz nieboszczkę Turowskiego Niewiastę (r. 1862. Nr. 13 i następne).

cudownego wystrzału z działa, kiedy ksiądz Marek Krasińskiego do pozostania w Barze na początku sztuki namawia, aż do śmierci bohatera w samym jéj końcu, wszystkie prawie sceny są to cuda! a co gorsza, cuda nieuzasadnione ze stanowiska poprzednich działań. Takie powiązanie zdarzeń, taka logika faktów — to już sfera, w któréj człowiekowi być zaczyna duszno i straszno i tak nieswojo, jak na cmentarzu o północnéj godzinie.

— „Sen Srebrny Salomei“ nierównie więcéj ma okrągłości i wykończenia, aniżeli utwor poprzedni. Mimo to jednak i tutaj ostateczny zamiar autora nie jest tak jasny, iżby sam przez się uderzał w oczy. Na piérwsze spojrzenie zdaje się to być tylko prosta udramatyzowana powiastka o dwóch małżeństwach, których dojście do skutku stało się podobném dopiero w skutek różnych nieszczęść i trwóg krajowych, jakie przeszły ludziom ówczesnym nad głowami. Dlatego też zatytułował to dzieło swoje poeta romansem dramatycznym — a więc niejako powiastką, romancą. Z tém wszystkiém przezierają i tutaj pewne ukryte, zaledwie dostrzeżone intencye głębsze, które ze sprawą tych dwojga małżeństw w przypadkowym tylko zostają związku, a dotyczą najżywotniejszych kwestyi całego społeczeństwa narodowego. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną, że tak powiem, na piérwszym planie, a temi ideami ogólniejszego znaczenia był wydatniejszy; gdyby te ideje, te wieszcze przekonania poety, te sądy o społecznych narodu naszego winach, fatalnościach a w najdalszéj perspektywie wreszcie nadziejach były więcéj sformułowane i artystycznie wcielone; gdyby nakoniec nie było ze strony formy tyle powodów do protestacyi: — byłoby to jedno z najznaczniejszych arcydzieł naszych. Byłby to pomnikowy wyraz wieszczéj teodycei ducha polskiego! Ale właśnie téj pewnéj ręki, téj dokonanéj myśli artysty i filozofa nie widać w Śnie Salomei! Są tu tylko zarody i błyski genialnego pomysłu; ale do rozprowadzenia tego pomysłu i postawienia go na jaw wszem wobec i każdemu z osobna — na nieszczęście nie przyszło! Migają się tedy tylko od czasu do czasu przed oczyma naszemi złudne skazówki, w myśl których idąc, zdaje nam się,

że potrafimy podążyć w ślady za pędem ideału poety. Ale każda taka skazówka przez krótką tylko chwilę wiedzie do celu, a niebawem potém zawodzi. Albo ją bowiem zgoła tracimy z oczu, albo też doprowadza nas ona do takich punktów widzenia, że patrząc z nich na to co się daléj otwiera, nie radzibyśmy szli dłużéj tąsamą drogą; zdaje nam się bowiem, że błądzimy po jakimś labiryncie, z którego nie ma wyjścia...

Dlatego też jeżeliby się miało określić etyczny sens Snu Salomei, trzebaby treść dramatu do połowy prawie zapomnieć. Tylko bowiem z oddalonego spojrzenia na całość téj zawiłéj i przeładowanéj kreacyi można odważyć się do robienia wniosków o głównéj intencyi jéj autora. Niejednoby też dopiero trzeba nadłożyć, a i niejedno jako niepotrzebne i zawadzające usunąć, jeżeliby miał stanąć przed nami czysty i cały pomysł poety.

— Po ogłoszeniu Księdza Marka i Snu Salomei Słowacki nie ustawał w ciągłéj pracy to nad tym, to nad owym przedmiotem. Nowe wyobrażenia, które wstrząsały całém jego jestestwem, nasuwały mu coraz dalsze widoki i zażegały go do coraz innych przedsięwzięć. Chodziło o poetyckie na jaw wydanie tego wszystkiego. Rzecz była trudna nad wszelki opis. Najoderwańsze pojęcia, najmglistsze filozofematy, najniklejsze błyski w genialnéj lecz chorobliwéj fantazyi, miały się przywdziewać w ciało i przetwarzać w kształty plastyczne. Najczęściéj kończyło się też na zamiarach, na planach, na samém tylko wreszcie zaczęciu dzieła. Już to niestósowność w samym wyborze przedmiotu, już przechodząca po za wszelkie granice sztuki przedmiotu tegoż rozległość, już nakoniec i samo to nieustające nasuwanie się coraz nowych projektów wytrącało poecie pióro z ręki nad rzeczami co tylko rozpoczętemi...

W następstwie tych wszystkich wyjątkowych okoliczności pozostało z téj epoki życia Słowackiego wiele pism różnych noszących wyraźne znamię jego usposobienia w tych latach. Jest między niemi znaczna ilość wierszy ulotnych i lirycznych, po większéj części teozoficznéj treści. Niektóre z nich świadczą wymownie o dawnéj sile tego genialnego poety, niektóre znowu giną zupełnie

w mglistościach mistycyzmu. Z téj też przyczyny zaledwie połowa tego, co się z lirycznych poezyi dało wyszukać w papierach po śmierci autora, mogło znaleść pomieszczenie w pozgonnym zbiorze dzieł jego.

Nie brak także i na dłuższych utworach, najczęściéj dramatycznego zakroju, które przypadają na one lata. Wszystkie pisma téj kategoryi doszły nas tylko w niewykończonych ustępach i urywkach, które zapewne nigdy nie tworzyły całości. Urywki te jednakże dochodzą niekiedy obszerności kilku set, a czasem kilku tysięcy wierszy.

Jest między nimi np. znaczna część jakiegoś dramatu osnutego na tle starodawnych dziejów Nowogrodu. Chodziło, zdaje się, o okazanie despotyzmu Mongołów nad spodlonymi książęty Rusi. Rzecz ta jest bez dokończenia, obejmuje wierszy 628. Jest pisana pod wpływem tradycyi kalderonowych, owym dyalogiem długim i przeobfitym, któryśmy już wytknęli przy innéj sposobności. Nie zdawało mi się, żeby dzieło to zasługiwało na ogłoszenie; w tym stanie bowiem, w jakim ono pozostało, małoby kogo osnową swoją zajęło. Nad wszystkiém górują tu mistyka i niezrozumiałość.

Do pism tegoż rodzaju i czasu odnoszę fragment liryczno-dramatyczny, który zamieściłem w piérwszym tomie mego wydania pod napisem **Poeta i Natchnienie**. Ze stanowiska ówczesnéj doktryny autora, natchnienie nie znaczy podniesionego stanu duszy człowieka, ale istotę odrębną, która go okrąża i jest osobnym duchem. Dał mu tu autor nazwę Atessy. Utworowi niniejszemu nie można odmówić pewnego wdzięku i artyzmu w oddaniu; chociaż podobać się tylko mogą poszczególne ustępy, a całość jest niezrozumiała. Niezrozumiałości téj nie to przyczynę stanowi, że fragment nie tworzy większéj całości, ale że nam tak zupełnie braknie klucza do otworzenia sobie i wglądnięcia w ten cały świat mistycznych wyobrażeń i przypuszczeń, wśród jakich w owym czasie żył wyobraźnią i wiarą swoją Słowacki. Cała treść utworu, o którym tu mówimy, ściąga się do przeszłych żywotów, jakie autor w najodleglejszych epokach przypisywał sobie jako przebyto

przez siebie. Trzebaby przeto te wszystkie marzenia jego ówczesne znać szczegółowo, żeby rozumieć urywkowe aluzye do nich odnośne, których taka obfitość w tym poemacie. A to jest rzeczą tém bardziéj niepodobną, że tego rodzaju marzenia ciągle się w duchu Juliusza przeistaczały, jak się to wykaże dowodnie w rozbiorze Króla - Ducha.

Pozostały też fragmenty z nader rozległego jakiegoś przedsięwzięcia, którego przedmiotem miał być **Zawisza Czarny,** ten rycerz bez trwogi i fałszu, słynny w ciągu panowania Władysława Jagiełły. Jestto utwor dramatyczny z rodzaju rzeczy nieprzeznaczonych dla sceny. Zawiązek sztuki stanowi zwycięstwo Jagiełły nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Zachowanie się obłudne cesarza Zygmunta względem króla polskiego, zdaje się, że miało posłużyć za tło dla dalszéj osnowy. Wplata się też do tego i romans jakiś. Ale piérwszorzędną potęgą z ducha i sprężyną wszystkich zdarzeń, które się tylko tam dzieją, jest w tym poemacie Zawisza, osobistość tajemnicza, głęboka, nieodgadniona, słowem mesyaniczna —coś nakształt księdza Marka w zakresie konfederacyi barskiéj, lub Wernyhory pośród scen rzezi humańskiéj.— Stan rękopisu mieszczącego w sobie ten utwor daje wnioskować, z jaką trudnością połączony był dla autora, pracującego dawniéj z taką łatwością, ten trud wcielania w dramatyczne kształty poezyi, mętnych i niechwytnych pojęć nowéj doktryny. Niektóre części są przemazane po pierwszym rzucie i przerobione inaczéj, i to nie tylko po raz drugi, ale niekiedy i trzeci. Wreszcie całe założenie rzeczy snać się musiało autorowi uprzykrzyć. Porzucił co był napisał, i już potém nigdy nie tknął na nowo tego przedmiotu. Pozostało tedy kilka tylko już to dłuższych już krótszych ustępów, nie stanowiących ani całości ani ciągu. Gdyby je złożyć, zapełniłyby one razem kilka arkuszy druku. O planie zamierzonéj całości nie można sobie z tego utworzyć wyobrażenia. Co jest wykonane, okazuje myśl głęboką, ale pracującą pod brzemieniem czegoś chorobliwego. Dlatego też widziałem się zmuszonym wyłączyć poemat niniejszy z liczby rzeczy przeznaczonych do ogłoszenia.

Do tegoż czasu odnieść należy jeszcze jeden utwor takiejże formy i podobnéj osnowy. Mówię o poemacie fantastycznym, pełnym najśmielszéj cudowności, który nie wiem jakby mógł być najstósowniéj nazwany. Jednym z tytułów, jakie się nasuwają, mógłby być **Samuel Zborowski**. Jest to rzecz niewykończona, wielkich rozmiarów — obejmuje około 3 tysięcy wierszy; pomimo tego daleko tu jeszcze od ostatniego z tychże wierszy do końca. Autor zamierzał tu w poetyckiéj szacie ukazać fundamentalne pewniki swojéj wiary filozoficzno-społecznéj, jako je późniéj wyłożył w traktacie prozą pisanym, a zatytułowanym „Geneza z Ducha“. Wyprowadził zatém na scenę w „Samuelu Zborowskim“ i ludzi żyjących i duchy umarłych i fantastyczne postaci, wzięte już to z różnych mitologii pogańskich, już ze starego Testamentu. Chodziło mu nasamprzód o okazanie tego wątku twórczego (którym wedle niego jest duch), snującego się genetycznie a nieprzerwanie przez wszystkie stopnie i warstwy rzeczy stworzonych, od najniedoskonalszéj formy do coraz doskonalszéj, od najnieudolniejszego jestestwa do coraz wyższych w łańcuchu stworzeń organizacyi zwierzęcych, aż nareszcie do objawienia się wyraźnéj już duchowości w człowieku. A daléj zależało poecie także na stawieniu przykładu, jako i odtąd jeszcze duch nieśmiertelny, już w człowieku działający, nie zaprzestaje tego ruchu coraz wyżéj go niosącego, lecz zamieszkuje w kolei czasu coraz inne ciała ludzkie, szukając sobie form coraz dogodniejszych i doskonalszych. Przed oczyma tedy naszemi odbywają się w poemacie tym ciągłe przeistoczenia i metempsychozy, skutkiem których nieraz jedno i tosamo ciało służy coraz innym duchom za szatę, i odwrotnie jeden i tensam duch przybiera sobie po kolei coraz inne ciała za naczynie i narzędzie istnienia. Czytelnik wyrozumie, że już w skutek samego założenia, w skutek samego mówię przedmiotu, poematowi temu zbywać zupełnie musi na jednotliwéj i jednolitéj osnowie. Składa on się z kilku działów bardzo luźnie spojonych z sobą. Dwa między nimi są szczególniéj odrębne. Piérwszym z takowych jest wywód, dany tylko w kształcie opowiadania, a nie dyalogu, opowiadania mówię włożonego w usta istoty, która sobie wszystko to przypomina, czém kiedykolwiek

była. Wywód ten obejmuje wszystkie przemiany i koleje stworzenia przed przyjściem na świat człowieka, a zatém niejako kosmogonią czyli genezę przyrody martwéj i zwierzęcéj przed wyłonieniem z materyi kształtu ludzkiego. Główną rolę odgrywa w tych ustępach „Lucyper," który bynajmniéj nie występuje tu jako duch zły, lecz tylko jako duch zaprzeczenia i ruchu, a więc — że tak powiém — jako pierwiastek w zakresie natury „rewolucyjny i wiecznie wszczynający". Widząc w nim poeta ziarno wszelkiego postępu, czynnik nieznużonego prądu coraz wyżéj w stworzeniu, uważa go za przedwiekowy zaród ducha, który zanim zamieszkał w człowieku, stawał się po kolei wszystkiém, co tylko w świecie stworzonym istnie, więc wiewem atmosfery, wodą, kamieniem, płazem, itd. itd. Duch ten więc w taki sposób przewlekł się i przewił w tysiącu postaciach i jestestwach przez całe przyrodzenie. — Drugim epizodem, równie stanowiącym pewną całość odrębną, jest w tym utworze spór duchów ludzi, którzy za życia wyznawali wprost sprzeczne sobie ideje, wyznają je z równą wyłącznością i po za grobem i wytaczają ostatecznie ten proces odwieczny zasad przed najwyższą instancyą — przed sąd boży... Wprowadzony jest na scenę duch Samuela Zborowskiego i zapozywa przed trybunał samego Boga Jana Zamojskiego, oskarżając go o niesprawiedliwy i występnie zapadły wyrok śmierci, którego na nim kazał dopełnić. Zamojski—jak tylko może — usprawiedliwia swoje postępowanie. Powody jego zdają się być wielkiéj wagi. Ale w charakterze „Adwokata" Zborowskiego występuje zrazu znowuż Lucyper, a w dalszym toku wytwarza się z owego Lucypera samże poeta nasz, gorliwie przemawiający w obronie swego klienta, i ...Samuel wygrywa proces! Dlaczego zaś właśnie ten moment dziejów polskich obrał sobie autor na okazanie światodziejowego swego problematu, z tego się nie tłómaczy.

Przeczyć temu oczywiście nie można, żeby nie miał i w téj kreacyi uderzać w tém lub w owém miejscu potężny geniusz poety; całość jednakże smutne sprawia wrażenie! Bezład — zamęt — brak zupełny tak artystycznego układu, jako i jasnych pojęć — wszystko to zdradza, z jak mętnego stanu ducha dzieło niniejsze

wynikło. Wiersz i dykcya jest z rodzaju Księdza Marka Salomei. Jak owe wywody kosmologiczne zdawać się muszą w oczach prawdziwego znawcy w tym zakresie umiejętności, bałamutną tylko bujnéj wyobraźni fantazmagoryą, tak też i wyobrażenia o dziejach naszych i o porządku polityczno-społecznym, rozwinięte w ustępie o Zborowskim — nie wytrzymałyby ani na chwilę historycznéj krytyki. Słowacki upatruje w Samuelu typ czegoś bardzo wzniosłego; widzi w nim narzędzie opatrznościowych zamiarów i twierdzi, że go Zamojski na śmierć wskazał nie tylko niesprawiedliwie, ale i ku niepowetowanéj szkodzie dla całego powodzenia narodu. Przez tento bowiem wypadek miał się bieg życia politycznego Polaków najfatalniéj skrzywić i cofnąć na kilka wieków... Co to jednak za wzniosłość i wielkość była w Zborowskim? i na jakich podstawach opiera się pewność poety, kiedy się tak stanowczo z zdaniem podobném odzywa? — na to w poemacie odpowiedzi nie znaleść.

Oczywiście w żaden sposób nie można było drukować rzeczy téj razem z innemi Słowackiego dziełami, które objęto w wydaniu lwowskiém.

— To są prace z owéj epoki w zakresie poezyi. — Więcéj jeszcze pozostało pism treści niby rozumującéj i teozoficznéj, prozą, pochodzących z tegoż czasu. Pomimo wielkiéj takowych ilości, i to są same prawie tylko rzeczy pozaczynane, urywkowe, ledwie wyjątkowo wydatniejszą całość tworzące.

Słowacki w owych latach, jak to widać ze wszystkiego, bardzo wiele musiał rozmyślać. Formułował i budował on sobie z wielkiém wysileniem jakiś powszechny system wiary i wiedzy. Chciał w nim ująć różne swoje pomysły w jednym wywodzie. Brak porządnego naukowego przygotowania, ubóstwo pozytywnéj wiedzy, mała wprawa w ścisłém myśleniu, niewielka znajomość życia, serca ludzkiego i tego toku, jakim idą sprawy na świecie — oto przyczyny, które sprawiły, że te usiłowania jego zupełnie mu się nie wiodły. Pomysły jego były czasem, choć bardzo rzadko, błyskami genialnéj intuicyi. Zazwyczaj były to jednak tylko luźne marzenia, dziwolągi filozoficzne, utopie społe-

czne... W każdym razie atoli przyznać należy, że pracował on w owéj porze umysłem ciężko i wiele. Czytał dzieła w różnych przedmiotach, zaciekał się w poszukiwaniach nad ostatecznemi kwestyami życia, biorąc w pomoc wszelkie nauki, zaglądając nieraz i do dzieł filozoficznych, nawet niemieckich, o ile takowe za pomocą tłómaczeń dla niego były przystępne.

W skutek takiego naprężenia umysłu nad przedmiotami więcéj naukowéj i praktycznéj natury, pozostało w papierach jego notat i najrozmaitszych studyów prozą pisanych z owego czasu tyle, że wnosić można, iż utwory poetyckie, o których co tylko dałem powyżéj wiadomość, stanowić musiały wyjątkowe chyba tylko Słowackiego zajęcie począwszy od roku 1842. Są to aforyzmy, sentencye, filozofematy, rozmyślania — w zakresie religii, znawstwa przyrody, mitologii, historyi i społecznych teoryi; wreszcie modlitwy, kązania (miane zapewne w gronie współwyznawców), listy dogmatyczne do niektórych osób w materyi przyswojonego sobie systemu, a czasem i dłuższe prace. Ostatnie pisane były zazwyczaj w formie dyalogu, na wzór Platońskich dyalogów, albo też w kształcie ewangelii i apokalipsy.

Z tych pism wszystkich użytku zrobić nie było można dla świeżo dokonanego dzieł pośmiertnych wydania, ponieważ są to rzeczy, jak się już powiedziało, bez początku i końca i nie doprowadzone też do tego choćby tylko stopnia jasności, iżby dobrze rozumieć można było, co chciał przez nie Słowacki ostatecznie powiedzieć. Pełno tam zawsze bowiem przypowieści, porównań, obrazów poetycznych, słowem najśmielszych rozpędów i zboczeń, które nibyto mają tém lepiéj kwestyą rozjaśnić, ale jéj nie rozjaśniają. Zabierają tylko miejsce, rzecz na tém nic nie zyskuje, a to, o co chodziło, tymczasem ulatuje z pamięci...

Jedna pomiędzy temi pracami, nieco późniéj zapewne wykonana, znalazła się w papierach w takim kształcie, że ją uważać można i za syntezę niejako wszystkich owych przygotowań zrazu daremnych i za wysłowienie ostateczne całéj wiary i wiedzy poety, na któréj sformułowaniu i przekazaniu potomności tak bardzo mu zależało. Napis tego utworu: „**Genesis z Ducha, Modlitwa.**“

Jestto rzecz wielkich rozmiarów, wypowiedziana uroczyście, w formie wyznania wiary, zwróconego ku samemu stwórcy wszech rzeczy, a zatém rzeczywiście w formie modlitwy.

Oto początek tego mistycznego traktatu:

„Na skałach Oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego; a jam się nagle uczuł w przeszłości Nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach.

„Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie—a jam*) był w Słowie.

„A my duchy słowa zażądaliśmy kształtów i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy, iżeśmy sami z siebie z woli naszéj i z miłości naszéj wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.

„Duchy więc, które wybrały za formę światło, odłączyłeś od duchów, które obrały objawienie się w ciemności; i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z któréj Ty Panie odbierasz ciągle ostateczny wyrób miłości, dla któréj wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi.

„Tu gdzie za plecami mojemi palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie przyśnione oczom Homera, tu gdzie odstrzelone słońce oblewa mi płomieniami ramiona, a w szumie morza słychać ciągły głos pracującego na formę Chaosu; tu gdzie duchy tąsamą, co ja niegdyś drogą wstępują na Jakubową drabinę żywota; nad temi falami, na które duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty, nowych światów szukając: pozwól mi Boże, że jako dzieciątko wyjąkam dawną pracę żywota i wyczytam ją z form, które są napisami mojéj przeszłości."...

Po takim początku, obejmuje dalsza osnowa Genezy z Ducha niejako przypomnienie pierwszych początków

*) Jam, nie ja; bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze. (Przyp. Słowackiego).

odwiecznéj istności świata, przypomnienie zaczerpnięte z wnętrza własnego ducha, który w tém wszystkiém uczestniczył. Jest to więc w kształcie dziejowéj opowieści, w kształcie platońskiéj anamnezy, obraz kolejnego przeobrażania się i doskonalenia planety naszéj, z tém wszystkiém co na niéj żyje i żyło.—Nie brak w tém dziele rzeczy, które bardzo pięknie i poetycznie pod względem formy rozpowiada poeta; jednakże nie można w niém niewidzieć też wielu marzeń i dziwnie przekręconych pewników naukowych. A główna myśl, którą odsłania jakby objawienie nowe, sobie dopiero odsłonione, nie jest i nie była już wtedy właściwie niczém nowém w nauce. Mówię tu o tém dziś już powszechnie uznaném założeniu, że wszystkie rzeczy i żyjątka w stworzeniu — od kamienia począwszy aż do organizmu człowieka — stanowią łańcuch nieprzerwany i jednotliwy. Wszystkie ogniwa tęgo łańcucha są to jakby stopnie coraz wyższego wyrazu téj siły twórczéj, która to wszystko wydobywa z niebytu, z łona materyi. Cała „Filozofia Natury“ Hegla (niemniéj zresztą w szczegółach bałamutna, jak i Geneza Słowackiego) jest już na téjże właśnie idei oparta.

„Genezę z Ducha“ uważał Słowacki za najcenniejsze dzieło swoje, za płód pracy najwięcéj zasługujący na ogłoszenie, ze wszystkiego co tylko kiedykolwiek napisał. Twierdzenie niniejsze opieram na następującéj okoliczności. Do manuskryptu, bardzo czysto przepisanego własną ręką autora, znajduję dodaną kartkę z następującym napisem: Genesis z Ducha, pismo zdaniem autora najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał; zawiera bowiem Alfę i Omegę świata.“ Słowa te zanotowane zostały przez przyjaciela i nieodstępnego towarzysza poety w jego ostatnich chwilach, o którym w dalszych rozdziałach będzie jeszcze wzmianka osobna.

Dodał potém Słowacki do Genezy, w osobnym urywku, jeszcze i wykład ze swego stanowiska tych piérwszych chwil istnienia na ziemi rodu ludzkiego, których przypomnienia złożone są częścią w mitologii, częścią w księgach starego Testamentu. Bujne i to było pole dla marzącego umysłu! Od chwili jaśniejszéj

wiedzy dziejowéj, na progu wieków jakokolwiek oświeconych pochodnią historyi — rzecz się urywa...

Wszystkich tego rodzaju pism Słowackiego nie objąłem w wydaniu, które ażeby mogło być doprowadzone do skutku, koniecznie musiało być ściągnięte do jak najkrótszych rozmiarów i mieścić w sobie to tylko, co jeżeliby było przepadło, stanowiłoby prawdziwą stratę dla ojczystéj literatury. Zresztą uważałem jakby za wykroczenie przeciw cieniom mego poety, ogłaszać rzeczy, które ani jemu sławy ani czytelnikom pożytku nie zdawały się obiecywać. — Genesis z Ducha może być ciekawym materyałem do poszukiwań w zakresie Towiańszczyzny; ale do poszukiwań takich mało kto zapewne znajdzie w sobie ochotę. Ogół czytających szemrałby na wydawcę, gdyby się kosztem znacznie podwyższonéj ceny było w taki sposób powiększyło ilość tomów pośmiertnego wydania.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętéj materyi. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król-Duch — wykład piérwszych rapsodów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza „Do Autora trzech Psalmów“ — okoliczności chwili owéj towarzyszące — stósunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane.

Wszystkie prace w rozdziale poprzednim wymienione, prócz jednéj chyba Genezy z Ducha, zdają się samą swoją powierzchownością świadczyć o tém, że powstały pod wpływem, jak się Słowacki przy pewnéj sposobności wyraził, „piérwszego szału rozbudzonych ducha wnętrzności“. Nie było mi wprawdzie podobno, szczegółowo oznaczyć czasu, kiedy każda z nich mogła być napisaną; ale tyle będzie pewném, że przypadają one wszystkie na piérwsze lata owéj mistycznéj doby w jego żywocie. Ideje jego były wtedy jeszcze w nieustającym ruchu przekształceń. Sam on jeszcze nie pojmował się w tym nowym swoim względem wszystkiego, co wcielone i niewcielone, stósunku. Przechodziły mu przez myśl zagadnienia olbrzymie, myśli ogniste, które nie tylko dlatego nie dawały się z powodzeniem zużytkować artystycznie, że sobie z nich sam poeta nie umiał jasnéj zdać sprawy, ale że i zbyt rozległe to były pomysły. Każda sztuka, a zatém i poezya, wymaga pewnego ograniczenia, skoncentrowania, zawarcia tego, coby się rado w nieskończoność rozpłynąć, w pewnym ścisłym zakresie. Excentryczność przedmiotu najniebezpieczniejszym bywa szkopułem dla wszystkich przedsięwzięć poetyckich.

Po upływie pewnego czasu Słowacki choć trwał i nadal przy powziętym kierunku i bynajmniéj nie opuszczał sztandaru nowéj doktryny, jednakże przetrawił do pewnego już stopnia nowe swoje wyobrażenia i zaczął, że tak powiem, czuć grunt jakiś pod stopami. Utwory jego od tego czasu zaczynają w nim znowu okazywać artystę, artystę piérwszego rzędu i mistrza słowa, jakim był przed rokiem 1842. Otacza je wprawdzie pewna mgła mistycyzmu jeszcze i potém, ale już nie w téj gęstości, żeby wartość ich jako dzieł poetyckich miała cierpieć na tém dotkliwie. Owszem — zdaje się niekiedy, że ten lekki wiéw extatycznéj zadumy, ten tajemniczy odblask bezdennéj wiary i fantastyczności w autorze przydaje im prawie woni i wdzięku. Można się wtedy nie godzić na ostateczne następstwa, do jakichby uboczne intencye poety, zaledwie dostrzeżone w dziełach jego téj daty, prowadzić mogły. Ale też i nie można utworom tym zaprzeczyć — z ich stanowiska — nięposlitéj nieraz głębokości w pomyśle, a niezrównanéj z niczém siły w wysłowieniu i rzucie...

Do liczby rzeczy tego właśnie rodzaju nie wahałbym się zaliczyć mianowicie **„Rozmowy z Matką Mokryną"**. Nie wchodzę w to, czy wszystkie rysy tego obrazu są rzeczywiście wzięte że tak powiem z natury; wiadomo mi, że osoby niektóre, dobrze jak powiadają z całą tą sprawą obeznane, wytykają poematowi temu pod tym właśnie względem miejscami uchybienia; — biorąc wszelako utwor ten jako dzieło sztuki, któréj zadanie nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości niewolniczém nawet w ubocznych i najdrobniejszych szczegółach, lecz na ujęciu ducha zdarzeń, o które chodzi: zdaje mi się, że go można śmiało zaliczyć do arcydzieł w tym rodzaju poezyi. Z dawniejszych prac Słowackiego najwięcéj zbliża się do niego poemat o Ojcu Zadżumionych, jako podobny obraz strasznéj boleści i grozy. Objawy Towianizmu są w Rozmowie tak nieznaczne, artystyczny jéj układ tak prosty, a moc słowa taka potężna, że zaledwie uwierzyćby można, że to jest dzieło właśnie lat owych, a nie kiedyś rychléj stworzone. Że tak jednak jest, tego dowodzi najprzód sam czas wypadku, który dał powód do podjęcia tego przedmiotu, a po-

tém i ta okoliczność, że w rękopisie własnoręcznym poety, w którym się mieści piérwszy rzut tego dzieła, znajdują się w niektórych miejscach, pomiędzy jednym ustępem a drugim, różne — nienależące do osnowy poematu — odezwania do Boga, ułożone w najprostszych wyrazach prozą, jakie pisać po będących pod ręką papierach swoich było w owych dopiero latach zwyczajem i niejako potrzebą duszy naszego poety. Są to różne definicye dogmatów jego doktryny, aforystycznie wyrzeczone w formie modlitwy zwróconéj do Boga samego, jako bezpośredni wylew serca wzbierającego wdzięcznością, że mu jest daném mieć świadomość rzetelnéj prawdy. Miejsca takie, jak już wspomniałem, wprawdzie nie zostają w żadnym związku z poematem, o którym tu mówimy; ale dają podstawę do najpewniejszych wniosków o czasie, kiedy on powstał, i o usposobieniu ducha, którego był owocem.

Drugiém dziełem téj kategoryi, ale wykonaném zupełnie znowu w innym rodzaju, jest **Król-Duch**. Część początkowa poematu tego, nazwana „Rapsodem pierwszym“ została ogłoszona za życia jeszcze poety, w r. 1847 (rzeczywiście w końcu 1846) w Paryżu, bezimiennie, bez karty tytułowéj, w formacie wielkiéj ósemki, stron 24. — Były to tylko trzy pierwsze pieśni, stanowiące poniekąd odrębną całość. Wrażenia one na publiczności żadnego nie wywarły. Mało przez kogo przeczytane do końca, potępione jako dziwactwo, przeszły przez ogół prawie niepostrzeżone. Trudno bo też było z tego ułomku wyrozumieć istotną myśl poety i urobić sobie choćby jakiekolwiek wyobrażenie o całkowitém założeniu utworu. Byłto ustęp wprawdzie głęboko pomyślany, w pojedynczych działach z wielkiém dokonany mistrzowstwem i słowa i w ogóle artyzmu; lecz skądinąd tak oderwany i trudny wtedy jeszcze do zrozumienia, że nie mógł nie zdawać się zagadką wszystkim niewtajemniczonym w mistyczną autora doktrynę.

Tento zupełny brak udziału ze strony czytelników wstrzymał też zapewne Słowackiego od drukowania dalszych rapsodyi. I tak skończyło się na tém, że do niedawna publiczność nasza nie znała nic więcéj z téj olbrzymiéj kreacyi, jak tylko ów jeden rapsod;

i że do dzisiaj poëmat ten cały prawie powszechnie uchodzi za rzecz, która się usuwa z pod wszelkiego rozbioru...

Słowackiego ciągłém marzeniem, od pierwszéj chwili przyjęcia doktryny Towianizmu, była myśl przyobleczenia nowych idei w szaty poezyi. Widzieliśmy w powyższém, jak wszystkie prace jego od r. 1842 począwszy, polegały na téj jedynéj dążności. Nie chodziło mu już odtąd o tworzenie ideałów fantazyi w zwyczajnym sensie; nie chodziło o artystyczne dokonywanie dowolnych założeń poetycznych. Chciał on podnieść znaczenie i zasługę poezyi daleko wyżéj. Miał to być jeden ze sposobów wieszczego objawienia światu istnéj, bezpośredniéj prawdy, t. j. tajnych dogmatów i tych wszystkich rzeczy zakrytych, których wypowiedzenie w innéj formie przewyższałoby może w ludziach zwyczajnych zdolność pojęcia takowych.

Poprzednie próby uczynienia zadość temu ideałowi — nie udawały się autorowi naszemu. Były to wszystko prace o tyle chybione, że osnowa, że tło i ramy zamierzonego dzieła nie były zdolne przyjąć w się i pomieścić całéj autora intencyi. Były to wszystko jakby naczynia jakieś kruche i szczupłe, niezdolne objąć w sobie wszystkiego, co w nich zawarte być miało. Dlatego też owe zbyt ciasne kształty paczyły się poecie pod ręką; wychodziły z pracowni jego albo jako monstra (X. Marek i Srebrny Sen), albo z niéj nie wychodziły wcale, lecz przed dokonaniem pracy nad niemi odkładane bywały na bok, i leżą dziś przed nami jak torsa potwornéj rzeźby, która szczegółami obudza podziw, a pomysłem odstręcza...

Wreszcie trafił Słowacki na przedmiot, który stósunkowo najwięcéj obiecywał założeniu jego dorównać. Założenie jego polegało tym razem na onym wiary jego artykule naczelnym, że społeczeństwo ludzkie, obrębem pewnéj narodowości objęte, jest prowadzone naprzód i coraz daléj mocą duchów wybranych, duchów większych, silniejszych... Każdy naród ma zatém swego niby anioła (może kilku aniołów — punkt ten bowiem nie jest u Słow.ckiego wypowiedziany jasno), który przez niego działa i prze go ku coraz większemu zbliżeniu się do celu, jaki jest narodowi

temu wytknięty. Działanie jednakowoż owego ducha, przesuwając się przez cały ciąg dziejów narodowych, nie może być mierzone trwaniem jednego człowieczego żywota. Pokolenia ludzkie zmieniają się i nastają po sobie, jak liście na drzewach, opadające jesienią, a odrastające na wiosnę. Człowiek naczelny w narodzie, człowiek mający w sobie owego ducha-anioła, podlega oczywiście tymsamym prawom natury, co cały rodzaj ludzki. Misya wiekowa ducha, który w nim żyje i przezeń działa, nie może więc być dopełnioną w ciągu znikomego jego życia. Dlatego duch ten potrzebuje więc kilku żywotów, mając działać bezprzestannie; i przeto w kolei czasów odradza się to w tém ciele, to znowu w owém. Na pozór coraz inna osobistość dziejowa, jest on w gruncie rzeczy jednak zawsze tymsamym duchem-kierownikiem swojego społeczeństwa, tymsamym duchem nad duchami, tymsamym... „Królem-Duchem“.

To tedy założenie swoje zamierzył Słowacki uwidomić na przykładzie dziejów ojczystych, wytłómaczonych i okazanych w tém świetle począwszy od piérwszéj chwili żywota Polski aż do dni ostatnich. Czyli innemi słowy: poeta nasz wprowadza tę przodującą dziejom naszym osobistość mistyczną, jako bohatera epopei; i z powodów, które niżéj odsłonimy wyraźniéj, z powodów nader ważnych, gdyż dotyczących saméjże osoby własnéj, osoby Słowackiego: kładzie całą opowieść trudów w tym szeregu wieków przebytych, całą opowieść téj nieśmiertelnéj krucyaty — w własne usta Króla-Ducha, zaczynając poemat od owéj strofy, zapowiadającéj ogólną treść tego cyklu rapsodów.

„Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy wężową napełnione zdradą
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte
I wielkie duchów świętych wojny święte“ *).

*) A więc się poeta identyfikuje z bohaterem swoim

W piérwszym rapsodzie (wydanym jeszcze r. 1847) odsłonił autor piérwszy doczesny żywot króla-ducha na tle samych społeczności naszéj zawiązków. Dalsze rapsody przedstawiają go w późniejszych jego żywotach, w coraz innych osobach, a zawsze w takich, że życie narodowe w każdéj epoce od nich jedynie odbierało główny pęd i ruch i kierunek ku przeznaczeniu swojemu.

Przypatrzmyż się teraz nieco bliżéj, jak ten pomysł jest wykonany w szczegółach.

W rapsodzie I mamy opowieść pierwszego wcielenia się króla-ducha w postać narodową polską. Nie jestto bynajmniéj piérwsze zrodzenie się jego, jako ducha w ogóle. Jako odrębna wiekuista istota, istniał on już i przedtém. Lecz tych że tak powiem, przedsłowiańskich dziejów jego istnienia gdzieindziéj — poeta nie odsłania. Ukazuje go nam od razu w postaci Armeńczyka jakiegoś, który jako zmarłe już ciało złożony jest na stosie, ażeby być spalonym, a potém się odradza na nowo w indywidualności wenedyjskiéj, słowiańskiéj...

Armeńczykowi owemu było imię Her. I nazwę tę i cały pomysł przejął Słowacki od Platona. Plato na samym końcu najgłębszego ze wszystkich utworów swoich, na końcu dyalogu zatytułowanego „Rzeczpospolita" zamieścił piękną i pełną znaczenia symbolicznego powieść o jakimś Herze, synu Armeniusowym z Pamfilii, który w walce za ojczyznę poległ i wespół z innymi zabitymi leżał przez dziesięć dni na pobojowisku. Dziesiątego dnia przyszli ludzie, ażeby trupy zabitych pogrześć. Psuły się one już wszystkie, tylko Hera ciało znalezione zostało w czerstwéj świeżości. Podniesiono wszystkich poległych z ziemi i z czcią wielką zawieziono do miasta. Dwunastego dnia złożono ciała na stosach, albowiem miały być spalone. Kiedy już przykładano ogień do stosa, na którym Her leżał, stało się, iż zmarły otworzył oczy i powstał. I zszedłszy ze stosu oznajmił ziomkom, że duch jego wyszedł był z ciała i był na drugim świecie, gdzie ludzi zmarłych sądzą i karzą i nagradzają — wedle zasługi. Ale kiedy stanął z kolei i on przed sędziami: powiedziano mu, że jemu tylko należy przysłuchiwać się i przypatrywać wszystkiemu,

co się tu dzieje. Albowiem ma on jeszcze wrócić do życia i być do ludzi na ziemi mieszkających zwiastunem z świata drugiego. Opowiadał tedy ów zmartwychwstały z stosu swojego, jako się odbywają sądy dusz zmarłych, jakie im wymierzane bywają kary, jaka ich czeka przyszłość dalsza i jak wreszcie, po upływie oznaczonego czasu, stawają one powtórnie przed potęgami tamtego świata, t. j. przed Ananką i trzema córami onéj, których wspólna nazwa jest Mojry, i które rządzą życiem ludzkiém. Tam tedy stają duchy owe w szeregu; a służebnice onych trojga pań zamogilnych kładą po przed nimi mnogość wielką wzorców i wizerunków żywota, tak żywota zwierząt różnych, jako i żywotów ludzkich. Następnie wstępuje czarodziej jakiś na podwyższenie i głosi: „Słuchajcie słowa dziewicy, córy Ananki, Lachezy! Dusze znikome, otò się poczyna nowy okres śmiertelnego waszego życia. Nie was los wybierać będzie, lecz wy same obierzecie los sobie. Przed kim piérwszy znak padnie, ten niech najprzód wybierze sobie żywot i dolę, od któréj się potém już nie potrafi oddzielić! Oto cnota jest tu do wzięcia! mniéj albo więcéj mieć jéj będziecie, w miarę ile ją cenicie albo ile jéj nie cenicie. Wina będzie po stronie tego, kto wybiera — bóstwo niewinne niczemu"... To mówiąc, rzuca mąż ów znaki, jakby losy z liczbami, po przed cały zgromadzonych dusz szereg. A każda dusza znak swój podnosi wedle tego jak przy niéj upadł, i po kolei, znakiem owym wskazanéj, przystępuje do wyboru sobie żywota z pomiędzy wszystkich owych wizerunków, które w wielkiéj mnogości zostały rozłożone przed niemi. Wybór takowy zawisł zupełnie od woli tego, który wybiera. Pomimo tego, bywa to widok i smutny i śmieszny i zarazem dziwny, jak dusze owe wybierają sobie żywoty powodując się najczęściéj wrażeniami, które z sobą przyniosły z téj strony grobu, z poprzedniego życia swojego. I tak, dusza Orfeusza — z nienawiści ku całemu rodowi kobiet — wybrała wizerunek życia łabędzia, ażeby się już nie rodzić z kobiety. Dusza łabędzia przeciwnie wybrała sobie żywot ludzki. Dusza Tamyrysa (poety) przeniosła nad wszystkie inne żywot słowika. Ajax silny, a jednak pokrzywdzony przez ludzi, zapragnął teraz życia lwa. Agamemnon, równie zniechęcony do ludzi, sięgnął

ręką po życie orła. Odysseus, po długich trudach walk i wędrówek wyleczony z żądzy sławy i pomny bolów, jakich z jéj powodu doznawał, chwycił z radością za wzorzec żywota w spokojnym zakresie prywatnego człowieka; a Atalanta, która już w poprzedniém życiu z tego słynęła, że jéj w biegu prześcignąć żaden zapaśnik nie zdołał, wybrała sobie żywot męszczyzny, atlety...

Kiedy zaś już każda dusza dokonała wyboru swego, udają się wszystkie razem na dolinę Lety, a idą w skwarze wielkim i spiece, albowiem na dolinie téj nie ujrzeć ani drzew żadnych, ani żadnego z płodów, które ziemia wydaje. I zasiadają pod wieczór nad tą cudowną rzeką, kojącą troski. Tu dusza każda wypić koniecznie powinna pewną miarę wody; a niektóre, ile rozwagą i umiarkowaniem mniéj się powodujące, wychylają jéj i więcéj, w skutek czego też potém zapominają na wszystko (i tak się potém odradzają, jakby nigdy przedtém nie żyły na świecie) Wypiwszy wodę owę, zasypiają wszystkie. Nadchodzi noc, godzina północna bije. Wtedy nagle poczyna się grzmot wielki i trzęsienie ziemi. A dusze w górę się rozpierzchują na wszystkie strony jak gwiazdy spadające, i każda kwapi się, kędy jéj przeznaczono urodzić się...

Owoż to wszystko widział na drugim świecie i opowiedział ziomkom swoim ze stosu ów Her z Pamfilii. O sobie samym zaś nie był w stanie powiedzieć, którędy i jakim sposobem wrócił do ciała. Tyle mu tylko było wiadomo, że jemu pić wody z Lety nie dano i że kiedy nagle z rana oczy znowu otworzył, ujrzał się już położonym na stosie. —

Taki jest w najgłówniejszych zarysach ów myt Platona, bardzo szczegółowo u niego rozprowadzony, który więc posłużył za punkt wyjścia dla „Króla-Ducha“. Jak widzimy, bardzo mało przejął z tego mytu Słowacki. Bo też zamiar jego był inny, jak Platona. Filozofowi greckiemu zależało na dokładném odmalowaniu tego, co Her widział na drugim świecie; a naszemu autorowi chodziło przeciwnie o dalsze losy samegoż Hera. Ztądto zaledwie się w niektórych szczegółach i to ubocznych spotykają oni ze sobą. Rozmijają się zaś mianowicie w tym punkcie, że po-

dług mytu greckiego Her na stosie wrócił do życia, ażeby je wieść daléj w dawnych warunkach; Słowackiego zaś Her ciało swoje pozostawia na stosie i kończy tam już swój zawód ziemski. Ciało podlega płomieniom — dusza występuje z niego, aby ulecieć w nadziemską krainę duchów...

Dalsze koleje téj duszy są w poemacie takie:

Po wyjściu z ciała*), ujrzał się Her w owéj krainie Platona, „kędy dusze jasne jak brylanty, swe dobrowolne czyniły wybory". Jednakże on, „z harmonią obeznany młodą własnego ciała" (strofa VIII, w któréj jak i w innych strofach przecinkowanie ciągle błędne), t. j. świadom tego, że to ciało nieskazitelne i wiecznie młode, jakie miał wtedy czystym duchem będąc, najlepiéj harmoniuje z jego naturą: „nie chciał odmiany" ani ciała ani doli ani żywota, i nie pragnąc niczego więcéj, jak żeby duchem i nadal już pozostać, nie czynił żadnego wyboru. Siadł tedy razem z drugiemi duszami nad brzegiem Lety, lecz wody do ust nie wziął. Same tylko rany swoje nią zmywał, ażeby straciły... pamięć boleści. Wtedyto ukazano mu — gdzieś w wielkiéj oddali — „we mgłach letejskiéj zapomnienia rzeki" tajemniczy wid jakiś, zjawienie dziwnéj, z niczém nieporównanéj piękności, które „jak świt daleki" uroczo przed oczyma jego wschodziło (strofa IX i następne). „Ani gwiaździce, co się w morzach palą — powiada w myśl bajecznych podań ludowych poeta — „ani tych gwiaździc jasność tajemnicza" nie wywiera tyle trwogi na jestestwach żyjących w morza otchłani, ile jego przeraziło na razie to zagadkowe zjawienie. Była to niewieścia postać jakaś, piękności tak idealnéj, że się stworzoną być zdała jakby z blasków słonecznych, z barw tęczowych, z dźwięków niebiańskich...

„Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza,
Pod nią... jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły"...

---

*) Strofa V pieśni piérwszéj. W trzecim wierszu téj strofy powinno być: „Ani za ciałem płacząca daremnie" zamiast „Ale za ciałem"..

Dość było duchowi Hera raz spojrzeć na uroczą piękność tego widu idealnego, ażeby w sobie poczuć tajemny węzeł, jaki go miał wiekuiście z nim łączyć, i wiedzieć, że ta postać promienna — to odtąd już... „jego Umiłowana na wieki!“ —

Jeżeli który ustęp w całym poemacie obecnym sprawia czytelnikowi niepokonane trudności, to niezawodnie miejsce właśnie powyższe. Co też poeta rozumiał przez tę aparacyą tak mistycznie tu wprowadzoną?

W pierwszéj chwili nasunie się tu każdemu pewnie myśl, że będzie to zapewne druga podobna duchowa indywidualność opatrznościowa, jak sam bohater poematu, ale indywidualność niewieścia: równie jak tamten mająca przed sobą do spełnienia wielkie posłannictwo w wszechświecie; równie jak on przeznaczona przebyć cały szereg żywotów, które — z wyroku tajnych przeznaczeń — zapewne splatać się będą losami swymi z zawodem męskiego króla-ducha w przyszłości. Przypuszczenie to (czytając poemat daléj) zdaje się nabierać prawdopodobieństwa z téj mianowicie przyczyny, że córka Lecha Wanda, w tak obiecujący sposób wprowadzona w osnowę już pierwszéj pieśni, a po krótkiém zboczeniu w pieśni drugiéj, tak przeważne odzyskująca znowu znaczenie w całym tym pierwszym rapsodzie, mogłaby z wielkim pozorem słuszności być uważaną za takie właśnie doczesne wcielenie owego drugiego ducha, który jako niewiasta ma towarzyszyć na całéj przeznaczeń drodze głównemu bohaterowi poematu...

Przy bliższém rozpatrzeniu przypuszczenie powyższe przecież okazuje się mylném. Klucz ten mimo wszystkich swoich pozorów, nie otwiera żadnéj z zagadek, jakie się w dalszych spotykają rapsodach. Przeciwnie, tłómaczenie takie wikłałoby nas tylko w ciągłych sprzecznościach i prowadziło na bezdroża, żadnéj nie pozostawiające możności spotkania się z rawdziwym pomysłem autora.

Słowacki pisząc to dzieło, niewątpliwie surowsze i wznioślejsze podjął zamiary, jak opiewać metempsychozę dwojga duchów,

które na różnych końcach świata i w różnych epokach historyi spotykają się na to tylko ze sobą, aby przy innych nibyto ważniejszych misyach swoich, odgrywać ostatecznie... romans ze sobą na coraz inne sposoby!

Przypomnijmy sobie, że punkt wyjścia i cały początek „Króla-Ducha“ dokonany został pod wpływem platońskich wyobrażeń. Jedną z zasadniczych podwalin całéj doktryny Platona jest przypuszczenie, że my ludzie przynosimy ze sobą na ten świat gotową już i tylko przypomnienia czasem potrzebującą świadomość bezcielesnych pojęć i ideałów („ideæ innatæ“). Platon wyobrażał sobie, że człowiek przed narodzeniem swojém ogląda twarz w twarz owe wiekuiste pierwokształty wszystkich rzeczy stworzonych, a nawet i ideały żadnéj zmysłowości niezdolne, jak np. cnotę, męstwo itp. w ich czystéj postaci czyli w ich prawdzie bezwzględnéj. To właśnie też jest, co sprawia, że chociaż po narodzeniu naszém nie widzimy na ziemi nigdy już ani nadzmysłowych wyobrażeń ani ideałów, ale tylko same rzeczy znikome, doczesne, które będąc tamtych tylko kopiami i odciskami lichymi, są zawsze ułomne i nieudolne: — to jednak posiadamy pomimo tego w pamięci i wyobraźni naszéj jakąś świadomość téj najwyższéj piękności; zachowaliśmy w sobie jakieś poczucie tych prawd wiekuistych, których ojczyzną są same tylko sfery nadziemskie. —

Otóż jednym z takichto ideałów — wyższych nad wszelkie wcielenie, jedną z takich piękności — niedoścignionych od żadnéj z określonych piękności, jednym z takich „widów“ — widnych tylko dla oka ducha, nie ciała, jest właśnie i owa napowietrzna, świetlana postać, która się „we mgłach letejskiéj zapomnienia rzeki“ objawiła po śmierci duchowi Hera, jakby świtanie jakie dalekie. Jako duch, wyszły z ciała, znajdujący się właśnie w téj ideałów ojczyźnie, jest Her zdolnym „poznać z oblicza“ ów ideał niebiański, i ogląda go w całéj jego piękności. Ponieważ jednak ideał wszelki z natury swojéj nigdy w świecie rzeczywistym być odnalezionym nie może; ponieważ przy największém nawet zbliżeniu się do niego, daje się czuć

zawsze w życiu doczesném brak obecności jego zupełnéj: przeto też i bohaterowi naszemu śpiewają jakieś głosy nieznane:

„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
Jak sny, przez dobre duchy malowane;
Żywot — tysiącem żywotów zapłacisz,
A zawsze jednę tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema,
Tę jednę smętną ranę — że Jéj nie ma!

Ukazany mu przeto jest w mglistéj oddali cel przyszłego jego zawodu, widny w całéj swojéj apoteozie i chwale: ale zarazem i to mu zapowiedzianém zostaje, że ta piękność, ta skończoność, ta boskość tego celu wszystkich jego zapędów istnie tylko w wyobraźni i w tęsknocie, słowem w ideale; w żywotach zaś rzeczywistych, choćby ich przeżyć i tysiąc, czuć się będzie zawsze tylko to jedno — „że go nie ma“, że go się jeszcze nie osięgło, że tysiące przeszkód kładzie się w drodze, które ciągle pokonywać potrzeba, żeby się zbliżać do niego; słowem że go się tylko pragnie... zawsze nadaremnie!

„Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie —
Serce ci damy, ale spustoszeje!
Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
Urągał w Bogu mających nadzieję“ itd.

Te zapowiedzi, te przestrogi nie zrażają jednakże króla-ducha od tego, żeby się puścić w ślady za tym uroczym obrazem przed oczyma jego zjawionym. „Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!“ powiada, i puszcza się w drogę, „choć strzały numidzkiemi ranny,“ choć niemający jeszcze pewności, co to jest, co go ku sobie tak ciągnie: czy śmierć, czy żywota dziwo, czy Irys? itd. (strofa XII).

Przystąpmyż teraz do drugiego pytania i powiedzmy: jaki to ideał i czego ideał ukazany został w téj bezwzględnéj piękności swojéj Herowi? Kto jest ta, którą mu wtedy w dalekim ukazano świcie, ażeby odtąd była jego Umiłowaną na wieki?

Jestto Ojczyzna, jeżeli wyraz ten weźmiemy w jak najszerszém i jak najwznioślejszém znaczeniu. Nie rozumiem przez

to ani samėj tylko ziemi rodzinnėj, ani państwa w jego doczesno-utylitarném znaczeniu, ani potęgi politycznėj, ani żadnego z osobna z tych tysiącznych włókien, które się składają na ten cudny w języku polskim wyraz, na to wzniosłe w duchu pojęć polskich słowo: Ojczyzna...

A jeżeli to czytelnikowi jeszcze nie wystarcza, określmy to jeszcze inaczéj. Oto wstaje w oddali przed oczyma Hera ideał Polski, t. j. niebiański obraz tego, co naród nasz jako zadanie państwa pojmuje i co sobie wyobraża przez ideał narodu. Staje przed oczyma jego Polska, jaką być ma wedle tego, co sobie o niéj marzą i co przez całą długość jéj przeszłości sobie o ojczyźnie marzyli jéj najszlachetniejsi i duchem najwznioślejsi synowie; a zatém cel ostateczny do którego dzieje nasze dążą; słowem ideał — w najdalszą przyszłość rzucony — takiéj ojczyzny-matki, takiéj ojczyzny-idei, jaka jest wszystkich marzeń i usiłowań naszych przedmiotem.

To zatém chciał powiedzieć poeta, kiedy mówi:

„Ukazał się wid — Piękność — córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy.

„Słońce lecąca trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:
Szła nad lasami i leciała dołem
Nad chaty — jako komeciana miotła.
Tęcze ją ciągłém oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
I na powietrze rzucała niedbale
Perły-jaśminy i maki-korale. (strofa XVII)

Że tu nie podkładamy słowom poety myśli obcéj, do któréj by się nie przyznał, gdyby jeszcze był między nami: o tém dowodnie mogą się czytelnicy przekonać, jeżeli odczytają wiersz do K. Ujejskiego, rokiem tylko późniéj przez Juliusza pisany, któryśmy dali na str. 73 tomu I dzieł pośmiertnych. Znajdujemy w wierszu rzeczonym prawie tesame obrazy, a znaczenie ich tam już nie może być wątpliwém.

Pomiędzy aforyzmami prozą, które sobie zwykł był w owychże latach Słowacki zapisywać do różnych kartek i zeszytów będących właśnie pod ręką: znalazłem w jedném miejscu ustęp, który warto tu przytoczyć na dowód, że mój wykład strofy powyższéj w Królu-Duchu wychodzi zupełnie z punktu widzenia autora. Powiada on tam, co następuje:

„Podobnie jak przed światem stworzonym było Słowo czyli duch, mający się formami objawić widzialnemi, podobnie poczęcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei, dla któréj następnie ludzie, w formę pewną téj idei właściwą skrystalizowani, pracowali. Z takichto idei powstawała pewna forma agregacyjna, i ta stanowiła narodowość. Ideje takie, wieńcom ognistym podobne, którymi się fortece oblężone w nocy oświecają, z całą pięknością ogni ulatujących nad narodami przelatywały i świeciły. — Wyobrażone nareszcie mniéj więcéj, usiłowaniem czynném rasy, dla któréj były stworzoné, przechodziły w kształt; ducha piękności i prawdy oddawały formie; same zaś na niebiosach gasły i wyższym rewelacyjnym ideom miejsca ustępywały“...

Zataić wprawdzie tego nie mogę, że nasunąć się tu niejednemu może pytanie, czy raczéj nie objawia się przed oczyma Hera obraz mistyczny Bogarodzicy? Gdyż nie tylko skąd inąd jest przyjętém, w takiéj właśnie postaci ten najwyższy z ideałów chrześcijaństwa malować; ale i sam nawet Słowacki nieraz w tymże samym go przedstawiał obrazie. (Obacz np. dokończenie wiersza, zamieszczonego w tomie I Pism pośmiertnych, bezpośrednio przed wspomnianemi co tylko strofami „do Autora Skarg Jeremiego“) Z tém wszystkiém przypuszczenie takie w tém miejscu byłoby niewłaściwém. Jakże bowiem miałoby się stósować do Bogarodzicy wyrażenie:

„Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy“ (str. XVI)?

W takim razie nie byłby tu autor położył „jaką“, ale koniecznie „którą“. A cały wiersz poprzedni byłby wtedy zu-

pełnie niezrozumiały; boć matka Zbawiciela jest panią całego chrześcijańskiego świata, a nie jednego tylko ludu.

Jest zatém wprawdzie niezaprzeczoném, że Słowackiemu te dwa ideały, t. j. ideał całego chrześcijaństwa i ideał nasz narodowy, przed oczyma spływały, i że chcąc mówić o ostatnim, pożyczał form od pierwszego; ale to też już jest wszystko, co w tym kierunku przyznać możemy. Posunąć się choć krok jeden po za to przyznanie daléj — byłoby to tracić na zawsze z oczu ten punkt widzenia, z którego jedynie odsłania się ukryta myśl poematu.

W dalszych strofach kładzie poeta w usta bohaterowi swemu opowiadanie, że kiedy więc ujrzał oczyma ducha swego owę piękność idei, któréj w życie przeprowadzenie i wyrobienie dziejowe miało stanowić odtąd wiekuiste jego zadanie: natychmiast poczuł w sobie popęd do odżycia na nowo w warunkach stworzonego istnienia, czyli — co na tosamo wychodzi, uczuł w sobie potrzebę opuszczenia tych błogich krain letejskiéj beztreściwości i elizejskich odpoczynków po trudach, w którychto krainach zrazu tak gorąco pragnął pozostać już na zawsze, jako duch czysty —

„I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło...“(str. XVI).

„Więc czego woda letejska nie mogła,
To Ona swojém zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowo się wzmogła
Loty — i nowym buchnęła płomieniem. —
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem,
Opowiem.
Ja Her, powalony grzmotem
Nagle gdzieś w puszczy pod wieśniaczym płotem*)
Budzę się“. (str. XIX).

---

*) W wydaniu lipskiém przecinkowanie błędne téj strofy sprawia, że wcale miejsca tego rozumieć nie można. Po „opowiem“ powinien być punkt i zakończenie okresu. Po wyrazie „płotem“ nie powinno być żadnéj interpunkcyi: i tak też to jest w pierwszém wydaniu, t j. paryskiém z r. 1847.

W strofie téj i następnéj opowiada bohater poematu, że kiedy więc dusza jego „przemogła znowu ciało i uczyniła je swoim wiernym cieniem,“ t. j. kiedy się znowu zrodziła w ciele: ujrzał się gdzieś — w lichéj chacie „pod płotem wieśniaczym, w dzikiéj puszczy“ dziecięciem biednéj kobiety. Kobieta ta wzniecała w nim już w latach jego najrańszych instynkt zemsty.

...„Straszna nademną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy.
„Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita!
Ja jedna żywa, a ty zamiast truny
Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i popioły,
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem,
Synu popiołów nazwany Popielem!“

Ażeby rozumieć tę strofę, trzeba sobie przypomnieć cały pomysł, przeprowadzony w Lilli Wenedzie. Z tym dramatem wiąże się cały ten rapsod „Króla-Ducha“ jak najściśléj i jest niejako jego epilogiem. Czytelnicy przypominają sobie, że Słowacki wyszedł w Lilli Wenedzie ze założenia, że przyjście Lecha i orszaku jego do Polski odbyło się jako gwałt i rzeź i bój doraźny na śmierć i życie z dawniejszą téj okolicy ludnością. Lechici zwyciężyli, zajęli siedziby nowe, ale nie prędzéj, aż je zamienili w cmentarz plemienia Wenedów, którzy tu przed ich przyjściem mieszkali.

Otóż z tego punktu widzenia tłómacząc strofę, o któréj wykład tu chodzi, jest rzeczą oczywistą, iż ową „Ojczyzną zabitą“, o któréj matka synowi swojemu mówi, nie może być co innego, jak plemię Wenedów. Samą zaś kobietą ową, czarodziejskie runy nad dziecięciem wygłaszajacą, jest oczywiście tasama postać, która się tam w dramacie nazywa Róża Weneda.

Cały pomysł obecnego rapsodu Króla-Ducha okazuje się zatém już gotowy w Lilli Wenedzie. Co się tyczy cudownego z popiołów zrodzenia Popiela, wypisuję z dramatu tego dwa miejsca, które to bliżéj tłómaczą.

Na końcu Prologu „Lilli Wenedy“, włożone są w usta Róży między innemi słowa następujące;

„Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią!
I zakocham się w rycerzy popiołach
I popioły mię zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
A łożem ślubném będzie stos rycerzy.
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiéj od ognia i wojny,
Lepiéj niż sto tysięcy wroga,
Lepiéj od Boga!"

Drugie miejsce, któro tu warto przypomnieć, znajdujemy w scenie piątéj Aktu III. (str. 285 wydania lipsk.)

Ma tam niezadługo przyjść do stanowczéj bitwy między Lechem a Wenedami. Goniec staje przed królem, mówi mu o strasznych przepowiedniach, które się szerzą między jego nieprzyjaciołmi, i wspomniawszy o innych znakach, jakie się ukazać mają, powiada:

„Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno!

GONIEC.

Ta czarownica z góry, zapowiada
Że po téj walce — martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie —
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie, a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy". itd.

To cudowne zrodzenie się mściciela, zapłodnionego przez przodków swoich popioły, nie mogło tu oczywiście być przez poetę rozumianém literalnie. Symboliczne znaczenie tego wszystkiego jest jasne. Ponieważ jednak zdawać się niejednemu może, że ta stałą przenośnia o zapłodnieniu Popiela przez popioły rycerzy,

zbyt mocnymi jest nałożona kolorami, żeby przez Słowackiego tylko figuryocznie miała być rozumianą, a nie dosłownie: przeto wybaczy mi czytelnik jednę jeszcze uboczną tu uwagę.

Aż do pewnéj granicy wolno poecie dobierać sobie do wy powiedzenia subtelniejszych pomysłów, form i obrazów ze sfery, z jakiéj mu się tylko podoba. Kieruje nim samo jedno tylko poczucie pewnéj że tak powiem, miary i przyzwoitości poetyckiéj, bez względu na to czy nauka ścisła, np. medycyna, historya naturalna, fizyologia itd. gotowa będzie dać swoje na to wszystko potwierdzenie, co się w symbolicznym sensie jemu spodoba w granicach téj lub owéj naukowéj dziedziny wyrzéc. Nie chodzi tu nigdy o zupełną zgodność z najnowszymi badań naukowych rezultatami, ale tylko o prawdopodobieństwo, o pozór możności, że tak to jest. Owoż nasuwa się pytanie, czy Słowacki, w taki sposób wypowiadając ten pomysł, nie posunął się po za granicę owéj miary i stósowności, jakąśmy postawili za konieczny warunek trafności przyoblekania pojęć oderwanych w kształty zewnętrzne.— Nie wątpię, że wielu rozstrzygnąć zechce to pytanie na niekorzyść autora naszego. Przenośnia jego wydawać im się będzie posuniętą za daleko. Pomówią go o mistycyzm, o wyobrażenia żadnéj nie mające wspólności ze stanowiskiem wyobraźni dzisiejszych ludzi.

Ażeby przecież zmniejszyć przynajmniéj ten zarzut, zauważyć muszę, że Słowacki i w tym nawet razie jest jeszcze na gruncie pojęć, jeżeli nie całego ogółu, to przynajmniéj wyobrażeń ludowych. Nie potrafię w téj chwili rozstrzygnąć, czy w zakresie gadek naszego ludu dałoby się znaleść coś takiego, coby się okazywało spokrewnionem z tém symbolicznie tu przez niego opowiedzianém pochodzeniem Popiela. Ale pomiędzy ludem czeskim przechowuje się powieść, która z jego pomysłem dziwnie rymuje. Przypomniał ją przed niewielu laty Frycz, w prelekcyach swoich miewanych w Pradze.

Lud czeski wierzy, że w czasie ostatecznego niebezpieczeństwa powstaną z martwych z pod góry Blaniku śpiący tam od wieków rycerze, stróżowie ojczyzny. Już dziś co chwila się oni w grobach podnoszą i zapytują jeden drugiego, czyli już pora?

Są to duchy poległych pod Lipanami Taborytów. Lud pojął, że tacy nawet bohaterowie nie mogą się obejść ani bez światła nowych idei, ani bez wodza. To też ażeby nie zatracili poczucia potrzeb i odrodzenia ojczyzny, wysyła świeżo pomarłe znakomitości z poselstwem nowych myśli do-skalistych podziemnych mieszkań tych dawnych duchów. Co się zaś tyczy wodza, to legenda ludowa nie daje im za takiego ani żadnego z królów ani z cesarzów, lecz ponieważ wodzem duchów takich zwyczajny śmiertelnik być nie może, naznacza mu cudowne urodzenie.

Pewien grobarz miał córkę, która mu pomagała w pracy. Samotna często dziewczyna wymyśliła sobie żałobną a pobożną zabawę: sztucznie składała kości naśladując ołtarzyki, na których czaszki zastępywały lampy i kielichy. Mała dziewczyna podrosła już i wypiękniała; zdarzyło się wtedy razu pewnego, gdy z cmentarza po wodę wychodziła, że wyrwała się za nią czaszka z kostnicy i powoli toczyć zaczęła. Dziewczyna śmiała podjęła czaszkę, ucałowała, a zapytawszy: „czym cię na niewygodném położyła miejscu?“ o uspokojenie prosiła i na samym umieściła ołtarzu. Czaszka jednak od téj pory nie opuszczała stóp dziewczyny, wszędzie się za nią tocząc. Cud ten grobarza przestraszył; kazał czaszkę spalić, a proch połknąć córce. Nim rok minął, powiła ona syna, bohatera. Nowo narodzony dziecinne lata spędzał pod lipą u stóp Blaniku, rozmawiając z duchami śpiących pod górą rycerzy, na których wodza opatrzność go przeznaczyła...

Otóż widzimy, że autor nasz nie posunął się zbyt daleko po za obręb imaginacyi ludowéj, dobierając form zresztą cokolwiek dziwnych na wyrażenie pomysłu, który sam przez się nic innego nie znaczy, jak znane owo „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor!

Począwszy od strofy XXI daje poeta zarys żywota bohatera swojego, zrodzonego z ostatniéj z rodu ujarzmionego, w ubogim stanie, bez świadomości tego wszystkiego, co z duchem jego zaszło przed urodzeniem i co ma stanowić zadanie działań jego w przyszłości — począwszy od lat jego najrańszych. Jestto rzeczywiście wdzięczny przedmiot, głęboko po-

myślany, z psychologicznego punktu widzenia prawdziwie zajmujący. Mamy przed sobą naturę, z własnéj rdzeni ducha swojego wzniosłą i między najczystszymi duchy wybraną. Gdyby to od niéj jedynie zależało, żywot jéj ziemski byłby pewnie równie szlachetny, równie idealny, jak był ów pęd duszy Hera nad brzegiem Lety zwrócony ku najwznioślejszemu ze wszystkich ideałów. Ale człowiek przychodząc na świat, staje się od razu zawisłym od całego brzemienia okoliczności ubocznych, tradycyi dziedzicznych, stósunków miejscowych, jakie zastaje już gotowe w domu, w rodzie swoim, w społeczeństwie na którego łonie się zrodził, nareszcie w wieku i dążnościach swojéj epoki — słowem, rad nie rad musi przyjąć ten spadek nieodzowny przeszłości, te wszystkie zaległe długi i do spłacenia i do ściągnięcia, jakie mu przekazują owe coraz szersze koła i sfery, w obwodzie których żyć mu wypadło. Działają tedy na ducha jego najrozmaitsze potęgi, działają nań czynniki to obce, to pokrewne z jego najwnętrzniejszą naturą: i tych dopiero suma i waga ostateczna stanowi owę siłę, jaka nas wiedzie przez rozłogi naszego życia temi lub owemi drogami, nieraz wbrew naszym lepszym instynktom. Instynkta nasze są w téj wędrówce niezawodnie najważniejszym czynnikiem. Ale i tamten, że tak powiem, fatalizm okoliczności ma wagę nieobliczoną.

Owoż taksamo ma się rzecz i z bohaterem naszego poematu. Do ducha jego, jakim go widzieliśmy na początku pieśni, przylegają już w saméj chwili zrodzenia jego inne potęgi, potęgi doczesne i miejscowe. I ten dopiero zléw i wiekuistéj dążności i doczesnych porywów — tworzy całą odrębność jego indywidualizmu jako człowieka, jako Popiela. — „Sam jeden jesteś, mówi do niego matka,

„ale cię przymioty
Ojców napełnią, a ja dam dwa duchy:
Na prawo stanieć jeden Anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
Ci dwaj — ty trzeci, i mój głos, jak grzmoty
Pędzący w zemstę“... (strofa XXI).

To też nie dziw, że pomimo takiéj świętéj przeszłości w duchu i mimo postanowienia puścić się w ślady za takim ideałem, jak go mieliśmy odmalowanym na wstępie dzieła: król-duch, ów niegdyś Her, o poranku pierwszego żywota swojego powiada, że

„Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była, a nauką zdrada!
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie jak anioł zagada...
Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy
I w kształt złotego widma wstaje — pada —
Czasem tumanem na pierś moję runie,
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie." (str. XXII)

Strofy XXIV aż do XXXII stanowią ustęp odrębny, względem rzeczy głównéj poboczny: autor daje w nim zarys stanu ówczesnego społeczeństwa polskiego pod względem intellektualnym i obyczajowym, za panowania Lecha. *)

Podobnie epizodycznego tylko znaczenia jest następujący zaraz potém ustęp drugi (od strofy XXXIII — XXXVII).

Właściwa akcya poczyna się dopiero od strofy XXXVIII. Pomijając zdarzające się tu i owdzie, w téj części poematu, zawiłości w szczegółach, których podejmowanie wyczerpujące rozszerzyłoby dzieło moje daleko po za rozmiar, jaki mu dać zamierzyłem: o głównéj osnowie robię tylko to spostrzeżenie, że zwyczajem swoim odstępuje Słowacki i tutaj od tradycyjnych form, w jakich przekazuje nam przeddziejowe czasy nasze historya, i przeprowadza znane o Popielowych nad Polską rządach podanie w sposób zgoła niezawisły od kronikarskich o tém powieści. Bohater jego rapsodu, jako biedak w wieśniaczéj zrodzony chacie, a potém niby przybłęda jakiś z dalekiego gdzieś świata — poczyna zawód swój od najniższego szczebla: jest zrazu na dworze

*) W ciągu ustępu tego poprawić trzeba w strofie XXX (str. 431 wyd. lips.) pomyłkę drukarską: „Część ducha" — na „cześć ducha;" bo inaczéj bezsens z tego powodu całą myśl robi niezrozumiałą.

Lecha tylko pachołkiem. Ale choć na tak podrzędném stanowisku, cele jego odrazu sięgały wysoko.

„Jam oczy groźne miał i ręce czynne

I uwiązany cel do wież wierzchołka." (strofa XXXVIII)

Niejedno—niepewne wprawdzie i mętne—przypomnienie z wyjątkowéj jego przeszłości niosło myśl jego daleko... w podziemi głębie, w zaświata krańce. Świat obecny cichością swoją i niezmiennym brakiem wszelkiego ruchu dręczył go i zdawał się urągać jego myśli płomiennéj. Mściwość kłóciła go ciągle z ludźmi i z losem. Mimo to jakaś ręka niewidzialna usuwała przed nim wszystkie zawady na świecie. Czego tylko zażądał — wszystko się działo. I wiodło mu się szczęśliwie. Wstępował na coraz wyższe stopnie dostojeństw w kraju. Wyszedł na wodza — został prawą ręką i ulubieńcem książęcia — siadł najpierwszym „wojewodą złotym" nad Gopłem. Wsławił się ze zwycięstw odniesionych nad nieprzyjacielem postronnym. Zjednał sobie serca całego rycerstwa. Aliści przypadkowe zdarzenie, przewidziane wprawdzie dawno wyrocznią, ale dokonane mimo woli a nawet mimo wiedzy Popiela, aczkolwiek jego ręką — ściągnęło na niego podejrzenie — o bunty i nienawiść panującego! Z wojewody i pogromcy w stu bitwach, przyszło mu wrócić do pierwotnego nicestwa. Jako więzień, niewinnie posądzony, został wtrąconym do kaźni Lecz i teraz siła jakaś niewidzialna, opiekująca się jego losem, nie przestała być mu pomocną. Ręka własnéj córy królewskiéj (Wandy), otworzyła bramy jego więzienia. Ujechał — tajemnie — w świat daleki, grożąc podniesioną prawicą światu odwetem za krzywdę tak niezasłużenie doznaną. A tém namiętniéj zemsty téj pragnął, że był sam jeden i jeszcze wtedy bezsilny...

Na pieśń drugą, bez porównania łatwiejszą do rozumienia, przypada główna waga w całym rapsodzie. Jest to część dzieła wykonana z całém mistrzostwem właściwém Słowackiemu. Dziwna siła wieje tu z każdego pociągu pióra! — Puściwszy się Popiel w strony świata nieznane, bezludne, dzikie — spotyka na jakiémś miejscu pustém hufiec Germanów, zwycięsko wracających z wyprawy przeciw rzymskim legionom. Byli liczni, mówi poeta, jak

gwiazdy na niebie, a straszni jak piorun, kiedy niebo odmyka. A jednak skoro ich tylko spostrzegł, wiedział on naprzód, że zostanie mężów tych wodzem; że to będzie dla rąk jego narzędzie, przez które świat wytnię, jeżeli zechce. I stało się, jako przewidział. Tłumy te zbrojne po krótkiéj walce wszystkich przeciwko jednemu, poznały, że „był jak piorun, gdy lasy druzgoce.“ Okrzyknęli go Kiejzarem swoim... Po różnych przewagach i podbojach, których dokonywał to tu, to owdzie na czele plemienia tego: wtargnął on wreszcie w kraj swoich ojców, w dziedziny księcia Lecha. Był ostrzegany przez wszystkie władze elementarne, ażeby granic onych nie tykał: na przestrogi żadne on atoli nie zważał. Wtargnął zatém do Polski i rozpoczął bój, który zapowiadał zagładę wszystkim kraju tego mieszkańcom. Lech nie żył już wtedy; panowała nad narodem dziewica, córa jego — tasama, która mu otworzyła furty więzienia i dała konia, ażeby przed niebezpieczeństwem uchodził. Po bezskutecznym oporze, po wielu bitwach przegranych — przyszli przedniejsi dostojnicy polscy do obozu nieznanego sobie i z osoby i nawet z imienia herszta najezdców. W imieniu królowéj swojéj oświadczyli mu gotowość okupienia przymierza z nim ofiarami, jakichby tylko żądał. Prosili go — mówi poeta

„o pokój, i o ziemi bryłę
Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę“...

Zwycięzca uniesiony pychą, odprawił posły owe szyderczo. Obiecał im mir żądany i łaskę, lecz pod warunkiem, którego przyjąć nie mogli, gdyż był upokarzający i boleśniejszy, niż ostrze miecza.

„Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina! Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą!

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnéj księżyca
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona
I nasze dzikie dusze pozachwyca:
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie, jak gołębica

I wyprosiła usty różanemi
Co chce — niebiosa całe, czy pół ziemi"..." (str. XXII i n.)

Z takąto odpowiedzią odeszli obydwaj wojewodzi do Wandy. Nie powrócili już więcéj.

Następującéj zaraz potém nocy pożałował Popiel tych słów zuchwałych i obelżywych. Ażeby cofnąć, co mu duma w usta włożyła: nazajutrz, zaraz za świtu, cały w zbroi żelaznéj, podążył sam jeden ku zamkowi Wandy nad Wisłą. Zatrąbił u bram — zostały mu otworzone. — „Idź do królowéj, rzekł smutnemu wojewodzie, który go wpuszczał do zamku, i powiédz „że mi słów moich wczorajszych szkoda" —

„Zanadto ostre pokazałem lice!
Niech mi królowa wasza jasna, młoda
Naleje czarę, podniesie przyłbicę:
A może łatwo ten rozkaz wykona
Pieśń mi zaśpiewać — paść w moje ramiona"...

W milczeniu przyjęto te słowa jego. Poprowadzono go na niedaleki brzeg rzeki — ten był cały zapełniony tłumem narodu. Tam ujrzał Wandę, ale już wydobytą z topieli, martwą, położoną na stosie...

Cały ten epizod, zaledwie tu naznaczony w zarysie, przeprowadzony jest po mistrzowsku. Zespolenie mytu o Rytygierze i Wandzie z podaniem o Popielu, w taki sposób że działa w nich obydwóch jedna i tasama osoba, odstępuje wprawdzie od dziejowego przekazu; lecz zyskuje na tém prawdopodobieństwo podania o dobrowolném rzuceniu się Wandy w Wisłę. Zresztą i przez to pomysł ten się zaleca, że daje rzecz z nowéj strony, a podobno z poetyczniejszéj. —

Po tém wszystkiém czeladka Wandy przystąpiła do oboru nowego księcia. Zebrały się roki walne — i pod wpływem téj dziwnéj ironii losu, która tak często iści się w świecie, skończyło się na tém, że okryto purpurą lechową tego właśnie, z którego powodu się Wanda rzuciła w topiel. Dawny pachołek ostatniego książęcia siadł więc wreszcie na tronie polskim i rozpoczął

owo panowanie okrutne, którego groza żyje dotąd w podaniach narodowych.

Dokończenie pieśni drugiéj i prawie cała pieśń trzecia zapełnióna jest opisem najsroższych, najwyszukańszych męczarń, jakich się ta demoniczna natura od téj chwili dopuszczała na narodzie sobie podległym. Co tylko zapamiętały dzieje o rzymskich imperatorach albo o późniejszych dręczycielach rodu ludzkiego z rodzaju Iwana Groźnego, wszystko to zgromadził autor w ramach panowania bohatera swojego. Opis téj tyranii pod względem artystycznym jest niezrównanéj siły i barwy. Jedno tylko przy tém wszystkiém nie dość dobitnie zdaje się być dokonaném. Oto niełatwo jest dociéc, dlaczego się ten duch wybrany i o całą nieskończoność wyższy nad ludzi zwyczajnych plamił takiemi okrucieństwami?

Rozpatrzywszy się w całém założeniu téj części poematu i łącząc w jedno wszystkie do tego się ściągające, a rozpierzchłe po różnych miejscach w nim napomknienia: można wprawdzie dać na to zapytanie zupełnie wystarczającą odpowiedź; zawsze wszelako żałować trzeba, że punkt w utworze tak ważny potrzebuje dopiero komentarza i co gorsza, mógłby być nawet przedmiotem sporu.

Żeby myśl autora odgadnąć, zupełnie na bok tu usunąć należy podnietę zemsty. Matka wprawdzie wpajała mu w ducha myśl zemsty, kiedy był jeszcze dziecięciem. Mimo tego jednak nie z tego powodu pastwił się Popiel teraz nad tym narodem, że tenże obarczony był winą zagłady plemienia, z którego on pochodził. Opowiadanie poety, w całéj téj części dzieła, niczém a niczém nie potrąca o to uczucie; i nic się też tu zgoła takiém ogniwem nie łączy z tém wszystkiém, co poprzedziło. Co większa — znajdujemy tu jeden punkt, który stanowczo nawet obala podobne przypuszczenie. Wszakże wśród różnych okrucieństw swoich posuwa się Popiel wreszcie i do téj zbrodni, że własną matkę z lasów zwleczoną siepaczom swoim każe rzucić w płomienie — z całą zresztą wiadomością, że ta ostatnia z rodu Wenedów niczém przeciwko niemu nie zawiniła! (strofa LV i następna).

Powody działania jego nie wynikały przeto ze stósunku ras przeciwko sobie zwróconych, ani też z żadnych powodów osobistych. Wynikały one raczéj z najogólniejszych, że tak powiem, światodziejowych względów: z potrzeb wieku, w którym Popiel żył, i z natury całéj epoki, jaka wtedy trwała nad światem.

Były to czasy zastałe, ciekące zwolna, w głuchéj zanurzone pomroce, na którą nie spadały jeszcze ani pierwsze nawet błyski przedświtu dziejów, cywilizacyi, religijnych objawień — słowem wszystkiego, co przyjść dopiero miało w przyszłości. Na pozór — byłto stan błogi.

„Do gwiaździc morskich tajemniczéj jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiéj waśni
A miał z jabłoni swéj napój i cienie“...
(strofa XXIV Iszéj pieśni).

Lecz dla energii ducha, który nato tylko w tém społeczeństwie się zrodził, ażeby je popchnąć naprzód, byłto rodzaj bytu nieznośny.

„Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą klątem“. (str. XXXIII).

„I nic! — Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi!
(str. XXXIV Iszéj pieśni).

Kiedy się bohater poematu wyniósł już na przywódcę owego hufca Germanów, z którym przebiegał i nękał ludy ościenne, zależało to od jego już tylko woli, zamącać i przerywać tę głęboką ciszę epoki. Ale od owéj chwili zaczął mu się dawać czuć inny znów niedostatek.

„Z barbarzyńcami — sam — na uroczyskach
Człowiek-duch — pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda.
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,

Które panują takim chwilom świata,
Trwożą jak pianie kurów u Piłata.

„Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją,
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny.
Przed rannym strachem niebiosa ciemnieją,
Więcéj wychodzi gwiazd na błękit siny —
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzéć się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?..“
(strofy XVI i XVII w IIgiéj pieśni).

Podnosi tu autor, jako więc znamiona przeddziejowego bytu narodów: owę ciemność i próżnię i nudę duchową, która umysły przygniata, jak strach jakiś całe napełniający powietrze, i tylko być może przyrównaną do długiéj a strasznéj nocy, o któréj wiadomo że się kiedyś skończy, ale co po niéj przyjdzie, niewiedzieć! Sumienia lękają się owéj godziny brzasku, niezadługo już nadejść mającéj. Znaki, które tę godzinę zwiastują, przerażają jak piorun i trwożą jak „pianie kurów u Piłata“, które przypomniały Piotrowi, że się Boga swojego zaparł. Tak w naturze jak w świecie moralnym, im bliższy jest czas poczęcia się brzasku poranka, tém noc zdaje się być ciemniejszą, tém więcéj rodzi się zbrodni z jéj łona — „ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją“; tém większa nakoniec gotowość w społeczeństwie, postąpić sobie jak Piotr i zaprzéć się ducha bożego.

Owoż tento stan nieznośny, ten stan trapiący całe społeczeństwo, ten brak zupełny wszelkiego moralnego punktu oparcia... to jest to, w czém upatruję bodziec do czynów, jakie autor w poemacie bohaterowi swemu popełniać każe. Ojczyzna nasza w owym czasie religijnych objawień jeszcze nie miała. Były jakieś obrzędy, jakieś kapłaństwa, jakieś dorywcze, mętne przypomnienia wyobrażeń przyniesionych z kolebki jeszcze narodów, z nad brzegów Gangesu.

„Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski, nakształt złotego upiora
W lasach powstanie...“ (str. XXIX w pieśni Iszéj).

Ale te mdłe błyski zapomnianéj dawno religii nie mogły wystarczać potrzebom społeczeństwa. Było tedy — jeżeli nie w narodzie — to przynajmniéj w jego panującym pragnienie, ażeby się ta noc straszna i długa skończyła wreszcie. I stądto powziął Popiel postanowienie — zmusić niebo do objawienia prawd swoich, jeżeli je ma, i jeżeli bóstwo w niém jest...

„Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo, tak jak w tarczę z miedzi;
Zbrodniami przedrzéć błękit i otworzyć
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady.

(str. XLII w pieśni II).

Doświadczyć tedy i przekonać chce się ten nieokiełznany żadném jeszcze moralném wędzidłem mocarz zwierzęcego dziejów okresu — czy czuwa wyższa jaka sprawiedliwość i opieka boża nad światem, czy też przeciwnie jest to pole bez właściciela, po którém wolno sile mocniejszego pławić się we krwi bezkarnie. Jeżeli z niebios patrzy oko jakie na ziemię: to go Bóg obliczem swojém w zapędzie zbrodni powstrzyma. A jeżeli go ani obliczem swojém nie przerazi, ani nawet nie ostrzeże żadnym znakiem na niebie: —

„To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tém straszniejszy — że go własne siły,
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.“ (str. XLV).

Przez długi czas umacniało go wszystko już w przypuszczeniu, że co się tu dzieje na świecie, nikogo nie obchodzi tam w górze. Wysyłał gromadami całemi najniewinniejszych na stosy; cały swój dowcip zużywał na wymyślaniu najwyrafinowańszych katuszy. A niebiosa? — niebiosa ciągle na to wszystko spoglądały w milczeniu.

...„Niebios błękitnych framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche — obojętne“... (str. XLVII).

Myślał, że przynajmniéj nocy jego powinnyby być pełne niepokoju i trwogi; rozumiał, że dnie — „jak nocy bez gwiazd“ będą dla niego czarne i kłócone jękiem tych ofiar po całym kraju z rozkazu jego ginących... Ale i tego nie było. Nocy jego były ciche — spokojne; dni mu płynęły, jak dawniéj.

I nic! — Ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć — z bożą wzgardą“. (str. XL)

Jednakże miała ta nierychliwość rządów bożych trwać przecież aż do pewnéj tylko granicy. Dopóki Popiel pastwił się tylko nad ciałami; dopóki duchom (jak się poeta w str. LIV wyraża), kruszył tylko „łódź i wiosło“: dopóty znosiły nieba tę tyranią jego cierpliwie. Lecz właśnie przeto posunął on się i daléj jeszcze. Widząc nadaremność usiłowań nad zbadaniem tajemnic, dla odchylenia których puścił się taką drogą; podrażniony odkryciem, że nie ma w niebie nikogo, coby dbał o sprawy ludzkie, a jeśli jest, to chyba jemu urąga, kiedy nie odpowiada jego wyzwaniu: z rosnącą namiętnością — z szałem, jaki tylko poddać może oburzenie i mściwość, zaczął broić teraz już przeciw naturze i przeciw duchowi. Chodziło mu już tylko jakby o ukazanie w całym blasku, owéj nicości i nędzy podobnego ustroju świata! Kiedy więc w tym kierunku doszedł aż do owego kresu, że oddał na mękę i śmierć matkę własną; kiedy potém wysłał siepaczów przeciwko Świtynowi, „którego, jak sam powiada, kochał i szanował jak ojca“ (str. LXVI); kiedy nakoniec dopuścił się morderstwa i na natchnionym z ducha harfiarzu, na nieulęknionym, choć cichym i wiernym i upodobanym Bogu Zoryanie: — wtedy dopiero ukazały się na niebie wreszcie owe znaki ogniste, na które czekał... Właśnie w chwili, kiedy i z dumą tryumfatora i zarazem z rozpaczą sieroty — w poczuciu i władzy żadną nieścieśnionéj granicą, i całéj nędzy swojéj moralnéj — zawołał do towarzyszów:

„Nic niema na niebie!
Ja sam, jak Pan Bóg, będę sądził siebie!

. . . .

Tę noc na ucztę! Jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was zbrodni wykonawców!“
(strofa XXV i XXVI w pieśni III)

w téj dopiero chwili obwieściły mu znaki owe na niebie, że niebo zlękło się o świat i kładzie koniec jego bezprawiom.

Owoż takieto, zdaje mi się, były powody, dla których poeta, pomimo tego że tak idealnie stawił wizerunek bohatera swojego przed wnijściem tegoż w żywot cielesny, dał mu potém przeżyć ten żywot w taki sposób zbrodniczy. Z tego też tylko punktu widzenia daje się wyrozumieć, co w jedném miejscu mówi król-duch o sobie:

„Lecz co dziwniejsza — że tak próchniejący,
Taki upadły i taki zużyty,
Czasem się czułem, jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity...
(strofa LVIII w pieśni II).

Na tensam wykład całego pomysłu naprowadzają wreszcie i wiersze w jednéj z ostatnich strof całego tego rapsodu, w których Popiel powiada:

„Taki był koniec mojego żywota
Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,
Którzy nie doszli, w czém była istota
Czynów? w czém wyższość od rzymskich Herodów?
Nademną była myśl słoneczna — złota!
Do niéj moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto... itd.

Szedł więc przez życie zbrodniami, ale szedł w górę — do ideału i wiódł społeczność swoję w przyszłość. Że najniższe wschody w téj drabinie wiodącéj w górę były „okrwawione i ciemne“, to nie było winą człowieka. Było to wynikiem wieku. Zresztą naród i skądinąd jeszcze potrzebował téj szkoły. Od tegoto dopiero bowiem też czasu zaczęli synowie téj ziemi umieć i żyć i umierać. „Trwoga śmierci“, „miłość życia“ — nawet za cenę, jakiéj to życie nie warto — wymazane zostały od owego

czasu począwszy ze słownika narodowego! Sąto u nas już tylko wyrazy tłómaczone z obcych języków!..

„Idźcie! Już więcéj nie jesteście sługi
Mojéj wściekłości, lecz rycerze twardzi!
Kupiłem naród krwią — i nad jéj strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
(str. XXXIII).

„To też przezemnie ta ojczyzna wzrosła...
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie . . . .
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła
I duch jéj święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe; lecz com ją wycisnął
Pod krwią, tém zawsze zwyciężył, gdy błysnął!“
(str. XL).

Powyższy rapsod był pisany, jak z różnych względów daje się wnosić, w roku 1846. Kiedy wychodził z druku, były już ukończone i dwa dalsze rapsody, czego dowodzą różne skazówki spotykane w dotyczących manuskryptach poety. Ponieważ do ogłoszenia rzeczonych dwóch rapsodów bezpośrednio po ukończeniu takowych nie przychodziło, a autor od pracy dalszéj nad poematem tym nie odrywał się: w prostém tedy następstwie tego bywało nieraz, że niezadowolony późniéj ze sposobu, jak to lub owo w pierwszym rzucie wykonał, w dalszych latach zmieniał często plan poematu całego. Co pociągało za sobą konieczność przerabiania coraz inaczéj części dawniéj już ukończonych.

Nad jednym z dalszych rapsodów (nad tym, który w edycyi mojéj otrzymał nazwę trzeciego) znaleźliśmy w autografie położoną owę odezwę do Polski, którąśmy z zmianą jednego wyrazu zamieścili na czele całego dalszego ciągu Króla-Ducha, t. j. znaleźliśmy takie słowa:

„Polsko! Ofiaruję ci rapsod drugi Króla-Ducha. Pierwszy leciał szybko, jak wiatr błyskawicy — ten się wlecze jak wół, pracowitym krokiem“... itd.

Okoliczność ta upoważnia do wniosku: najprzód, że była ta odezwa widać pisana w chwili, gdzie autor zabierał się już do ogłoszenia i téj przynajmniéj części dzieła swojego, czego późniéj przecież zaniechał; daléj, że było myślą jego naówczas, pozostawić w tece na zawsze i nigdy nie publikować téj pieśni, która w wydaniu naszém dana jest jako rapsod drugi. „Drugim rapsodem“ miało się nazywać opracowanie owéj legendy o Piaście, które stanowi obecnie trzeci rapsod. Tego samego dowodzi i urywek „Planu Króla-Ducha“, dany na końcu lwowskiego tomu IIgo, a niezawodnie napisany w tymże czasie; w tym planie bowiem także nie ma żadnéj wzmianki o tamtéj części poematu.

Z powodu, że mimo tego wszystkiego nawet i w owym znowu czasie nie przyszło do oddania rzeczonéj części dzieła do druku, stało się że i ten kształt rapsodu o Piaście i Ziemowicie podlegał w dalszych latach nowemu znowu przelaniu. I takie koleje przechodziły prawie wszystkie ustępy szczególnego tego w rodzaju swoim utworu. Prawie zawsze autor, jak ze wszystkiego wynika, odkrywał w nich jakieś niedostateczności czy to pod względem wykonania, czy samego nawet pomysłu; i dlatego nieraz całe partye, a jeszcze częściéj mniejsze ustępy wstawiał i przestawiał coraz inaczéj.

W skutek tego autograf Króla-Ducha, w tym stanie, jak go znaleziono po zgonie Słowackiego, przedstawia prawdziwy stos najróżniejszych papierów. Postać tego, co one w sobie mieszczą, jest chaotyczna nad wszelkie wyobrażenie. Są w nich i pierwsze rzuty i wszystkie kolejne przerobienia — bez skazówki, co autor ostatecznie za odrzucone, a co za poprawione uważał. Nie przypuszczając oczywiście poeta, żeby nie miało być dano jemu samemu kiedyś uporządkować tego bezliku dopisów, odmian, poprawek i coraz innych redakcyi, nie widział potrzeby dawać w rękopisie swoim skazówek, po którychby i ktoś drugi potrafił się oryentować w tym labiryncie. Dlatego na jednéj i téjsaméj nieraz karcie są strofy tuż po sobie następujące, lub też pisane obok na marginesie, które mimo to nie mają ze sobą żadnego związku, ale się odnoszą do najrozmaitszych pieśni. W braku zewnętrznych znamion, któreby o tém ostrzegały, że to rzeczy różno-

rodne i niespójne ze sobą, sam sens tylko wewnętrzny daje niekiedy odgadnąć, dokąd z nich która należy.

Wspominam o tém wszystkiém z dwóch przyczyn. Raz dla tego, że mi się zdaje, iż warto jest wiedzieć o tém, z jakąto sumiennością i jak mozolnie prowadził Słowacki pracę, przez którą spodziewał się zostawić narodowi trwałą pamięć po sobie. Powtóre mówię o tém dlatego jeszcze, ponieważ chciałbym wytłómaczyć czytelnikowi „Dalszego ciągu“ Króla-Ducha, dlaczego w wielu miejscach znajduje on tam tak nieszczelne i niezręczne połączenie ustępów, a nieraz i luki całe pomiędzy nimi pozostawione otworem. Nader często było tu prawdziwém niepodobieństwem uczynić zupełnie zadość wszystkim obowiązkom wydawcy. A i to niedostateczne z zadania wywiązanie się, jakie się osięgnąć dało, kosztowało i czasu i trudu nierównie więcéj niżby niejeden przypuszczał. Chodziło bowiem o zestawienie przed sobą wszystkich, po całym papierów stosie rozprószonych, a coraz innych redakcyi każdego poszczególnego ustępu; daléj o wybór téj właśnie wersyi, która się z jakiegobądź powodu najwięcéj ze wszystkich zalecała; a nakoniec o spojenie ze sobą tych wszystkich wybranych cząstek w jeden nierozerwany wątek, bez fałszowania myśli poety i nie pozwalając sobie odmienić ani wyrazu! Gdzie zatém już przez samego autora pozostawione były, że tak powiem, szczerby i wyrwy — do zapełnienia ich późniéj, w chwili ostatecznego wiązania wszystkich szczegółów w całość: tam oczywiście i teraz okazują się próżnie albo przykre przeskoki z jednéj materyi w drugą.

W ciągu tego zajęcia nieraz przypominały mi się domysły filologów o sposobie, jakim do skutku przyjść musiała ostateczna postać Iliady i Odyssei. Ale zadanie Onomakrita było wdzięczniejsze! Mógł on z rozlicznych rapsodyi składać ukończone całości; a nasze dzieło pozostanie na zawsze tylko fragmentem...

Teraz niech mi wolno będzie dołączyć kilka jeszcze uwag z osobna o każdym z rapsodów, stanowiących ogłoszony niedawno temu dopiero Ciąg dalszy poematu.

Rapsod drugi Króla-Ducha obejmuje pieśń tylko jednę. Ma za przedmiot: przedstawić koleje, jakie bohater poematu przechodził wyzuwszy się z ciała Popiela, i podlegając na drugim świecie różnym pokutom i próbom, zanim mu przyszło odrodzić się znowu na ziemi w nowym żywocie. Miał tu poeta przed sobą do zdobycia nieokreślone obszary wyobraźni. W ślady idąc Wirgilego i Danta, mógł był zaludnić te światy zagrobowe całym tłumem typowych istot, niegdyś żyjących na ziemi, a obecnie spłacających winy i zbrodnie żywota. Miał sposobność okazania wszystkich bogactw nieznużonéj i nigdy niewyczerpanéj swojéj fantazyi. Można się było spodziewać w téj części jego utworu tém dramatyczniejszego i fantastyczniejszego obrobienia przedmiotu, że i jemu samemu nie były obce, w dawniejszych przynajmniéj latach, chętki zapuszczania się myślą w te światy Styxem i mogiłą odgraniczone od naszego padołu. *) Z tém wszystkiém nie znajdujemy w rapsodzie tym nic zgoła, coby odpowiadało podobnym oczekiwaniom. Widocznie Słowacki odsunął stanowczo na bok od siebie wszystkie te pokuszenia, które wyzywać mogły do wysileń samę tylko wynalazczą imaginacyą poety. Nie chodziło mu bynajmniéj o zmyślenia, o artystyczne ale dowolne rojenie czegoś, coby tylko bawić mogło czytającego. Chciał jedynie to opowiadać, w co wierzył; i pozostał nawet w téj części poematu wiernym założeniu, jakiemu całe to dzieło swoje poświęcił.

Z téjto przyczyny, ile mi się zdaje, pochodzi, że cały opis cierpień ducha obarczonego winą na drugim świecie i to wszystko, co o pobycie jego tamże autor powiada, zbyte jest zaledwo trzynastu strofami. Są to tylko najogólniejsze i że powiem, ołówkowe rysy obrazu. Cały ostateczny sens rzeczonych 13 strofek, umieszczonych na samém czele rapsodu, mieści się oto w tych kilku wierszach:

O téj krainie żaden duch nie gada,
  A nawet onych mąk pamięć utraca;
Bo pamięć taka, choćby jaka blada,
  Niweczy ciało gorzéj, niźli praca,

---

*)Poema Piasta Dantyszka o Piekle.

Niż nędza, która wnętrzności wyjada,
Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca...
Dla mnie — zniknęło męczarni oblicze
I od świtania w niéj... znów czasy liczę.
(strofa XI).

Począwszy od strofy XIV poczyna się też już opis właśnie owego „świtania w męczarniach". Przysłane zostają do pokutnika naszego dwa duchy, które mu obwieszczają, „że grzechy jego zostały odpuszczone" i że poruczone mu jest do spełnienia wielkie zadanie w przyszłości, zawsze w obrębie jego ojczyzny (strofa XIX). Ponieważ — dla dopełnienia reszty tych wszystkich przejść bolesnych, jakie mu za karę były odmierzone na tamtym świecie — bohater poematu jako duch, a raczéj upior przytomnym, a nawet współdziałającym i na ziemskiéj zdarzeń widowni także być musi przez czasu przeciąg niejaki: zstępuje zatém na ziemię i zjawia się jako widmo Popiela owym 12 wojewodom, którzy rządzili po jego zgonie nad Polską. Widok bezprawi, jakie się działy pod tych dwunastu rządami, i za panowania Popiela II, stanowi właśnie jedno z największych udręczeń téj duszy pokutującéj. Widzi on bowiem, że to wszystko złe dzieje się właśnie pod jego sztandarem, w jego imię, torem tradycyi od niego datujących w narodzie. — Począwszy od strofy 37, świt przebaczenia win jego zaczyna jaśnieć słoneczniéj: losy narodu przechodzą pod zarząd kmiotka owego z Kruszwicy, który sam jeden wtedy w ojczyźnie nosił w sobie owo Słowo narodu, które rozwinąć do zupełnéj pełni i blasku było ostateczném króla-ducha zadaniem. Podług założenia poety, owym Piastem byłto nie kto inny, jak Zoryan, ów prorok i harfiarz spalony przez Popiela na stosie. Duch tensam, tylko — jak się autor wyraża: „na nowéj kwitnący łodydze", t. j. odrodzony w innym żywocie.

Rządy Piasta i najbliższych z jego pokolenia były błogie, kojące rany narodu; ale były bez sławy, bez wielkości, bez rozgłosu. Były to pokorne i tylko potulne tony, wydzielone z téj świetnéj i bogatéj symfonii, która grała całym chórem za czasów Popielowych — mimo okrucieństwa, które jéj harmonią kłóciły. Bez względu na to — choć tak wielce zniżony i stłumiony został

nastrój téj społeczności kierowanéj ręką Piastów: bohater poematu, duchem już uniżony przed Bogiem, dobrze życzy temu rodowi na tron jego powołanemu i zlewa swoje błogosławieństwo na wszystkie hasła i postępki jego, na wszystkie drogi, któremi naród pod jego kierunkiem pójdzie, na całą tę pokorę, jakiéj znamię Piast dopiero na społeczeństwie wyciska; słowem na wszystkie włókna i atomy, składające całe jestestwo ojczyzny. Po ostatniém, po siódmém błogosławieństwie — „spojrzał Pan na ducha tego litośnie“ — i dał mu wreszcie usnąć po wiekowych trudach i mękach. Ten spokój i odpoczynek po strasznéj pracy — to największe szczęście, jakie czasami osięgają duchy wybrane.

„Niech nikt nie myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki — nad spoczynek!“

wyrzekł poeta nasz jeszcze w jednéj ze strof rapsodu piérwszego. Otóż dozwala Bóg teraz i temu znękanemu duchowi zasnąć z uśmiechem i z ciszą w myślach, wcieliwszy całe jestestwo jego w ojczyznę. I tak przeminął znowu wiek cały. Ani czuł bohater pieśni, jak wśród wiekowego tego snu i uśmiechu jego w ojczyźnie — owe zrazu tak czyste miody piastowe już znowu mącić i brudzić się zaczynały. W ciągu czasu, który wszystko niweczy, i te tradycye się więc zużyły! Chata kołodzieja z Kruszwicy, niegdyś nawiedzana przez anioły, „zwolna traciła swoje złote goście“ (strofa LVI). Więc wreszcie niepokój i rwanie się do życia znów króla-ducha zaczyna ogarniać; — i przyszła z wyroków bożych godzina, gdzie czynność jego na ziemi stała się koniecznością. Rodzi się jako człowiek śmiertelny — imię mu teraz Mieczysław I...

Aczkolwiek cały ten pomysł rapsodu — z punktu widzenia poety — dokładnie i z konsekwencyą jest przemyślany: — zaprzeczyć tego jednak nie można, że wrażenie, jakie sprawia na czytelniku, mniéj jest korzystne, aniżeli oczekiwanie, z jakiém go się bierze do ręki. Przeprowadzenie pieśni poprzednich jest szczęśliwsze. Więcéj tam jest ruchu, rozmaitości, zdarzeń przedmiotowych — słowem osnowy. Treść rapsodu drugiego, zamknięta

wyłącznie w subjektywizmie opowiadającéj osoby, sprawia: że ta część poematu wygląda jakoś i mglisto i ubogo. Ta też okoliczność zapewne była jedyną tego przyczyną, że autor w późniejszych latach odrzucił ten rapsod jako nie zasługujący na ogłoszenie; a natomiast postanowił doczepić do rapsodu ogłoszonego drukiem bezpośrednio ten rapsod trzypieśniowy, który w wydaniu lwowskiém zajmuje trzecie miejsce w składzie całego poematu, t. j. powieść wyłącznie za przedmiot swój mającą wspomnienia Piasta. Te kilka wzmianek, które koniecznemi się zdawały o zamogilnych losach bohatera, nieobecnego przez cały ten ciąg czasu na ziemi, miały być w rapsodzie tym rzucone już tylko mimochodem — w ustępach, gdzie się do tego nadarzała sposobność.

Teraz słów jeszcze kilka o waryantach tego rapsodu. Obrobień całkiem odmiennych „Rapsodu IIgo" jest w ogóle trzy. Jedno daliśmy w texcie. Drugie obrobienie dołączyliśmy pomiędzy dodatkami na końcu II tomu dzieł Słowackiego pośmiertnych od strony 343 do 352. To „drugie obrobienie" znalazłem w dwu odrębnych redakcyach, które się jednak w drobniejszych tylko szczegółach różnią od siebie. (Mniéj wykończoną redakcyą i nie doprowadzoną też do samego końca, dałem drukować w Dzienniku lwowskim Literackim Nr. 85 roku 1865, strona 797 i 798). Widoczną rzeczą jest, że podług tego „drugiego" obrobienia, miała to być pieśń dołożona do rapsodu o Piaście jako jego dośpiéw; i rzeczywiście znachodzi się też nad lepszą redakcyą téj waryanty w autografie napis: „Pieśń dopisana", któryto wyraz poeta następnie przekreśliwszy, położył natomiast tytuł: „Dokończenie". — Trzecie nakoniec obrobienie było tylko częściami zaczynane i zawsze urywane wśród pracy: pozostały z niego tylko luźne ustępy, niełączące się w żadną całość. Cały szereg tych oderwanych fragmentów pozostawiłem w rękopisie, wyjąwszy trzy urywki szczególnie godne uwagi, które (na str. 352 — 359) są dołączone do Dodatku tomu IIgo.*)

*) Wszystko z pośmiertnych Słowackiego papierów, co tylko nie mogło znaleść pomieszczenia w tomach przezemnie wydanych, zosta-

Przystępuję teraz do rapsodu o Piaście, który w wydaniu lwowskiém nosi nazwę **Rapsodu trzeciego**. Wykładu wewnętrznéj jego osnowy dać nie zamierzam, raz dlatego że byłbym zmuszony zbyt długo zatrzymywać się w tym rozdziale nad tym jednym Słowackiego utworem; a potém i z przyczyny, że co w tým rapsodzie jest jasne i piękne i wykończone, (a nie brak mu na ustępach skończonéj, posągowéj nieraz piękności): to wyrozumie każdy czytelnik i bez mego komentarza; co zaś jest oczywistą tylko allegoryą mistycznych pojęć, to zbyt jest trudném do tłómaczenia przy zupełnym braku klucza do tych wszystkich symbolicznych wyobrażeń w nim rozwiniętych. Całe np. przedstawienie Pýchy słowiańskiéj, wykradzenie przez nią ducha Ziemowitowi, pobyt jéj i czarodziejstwa przez nią dokonywane na górze Zober, Wodan — są to wszystko figuryczne jakieś pomysły, w które nam niepodobno jest prawie do rdzeni wniknąć — w duchu autora. Mógłbym o tém wprawdzie udzielić moich myśli; nie wiem jednak, czyby podmiotowe moje zdanie o tych ustępach było rzeczą dla kogo pożądanę. Pomijając zatém zupełnie wykład rapsodu trzeciego, poprzestanę na udzieleniu tu kilku tylko szczegółów o stanie, w jakim się ta część Króla-Ducha w papierach pozostałych Słowackiego znalazła, i o liczbie waryantów tego rapsodu.

Rapsod niniejszy znalazł się opracowany niemal całkowicie, a zawsze inaczéj — cztery razy. Jedno obrobienie, na trzy podzielone pieśni, znalazło pomieszczenie w texcie drukowanéj edycyi. (Dodano mu tam jednak początek, jako też i zakończenie, wzięte z innych waryantów. Obacz stronę 201, 206 i 225). — Drugie obrobienie, w jednéj tylko pieśni objęte, ale zawierarające zupełną całość — nie bez wielkich zalet artystycznych — dałem prawie całe między waryantami stanowiącymi Dodatek do tomu II, od str. 360 — 368. (Opuściłem tylko jego początek i koniec, jako mało odmienne od tego, co zostało wzięte do textu. Środek zaś cały rapsodu, będąc i najwięcéj odrębny i wy-

ło za zezwoleniem rodziny poety, złożone w Bibliotece Ossolińskich. **Może kiedyś zrobi kto jeszcze i z tego jaki użytek.**

bornie oddany, odbity jest cały na rzeczonych stronicach). Te dwie redakcye zdają mi się być ostatnie. Wnoszę o tém z tego mianowicie, że „drugie obrobienie“, jak je tutaj nazywam, znalazło się już przepisane na czyste ręką samego autora; przepisywanie „pierwszego“ podobnież było przez niego samego zaczęte, ale już od siódméj zwrotki zastąpił tu poetę w kopiowaniu młody jego przyjaciel Szczęsny F. Ten odpis wspólny obu przyjaciół zdaje się być późniejszym od powyższego; a więc byłaby to redakcya najpóźniejsza ze wszystkich i dlatego też jéjto właśnie dałem pierwszeństwo nad innemi). — Trzecie obrobienie także się dzieli na 3 pieśni, ale w nich i rzecz sama i cały sposób przeprowadzenia takowéj odstępuje najzupełniéj od wszystkich innych redakcyi. (Król-duch wcielony tu jest w Wodana). Obrobienie to w całości dałem oddrukować w lwowskim Dzienniku Literackim r. 1865 Nr. 83—85. Pierwsza zaś pieśń jego, jako najwięcéj wykończona i z różnych względów najbardziéj godna uwagi, znalazła prócz tego jeszcze miejsce i w wydaniu dzieł Słowackiego między waryantami danymi na końcu II tomu, str. 368—379. Ta „trzecia“, jak ją nazywam, redakcya zdaje się być najrychlejszą ze wszystkich. — Czwartém nakoniec obrobieniem możnaby nazwać ten cały bezlik urywkowych ustępów, rozproszonych po różnych częściach całego rękopisu, który zwolna powstawał w ciągu lat kilku. Ustępy te żadnych całości nie stanowią, obejmują jednakże niekiedy po kilka i kilkanaście zwrotek. Z téjto kategoryi waryantów wzięty jest wstęp i zakończenie, doczepione do rapsodu trzeciego, jak takowy wstawiony został do textu.

Tylokrotne przerabianie jednéj i téjsaméj rzeczy wskazuje na szczególną trudność przedmiotu. Stanowiła ją ta okoliczność, że w ogóle rapsod ten w budowie całego poematu zajmuje jakieś wyjątkowe położenie. Podczas gdy zdarzenia w innych rapsodach objęte składają się na żywoty króla-ducha i jako własne jego czyny są też opowiadane zawsze przez niego samego: w tym rapsodzie rzecz jest o Piaście i jego rodzinie, z którą bohater poematu nie tylko nie miał żadnéj wspólności, ale nawet nie żył wtedy na ziemi, kiedy się to wszystko działo... Otóż była tu dla poety trudność w tém, że się nie nastręczała żadna osoba,

któraby była mogła być snadnie użytą za opowiadającą owe piastowe legendy. Włożyć rzecz i tutaj w usta królowi-duchowi — to miało swoje znaczne niedogodności. A dać tę powieść od siebie, jako po prostu od autora — tego Słowacki nie mógł już z téj bardzo prostéj przyczyny, że z założenia całéj niniejszéj kreacyi i z najgłębszéj, posuniętéj u niego do dogmatyzmu wiary, identyfikował osobę własną z bohaterem dzieła swojego i nie w innym sensie przesuwa w niém wątek całych jego dziejów mistycznych, jak że to jest własna jego odwieczna przeszłość, własna jego coraz się powtarzająca palingeneza, aż do obecnego żywota, w którym mu wypadło iścić posłannictwo swoje w roli poety i walczyć z szatanami epoki — na polu myśli, potęgą słowa...*)

Rapsod czwarty, zatytułowany Miecz a Sława, łączy się bezpośrednio z rapsodem drugim, jako jego najwłaściwszy ciąg dalszy. Legenda o Piaście w trzecim rapsodzie rozrywa z pewną niedogodnością tę ścisłą łączność. — W nowym tym rapsodzie daje poeta wizerunek dalszego znowu żywota swojego bohatera. Duch Popiela otrzymawszy przebaczenie od Boga za to wszystko, co zgrzeszył, rodzi się jako człowiek na nowo i zostaje wcielony w osobistość Mieczysława I. Znów tedy prowadzi dalej opatrznościowe swoje nad Polską posłannictwo w osobie panującego. Wartość czterech pieśni, na które się rapsod ten dzieli, nie zawsze ma się do siebie w równym stósunku. Dwie pierwsze pieśni są bez porównania i więcéj wykończone i treściwsze, aniżeli obie ostatnie. Młodość Mieczysława — jego ślepota — postrzyżyny i odzyskanie wzroku prześlicznie to wszystko jest opisane. Z wielkim także wdziękiem przeprowadzona jest opowieść o swadźbie, o przybyciu do Polski i zaślubieniu Dobrawny czeskiéj. Nie bez zalet niepospolitych

---

*) Ktoby się chciał dowodnie o tém przekonać, niech z sobą porówna następujące miejsca w różnych rapsodach Króla-Ducha: W Tomie II strony 202 strofa IV. Strona 204 str. XI. Strona 254 i 255 strofy XXXI—XXXV. Strona 265 str. LXXIV. Str. 268 strofa X. Strona 288 strofa III. Strona 289 strofa IX. Strona 327 strofa VI Strona 337 strofa II i IV. Strona 356 strofa I.

jest i dalszy ustęp, w pieśni trzeciéj, traktujący o rozmaitych wrogach, którzy się równocześnie walą na państwo Mieczysławowe. Ku końcowi pieśni rzeczonéj natchnienie poety słabnie, a raczéj przemaga tam znowu owa mglista mistyczność, gubiąca się w abstrakcyach przyswojonéj doktryny. Widzenie Mieczysława, mające za przedmiot całe dzieje powszechne, nie może zająć czytającego. O ile jest podobném do rozumienia, nie przechodzi granic najzwyczajniejszych wyobrażeń i graniczy prawie z trywialnością. O ile zaś usuwa się z pod możności wykładu, nie może mieć dla nikogo żadnego zgoła znaczenia. Jeszcze gorsze wrażenie sprawia osnowa pieśni czwartéj, w któréj Dobrawna długo i szeroko swoje znowu opowiada wizye Mieczysławowi. Wizye te prawie całkowicie nazwać należy dla czytającego zagadką. A zagadka ta tém więcéj sprawia w tém właśnie miejscu niesmaku, że następuje tuż po ustępie takiejże treści, nuży zatém jednostajnością. Sam koniec pieśni czwartéj ma znowu rzewne strofy i głębokie nieraz pomysły.

Waryantów w granicach i tego rapsodu okazała się liczba niemała, lecz właściwie tylko w zakresie saméj pierwszéj pieśni. Odmiennych opracowań téj pieśni, gdybyśmy z nich takie tylko tutaj liczyli, które przynajmniéj połowę całéj pieśni wynoszą, wykazaćby można s i e d e m. Gdyby zaś zliczyć krótsze odmianki, znachodzące się jako luźne, z kilku tylko złożone strofek urywki, rozrzucone po całym rękopisie: to liczba ta okazałaby się trzy razy większą. Sąto kawałki wielkich niekiedy zalet; odnoszą się to do tego miejsca, to do owego. Różnią się pomiędzy sobą tylko sposobem wyrażenia i w ogóle formą — nigdy zaś rzeczą. Niepodobno z nich jest atoli złożyć całości. Text piérwszéj pieśni, zamieszczony w wydaniu mojém, obejmuje w sobie — o ile się to tylko uczynić dało — zestawienie najlepszych poszczególnych waryantów, jakie tylko się znajdowały w tych tak licznych opracowaniach. — Dalsze pieśni tego rapsodu okazują się już więcéj z pierwszego rzutu. Pieść d r u g a miała tylko w jedném miejscu pierwotnie przez kilka oktaw inne r z e c z y s a m é j przeprowadzenie, które autor potém przekréślił i odmiennymi szczegółami zastąpił. Obie pieśni o s t a t n i e znalazły się w brulionie bez za-

dnych przeróbek i zdają się też być w ogóle zgoła niewykończone. Tak np. koniec pieśni drugiéj i początek trzeciéj traktują w podobny sposób rzecz zupełnie tęsamę; coby być oczywiście nie mogło, gdyby ta część poematu była otrzymała wykończenie należne. Wydawca musiał to wszystko, jak się samo rozumie, wstawiać w text w téj postaci, jak ją w autografie znalazł — choć nie bez świadomości, że niejednemu ustępowi brakuje związku z całością, jasności i ogłady....*)

W **Rapsodzie piątym** spostrzegamy króla-ducha w nowym znowu żywocie. Duch niegdyś Popiela, późniéj Mieczysława, przychodzi na świat i teraz znowu jako władca narodu, powołany do posunięcia przeznaczeń jego o krok daléj ku wytkniętemu ojczyźnie naszéj przez opatrzność celowi. Imię mu teraz Bolesław Śmiały. — Rapsod ten obejmuje pieśni cztéry, nie jest jednakże ukończony. Zdaje się, że rzecz ta zaledwie doprowadzona została do połowy; urywa się bowiem wątek poematu już na wskrzeszeniu z martwych Piotrowina przez Stanisława świętego. Równie też i każda z czterech jego pieśni z osobna wzięta przedstawia tylko pierwszy rzut kompozycyi, któréj zupełnie zbywa na tém, co nazywamy ostatnią ręką. Wnosząc z różnych niewątpliwych skazówek, twierdzić można na pewne, że pisane to wszystko być musiało w ostatnich miesiącach, jeżeli nie tygodniach życia

*) W dalszym ciągu, po powyższym rapsodzie, rozpoczął był Słowacki osobną pieśń, w któréj ukazany w szczegółach być miał bezcielesny byt ducha Mieczysława I od chwili jego zejścia ze świata, a równocześnie z temi pozgonnemi jego dziejami miał być dany i wizerunek rządów i przewag w narodzie polskim syna jego, Bolesława Chrobrego. W tymto rapsodzie miał znaleść pomieszczenie ustęp ów o słupach wbijanych w Dnieprze, który z małemi zmianami obecnie okazuje się doczepiony przy końcu piérwszéj pieśni rapsodu o Bolesławie Śmiałym. Część tę poematu autor dość już daleko był posunął; pomimo tego następnie pomysł jéj cały jednak odrzucił. Zbyt fragmentaryczna pieśni téj postać nie dozwalała udzielić z niéj wyjątków w drukowaném wydaniu. —

poety. *) Śmierć zatém tak wczesna była jedyną tego przyczyną, że cały ten dział poematu pozostał w kształtach istotnie pierwszéj improwizacyi, która zapewne ani już nawet odczytana nie była przez autora, zostawszy w pośpiechu i zamęcie rzuconą tak na papier, jak się zarysowała w pierwszém jego natchnieniu. Stądto znajdujemy w całym tym rapsodzie przy potężnych nieraz ustępach, w porywający opowiedzianych sposób — strofy częstokroć niezwiązane ze sobą, dla niedość zaokrąglonéj budowy zdań bardzo trudne do rozumienia, oddane tokiem zawikłanym, urywkowym i tylko jak przez gazę pomysł poety wydającym na zewnątrz. Pismo nader niewyraźne i wielokrotnie w jedném i témsamém miejscu przemazywane w wszelkich kierunkach — i w wierszach i nad wierszami — przywodziło też niekiedy niemal do rozpaczy wydawcę...

Oczywistym zamiarem Słowackiego było, przeprowadzić w taki sposób cały wątek dziejów ojczystych, przedstawiony jako działanie jednego głównie czynnika, stawionego w tym narodzie na pierwszém zawsze miejscu, albo na tronie, albo na inném skądinąd tak podniosłém w sferze duchowéj stanowisku, że czyny, błędy, grzechy, zbrodnie, zasługi i poświęcenia jego oddziaływały na całe powodzenie społeczeństwa narodowego.

Gdybym miał wyrzéc ogólne zdanie moje o tém całém dziele ostatniém Słowackiego, powiedziałbym: że sądzić je wypada z dwóch odrębnych zgoła punktów widzenia.

Jako wyraz doktryny, jako pomysł oparty na wierze w przechodzenie duszy z jednego ciała w drugie — jest to przypuszczenie, którego trudno uważać za coś więcéj, jak za senne tylko marzenie. Myśl taka sprzeciwia się i wszystkim warownie stoją-

*) W różnych miejscach manuskryptu tego rapsodu znachodzą się między strofami textu wtrącone urywkowe ustępy testamentu Juliusza. Wiadomém jest, że pisał on testament swój krótko dopiero przede śmiercią — już w r. 1849. A zatém w pierwszych miesiącach roku owego mógł też być dopiero i ten rapsod pisany.

cym artykułom wiary naszéj i naczelnym wypadkom wiedzy dzisiejszéj. Solidarność pewna przeszłości z obecnością nie daje się zaprzeczyć, to prawda. Odsłania się ona widocznie w ciągu pokoleń poszczególnych rodów a rodów, odsłania się i w toku powszechnych dziejów, toż w tradycyi narodu. Wnukowie są z dziadami złączeni pewną niewidzialną wstęgą i krwi i dążeń, i cnót i wad. Ale ażeby zrozumieć to wszystko: nie potrzeba do tego takich mistycznych kluczów. Że założenie Słowackiego w tym poemacie miało w sobie coś sprzecznego ze wszystkiém, czego się tylko tknęło, to już i w tém się okazuje, że praca ta poecie od ręki nie szła. Biedził on się z dziełem tém bardzo, przez lata całe — i nie umiał sobie z niém nieraz prawie dać rady. Mimo pozoru dogmatyzmu i wiary, z jaką przedmiot traktował, chwiał on się ciągle w najgłówniejszych pomysłach, a mianowicie co do tego wcielania się duchów w żywoty ludzkie. I tak Piast w jedném opracowaniu był mu wcieleniem ducha Lecha, w innéj redakcyi znów ducha Zoryana (harfiarza), w trzecim wreszcie rzucie (wziętym do textu) niema on z nikim innym wspólności. Podobnie i sam bohater poematu, Król-Duch, to się staje Wodanem (synem Piasta), nim mu wypadło następnie zrodzić się w osobie Mieczysława; to znowu przepędza ów czas w krainie zaświatowéj, nie będąc wcale śmiertelnym przed swojém zrodzeniem się jako Mieczysław I. Widać w tém wszystkiém jedynie czynność excentrycznéj fantazyi, przybierającéj mimo to pozory jakiejś intuicyi proroczéj z uroszczeniami do nieomylności, których nic zgoła nie usprawiedliwia....

Lecz to jest sąd o Królu-Duchu wydany z jednego tylko z dwojga owych stanowisk, o jakich nadmieniłem powyżéj. Obok strony dogmatycznéj, ma kreacya ta także i stronę drugą — artystyczną. Jako przeprowadzenie całego szeregu obrazów, zdjętych z kilkowiekowego żywota Polski, i jako poczet wizerunków najwydatniejszych osobistości w obrębie dziejów i podań naszych — niezaprzeczenie poemat ten miałby wielkie znaczenie, gdyby był dokończony i wykończony. W tym stanie, w jakim pozostał, zaleca on się tylko mistrzowskiém obrobieniem niektó-

rych chwil narodowéj przeszłości, a nadto zmusza nieraz do podziwu i językiem znakomitéj dzielności! Język ten smukły, gibki, zwięzły, a zawsze muszkularny stanowi też główną poematu tego ozdobę. Mógłby on przywieść do zazdrości niejednego z poetów, mających skądinąd prawo liczyć się do celniejszych pisarzy naszych!

Teraz wspomnę o innéj pracy Słowackiego, która o tyle się wiąże z poematem powyższym, że z jego tylko powodu została prawdopodobnie podjętą. Przypada ona albo na czasy, kiedy Juliusz Króla-Ducha zaczynał, albo też właśnie go rozpocząć zamyślał. Mówię o Przekładzie kilku ustępów Iliady. Przepyszny to jest przekład! Jeżelibyśmy mieli kiedykolwiek czytać Homera z oną lubością, z jaką go niegdyś czytali Grecy, albo z jaką my dzisiaj naszego Pana Tadeusza czytamy: to tylko chyba w taki sposób musiałby on być spolszczony. Może w tém przyczyna tego, że Słowacki co do wyrazów szczegółowych wcale się oryginału nie trzymał. Nie przekraczał on wprawdzie nigdy granicy sposobu i nastroju starożytnego. Ale w obrębie rzeczonym raczéj Homera parafrazował, aniżeli przekładał. Z tém wszystkiém co to za wysłowienie! jaka dzielność i dosadność wyrażeń! Wiersz wspaniały, pełen wagi i kolorytu, obfity w zwroty potoczne, a jednak wiejący bohaterską potęgą! Z tych urywków więcéj wyrozumieć się daje, że to pisał człowiek genialny, niżeli z niejednego własnego jego utworu! Nie jestto wprawdzie sposób, w duchu którego życzyćby należało w ogóle, ażeby pisarze nasi spolszczali obce, a zwłaszcza starożytne kreacye. Na téj drodze bowiem bardzo łatwo uronić wszelkie znamiona pierwotnego charakteru oryginału. Ale czytając te Słowackiego ustępy, chętnie każdy, jak sądzę, powie mu: *Tibi soli*! i nie pożałuje, że i w taki sposób choć kilka tylko prób téj prastaréj poezyi ukazano w naszym języku.

Nie sądzę, żeby miał był zamierzać kiedy Słowacki zająć się przekładem całéj Iliady. O Homera pewnie mu tu nie chodziło. Nie tłómaczył go też z oryginału i niewątpliwie ani nawet nie prze-

łożył nic więcéj, jak tylko tyle, ilę się właśnie na tych kilkunastu kartkach po śmierci jego znalazło. Najprawdopodobniéj było to tylko jedno z przygotowawczych studyów do poematu o Królu-Duchu. Chodziło poecie o dobranie sobie najwłaściwszego toku i tonu językowego, a więcéj jeszcze o dobór odpowiedniego przedsięwziętemu dziełu rodzaju wiersza i rytmu. W rękopisie Króla-Ducha znaleźliśmy jako waryanty nieraz całe ustępy, w innych formach wiersza pisane, jak w tych oktawach jedenastozgłoskowych, w jakich ostatecznie najbardziéj lubił wylewać natchnienia swoje Słowacki. Otóż wnosić się godzi, że między innymi przyborami, jakie się robiły przed rozpoczęciem dzieła, rozczytywał on się i w Homerze, tym protoplaście wszystkich epików. A porwany urokiem i pięknością kilku celniejszych ustępów, powtórzył je po swojemu w brzmieniu swojéj mowy ojczystéj. —

— Wszystkie wymienione aż dotąd prace Juliusza, po roku 1842 powstałe, mają to między sobą wspólnego, że nie noszą na sobie wybitnego znamienia czasu. Skądinąd bywa to uważane za piętno wyższych utworów poetyckich, że takowe — bezpośrednio lub pośrednio, potakując albo przecząc—dążnością swoją towarzyszą zazwyczaj chwilowemu usposobieniu społeczeństwa, w łonie którego powstały. Słowacki w latach owych zostawał względem ogółu narodowego w wyjątkowym stósunku. Natchnienia jego płynęły z źródeł sobie tylko właściwych. Doktryna jego nie przystawała wcale do powszechnego poczucia. Płody jego poetyckie téj doby nie mogły tedy mieć związku z potrzebą chwili i jak wnosić można, nie miały też nawet ani przeznaczenia być tak zaraz oddane do rąk narodu. Z drugiéj strony — od czasu wydania Snu Salomei (1844) przestał i kraj już przywięzywać wyższe znaczenie do jego publikacyi. Mało kto wtedy już troszczył się o to, co tam pisze, co wydaje Słowacki. Przesłoniła go od narodu owa gęsta chmura mistyki, w jakiéj utonął...

Wyjątkowo jest jeden tylko wiersz pochodzący z lat owych, a bijący przeważnie tętnem chwili, co go wydała. Była to smutna chwila w niedawnych naszych dziejach — jedna z poprzedniczek klęsk lutowych roku 1846. Przypadkowa okoliczność wyrwa-

ła wtedy poetę naszego z medytacyi, w jakich był zatopiony, i zwróciła uwagę jego na stósunki dnia bieżącego. Spojrzał na nie, źle je pojął — i rzucił kilka strof między otoczenie swoje najbliższe, któreto strofy stały się głosem, posłyszanym doraźnie przez cały naród. Głos ten niestety skompromitował autora. Zaszły niebawem wypadki, które zadały fałsz jego hasłom, jego przestrogom i wróżbom, wygłoszonym z wszelkimi pozorami wieszczego natchnienia...

Ażeby zrozumieć, jak mogło przyjść do napisania owego wiersza przeciwko Krasińskiemu, trzeba się myślą przenieść w ówczesne okoliczności..

W czasie między 1840 a 1846 dochodziła zaciętość w postępowaniu skrajnych stronnictw emigracyjnych najwyższego szczytu swojego. Zaraz w roku 1831 zaczęto sobie wzajemnie wytykać grzechy popełnione w ciągu powstania. Społeczeństwo nasze rozpadło na obozy. Dały się słyszeć zasady, przedtém nigdy tak stanowczo nie wygłaszane. Były one wielkiéj doniosłości na przyszłość; były nie mniéj ważne i co do sądów o całéj dawniejszéj narodowéj przeszłości. Przyzwano bowiem przed siebie blade postaci przodków i zapytano je, że tu użyję słów poety:

„Zaco życie — w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?“...

Analiza taka przeszłości wynikała wprawdzie z kolei rzeczy. Była potrzebna, mogła być użyteczna. Dobrych także owoców można się było spodziewać z tego podniesienia nowych idei, w imię których ożywiło się poczucie ducha narodowego. Niejedna jednostronność, tak w postępkach jak w zamysłach, mogła przez to być usunięta; niejedno uroszczenie na niczém nieoparte mogło teraz być uchylone; niejeden niedostatek w sprawach powszechnych mógł zostać zastąpiony niezużytym i świeżym jeszcze materyałem działania nadal. Lecz jeśli te korzyści miały były być osiągnięte,

to nieodzownym tego warunkiem był jasny i rozumny spokój ducha zapuszczającego się w trud takich robot, a niemniéj też miłość słuszności i prawdy, większa nad miłość swego obozu. Na nieszczęście, cnoty te nie były przymiotem ludzi ówczesnych. Zabrano się do dzieła z zapałem, lecz był chorobliwy to zapał, który przy ciągłych protestacyach ze strony innych obozów aż nadto rychło wyrodził się w namiętność i fanatyzm i teroryzm, prawdziwie godny XVII wieku. Rozbiór przeszłości narodowéj pod wpływem takiego ducha nie wydał żadnych pożądanych owoców. Zaczęto przeszłość krzywdzić — obecność zakłócać — przyszłością grozić. Siła i zacność ducha narodowego ucierpiała na tém wszystkiém nierównie więcéj, aniżeli na stratach materyalnych roku 1831...

Najjaskrawszym i najszaleńszym może wyrazem całéj téj zaciekłości wersalsko-poatierskiéj były dwa dzieła, pod przybraném nazwiskiem Prawdowskiego właśnie wtedy w obiég puszczone. Jedno miało tytuł: „O prawdach żywotnych narodu polskiego." Bruxella, 1844; drugie: Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego" Paryż 1845. Książki te były napisane w celu praktycznym, prowokacyjnym. Ogłaszały zasady, żadnéj wspólności nie mające z nazwami, których brzękiem się zasłaniały. Nie były to bowiem ani prawdy, ani żywotne, ani wreszcie demokratyczne! Był to już raczéj zamach ojcobójstwa względem przeszłości własnéj — akt zerwania wszelkich węzłów tradycyi. Wszelka miłość nazwana tu została słabością, powaga hipokryzyą, umiarkowanie zdradą. Pół narodu wydziedziczano z czci i odtrącano od posługi krajowéj. A wśród tego wszystkiego hałaśliwie zapowiadano, że nadeszła chwila stanowcza, godzina czynu...

Przeciwko takim dążnościom, a przedewszystkiém z powodu obu książek rzeczonych, wystąpił w r. 1845 z Psalmami swymi Krasiński, które wydał pod odpowiedniém sytuacyi nazwiskiem, pod imieniem przybraném Spirydyona Prawdzickiego.

Mówiliśmy już w jednym z rozdziałów poprzedzających o powodach niechęci, jaka wtedy miała miejsce od niejakiego czasu między Krasińskim a Słowackim. Mógł się przyczynić do większego jeszcze zrażenia Słowackiego ku Krasińskiemu i Przedświt, ogłoszony w roku 1843.

Znajduje się tam niejedno, co Słowackiego niepomału zadziwiać mogło w ustach, nie tak dawno jeszcze temu, autora... „Komedyi Nieboskiéj." Stanowisko zajęte przez Krasińskiego w Przedświcie było bardzo bliskie drugiéj skrajnéj ostateczności. Tylko mimowolny nacisk, bardzo zresztą naturalnéj u niego opozycyi przeciw centralizacyjnym jak je wtedy nazywano robotom, mógł tu wieszcza naszego popchnąć aż do wyrzeczenia pomysłów, tak wątpliwéj oto trafności, jak np. następujące:

„Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!

. . . .

„Łaska boża
Nas wegnała w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!"

. . . .

„My umarli pośród świata
Z świętéj do świata miłości!" itp.

. . . .

To są zdania, które niepodobno żeby nie miały się wydawać... bardzo problematycznemi w oczach każdego, komu tylko milsza prawda szczera, choćby bolesna, aniżeli pocieszająca się w biedzie próżność narodowa i miłość własna! —

Słowacki nie należał do żadnego obozu politycznego, i nie miał nigdy w niczém żadnéj wspólności z robotami Centralizacyi. Lecz i w jego przekonaniu było to już niejako dogmatem wiary, że się w narodzie naszym grzeszyło i błądziło dawniéj w niejedném, co na przyszłość koniecznie odmienić, naprawić, powetować należy. Duch przeszłości — a duch przyszłości: były to rzeczy zupełnie różne w oczach poety naszego. A kiedy widział, że téj prawdzie oczywistéj, dziejami kraju naszego, dzisiejszym sta-

nem naszym społecznym tak niewątpliwie popartéj, już nawet i Krasiński zaczyna przeczyć bezwarunkowo: to go to koniecznie musiało drażnić w namiętny sposób i wzbudzać w nim uczucia, jakich się doznaje przy każdém bolesném a niespodzianém rozczarowaniu. Zniechęcony, zgorzkniały — zwątpił od owéj chwili do reszty w niepokalaną czystość natchnień dawnego przyjaciela.

Otóż w takiémto będąc przez cały ciąg czasu owego względem niego usposobieniu, ujrzał w r. 1845 wydane trzy piérwsze Krasińskiego „Psalmy Przyszłości.“ Nie bacząc na to, że autor Psalmów pod niejednym względem odstąpił tu od skrajności stanowiska, chwilowo tylko zajętego w Przedświcie; nie zwróciwszy na to uwagi, że sama np. strofa następująca:

„Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten Jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiekże jaki, z czystém czołem
Krzyknąć może: „jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran?...“

nie rozważywszy mówię, że to samo jedno przyznanie już wystarczało, ażeby każdego przekonać, iż wieszcz ten podniósł się tu natchnieniem na wysokość, któréj nie dosięgają żadne samolubne uprzedzenia stronnicze: nie zrozumiał, nie dostrzegł, nie umiał ocenić Słowacki w Psalmach Przyszłości tego wszystkiego, co w nich rzeczywiście było wieszczego. Uczepił się natomiast wyrazów, które — jak ów wiersz z przyciskiem wyrzeczony w Psalmie miłości: „Hajdamackie rzućcie noże!“ — miały w jego oczach znaczenie protestacyi przeciw katastrofie, do któréj się właśnie gotowano natenczas. Wziął to za objaw wstrętu przeciw wszelkiemu ruchowi, któryby prowadził do przetworzenia danych stósunków. Naprężenia w społeczeństwie, już gotowego w niektórych częściach kraju, Słowacki nie znał. Zamętu fatalnego w umysłach nie przypuszczał. Sprężyn w działaniach gotujących się do czynu nie oceniał. Z wysokości zawrotnéj tych mistycznych

kontemplacyi, w których się od dawnego czasu kołysał, spojrzał na rozterk stronnictw — i nie umiał w nim niczego takiego dostrzéc, coby usprawiedliwiało taką zgrozę u drugiego poety. Dla Słowackiego wszelki ruch w społeczeństwie był pożądany. Wierzył w wszechmoc i w wszechobecność potężnych duchów, spełniających misye swoje za pośrednictwem żyjących osób. Wierzył, że co tylko się stanie i z jakiegokolwiek punktu wyjścia wyniknie, prędzéj czy późniéj zbliży korab wieków do wytkniętego mu portu — mniejsza o to, pod czyim sterem, w imię jakich godeł i nawoływań ta żegluga przez wzburzone fale społeczne będzie odbyta. Słowacki lękał się tylko jednéj rzeczy — martwoty, zastoju, nieruchomości...

Pod wpływem takiegoto więc usposobienia, natychmiast po ukazaniu się Psalmów, napisał z goryczą i z szyderstwem ów wiersz namiętny, wymierzony przeciwko Krasińskiemu, w którym obok najszczytniejszych zalet artyzmu, obok niejednego miejsca napisanego w wielkiém ducha podniesieniu, napotykamy tyle rzeczy jaskrawych i niesprawiedliwych, a w każdym razie... wypowiedzianych nie w porę...

Same okoliczności czasu owego i forma wystąpienia tego przeciw Psalmom Przyszłości sprawiły, że opinia publiczna przyjęła ten głos Juliusza, jako ujęcie się za zaczepionym obozem. Każdy wedle przekonań i usposobień swoich to się z tego cieszył, że się autor Beniowskiego do zastępu „ludzi czynu“ przyłączył, to razem z Przeglądem Poznańskim płód ów z ubolewaniem najżywszém „Herostratowską pieśnią“ nazywał. Tymczasem wiersz obiegał z rąk do rąk w coraz liczniejszych odpisach, do druku bowiem nie był oddany. (Wyjście jego nastąpiło dopiero w r. 1848, a i wtedy nawet bez wiedzy autora).

Niezadługo doszła o nim wiadomość do matki autora. Pani Becu, rozżalona, skwapliwie napisała do syna, karcąc go za to, że przyjaciela zaczepia.

Oto, co jéj odrzekł na to Słowacki:

„Jeżeli mnie zapytasz, czy wart jestem ludzi szacunku i miłości, to Ci z sumieniem odpowiem, iż pracuję ciągle

i krwawo, abym na to oboje zasłużył. Lecz jeżeli będziesz pytać o ten fakt, czy mnie taki a taki człowiek kocha: na to Ci odpowiem, że serca są w ręku Bogu, a ja mogę zasługiwać na nie, a nie mieć ich. Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjacioły. Nikogo nie obrażam. Ale praca moja tysiące ludzi obrazić może. Dla takich to rzeczy mocniéj niż kiedykolwiek boleję nad rozłączeniem naszém. Czas płynął — jam może szedł naprzód prędzéj, niż ludzie idą, niż nawet Ty sądzisz, że iść mogą. Bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel nam jak przeze mgły pokazał." itd.

To było pisane d. 2 lutego 1846 r. Z taką więc pewnością siebie, z taką ufnością w właściwość stanowiska, jakie chcąc nie chcąc był zajął, mówił o tém Słowacki na kilka dni tylko jeszcze przed rzezią galicyjską.

Tych dni kilka upłynęło, i katastrofa nadeszła. Wypadki, jakie z sobą przyniosła, nie były wprawdzie bezpośrednim wynikiem działań stronnictwa, potępionego przez autora trzech Psalmów. Z jakiéjkolwiek jednak strony dany był do tego popęd, jakiekolwiek okoliczności, przez nikogo nieprzewidziane, przyczyniły się do tego, że ten pożar społeczny, w zarodach dawno tlejący, buchnął teraz właśnie żywym płomieniem i tak daleko rozlał niezbrodzone fale krwi i zagłady: — wrażenie pierwsze było zawsze tego rodzaju, że dążność wiersza, o którym tu mówimy, zwróciła się, szczególniéj w pierwszéj chwili, najfatalniéj przeciwko jego autorowi. Lud, tak wysoko postawiony w owéj wieszczéj improwizacyi, zajął rolę zbrodniarza i bratobójcy. Szlachta zajaśniała blaskiem jeśli nie nowéj zasługi, to w każdym razie nowego, a niczém niezasłużonego cierpienia. Jéj losy ukazały się na nowo jako zlane nierozłącznie z losami saméj ojczyzny. Śmiałe, z proroczém uroszczeniem rzeczone twierdzenia poety, jakoby z owéj strony nic nie groziło porządkowi towarzyskiemu, okazały się marzeniem złudném i fałszem! Wszystkie roboty, wszystkie kierunki, przeciwne stanowisku Psalmów Przyszłości, podległy teraz potępieniu nieodzownemu. Krasińskiemu nawet przeciwnicy jego nie mogli teraz już odmawiać smutnéj w tym razie, lecz zawsze chlubnéj i świetnéj nazwy — prawdziwego wieszcza przyszłości.—

Wtedyto wśród upokorzenia, jakiego doznał, pożałował Słowacki wszystkiego, w czém przeciw Krasińskiemu zawinił! Zarzuty, które mu dawniéj robił, rozchwiały się teraz w nicość. Stanął przed jego oczyma Zygmunt — w téj postaci, z tym pociągiem magnetycznéj sympatyi, jak kiedyś dawniéj, jak w Rzymie, „w willi róż“... Nie tyle jeszcze przykro mu było, że napisał ów wiersz przeciwko Psalmom jego zwrócony. Wiersz ten nie był drukowany, nie miał nigdy być ogłoszony; mógł w porę jeszcze zostać stłumionym i może nigdy (tak sobie wtedy tuszył Słowacki) do wiedzy Krasińskiego nie dójdzie. Tém bardziéj zato darować sobie nie mógł ustępów niektórych w Księdzu Marku. Bądź jak bądź, mówiło mu sumienie, że co się źle zrobiło, to naprawić należy.

Wtedyto więc niewątpliwie napisał do Krasińskiego ów list bez daty, który w pierwszym rzucie znaleziono w pozostałych jego papierach i z którego tu przytoczę kilka ustępów. Jak zobaczymy, usprawiedliwiał się w nim Słowacki tylko za Księdza Marka. O drugim zaś wierszu owym nie mówi wcale, choć przypadek dziwny zrządził, że koncept listu tego był pisany właśnie na kartach, mieszczących w sobie pierwszy rzut „Wiersza do autora Trzech Psalmów,“ już to na marginesach, już poprzek pierwszego pisma.*)

> „Dziśiaj był u mnie Gaszyński (taki początek listu). Mówił mi, że w liście Twoim dopytujesz się o mnie. A gdym rzekł, iż sam w ostatnim liście zerwałeś ze mną korespondencyą, żegnając mię:**) obiecał uwiadomić Cię o mojéj przyjaźni. I wyszedł mówiąc, iż za 10 dni list od Ciebie mieć będę.
>
> Postanowiłem ten list Twój uprzedzić; do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jéj. Kochałem Cię, jak dziecko, jak gdybym dzieckiem był, kochałem Ciebie.
>
> Szczerze teraz — Wiem, dlaczego nie piszesz, a sam nie wiem, czy pisać możesz. Jeżeli twój duch stoi na wysokości właściwéj jemu, powinieneś kochać mnie i szanować; jeśliś dotąd cielesny jest z centaura, z orła i z lwa, jako

---

*) Ta jedynie okoliczność ułatwia też właśnie domysł, kiedy list, o którym tu mówimy, mógł być pisany.

**) To się odnosi do zajść pomiędzy nimi w roku 1848.

ów człowiek Platońskiéj republiki, powinieneś jak centaur stratować, jak orzeł wszponić, jak lew rozerwać; a ja powinienem Ci się oprzéć jako Ecce Homo dzisiejszy, to jest ducha wyraziwszy ciałem, nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni. Przed Tobą wszakże, jedynym moim w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha podnosił nieraz i stroił, muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez anioły niebieskie dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Smętnéj więc rzeczy dotknę — tak było:

W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzności, chcąc koniecznie wytłómaczyć się — nie z idei, bo ta tomów i wieków by potrzebowała — ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei: wpadłem bezmyślnie na jedyną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłómaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrałem księdza — a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennéj nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszéj głupocie, podobnie ja aż po napisaniu dramatu obaczyłem wątłość dzieła i boleśniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły.— Po napisaniu więc aż, spostrzegłem się na dwóch rozstajnych drogach, ducha i ciała. Z jednéj strony mówiły duchy: poemat z nas jest, nam potrzebny—jest formą, z któréj będą się rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy duchem świętym nalewali. Jako poemat, zrujnuje sławę twoję u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten u dziewczyny wykradną i przez okulary czytają. Ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, — właśnie dla głupstwa a jakiejś niewinnéj form przezroczystości leje ogień w jéj ducha i zwycięża ją jedną może tajemniczą magnetyczną zgłoską — a kochankowi daje królestwo. Wydaj więc na wiatry list twój — zgub się jako autor — jeżeli co więcéj masz poświęcić, poświęć...

Odpowiedziałem: więcéj poświęcić! sto razy więcéj!...

A one: — „Co?“—

Odpowiedziałem: Jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnéj naturze; jest człowiek, który — jeżeli kiedy o spoczynku i o nagrodzie doczesnéj myślałem, tom sądził, iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskiemi jedna godzina, będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota. — Teraz to wszystko muszę... Co duchy? —

Była godzina, iż zamilkły. A ja sam z własną wolą zostawiony — wybrałem... Wiesz, co wybrałem. Duchów nie było rozkazu — ofiara jest moją własną, ja za nią odpowiadam.

I tak będzie zawsze. — Ile razy mi przyszło między pełną chatą a samotnością i potrzebą wyższą wybierać, zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjście przyjaciela nie dzwonił, a czyniłem co muszę. —

Teraz nawet czynię, co muszę. Bolesne rwanie się tego listu świadczy Ci, — ale Ty jesteś wielki duch boży i jeden z aniołów narodu naszego. Zakrwawiać Ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać — byłoby grzechem przeciwko duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar, ja Ci dopomagam...

Na Boga i wszystkich świętych pańskich! kochać mię możesz, a szanować nawet powinieneś; bo wiesz, iż jako człowiek odpowiadam za pisma moje całą osobą moją ludziom ciała. Ale przed Tobą więcéj, niż to — bo jako duch staję i padam... To wszakże nie dlatego, żebym jako człowiek-duch czuł się winnym, ale przez myśl, iż Ty może — nie rozumiejąc i nie wiedząc, a myśląc o mnie, cierpisz najgorszą z mąk — tłómaczącą się Tobie krzykiem: ach! czemużem go kochał?..

...Bez miłości prawdziwéj nic nie pisz, bo zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym. Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział: nie tylko Ci to z ducha wymazuję, ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwięzujący. Sumieniem wszystko trzeba rozwiązać"... itd.

W takito sposób stósunki życzliwsze znowu się rozpoczęły pomiędzy nimi. Krasiński odpowiedział uprzejmie i rękę sobie podaną ścisnął. Do któregoś z przyjaciół swoich tak się wtedy o tym kroku Słowackiego i o nim samym wyraził.

..."Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu. Najwyższe tam prawdy dziki stan przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W téj bójce między życiem a śmiercią świata, nie dziw, że dziwy się rodzą"...*)

Sam zaś Słowacki tyle matce o tém pojednaniu donosił:

---

*) Do kogo i kiedy to było pisane, nie wiem. Biorę to bowiem z drukowanego zbioru korespondencyi Krasińskiego. Tyle tylko tam powiedziano, że list był datowany z Nicei w r. 1846.

... „Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni i mam czułe listy od niego. Mówię o Zygmuncie. Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić... teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i cząstką mego szczęścia szczęśliwi"... (z listu z d. ? sierpnia — 1846).

To wyrównanie osobistych niesnasek nie mogło oczywiście oszczędzić Słowackiemu goryczy, jakiéj doznać musiał, kiedy we dwa lata późniéj (w r. 1848) ujrzał ogłoszone dwa nowe Psalmy Przyszłości, a w piérwszym z nich, w „Psalmie Żalu", znalazł zwróconą przeciwko sobie, surową, choć poważną i ze wszech miar sprawiedliwą odprawę.

Więcéj jeszcze przykrości sprawić mu musiała niedyskretność lipskiéj Księgarni Zagranicznéj. Bez woli i nawet bez wiedzy autora, pozwoliła ona sobie w tymże czasie wydrukować wiersz ów jego przeciwko Krasińskiemu, i to jeszcze na domiar złego z niezliczoną ilością błędów, przekręconych wyrazów, koszlawych rymów i tym podobnych odmian pierwotnego textu, bałamutnych przełożeń całych ustępów poematu na takie miejsca, do których nie należały, przeistoczeń nawet myśli poety w najfatalniejszy sposób — słowem z bezlikiem bezsensów wszelkiego rodzaju, odbierających wierszowi temu całą wewnętrzną wartość. Małéj téj broszurce, bezimiennie w świat puszczonéj, dano napis:

Do Autora Trzech Psalmów przez *** Lipsk, nakładem Księgarni Zagranicznéj. 1848. 12°, str. 20.

W téjże postaci odbito rzecz tę powtórnie w r. 1861 na samym końcu cztérotomowego zbioru dawniejszych dzieł Słowackiego, któryto zbiór Brockhaus w Lipsku, bez niczyjego upoważnienia, a zatém w nieprawy sposób, sobie tylko samemu zyski z tego zagarniając, a nibyto chęcią przysłużenia się literaturze polskiéj powodowany i stąd prawa do wdzięczności nawet narodu naszego sobie roszczący, z niepospolitém co do poprawności textu niedbalstwem ogłosić nie wahał i nie wstydził się... Dopiero lwowskie wydanie Pism pośmiertnych, z polecenia krewnych

i spadkobierców poety dokonane, przyniosło wiersz rzeczony w autentycznym i prawdziwym układzie. *)

*) Z powodu mylnych szczegółów o przyjściu do skutku owego wydania „Wiersza do autora trzech Psalmów" z roku 1848, udzielonych przez pana Cypryana Norwida w bujnie ułożoném choć drobném pisemku jego „O Juliuszu Słowackim," widzę się tu w konieczności dopisać, co następuje:

Pan Norwid podaje wiadomość, jakobyśmy to publiczne ogłoszenia wiersza, o którym mówimy, zawdzięczać mieli p. Edmundowi Chojeckiemu. Pan Chojecki miał być razu pewnego z wizytą u Słowackiego i trafił właśnie na taką chwilę, w któréj poeta rzucał w płomień płód ten swojéj gorączkowéj fantazyi. Wyrwał tedy z ognia co prędzéj p. Ch. rękopis na zagładę wskazany i wziąwszy go do siebie, kazał go niedługo potém przy zdarzonéj sposobności w Lipsku oddać do druku.

— Daruje mi szanowny autor, że się ośmielę powiedzieć mu otwarcie, iż snać zażartował sobie ktoś z niego, udzielając mu do dzieła jego tę prawdziwie mytycznéj wiarogodności bajeczkę. Gdyby publikacya lipska była przyszła do skutku w taki sposób, jak tu podano: to oczywiście byłaby ona tak odbita w druku, jaki był rękopis, a rękopis nie byłby mógł być pofałszowany, skoro miał pochodzić z rąk bezpośrednich samego poety! Tymczasem niech tylko kto porówna wiersz rzeczony w tym autentycznym kształcie, jak go ukazuje wydanie lwowskie z r. 1866, z bałamutną jego redakcyą w edycyi lipskiéj: a przekona się, że wyrazów i nawet zdań całych jak najbezmyślniéj poprzekręcanych jest w redakcyi téj przynajmniéj tyle, ile w utworze całym jest wierszy; nie mówiąc już nic o całkowitych ustępach albo zupełnie wypuszczonych, albo też danych w kolei niewłaściwéj, to jest takiéj, że co miało nastąpić późniéj, idzie naprzód, a co miało dane być pierwéj, następuje gdzieś o kilka dopiero stronic zapóźno. Takiego nieładu nie mogło oczywiście być w manuskrypcie owym wrzuconym w ogień. Jeśli to był odpis na czyste, to nieładu w nim być nie mogło tém bardziéj. Jeżeliby to zaś miał być brulion: to go mam właśnie przed sobą; gdyż manuskrypt, z którego oddrukowano wiersz ten w mojém wydaniu, jestto właśnie dopiero pierwszy rzut jego, z licznemi wprawdzie mazaninami i poprawkami po różnych miejscach, ale bez tych pomyłek, które wytykam — i bez żadnych też śladów... płomienia, z którego miał rękopis ten być wydobyty przez p. Chojeckiego.

Ja mam z ust wiarogodnych zupełnie inną wiadomość o dziejach wydania tego z r. 1848. Manuskrypt, z którego je zrobiono, przywiozła do Księstwa Poznańskiego z Paryża pani Łubieńska, autorka powieści Niedowiarek — otrzymawszy go tamże od Mickiewicza,

-- Oprócz powyższych utworów poetyckich, napisał też Słowacki i wydał w owym czasie dwie broszury prozą, treści poniekąd politycznéj. Jednę z nich t. j. list „Do Księcia A.“ (Czartoryskiego) zamieściłem w wydaniu Pism pośmiertnych w tomie Iszym. — Rzecz ta wyszła bezimiennie — w Paryżu — bez oznaczenia roku, w którym została wydana. Że jednak wynikła z pióra naszego poety, jest rzeczą pewną w obec notat i rachunkowych jego zapisków, w których o téj publikacyi jako swojéj wspomina. Drukowána ona była na samym początku roku 1846, co także z rzeczonych notat wynika. Powód, dla którego została napisana, nie jest mi wiadomy.

O exystencyi drugiéj broszury mam wiadomość tylko ze wspomnianych co dopiero jego zapisków, w których zanotował Słowacki, że ją wydał i także w owym roku. Má mieć ta broszura napis: „O potrzebie Idei“. Mnie się z nią dotychczas nigdzie spotkać nie zdarzyło.

Natomiast zrobić tu muszę uwagę, że są też niektóre rzeczy, przypisywane naszemu poecie, które nie pochodziły od niego. I tak wyszedł w Lesznie, w roku 1852, pod jego jakby imienia i nazwiska literami początkowemi, utwor prozą:

„Sen, pieśń z niedokończonego poematu, wyjęta z pozostałych rękopismów po ś. p. J. S“. — Że to

---

któremu, jak widać, musiał rzecz tę przynieść ktoś trzeci, i to oczywiście ktoś taki, który ją spisał sobie tylko z pamięci, a z pamięci lichéj i słabéj — nie zaś z rękopisu bezpośrednio pochodzącego z pracowni autora. Od pani Ł. dostał odpisu tego wiersza młody naówczas literat poznański Rychard B., któremu utwor ten do tego stopnia się podobał, że w nim bezsensów nie dostrzegał i nie miał miru, dopókiby się nim nie podzielił z całą publicznością. Przez pośrednictwo jednego z posłów wielkopolskich, na osławiony Sejm niemiecki do Frankfurtu właśnie wtedy jechać zmuszonych, potrafił p. B. przeprowadzić wiersz ów przez zagraniczną prasę — w Lipsku. Słowacki dowiedział się późniéj o tém, kto bezpośrednio spowodował ten krok zupełnie widokom jego przeciwny. Były o to niemiłe i cierpkie bardzo korespondencye między Paryżem a Poznaniem! Ale co się stało, nie mogło już być odrobione.

jest dzieło Z. Krasińskiego, to dziś już pewnie jest powszechnie wiadomém.

Oprócz tego pojawiły się bezimiennie, jeszcze w r. 1845 w Paryżu, dwa arcy niemądre i nietrzeźwe wyroby rymotwórcze, jak się zdaje, oba jednego wierszoklety, które w niepojęty dla mnie sposób Przegląd Poznański (r. 1845, IV, str. 390 i n.) czasu owego przysądził Słowackiemu w wyrazach tak stanowczych, jakby już żadnéj co do tego nie było wątpliwości. Tytuł tych niezdarnych robót jest taki:

„Dwa Akty". Paryż 1845. *)

„Szymon Konarski, poema dramatyczne. Obraz I: Śmierć X. Trynkowskiego". Paryż 1845.

Mogę z całą pewnością wyrzéc twierdzenie, że z temi ramotami Słowacki nie miał nic do czynienia. Nie pisał ich, i nie mógł ich pisać; co też każdy zrozumie, kto tylko je z zastanowieniem przeczyta.

---

*) Nie wiem, czy nie do téjto publikacyi robi Słowacki alluzyą w wierszyku danym na str. 92 tomu Igo mego wydania.

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczęsny F. — Wiosna r. 1848 — „Konfederacya" — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Usposobienie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicyi na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament". —

Przechodzę w tym ostatnim dzieła mego rozdziale do potocznego życiorysu poety i chciałbym w nim zamknąć wizerunek tych wszystkich zdarzeń z ostatnich chwil jego życia, które w nim ukazują nie już pisarza, ale człowieka. Zdarzeń takich wprawdzie nie potrafię wiele wymienić. Słowacki w latach owych nie miał prawie wcale téj potocznéj strony żywota. Żył głównie myślą, mniéj ciałem — i więcéj z Bogiem niż z ludźmi...

Cóż Ci mam donieść o sobie? (pisał był do matki jeszcze w r. 1845, d. 15 października). Moje oczy, zupełnie od świata oderwane, a daleko gdzieś zwrócone—moje uszy, ciągle wielkich powiewów bożych i głosów dosłuchujące się, nie widziały i nie słyszały nic domowego. Z téj strony prawie człowiek nie jestem"...

..."Ty wiesz, ja ogień chodzący, ja niegdyś dziecko niepohamowane — teraz żyję, jak gdyby we mnie nic ludzkiego nie było — ani krwi — ani żądzy — ani chęci — ani zawrzenia — ani wybuchu. Uśmiechać mi się nawet z ludzi niewolno. Trzeba wszystko zrozumieć — przyjąć — ukochać — ożywić — przemienić... i Bogu na ziemi pokazać pracę Anielską"... (z listu z d. 14 grudnia 1846).

... „Droga Matko moja! Zmieniła się moja natura. Jako ciało, ani z rozkoszy żadnéj ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć. Spróbowałem tego ostatniego rwaniem okropném zęba. Uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczeć mi się nie chciało — tylko dla ostrzeżenia dentysty z uśmiechem wnętrznym krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne. Z dwóch potraw jem obiad, a często taki, że np. kilka dni temu, byfsztyk był z piaskiem, a ryba nieświeża — więc obiadem mi była filiżanka rosołu i kawałek chleba i piwo. Obiad zaś taki 5 złotych mię kosztuje, bo go jem u siebie; bo wolę nic nie jeść, albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać włócząc go po publicznych traktyerniach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mięszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czém gorszém... (z listu z d. 22 stycznia 1848).

Pod wpływem takiego usposobienia płynęło Słowackiemu życie w czasie tym zmienionéj (jak się wyrażał) jego natury, jednostajnie i prawie bym powiedział ascetycznie. Zapełniał je tylko pracą. Rozmyślał, rozpamiętywał, czytał bardzo wiele i w najrozmaitszych przedmiotach. Rzeczywistego pożytku ten pracowity tryb życia jednak nie sprawiał. Cała praca bowiem odbywała się w zaklętém kole doktryny, która wszystko, czego się tylko tknął Słowacki, przemieniała w mistykę.

Tę jednostajność pożycia urozmaicały tylko coroczne wyjazdy do wód morskich, które weszły w stały zwyczaj u Słowackiego począwszy od roku 1843. Za nadejściem miesiąca sierpnia opuszczał zazwyczaj hałaśliwe mury stolicy i wyruszał do Pornic, małéj mieściny położonéj nad samym Atlantykiem. Ocean był szczególniéj sympatyczny dla niego.

„Między tém morzem a mną, powiadał, jest tajemniczy jakiś związek, sympatya — i ta musi być prawdziwa; albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacyi czytając Walterszkotowego Pirata, to jest szare, skaliste, okryte chwastami,— natura obca ale znajoma, bo widziana kiedyś przeczuciem, zapragniona sercem — a wśród téj natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały... Czasem motylek,

za którym biegałem nad Wilenką — zupełnie taki sam, a gdym go obejrzał, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana... Czasem pliszka nad morzém, zupełnie do téj podobna, do któréj niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem — słowem nigdzie od wspomnień uciéc nie można, nigdzie od łez i tęsknoty... A ta cała natura — gdybyś Ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna! otoczyła mię skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia... Jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myślom oddawał, a o niéj zapomniał; jak zabraniała myśléć o trudzie, o ciągnieniu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy“... (z listu z d. 2 Października 1843).

Drugą rzeczą, która umilała poecie życie, były to stósunki jego już to utrzymywane listownie, już osobiste z przyjaciołmi. Jak zawsze, tak i pod koniec życia nie wielu on ich liczył. Jedną z osób, zajmujących niepoślednie miejsce w tém szczupłém gronie osób kochanych przez Słowackiego, był p. Wojciech Korneli Stattler, znany zaszczytnie malarz i profesor niegdyś krakowski. Poznali i zaprzyjaźnili się oni ze sobą jeszcze we Włoszech. Potém znajomość ta zrobiła się jeszcze ściślejszą, kiedy Stattler w r. 1843 odwiedził Paryż. Od owego czasu korespondowali ze sobą. Śladem téj serdecznéj życzliwości pomiędzy nimi jest kilka listów Juliusza pisanych między 1844 a 1848 do p. Stattlera, których odpis — dzięki uprzejmości tego znakomitego artysty — posiadam. Jest ich wszystkich sześć. Szczególniéj zajmującym i charakterystycznym jest list z porządku trzeci. Pisał go Słowacki właściwie nie do samego artysty, lecz nibyto do syna jego, który mu się wtedy właśnie narodził i któremu w dowód i na pamiątkę téj przyjaźni ojca z poetą naszym, dano na chrzcie także imię Juliusz.

Ścisłe także i bardzo przyjacielskie były stósunki Słowackiego z naszym K. Ujejskim, a to począwszy od r. 1847, w którym ten znakomity, choć wtedy dopiero poczynający poeta spędził miesięcy kilka w stolicy Francyi. W owymto czasie napisany był do niego ów wiersz prześliczny Juliusza, któryśmy wcielili do zbioru lirycznych jego poezyi. Korespondowali ze sobą i w późniejszych latach.

Równie dobrze położonym w sercu Słowackiego był także Ludwik Norwid rzeźbiarz. Zbliżała ich do siebie równość dążeń, wyobrażeń i jak sądzę należenie do jednéj i téjsaméj frakcyi w kole niegdyś zawiązaném przez Towiańskiego. O téj ścisłości stósunków z Norwidem świadczą dwa wiersze liryczne do niego napisane, które są zamieszczone w tomie Iszym Pism wydania lwowskiego.*)

Nikt jednakże podobno nie byłby się mógł w latach owych poszczycić takiém serdeczném przywiązaniem i zaufaniem ze strony Słowackiego, jak Szczęsny Feliński, obecnie Arcybiskup warszawski—w owym czasie świeckiego jeszcze stanu. Liczył on wtedy lat dopiero około 24. Przybył do Paryża z końcem roku 1847, w zamiarze ukończenia tu nauk. Uczęszczał do Sorbony i do Collège de France, bywając przedewszystkiém na kursach historyi i filozofii. Poznał się ze Słowackim na początku r. 1848. Wysoki wtedy nastrój ducha Juliusza — życie surowe, wyłącznie poświęcone jednéj, w celu ostatecznym tak szlachetnéj dążności — i marząca exaltacya takie sprawiły wrażenie na tym młodym umyśle, że przylgnął do niego całém sercem i duszą. Od owego czasu aż do ostatniéj godziny życia był już Szczęsny najmilszym powiernikiem i nieodstępnym poety towarzyszem. Niejedno dzieło jego z pomiędzy wydanych w zeszłym dopiero roku znalazłem przepisane ręką Szczęsnego, pod bezpośrednim nadzorem autora. Niejeden pomysł wykonać się mającego utworu przemarzyli oni tam pewnie obydwaj wspólnie. W listach Słowackiego do matki często bardzo dają się spotykać wzmianki o tym młodym człowieku, będące wymowném tego świadectwem, ile on go musiał kochać i cenić.

„Szczęsny jest ze mną (pisał do niéj np. d. 28 marca 1848 r.) Jest on czystym brylantem i skarbem moim. Prawdziwie mi takiego potrzeba było“...

... „Ukochany to jest chłopiec — już z chłopca człowiek! Wszyscy go tu ukochali szanując — postępki jego anielskie — wiedza rozkwitająca — stanie się kiedyś chwałą naszą“... (z listu z dnia 25 sierpnia 1848).

---

*) Przez pomyłkę dano im tam napis: „Do L. Nabielaka“. W rękopisie były tylko litery: Do L. N., co źle na razie zrozumiano. Nabielaka wtedy nie było wcale w Paryżu.

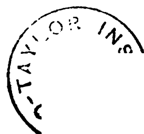
Zresztą należało i w tym czasu okresie do najgorętszych życzeń Słowackiego — równie jak w pierwszych latach jego pobytu na emigracyi, ażeby się zobaczyć kiedyś z matką kochaną, choćby raz jeszcze w życiu. Zaraz po powrocie z podróży jego wschodniéj — było to ich obojga ciągłém marzeniem. Były w tym widoku robione w różnych latach różne projekta. To się zjechać mieli gdzie we Włoszech, to w Dreźnie, to w innych miejscach. Zawsze jednak aż do téj chwili zamiarom tym stawały w drodze jakieś nieprzezwyciężone przeszkody. W ostatnich miesiącach roku 1847 zapadło wreszcie przedsięwzięcie stanowcze, że się zjechać mieli oboje za nadejściem przyszłéj wiosny w Karlsbadzie.

...„Od wczoraj (pisał d. 2 grudnia 1847 r.) przedsięwziąłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Karlsbadu. Na wiosnę więc spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą zjedziemy się tam gdzie Ty zechcesz, i czas jakiś ze sobą pomieszkamy... O! gdyby nie ten kraj, w którym się znajdujesz, a którykolwiek inny! Jużbyś mię dawno widziała wysiadającego z dyliżansu. Bo ja tensam, który niegdyś — słysząc żeś Ty chora, we dwa dni przyleciałem do Ciebie i w nocy zastukałem do furtki — i u babuni na sienniku ranka doczekałem. Pamiętasz?.. Zimę tę więc, miłą oczekiwaniem wiosny, łatwiéj niż inne zimy przebędę“...

Upłynęło od czasu owego listu półtrzecia miesiąca. Zbliżała się wiosna, pamiętna wiosna 1848! Ani syn, ani matka nie przewidywali wypadków, jakie ta wiosna złudna i rychła — pod każdym względem przedwczesna — przynieść miała ze sobą. Projekt powzięty stał niewzruszenie.

...„Wiosna się zbliża — spodziewam się, że w Kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Wielkiego mizeraka syna oddam Ci, zamiast tego, któregoś Ty na świat wysłała — który był dumny i niezupełnie godny Twojéj miłości. Zobaczysz droga moja, że ze mną teraz spokojniéj czas płynie, a domek, który ja zamieszkam, cichszy jest, niż inne... Ufam, że mi to lato z Tobą w części spędzone sił doda; bo mówię Ci, żem smutny. A ta zima bardzo mi złą była. Nie mam nic, w czémby mi teraz ludzie pomogli“...

To było pisane d. 13 lutego r. 1848.



W jedenaście dni po tym liście, zaszły wydarzenia paryskie. Ludwik Filip zniknął z stolicy. Lud paryski na placu Bastylii spalił tron króla episyerów. Dały się słyszeć okrzyki: wolność, równość, braterstwo! Rzeczpospolita zajęła miejsce dawniejszego porządku rzeczy. Na barykadach stanęły masy, z bronią w ręku i wyzywając do walki, co jeszcze wczoraj było potęgą. Za przykładem Paryża poszły niebawem i inne stolice: Neapol, Rzym, Wiedeń, Berlin. Zdawało się, że się postać Europy przekształca...

Już w dniu 20 Marca rozpoczęły się ruchy w Poznańskiém. We wszystkich sercach, pragnących odmian, zaświtała nie już nadzieja, ale pewność pożądanéj przyszłości.

U Słowackiego myśl zobaczenia i połączenia się z matką zaczęła się od téj chwili malować w żywszych kolorach. Przyczyniało się do tego niemało i przeniesienie się około tegoż czasu całéj jego rodziny z Wołynia do Galicyi w okolice Lwowa. Tytułem spadku po dalekiéj krewnéj, która właśnie w latach owych zeszła ze świata, wzięli pp. Januszewscy i p. Becu w posiadanie wieś Ubień, położoną pod Jaryczowem. Więc już teraz mógł się Juliusz spodziewać, że nic nie przeszkodzi jego życzeniu, ażeby się złączyć ze swymi.

„Oto może wkrótce (pisał d. 28 marca) już nie tylko zjadę się z Tobą, droga moja, ale połączę się z Tobą dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów...

...„Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę — każdy dzień zmienia moje położenie i kierunek nowy moim czynnościom nadaje. Choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mię jednak ku Tobie przybliża.

„Cudowna to dla mnie wiosna! Może pączki, które się na drzewach w wioseczce Teofila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego rodzinnego będą nasycone i napełnione. Może Hersylia kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mię w progu chateczki swojéj. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie! Wspólnie pracować będziemy — byle nowéj matce naszéj nie być ciężarem. — Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno"!..

Wzmianka w powyższym liście o obowiązkach i trudach, od których nie sądził Słowacki żeby mu się godziło uważać za zwolnionego, nawet pomimo tego co zaszło, powoduje mnie do dołączenia tu słów kilku, celem wyjaśnienia, jakiéj natury były zajęcia jego w tym czasie. Brał on wtedy czynny udział wśród nowego, gwarliwego, namiętnościami i zapałem kipiącego życia Emigracyi nagromadzonéj w Paryżu. Wystąpienia jego nosiły oczywiście zawsze piętno owéj idealnéj, lecz niepraktycznéj dążności, w jakiéj raz na zawsze się zawarł. Choćby projekta jego i zostały były przyjęte, choćby rady jego były i najpomyślniéj w czyn zamienione: skutek działań i wtedy byłby się okazał taki sam, jaki nastąpił. Ale poecie się zdawało, że od formy, że od godła, od nazwy — zależą nieobliczonéj doniosłości następstwa.

Dnia 19 marca zebrała się pewna ilość pozostałych jeszcze wtedy w Paryżu Polaków i zamierzała zawiązać klub narodowy. Słowacki stanął pomiędzy nimi i przemówił przeciw wszelkim formom zagranicznym, jako nieprowadzącym do celu. Natomiast przedłożył obecnym projekt zawiązania raczéj Konfederacyi, gdyż taka tylko forma odpowiada duchowi społeczeństwa naszego i posłużyć może za model dalszéj organizacyi na wielką skalę, w samychże granicach kraju. — „Albowiem — mówił im — w formowaniu kryształu pierwszy atom i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, zachowuje już ten kształt i tę formę, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno i wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości... Pamiętajcie, że formy nasze dawne — są to żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały“... Z tego textu była powiedziana cała ta mowa, która też następnie i wyszła z druku w osobnéj broszurce pod tytułem:

Głos brata Juliusza Słowackiego do zgromadzonych i w Klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowéj formy konfederacyjnéj. (19 marca 1848 r.) bez karty tytułowéj, 8° stron 8.

O dalszych losach tego projektu podał niedawno temu, w jedném z pism lwowskich czasowych, przy ubocznéj okoliczności, bezimienny pewien świadek naoczny rzeczonéj sceny, wiadomość w następujących wyrazach:

„Każdy z obecnych drgnął duchem do słów Juliusza i zapalił się myślą do rzeczy, która wzbudzała pamięć wielkich poświęceń i świetnych czynów barskich konfederatów — i pod takiém wrażeniem rozeszliśmy się z tego zebrania.

„Zimniejszy atoli pogląd na sprawę naszę i zbadanie ogólnego usposobienia emigracyi, która już wtedy rozbita niemal na atomy, szumiała tylko bezładną burzą — przekonanie, że myśl zawiązania konfederacyi, potrzebująca organizacyjnych pierwiastków, nie zdoła się już przyjąć wśród anarchicznych żywiołów i usposobień — to wszystko zebrane razem, ochłodziło wkrótce zagrzane dusze Juliusza słowami, i uznano niepodobieństwo przeprowadzenia konfederackich form...

„Lodowe jednak głosy rozwagi nie zdołały przecież ziębić ognistéj Słowackiego fantazyi. Mimo nich spróbował on urzeczywistnienia swego pomysłu, a zebrawszy się w ściślejszém kółku z czterema bezwzględnymi zwolennikami konfederackiéj idei, którzy gorąco a bez obejrzenia się na okół do niéj przylgnęli — akt konfederacyi spisali i wraz z odezwą ogłosili go drukiém...

„Że zaś ten mały zawiązek konfederacki w Paryżu nie miał dalszéj przyszłości: więc dla rozwinięcia jego, postanowił Słowacki szukać punktu oparcia na ziemi wielkopolskiéj, gdzie już w formujących się obozach wrzało do walki.“ itd.

Owoż takito był powód, że nie do matki, jakbyśmy może oczekiwali, pospieszył Juliusz niedługo potém z Paryża, ale w Poznańskie. Przybył do Poznania około 10 kwietnia. Znalazł gościnne przyjęcie, na cały czas pobytu swego w tém mieście, w domu pp. Bukowieckich. Były to już dni natenczas, gdzie się nadzieje wielkopolskie zaczynały mieć ku schyłkowi. Zjechał był właśnie do Księstwa generał pruski Willisen, jako rozjemca królewski między obozami powstańców a wojskiem pruskiém. Komitet narodowy działać, a przynajmniéj kierować sprawą już przę-

stał. Przystępywano właśnie do ułożenia tak zwanéj jarosławieckiéj konwencyi. Krwawe, rozpaczliwe potyczki pod Książem, Miłosławiem i Wrześnią miały niezadługo nastąpić i można je było już wtedy przewidywać. W takich okolicznościach — samo się rozumie, że o konfederackim projekcie trudno już było myśleć marzycielowi naszemu. To też bawił ciągle w Poznaniu mało gdzie z domu wychodząc, mało komu się udzielając, ile że i siły jego bardzo już były nadwątlone w tym czasie, choć téj myśli o niknącém zdrowiu swojém nigdy nie lubił przypuszczać. Oczekiwania jego okazały się zawiedzione z wielu względów. Nie tracił jednak jeszcze nadziei. Jeszcze d. 24 kwietnia pisał oto do matki w wyrazach dających wnosić, z jaką otuchą spoglądał w przyszłość.

„Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewne, odbierając ten list z Poznania. Ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina; że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach... Jestem tu na gościnie, w domu jakby rodzinnym przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo mi tu wypadnie zabawić, a Ty najdroższa wiesz, że dłużéj niż potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę spieszył i kierował się tak, abym jak najprędzéj u Ciebie stanął. O! jakże spragniony jestem tego łóżka, które mi Ty sporządzić każesz, gdzie się położę jako z długiéj pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec. Jak blisko ta chwila? nie wiem, bo mam obowiązki, od których tylko sam Bóg uwolnić mnie może. Wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione... Wkrótce jednak spodziewam się czuć rękę Twoję na głowie mojéj. Wesela się spodziewam i radości w domu Waszym.“ itd.

W dniu 29 kwietnia, nazajutrz potém i w dniu 2 maja zaszły bitwy decydujące w miejscach powyżéj wymienionych. W tychże dniach rozwiązał się komitet narodowy poznański. Partyzanckie oddziały po różnych punktach Księstwa staczały — każdy na własną rękę — utarczki z pojedynczemi komendami wojsk pruskich. Już w pierwszych dniach maja miały miejsce sceny takie, jak w Stęszewie, w Buku i Kcyni. Mierosławski zdał dowództwo nad obozami w inne ręce i ...„ulotnił się“ z pola działania. Z Berlina przybył z nieograniczoném pełnomocnictwem, a gro-

źnem względem prowincyi usposobieniem gen. Pfuel. Ogłoszono prawo doraźne. Rozpoczęły się aresztowania na wielką skalę. Pobyt w Poznaniu osób takich, jak Słowacki, stawał się z dniem każdym coraz mniéj pewnym...

Wtedy też on — po całomiesięcznéj bytności w stolicy Księstwa — opuścił Poznańskie i przeniósł się do Wrocławia. (Najął tam sobie mieszkanie na Neue Schweidnitzer Strasse No 3, na drugiém piętrze, dzwonek na prawo). Było to jakoś w połowie maja. Usposobienie jego w tych czasach malują następujące miejsca w liście do matki:

„Od kilku dni jestem w Wrocławiu, tak blisko Ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać Ci, abyś tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne, a serca tyczące się zostawiam Bogu, który mnie prowadzi i może w trudach moich choć chwilą szczęśliwą z Tobą przebytą wynagrodzić mnie zechce. .

.... „Ja tu jak ptaszek uwięziony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozsypanych braci moich, i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne — serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają.

... „Miesiąc ten życia mojego pełny cudów. Spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem, Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkiém. Napełniony życiem, rozdający siłę, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem (?). Wola się moja z dopuszczenia bożego pełniła (?)...

... „Postępowanie ludzi oświeconych w mieście waszém (we Lwowie) jest straszne i ściągające na was okropne nieszczęścia. Dałbym wiele za to, żebym Cię teraz wiedział w dawném Twojém siedzącą miasteczku... Teofila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał na jutro, a nic nie brał na zdrowy rozsądek, ale stał się w tych czasach jak dzieci, słuchające natchnienia i wichru bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie...

... „Z Poznania pisałem do Ciebie, iż dobrzeby było, abyś miała moję metrykę i dowiodła, że jako syn Twój

mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna, i spodziewam się, że się stanie niepotrzebną“... (z listu z d. 14 maja).

W cztéry dni późniéj i ta ostatnia iskra nadziei, która mu wtedy jeszcze świéciła, zagasła. Już teraz nie przypuszczał, żeby mu miało być daném odwiedzić swoich w ich wiejskim domku. Zaczął się lękać, ażeby zamiast zbliżyć się do nich — nie był raczéj przymuszony znowu się od nich oddalić. Pisał tedy w takich wyrazach:

„Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę Cię jednak najdroższa Matko! jeżelibyś się na to odważyła, abyś siadła do dyliżansu i choćby na kilka dni tu przyjechała. Nie tak to jest droga długa dla Ciebie-a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkiém bezpieczeństwem. Widzieć się z Tobą, byłoby dla mnie wielkiém szczęściem w tych czasach, w których mię wiele rzeczy boli i udręcza. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo Twoje i mieć w pocałowaniu Twojém świętém ochłodzone czoło moje!.. Choćby więc na tydzień, przyjedź; a ja Cię będę czekał w dzień oznaczony na drodze żelaznéj i postaram się dla Ciebie o mieszkanie“... (z listu z d. 18 maja).

Wszystkie te listy, począwszy od poznańskiego, były wysyłane do Lwowa, gdzie Pani Becu bawiła przez cały ten czas, i adresowane poste restante. Nieszczęście chciało, że się na poczcie o listy takie matka Juliusza wcale nie dowiadywała. Nie mając zaś od tak dawna żadnych wiadomości od niego, zachodziła w głowę, co się z nim dzieje. Niepodobno jéj było pisać do niego, nie wiedziała bowiem, dokąd pojechał z Paryża.

Juliusz tymczasem z swojéj strony nie pojmował znowu tego tak uporczywego milczenia matki. Wysyłał do niéj z Wrocławia, różnemi drogami, pod coraz innym adresem, list za listem, zaklinając o najspieszniejszy przyjazd — wszystko nadaremnie! Ani na obydwa wyżéj już wspomniane listy wrocławskie, ani na dwa inne jeszcze, zaraz po nich wyprawione jeden za drugim, odpowiedzi się żadnéj nie mógł doczekać. Co się działo w sercu jego, wystawić sobie można, zważywszy zwłaszcza że lada godzi-

nę przewidywał, że mu przyślą władze miejscowe rozkaz wyjazdu. Tymczasem d. 9 czerwca (po całomiesięcznem więc nadaremnem wyczekiwaniu w Wrocławiu) otrzymuje niespodzianie od Stattlera z Krakowa doniesienie, że matka jego przebywa ciągle we Lwowie; że jest od przeszło 3 miesięcy bez żadnéj o nim wieści; że się dręczy wielce i smuci, nie mogąc się z nikąd niczego o nim dowiedzieć.

Natychmiast tedy, za pośrednictwem Stattlera, ponowne powtórzenie prośby swojéj jéj posłał błagając, żeby ani godziny nie tracąc, przyjechała uścisnąć go raz jeszcze i pobłogosławić mu na to nowe tułactwo, które go czeka. Tym razem dopiero list rąk jéj doszedł i odniósł skutek.

W kilka dni potém dożył więc Juliusz chwili, któréj pragnął tak gorąco i od tak dawna. Mógł się rzucić do nóg kochającéj, stroskanéj matce. Mógł się przed nią wyspowiadać ze wszystkich zawodów smutnego życia, które spędził opodal od niéj...

Ale to wzajemne ich szczęście niedługo trwało. Pani Becu wybrała się wprawdzie w podróż z postanowieniem, żeby albo wrócić do Ubienia razem ze synem, albo też — gdyby miały temu stanąć w drodze nieusunione zawady, zamierzała spędzić w jego towarzystwie to całe lato w jakiém miejscu kąpielowém w Niemczech lub Austryi. Jednakże twarde czasu tego okoliczności i twardsza jeszcze od nich nielitość ludzi zniweczyła owe widoki. Jeszcze w ciągu tegoż miesiąca czerwca przysłano tak matce, jak synowi rozkaz ze strony władzy miejscowéj, ażeby natychmiast opuścili Wrocław i kraje pruskie i wracali każde z nich w stronę, z któréj przybyli. Było tedy — po tylu latach rozłączenia, po tylu usiłowaniach, zawsze nadaremnych, zjechania się gdziekolwiek — całego ich pobytu w Wrocławiu najwięcéj jeżeli tydzień jeden. Rozstanie było tém boleśniejsze, że go nie osładzała nadzieja, żeby się wkrótce, żeby się kiedykolwiek jeszcze w życiu znowu mieli zobaczyć. Boć matka była już w latach sędziwych, a zdrowie Juliusza widocznie dogorywało, a nad tém wszystkiém malowała się przyszłość polityczna w barwach, odbierających wszelką otuchę.

Juliusz jednak silił się pocieszać matkę przeczuciem rychłego znowu zbliżenia się do niéj, choć pewnie sam wątpił o możności dotrzymania téj obietnicy.

..."Dziś w sobotę (pisał do niéj nazajutrz po jéj odjeździe, było to zaś w ostatnich dniach miesiąca czerwca 1848) — "a zatém o dzień jeden prędzéj, niżem się spodziewał, wyjeżdżam z Wrocławia, w którym z wielu względów bawićbym dłużéj nie mógł. Wczoraj wieczorem przechodziłem koło domu, gdzieś mieszkała, i patrzyłem w twoje biedne puste okienka. Twojéj tam główki ciekawéj nie było... Biedna Ty — i biedny ja! — Dziś o piątéj wieczorem jeszcze daléj od Ciebie odjadę. Ale ufaj w Bogu i ufaj memu bolesnemu sercu, że się do Ciebie znowu przybliżę... Bądź zdrowa najdroższa — — — Strasznie tu byli rozgniewani ci, którzy mi tu tak długo gościć pozwolili. Teraz każą natychmiast ruszać. Dobrze, że się to pierwéj nie stało...

Jak przed 17 laty, tak i tym razem podążył poeta nasz z Wrocławia prosto do Drezna. Tu się zatrzymał tylko dzień jeden, który mu się teraz dziwnie nudnym wydawał. Potém już nigdzie się nie zatrzymywał po drodze, zboczył tylko do Ostendy. Chciał się orzeźwić morską kąpielą i (jak się wyraził) zebrać ducha przed powrotem do téj Francyi, która bynajmniéj go nie nęciła ku sobie. Kąpiele jednak nie bardzo mu posłużyły w tym roku. Parę też tylko tygodni spędził w Ostendzie. Już w końcu lipca znalazł się znowu w smutném i samotném mieszkaniu swojém paryskiém.

... "Mieszkanie to (pisał d. 1 sierpnia 1848) z niskimi sufitami, zdało mi się dziwnie maleńkie i ciemne. Szerzéj mi było i przestronniéj w waszych stronach! Miletus mój (sługa Słowackiego od lat kilku, Francuz) dobry i zawsze jednakowy. Przyjaciele moi niezmienni w niczém; ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagiąłem. Ale mi smutno! Nie wiem, czemu energii zwyczajnéj odzyskać nie mogę. Może to Ty, droga moja, popsułaś mię Twoją anielską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością postępowałaś ze mną? Któż mi Ciebie zastąpi? Kto nawet przypomni?..

"Zawsze się lękałem, żeby Ci na oczach stanąwszy nie być boleścią i dni Twoich nie zatruć. Wszystko największe spełniłaś! Zwycięstwo Twojéj miłości nademną jest

zupełne. Nic nie ma we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowach Twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła!"

— Za powrotem do Paryża uważali po Juliuszu znajomi i przyjaciele, że był jakoś dziwnie zmieniony. Serce jego było do głębi rozbolałe na to wszystko, co w kraju widział i co wrzało wtedy dokoła na wielkim świecie. Poeta okazywał się odtąd w obejściu swojém codzienném coraz więcéj drażliwym i rozstrojonym, ale też i podniesionym duchownie na wysokość, do jakiéj ludzie normalnych usposobień rzadko się wznoszą.

W ogóle mógł to każdy z czytelników moich sam zauważyć, czytając te ostatnie rozdziały: że Towianizm dla Słowackiego pod jednym względem nie był bez pewnéj korzyści. Wprawdzie sławie jego autorskiéj zaszkodził on nieskończenie. Literackie zasługi, jakich się piśmiennictwo narodowe sprawiedliwie spodziewać mogło po téj olbrzymiéj zdolności, zmniejszyła ta obłędna doktryna o dobrą połowę. Mimo jednakże téj zgubności pod względem umysłowym, mimo szkód jakich doznał pisarz, poeta: człowiek pod owym wpływem mistycznego wzniesienia ducha niewątpliwie skorzystał. W życiu praktyczném, w zamiarach, w sposobie i kierunkach działania, słowem: etycznie Słowacki w latach owych spoważniał i uszlachetniał stanowczo. Moralnie podniósł się wyżéj, niż za najlepszych czasów poprzednio upłynionego życia...

W poprzedzających rozdziałach nie zwracałem nigdy czytelników moich uwagi na moralną wartość postępowania osoby któréj działaniu autorskiemu głównie jest poświęcone to dzieło Usilnie i umyślnie starałem się utrzymać pod tym względem na stanowisku zupełnéj przedmiotowości. Względem człowieka, którego życie już zgasło, a którego pamięć drogą jest narodowi względem pisarza, którego własne, poufne, prywatne i bynajmnié nie dla wiadomości całego świata kreślone wyznania o samym sobie służyły mi za materyał do jego życiorysu, nie chciałem odgrywać roli sędziego, wyrokującego o nim w doraźnych, surowych sądach i niejako zaocznie. Obowiązkiem moim było z jednéj strony złożyć wizerunek jego osobistości z rysów autentycznych, z szczegółów

ile tylko być mogło rzeczywistych i prawdziwych, nie zatajając niczego, co było pomiędzy nimi istotném. Z drugiéj wszelako strony uważałem i to sobie za powinność, ażeby w tém zestawieniu wizerunku poety wynikało ostateczne o nim zdanie, jako o człowieku, ze samych tylko czynów jego, nie zaś z tych zwierzeń listowych. I pozostawiałem wreszcie sformułowanie tegoż zdania raczéj drugim, nie sobie... Po tém wszystkiém jednakże, co aż dotąd się powiedziało, zdaje mi się, że wolno mi już będzie zrobić to spostrzeżenie, że było niewątpliwie w dawniejszém życiu Słowackiego, w jego charakterze niejedno, co nie zupełnie rymowało z tą olbrzymią zdolnością poetycką, któréj błyski podziwiamy w jego kreacyach. W ogóle jeżeli kto, to autor Beniowskiego służyć nam może za przykład i za dowód wymowny, że i genialni ludzie nie są bezwarunkowo stawieni po nad poziom zwyczajny. I oni ostatecznie nie są czém więcéj niestety, jak tylko jednostkami ułomnego rodzaju, do którego wszyscy przynależymy...

Takie wrażenie sprawia na nas osobistość Słowackiego aż po rok 1842. Za przystąpieniem do koła Towiańszczyków, wiele bardzo pod tym względem u niego się odmieniło. Wstąpił w niego jakiś duch wyższy, który go już nie opuścił, chociaż się niebawem od Towiańszczyków odstrychnął i na własną rękę rozwijał sobie doktrynę. Było w ciągu całéj téj życia jego epoki niezawodnie coś, co nam mimo wszelkiego obłędu imponuje w jego obliczu. Wielka surowość zasad, bezinteresowność do dalekich posuniętą granic, obojętność najwyższa nie tylko na wygody i dolegliwości cielesne, ale nawet i na wszelkie błahe względy potocznego i zewnętrznego żywota... miłość ku ludziom gorąca, głęboki duch ofiary, chętne przestawanie na małém, gotowość do wyrzeczenia się najsłodszych pociech życia. Zauważać się daje w tym duchu odtąd nieraz i siła nawet, dziwnie odbijająca od właściwego mu dawniéj braku hartu i woli. Uderza w nim niekiedy nawet pewien praktyczny realizm, przedtém obcy najzupełniéj idealnéj jego naturze...

W ostatnich chwilach życia odbiło się to wszystko najwydatniéj w wewnętrznéj fizyonomii poety. To też znajdujemy w jego

korespondencyi z czasu owego liczne ustępy, szczególniéj pod tym względem uderzające.

Żądała np. razu jednego od niego matka (było to w sierpniu 1848), ażeby jéj przysłał znaczniejszą jaką ilość odlewów gipsowych znanego medalionu Oleszczyńskiego, a to w celu rozpowszechnienia takowych. Oto, co jéj wtedy na to odpisał:

„O medalionach pamiętam, ale szczerze Ci mówię, że jeszcze ich mieć nie mogę; jeden mam tylko — trzebaby odlewać wielką liczbę — trzeba żeby się snycerz na to zgodził, a on nie wiem gdzie. Nie żądaj Ty tego tak silnie, co tylko umniejszy mi miłości w ludziach nie znających mnie. Bo i czyn posyłania własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wzgardliwy i dumny będą mi zarówno serca ludzkie odpychać. Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką, a bolesna moja twarz na obrazie Stattlera lepiéj mnie teraz przedstawia“...

...„O spokojność i miłość proś dla mnie Boga, abym w ofierze i pracy wytrwał, a nie dał się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu pasyi duchowi, który mnie nieraz do walki ze światem podmawiał... Cóż robić? Duchy narodu niezdolne są wielkich, z ducha przedsięwziętych czynów — oglądają się na obce rzeczy, upadają z upadającymi i cierpią. Ja cierpię także — ale inaczéj — cierpię, że jeszcze się nic nie zaczęło“... (z listu z d. 25 sierpnia 1848).

...„Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojéj, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie; a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi, niż ludzi blichtrem świecących. A że nie jestem bez miłości sprawiedliwéj, dowiodę Ci kiedyś, przyjechawszy do domku Twego“... (z d. 9 października 1848).

...„Podobno to mój Teofilu (mówi do wuja) nieszczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie umiłowanych, ale tylko miłych znajomych. Stąd wysadzaliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacye — z książek i podróży czyniliśmy coś nakształt kłaków i tém zapychaliśmy próżne serca i głowy napotykanych ludzi. Oni też nas ogłaszali za dobrych bardzo lekarzy nud—głosili nasze pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czém lepszém zapełniona nie była, a nakoniec z czasem zapominali o nas. Inaczéj dziś z tymi, których ukochałem, którym prawdę ważyłem się zawsze powiedzieć, szorstką i bez

żadnéj grzeczności w wyrażeń administrowaniu. Ci, choć dalecy i nieliczni, są mi jednak szczęściem mego żywota. I ciebie proszę, Filu mój, traktuj tak twoich nowych sąsiadów. Nie sil się, abyś ich pozyskał przyjemnością pożycia z tobą, ale prawdą wewnętrzną ducha twego uderzaj ich silnie, tak jak gdybyś dbał tylko o to, aby każdy z nich stał się pożytecznym przyszłości — a choćby na czas nieprzyjacielem nawet twoim. Obaczysz Filu, jak to dobrze tych gniewających się widzieć potém we łzach i rozczulonych, gdy się nam na serca rzucają"... (z listu z d. 4 marca 1849).

Jakże to wszystko odbija od zdań Słowackiego w dawniejszych listach!

Podobnie też inaczéj, jak niegdyś, sądził on wtedy o dziełach swoich i o całéj swojéj autorskiej przeszłości.

..."Przez 5 lat (pisał do Stattlera d. 25 grudnia 1848 r.) pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki téj pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe to są ziarenka i nie wiem nawet, czy Chrystus Pan zechce kiedyś światłością swoją dopomóc, aby wyrosły i kłoski swoje prosom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepszą jest, niż praca moja umarła — która już w foremkach się swoich glinianych pokazała i nazywa się... poezyą moją."

Kilka miesięcy przed napisaniem słów powyższych posyłał był Słowacki cały zapas dawniejszych nierozprzedanych publikacyi swoich na ręce matki do Lwowa, ażeby po cenie zniżonéj dostawiła je księgarzowi. Przy téj sposobności taką wyrzekł o dziełach swoich uwagę:

"Przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszerowi. Chciałbym przesiać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarnek czystego zboża dać moim miłym na siejbę. Wolałbym, aby niektóre z nich nigdy były nie wyszły. A następną edycyą robiąc, starać się będę niektóre z niedokończonych moich poematów zatracić*)....

*) Ponieważ o drukowanych a niedokończonych rzeczach tu mowa, stósować się zatém to może tylko do Beniowskiego. Nie odno-

Nadto wysoko ważę teraz Ducha polskiego. Wstyd mi wielce melancholii bajrońskich — strach, aby one nie zaraziły innych! Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, poślę wszystkie żądane książki"... (z listów z d. 1 i 12 sierpnia 1848). —

Do téj zmiany, jak widzimy, istotnéj i stanowczéj w wyobrażeniach poety przyczyniało się też niepomału i rosnące w nim coraz bardziéj uczucie, że go siły fizyczne zaczynają opuszczać, że pasmo życia jego się zrywa... Zdrowie Słowackiego nie było nigdy czerstwe. Był on słabowitym przez całe życie. Zarody piersiowéj choroby można było w nim spostrzegać już na kilkanaście lat przede śmiercią. Przywykły jednak od dzieciństwa do mniéj pomyślnego stanu pod względem zdrowia, nie bardzo zważał on na to. Owszem prawie we wszystkich listach chwalił się zwykle przed matką, że czerstwość sił, co się zowie, mu dopisuje. Od roku 1843 spędzał co roku kilka tygodni nad oceanem w Pornic i używał z dobrym skutkiem morskich kąpieli. Ale to też już było wszystko,. co dla zdrowia swego czynił. Pomocy zaś lekarskiéj nawet w razie gwałtowniejszéj potrzeby używać nie lubił i podlegał pod tym względem przesądom, które były w związku z jego mistycyzmem.

... „Nie znam żadnego doktora (pisał np. d. 22 stycznia r. 1848 do matki) bo w nich nie wierzę — i nigdy ich nie używałem. We wszystkiém uzdrawia mię duch mój wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu. Przekonałem się nawet, że ile razy cieleśnie chciałem sobie jakiém lekarstwem prostém dopomóc, to zawsze po chwilowéj uldze była potém reakcya ducha, który zdawał mi się mówić: Zwątpiłeś we mnie, przeniosłeś nademnie ducha rośliny — pijże teraz ciągle rumbarbarum i bądź sługą dekoktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym panem i gospodarzem w domku ciała"...

W r. 1846, zaraz po wypadkach lutowych galicyjskich, zaniemógł był dość niebezpiecznie. Słabość nie trwała długo, mu-

szą się zaś żadną miarą powyższe autora słowa do Króla-Ducha. Owszem, Słowacki pracował nad nim właśnie w owych miesiącach, w których wyrazy te kreślił, i jak niżéj zobaczymy, przywięzywał do niego większe znaczenie.

siała jednak być ciężka, kiedy już wtedy Słowacki układał, jak to widać z pozostałych notat w jego papierach, niektóre ustępy mające znaleść miejsce w jego testamencie. Powróciwszy do zdrowia, w następujący sposób wspomniał o tém w liście owym do Krasińskiego, którym zawiązał z nim na nowo stósunki przyjacielskie.

„Możeś słyszał, żem mocno był chory. Teraz jestem zdrów do czasu — a żyję, póki chcę. To mi Bóg zostawia. W rękę mi dał nić żywota mojego — nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze“...

W następnych latach używał zdrowia, a przynajmniéj wystawiał sobie, że go używa. Kto go jednak w r. 1848 widział w Poznaniu, temu się myśl nasuwała mimowolnie, że to człowiek, którego — jeżeli nie dni, to miesiące są policzone... Kąpiele w Ostendzie zamiast go pokrzepić, sprowadziły mu mocny katar piersiowy. W tym stanie powrócił do Francyi. Listy jego paryskie z tego roku zawierały wprawdzie znowu doniesienia o jak najlepszém zdrowiu. Ale go parła jednak jakaś dziwna tęskność do swoich. Nie mógł się już teraz wcale odegnać myśli powrócenia do kraju, pod jakiemibądź okolicznościami, choćby w najgorszym razie miało to być na kilka tylko tygodni. Miało to przyjść niezawodnie do skutku znowu na przyszłą wiosnę.

... „Z najwyższą radością (pisał d. 9 października r. 1848) wybieram się do Was na wiosnę. Wszystko tak urządzam, abym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka“...

Za nadejściem zimy, stan zdrowia się pogorszył. Szczególniéj w styczniu i lutym (1849) cierpienie stawało się coraz dotkliwszém. Myśl zbliżającéj się śmierci nieraz nawiedzała już Słowackiego. Zaczynał wątpić, żeby mu Bóg dozwolił doczekać się owéj wiosny już niedalekiéj, która go miała wrócić rodzinie, matce...

Listy jego z tego czasu znamionuje pewien zwrot myśli ku rzeczywistości. Dawniéj idealista, marzyciel — lubił teraz Słowacki najwięcéj mówić i wypytywać się o realne stósunki życia tam w kraju. Rozmyślał nad nimi, oceniał je, dawał rady jak działać potrzeba, żeby to, co w nich złego, na lepsze się odmie-

niło. Rady te czasem są niepraktyczne, niekiedy znowu w wysokim stopniu zasługują na to, żeby się zastanowić nad niemi. W każdym razie jest to charakterystycznėm w życiorysie tego poety, że zaczął od lekceważenia i niemal wzgardy realizmu żywota, a skończył uznaniem daleko posuniętém znaczenia tegoż realizmu.

Oto na przykład, co pisał w ostatnim z listów swoich do wuja Januszewskiego:

„Proszę Cię, Teofilu kochany, opisz mi, jakim sposobem uprawiasz teraz rolę twoję — wiele gruntu masz — na jakie zasiewy najwięcéj rachujesz? Gdzie przedajesz twoje zbiory? Bardzobym był ciekawy wiedzieć sposób twego gospodarstwa i mieć wyobrażenie doskonałe tego, czém jest teraz wieś w waszych stronach. Sentymentalności wszystkie mało mię obchodzą. Życie ziemskie jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wolności, którego duch używa dla dopełnienia misyi swojéj, zajmuje mnie. Dlatego nie przyjemnościami i tak nazwaną poezyą sielską karm mnie, ale mów o tych rzeczach, które Cię jako człowieka obchodzą; a ja — widząc Cię szczęśliwym lub nieszczęśliwym, rzetelnie wezmę serdeczny udział w twoim smutku lub weselu i pomogę sercu memu w téj miłości, która bez rzetelnéj podstawy ludzkiéj i bez opromienienia bożego jest tylko głupstwem i półtonem uczuciowym — na nic Aniołom i ludziom“...

Najwięcéj zaprzątały myśl jego wtedy trudności, jakie się w Galicyi począwszy od r. 1846 pojawiły w stósunkach między ludem wiejskim a dworem.

... „Boże Narodzenie przeszło (pisał jeszcze w r. 1848, pod koniec grudnia). W wieczór dnia tego byłem samotny i myślałem o Was w lepiance Waszéj. Chciałem nawet pisać do Was. List wasz ostatni, zrozpaczony o wioszczaném Waszém położeniu, mocno mię zasmucił. Rozbierałem je w sobie głęboko — czułem je boleśnie; bo wiem, coto jest, mieć opodal gromadę ludzi, złą wolą ku nam wytężonych. Wszakże ufam, że się to opuszczeniem przez Was wioseczki nie skończy.

... „We wszystkiém chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić; trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczy-

zna i królowanie szlachty polskiéj jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludzi zyskała. — Ja mieszkam pięć lat w domu jednym, a pewny jestem, że portyer, który mi służy, po mojéj śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem Ciebie, Filu, gdybyś na mojém miejscu mieszkać przyjechał; i miałby zaraz dla Ciebie nadskakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście!? — Któż winien? — Świadczę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serca tych ludzi na wieki. Kto wam miłości ludzkiéj nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa".

...„Myśląc, jak jabym sobie poradził, będąc w Waszém położeniu, myślałem sobie tak: (a przebaczcie mi, jeżeli w tém dziecinne moje pomysły). Myślałem, mili moi, że gdyby mi Bóg kiedy pozwolił być oraczem — co jest wielką łaską i dane bywa tylko duchom utrudzonym, którym Bóg wypocząć pozwala... Gdyby więc pozwolił mi Bóg kiedy myśleć tylko o swoim i o moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi i jakikolwiek dach dla pokrycia głowy mojéj, a nie dał nic więcéj: — starałbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego człowieka siedzibę. Nie mając już ludzi pańszczyznę robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wielu szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz przez nadanie gruntów gospodarzom został jeszcze uboższym niż przedtém. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtorasta złotych, karmieni przez pana, służyliby mi wiernie i stanowiliby mi niby piekarnianą rodzinę moję — rzeską i dobrze życzącą. Nierazbym z nimi słodko wieczór przepędził przy ogniu, zawezwawszy do rozmowy i pastucha, i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w téj wieczorynce. A wkrótce — sam choć słaby — wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolę swoję. Nie na szerokość jéj, ale na dobrąbym uprawę rachował. Nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystkobym łożył. A tak wkrótce stałbym się zdolnym powiększyć moję czeladkę i nie potrzebując już — mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczéj — widząc mnie słabym, a wewnętrznie rozgniewanym—coraz gorzéjby się pode mnie podsuwali"...

W parę dni po napisaniu tych uwag i wyprawieniu listu, w którym je znachodzimy, odebrał Juliusz z domu nowe utyskiwania nad daremnością wszelkich usiłowań zawiązania jakichkolwiek stósunków znośnych z ludem wioski, w któréj krewni i matka jego mieszkali. Dała im do tych utyskiwań sposobność tażsama właśnie wilia Bożego Narodzenia, o któréj była wzmianka w danym powyżéj wyjątku z korespondencyi poety. Wraca tedy do tego punktu Słowacki raz jeszcze w liście, który do nich pisał d. 22 stycznia (1849), i taką ich zagaduje uwagą:

„W dzień Wilii czułem Wasz smutek — czułem Was w domku Waszym. Teraz widzę, jakeście rozesłali po chatach jadło — i siedzicie samotnie, oczekując czyli się nie nawrócą ku Wam serca ludzi. O! nie—nie nawrócą się te duchy! ale z urąganiem będą w brzuchy lać słodkie mleko maków, miodem zasycone, ale sercem i duchem Chrystusa nieotchnięte, tak aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie, siostro moja droga, nie przynęcisz ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiéj naszéj naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. — Znałaś miłość dziewiczą, panieńską. Miłość zawsze jest jednéj natury. Jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przeklęctwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to: a nawet choć bić będziesz kijem, ludzie kochać Cię będą... I owszem, jeszcze mocniéj nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką — wzgardą naszą, fałszowi każdemu przynależną, uderzyć: a gdy to czyniąc nie czujemy w sobie żadnéj wyższości osobistéj, tylko miłość rozważną i ojcowską. O braterstwie gadają teraz ludzie, i źle gadają. Bo od Ojcostwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie. — Mocno, mocno chciałbym być z Wami! Wypowiedziałem nawet mieszkanie moje w téj nadziei, że można będzie Was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje. Byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie niby lekarstwo na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym Was obaczyć i z Wami pożyć potrzeba — a raczéj powiem chce się — tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów,

gdzie mi było obszernie, wolno i lubo. Za miskę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło i cieleśnie w niedostatku przycierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z Wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cóżbym robił? chyba jak świerszczyk pstrykał w któréj belce, staruszce matce domku Waszego"...

Uderzającém, jak na Słowackiego, jest jeszcze następujące zdanie jego, powiedziane do p. Januszewskiego (w liście z lutego r. 1849). Chodziło o pytanie, jakby najlepiéj użyć jakiegoś kapitału, który mieli w gotowiźnie, czy go ulokować w papierach czy obrócić na zakup gruntu.

„Co do kupna i przykupna ziemi, najmocniéj się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie z pracy rąk własnych mógł wyżywić, (literalnie mówię) tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżającego się najbliżéj do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego — i w wolności połączonéj z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach — a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały. — Panowie nasi najwięksi ziemni są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że ich w każdym dniu mogę na jakibądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się nimi. Ziemie obszerne robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój. Gdy przeciwnie w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, które za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współżyjących. Gdy cię kto chce ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawią niby na gwiazdach, z których znowu na ujarzmiciela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz — a twéj miłości zadość uczynić. — Mówię więc: kawałek ziemi miéj — i to nie wioskę, ale folwarek bardzo obfity i zamożny. Jeżeli trzeba kilku jeszcze takich folwarków, zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę — ale nie zapuszczaj się w skupowanie wiosek, ani sądź iż to jest pewne w dzisiejszych czasach. Owszem najniepewniejsze to jest dla nas i w stronach tych, w których teraz mieszkasz, a które lada dzień mogą z tobą wrócić tam, skąd niedawno wyszedłeś...

„Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i w krwi

i w głupocie ciężkiego szlachcica. A tyś przez cierpienia już godzien wolności.“ —

Lecz wróćmy do osoby autora tych listów. W pierwszych więc miesiącach roku 1849 słabość jego wzmagała się coraz bardziéj. W lutym i marcu podlegał już Słowacki częstym krwiotokowym atakom, które siły jego nad miarę wycieńczały. Łudził się wprawdzie jeszcze nadziejami niekiedy i przypisywał to swoje osłabienie najwięcéj skutkowi wiosny wczesnéj i słońca gwałtownego. Mimo to jednak już w końcu lutego uznał za potrzebne spisać wolę swoję ostatnią. Czynności téj dopełnił podług wszelkich formalności w razie takim przepisanych. O zrobieniu testamentu uwiadomił listownie tylko wuja Januszewskiego, zobowięzywał go jednak do sekretu o tém przed matką.

...„Kilka dni temu (pisał do niego) byłem mocno bardzo krwią zaatakowany. Teraz zamknęło się ujście i żywot mój w łono powrócił; ale widziałem z bliska Pana mego i Boga mego, który mię już chciał jak żołnierza od was wziąć, a na inne, może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem — i teraz, wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z wami zostać mi kazano. —

„Zrobiłem będąc chory testament — krótki, z dwóch paragrafów. W piérwszym zostawiam wszystko, co mam, i przekazuję wszystkie prawa moje... Matce i Tobie Teofilu, mianując Was wspólnie i solidarnie sukcesorami moimi. W drugim paragrafie czynię exekutorem testamentu, względem moich paryskich pozostałości, przyjaciela mojego, człowieka złotego serca, p. Charles Petiniaud...

„Gdybym był umarł, już byłbym z Wami. A tak, trzeba mi będzie jechać do Was — a mam nadzieję, że pojadę...

List ten był pisany d. 4 marca (1849). Byłto ostatni list Słowackiego...

Równocześnie dał znać o sobie też i Szczęsnemu, który całą owę zimę spędzał w Monachium. Dokończał właśnie studyów swoich w uniwersytecie tamtejszym. Niezwłocznie po odebraniu niedobréj téj wiadomości, Szczęsny z Monachium do Paryża podążył i stanął na miejscu jeszcze przed końcem tego miesiąca,

Od téj chwili nie odstąpił już przyjaciela aż do samego zgonu.*) Przy pierwszém powitaniu zagadnął go Słowacki takiemi słowy: „Dobrze, żeś przyjechał. Nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już wszystko się kończy. Pan Bóg mnie wzywa do siebie“. — Następnych dni mało już mówił o swojém zdrowiu i chociaż po nocach nie sypiał i często cierpiał mocno, w dzień jednak był rzeźwy i czynny, jak dawniéj. Pierwszego kwietnia powiedział Szczęsnemu, że w nocy tak mu źle było, że dnia nie spodziewał się dożyć. Pytał, czy nie zna jakiego ubogiego, któryby chciał sypiać u niego. Szczęsny ofiarował mu sam usługi swoje. Nie przyjął ich jednak, za powód to podając, że mu zajęć jego nie chce przerywać. Zresztą mieli jeszcze późniéj pomówić o tém. „Wreszcie — dodał — może mnie Bóg i tak jakoś przeniesie.“ — Nazajutrz mówił Szczęsnemu, że zaczął przepisywać jeden z niewydanych jeszcze swoich poematów, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Szczęsny mu zaproponował, żeby mu dyktował, co też przyjął. I tak napisali jednę pieśń; ale i to Słowackiego męczyło, tak iż resztę odłożyli na późniéj.**)

*) Tu dołączam wiadomość, że pod bezpośredniém wrażeniem smutnych dni, które wtedy razem przebył z Słowackim, i jako naoczny świadek wszystkiego, co się w dniach owych działo około niego, spisał Szczęsny zaraz po śmierci poety ostatnie chwile jego. Rodzina Słowackiego, dla któréj wspomnienie owo było pisane, udzieliła go w lat kilkanaście potém jednemu z pism peryodycznych warszawskich, które też ustępy niektóre z niego ogłosiło w kolumnach swoich. Szczegóły te służą mi teraz za źródło, według którego podaję prawie dosłownie, co odtąd następuje w texcie.

**) Przejrzawszy pozostałe papiery, jestem w stanie z wszelką pewnością powiedzieć, coto był za utwor, o którym mowa. Był to rapsod jeden z Króla-Ducha, rapsod ze wszystkich najwięcéj wykończony, osnuty na podaniach o Piaście i Ziemowicie. Jest między papierami pośmiertnymi rękopis, z kilku arkuszy listowych zszyty; na pierwszéj zeszytu tego stronicy położył poeta tytuł poematu taki: „Z Króla-Ducha — Księgi Legend“. Snać dawał więc rzeczy téj napis jakby całości oddzielnéj i oderwanéj, zwątpiwszy już o możności wykończenia całego utworu. Potém następuje 6 strof ośmiowierszowych, własną autora ręką kreślonych. Tu się pismo Słowackiego urywa. Strofa siódma i wszystkie dalsze już są pisane ręką Szczę-

Kiedy miał Szczęsny już odchodzić do siebie, polecił mu Słowacki, ażeby poszedł pytać się księdza, czy będzie mógł przyjść z Sakramentami do niego. Zlecenie to Szczęsny wypełnił. Kiedy dnia następnego przyszedł do Juliusza, zapytując, kiedy się chce spowiadać, zastał u niego przyjaciela jego Petiniaud, który od czasu choroby codziennie Słowackiego odwiedzał. Ten mu powiedział, że chory bardzo źle noc przepędził; a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątéj zemglał i zdawało się, że już skończył. Na zapytanie Szczęsnego, jak się czuje, odrzekł Słowacki, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo niedobrze. Przyzwano księdza. Ten pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po Sakramenta. — Tymczasem Juliusz widząc przytomnych w rozrzewnieniu, wziął Szczęsnego za rękę i głosem przerywanym, lecz spokojnym rzekł te słowa do niego: „Powiedz mojéj matce, że nic do niéj nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można; ale szczęśliwy jestem, że dziś jakby na pożegnanie, wspomnienie jéj odebrałem, i z myślą o niéj umieram.“ Po chwili milczenia, wzniósł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił daléj: — „Wiara w nieśmiertelność ducha i sprawiedliwość bożą jest wielkim darem Stwórcy nam udzielonym! Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość bożą, bo ją pojmuję; i tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stósownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką go dziś oddaję w ręce Stwórcy. — Wszak prawda? ciągnął daléj, obracając mowę wprost do Szczęsnego: Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze: przyjmiesz wolę bożą spokojnie i z godnością, jaka nieśmiertelnemu duchowi przystoi.“ — Wtém ksiądz wszedł; a kiedy po odbytéj spowiedzi ofiarował mu przenajświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnéj mocy i ukląkł na łóżku, potém przyjął ostatnie nama-

snego, jak o tém na pewne twierdzić mogę, dobrze znając ówczesny kształt jego pisma.

szczenie, z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnéj twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie było można oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknego świętém zachwyceniem. Po chwili takiego wewnętrznego skupienia wyciągnął ręce do przyjaciół i z łagodnym uśmiechem powiedział: — „Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta. Myślałem często o tém, czy też téj łaski dostąpię.“ — Potém wypił trochę gorącéj herbaty i prosił, żeby go zostawili samego, gdyż chciał spocząć. Wyszli przytomni do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte, i widzieli, jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, by to nie był sen ostatni, znowu otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i przerywany. Widząc, że nie śpi, przytomni weszli do jego pokoju: prosił o trochę wina czerwonego. Podano wino, ale je już z trudnością przełknął. Potém kazał Szczęsnemu przynieść książkę, z któréj mu w wilią dnia owego dyktował; i pokazywał mu, w jakim porządku potrzeba daléj przepisywać. Ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją mówiąc z uśmiechem: „Wszystko to głupstwo“... Potém prosił, żeby go posadzić w innéj pozycyi, a kiedy to uskuteczniono, powiedział, zawsze z uśmiechem: „Może to w tém położeniu śmierć mię zastanie“... Zamilkł, ale ciągle spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć, o któréj godzinie do wieczności się przenosi. Przed samym zgonem wyciągnął ręce i zrobił znak, że chce wstać. Lecz zaledwie go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drżeć poczęło — oddech jego był coraz cięższy — coraz powoli słabł — oczy na wpół się zamknęły i mgłą zaszły. Nacieranie skroni i pulsu eterem nic nie pomogło. Powoli oddech ustał — serce bić przestało — wszystko się skończyło — już nie żył.

Było to dnia 3 kwietnia 1849 r. Liczył poeta wtedy lat cztérdzieści niespełna.

We dwa dni potém wiózł wóz skromny zwłoki zmarłego do kościoła św. Filipa du Roule, a stąd na cmentarz Montmartre. Nie było mu tedy dano spocząć w tym śnie nieprzespanym na miejscu, na którém dawniéj, w pełni jeszcze żywota swego, ma-

rzył nieraz, że spocznie kiedyś na wieki. Miało to być w ojczyźnie, na cmentarzu krzemienieckim, pod cieniem znanéj czereśni, która tam grób dziada i babki jego ocienia. — Orszak żałobny, postępujący za trumną, składał się z małéj garstki samych tylko rodaków, po większéj części współtowarzyszów w tułactwie. Adama Mickiewicza nie widziano pomiędzy nimi. Nad grobem nie odezwało się żadne słowo ostatniego pożegnania na tę daleką drogę wieczności. Ponure milczenie przerywały tylko grudki obcéj ziemi, które z głuchym stukiem z rąk przyjaciół spadały na wieko trumny...

W kościele akademickim św. Anny w Krakowie, w pobocznéj nawie po lewéj stronie, wzniesiony jest skromny nagrobek Juliusza Słowackiego. Wystawiła mu go strapiona matka. *) Położono na nim jako napis następujące wyrazy:

Pamięci
Juliusza Słowackiego
syna Euzebiusza
urodzonego w Krzemieńcu
zmarłego w Paryżu,
który walkę poezyi
ku odrodzeniu się ducha i
uczucia ludzkości
po chrześcijańsku
w dniu 3 kwietnia 1849 r.
zakończył
w żalu nieutulona matka
poświęca. —

Lepiéj aniżeli te słowa określają cały charakter życia i działania Słowackiego strofy przez niego samego krótko napisane przed zgonem, pod napisem:

---

*) Nadmieniam dodatkowo co do p. Becu, że przeznaczone jéj było żyć jeszcze po stracie syna lat 6. Zakończyła życie w miesiącu lipcu 1855 r.

„Testament mój“.

Żyłem z Wami — cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i daléj idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojéj lutni ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny stérał moje lata młode,
A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
A gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojéj biednéj ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I téj, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biédę...
Jeżeli będę duchem, to im się pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!..

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
  Iść?.. taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiém duchami napełnionéj łodzi,
  I tak cicho odlecieć — jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
  Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
  Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi. —

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

---

strona

ROZDZIAŁ X.

ROZDZIAŁ XI.

strona

ROZDZIAŁ XV.

ROZDZIAŁ XVI.

ROZDZIAŁ XVII.

ROZDZIAŁ XVIII.